

ALEKSANDRA JANUSZ



KRONIKI  
ROZDARTEGO ŚWIATA

CIEŃ GILDII

NASZA KSIĘGARNIA

ALEKSANDRA JANUSZ

*K*RONIKI  
ROZDARTEGO ŚWIATA

---

CIEŃ GILDII



NASZA KSIĘGARNIA



## Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

W serii

CIEŃ GILDII

SPIS BOHATERÓW

PODZIĘKOWANIA

Zajrzyj na strony:

Strona redakcyjna

W serii:

Asystent czarodziejki

Utracona Bretania

Cień Gildii

W przygotowaniu kolejny tom

Trzymając głowę wysoko, patrzyłem przez mgłę zaścielającą miniaturowy rynek Ombre. Zimowe słońce z oporami wylaniało się zza kamienic, sklepy z pamiątkami były jeszcze zamknięte na głucho. Wróble uciekały mi sprzed butów, kiedy kuśtykałem w stronę piekarni; z daleka docierał do mnie zapach rogalików i kawy z mlekiem. Ogrzewałem dłonie w kieszeniach płaszcza i w duchu przeklinałem wojskowy zwyczaj zrywania się z łóżka przed świtem.

Dwa miesiące temu zapoczątkowałem nową epokę w dziejach Arborii, ale prawie nikt jeszcze o tym nie wiedział.

Zabrzączał dzwonek w drzwiach i owionęły mnie ciepłe zapachy. Pieczywo sprzedawano tuż przy wejściu; pierwsi chętni stali w kolejce po bagietki, bułki i bochenki świeżego chleba. Z tyłu lokalu funkcjonowała pijalnia kawy i czekolady. Częściowo schowany za rządkiem słoików z ciastkami, młody wąsаты subiekt mełł uprażone ziarna w srebrzyście lśniąącym młynku w kształcie globusa. Tuż obok postawiono jeden z nowych próżniowych ekspresów Renlinga, balon z grubego szkła wyposażony w runy egzotermiczne. Wrzący ciemny płyn z wolna skapywał do filiżanki, roztaczając bogaty aromat. Za ladą na półkach wymoszczonych cienkim brunatnym papierem rozłożono słodkie bułki, rogale i tarty. Wciągnąłem powietrze w płuca. Wciąż zdarzały się chwile, kiedy nie dowierzałem, że wróciłem do domu.

Rozejrzałem się. Arcymistrz Gildii Magów, Andreas Weyland, czekał już przy stoliku razem z pułkownikiem i panią major. Byłem mu wdzięczny. Wiedziałem, że nie ominie mnie wizyta w koszarach, ale dano mi szansę rozpoczęcia dnia we właściwy sposób.

– Poproszę dwie bułki z cze... koladą. – Nadal miałem kłopoty z płynną wymową. Poranki były szczególnie trudne. – Oraz kawę... z mlekiem. Bez cukru.

Potężny czarnoskóry Weyland górował nad okrągłym stolikiem z tekowego drewna. Musieli wejść do kawiarni dosłownie przed chwilą, ponieważ z okrągłych okularów Arcymaga jeszcze nie zeszła para. Dwójka oficerów przybyła razem z nim

do Ombre poprzedniego wieczoru. Widziałem ich po raz pierwszy w życiu. Pułkownik Archer, wysoki, szpakowaty mężczyzna z wąsikami, robił wrażenie zadbanego pięćdziesięciolatka. Wiedziałem jednak, że był wojskowym magiem, co oznaczało przynajmniej dwieście lat więcej i znajomość licencjonowanej magii bitewnej, z której pomocą mógłby mnie zdmuchnąć w pięć minut; mimo mojej zdolności wchłaniania zaklęć nie zdążyłbym przetworzyć nawet połowy.

Jego sekretarz, pani major, miała skórę o ton jaśniejszą od Weylanda i włosy ostrzyżone na jeża; była szczupłej budowy i niewiele wyższa od Amandine. Gdybym spotkał ją w cywilu, nigdy nie zgadłbym, że jest żołnierzem. Musiała pełnić dla pułkownika podobną rolę asystenta jak ja dla Margueritte, tyle że w ramach hierarchii wojskowej.

Wstali, gdy podszedłem do stolika.

– Pułkownik James Archer. Major Jacqueline Guerin de Branche d'Olivine.

– Vincent Thorpe. Miło poznać.

– Człowiek, który wrócił z Bretanii. – Pułkownik mocno ścisnął moją dłoń.

– Nie jedyny.

– Jedyny, jakiego mamy do dyspozycji. – Archer uśmiechnął się półgębkiem. – A mówiono mi, że znajdę pana w dobrym zdrowiu.

– Jest zimno i wczesnie rano – uciałem. – Będzie le... piej.

Jak na zawołanie zjawił się subiekt z tacą, na której stały cztery filiżanki – Weyland pił herbatę z mlekiem, oficerowie czarną kawę po doriańsku – w filiżankach jak dla lalek – oraz talerzyki z ręcznie malowanej awalońskiej porcelany z rogalikami i bułkami. Rozstawił je wokół nas fachowym gestem i zniknął za kontuarem. Pośród gwaru rozmów, szumu ekspresu i zgrzytu młynka do kawy postronni nie mogli nas słyszeć.

– Muszę powiedzieć Charlesowi, że wczesne przywileje emerytalne dla pomocników magicznych to wcale nie przesada – mruknął pułkownik, związując papierosa. – Chociaż, prawda, nie każdy zajmuje się odkrywaniem nowych lądów. I nie każdy pracuje dla de Breville. Koniec kontraktu musiał być dla pana ulgą?

– W pewnym sensie. – Pociągnąłem łyk kawy z filiżanki, smakując bogatą goryczką na języku. Wiwat Zjednoczona Republika Arborii. – Mam jeszcze... coś do zrobienia.

Pułkownik Archer skinął głową.

– Inaczej nie podchodźliby pan do egzaminu dyplomowego. Porozmawiamy o tym w sztabie. – Wyciągnął zalakowaną ozdobną kopertę. – Proszę przeczytać i dobrze się zastanowić.

Królewska pieczęć. To znaczy pochodząca z Kancelarii Królewskiej Służby Ochrony, nie byliśmy przecież w Bretanii. Zerknąłem w stronę Arcymaga Weylanda. Ile pułkownik wie? Ile powinienem mu powiedzieć?

– Trzeci poziom dostępu – rzucił w moją stronę Weyland. – W kopercie znajdziesz zapewne ofertę pracy nieco bardziej odpowiadającą twoim kwalifikacjom niż etat więdźmy w Ombre. Panie Archer, nie przeszkadza panu, że pan Thorpe jest lojalny wobec Gildii?

Czy mi się tylko zdawało, czy jego głos drgnął przy wypowiedzaniu tych słów? Ukryłem zmieszanie, zatapiając zęby w bułce z czekoladą. Od naszego powrotu w zachowaniu Weylanda wyczuwałem ledwo zauważalną rezerwę, może ostrożność. Czy to, czego dokonaliśmy w Bretanii, mogło wstrząsnąć nawet Arcymagiem? Kiedyś uważałem go za niewzruszonego. Miał ponad trzysta lat i większą wiedzę o działaniu naszego świata niż ktokolwiek inny. Także teraz – nie sądziłem, by Meg cokolwiek przed nim ukrywała, chociaż ja pewnie zdecydowałbym inaczej; przeczytał też dokumentację budowy Mostu.

– Tym lepiej. – Pułkownik Archer wzruszył ramionami. – Ścisła współpraca w tej sprawie będzie korzystna dla obu stron. Przy okazji: Thorpe, Thorpe... to przypadkowa zbieżność nazwisk czy jednak jest pan spokrewniony?

Jacqueline, sekretarz, o której prawie zapomniałem, drgnęła nad swoją kawą.

Coś takiego, sami wielbiciele historii. Ale to było niebezpieczne pytanie; powiedział mi o sobie więcej, niżby chciał.

– Z kim?

James Archer się roześmiał.

– To taki hermetyczny żart. Może pan kiedyś spytać Szaloną Meg. Wędrowiec mi świadkiem, wreszcie zapracowała na ten swój przydomek. Oczekuję pana w sztabie o dziesiątej.

Oficerowie szybko dokończyli kawę, pożegnali się i wyszli. Zostaliśmy z Weylandem nad naszymi bułkami i rogalikami, krzywo popatrując na siebie nawzajem. Zobaczyłem, jak palce Arcymaga dyskretnie układają się w zakłęcie przeciwpodśluchowe.



– Nie wie, prawda? – spytałem wreszcie.

– Nie i nie powinien wiedzieć. – Weyland wyciągnął z chlebaka zwiniętą w rulon gazetę. – Podejrzewają Meg albo kogoś z Drugiej Strony. Ale to porządny szpieg, więc nie potrafi się powstrzymać. Miej to na uwadze, będzie cię prowokował. Dostałem żądania z samej góry, aby udostępnić mu dokumentację budowy, i mam wobec tego bardzo mieszane uczucia. Jeśli coś trafi w ręce wojska, prędzej czy później zrobią z tego broń. Pociesza mnie, że zrozumienie istoty sprawy wymaga specjalistycznej wiedzy, jaką dysponuje w tej chwili tylko kilka osób na świecie. Radziłbym zatem trzymać się poziomu trzeciego. Oczywiście – zmrużył oczy – to twoja decyzja.

Czyli traktował mnie jak samodzielnego gracza, i to takiego, któremu jeszcze nie ufał. Nic dziwnego, że nie wtajemniczył mnie w wewnętrzne sprawy Cienia Gildii. Nie należałem już do Meg, a nie pokazałem, kim się stałem; i nie chodziło wyłącznie o zdolności Maga Pustki. Minął prawie rok, odkąd wyruszyłem do Bretanii; w tym czasie umarłem, wróciłem do życia, uczestniczyłem w wojnie i budowie nowej Gildii Magów, a na koniec wspólnie z Belinde i Kathryn stworzyłem dzieło magiczne w postaci Mostu łączącego dwa rozdarte kontynenty. Nie byłem tym samym człowiekiem, któremu Arcymag zburzył dotychczasowy porządek świata podczas jednej krótkiej pogawędki.

Tymczasem Weyland rozwinął gazetę na stoliku.

– Trzecia strona i tylko jedna kolumna. – Zniżył głos. – Ludzie wierzą, że wojsko stacjonuje w Ombre z powodu opóźnionych skutków obecności duszosmoka, a Most był noworoczną iluzją. Chciałbym, żeby tak na razie zostało.

\* \* \*

Dylichans w stronę Mostu odjeżdżał za godzinę, toteż została mi chwila, żeby wrócić do kwatery. Od Nowego Roku zajmowaliśmy przestronną izbę u gosposi pod miasteczkiem. Teoretycznie mieliśmy ze sobą dość bretańskiego złota i klejnotów, aby opłacić półroczny pobyt w Srebrnej Gęsi, ale w praktyce ich sprzedaż byłaby nieco kłopotliwa. Poza tym zdecydowaliśmy zachować biżuterię na wypadek powrotu do Bretanii.

Meg zabrano do szpitala już na początku stycznia, ale pozostali wyjechali z Ombre niespełna tydzień temu i dopiero dotarli do stolicy. Teraz Margueritte

została już wypisana z oddziału i Liliana dołączyła do niej u moich rodziców na wsi pod Avalonem, gdzie klimat bardziej sprzyjał rekonwalescentce i wątłemu dziecku niż w ponurym dworku de Branche d'Ambre na wrzosowiskach Północnej Arborii. Oraz, w razie czego, było stamtąd bliżej do lekarza.

Bretańcy przechodzili w Ombre aklimatyzację. Belinde założyła, że mała turystyczna miejscowość nada się do tego lepiej niż stolica kraju. Poza tym należało jakoś zabezpieczyć Most; pracowaliśmy nad tym z Kathryn. Na razie swobodny ruch między krainami wywołałby tylko kłopoty.

Ja i Amandine nie spieszyliśmy się z powrotem do Avalonu. Pani Revas, gospodyni, która wynajmowała nam apartament w kamienicy, czekała o kilka miesięcy za długo. Gdyby nie interwencja Arcymaga, być może nasze rzeczy trafiłyby na targ używanych mebli i odzieży, a tak tylko spoczywały w skrzyniach gdzieś u Weylanda. Nasze dawne pokoje zamieszkiwało stateczne małżeństwo urzędników z niemowlakiem, niezdradzające inklinacji do magii, które nie zamierzało ruszać się z Avalonu dalej niż do rodziny na święta.

Wielokrotnie rozmawiałem przez kulę magiczną z rodzicami.

Poprosiłem też panią Revas, aby przekazała mi zaległą pocztę. Jakimś cudem, może dzięki temu, że naszym dobytkiem zajął się Arcymag, gospodyni gromadziła listy, które nadal przychodziły na ten adres.

Zamówiłem broszury informacyjne Uniwersytetu Avalońskiego i Centralnego Szpitala. Rodził się we mnie dość mglisty zamiar podjęcia studiów medycznych. Jako jedyna osoba na świecie, która potrafi przetwarzać skażenie – przynajmniej dopóki Lily nie rozwinie Źródła w stopniu, który pozwoli jej samodzielnie zmieniać postać na smoczą – chciałem od razu pojechać do szpitala i zabrać się do roboty, ale Weyland mnie powstrzymał. Zbyt duże ryzyko zdemaskowania, twierdził; na razie mógłbym więcej zaszkodzić, niż pomóc.

Zaprenumerowałem też katalogi ślubne. I skoro na razie nie miałem pracy, zupełnie szczerze starałem się wypoczywać.

Bielony domek z ceglastoczerwonymi dachówkami pomimo mgły wyraźnie odcinał się od łąki przykrytej zaskorupiałą, cienką warstwą śniegu. Zostałem Amandine na werandzie, w pełni już rozbudzoną. Zasiadła przy drewnianym stoliku, podłożywszy sobie najpierw gruby koc, i owinięta w pled popijała z kubka parujące kakao, od niechcienia podczytując romans. Nie zauważyła mnie od razu; odgarnęła

za ucho kosmyk splecionych rudych włosów, ściągnęła usta w reakcji na jakąś scenę w lekturze. Przyglądałem się jej przez chwilę; wzbierało we mnie ciepło.

Przesłałem jej sygnał telepatyczny. Odwróciła się w moją stronę, nieco zatroskana.

– I jak?

Usiadłem obok na ławie i wyciągnąłem kopertę z kieszeni płaszcza. Amandine odruchowo oparła się o mnie, zajrzała mi przez ramię. Gwizdnęła leciutko, zobaczywszy królewską pieczęć.

– Spodziewałam się tego – mruknęła. – I tak im trochę zajęło zainteresowanie się tobą.

„Zastanawiam się, jaki to ma związek z poczynaniami naszych przyjaciół w Avalonie”.

– Nie dowiemy się, dopóki nie otworzysz koperty. – Podała mi nóż, którym przed chwilą odkroiła sobie pajdę chleba. – A co mówi Weyland?

Powtórzyłem jego słowa, ostrożnie rozcinając papier. W środku znajdował się tylko jeden dokument, wydrukowany tłoczonymi literami na kremowym czerpanym papierze ze znakami wodnymi przedstawiającymi królewski herb. Zaproszenie na kameralną ceremonię zaprzysiężenia na oficera wywiadu w stopniu majora, sygnowane przez samą Gwendolyn Bayonne de Branche d’Aquamarine, królową Zjednoczonej Republiki Arborii.

– No tak. – Amandine nachylała się nad listem. Jej ciepło ogrzewało mi ramię. – I co o tym sądzisz?

„Nawet nie traktują poważnie tego, że możemy mieć własne interesy związane z Bretanią – westchnąłem. – Oczywiście nic dziwnego, przecież to barbarzyński obcy kraj, gdzie dzicy toczą walki o paciorki; nikt mi nie musi tłumaczyć, jak zostały odebrane terenowe raporty Meg. Przynajmniej te, które Weyland udostępnił służbom wywiadu. Poza tym tak jak powiedział, wojsko prowadzi wojny. Ciekawe, ile czasu by zajęło, zanim byłbym zmuszony wybierać między jedną albo drugą stroną. Frakcja Belinde przegrała wybory, Imperialiści znowu zdobyli większość w Parlamencie... Istnieje spore ryzyko, że zechcą ruszyć na wyprawę”.

– Królowa jest z poprzedniego rozdania... – zauważyła Amandine. – Ma spore poparcie. A do elekcji zostało jeszcze trochę czasu.

„Tak, Federaliści woleliby raczej skolonizować Bretanię pokojowo – rozłożyłem ręce – natomiast Separatyści mają kilka foteli w obydwu Izbach, a nawet gdyby było inaczej, są bandą nieprzewidywalnych wariatów. Chęć ustanowienia niepodległości poszczególnych prowincji może wcale nie pohamować chęci podporządkowania sobie obcego świata. Może powinniśmy ujawnić, że Utracona Bretania została już przez nas podbita?”.

– Ciekawe, kto pierwszy wyprowadziłby nas z błędu – mruknęła Amandine. – Jej Wysokość Gwen czy regentka Theresa von Feuerstein.

– Kiedy to się wszystko tak skomplikowało? – jęknąłem na głos. Kawa zaczynała działać, rozplątywały się mięśnie i nerwy, powoli wracała mi zdolność mowy.

– Zastanawiam się, co zrobią, jak się dowiedzą, kogo tak naprawdę chcą zatrudnić. – Amandine ściągnęła usta. – Zaczekaj.

Wstała i na dłuższą chwilę zniknęła w domku. Splotłem ramiona; zbłąkany podmuch wiatru przemknął przez werandę. Przejął mnie chłód.

– No. – Moja narzeczona wróciła wreszcie, bardzo zadowolona z siebie. Dzierżyła w dłoniach długi kij w futerał z zielonego aksamitu.

– Amandine...

– Weźmiesz ją do bazy.

– Ale...

– Obserwowałaś mnie? Pamiętasz choć trochę, jak się tym posługiwać? – Amandine wysunęła magiczną laskę z futerału. Na czarnym lśniącem tworzywie odznaczały się złote symbole. – Tutaj jest Bańka Kinetyczna. Zapamiętaj, proszę. Tutaj bańka, a tutaj Kula Ognia. – Ujęła moją dłoń i naprowadziła na znaki.

– Amandine, przecież to jest twoje. Nie mogę jej przyjąć. Gdyby coś się działo, potrafię się obronić.

– Po pierwsze, niestety nie moje, tylko Gildii. – Zmarszczyła brwi. – Po drugie, Weyland powiedział, że pułkownik może cię prowokować.

– Słownie! – zaprotestowałem. – Daj spokój! Przecież nie będzie we mnie ciskał błyskawicą!

– A widzisz, gdybym to ja miała choćby pięć procent wątpliwości, czy mój potencjalny współpracownik przypadkiem nie ukrywa przede mną rzadkiego magicznego talentu, właśnie to bym zrobiła – odparła moja narzeczona. –

Cisnęłabym w niego błyskawicą i sprawdziła, jak się broni. Weyland mówi, że podejrzewają Meg. Jeśli tak było, pewnie już przejrzeni jej akta i zbadali Źródło w szpitalu; sądzę, że gromadzą o niej dane od co najmniej stulecia. Bardziej prawdopodobne, że weszliśmy w sojusz z bretańskim Magiem Pustki. Ale, rzecz jasna, trzeba wykluczyć wszystkie inne możliwości.

Nie podobało mi się to ani trochę, ale miała rację.

– Widzisz... – Usiadła już nieco spokojniej na ławie, sięgnęła po niedopite kakao. – Dla nich nawet nie jestem stroną. Nie mam talentu magicznego, więc mnie nie doceniają. W Arborii nie potrzebuję ochrony. Chyba że otworzę nową wystawę, wtedy zawsze się przyda ktoś do pilnowania, żeby pijak wernisażowy nie wychłab całego wina dla gości. Prędzej czy później będę musiała się oganiać od dziennikarzy, bo jako nieutalentowana jestem dla nich bardziej dostępna niż czarodzieje. Ale na razie mam spokój.

„O ile nie wyjdzie na jaw, kim jestem” – dodałem w myślach. Gdyby chodziło tylko o politykę Gildii, nie przejmowałbym się. Gdyby o mnie – nie takie rzeczy już przeżyłem. Ale Amandine zasługiwała na choćby chwilę oddechu i namiastkę normalności. Wiedziałem, że gdy ja zażywałem relaksu w Ombre (no dobrze, trochę pracowałem nad bramą broniącą wstępu na Most), moja narzeczona, Nadworna Magini Amandine Cerise de Branche d’Aure, nadal kontaktowała się przez kulę magiczną z Theresą von Feuerstein oraz Blancheflor, Arcymistrzynią nowo założonej Gildii Magów Królestwa Bretanii. Świeżo zagruntowane płótna leżały w kącie izby, nietknięte pędzlem.

W zamyśleniu przesunąłem dłonią po złotych symbolach. Tak naprawdę nigdy w pełni nie wróciliśmy do Arborii. I jeżeli chcemy, zamiast dać się nieść prądem historii, wykroić dla siebie kawałek życia w nowych warunkach i na własnych zasadach, trzeba będzie o nie walczyć.

\* \* \*

Dylizans sunął gładkim cesarskim traktem pomiędzy zalesionymi wzgórzami rejonu przygranicznego. Nie musiałem oszczędzać jednostek na nic większego i kusilo mnie, żeby zabrać się Lotem, podobnie jak zapewne zrobili to oficerowie. Ale półaktywni czarodzieje – a za takiego chciałem uchodzić – zazwyczaj nie mieli Źródeł dostatecznie silnych na tak zaawansowaną magię.

Towarzyszeli mi inni pasażerowie: dwójka żołnierzy wracających z miasta, starszy mężczyzna w długim wełnianym płaszczu i z binoklami, który wyglądał na prawnika albo sekretarza, oraz młode małżeństwo z koszykiem piknikowym, kończące trasę na Poziomkowej Górcie. Podniosła się mgła i chłodne, jasne promienie słońca skrzyły się na zestalonym śniegu. Powyżej Ombre grube śnieżne pokrywy zakrywały jeszcze ziemię i zwisały z gałęzi drzew. Wiosna docierała tutaj mniej więcej miesiąc później niż do Avalonu.

Minął nas powóz jadący z naprzeciwka. Poprzednim razem te okolice należały już do skażonej strefy, ale odkąd zamknęliśmy Rozpadlinę, a służby porządkowe starannie oczyściły okolice kanionu z pyłu, promieniowanie tła spadło do akceptowalnych wartości. Zabrałem ze sobą wykrywacz skażenia, ale nie włączałem go; wystraszyłbym tylko nieobeznanych z magią towarzyszy podróży. Zmysł Maga Pustki mówił mi jednak wyraźnie, że jest już całkiem bezpiecznie.

Przywrócono tutaj regularny ruch dylizansów, a nawet – częściowo – infrastrukturę turystyczną. Kolejka linowa z krzeselkami, którą rok temu mijaliśmy w drodze do rozpadliny, z wolna podciągała pasażerów ku górze. Turystów nie było zbyt wielu; baza wojskowa, która w połowie stycznia wykwitła nad kanionem Cabochon, przedwcześnie i skutecznie zakończyła sezon. Z daleka dostrzegłem jednak ciemnoniebieskie mundury; żołnierze na przepustkach poprawiali sytuację.

Wreszcie zza porośniętych gęstym lasem wzgórz, poprzecinanych tu i ówdzie wąskimi stokami narciarskimi, wyłoniła się gigantyczna czarna stalowa konstrukcja. Starożytny most, zbudowany jeszcze w czasie Cesarstwa Triumwiratu nad wyschniętą rzeką Morion, stykał się w samym środku z międzyświatowym Mostem prowadzącym przez Pustkę do Bretanii, ale tego drugiego nikt nie widział. I nic dziwnego, bo Belinde z Kathryn pracowały nad tą iluzją chyba z tydzień. Wciąż nie mogłem uwierzyć, co potrafi dwójka magów Creo na pełnych obrotach. Oficjalnie to właśnie Most był iluzją stworzoną z okazji Nowego Roku, a czarodziejki rozplotły ją wraz z zakończeniem świętowania. Wśród cywilów w Ombre prawdę znał tylko burmistrz Randall Hardy.

Co mnie trochę martwiło, bo znając burmistrza, to dokładnie jedna osoba za dużo.

Baza wojskowa rozstawiła się na brzegu kanionu i częściowo na samym moście (tym starożytnym). Z daleka widziałem prostokątne kształty nowo wzniesionych

drewnianych baraków i małe figurki ludzi krążących wokół w rozlicznych imitacjach pożytecznych zajęć, jakie zwykle wynajduje się znudzonym żołnierzom.

– Niech to licha...! – usłyszałem zachwycony głos starszego pana, który – jak się okazało – podróżował z nami aż do bazy. Mężczyzna wystawiał głowę przez okno i gapił się, jakby zobaczył smoka. W pierwszej chwili nie zwróciłem na niego uwagi. Stalowy most nad kanionem Cabochon, pomnik zaginionych cesarskich technologii, budził entuzjastyczne reakcje.

Zaraz się jednak zorientowałem, że mój towarzysz kieruje spojrzenie tam, gdzie mnie widok całkowicie zasłaniał dach dylizansu.

– Proszę popatrzeć! – zawołał. – Niesamowite! Niech pan spojrzy, pierwszy raz w życiu widzę coś podobnego!

Ledwo wcisnąłem obok niego głowę w okno. Zerknąłem w stronę bazy, ku górze i w lewą stronę. I szeroko otworzyłem usta.

Nad kanionem Cabochon, przytwierdzony do ziemi dziesiątkami metrów lin kotwicznych, dryfował smukły automagiczny statek latający. Z szarym obłym balonem wypełnionym gazem, który zmniejszał jego ciężar. Z silnikami zamontowanymi po bokach i z tyłu, tak aby zapewnić pełną sterowność. Oraz gigantycznym godłem Zjednoczonej Republiki Arborii. Z tej odległości nie dostrzegałem run antygrawitacyjnych, ale musiały pokrywać cały rdzeń konstrukcji, żeby utrzymała się w powietrzu. Balon wydawał się dość mały i wąski w porównaniu z podwieszoną częścią pasażerską, ale znacznie bardziej zwrotny niż zwykle niemagiczne aerostaty. Jak to zrobili, żeby wystarczyło im jednostek na całą podróż? Skąd zdobyli tyle helu? Nikt zdrowy na umyśle nie użyłby wodoru, gdyż zbyt wielu magów ma zdolność tworzenia ognia. Trafiłem kiedyś na szkice prototypów, ale nie sądziłem, że w tym pięćdziesięcioleciu uda się pokonać trudności techniczne.

W Arborii nie było nas prawie rok.

Nie da się ukryć, że świat się zmienił.

\* \* \*

Kiedy Pierwsza Specjalna Jednostka Królewskiej Armii przybyła nad kanion, obywano się namiotami. Od tamtej pory wybudowano między innymi baraki sypialne, stajnię, infirmerię i zbrojownię, a teraz właśnie powstawał budynek

warsztatów. I to też traktowano jako prowizorkę; ostatecznie nad mostem miał stanąć zupełnie zwyczajny murowany fort, co trochę mnie niepokoiło, nie mniej niż prototypowy statek powietrzny zakotwiczony na uboczu, który nieprzyjemnie skojarzył mi się ze smokiem Nidhoggiem – zupełnie, jakby to było wczoraj. Już w tej chwili na Granicy stacjonował oddział w liczbie ponad dwustu osób, w tym kilku wojskowych magów.

Spędziłem trochę czasu z armią generała von Feuerstein, zarówno podczas bitwy o Nouveaux Dijon, jak i naszego późniejszego pobytu w Bretanii, gdzie wzywano mnie do pomocy przy zamykaniu okazjonalnych rozpadlin i oczyszczaniu siedlisk skażenia. Lepiej znałem wojskowe życie Bretanii niż mojej własnej ojczyzny. Poczuję się prawie jak człowiek z innej epoki, mijając z daleka padok, na którym przy akompaniamencie pokrzykiwań i dźwięków trąbki odbywały się ćwiczenia kawalerii, i strzelnicę, gdzie oddział mężczyzn i nielicznych kobiet w ciemnoniebieskich mundurach systematycznie dziurawił słomiane manekiny.

Oraz plac ćwiczebny obstawiony lśniąco osłonami przeciwmagicznymi i ekranami pochłaniającymi, za którymi dwoje umundurowanych czarodziejów – koścista blondynka i wielki śniady Doloriańczyk – bombardowało się nawzajem zaklęciami ofensywnymi. W powietrzu latały precyzyjnie wymierzone pochłaniające światło pociski entropiczne i rozżarzone do białości kule ognia, nie większe od pięści.

Magowie wojskowi nie znają szerokiego repertuaru zaklęć ani nie prowadzą badań tak jak akademicy; każdy ma swoją wąską specjalizację, ale w jej ramach żaden uczony nie jest w stanie im dorównać. Mały oddział złożony z kilku różnych specjalistów potrafi poradzić sobie niemal z każdym problemem wymagającym użycia siły. Wpatrywałem się w nich i rósł we mnie niepokój. Nieuchronnie przychodziły mi do głowy porównania z moją zbieraniną seniorów. Magowie Bretanii, wprawieni w walkach przeciwko sobie nawzajem, może i byli równie szybcy – ale jakieś sześćdziesiąt lat temu. I na pewno nigdy nie umieli tak dobrze koordynować ataków.

Tuż przy osłonach siedziała na zwiniętym ogonie złotołuska wiwerna wielkości sporego cielaka, zapewne chowaniec jednego z czarodziejów. Wpatrywała się w walczących z napięciem, posykując od czasu do czasu. Obok niej przystanął kolejny wojskowy mag w stopniu podpułkownika; chyba najmniejszy żołnierz, jakiego widziałem w życiu. Facet miał nie więcej niż metr czterdzieści



i nieproporcjonalnie zbudowane ciało; śledził ćwiczenia z marsowym czołem, podkręcając węża. Uniosłem brwi. Chociaż wprawa w sztuce magii miała kluczowe znaczenie dla czarodziejów służących w wojsku, sprawności fizycznej nie lekceważono. Żeby awansować aż do stopnia podpułkownika, mimo wyraźnej ułomności, ten człowiek musiał być mistrzem w swojej dziedzinie.

Obrócił się w moją stronę, obrzucił mnie od góry do dołu uważnym spojrzeniem, jakby szacował wartość wierzchowca.

– Pan Thorpe? – spytał, chyba lekko zawiedziony. – Sądzę, że jeszcze się nie znamy. Podpułkownik Blackthorn, Miles Blackthorn. Dowódca polowy Pierwszej Specjalnej od wczorajszego wieczoru. Pułkownik Archer oczekuje pana w sztabie.

No tak, wojsko osobno, wywiad osobno. Pułkownik James Archer przewyższał rangą Blackthorna, ale należeli do innych komórek operacyjnych i desygnowano ich do różnych zadań. Dopóki szpieg pozostawał na terenie jednostki, sytuacja była dość krępująca, to znaczy Archer, gdyby chciał, mógł temu drugiemu wydać rozkaz. A to oznaczało, że oficer wywiadu tutaj nie zostaje. Czyli wraca do Avalonu i zabiera ze sobą statek? Miałem rację czy przekombinowałem?

Odchrząknąłem.

– Tak mi powiedziano. Czy ta wiwerna właśnie zaczęła przetwarzać...?

Aż się wzdrygnąłem, kiedy podpułkownik, nie odwracając się nawet w stronę żołnierzy, przeciął więź między jasnowłosą czarodziejką a magicznym zwierzęciem.

– Elanor, widzę cię – powiedział spokojnie. – Kontynuujcie. Dziękuję, panie Thorpe.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Dobry był, rzeczywiście.

Miałem nadzieję, że nigdy nie będę zmuszony przeciwko niemu walczyć.

\* \* \*

Zastałem pułkownika w biurze, które zapewne przydzielono mu tymczasowo, pochylonego nad stolikiem zawalonym dokumentami. Tu i ówdzie rozpoznawałem znajome symbole; chyba studiował dokumentację przesłaną mu przez Weylanda. Na ścianach przypięto zgrubnie naszkicowane mapy najbliższej okolicy z adnotacjami dotyczącymi skażenia, a obok, na osobnym okrągłym stoliku, stał okazały globus.

James Archer musiał go przywieźć z Avalonu, bo globus był nie tylko bardzo szczegółowy, lecz także automagiczny. Nad jego powierzchnią wyświetlała się w tej chwili iluzja przedstawiająca obszar przygraniczny w powiększeniu. Tam, gdzie kiedyś znajdowała się Bretania, w wielkim kontynencie arboriańskim ziała czarna dziura, oznakowana wielkimi srebrnymi literami jako Rozdarte Ziemie. Kiedyś sądziliśmy, że cała ta ogromna przestrzeń w środku kontynentu na zawsze przepadła w Pustce; wokół niej na całym obwodzie wzniesiono Bariere, która zapobiegała dalszemu rozpadowi świata. Na zachód od Rozdartych Ziem znajdowała się Republika Arborii oraz wiele innych krajów sąsiedzkich; na wschód – Dalekie Rubieże, czyli państwa, z którymi utrzymywaliśmy relacje drogą morską. Teraz wiedzieliśmy, że Utracona Bretania istotnie leżała w Pustce, ale relatywnie bezpieczna, schowana w olbrzymiej kieszeni podprzestrzennej w innym wymiarze.

– W samą porę – zagaił pułkownik. Do pokoju weszła major Jacqueline, niosąc grube naręcze papierzysek. – Zapoznałem się z materiałami. Bardzo to wszystko ciekawe, ale niekompletne. I jak?

– Chciałbym jeszcze przemyśleć tę ofertę – odpowiedziałem. – Muszę się zastanowić, czy w grę nie wchodzi konflikt interesów.

– Rozumiem. – W głosie Archera wyczułem jakąś dziwną nutę. – Miał pan może inne plany zawodowe? Chciał pan znaleźć posadę urzędniczą, taką w sam raz dla półaktywnego maga? Bo gazety pana pokochają, kiedy już wszystko wyjdzie na jaw. Będzie pan trudnym nabytkiem dla zwykłego pracodawcy. A na stanowisko terenowe, proszę wybaczyć, już się pan nie nadaje.

Popatrzyłem na niego uważnie. Czy on mi próbuje doradzić, czy mnie obraża?

– Nie sądziłem, że to jest propozycja nie do odrzucenia – odparłem szybko. – Może powinienem wyrażać się jasno. Spędziliśmy w Bretanii kilka dobrych miesięcy. Poznaliśmy lokalną ludność, zdobyliśmy wpływy wśród elity, wzbudziliśmy zaufanie władz. Widzę, co się dzieje w jednostce. Nikt nie gromadzi takich sił dla zabawy. Nie chcę przyczynić się do konfliktu.

Pułkownik leciutko uniośł kąćki ust, ale mi nie przerwał. Ku mojemu zakłopotaniu znów zacząłem się zacinać.

– Poza tym... jestem akademikiem. Bardzo słabo słucham... rozkazów.

– Z dokumentacji pańskiej pracy dla lady de Breville wynika zupełnie co innego. Westchnąłem.

– Tak, ale... Meg... Nasza hierarchia nie przypomina tej wojskowej. Opiera się na merytokracji i zaufaniu. Założmy, że pan będzie moim przełożonym i zaufam pańskiemu osądowi. Ale jeśli ktoś wyższej rangi... wyda panu rozkaz... który obydwaj uznamy za niedorzeczny... Panie Archer, nie mogę panu służyć.

Zamilkłem. Nagle ogarnęła mnie pewność, że po współpracy z Margueritte i po tym wszystkim, czego doświadczyłem w Bretanii, nie znajdę już przełożonego, którego będę w stanie na dłuższą metę usłuchać.

– Na Wędrowca, panie Thorpe. – Archer popatrzył na mnie ze zdumieniem. – To najdziwniejsza rozmowa, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłem. Pan sobie zdaje sprawę z tego, że spotkał się pan z czarodziejem w randze pułkownika, członkiem Parlamentu i pracownikiem Służb Ochrony, a list, który panu przesałem, przyszedł prosto z góry? Może i wrócił pan z Bretanii, może jest pan człowiekiem Weylanda, ale przecież nie samym Arcymagiem. Czego pan ode mnie oczekuje?

Chyba przesadziłem. Od początku zwracałem się do niego jak do kogoś równego sobie. Bretania może i wyleczyła mnie z pokory, ale też wbiła w nadmierną pychę. Ze skrucną przypominałem sobie o Lucjuszu. A później pomyślałem o wojskowych z Pierwszej Specjalnej, ostrzeliwujących się zakłęciami jak z kartaczownicy.

– Jeżeli to możliwe, proszę o stanowisko cywilnego współpracownika wywiadu z częścią uprawnień wojskowych.

– Chce się pan postawić poza hierarchią i podlegać prawu cywilnemu. – James Archer zaczął się śmiać. – Rzeczywiście, znać szkołę de Breville. Zobaczmy, co powie na to biuro. W ostateczności zaciągną pana pod przymusem, w ramach mobilizacji strategicznej. Czy mogę chociaż liczyć dziś na pańską uprzejmość i przekazanie mi informacji o Drugiej Stronie zupełnie za darmo?

Odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że pułkownik traktuje mnie jak rozkapryszone dziecko, i to tylko dlatego, że ma dobry humor. Półaktywny mag, który stawia mu warunki. Rzeczywiście, bardzo śmieszne.

– W ramach współpracy z Gildią – uściśliłem.

– Jak zwał, tak zwał. Jacqueline, czy możesz podać globus? Dziękuję.

Pułkownik przesunął dłoń nad iluminowaną powierzchnią globu. Iluzja zgasła, odsłaniając widok na jedyny kontynent Ziemi Drzew, noszący tę samą nazwę co nasz kraj. Po zachodniej stronie rozpościerała się Zjednoczona Republika Arborii, granicząca na wschodzie ze strefą Rozdarcia. Starannie odzwierciedlono

polityczny podział kontynentu, jaśniejszą barwą oznaczając kraje, które pozostawały w strefie naszych wpływów, kontrolowane przez marionetkowe rządy lub w oficjalnej unii z Republiką. Globus musiał mieć swoje lata, bo znalazły się w tej puli zarówno Adestria, jak i Satrapia Nowego Jorku, od dawna całkowicie niepodległe. To mógł być znaczący szczegół – niektórzy Imperialiści wciąż mieli nadzieję, że z powrotem uda się przyłączyć je do macierzy.

Archer zakreślił palcem koło na czarnej dziurze.

– Triumwirat. Królowa Aurora Pierwsza de Branche d’Argent, regentka Theresa von Feuerstein w imieniu młodocianej Królewskiej Smoczyicy oraz Nadworna Magini, Amandine de Branche d’Aure. Programowy matriarchat?

Uśmiechnąłem się w duchu. Imię, które nadała sobie Kathryn, pochodziło od jednej z królowych d’Argent, która zapisała w historii chlubną kartę. Amandine nie musiała niczego zmieniać. Imiona się powtarzały, zresztą miała rację – na razie nikt jej nie weźmie poważnie.

– Nie... Tak się... złożyło.

Skinął głową.

– Czyli to największe państwo na kontynencie.

– Więcej zaj... mują udzielne księstwa. – Narysowałem palcem kształt na czarnej dziurze. – Poza tym jest kawał słabo zaludnionych stepów i gór na wschodzie. Suche. Ja... łowe. – Spojrzałem mu prosto w oczy. – Nie opłaca się... kolonizować.

Znowu jakoś dziwnie na mnie popatrzył. No tak, usiłowałem go dyscyplinować, jak Bretańczyka.

– Z tego, co pan wskazuje, wynika, że istnieje fragment kontynentu, który nie został po żadnej ze stron.

– Fragmenty – poprawiłem go. – W tym staro... żytna Alterra. Ale to tyle, co wiemy na jej temat.

– Chcę, żeby między nami panowała w tej kwestii jasność. – Archer wbił we mnie wzrok. – Jestem przykładnym poddanym Jej Wysokości. Nie mam imperialnych ciągót. Więcej, pierwsze sto lat życia spędziłem jako badacz. Może pan sprawdzić w annałach Uniwersytetu, studiowaliśmy w jednym roczniku razem z de Breville.

Coś takiego. Wyglądał na starszego niż Margueritte, ale po przekroczeniu drugiego stulecia wygląd czarodzieja niewiele mówi o wieku, sporo zależy od cech

indywidualnych. Trzeba koniecznie porozmawiać o tym z Meg.

– Ten globus... – Popukał w powierzchnię. – Nie zamierzam niszczyć zabytków, rozumie pan? Nie chcę, żeby wojsko weszło do Bretanii. Ale ekspedycja naukowa byłaby spełnieniem moich marzeń. Podobał się panu statek powietrzny? Chciałby pan obejrzeć plany? Zbudowali go inżynierowie związani z moją jednostką. Należy do mnie.

Oparł dłonie o stolik.

– Bariera pnie się ku niebu, rozrzedzając się stopniowo i kończąc tam, gdzie zaczyna się stratosfera, a napływ Pustki powstrzymują naturalne osłony w atmosferze. Te same, które chronią nas przed kosmiczną Pustką otaczającą nasz świat i inne ciała niebieskie. I pomiędzy osłonami, ponad pęknięciem, w którym zniknęła Bretania, na wysokości mniej więcej piętnastu tysięcy metrów, znajduje się obszar nietknięty Rozdarcie. Gdybyśmy umieli tamtędy podróżować, nie trzeba by ślać okrętów do Dalekich Rubieży... – wywołał iluzję obszaru Kalewali i Północnego Imperium Powatan, tam gdzie Rozdarte Ziemie kończyły się na wschodzie – ...poświęcając wiele miesięcy na opłynięcie globu.

Skinąłem głową. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu te plany wydawałyby się mrzonką. Same zaklęcia nie wystarczyły, aby utrzymać się przy życiu na takich wysokościach i dystansach, w rozrzedzonym powietrzu i w obecności naturalnych prądów magii. Ale teraz – kto wie? Może nie trzeba smoków, żeby podbić niebo.

– Most daje nam jeszcze więcej możliwości. O ile mi wiadomo, nie został puszczony nad Barierą, ale przez nią, w obszarze, gdzie spleciono ją rzadziej. Czyli obudowano go osłonami chroniącymi przez skażeniem, silniejszymi niż cokolwiek używanego do tej pory. To znaczy także, że wykorzystuje magię przestrzeni – magię Pustki, do licha! – tak, aby przejść przez Barierę, nie rozdzierając jej. Nie jestem pewien, co jest bardziej rewolucyjne, samo odkrycie Utraconej Bretanii czy sposób, w jaki połączono ją z Arborią.

– O ile nam wiadomo, poprzedni Nadworny Mag Bretanii chciał eksplorować Pustkę – powiedziałem. – Ale to się akurat nie udało. Natomiast jego badania uzupełniły stan naszej wiedzy dostatecznie, aby stworzyć Most. Na wehikuł bym się jeszcze nie nastawiał.

– Proszę pana, nikt tego od razu nie oczekuje. Przecież i tak wszyscy sądzili, że magia Pustki zaginęła. Nie wiemy nawet, na czym dokładnie polegała, narosło tyle

mitów na ten temat. Dziwię się, że pan jest taki spokojny. Nie rozumie pan, czego dokonała pana przełożona razem z tym Bretańczykiem?

– Właściwie przy budowie uczestniczyły przede wszystkim lady Chamomille i lady Verd... – zaznaczyłem. Może ja się ukrywam, ale wszyscy wiedzieli, że Belinde specjalizuje się w tworzeniu dzieł magicznych, a uznawanie zasług wtedy, gdy należy je uznać, jest słuszną praktyką.

– No tak, no tak... Lady de Breville mocno nadszarpnęła zdrowie w ekspedycji, podobnie jak pan. Ale przecież pomysł należał do niej?

– Wiem, że woli pan jasny system dowodzenia – odparłem – ale my pracujemy w zespole.

Uniósł wzrok znad globu, wyraźnie zaintrygowany.

– To znaczy, że pan wie więcej, niżby się wydawało. Zna pan te runy. Poza tym przyznał pan bez mrugnięcia okiem, że to nie ona jest Magiem Pustki. Ale tego się spodziewałem. Jak się tam dostaliście?

Nagle rozmowę przerwał huk. Odwróciliśmy się w stronę major Jacqueline, o której obecności prawie zdążyliśmy zapomnieć. Zbierała z podłogi upuszczone przed chwilą materiały, które zamierzała schować do szuflady.

– Przepraszam, sir.

– Nie szkodzi. – Archer odwrócił się w moją stronę i znów zignorował panią major. Przyglądałem się kobiecie jeszcze przez moment; sekretarz pułkownika wydawała się dość poruszona.

– Proszę się nie przejmować. No więc?

– Magazyny Gildii... – znowu się zaciąłem – są pełne... ciekawostek.

– Albo usiłuje pan wprowadzić mnie w błąd. – Spowaźniał. – Ilu ich tam mają, tych Magów Pustki? Ambasador Bretanii twierdzi, że dwoje, czy mógłby pan potwierdzić? Jacy to są ludzie? Groźni oczywiście, ale czy agresywni? Czy ambasador, pan de Montreuil, to jeden z nich? Panie Thorpe, od tego zależą losy naszej ojczyzny.

– W takim razie szkoda, że jest pan tutaj, a nie rozmawia pan z ambasadorem Bretanii – westchnąłem. – Albo z regentką Theresą, tam po Drugiej Stronie... Ale panu właśnie o to chodzi, prawda? Proszę przejść do rzeczy.

– Chcę wstępu na Most. Ma pan klucze?

Zaplotłem ręce. Myślałem intensywnie. Gdybym chciał zebrać grupę Arboriańczyków, którym pozwolimy na rozmowy, wziąłbym kogoś takiego jak Archer. Dalekowzrocznego, ceniącego wiedzę. Chyba że myliłem się co do jego charakteru; może grał przede mną kogoś, kto może zaimponować akademikom, a w rzeczywistości doradza królowej podbój Bretanii. Czy zniżyłby się do takich sztuczek przed zwykłym asystentem?

Tyle że nie byłem dla niego zwykłym asystentem.

– Możemy się przejść za bramę – zdecydowałem wreszcie. – Ale po Drugiej Stronie jest kolejna, i Bretańczyków zaniepokoi niezapowiedziana wizyta z Arborii. Byłby to incydent dyplomatyczny.

– Nie, oczywiście nie zamierzam przechodzić bez przygotowania. – Archer wyciągnął bibułkę, sypnął na nią tytoniu i machinalnie zwinął papierosa. Z zaskoczeniem dostrzegłem, że próbuje ukryć drżenie rąk. – Oraz denerwować tubylców. Przywiozłem przedmioty na wymianę, lecz skoro pan powiada, że za wcześnie na zderzenie z naszą cywilizacją... Ale chcę najpierw wiedzieć, jak ten Most wygląda.

Tubylców? Przedmioty na wymianę? Może jednak zbyt wysoko go oceniłem.

– Powinien pan go obejrzeć – powiedziałem. – I przekonać się, że pokojowa współpraca z Bretanią przyniesie obopólne korzyści.

\* \* \*

Rozrastająca się baza wojskowa wchłonęła wszystko, co zostało po turystycznych zabudowaniach na starożytnym moście. Rozebrano oplakatowane stoiska z pamiątkami, na parkingu dla dyliżansów stały teraz wozy zaopatrzenia. Knajpa z plackami po bretańsku została odkupiona przez wojsko i przekształcona w mesę. Punkt informacji turystycznej po dobudowaniu dodatkowego piętra zmienił się w wieżę obserwacyjną.

Zabudowania kończyły się stalowym płotem z dwuskrzydłową bramą, starannie opieczętowaną wojskowymi runami strażniczymi, i dostatecznie szeroką, aby przepuścić podwójną kolumnę wozów. Dopiero niedawno zastąpiła zwykłe ogrodzenie z drutu kolczastego; jeśli teraz ktokolwiek chciał wejść albo wyjść, musiał znać kod, żeby nie połechtaly go bojowe zakłęcia z trzech różnych dziedzin

magii. Zastanawiałem się, jakie środki ostrożności podjęto po drugiej stronie. Ale nie tę bramę miałem otworzyć; James Archer myślał o zupełnie innej konstrukcji.

Przespacerowaliśmy się tam we dwóch. Pułkownik skinął głową strażnikom; ci wyprężyli się na baczność i zaszalutowali usłużnie. Jeden z nich zbliżył się do bramy i przesunął dłonią po mosiężnej tabliczce z wygrawerowanymi cyframi od jednego do dziesięciu. Podwoje zgrzytnęły na prowadnicach. Weszliśmy za bramę.

– Proszę mieć ją otwartą – poinstruował pułkownik. Trzymał się prosto, ale dało się poznać, że był spięty.

Postąpiliśmy kilka kroków naprzód i dla wszystkich obserwatorów wokół zniknęliśmy. Staliśmy między czterema kilkumetrowymi masztami ze srebra i *trivium*, odpowiedzialnymi za podtrzymywanie iluzji niewidzialności; bezustannie wydawały z siebie przeciągły, niski dźwięk, a pomiędzy nimi co jakiś czas przeskakiwały błękitne iskry. Przed nami, zamiast dalszego ciągu konstrukcji nad kanionem Cabochon, wznosiło się wejście na zupełnie inny Most, nieco węższy, wybrukowany białymi płytami przypominającymi marmur – w rzeczywistości podczas budowy użyliśmy materiału, który tylko w pewnej części był kamieniem. Piął się w górę tak stromo, że dla postronnych wydawał się niemożliwy do podejścia.

Dwa niższe, złotozielone maszty zakotwiczone w starożytnym czarnym moście tuż przed wejściem na ten międzyświatowy. Z daleka droga wydawała się otwarta, ale gdy podeszliśmy bliżej, zamigotała przed nami różowa osłona.

Znając wybory stylistyczne Belinde, czułem ulgę, że nie zamontowała na szczytach masztów figurek jednorożca.

Pułkownik wpatrywał się w milczeniu w widok przed nami.

– Skąd mieliście tyle mocy obliczeniowej? – spytał wreszcie. – Dzieła o podobnej skali powstają przez lata, nawet dziesięciolecia. Czy ten Mag Pustki jest aż tak potężny?

– Na miejscu znajduje się konstrukt z okresu Cesarstwa – odparłem. – Starożytni zaprojektowali ją do ochrony świata, więc pomaga przy podobnych zadaniach, trzeba jej tylko dostarczyć dobrze opracowaną teorię. Nie ma jednak zdolności twórczych, nie potrafi sama obmyślać rytuałów, w dodatku wciąż postępuje według dawnych instrukcji i może mieć swoje zdanie na temat zaproponowanych projektów.



– Proszę się nie obawiać, nikt tego nie ruszy bez ścisłej konsultacji z Arcymagiem – mruknął Archer. – Osobiście dopilnuję, żeby nie próbowano używać lokalnej magii jak młotka do wbijania mostowych pali. Dość długo pracowałem w badaniach, wiem, że z cesarskimi artefaktami trzeba ostrożnie. Pozwoli pan...?

– Proszę chwilę poczekać. – Zdjąłem z pleców laskę magiczną, rozsznurowałem futerał. Gdyby pułkownik chciał mnie testować, nie będzie lepszego momentu. – Jak wspomniałem, druga strona jest zabezpieczona, ale ostrożności nigdy zbyt wiele. Poza tym na moście występują skróty przestrzenne. – Wskazałem przed siebie. – Jeśli się potkniemy, pan złapie równowagę, ale ja mogę mieć problem.

Przesunąłem palcami po symbolach, przypominając sobie ich kolejność. Ciekawe, ale wyczuwałem w przedmiocie rezonans Amandine, chociaż moja narzeczona nie dysponowała żadną własną mocą. Odniosłem wrażenie, że jest jakby... żywy. „Pożyczyła mi siebie z własnej woli – pomyślałem – działaj dla mnie chociaż przez jakiś czas, proszę”.

Archer wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami. Uderzyło mnie, że subtelnie zamieniliśmy się rolami, teraz ja byłem u siebie, czułem się tutaj swobodnie. Mowa nie sprawiała mi trudności.

Przesadziłem? Domyślił się?

– Jest pan użytkownikiem Zagłady Gwiazd – wypalił tymczasem pułkownik. – Na Pustkę! To wiele wyjaśnia. I Weyland tak po prostu wypożyczył wam prototyp na wyprawę? Bez zgody Biura?

Wskazałem głową w stronę Mostu.

– Opłaciło się. Stoimy tutaj, żyjemy. Naprawdę chce pan mówić o tym z Biurem? Oj, panie Arcymagu. Mam wrażenie, że musimy o czymś szczerze porozmawiać.

– Na pewno najpierw zwrócę się do Weylanda. Otworzy pan?

Przesłałem pół jednostki mocy i wymruczałem kilka dźwięków. Ustaliliśmy niewerbalne hasło, prostą melodię; to się trochę niefortunnie kojarzyło z Lucjuszem, ale Belinde nie chciała, żebym ryzykował zająknięcie w razie konieczności szybkiego otwarcia lub zamknięcia bramy. Nuty mogły być fałszywe, we wzór wpisano pewną tolerancję.

Różowa osłona zadrzała i rozplynęła się w powietrzu.

– Czy w razie czego będę mógł ją otworzyć? – spytał pułkownik.

– Jest spersonalizowana. – Pokręciłem głową. – Tylko dla kilku osób. Łatwo sobie wyobrazić, co by się mogło w przeciwnym razie stać.

– Proszę jej zatem nie zamykać za nami. – Głos Jamesa Archera lekko zadrżał. Zmarszczyłem brwi. Boi się? Naprawdę? Trudno mi w to było uwierzyć. Spojrzałem przed siebie. Wiedziałem, że eleganckie mosiężne barierki stopniowo przekształcają się w zamknięty tunel, który przebiega przez żywą Pustkę. Pracowałem nad nim tak długo, że przestało mnie to ruszać. Ale dla pułkownika – i innych podróżnych – najpotężniejsza bariera wzbraniająca przejścia przez Most mogła znajdować się w ich umysłach.

\* \* \*

Zbudowaliśmy Most, myśląc dalekosiędnie; chcieliśmy, aby z biegiem czasu stał się szlakiem handlowym – mimo ryzyka, jakie to ze sobą niosło. Utworzenie połączenia między dwiema częściami kontynentu zatrzymało pogłębiający się proces Rozdarcia, ale to na razie była prowizorka; ponowne zetknięcie się obydwu lądów miało nastąpić za wiele dziesiątek, a może setek lat, i to tylko pod warunkiem ciągłej pracy nad zbliżaniem ich do siebie.

Aby proces łączenia kontynentu nie zakończył się ostatecznie jedną wielką katastrofą dla mieszkańców, Arboria i Bretania musiały także zacząć się zbliżać na innych płaszczyznach. Na razie różniły się pod względem społecznym i technologicznym; liczebność populacji była zróżnicowana, wartości moralne kompletnie się w niektórych kwestiach rozjeżdżały. Ot, choćby imprezy sportowe, tradycyjny sposób na integrację między narodami. Po naszej stronie kontynentu gramy w futbol, i gdy jeden zawodnik spowoduje kontuzję drugiego, zostaje wykluczony z gry do końca meczu. Tymczasem Bretańczycy łamią sobie nawzajem kości na turniejach i uważają, że impreza była nudna, jeśli nie zdarzył się żaden poważny wypadek.

Dopóki jednak jedna strona ma coś, czego potrzebuje druga, zawsze można nawiązać handel. Wspólne interesy łączą ludzi dużo skuteczniej niż piękne słowa i podniosłe ideały. Pod warunkiem że obydwie strony najpierw nie pozabijają się nawzajem.

Na Moście mogły się minąć – z pewnym trudem, ale zawsze – dwa dyliżanse. Już sobie wyobrażałem, jak ten międzyświatowy szlak może się zakorkować. Nie martwiły mnie natomiast obciążenia. Wcześniej nawet bym o tym nie pomyślał, ale

Kathryn wzięła wszystko pod uwagę; przez okrągły tydzień nie wypowiadała się na inne tematy. Czułem się, jakbym uczestniczył w kursie z wytrzymałości materiałów.

Tak naprawdę nasz Most miał konstrukcyjnie niewiele wspólnego z prawdziwymi mostami spinającymi brzegi rzek lub kanionów. Pod względem technicznym stanowił ciąg komnat, krótkich łączników spojonych za pomocą run przestrzennych i innej magii ciężkiego kalibru. Zasilał się automatycznie i przetwarzał moc Pustki za pomocą podobnego mechanizmu, jaki Lucjusz zaprojektował dla wehikułu połączonego z Wyrocznią. Tyle że Most czerpał skażoną energię wyłącznie z zewnątrz, nie szkodząc żadnemu ze światów. I tylko taką porcję, jaką na bieżąco zużywał każdy łącznik, nie więcej... No, uwierzcie mi po prostu, że zrobiliśmy to z głową.

Teraz, poza odgłosem naszych kroków i leniwym cykaniem detektorów, które wykrywały promieniowanie tła, panowała tutaj cisza. Dźwięki na Moście były lekko stłumione, zakrzywiona przestrzeń szybko zwracała echo. Minęliśmy pierwszy odcinek – ten, który tak stromo wyglądał. W praktyce nie czuło się podejścia pod górę. Wbrew pierwszemu wrażeniu maszerowaliśmy niespełna dziesięć minut. Archer nabrał trochę pewności siebie, uważnie badał otoczenie. Znajome runy i figury geometryczne były wszędzie; wtopione w kamień i metal, spiralnie opasały tunel od wewnątrz. Dobrze, że pułkownik nie znał mojego charakteru pisma, bo wyglądały bardzo charakterystycznie. Powstrzymałem się od sięgania do nich mocą, żeby sprawdzić po raz tysięczny, czy działają prawidłowo.

Zbliżyliśmy się do Bariery, poza którą tunel prowadził już przez żywą Pustkę. Na pierwszy rzut oka nie dało się tego poznać, ściany nie miały okien, żeby nie obserwować przez nie otoczenia.

Archer, który przyglądał się runom prawie tak samo uważnie jak ja, uniósł brwi.

– Co to znaczy? – spytał, wskazując na symbole. – Rozpoznaję co drugi znak; wiem, że połowa z tego to magia Pustki. Ale teraz wzór wygląda nieco inaczej.

– Właśnie w tym obszarze przekraczamy Bariere – odparłem. – Skrót przestrzenny jest wyraźnie odczuwalny, więc proszę się przygotować. Nie będziemy iść dalej, znudzi się pan tylko. Przez większość drogi Most wygląda bardzo podobnie.

– Skrót przestrzenny. – Pułkownik wyraźnie się zadumał. – Kolejny raz używa pan tego terminu. Brzmi prawie jak teleportacja ludzi. Czysta fantastyka.

Skinąłem głową. W tradycyjnej magii teleportacja istot żywych, z układem nerwowym bardziej skomplikowanym niż u karalucha, była niemożliwa.

– Magia Pustki jest przecież magią przestrzeni – zacząłem wyjaśniać i zamilkłem. Ale pułkownik już podchwycił tę myśl.

– Szlag. – Popatrzył na mnie wstrząśnięty. – Czy to znaczy, że Nadworny Mag Bretanii potrafi się teleportować?

„I teraz mógłby znajdować się wszędzie – wyczytałem w jego oczach. – Wypuściliście na świat starożytną plagę – Maga Pustki”. Westchnąłem.

– Kiedy ostatnio sprawdzaliśmy, miał z tym problemy natury matematycznej. Bretańczycy też stracili sporo wiedzy, jeśli chodzi o magię. Nie opracowali takiego systemu powszechnej wymiany publikacji jak my.

– Ale teoretycznie mógłby?

– Praktycznie nie może – odparłem z nadzieją, że w moim głosie nie słychać frustracji. Ślęczałem nad tym przez ostatnie kilka miesięcy. Tyle że ponowne odkrycie zaklęć teleportacyjnych było chyba równie proste jak rozwiązanie problemu kwadratury koła. – Wielki Mag rozmawiał z Margueritte, a nie da się wziąć do pomocy tęższej głowy, i nadal nie może. Zaczniemy się martwić, jak wykopie jakieś starożytne zaklęcia.

– Na litość Wędrowca. Ja rozumiem, wolny dostęp do wiedzy, wymiana akademicka, cała Meg, ale proszę przetłumaczyć de Breville, żeby niczego więcej już go nie uczyła. – Pułkownik sięgnął do kieszeni płaszcza. – I wolałbym przed tym skrótem przestrzennym zatrzymać się na papierosa. Czy wolno tutaj palić?

– Jasne. – Skinąłem głową, zastanawiając się, ile czasu w poszczególnych komnatach będzie się utrzymywała woń tytoniu. Odpowiednie runy, starannie zaprojektowane przez samą Belinde, zapewniały ciągłą wymianę powietrza. –

Rozumiem, że wejście za Bariere może robić wrażenie. Ja się przyzwyczaiłem. Czasami ekipa spędzała tutaj całą dobę, bez snu. A wtedy trzeba było jeszcze pilnować osłon.

Archer zwinął tymczasem papierosa i zamknął go zwilżonym palcem. Zerknął na wykrywacz na nadgarstku. Tło oscyloowało wokół trzech, czterech mikromerlinów.

– Muszę chyba zacząć więcej wymagać od major Jacqueline – mruknął. – Zastanawiam się, ile razy Szalona Meg prawie pana zabiła. Ale to rozwija, jak widzę. Przede wszystkim interesuje mnie technika, jakiej użyto do osłonięcia tego tunelu przez skażeniem. Podejrzewam, że działa podobnie jak Bariera.

– Długo by wyjaśniać, panie pułkowniku. – Zastanowiłem się. – I sam przecież nie znam wszystkich szczegółów. Ale całość zapisano w dokumentacji.

– Czyli z tego, co wiem, wychodziłoby, że jest ich dwoje. – Pułkownik z wyraźną ulgą zaciągnął się dymem. – Obecna Nadworna Magini i ten, który pracował przy moście, a poprzednio pełnił funkcję Nadwornego Maga. I mają smoka. Wszelkie moce, smoka. – Pokręcił głową.

Przez chwilę w milczeniu delektował się papierosem. Bardzo się starałem nie wyglądać na nieszczęśliwego; tunel nie miał zawietrznej, a gust pułkownika grawitował w stronę szczególnie śmierdzącego gatunku tytoniu. Wśród czarodziejów akademickich, zwłaszcza tych, którzy spędzali sporo czasu przy stołach alchemicznych, spotykało się niewielu palaczy. Z nałogów preferowaliśmy mniej szkodliwą i bardziej sprzyjającą produktywności kawę.

Wtedy właśnie poczułem coś zupełnie innego, znajomego... ni to wrażenie, ni to zapach. Taki, który tylko ja potrafiłem zidentyfikować.

Zdążyłem jeszcze sięgnąć po laskę magiczną. Równocześnie zaterkotał wykrywacz skażenia, niemal przekręcając licznik. Wokół nas rozbłysła metalicznie połyskująca Bańka Kinetyczna, dyskretnie wzmocniona moją własną osłoną – stało się to w ułamku sekundy, zanim dotarł do nas amorficzny, pochłaniający światło strumień skażonej mocy.

W pierwszej chwili pomyślałem, że Most się popsuł; mój puls przyspieszył szaleńczo, niewiele brakowało, a rozwinąłbym wszystkie warstwy osłon chroniących przed Pustką, co byłoby widać nawet w obecności Bańki. Tyle że już wcześniej atakowano mnie skażoną energią i taki skoncentrowany, dochodzący z jednego kierunku strumień wyglądał niezwykle znajomo.

Z milisekundowym opóźnieniem do mojej Bańki dołączyła automagiczna osłona Archera – solidna, zapisana w mosiężnym emblemacie wpiętym w mundur. Odwróciłem się. Sprawca wciąż stał za nami. Podobnie jak bretańscy mnisi Inkwizytorzy był zakryty od stóp do głów, na tym się jednak kończyły podobieństwa. Napastnik miał na sobie srebrzysty skafander do pracy

z niebezpiecznymi substancjami – nie rozpoznałem firmy ani modelu – a na plecach niósł pojemnik z ciemnego szkła, umocowany skórzaną uprzężą. Z pojemnika wystawała rurka zakończona zaworem z *trivium* i właśnie z niej bluznęła w naszą stronę plugawa substancja. Teraz przykręcił zawór, ale nie do końca, i ostrzeliwując nas krótkimi bryznięciami, zaczął biec w stronę wyjścia.

„Nie chce nas zabić. To jest test” – przemknęło mi przez myśl. Tak jak przewidziała Amandine. Pułkownika miałem za plecami; nie mogłem ocenić, czy jest zaskoczony. Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś mógł nasłać agenta z zasobnikiem pełnym mocy Pustki na plecach.

– Uwaga na pojemnik! – krzyknąłem. – Żadnych kul ognistych!

– Thorpe! – warknął Archer. – Łap zakłęcie!

Bez wahania przyjąłem cudzą moc; rozpoznałem Szybkość Pумы. Ruszyliśmy biegiem za napastnikiem, sprawnie omijając ciemne plamy, którymi poznać drogę. Chyba coś rzucił, bo chociaż mknęliśmy jak na skrzydłach, dystans się zwiększał. Nad moją głową przefrunęło kilka zakłęb Archerów – Unieruchomienie, Większa Senność i coś jeszcze, czego nie rozpoznawałem.

Zaciskałem zęby, wysiłkiem woli powstrzymując się od przetworzenia całego skażenia, jakie miałem w zasięgu. Mimo osłon zdążyło go do nas dotrzeć całkiem sporo, detektory cykały gorączkowo. Dawka była dość silna, żeby wywołać objawy Piętna, i mój instynkt Maga Pustki naglił do działania. Musiałem ją zmniejszyć, ale nie mogłem tego zrobić natychmiast, zdradziłbym się bez żadnych wątpliwości. Niespostrzeżenie rozplatałem nici toksycznej energii, wywołując wrażenie, że rozwiewa się po trochu w miarę, jak biegniemy.

– Thorpe, nie śpij! – zawołał Archer. – Rzuć coś!

– Nie mam... – sapnąłem, skupiając się na kontroli przepływu. Widziałem tę moc. Wiedziałem, co z nią należy zrobić. Pozostawianie jej w formie nieprzetworzonej drażniło jak niewyjęta drzazga. – Nic ofensywnego...

Powietrze zadrgało. Trafiliśmy na skrót przestrzenny. W najgorszej z możliwych chwil zawiodła mnie prawa stopa i poślizgnąłem się na kałuży skażenia.

– Thorpe! – W głosie pułkownika pobrzmiwała nutka hysterii. Siedziałem na płytach, przeciwnik zniknął nam z oczu, a ja nadal przetwarzałem na niskich obrotach, zastanawiając się, dlaczego Archer tak na mnie wrzeszczy.

– Thorpe, na Pustkę! – Szarpnął mnie za but, ściągnął mi go z nogi i odrzucił kilka metrów dalej. – Przeszło przez osłony! Ma pan pojęcie, co by się stało, gdyby chociaż kropla tego świństwa dotknęła pana skóry? Cholerni cywile. – Zerknął w dal. – Czego ja się w ogóle spodziewałem po półaktywnym.

Mruknąłem coś przepaszajaco. Może podjąłem złą decyzję. Może zamiast pilnować dawek, powinienem się zdemaskować, natychmiast przetworzyć całe skażenie, rzucać zaklęcia, schwytać napastnika.

„Nie” – odpowiedziałem sam sobie.

Intruza przygotowano właśnie na taką okazję. Dostatecznie dobrze, żeby zwiął przed oficerem wywiadu w stopniu pułkownika i jego magią, zakładając, że to nie Archer go wysłał. Wymykał się nam, zanim się jeszcze potknąłem. Opracowano jego interwencję tak, aby sprowokował mnie do reakcji – jeśli byłem do niej zdolny. I zareagowałbym odruchowo, gdyby Amandine mnie nie ostrzegła.

Ale jeszcze się nie odprężyłem. Jeszcze mogłem oblać ten test.

– Zabierajmy się stąd – mruknął pułkownik. – Przekroczyliśmy normy. Co to w ogóle, do jasnej cholery, było?

– Sam chciał... bym wiedzieć. – Zdjąłem płaszcz i rzuciłem go za siebie, w ślad za butem. – Zostawmy odzież wierzchnią. Może nie... jest tak źle. Może nie zauważy... liśmy kropli albo dwóch.

Skinął głową i poszedł w moje ślady. Znów ukradkiem przetworzyłem nieco energii, cykanie detektorów stało się mniej naglące. Pułkownik ściągnął usta; zapewne liczył dawki w myślach. Po chwili odetchnął z ulgą.

– Powinniśmy mieć na składzie eliksiry oczyszczające – stwierdził. – Czeką nas kilka dni leżakowania w infirmerii. Właściwie powinienem tam przenieść sztab, tej sprawy nie wolno tak zostawić. Może pan iść?

– Dam... radę.

\* \* \*

Większą część drogi powrotnej przebyliśmy w milczeniu. Sprawa była poważna. Pracę ze skażoną mocą traktuje się niezwykle restrykcyjnie, istnieją może dwa czy trzy laboratoria w całym Avalonie, które mają na nią rządowe pozwolenie, a ich położenie pozostaje utajnione. Trzeba to robić, żeby udoskonalać metody chronienia się przed Pustką, rekonstruować naruszoną Bariere, zamykać rozpadliny i tak dalej,

ale nikomu się to nie podoba. Drobne wypadki ze skażeniem zdarzają się na uczelniach regularnie, zwykła energia magiczna łatwo się degeneruje, jeśli człowiek się z nią nieprawidłowo obchodzi. Na przykład Kathryn wytworzyła skażę podczas egzaminu, wyprowadzona z równowagi przez jedną z egzaminatorek, hrabinę d'Opal. I chociaż poziom promieniowania nie mógł być wysoki, podobne incydenty natychmiast stawiają na nogi lokalną ekipę dekontaminacyjną.

Otwarte korzystanie ze skażonej energii w pobliżu siedlisk ludzkich i używanie jej dla własnych korzyści jest jednym z najsurowiej karanych przestępstw w kodeksie, zaraz po morderstwie z premedytacją.

A ktoś tego człowieka wyposażył. Ktoś go tutaj wpuścił. Gdzieś w pobliżu przechowywano specjalistyczny sprzęt ochronny i spory zapas koncentratu Pustki w płynie, w ilości zdolnej wytruć pół miasteczka. „Będę to musiał znaleźć i przetworzyć” – uświadomiłem sobie. Słabo znałem magię dywinacyjną; to są wszystko specjalistyczne zaklęcia, mało kto się ich uczy. Ale na miejscu stacjonuje cała jednostka magów wojskowych... A może byli zamieszani w sprawę? Jakim cudem udało mu się przejść przez bramę?

Przypomniałem sobie, że Archer kazał zostawić obydwa wejścia otwarte, i zerknąłem na niego podejrzliwie. Szedł lekko przygarbiony, z rękami splecionymi na torsie, pogrążony w myślach. Wokół niego unosiły się łagodne prądy magii. Skanował otoczenie, na wypadek gdyby napastnik ukrywał się gdzieś na Moście.

Jeżeli gniołło go poczucie winy za chwilę słabości albo miał jakieś podejrzenia, nie uznał za stosowne się nimi dzielić.

– Potrzebuje pan treningu – rzekł wreszcie. – Ma pan refleks i przygotowanie teoretyczne, ale nie wykorzystuje pan nawet dziesiątej części możliwości Zagłady. Wyszkolony użytkownik powinien w walce dotrzymywać pola magom. Przepraszam, że spytam, ale pański kłopot to uraz mięśni? Pozostałości Piętna? Problemy neurologiczne? Mamy w armii specjalistów.

– Uszkodzenie... mózgu – odparłem. – Stare. Miałem... szukać medyka, ale dwa mie... siące w tę czy w tę nie zrobią już róż... nicy.

– Dam panu kontakt do najlepszej diagnostki w Avalonie. Zajmuje się między innymi dywinacją obrazu mózgu. Jest Entropistką, potrafi szczegółowo przewidzieć proces degeneracji lub zdrowienia, co pozwala na bardzo precyzyjne interwencje. –



Archer westchnął ciężko. – Miała tutaj z nami być, ale w ostatniej chwili zrezygnowała.

Zwinął kolejnego papierosa. Chwilę później puszczał kłęby dymu z ponurym zapamiętaniem. Ja natomiast wyteżałem zmysł Maga Pustki, żeby wytropić ślady uciekiniera. Może dlatego, gdy wreszcie otworzyło się przed nami niebo i zaczęliśmy schodzić z powrotem w stronę bramy, pierwszy dostrzegłem zamieszanie. Przy wrotach stało kilku wyraźnie wzburzonych żołnierzy; gestykulowali żywo, sprzecząc się ze starszym mężczyzną w eleganckim wełnianym płaszczu.

Przez krótką chwilę myślałem, że złapali naszego napastnika, po czym uświadomiłem sobie niedorzeczność mojego wniosku. Zaraz się zresztą zorientowałem, że skądś już znam tego dżentelmena. Przybył ze mną do bazy dyliżansem.

A później lekko wstrząśnięty zrozumiałem, że nas widzi. Co więcej, że wszyscy nas widzą.

Cztery srebrzyste maszty przy bramie były nieczynne; nie czułem od nich żadnej magii. Iluzja niewidzialności przestała działać.

Popatrzyliśmy po sobie z Archerem. Szybko schowałem laskę magiczną do futerału i przyspieszyliśmy kroku. Mężczyzna w wełnianym płaszczu uniósł przenośną kulę magiczną. Nagrywał nas, skubaniec.

– Zamorduję – warknął pułkownik.

– Wie pan, kto to jest?

– Oczywiście. Simon Renoir de Pointeferre de Branche de Lazurite, redaktor naczelny „Magazynu Arboriańskiego Towarzystwa Geograficznego”. Reporter. Ci idioci wpuścili tutaj dziennikarza.

\* \* \*

Postawiliśmy nogi na pewnym gruncie. Pułkownik ruszył przed siebie jak taran, ja zostałem z tyłu. Rozglądałem się wkoło, wciąż usiłując namierzyć uciekiniera; ostentacyjnie wystawiałem nadgarstek z detektorem skażenia, a w rzeczywistości węszyłem za Pustką. Ślady energii nadal wisiały w powietrzu, ale zagłuszało ją skażenie, które przynieśliśmy ze sobą (nadal starałem się nie przetwarzać resztek – przychodziło mi to znacznie łatwiej, odkąd dawka nie osiągała szkodliwego

poziomu). Wychodziło mi, że jedyna droga ucieczki prowadziła poza krawędź starożytnego mostu, prosto nad kanionem. Musiały latać, ale to przecież nie było nic szczególnie trudnego dla wprawnego czarodzieja. Pytanie, dlaczego nie wykryły go systemy ostrzegawcze. Na pewno jakieś tutaj mieli.

Archer rzucił tylko okiem w moją stronę, przyjmując do wiadomości, że zbieram tropy, i zostawił mi tę robotę. Wszedł w grupę czterech żołnierzy otaczających redaktora de Pointeferre'a. Starszy dziennikarz trzymał przed sobą kulę jak broń; żaden z wojskowych nie śmiał go choćby złapać za rękę. Oskarżyłyby ich o naruszenie nietykalności cielesnej, napaść na przedstawiciela wolnej prasy, cokolwiek. Reporterzy, gatunek, który wyewoluował w warunkach swobód cywilizacyjnych, umieli korzystać ze wszystkich przewag, jakie zapewniało im środowisko naturalne.

James Archer wyglądał, jakby miał zaraz zacząć wydzielać dym przez pory skóry.

– Panie de Pointeferre, to strefa zastrzeżona. Jeżeli pan się stąd natychmiast nie zabierze, dostarczę pańską dupę na złotej tacy avalońskim śledczym za naruszenie tajemnicy wojskowej.

De Pointeferre wyciągnął kulę magiczną w jego stronę.

– Proszę głośniej, pułkowniku Archer. Kula, którą pan widzi, najcudowniejszy sprzęt magiczny szóstej generacji, właśnie przekazuje pańskie słowa mojej sekretarce w Avalonie. Natalie, jak każda wrażliwa młoda dama, może poczuć się wstrząśnięta pańskimi obcesowymi wyrażeniami, ale wśród szerszej publiczności na pewno wzbudzą one aplauz.

– Panie redaktorze – wydusił Archer przez zęby – bardzo mi przykro, ale dla własnego dobra powinien pan wstrzymać tę publikację. Jednostka, w której pan się znajduje, nie powstała, aby zapewniać rozrywkę szerszej publiczności.

– Moi czytelnicy nie szukają prostej rozrywki, pułkowniku! – zawołał redaktor. – Piszemy dla intelektualnej elity kraju, *crème de la crème* narodu arboriańskiego. Na moich barkach spoczywa ciężar dostarczania regularnych sprawozdań o postępach nauki i techniki oraz przełomowych wydarzeniach w kraju i na świecie. Przybyłem tutaj, aby udokumentować najnowsze osiągnięcie automagii, niesamowity i zapierający dech w piersiach statek latający. – De Pointeferre szerokim gestem wskazał statek w oddali. – Proszę sobie wyobrazić moje

zdumienie, gdy ni stąd, ni zowąd ujrzałem most sięgający ku niebu, ciągnący się aż do Bariery! Chciałbym przekazać naszym czytelnikom, czy pewne pogłoski zasłyszane przy kielichu, jakoby odkryto drogę do Utraconej Bretanii, były prawdą.

Skończyłem badać skażenie okolicy i cofnąłem się znad bariery mostu. No tak. Burmistrz Hardy nie wytrzymał presji. Swoją drogą ciekawiło mnie, ile procent miała presja.

– Redaktorze de Pointeferre. – Pułkownik powoli się uspokajał. – Rozumiem, że wiedza musi być wolna, ale chciałbym też zaapelować do pańskiej odpowiedzialności za słowo. Utracona Bretania? Jak w powieściłach madame Chateaubriand? Rzeczywiście, brzmi jak plotka usłyszana w barze. Musi pan przecież zdawać sobie sprawę z tego, że przy Barierze prowadzone są czasem badania naukowe i większość z nich nie trafia do publicznej wiadomości również dlatego, że zanudziłyby czytelników. Poza tym właśnie mieliśmy tutaj do czynienia z pewnym incydentem i dopóki go nie wyjaśnimy, pańskie działania krzyżują nam szyki.

– Ależ, panie Archer... – Redaktor uśmiechnął się przewrotnie. – Może pan próbować mydlić oczy, ale nawet pan nie zatrzyma drogi prawdzie.

– Raczej plotkom starych bab. – Pułkownik rzucił niedopałek papierosa i zgniótł go obcasem. – Prowadzę pewne śledztwo. Zgodnie z prawidłami sztuki powinienem zatrzymać pana w areszcie do czasu wyjaśnienia sprawy i zarekwirować pańską kulę. Ale postanowiłem być życzliwy i udzielić panu wywiadu, żeby wyjaśnić nieporozumienia. Opowiedzieć o statku latającym... Jeśli nadal zamierza pan rozpowszechniać nieprawdę, pójdę do konkurencji. Ośmieszysz się pan.

Dokuśtykałem do pułkownika.

– Sir – powiedziałem, starając się robić wrażenie fachowca, mówić rzeczowo i bez zająknięcia. – Jesteśmy nadal zbyt mocno skażeni, żebym wywnioskował coś konkretnego.

Redaktor cofnął się parę kroków.

– Oznakowałbym strefę wysokiej kon... taminacji – dodałem. – Duszosmk jednak trochę... zamieszal.

– Przynajmniej Bariera pozostała nienaruszona. – Archer wszedł w grę. – Ile czasu mamy, zanim się wystrzela? Jeszcze tydzień? Dwa?

– Dwa, żeby weszła... ekipa dekontaminacyjna – westchnąłem. – Chodźmy do infirmerii. Redaktorze, pan też.

– Co?! To oczywista opresja...

Z kamienną twarzą podstawiłem mu wykrywacz pod nos, a później powoli obniżyłem w stronę butów. Cykał na jakieś piętnaście, dwadzieścia mikromerlinów, niewiele powyżej tła, i większość z tego emitowałem sam. Nie sądziłem, żeby de Pointeferre natknął się na skażenie w tej odległości od bramy. Ale liczyłem na to, że starszy dżentelmen, jak większość obywateli Arborii, nie ma większego pojęcia o działaniu liczników i dokładnie żadnego o normach poziomu promieniowania. Tak, prowadził najlepsze czasopismo popularnomagiczne w kraju, ale wiedziałem dość dużo o redaktorach naczelnych i ich braku szacunku dla materiałów źródłowych, żeby się tym nie przejmować.

– No nie wiem. – Sceptycznie pokręciłem głową. – Oj, nie wiem.

\* \* \*

Ponieważ musiałem grać swoją rolę konsekwentnie do końca, nie dało się uniknąć zamknięcia w izolatce. Leżałem na żelaznym łóżku wyłożonym twardym materacem i czekałem, aż minie dość czasu od zażycia eliksiru przeciwskażeniowego, aby móc wreszcie przetworzyć całą toksyczną magię. Zawartości nocnika, za przeproszeniem, nie badano za pomocą liczników; od razu trafiała do wspólnej puli niebezpiecznych odpadów.

Ludzie nieutalentowani magicznie i czarodzieje, którzy jeszcze nie przeszli transformacji, źle znosili oczyszczanie za pomocą eliksirów. Poddawałem się tej procedurze kilka razy w życiu i potrafiłem dość wiernie naśladować symptomy. Przy dawce, jakiej musiałem się pozbyć, wystarczyło parokrotnie zwymiotować. Wiedziałem, że mnie to wyczerpie. Od czasu choroby trochę przybrałem na wadze, ale słabo przyswajałem pożywienie i zbyt intensywnie pracowałem w Bretanii, żeby w pełni odzyskać formę; brakowało mi mniej więcej dziesięciu kilogramów, żeby wyglądać i czuć się w miarę dobrze. A tego dnia jeszcze nie jadłem obiadu.

Szpitalne okno zasłaniały muślinowe firany; pościel była pożółkła, lecz świeża i starannie wykrochmalona. Poprosiłem o kulę, żeby skontaktować się z Amandine, ale mi zabroniono. Moje przedmioty osobiste, włącznie z laską magiczną, od razu poszły do dekontaminacji. Bałem się, że Zagłada zaginie – w bazie nadal mógł się

czaić nasz wróg – ale Archer zapewnił mnie, że podjął wszelkie możliwe środki ostrożności.

Jemu oczywiście nie zakazano się z nikim komunikować. Dla pułkownika można było dekontaminować kulę magiczną nawet co godzinę. Zastanawiałem się, co planuje; pewnie krążył po izolatce, otaczając się kłębamii dymu jak ludzka fabryka i wydawał ludziom rozkazy przez drzwi. Nieuchronnie musiało dojść do konfliktu z Blackthornem. Podpułkownik nie wyglądał mi na kogoś, kto dobrze zniesie sugestię – choćby i zawołowaną – że w szeregach jego ludzi być może schronił się zdrajca.

Zastanawiałem się, czy powstrzymaliśmy redaktora. Raczej tylko go opóźniliśmy i rozbudziliśmy jego ciekawość. Elixir mu nie zaszkodzi; nie miał czego się pozbywać z organizmu. Relacja o nowo wybudowanym Moście do Utraconej Bretanii czekała jedynie na odpowiednią chwilę, przygotowana i przesłana przez kulę magiczną sekretarce. Jeśli cokolwiek potwierdzi podejrzenia de Pointeferre'a, numer specjalny „Magazynu” wyskoczy jak diabeł z pudełka, byle zdążyć przed konkurencją.

Ciekawe czasy zbliżały się szybciej, niżbym chciał.

Rozległo się pukanie do drzwi, a później skrzypienie. Do izolatki weszła major Jacqueline, niosąc ciemnoczerwone ceramiczne pudełko. Usiadłem na łóżku i powitałem ją skinieniem głowy.

– Pułkownik pozdrawia i przekazuje życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. –

Położyła pudełko na stoliku obok łóżka. – Mówi... przepraszam, ja tylko powtarzam jego słowa... żeby pan się posilił, jak pan tylko przestanie rzygać.

Wstyd się przyznać, ale wyszedłem z roli. Przysunąłem sobie pudełko, łakomie podniosłem wieczko i wciągnąłem zapach doloriańskiej wołowiny w słodkim sosie, z groszkiem, papryką i smażonym ryżem. Jacqueline prawie się roześmiała.

– Widzę, że eliksir bardzo panu nie zaszkodził.

– Trochę... mnie kręci... w żołądku – powiedziałem. – Ale widzi pani... jestem zawsze głodny.

– Ależ, panie Thorpe, proszę tylko nie zmarnować tego posiłku.

– Niech się pani... nie... obawia. – Zacząłem dłużyć w potrawie widelcem z nadzieją, że zabieram się do jedzenia dostatecznie powoli, żeby realistycznie

odgrywać chorego z problemami żołądkowymi. – Skoro już... pułkownik spełnia moje... życzenia, może poroz... mawiam z moją narzeczoną?

– Powiadomiliśmy już Arcymaga Weylanda, że powinien przyjechać i wziąć ze sobą panią Cerise. Um... panie Thorpe. Mogę o coś zapytać?

– Proszę.

– Mam do pana pytanie w sprawach zawodowych. – Major odetchnęła nieco nerwowo. – Tylko proszę, żeby to nie wyszło poza ściany tej izolatki.

Uniosłem brwi.

– Jasne.

– Pracował pan dla lady de Breville, podobnie jak ja pracuję dla pułkownika. – Spuściła wzrok. – Od mniej więcej dziesięciu lat. To trudny człowiek, panie Thorpe. On wierzy... on naprawdę wierzy w swoją szczerą dobroć i uczciwość. Ale... łatwo traci opanowanie. Chodzi o drobiazgi, panie Thorpe. Temperatura wody do golenia. Odpowiednio zaparzona herbata. I jest pamiętliwy. Mściwy.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem. Woda do golenia? Jacqueline była wojskowym w stopniu majora. Półaktywnym magiem, a nie pokojówką. Herbata? Zajmowałem się przy Meg takimi rzeczami tylko dlatego, że lubiłem porządek i wygodę, a ona miała tendencje do zaniedbywania siebie.

– Słyszałam, że lady de Breville... też była trudną szefową. Że pan się przy niej prawie zaharował na śmierć. Może ma pan dla mnie jakieś rady. Sposób, żeby poprawić sytuację albo... rozwiązać ją tak, aby nie chciał się mścić. – Wstrzymała oddech. – No wie pan, rozmawiać z ludźmi po moim odejściu.

– A zrobił na mnie... wrażenie... normalnego.

– Bo czegoś od pana chce. Bo wyłazi ze skóry, żeby pana zwerbować. Z powodu pańskich kontaktów stał się pan kluczowym zasobem strategicznym, a Archer to dobry strateg.

Dlaczego właściwie Jacqueline mi się zwierzała? Z pewnością czuła się odizolowana. Ludzie w takiej sytuacji podejmują czasem desperackie kroki, ale ona w ogóle mnie nie знаła, nie wiedziała, czy byłem godny zaufania. To jej mogło przecież potencjalnie zaszkodzić. Oczywiście nie wykluczałem, że w grubych naręczach dokumentów, jakie sortowała dla Archera, znalazł się mój pełen profil psychologiczny.

– De Breville... naprawdę jest uczciwa – odpowiedziałem. – Współpracowaliśmy... zgodnie. Dwójka pracoholików. W pani sytuacji... poszukałbym... dobrych sojuszników, żeby wstawili się na wypa... dek odejścia. Stali za pani... plecami i nie dali zniszczyć reputacji. Nie naprawi pani człowieka. Jest, jaki jest. Ale inni... też mogą go znać. To podejrzane, jeśli wyższy stopniem zbyt chętnie roz... puszcza plotki o pracowniku.

– Ale de Breville przyczyniła się do połączenia Bretanii z Arborią – wypaliła major. – I do powrotu Magów Pustki. Mówił pan, że lady Chamomille brała kluczowy udział w budowie mostu...

– Tak...? – Nie byłem pewien, co ma znaczyć ta nagła zmiana tematu.

– Czytałam pewne manuskrypty, zanim spotkaliśmy się z panem. Wie pan, że zamiast opóźnić Rozdarcie, pana szefowa i jej przyjaciółka mogły jeszcze je przyspieszyć?

Odłożyłem widelec.

– Skąd... ma pani... takie informacje?

– Wywiad i Gildia grają w kotka i myszkę, nie tylko w tej jednej sprawie. – Jacqueline zacisnęła usta. – Gildia prowadzi swoje badania, Biuro swoje. Niektóre obszary się nie pokrywają. Powszechnie się podejrzewa, że w obrębie Gildii znajduje się wewnętrzny krąg, który zajmuje się zastrzeżoną wiedzą. Chodzimy jak ślepi we mgle. Wszyscy na tym tracą. I chcę wierzyć, skoro lady de Breville jest według pana uczciwym człowiekiem, że działała w dobrych intencjach, ale opierała się na niewystarczających danych.

– Czy mogłaby... mi pani przekazać... skopiować choćby część... – zacząłem.

– Proszę zjeść do końca – zniżyła głos. – I zajrzeć pod denko pudełka. Proszę, błagam, niech pan tego nie pokazuje Weylandowi. W jego uczciwość trudno mi uwierzyć. Wiem, widzę, jak pan na mnie patrzy; nie mam najlepszych doświadczeń z wysoko postawionymi czarodziejami. Proszę szczerze powiedzieć: czy na pewno o wszystkim zawsze panu mówili?

Zakrztusiłem się ziarenkiem ryżu i przez chwilę usiłowałem je odkaslnąć. Jacqueline sprawdziła, czy się nie duszę, a potem poczekała, aż odzyskałem oddech.

– Niech pan to przeczyta. I niech pan zrozumie, że sama obecność Magów Pustki, sam fakt, że żyją, przetwarzają moc i mają teraz dostęp do siatki geomagicznej Arborii, może doprowadzić do ponownego rozpadu świata.

Na gałęzi bezlistnej gruszy uległki, obsypanej małymi zbrązowiałymi owocami, siedział szpak i czyścił się pod skrzydłem. Amandine Cerise trzymała kawałek węgla drzewnego na wysokości oczu, starając się ocenić perspektywę.

Nie chciało jej się wychodzić z domu i szukać lepszego krajobrazu. Sfatygowane deski skrzypiały pod jej stopami, kiedy przenosiła ciężar ciała z nogi na nogę, usiłując przyjąć wygodną pozycję przy sztalugach wciśniętych w kąt werandy. Na ramiona zarzuciła gruby pled. Z wdzięcznością przyjęła propozycję gospodyni, aby napalić w kominku; będzie jak znalazł, gdy zmarznie i postanowi skryć się w chałupie. Mgła podnosiła się znów z oszronionej trawy, zwiastując odwilż.

Oddając Vincentowi laskę magiczną, nie sądziła, że bez niej będzie się czuła tak nieswojo. Nie używała jej od dłuższego czasu, a mimo to przywykła do tej ciągłej, milczącej obecności. Próbowała się skupić na pracy dla Gildii Bretanii, ale wreszcie nie wytrzymała, rzuciła papiery w kąt i poszła niszczyć świeże płótno. Uważała, że po długiej przerwie i tak skończy się na koślawych bohomazach. Ale kiedyś szkicowanie ją odprężyło. „Przecież się nie objam – powiedziała do siebie – w gruncie rzeczy to też jest moja praca”.

– Witam, panno Cerise – usłyszała znajomy głos dobiegający od strony schodów.  
– Cieszę się, że widzę panią w dobrym zdrowiu.

Amandine odłożyła węgiel na stolik, obok garści miękkich ołówków i nieco zużytej gumki chlebowej. Andreas Weyland wszedł po stopniach, wprawiając w drżenie całą werandę.

– Nie mam jej – odezwała się Amandine, zgadując, że w nieobecności jej narzeczonego Arcymag mógł się tutaj zjawić tylko w jednym celu. – Pożyczyłam Vincentowi.

Weyland pytająco uniósł brwi.

– No, niech pan nie udaje – westchnęła. – I tak długo ją pan ze mną zostawił. Pomyśleć, że nie znosiłam czarodziejów, a teraz administruję całą ich gildią, w najbliższym czasie wychodzę za jednego z nich i sama posługuję się magią. Pewnie chciałby pan wiedzieć, że laska magiczna potrafi już się ładować bez cudzej pomocy. Kradnie nadwyżki energetyczne czarodziejów podczas ich snu. Vince nawet tego nie zauważa. Ma tak silne Źródło, że w ciągu nocy wszystko odrabia. To może mieć znaczenie, gdybyście chcieli wyprodukować ich więcej.



– Doceniam pani uwagę – odparł Arcymag.

– Ma jeszcze jakieś... skutki uboczne? Czy może na przykład opóźnia proces starzenia? – Amandine sięgnęła po przybory i udała, że znowu skupia się na szkicu, ale węgiel zadrżał w jej dłoni.

– Niestety, nie.

– Cóż, warto było spytać. – Odwróciła się. – Bądźmy szczerzy. Szczerości to dobry początek. Prawdę mówiąc, wcale nie zamierzam jej oddać.

– Spodziewałem się tego.

– Ale nie chcę też jej ukraść – dodała Amandine. – Porozmawiajmy w imieniu Triumwiratu Królestwa Bretanii.

Weyland splótł dłonie i uniośł kąciki ust w mieszaninie rozbawienia i zakłopotania. Nie traktował jej poważnie. Przyszedł, żeby ostatecznie zamknąć rozdział jej krótkiej przygody w obcym świecie. Może z perspektywy długowiecznego czarodzieja nie rozumiał, jakie zmiany mogą nastąpić w życiu człowieka podczas zaledwie kilku miesięcy. Na pewno wiedział, jaką funkcję pełniła Amandine podczas wojny w Bretanii, ale artystka nie sądziła, żeby suche, konkretne raporty Margueritte oddawały istotę sprawy.

Kiedyś, dawno temu, panna Cerise bała się czarodziejów. Teraz rozumiała, że mimo wielowiekowego doświadczenia, wiedzy i mocy pozostawali tylko ludźmi.

Niespiesznie odłożyła węgiel, wytarła palce w chusteczkę, rozsiadła się wygodnie na ławie i gestem zaprosiła Arcymaga.

– Proszę – powiedziała. – Nie będziemy dyskutować na stojąco.

– No dobrze – westchnął Weyland. – I co takiego mogłaby mi pani zaproponować za reglamentowany prototypowy artefakt, stworzony na potrzeby wojska i niedopuszczony do produkcji z powodu silnych zastrzeżeń ze strony władz?

Amandine oparła łokcie na stole.

– Do rozmów o artefakcie przejdziemy później. Na początek chciałabym zapytać, czy nie mógłby pan polecić kilku sprawnych techników magii. Oraz paru adeptów ze świeżym dyplomem, którzy pragnęliby odbyć staż, żeby załapać się na etat w stolicy. Utracona Bretania będzie dobrze wyglądała w życiorysie. Zatrudniamy. Płacimy prawdziwym złotem. Pewnie umieści pan wśród nich swoich szpiegów, ale co mi tam. Meg się sprawdziła.

– Panno Cerise... – Arcymag się roześmiał.

Amandine machnęła dłonią.

– Rozmawia pan właśnie z ministrem obcego rządu. Proszę o odrobinę powagi. Naprawdę sądzi pan, że moje stanowisko jest malowane? A może uważa pan, że Vince, konstruując Most i biegając z miejsca na miejsce, żeby oczyszczać skażenie wszędzie, gdzie go zaciągnie regentka von Feuerstein, jakimś cudem znalazł jeszcze pięć minut na zorganizowanie Gildii?

Jowialny uśmiech zniknął z twarzy Arcymaga. Aż się wzdrygnęła, jakby zrzucił maskę; nagle zwróciła uwagę na jego blizny i złamany nos. Przypomniała sobie, że Weyland ma ponad trzysta lat.

– Ilu ludzi ma pani w swojej Gildii? – spytał spokojnie. – Dwudziestu, trzydziestu? Mniej więcej tyłu, ilu zatrudnia morski instytut w Brightwater albo inna nieduża jednostka. Ilu zostało czarodziejów w Bretanii? Zresztą i wcześniej musiało ich być kilkakrotnie mniej niż w Arborii ze względu na populację. Dopóki Liliana nie dorośnie albo nie znajdziecie innego sposobu na aktywację Źródeł, rzeczywiście musicie werbować Arboriańczyków.

Amandine wstrzymała oddech z oburzenia. Czy Arcymag jej grozi?

– Chcę, żebyście się rozwijali – dodał. – Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ktoś skorzystał z chwilowej słabości kraju po Drugiej Stronie. Konflikty zbrojne nie służą stabilności siatki geomagicznej i nie mogą pozwolić, żeby jedyny Mag Pustki na obydwu kontynentach znowu uciekł mi do Bretanii. Ale nie będę pani poważał bardziej niż dyrektora jednego z prowincjonalnych zagranicznych instytutów. Zatem słucham. Co Nowy Triumwirat może zaproponować arboriańskiej Gildii Magów?

Zamknęła oczy. Margueritte, która spędzała czas głównie na rekonwalescencji, pomogła jej z papierami. Ten pomysł miał ręce i nogi. Musiało zadziałać.

– Chciałabym, abyśmy ustanowili międzynarodowy projekt badawczy – powiedziała – w celu eksploracji zabytków pozostałych po Cesarstwie Triumwiratu, a znajdujących się na terenie Bretanii. Jeżeli pan pozwoli, pójde po teczkę. Pokażę, czego potrzebujemy i co może pana zainteresować. Proponuję wspólne finansowanie, ale chcę, żeby ekipy zobowiązały się do pracy pod nadzorem Gildii Bretanii. Oraz okazjonalnej pomocy mieszkańcom, oczywiście w ściśle wytyczonym zakresie.

Z satysfakcją patrzyła, jak zaskoczony Weyland poprawia okulary. Jego twarz ponownie rozjaśniła się szerokim, szczerym uśmiechem.

– Chyba tego jeszcze pani nie mówiłem, ale jest pani najlepszą niespodzianką, jaka przydarzyła się w ostatnim czasie obydwu kontynentom.

Pokręciła głową z rozbawieniem. Komplementy, stara broń dyplomatów. Arcymag kontynuował.

– Ale przyszedłem tutaj nie tylko po to, aby zapytać, jak radzi sobie pani z Zagładą Gwiazd... Zna pani tę nazwę?

– Od Lucjusza.

– No tak. Potrzebuję z pani strony koleżeńskiej pomocy. – W oczach Arcymaga zamigotał złośliwy ognek.

– Proszę sobie darować.

– Potrzebuję skorzystać z kuli magicznej, a moja się zepsuła. Publiczna kula w budynku poczty nie budzi szczególnego zaufania. Wiem, że ma pani jedną na składzie.

– Panie Arcymagu... – zaczęła Amandine groźnym tonem – to już przestaje mnie bawić.

– Ależ naprawdę nie zamierzam grzebać w żadnych zapiskach. – Weyland wyjął rękę z rękawa płaszczka i przetaił okulary pomarańczowożółtą doloriańską koszulą. –

Nieważne, czy trzymacie tam ściśle tajne dywinacje Gildii, czy przepisy na placki po bretańsku. Muszę pilnie porozmawiać z Meg. Nie przejmę się, jeśli będzie mi pani patrzeć przez ramię.

\* \* \*

W kominku trzaskały bierwiona. Wokół unosiły się zapach świeżo pokostowanego drewna i woń rosołu docierająca z kuchni. Usiedli przy stole przykrytym lnianym obrusem w ludowe wzorki; Weyland zdjął poduszkę z krzesła i podłożył ją sobie pod plecy. Oglądali przedstawione przez Amandine dokumenty. Próbowali od pół godziny złapać kontakt z Margueritte, ale czarodziejki widocznie nie było w okolicy.

Wreszcie kula zareagowała. Andreas Weyland zrobił jakiś gest; Amandine zrozumiała, że rzucił zaklęcie. Lekko zmarszczyła brwi, nie podobało jej się czarowanie w jej obecności bez żadnych wyjaśnień.

Pod szkłem zawirowało mgliste światło i powietrze wypełnił metalicznie brzmiały, jakby mechaniczny głos.

– *Vince? I co, udało się? Przyszło mi do głowy jeszcze parę pomysłów, jak sobie z tym poradzić.*

– Margueritte? – Weyland unióśł brwi z niedowierzaniem. – Nie rozmawiasz z Vincentem, tylko ze mną.

– *A co, masz pluskwę w kuli?*

– Nie na sto procent, ale wolę dmuchać na zimne.

Amandine zachnęła się, spoglądając w stronę Arcymaga. Mógł jej powiedzieć, przecież i tak nie wierzyła, że jego kula mogła się zepsuć.

– Syntetyzujesz głos?

– *Muszę* – odparła Margueritte. – *Nie mogę przecież nawiązać z tobą połączenia telepatycznego. Szkoda, że wcześniej nie znalazł tego zakłącicia, przydałoby się Vincentowi. Chociaż może lepiej niech ćwicz...*

– Meg. Nie mamy też obrazu.

– *Naturalnie, przecież go wyłączyłam.* – Z drugiej strony rozległ się zduszony kaszel, który mógł być śmiechem. – *Jestem nieuczesana. Nie mam ochoty pokazywać się ludziom.*

– Rozumiem, ale jeśli cię nie widzę i słyszę tylko iluzję, mam prawo wątpić, czy rozmawiam właśnie z tobą.

Kula rozjaśniła się lekko, obraz stopniowo się wyostrzył. Amandine i Weyland patrzyli teraz na chudą dłoń. Ciemne żyłki prześwitywały przez bladą skórę. Dłoń uniosła się i chwyciła kulę; przez moment obydwójce oglądali linie papilarne. Na koniec obraz skupił się na małym czarnym, puchatym zwierzęciu. Śliwka leżała na zmiętym zielonym szalu, tak zrelaksowana, jak tylko mogła być w obecności domownika, i myślała sobie łapę. Ujrzawszy Weylanda w kuli magicznej, miauknęła leniwie.

– Margueritte...

– *Chciałeś dowód, masz dowód. Żadne wrzące siły nie zmuszą jej do posłuszeństwa.*

– Skontaktował się ze mną Archer – zaczął Weyland. – Mówi, że był incydent na Moście. Kod czerwony albo czarny, nie potrafi albo nie chce mi tego powiedzieć.

Śliwka ponownie miauknęła.

– ...Ale Vincent wyszedł z tego czysty?

– Zbyt dobrze znam Archera. Przede mną nie potrafiłby ukryć, że wie.

– Brama...?

– Jest. Ale już jej nie maskuje żadna iluzja.

– Cholera. Belle pewnie rozmawia teraz z Gwen. Nie mogę nawiązać z nią kontaktu. Ostrzegę Kathryn, o to się nie martw. Kogoś podejrzewasz?

– W tym sęk, baza stoi tam już od dwóch miesięcy. Każdy, kto do tej pory chciał się dowiedzieć, co się dzieje, i miał dostęp do odpowiednich władz, mógł to zrobić. Dotrzemy na miejsce i zorientuję się, co się tam naprawdę stało. Mam do ciebie ogromną prośbę. Margueritte, czy mogłabyś sprawdzić, co porabia Iglica?

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Potraciłam kontakty – odezwała się wreszcie Meg. – Weylandzie, to było ponad sto pięćdziesiąt lat temu. Oczywiście minęło dość czasu, żeby się poskładali, ale... Za kilka dni ruszę się z domu i spróbuję coś znaleźć. Skąd podejrzenia? Jak sam powiedziałeś, to mógł być ktokolwiek.

– Znajdują się w puli kogokolwiek. Ja zbadam inne wątki.

– Dobrze. W takim razie powtórz Vincentowi... albo Amandine... Czy mogłabyś to dobrze zapamiętać? Że powinien zawiesić brakującą jednostkę na poczwórnym Sevri i podzielić kwanty równo między egzotyczne i pachnące. Wiem, od tego mózg wychodzi uszami, ale jeśli zafiksuje miejsce docelowe, tak jak rozmawialiśmy wcześniej, to się może udać.

Wyłączyła się.

Amandine, która przez cały czas uważnie słuchała rozmowy, odezwała się cicho:

– Co jej się stało? Dlaczego nie mówi własnym głosem? Pogorszyło jej się...?

– Nie mam pojęcia. – Weyland zmarszczył brwi. – Jeszcze przedwczoraj rozmawiała ze mną normalnie. Może znowu przechodziła jakąś operację.

– A co to znaczy, bo mnie to niezwykle interesuje, że był incydent na Moście?

– To znaczy, że jedziemy razem do bazy. – Weyland wstał, szurając krzesłem. – A potem wracamy do Avalonu tak prędko, jak prędko się da oderwać od ziemi ten cholerny balon.

Kathryn i Artois

Avalon, tego samego dnia rano

Zadne opowieści o Avalonie ani ilustracje i książki pokazywane przez Belinde nie przygotowały dowódcy bretańskiej gwardii królewskiej, kapitana Artois de Narbonne de Branche d'Ambre, na widok dwóch dżentelmenów i jednej damy, przemierzających wiejską drogę na wysokim, wąskim kole zaopatrzonym w siodełko. Zamrugał, przekonany, że śni i wyobraźnia płata mu figle, ale dziwny widok wcale się nie rozwiewał. Skorzystał więc z okazji, że dyliżans jedzie dostatecznie wolno, aby przyjrzeć się osobliwej scenie, i studiował ją z pełnym zaangażowaniem. Po chwili mechanizmy zaczęły skrecać i dostrzegł, że koła są dwa. Jedno malutkie z tyłu najwidoczniej podpierało całą konstrukcję. Wyglądało na to, że znów nauczył się czegoś nowego o Arborii.

– Kathryn. – Odwrócił się do królowej. Nadal drżało mu serce, gdy zwracał się do niej po imieniu. To było równie piękne jak niewłaściwe. – Powiedz mi, czy ci ludzie występują w cyrku?

– A, nie – odparła Kat. Rozłożyła książkę na kolanach i chociaż powóz podskakiwał na wybojach, wydawała się pochłonięta czytaniem. – Tutaj już jest prawie wiosna. Śnieg stopniał i zaczął się sezon na bicykle.

– Tak się bawi szlachta?

– Głównie tak. – Skinęła głową. – I niektórzy bogaci mieszczanie.

Książę Bernard wychylił się przez okno dyliżansu.

– Doskonałe! Koniecznie muszę sobie sprawić coś takiego.

– Rok temu widziałam nowy model z dwoma kołami równej wielkości i gumową oponą pneumatyczną – wtrąciła Belinde Chamomille. – Jest znacznie wygodniejszy i trudniej z niego spaść. Jeżeli pan chce, mości książę, mogę go zdobyć.

– Wolę sobie nadmiernie nie ułatwiać życia. – Książę de Montreuil pogładził wąsa. – Chociaż jeśli powiada pani, że to najnowszy model... Kiedy spotykamy się na audyencji u królowej?

– Jesteśmy umówieni w piątek. Tydzień powinien wystarczyć, abyście trochę oswoili się z miastem i spotkali z towarzystwem.

– Wyczekuję tego z niecierpliwością – odparł Bernard.

Artois potaknął tylko uprzejmie i spojrzął na Kathryn, która zagryzała usta nad książką. Domyślał się, że postrzega wizyty wśród avalońskiej socjety jako przykry obowiązek. Świat wymagał od niej, aby bywała; potrafiła dostosować się do świata, ale płaciła za to spokojem ducha.

Wyglądała krucho i dziewczęco w skromnych arboriańskich sukniach, ze spinką w kwiaty wpiętą w siwe włosy, które opadały jej na ramiona. Łatwo było zapomnieć, że przez ostatnie pół roku – z pomocą Bernarda i Belinde – wydawała sądy, ustanawiała prawa, prowadziła korespondencję dyplomatyczną i lawirowała w meandrach polityki wewnętrznej kraju. Bretańscy możni spodziewali się marionetkowej królowej, a dostali kogoś, kto może i popełniał jeszcze drobne błędy, może polegał na doradcach, ale traktował swoje obowiązki poważnie i szybko się uczył. Artois spędził dość czasu na dworze hrabiego Trevancel, aby doceniać jej zdolności. Nie miał żadnych wątpliwości, że z biegiem czasu Kathryn stanie się bardzo dobrą władczynią, nawet jeśli ona wciąż takie wątpliwości żywiła.

Istniała ku temu tylko jedna poważna przeszkoda.

I był nią on sam.

Odруchowo zerknął na książkę, którą trzymała na kolanach. Brosza, którą dostał od Belinde – mały herb Arborii zaopatrzony w szpilkę – sprawiała, że mógł porozumiewać się po arboriańsku. Zajęło mu kilka dni, zanim przyzwyczał się do tego, że słyszy dwa języki naraz, ale obecnie przez większość czasu nie zwracał na to uwagi. Magia działała także na tekst pisany, jeśli go przesyłabizował i wyobraził sobie słowa. I teraz rozumiał słowa, ale nie wiedział, o czym właściwie Kathryn czyta. Wydawało mu się, że to jakiś zbiór praw. Pamiętał wstrząs, jaki przeżył, kiedy po raz pierwszy weszli do księgarni w Ombre i dowiedział się, że w Arborii można nabyć drukowany tom w cenie jednej butelki wina. Powiedziano mu, że druk zdążył się już tutaj upowszechnić, ale wcześniej nie wyobrażał sobie konsekwencji. Arboriańscy wydawali się pożerać księgi jak hrabia Renard, ale nie cenili ich wcale; nie mieli żadnych oporów przed czytaniem ich w powozach, przy jeździe, nawet w kąpielu. Zresztą wydawały się do tego przystosowane, wydrukowane na cienkim papierze, znacznie lżejsze i bardziej poręczne, obliczone na krótszy żywot niż foliały hrabiego.

Odważył się kupić pierwszą książkę w życiu – przewodnik po Avalonie, malutki jak modlitewniki, z którymi w bretańskich świątyniach pokazywały się hrabiny

i księżne. Czuł się z tym trochę głupio, ale książeczka wyglądała na bardzo praktyczną. Znalazł nawet cennik podstawowych artykułów żywnościowych.

Miał lokalne pieniądze. Rozumiał, że dopóki nie znajdą sposobu na wymianę bretańskiego złota, będzie ich finansowała lady Chamomille. Dostali na przykład komplet przyodziewku. Książę Bernard bardzo szybko się zorientował w idei sztywnego arboriańskiego dżentelmena i starał się dostosować. Całkiem nobliwie wyglądał w czarnym surducie i cylindrze, z cienkimi okrągłymi szklami poprawiającymi wzrok i drobnymi akcentami w barwach rodu – różnych odcieniach fioletu. Artois nawet by tego nie zauważył, gdyby de Montreuil, usiłując dać mu przykład, nie opowiedział o tym szczegółowo.

Sam chciał kupić gotowe koszule, jakie sprzedawano tutaj w sklepach w dość niskiej cenie, ale okazało się, że musi zamówić je u krawca. Jego ramiona nie mieściły się w żadnej koszuli pasującej do jego wzrostu. Arboriańczycy średnio mierzyli trochę więcej, ale przy tym mieli zdecydowanie mniej atletyczne sylwetki.

Wszystko to było dla niego podwójnie nowe. Przez większość życia posiadał dwie koszule na krzyż i odświętny ubiór w barwach domu d'Amethyste. Sypiał w koszarach, chyba że właśnie wypełniał misję poza Narbonne, wtedy nocował w zajazdach i pod gołym niebem. A przecież nie czuł się biedakiem. Miał dobry żołądek, własnego wierzchowca, nie brakowało mu niczego. W przeciwieństwie do lat, które spędził na ulicach Nouveaux Dijon, zanim zdecydował przyłączyć się do pierwszej wolnej kompanii.

Przez ostatni rok jego życie przewróciło się do góry nogami; stracił prawie wszystko i zyskał o wiele więcej. Długoletnia służba u hrabiego Trevancela ostatecznie dobiegła końca; Artois wolałby odchodzić w lepszej atmosferze, bo mimo wszystko cenił i lubił tego starego wariata, a dwór w Narbonne przez długi czas był mu domem. Obydwojaj ponieśli jednak konsekwencje swoich wyborów. Popielnicy wcale nie wyszli na tym źle; w większości zapisano ich do gwardii. Zajmował teraz jedno z najważniejszych stanowisk, jakie kiedykolwiek komukolwiek może przypaść w zawodzie żołnierza. Miał nazwisko i tytuł szlachecki. I był zakochany w królowej.

A ona, niech im Wędrowiec wybaczy, odwzajemniła jego uczucie.

– Drodzy państwo – odezwała się Belinde Chamomille. – Zbliżamy się do rogatek.



Artois ponownie wyjrzał przez okno. Zza pagórka powoli wyłaniała się panorama największego miasta, jakie widział w życiu. Rozlewało się wszędzie, bez murów obronnych, bez jakiegokolwiek fosy, niekończące się morze domów, pałaców i świątyń. Głównymi arteriami ciągnęły ku niemu sznury wozów i dylizansów, pieszych i konnych. Słońce odbijało się w oknach; w oddali w niebo wzbijały się słupy wielobarwnego dymu. „Fabryki – pomyślał – a więc tak to właśnie wygląda”. Drgnęła w nim dawno zapomniana nuta, wyobraził sobie, ilu ludzi musi tutaj pracować i żyć, jakie towary przechodzą z rąk do rąk i jakie obwoźne warsztaty spotyka się na ulicach, ilu bosonogich chłopaków, takich jak on kiedyś, z braku innych możliwości obrzyna ludziom sakiewki. Nieważne, jak zmieniały się okoliczności, miasta zawsze były do siebie podobne, a im większe, tym bardziej zatłoczone, energiczne, hałaśliwe i niebezpieczne.

Nastawił się na gęstą chmurę ludzkiego zaduchu i smrodu, nieporównywalną z niczym innym, ale gdy wreszcie zbliżyli się do pierwszych zabudowań i wjechali przez bramę zakończoną ozdobnym łukiem, okazało się, że miasto nie cuchnie bardziej, lecz nawet mniej, niż pamiętał. Wiedział, że mieli tutaj podziemne kanały – podobne rozwiązanie jak w najstarszej części Narbonne – ale jak radzili sobie z nawozem? Trochę go widział, ale bez przesady, a przy tak ogromnej ilości pojazdów ludzie powinni brodzić w nim po kolana. Rozejrzał się. Konie miały worki zamocowane pod ogonem, nie wierzył jednak, że to wystarczy i że wszyscy przestrzegają tej reguły. Zerknął na czarodziejki, ale nawet przy tym stopniu spoufalenia nie śmiał w obecności królowej zadawać pytań o końskie gówno.

Potał czoło w zakłopotaniu, przygotowując się na więcej podobnych niespodzianek.

Wjeżdżali do Avalonu.

\* \* \*

Do tej pory Artois nie miał zbyt wiele do roboty w Arborii. Całą grupą gościli u gospodarzy w Ombre, zajmując dwa domy niedaleko siebie, zbudowane chyba właśnie w tym celu. Codziennie udawali się do miasteczka razem z Belinde, która objaśniała im życie po Drugiej Stronie świata. Arboria okazała się pod pewnymi względami czymś więcej, a pod innymi czymś mniej, niż sądził. Wszyscy Arboriańczycy, jakich do tej pory znał, dokonali czynów godnych pieśni, więc

podświadomie spodziewał się krainy półbogów, pełnej cudów zapierających dech w piersiach.

Cuda rzeczywiście istniały, ale mniejsze, bardziej powszednie, niż się spodziewał. Ludzie ubierali się inaczej i, rzecz jasna, mieli też inne obyczaje, ale różnili się tak znowu od Bretańczyków. Podobnie utrzymywali sztywną hierarchię społeczną, chociaż miejsce w niej nie było ustalone raz na zawsze prawem urodzenia. Prowadzili handel, praktykowali rzemiosło, wieczorami pili alkohol w szynku, zwanym tutaj barem albo pubem.

Byli bogatsi. Ogólnie, jako naród, bo na pewno w Arborii istnieli nędzarze. Ale przeciętnemu mieszkańcowi Ombre rzadko brakowało jedzenia. Brało się to chyba z tego, że niższa sztuka była powszechnie praktykowana. Nie tylko każde miasteczko utrzymywało własną oficjalną, dobrze opłacaną wiedźmę, nie tylko wielu fachowców wspomagało się „magią prostą”, ale nawet ludzie nieuważający się za czarowników znali często jeden czy dwa drobne uroki. Istniały też pewnie inne przyczyny, których jeszcze nie zauważył. Arboria co rusz prezentowała mu nowe zagadki.

Ludzie tutaj byli spokojniejsi, grubszy, przyzwyczajeni do wygody, długowieczni. Jego, weterana wojennego, który przekroczył dwudziesty szósty rok życia i pierwszą młodość miał już za sobą, uważali za młokosa. Byli dumni – zaszokowało go, że nawet wieśniacy mieli prawo głosu przy wyborze monarchy, a mieszczenie stanowili ogromną siłę polityczną.

Uczył się pilnie, bo musiał czymś zająć myśli. Z dala od bretańskiego dworu znikwały obiektywne przeszkody dzielące go od królowej. Unikał jej spojrzenia, aż pękało mu serce. Spał w izbie obok, a właściwie próbował, bo nie mógł zasnąć albo budził się przed świtem, wyczerpany i zły. Czasami wychodził do lasu, znajdował młode drzewko i siekł jak pustkostwora na drzazgi, aż wreszcie udawało mu się uspokoić.

Pewnego ranka znów wstał o świcie rozgrzany, z piękącymi oczami i wyszedł na ganek, nie troszcząc się nawet o zarzucenie koszuli na grzbiet, chociaż jeszcze nie stopniały śniegi.

We mgle dostrzegł chudą, wysoką sylwetkę Wielkiego Maga. Pan Thorpe rzadko wstawał tak wcześnie, gdyż czasami do późna w nocy pracował nad magicznymi

manuskryptami, od których nie potrafił się oderwać. Spał potem do południa, może i dłużej. Uważał, że w ten sposób odpoczywa.

Teraz, z rana, ćwiczył sztukę walki. Tę, co według pogłosek pozwoliła mu wyleczyć się z paraliżu. Artois dostał już adres szkoły, w której nauczał mistrz tej sztuki, i zamierzał sprawdzić, czy coś by z tego mu się nie przydało. Chociaż księżna d'Opal rzuciła wiele zaklęć uzdrawiających, ratując go przed kalectwem, kości połamane podczas walki ze smokiem nadal czasem się odzywały. Ale taki już los najemnika.

Czarodziej zauważył go wreszcie; skinął głową i spokojnie dokończył układ, a potem ruszył w stronę werandy. Ledwo się dało dostrzec, że utyka, kiedyś to było bardziej zauważalne. Po drodze wyciągnął zza pazuchy papierowe zawiniątko.

– Chcesz? – Podał mu białą okrągłą bułkę z serem, taką, jakie w Bretanii można dostać tylko na szlacheckich dworach, a tutaj kupowano je w byle sklepiku na rogu. Artois nie zamierzał odmawiać, skoro sam Wielki Mag częstował go jedzeniem. Nie zdążył go zbyt dobrze poznać w Bretanii – pan Thorpe albo walczył z pomiotami Zaświatów, albo budował międzyświatowy Most, a jeżeli zażywał odpoczynku, spędzał zwykle czas z Nadworną Maginią. Były kapitan Popielników zdołał się jednak zorientować, że mimo wszystkich legend, jakie krążyły o nowym Geniuszu z Arborii przy wydatnym współdziałaniu księcia Bernarda, był w gruncie rzeczy zupełnie normalny – przynajmniej jak na czarodzieja.

Wielki Mag wyciągnął dla siebie drugą bułkę. Przez jakiś czas przeżuwali w milczeniu. Poranny chłód zaczynał docierać do Artois.

– No to – odezwał się wreszcie mag – czy coś... już postanowiłeś?

– Nie rozumiem.

– Kathryn... jest cierpliwa. Ale nie będzie czekać bez końca. – Pan Thorpe przełknął kęs bułki. – Przez ostatnie... pół roku snujecie się po pałacu królewskim i cierpicie z miłości. Wszyscy... mają tego serdecznie dość. Włącznie z samą zainteresowaną. Zdeklaruj się wreszcie... Ranisz ją.

Ciszę, jaka zapadła po tych słowach, dałoby się kroić nożem.

– To nie takie proste. – Były kapitan Popielników pokręcił wreszcie głową. – Mówiła mi, że w Arborii pędziła życie mieszczki i nie odczuwa różnicy statusu między nami, ale przecież jest królową Bretanii. Oraz czarodziejką, podczas gdy ja nie mam ani krztyny mocy.

„A także – stwierdził w myślach – urodziłem się bękartem”. Usynowienie przez lady de Breville nie zmieniło jego pochodzenia, tylko trochę go uszlachetniło.

– Jeżeli zaczniemy romans, po powrocie... sprawy mogą się skomplikować.

– O ile mi wiadomo, nikt nie skrytykuje... monarchini, jeśli weźmie sobie kochanka – zauważył czarodziej. – I nikt się nie będzie oburzał, dopóki nie spróbujesz oficjalnie starać się o jej rękę. Czy to nie jest tak, że wolałbyś zostać królem i nie chcesz pół... środków? A gdyby Kathryn zdecydowała się abdykować?

Artois pomyślał zupełnie szczerze, że zaraz go palnie. Przemądrzały Arboriańczyk nie zdawał sobie sprawy, jak będą intrygować na dworze z powodu niewłaściwie – zdaniem możnych – ulokowanego uczucia królowej. Hrabia Trevancel byłby pierwszy w kolejce do uknucia spisku, i tak uważał, że lojalny dotąd Żaba odpłacił mu zdradą za wieloletni patronat. Ale słowa pana Thorpe'a trafiły w czuły punkt. Czy rzeczywiście powstrzymywała go jedynie głupia duma? A później zrozumiał, co jeszcze powiedział Wielki Mag, i przebiegł go dreszcz. Czy Kathryn naprawdę mogłaby zrezygnować z tronu Królestwa Bretanii tylko z jego powodu? To... niepokojące.

– Lubię cię, ale... – westchnął Wielki Mag. – Posłuchaj... starszego od siebie. Jeżeli łapie cię coś takiego i trzyma ponad pół roku bez objawów... odpuszczenia, a uczucie jest wzajemne, to trzeba być ostatnim durniem, żeby nie znaleźć sposobu, który pozwoliłby wam być razem.

\* \* \*

Gospodyni stała w podwórzu, kopiąc fajkę nabitą okropnie cuchnącą machorką i przyglądając się podejrzliwie, jak Artois wnosi kolejne skrzynie na drugie piętro. Kathryn mogła rzucić zakłęcie wzmacniające siłę i dołączyć do noszenia, ale szło mu bardzo dobrze, więc nie przeszkadzała.

– Ten panienki narzeczony to z Dolorii? – zagadnęła wreszcie starsza pani. – Śniady jakiś i po twarzy widać, że cudzoziemiec.

– Cudzoziemiec, ale nie z Dolorii i jeszcze nie narzeczony – odparła Kat, patrząc, jak kapitan jedną ręką dźwiga skrzynię, którą przyniosło tutaj dwóch tragarzy. Niezbyt roslých tragarzy, to prawda.

– No to niech panienka się dobrze namyśli. – Puściła kłęb dymu. – Bo on dla panienki chyba za mały. Kobieta nie powinna być wyższa od mężczyzny.

– A palenie szkodzi zdrowiu – odgryzła się Kathryn, po czym z wystudiowanym fochem chwyciła skrzynię przy asyście zaklęcia i zarzuciła ją sobie na ramię. Pół głowy niższy to nie tak znowu dużo. Poza tym nie po to wreszcie wynajęła pokój z dała od Belinde, żeby inna stara kobieta wtykała nos w jej sprawy. Nawet jeśli sama Kathryn nie do końca jeszcze wiedziała, co robi.

To znaczy dobrze wiedziała, co pragnie zrobić. Ale skończyły jej się pomysły, nie chciała być namolna ani wywierać nadmiernej presji, i ogólnie uważała, że prawdopodobnie znowu coś dokumentnie spartoli. Zamierzała wreszcie zapytać wprost i bardzo się bała, że wyniknie z tego tylko jakieś strasznie niezręczne nieporozumienie. Kapitan Artois – teraz dowódca jej osobistej gwardii – pochodził z Bretanii, więc możliwości zepsucia czegoś, co się jeszcze dobrze nie zaczęło, tylko i wyłącznie z powodów kulturowych, wydawały się nieograniczone. Na przykład czy odebrałby jej słowa jako rozkaz? Czuła się zmęczona dyplomatycznym tańcem, od jakiego zaczynał się każdy poranek na bretańskim dworze, i teraz chciałyby móc wreszcie porozmawiać swobodnie.

Schody skrzypiały pod stopami, ale kamienica wydawała się czysta i spokojna. Kathryn nie chciała zbytnio nadwierać skarbu Królestwa Bretanii ani swojego stypendium (sprawdziła konto – ostatnie transze spłynęły zaraz po tym, jak przenieśli się na Drugą Stronę, więc chwilowo była bogata), toteż nie wynajęła żadnego luksusowego apartamentu. Dwa pokoje z łazienką. Kremowożółte kotary, tapeta w kosaćce, stolik z serwisem do herbaty, własny, niewspółdzielony z całym piętrem aneks kuchenny. Zapobiegliwie postarała się zarówno o podwójne łóżko, jak i sofę, i oglądając apartament, poczuła, że awansowała społecznie. A potem sobie uświadomiła, że znalazłszy się w Avalonie, odruchowo zaczęła myśleć po avalońsku. Ostatnie pół roku spędziła w pałacu jako królowa, co było jakby ostateczną formą awansu społecznego. No, to prawda, ale nie mieli tam wodnych klozetów.

– Wasza Wys... Kathryn? Co cię tak śmieszy?

– Nie chcesz wiedzieć – zachichotała i legła na podwójnym łóżku, zwieszając nogi poza jego brzeg. Leżała tak jakiś czas. Czuła, że atmosfera robi się stopniowo coraz bardziej napięta. Artois usiadł na krawędzi łóżka.

– No dobrze, wyładujmy najpierw książki – zarządziła, zrywając się na równe nogi. – Która to była paczka?

– A ja myślałem, że to kamienie młyńskie.

Roześmiali się nerwowo. Zaczęła wyjmować książkę po książce z pudła z cienkiej drewnianej sklejki. Niedużo tego było, głównie to, co kupiła w Ombre albo dostała od Margueritte. Jej podręczniki i księgozbiór rozrywkowy znajdowały się nadal u Weylanda. Podawała książki kapitanowi, a ten stawiał je na półkach. Z pewnym ociąganiem, dopiero kiedy miał już w rękach trzy czy cztery tomy. Przez większość czasu pochylał się nad nią, patrząc jej przez ramię.

– To traktat o handlu, prawda? – spytał. Znajdował się tak blisko, że czuła ciepło jego ciała.

– Ekonomia czasów feudalizmu. Nie mamy floty, ale szlaki handlowe jak najbardziej, a tam sporo o tym piszą... Historia inżynierii lądowej. Jeszcze nie wiem, co można importować, a co zrobimy z wykorzystaniem bretańskich technologii. A tutaj to biografia królowej Aurory. Tej, od której wzięłam imię.

– A to?

Sięgnęli po tę samą książkę i ich dłonie się zetknęły.

– Jak odgadywać intencje i odczytywać zamiary – powiedział Artois ochryple. Ich twarze się zbliżyły. Patrzyli sobie prosto w oczy i Kat poczuła, jak drżą jej kolana. – Jak sądzisz, Kathryn, jakie mam intencje? Potrafisz je odgadnąć?

– Nnooooo... – wyjąkała Kat i musnęła ustami jego usta. Odpowiedział szybko i czule, jakby się bał, że zniknie. A potem pocałował ją znów pospiesznie, łapczywie, jak ktoś, kto walczy o życie. Odwzajemniła mu się. Wodziła palcami po jego plecach, wysunęła język. Serce tłukło jej się w piersi i zalewało ją ciepło. Przesiedli się na łóżko. Delikatnie objął ją w talii, nie przestając całować.

W oddali rozległo się donośne stukanie kijem – być może od miotły – w drzwi.

– Młoda paro! – huknęła gospodyni. – Najpierw skrzynie, potem amory! Posprzątać mi to z korytarza! Cichutko jak myszki, już ja was znam, ancymony – gderała kobieta. – Wiem, co się święci. Studenci, psiajucha.

Oderwali się od siebie. Uspokajali oddechy; Kathryn przeczesła palcami wzburzone włosy i poprawiła spinkę. Artois roześmiał się cicho, z zakłopotaniem.

– No dobrze – szepnęła Kathryn. – Może przestańmy udawać, że wynajęliśmy razem mieszkanie tylko po to, żeby chronić królową Bretanii.

Spowaźniał, a potem odsunął się od niej na bezpieczny dystans. „Co ja znowu powiedziałam – zachnęła się Kat. – Zepsułam nastrój. Nie, nastrój został zepsuty już

wcześniej, kijem od miotły”.

– Kiedy wypakujemy bagaże – Artois starał się zachować neutralny ton, chociaż głos trochę mu drżał – dokąd zamierzamy się udać, Wasza Wysokość?

– Po pocztę. – Kathryn zacisnęła pięści. – Chciałabym odebrać pocztę przysłaną na mój stary adres. Spotkać się z przyjaciółkami być może. Nie było mnie w Avalonie prawie rok, straciłam kontakt i nie wiem, kto jeszcze tu został. Na pewno Susan, bo to ona trzymała dla mnie listy; zdała egzamin dyplomowy, ale wiem, że zamierzała zrobić jeszcze patent medyka. Później... chciałam odwiedzić rodziców. Ale chyba powinnam iść tam sama.

– Nie zostawię cię. Lady Chamomille bardzo wyraźnie powiedziała, że powinienem strzec twojego bezpieczeństwa. Przybyliśmy do Avalonu incognito, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Tylko że... no wiesz, żebyś miał świadomość – podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy – że jeśli tam pójdziesz, to zostanie odczytane przez moich rodziców jako deklaracja. Nie żeby chcieli nas zaraz swatać, ale... wiesz. Pytanie, czy chcesz... przyznać, że się... spotykamy.

Zapadło milczenie. Na szafce nocnej miarowo cykał budzik.

– Pustka i Zaświaty. – Artois potarł czoło, aż skóra się zaczerwieniła. – Niezbadane są meandry dróg, jakimi prowadzi nas Wędrowiec. – Uniósł wzrok. – Kathryn. Kocham cię. Bardziej niż cokolwiek i kogokolwiek. Kocham cię. Kocham. Chciałem dla ciebie zginąć. Ale stanowczo wolę dla ciebie żyć.

\* \* \*

Gdy wyszli na ulicę, kręciło mu się w głowie. Wiedział, że konsekwencje jego decyzji mogą zatrząść monarchią, że prawdopodobnie ściągnął zgubę na obydwójce, ale mimo to czuł się absurdalnie szczęśliwy. Trzymał Kathryn za rękę i udawał w myślach, że faktycznie są dwójką arboriańskich studentów, bez innych obowiązków i planów na przyszłość.

Zapewne dlatego dość późno uzmysłowił sobie, że czuje się obserwowany. I to nie dlatego, że tak dobrze wyglądają jako para. W podobnych wypadkach rzadko myślił go instynkt. Popielnicy pełnili u hrabiego Renarda funkcję ludzi do pracy w cieniu, do oficjalnej roboty miał swoich rycerzy i gwardzystów. Artois sam

niejednokrotnie śledził osoby, na które hrabia kazał mieć oko. Po tym, jak prawie dwa miesiące spędzili w Ombre, zdziwiłby się, gdyby nikt się nimi nie interesował.

Pytanie tylko kto. Władze? A może po prostu lokalny gang?

Zatrzymał się przy stoisku z gazetami, pozornie zajęty ich przeglądaniem. Zdążył już zaobserwować, że Arboriańczycy traktują ten rodzaj piśmiennictwa jako rzecz codzienną, jak picie gorzkiego, pobudzającego napoju zwanego kawą. Na rusztowaniu leżała cała sterta „Avalon Times”, ale także inne tytuły, takie, których nie widział w Ombre. Okładka jednego z grubszych pism, chyba zbiór pamfletów, przedstawiała dwie karykaturalnie narysowane postacie, w których Artois ze zdumieniem rozpoznał Margueritte i Belinde. Przesylabizował napis pod obrazkiem: „Kto z kim przestaje, takim się staje. Sekrety szaleństwa Federalistów”. Zdumiony zerknął na kilka nagłówków obok. Wyłowił kolejną karykaturę Meg i napis „Magowie Pustki. Spisek przez stulecia?”.

– Co podać szanownemu panu? – spytał nachalnie starszy, drobny facet w czapce z daszkiem.

– Tę i tę. – Artois wskazał pamflety. Cały czas kątem oka sprawdzał otoczenie w poszukiwaniu obserwatorów.

– A może *Saga o Glorionie*, proszę szanownego pana? – Sprzedawca podsunął mu prawie pod nos niedużą, ale grubą książkę drukowaną na papierze prześwitującym jak rybi pęcherz. – Dwudziesty pierwszy tom. Świeżutki, prosto z drukarni. A może tę, skoro interesują pana wszeteczeństwa czarodziejów. – Wyciągnął inną, znacznie cieńszą książkę. Artois omal nie upuścił pism, które właśnie kupował. Na okładce widniała karykatura Meg w miłosnym uścisku z jasnowłosym mężczyzną, a tytuł brzmiał *Asystent czarodziejki. Historia prawdziwa*.

– Nie, tyle wystarczy – powiedział.

Kathryn uniosła brwi, patrząc mu przez ramię.

– Pozwalają na to? – spytał cicho.

– Belinde działa w polityce, bryluje na salonach, to się zdarza. Zniknęła w środku kampanii wyborczej razem z Meg, a teraz wróciła, więc dziennikarze dostali amoku – mruknęła Kat. – Może nawet kilku obserwowało nas w Ombre. Natomiast Margueritte ma pewną... opinię, bywała bohaterką różnych groszowych sztuk. Fakt, jest tego trochę więcej niż zazwyczaj, ale się uspokoi.



– Dziwię się, że jeszcze nikt tych dziennikarzy nie powiesił.

– Cóż, wolność prasy. Ma swoje zalety.

– Czy powinniśmy się przejmować tym? – Artois wskazała okładkę, która głosiła o Magach Pustki.

– Nie, to trochę obelga. Albo coś jak opowieści o istotach z Zaświatów... No wiesz, większość ludzi nie bierze ich na poważnie.

– Ktoś nas śledzi – dodał Artois, nie zmieniając tonu. – Chłopiec z naręczem gazet szedł za nami prawie dwie przecznice. Teraz patrzy na nas starszka – nie odwracaj się – przy wozie z przenośnym warsztatem. Gdzie ich zgubić?

– Bazar uniwersytecki – podchwyciła Kathryn. – Tylko trzymaj portfel przy sobie.

Kapitanowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Dobrze wiedział, kto krąży w tłumie w takich miejscach.

– Chodź, chodź! – zawołała Kat i złapała go za rękę, udając naturalny wybuch dziewczęcego entuzjazmu. – Szybko, szybko, bo nie zdążymy!

Wyrwali naprzód, przeskakując nad dziurami w bruku, przebiegli przez tory w ostatniej chwili przed przejeżdżającym tramwajem konnym. Ktoś im złorzeczył po tym, jak Artois odsunął go z drogi zdecydowanym gestem. Zatrzymali się dopiero przecznicę dalej, między drewnianymi budami, łapiąc oddech i pękając ze śmiechu; nie potrzebowali nawet grać. Pospiesznie wtopili się w tłum. Kapitan nie miał okazji dokładnie przyjrzeć się towarom, ale sprzedawano tu chyba wszystko, meble i ozdoby, książki i wstążki, warzywa i odzież. Zewsząd atakowały go zapachy intensywnie przyprawionego jedzenia. Po pewnym czasie lawirowania między stoiskami doszedł do wniosku, że chyba już dawno zgubili ogon.

Na wszelki wypadek wymknęli się boczną uliczką i trochę nadrabiając drogi, znaleźli się wreszcie na miejscu.

\* \* \*

Dotarli do kamienicy, w której poprzednio mieszkała Kathryn, bardzo obskurnej i zaniedbanej, z ciemnym, zamkniętym z czterech stron podwórzem. Nieopodal, spod murowanej wiaty, wysypywała się góra odpadków. Artois przypatrywał się temu wstrząśnięty. Wspomnienia napływały nieproszone. Dawno temu, w Nouveaux Dijon...

– Tak mieszkałaś?

– Większość studentów tak mieszka – odparła Kat. – Mogłam zostać u rodziców albo u Belinde, ale wolałam mieć towarzystwo w swoim wieku. Wiesz, Belle żyje na trochę innym poziomie i w innym otoczeniu. No i głupio, żeby mnie utrzymywała.

Drzwi frontowe były otwarte; na ganku siedziało trzech młodych chłopaków. Rozmawiali podniesionymi głosami; Artois nie potrafił określić na jaki temat. Padały słowa i określenia, z którymi nie radziło sobie jego zakłęcie tłumaczące, i to nie z powodu wulgaryzmów – te rozpoznawał bez żadnej magii – lecz obcojęzycznych technicznych wtrętów. Zapewne ich bretańskie odpowiedniki nie istniały.

Weszli na ciemną klatkę schodową.

– Trochę przypomina miejskie koszary – stwierdził kapitan. – Tylko nie widzę, żeby ktokolwiek musztrował mieszkańców. Co to za ogłoszenia? – Wskazał na kolorowe drukowane obrazy poprzyklejane do ścian.

– Plakaty teatralne. Manifesty polityczne. Programy studiów. Rytuał na kaca... sprzed sześciu lat. Nie sądzę, żeby jeszcze działał. No i te drobne, kupno, sprzedaż. Meble, podręczniki. Przyjeżdżają tutaj żacy z całej Arborii i spoza niej.

– Wszyscy uczą się magii?

– Nie. Czarodzieje stanowią niewielką grupę. Prawie tylko oni studiują w Avalonie przez całe osiem lat. Reszta robi po szkole czteroletni kurs ogólny w miejscowym gimnazjum, a później przyjeżdżają tutaj zdobywać dyplomy wyższego stopnia. Studia często się przeciągają. Ja skończyłam przepisowo, ale bywa różnie. Sam dyplom czarodzieja to też trochę za mało, przynajmniej w takich przypadkach jak mój. Warto zrobić specjalizację.

– Jak twój, to znaczy...?

– Mówiłam ci, że nie pochodzę z zamożnej rodziny. Nie mam... nie miałam majątku, który można odziedziczyć.

Artois pokręcił głową.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że Arboriańscy pozwolili potomkom prawowitych królów żyć w biedzie.

– Ale pozwolili żyć – podkreśliła Kathryn. – Wydaje mi się, że to dość istotne. Poza tym daj spokój, nie jesteśmy nędzarami. Moi rodzice dobrze sobie radzą. Nie

dobili się tak jak rodzice Vincenta, ale nie mają długów.

Przystanąła przed drzwiami na drugim piętrze.

– To tutaj. Susan wie, że ją odwiedzę. Tylko... chyba powinnam cię uprzedzić. Studenci mogą ci się wydać trochę nieokrzesani... Potarła czoło, widząc, że Artois się śmieje. – Dobrze, do kogo ja to mówię. Na co dzień miałeś do czynienia z czymś znacznie gorszym, prawda?

– Prawda. – Skinął głową. Znów odzywało się echo wspomnień, znacznie dalszych niż służba w wolnej kompanii. – Nie wszyscy najemnicy są znowu tacy źli, przynajmniej moi ludzie. Wpoilem im dyscyplinę. Ale kiedy byłem dzieckiem, mieszkałem w stolicy. W Nouveaux Dijon. Tam też studiują zacy.

– Ach tak? – Kathryn nacisnęła dzwonek do drzwi. – W takim razie rozumiem, że jesteś przygotowany.

Drzwi otworzyły się i ze środka wypadła niewysoka blondynka z wystającymi zębami, które zdobiły srebrne druciki.

„Dziwna moda” – zdążyło kapitanowi przyjść do głowy, zanim pisk dziewczyny zagłuszył jego myśli.

– Kathryn! – Uściskała królową, usiłując oderwać ją od ziemi. Próba była skazana na niepowodzenie ze względu na wzrost obydwu pań. – Czarnoksiężniczko! Żyjesz! I nawet przybyło ci w cymbałach!

Później zobaczyła drugiego gościa.

– O rety, Kat! Skąd ty go wytrzasnęłaś? Ile za ciebie dał wielbłądów?

– Proszę pani, to było niegrzeczne – odezwał się kapitan. – Ja wszystko słyszę i rozumiem. Artois de Narbonne, bardzo mi miło.

– Susan von Trieste, i przepraszam pana. – Dziewczyna się roześmiała. Wcale nie brzmiała, jakby żałowała swoich słów. – Studiujesz na Uniwersytecie?

– Nie, proszę pani, jestem żołnierzem.

– Kaaaat! – zawołała Susan z entuzjazmem. – Cholera, gdzie ty go znalazłaś? Powiedz mi, gdzie takich dają, i pójdź po więcej!

Artois cofnął się, nieco zakłopotany zachowaniem tej dzierlatki. Poczł pewien niepokój – a co, jeżeli Kat również traktuje go wyłącznie jak atrakcyjną zdobycz, jak to się czasem zdarza wśród szlachcianek? Nie spodobała mu się ta myśl. Spojrzał na Kathryn i dostrzegł, że przyjęła pozę oraz wyraz twarzy, jakie widział

już wielokrotnie, głównie w sali tronowej, i jakich bretańscy możni nauczyli się już obawiać. Gdy królowa patrzyła na ludzi w ten sposób, szlachcice tracili stanowiska, a osądzeni kryminaliści głowy.

– Susan, pan de Narbonne przyjechał z bardzo daleka, aby odwiedzić moje rodzinne miasto – rzekła lodowato. – Zachowuj się, proszę.

– Przecież nic nie robię. – Susan spoważniała. – Daj spokój. Chodziły pogłoski, że zginęłaś na misji z Belinde Chamomille. Albo że siedzisz. Pamiętasz, za tę historię ze skażeniem. Gazety pisały pamflety na twoją mistrzynię, a wy jakbyście się zapadły pod ziemię. Ale sam Arcymag poprosił mnie, żebym trzymała dla ciebie pocztę. Inaczej nie wiedziałabym, że w ogóle żyjesz. Gdzie byłaś? Pewnie nawet nie możesz powiedzieć...

– Masz rację, nie mogę. – Kathryn trochę się odprężyła. – Utajniony projekt, w dodatku wyskoczył w ostatniej chwili. Oblałam egzamin częściowo z jego powodu, nie zdążyłam się przygotować.

– Nic straconego. Idzie wiosna, zaczniesz się sezon, jeżeli cię dopuszczą, możesz próbować znowu. Na twoim miejscu już wróciłabym do podręczników. Pamiętam, ile cię to kosztowało. – Susan przyjrzała się jej uważnie. – Możesz też przeczekać ten rok. Gildia debatuje nad dostosowaniem egzaminów do profilów mocy. Wiem, że z twoją dysentrią... Przepraszam, że poruszam ten temat...

Kathryn uśmiechnęła się promiennie.

– Na pewno nie zrobię po raz drugi skazy w podłodze.

– Tak myślisz?

– Tak myślę. Sądzę też, że trzeba zaliczyć cztery na sześć zaklęć. O ile nie zmieniono programu, najwyżej trzy zaklęcia z tej puli mogą zawierać komponent Entropii. Pod presją potrafię je rzucać mniej więcej z pięćdziesięcioprocentową pewnością. Jeżeli to przemnożymy, w najgorszym scenariuszu mam nadal prawie dziewięćdziesiąt procent szans, żeby zdać ten egzamin. Uważam, że to całkiem optymistyczna perspektywa.

Susan popatrzyła na nią ze zdumieniem.

– Coś takiego. Kim ty jesteś i co zrobiłaś z Kat? Czekał. Zebrałam ekipę; pójdziemy do Starego Fakira na kawę i eklerki. Proszę pana, lubi pan eklerki?

– Chętnie skosztuję. – Artois skinął głową.

Niedługo później siedzieli w przeszklonym pomieszczeniu – kapitan wciąż nie potrafił się przyzwyczaić do ogromnych przezroczystych szyb – które wystrojem przypominało apartamenty książęce, i jedli lekkie jak piórko ciastka. A równocześnie Artois cały czas pamiętał, że ci młodzi ludzie, aspirujący do ścisłej elity Arborii, mieszkają nie lepiej niż straż miejska albo drobni handlarze z Nouveaux Dijon – nie licząc oczywiście takich udogodnień jak nowoczesne pokoje łazienne z wodnymi toaletami. Zaczynał rozumieć, że w Arborii jak najbardziej istnieje bieda, miewa tylko inne oblicza niż bretańska nędza.

Na zewnątrz jakiś człowiek oparty o szybę czytał gazetę. Artois co jakiś czas zerkał na niego ukradkiem. Może ich nie śledził, ale stał tam podejrzanie długo. Lepiej mieć się na baczności.

Oprócz Susan von Trieste wokół siedziało jeszcze kilkoro żaków. Zsunęli stoliki razem i zamówili górę słodkości oraz po filiżance kawy dla każdego. Kapitan poprosił o wodę, co z jakiegoś powodu wywołało porozumiewawcze uśmiechy; spytał, o co chodzi, i z żartów wywnioskował, że kawa uchodzi za napój nadużywany przez studentów, a zwłaszcza magów. Ewidentnie należał więc do innego gatunku. Trochę go to zdeprymowało. Dialogi rozumiał pół na pół, orientował się tylko, że wszyscy byli nieco bezczelni, nieprzyzwoicie wykształceni i chyba trochę ekscentryczni.

Kathryn dostała grubą paczkę listów i część od razu schowała do torby, a kilka z nich przeglądała, marszcząc brwi.

– Komisja egzaminacyjna – powiedziała cicho. – No tak, będę musiała to załatwić. Dali mi grzywnę i psychoanalitka.

– Kto to jest psychoanalitik? – zainteresował się Artois.

Popatrzyli na niego wszyscy. Pięknie, panie kapitanie, nie mogłeś bardziej się wyróżnić.

– To taki gość, który za pomocą pytań, czy parasolka kojarzy się z penise, sprawia, że tyłu czarodziejów w jednym miejscu nie zamieniło jeszcze Avalonu w skażoną pustynię – wtrącił przemądrzały pulchny chłopak w okularach. – Aktywują nam Źródła w trzynastym roku życia albo trochę później, kiepski moment na kontrolowanie mocy.

– Nie powinni tego przełożyć na dojrzały wiek? – zdumiał się kapitan. – Byłoby o wiele mniej kłopotów.

Młodzi czarodzieje popatrzyli po sobie.

– Konserwatyści nigdy na to nie pozwolą. – Chłopak wzruszył ramionami. – Chcą szybko znajdować spadkobierców. Dywincje talentu nie są pewne. Gdyby aktywacja w młodszym wieku nie szkodziła zdrowiu, robiliby Rytuał Przejścia niemowlakom.

– O, to od Meg. – Kathryn obejrzała kolejny list. – Na mój adres, ale do nas obydwójga. Dla ciebie, Artois.

– No właśnie tak się zastanawiałam – odezwała się Susan – kim jest pan de Narbonne.

Artois ze zdumieniem przyjął grubą kopertę i schował ją za pazuchę. Postanowił, że później sprawdzi, co Margueritte do niego napisała. Czy list ma coś wspólnego z jego adopcją? Był przekonany, że to uprzejmy gest, fikcja na użytek Bretańczyków. Nie wyobrażał sobie, żeby lady de Breville naprawdę uczyniła go spadkobiercą. Chociaż, prawdę mówiąc, miała ogromne szanse go przeżyć...

Znów zerknął za okno i tym razem wydało mu się, że widzi błysk. Nie, to nie złudzenie; oparty o szybę facet dzierżył magiczną kulę, przysyłając ją gazetą. Artois przeprosił towarzystwo, używając formułki wyuczonej u Belinde.

– Czy wiedzą państwo, gdzie tu się można odświeżyć?

Wskazano mu odpowiedni przybytek z tyłu. Kapitan przemknął między stolikami; wkrótce znalazł łazienkę. Jak się spodziewał, na końcu pomieszczenia, pod sufitem, znajdowało się uchylone okno. Niezbyt duże, ale się nada. Podskoczył, złapał się parapetu i się podciągnął – nie darmo nazywano go Żabą. Po chwili mocowania się z klamką udało mu się otworzyć okno na oścież i przecisnąć się przez nie, chociaż nie bez trudności.

Zeskoczył na bruk.

Uliczka na tyłach cuchnęła nieprzeciętnie, przypominając mu, że nawet Avalon, najczystsze duże miasto, jakie widział w życiu, nie jest pod tym względem bez zarzutu. Ale góry odpadków, jakie piętrzyły się pod ścianami, dawały mu pewną przewagę. Przekradł się, nie wydając najmniejszego dźwięku, aż na róg kawiarni, gdzie obserwator, łysiejący blondyn z rzadkim wąsikiem, nadal usiłował nagrywać obraz wewnątrz kawiarni za pomocą kuli.

Nie spodziewał się niczego, kiedy Artois jedną ręką chwycił go za frak, a drugą za twarz i wciągnął do zaułka, jakby podnosił kocię. Wyłuskał z jego dłoni kulę; potoczyła się na bruk.

– Wezwij straż, a skręcę ci kark – odezwał się swobodnym tonem. – Rozumiesz? Widzę, że rozumiesz.

Zdjął dłoń z jego twarzy, a w zamian fachowym chwytem unieruchomił mu rękę na plecach, dobył noża schowanego w bucie i sugestywnie dotknął okolicy nerek.

– Będę szybszy niż zaklęcia – dodał spokojnie.

– Nie ośmielisz się – wykrztusił szpieg.

– Możesz spróbować – zachęcił go kapitan. – Kto cię przysłał?

– Kij ci w oko, skurczybyku. Mój kolega też obserwuje ten przybytek, a on ma pistolet. Oddaj mi kulę, bo dopilnujemy, żebyś nie wyszedł ze szpitala.

Artois podążył za wzrokiem szpiega i rzeczywiście ujrzał jakiś ruch głębiej w zaułku.

– Dobrze, już dobrze. – Puścił obserwatora i pojednawczo podniósł rękę, w jednej nadal trzymając długi nóż. Przysunął kulę nogą, po czym podbił ją czubkiem buta i złapał w drugą rękę. – Pańska kula.

Zrobił gest, jakby chciał ją wręczyć, a potem z całej siły cisnął nią o bruk. Nastąpiła stłumiona eksplozja; pęknięte szkło poczerniało od środka.

– Ojej – zmartwił się. – Jak mi przykro.

Długim susem rzucił się do przodu. Tuż obok śmignął pocisk z arboriańskiej miniaturowej rusznicy, wbijając się ze świstem w górę śmieci. Artois chwycił szpiega, który już chciał dać dyla, obrócił delikwenta w stronę, z której padły strzały, i zasłaniając się jego ciałem, wycofał się pod wiatę jednego ze śmietników. Aby wzmocnić siłę argumentów, zacisnął palce na nerwach w jego łokciach.

– Teraz nie uwierzę, że jesteście z gazety – syknął. – O ile mi wiadomo, zwykli obywatele nie noszą pistoletów. Nie szarp się tak. Nie zabiję cię. – Zerknął na stertę śmieci. – Zapakuję cię w sznur jak górski serek i przyniosę ludziom, którzy docenią prezent.

– Nie dostaniesz mnie żywcem, Magu Pustki... – jęknął tamten.

– Ooo – zdumiał się Artois. – Coś nowego. Masz ogromnego pecha, bo nie trafiłeś na Maga Pustki. Będę cię torturował zupełnie niemagicznie.

W oddali dały się słyszeć tupot i głośne okrzyki. Prawdopodobnie nadchodziła straż. Kapitan mocniej przycisnął nerwy więźnia. Trudno go wnieść do kawiarni, a prawo niestety było po jego stronie.

– Aaaargh! Prze...! Przestań! ...Severia. Millie Severia. Z nią rozmawiaj, puść mnie! Aaaa!

– Dziękuję serdecznie. – Artois pchnął go potężnym kopniakiem, aż tamten wypadł z wiaty. Znów świsnął pocisk i tym razem z głuchym uderzeniem trafił faceta w tors. „Cóż, nie moja wina” – pomyślał kapitan. Wyskoczył za nim, korzystając z tego, że broń trzeba przeładować (Belinde mówiła, jak działają te arboriańskie modele), przebiegł po metalowych pojemnikach na śmieci, wspiął się na parapet i ponownie wślizgnął przez okienko do łazienki kawiarni; kątem oka widział jeszcze nadbiegających strażników.

Spojrzał w lustro; poprawił surdut i włosy, wyczyścił buty zwilżonym ręcznikiem, który wisiał obok na kołku. Wreszcie całkiem zadowolony z rezultatu wrócił do stolika. Studenci zamawiali już drugą porcję eklerek.

– Przepraszam państwa – powiedział. – Chyba robi się późno. Kathryn, czy nie powinniśmy jeszcze dzisiaj odwiedzić twoich rodziców?

Skierowała ku niemu zaniepokojone spojrzenie. Na pewno słyszeli zamieszanie na ulicy, a Kat zachowywała większą czujność niż pozostali. Wstała, wzięła go za rękę i nachyliła się do jego ucha. Jej srebrne włosy opadały mu na ramię; mało brakowało, a pocałowałyby ją przy wszystkich.

– Rzucić coś defensywnego? – szepnęła. – Niektóre tarcze są w stolicy legalne.

Niespostrzeżenie skinął głową.

Pożegnali się i wyszli.

\* \* \*

Kathryn starała się nie oglądać za siebie, gdy mijali patrol żandarmerii. Już przeganiano gapiów, już obstawiano uliczkę przenośnymi barierkami. Cokolwiek stało się na zapleczu Starego Fakira, niewątpliwie Artois miał z tym coś wspólnego. Spojrzała na niego z ukosa. Mężczyzna, którego w Bretanii знаła jako jednego z najbardziej honorowych ludzi na dworze, ostoję bezpieczeństwa, stabilności i spokoju, tutaj, w Avalonie, robił wrażenie wilka wpuszczonego między owce. Jak



o nim mówiła Amandine? Pół chłopiec, pół bandyta. Nie była pewna, czy bardziej ją to martwi, czy bardziej jej się podoba.

A co w takim razie można powiedzieć o niej samej? Walczyła ze smokiem. Zabijała w bitwie nie tylko pustkostwory, ale i ludzi. Skazywała na karę śmierci. Mogła sobie tłumaczyć, że to wszystko lokalny zwyczaj i że postępowała wedle oczekiwań doradców. Miała nawet opinię wyjątkowo łagodnej królowej, bo położyła kres zwyczajowej karze okaleczania, tak chętnie stosowanej przez jej poprzedników. Ale prawda była taka, że w tej chwili od prozy życia Susan i pozostałych dzieliły ją eony. Co by powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, że ich dawna przyjaciółka poszła w ślady swoich niesławnych przodków tyranów? Czy takie błahe sprawy jak egzaminy w ogóle miały jeszcze jakieś znaczenie?

– Czy słyszałaś kiedyś nazwisko Millie Severia? – spytał cicho Artois, gdy już dostatecznie się oddalili.

– Nigdy w życiu. – Rozejrzała się dookoła, usiłując wymyślić jak najbardziej krętą drogę do domu rodziców. – Nadal idą za nami?

– Myślę, że przynajmniej na dziś się poddali. Trochę poturbowałem jednego z nich.

– Bardziej niż trochę – mruknęła czarodziejka. – Żandarmeria stawia takie barierki, kiedy mają trupa.

– Jeżeli straż... żandarmeria szybko sprawdzi, kto go zabił, znajdzie jego kolegę z pistoletem. – Artois wzruszył ramionami. – Ta broń jest zdradliwie prosta w obsłudze, ale trzeba jeszcze umieć celować. Powiedz mi, Kathryn, czy kule magiczne dużo kosztują?

– Nagrywali nas?

– Próbowali, ale popsulem. Chcę ustalić, jakimi środkami dysponuje człowiek, który ich wysłał.

Tramwaj konny zatrzymał się na przystanku. Przerwali rozmowę, usiłując wcisnąć się do środka. Kathryn trochę się obawiała, jak kapitan znieśie podróż w obcym, ciasnym pojeździe, ale złapał się barierki, jakby urodził się w Avalonie.

Umościła się połową tyłka na ćwierci wolnego siedzenia i wreszcie odpowiedziała na pytanie.

– Sporo kosztują. Moją kulę, podstawowy model, kupiłam dzięki pomocy rodziców. Nawet Vincent do niedawna nie miał własnej. Są popularne wśród

czarodziejów, to narzędzie pracy dziennikarzy i tym podobnych. Ale kiedy nas nie było, wyszła nowa generacja i przez krótki czas dało się kupić stare po niższej cenie, jeśli ktoś się zakreślił. – Po chwili namysłu dodała: – A także zawsze można je ukraść.

Popotknął ze zrozumieniem. Kathryn nakręciła kosmyk włosów na palec.

– Ciekawe, kto chciałby nas nagrywać, chodząc za nami przez całe miasto? Dziennikarze nie strzelają z pistoletów w ciemnych zaułkach.

– To samo pomyślałem. – Artois nachylił się nad nią. – Powiedziałaś, że określenie „Mag Pustki” czasem jest obelgą. Niepokoi mnie ta druga możliwość. O ile wiem, Meg i Belinde dały do zrozumienia, że Wielki Mag został w Bretanii. Jeżeli ktoś usiłuje go znaleźć między nami...

– ...wie dużo więcej, niż powinien.

– Albo chce wykluczyć wszystkie możliwości.

Popatrzyli po sobie. „On ma taką malutką bliznę na ustach – zauważyła Kathryn. – Naprawdę malutką i naprawdę uroczą”.

– Wziąłś ze sobą swoją kulę? Warto dać znać Belinde.

– Dojedźmy najpierw do rodziców. Artois...

– Tak?

– Nie zdenerwuj się.

Kapitan uniósł brwi z rozbawieniem.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że twoi rodzice też są nieco nieokrzesani?

Parsknęła śmiechem.

– Tak, znaczy nie, znaczy ojej. Bezpośredni. Są dość bezpośredni.

Pomyślała, że chyba umrze ze wstydu, jeśli mama postanowi zapytać Artois o stan uzębienia. Kapitan uzna, że traktują go jak konia na sprzedaż. Trzeba będzie jej odpowiednio wcześnie i dyskretnie wyjaśnić, że stan zdrowia Bretańczyka, z uzębieniem włącznie, jest bez zarzutów, odkąd zaopiekowała się nim księżna uzdrowicielka. Ponadto prędzej czy później kapitan de Narbonne będzie musiał porozmawiać z jej ojcem i po tym spotkaniu pewnie dwa razy się zastanowi, czy warto na dłużej związać się z córką tego mężczyzny.

Ale tak będzie lepiej, niż miałyby wierzyć w jej wyidealizowany obraz jako królowej Bretanii. Kathryn dobrze pamiętała, że chciała abdykować, zanim się

zorientowała, że jako monarchini ma szanse zrealizować każdy ambitny projekt inżynierski, jaki sobie zamarzy, i że najważniejsza decyzja, jaką musi podjąć, to zrównoważenie skarbu państwa pod tym kątem. Zniszczony wojną kraj wymagał odbudowania, brakowało fortec, dróg, zapór i mostów. Musiała tylko zdobyć fundusze i zebrać odpowiednio prężny zespół; możliwości wprost zapierały dech w piersiach. Ale czy gdyby abdykowała, kapitan de Narbonne nadal by ją kochał? Do jakiego stopnia pociągały go wyłącznie jej moc i władza?

– Kathryn – ujął jej dłonie – jeśli przypominają cię, na pewno się nie zdenerwuję. Kocham cię.

Poczuła się nieco zdeprymowana i popatrzyła kapitanowi w oczy, próbując zgadnąć, czy usiłował wyrazić zawołowaną krytykę, ale nic takiego nie stwierdziła. Nie żeby umiała takie rzeczy odgadywać. Artois zrozumiał jej spojrzenie zupełnie inaczej i nachylił się do pocałunku. W tym momencie tramwaj szarpnął, jakaś babcia zepchnęła Kathryn z siedzenia i połowa pasażerów poprzewracała się na siebie. Gramoląc się z powrotem do pionu, Kat stwierdziła w duchu, że Avalon bywa czasem przynębiająco mało romantyczny.

\* \* \*

Artois pamiętał swoją matkę jak przez mgłę. Kilka scen, które się zachowały, pojedyncze obrazy, które obracał w pamięci tak długo, aż sam nie wiedział, co wymyślił, a co wydarzyło się naprawdę. Matka, drobna i śniada, roześmiana, w szmaragdowej sukni i ze sznurem pereł na szyi. Na spacerze z dumnym czarnowłosym mężczyzną, który był chyba jego ojcem, hrabią de Morion. Matka ucząca go pisania i rachunków w zaciszu pracowni, w otoczeniu manekinów opiętych w jedwabie i adamaszki.

Matka przymierzająca przed miedzianym lustrem stary, wyblakły szal, z podkrążonymi oczami i poszarzałymi włosami, cień dawnej siebie. „Powiedz mi, synku, czy widać, gdzie zacerowałam”. Miał wtedy osiem lat. Wspomnienia o matce trzymały go przy życiu podczas lat spędzonych na obrzynaniu sakiewek i włamywaniu się do domów porządnym mieszczan. Ostatecznie odbił się od dna tylko dzięki niej.

Teraz siedział przy stole i chłonał rodzinną atmosferę, w jakiej Kathryn pławiła się przez całe życie, nawet po tym, jak wyprowadziła się na stację. Ponieważ państwo d'Argent nie mieli kontaktu z córką przez rok, a do tej pory rozmawiali

tylko za pośrednictwem kuli, atmosferę podawano w podwójnych porcjach. Poczęstowano go górą jedzenia – te dziwne różowe stworzenia w skorupkach chyba nazywano homarami – a matka Kat, czyli księżna Dorothy Verd de Branche d'Argent, zadawała różnego typu niedyskretne pytania.

– Co robią twoi rodzice?

– Nie żyją, proszę pani.

– Och, strasznie cię przepraszam...

– Właśnie. – Ojciec Kathryn, Terence, otarł wąsy z sosu. – Kat opowiadała, że zostałeś usynowiony przez lady de Breville, czy to prawda? Czy Margueritte jest z tobą spokrewniona?

– Jesteś żołnierzem – zawtórowała mu Dorothy. – Czy macie w armii zagwarantowaną opiekę dentystyczną? Prowadzę własny gabinet.

Artois popatrzył na Kathryn z rezygnacją. Nie miał pojęcia, o czym jej matka mówi.

– Mamo, Artois po ostatniej misji wojskowej był pod opieką czarodziejki chirurga. Uzębieniem też się zajęła.

– Ale, kochanie, chyba nie chcesz zaciągnąć się do wojska? – spytał zaniepokojony ojciec. – Dopiero wróciłaś z tajnej misji; Weyland nie przekazywał nam nawet listów od ciebie. Miałas być inżynierem. To znacznie bezpieczniejsze zajęcie.

I tak dalej. W pewnym momencie kapitan wymknął się do łazienki. Zastanawiał się, co zrobią poczciwi mieszczanie, których nigdy w życiu nie podejrzewałby o przynależność do królewskiego rodu, jeżeli wszystko wyjdzie na jaw. Może trzeba będzie ich sprowadzić do Bretanii, dla ochrony przed awalońskimi dziennikarzami.

Rozejrzał się wkoło. Herby rodowe, tarcze i emblematy wisiały w korytarzu między portretami i krajobrazami bez żadnej dostrzegalnej kompozycji. Państwo d'Argent zamieszkiwali piętro w kamienicy, zakurzone i dawno nieodnawiane. Artois nie znał arboriańskich standardów ani podziałów klasowych, ale wydawało się, że apartament widział lepsze czasy. Odcyfrował dyplomy w oprawkach zawieszane obok herbów. Wyglądało na to, że rodzice Kathryn zawodowo parali się pomniejszą magią.

Zaskrzybiały drzwi. Z salonu wyłonił się Terence, ostatni książę d'Argent. Technik magii i mechaniki precyzyjnej, jak głosił dyplom.

– Imponujące, prawda? – zagadnął, wskazując herby.

– Nie wszystko rozpoznaję – przyznał Artois. – Dopiero niedawno przybyłem do Arborii.

– W takim razie musisz wiedzieć, że jeśli zechcesz ożenić się z Kathryn, będzie musiała przyjąć twoje nazwisko rodowe, inaczej sąd nie pozwoli na przekazanie majątku. A i tak może zostać z niczym, bo jest utalentowana. Wiesz, że obłożono nas anatemą?

„Wcale nie będą nas swatać – pomyślał Artois. – Ani troszeczkę”. Rozbawiło go to nieco. Rzeczywiście ojciec Kathryn jest bezpośredni, skoro podnosi temat dziedziczenia majątku na pierwszym spotkaniu z wybrankiem córki, niewiele jeszcze o nim wiedząc.

– Nasz ród rządził Arborią kilka wieków temu, niedługo po Rozdarcu – kontynuował Terence – a wcześniej jako jeden z trzech rodów Triumwiratu. Co czyni z Kathryn księżniczkę krwi, gdyby takie rzeczy oczywiście miały jeszcze znaczenie.

– W Avalonie nie mają?

– Tytuł jest niewiele wart bez majątku. Moim przodkom skonfiskowano włości i skrócono o głowę utalentowanych; prawdę mówiąc, chyba słusznie. Według wszystkich przekazów historycznych cierpieli na dziedziczne szaleństwo oraz brak kontroli nad mocą. Tylko pamiętaj, że opowiadam o bardzo dawnych dziejach. Żadne z nas nie jest szalone. – Terence unióśł palec wskazujący. – Posłuchaj mnie uważnie. Tak zupełnie szczerze, ani władza, ani majątek nie mają ostatecznie znaczenia w życiu.

– A co ma? – spytał Artois, rozumiejąc, że ojciec Kathryn oczekuje od niego tego pytania.

– Chodź za mną.

Kapitan posłusznie podążył za Terence’em. Starszy mężczyzna zatrzymał się na samym końcu korytarza i trzema różnymi kluczami otworzył drzwi. Uchyliły się ze skrzypieniem.

– Proszę. Spójrz.

Artois już kiedyś widział podobny gabinet. Pracownia czarodziejki Margueritte de Breville również była zarzucona papierami i księgami. Terence dodatkowo gromadził wszelkiego rodzaju śruby i śrubki, druty, metalowe pojemniki i szklane

bańki. W rogu, pod osmolonym okapem, znajdował się stół pokryty ceramiką, a na nim zamontowano imadło. Na ścianach wisiały schematy bliżej nieokreślonych mechanizmów.

– Kotły parowe – powiedział z dumą ostatni książę de Branche d’Argent. – One mają znaczenie. Oczywiście tutaj wytwarzam tylko małe modele. Nie jeden do jednego. Istnieje pewne ryzyko eksplozji i nasza gospodyni stanowczo się temu sprzeciwia.

– Aha...

– Gdybyśmy dysponowali większą ilością paliw kopalnych, cały świat przemierzałoby już parowe smoki, maszyny o potężnych tłokach, gromadzące moc setek koni. Ale na całym świecie nie ma tyle węgla ani ropy, aby dysponować materiałem o właściwej kaloryczności. Ich zastosowanie pozostaje czysto eksperymentalne. Magia, zapytasz. Czy można użyć automagii? Oczywiście, ale ilość energii, jaką trzeba zużyć na runy grzewcze, wzrasta wykładniczo razem z pojemnością kotła, a transmutacja paliw niesie ze sobą jeszcze większe koszty. Co ciekawe, może nie mów tego Kathryn, wczytałem się dokładnie w notatki mojej córki i znalazłem tam informacje, że w dawnych wiekach Magowie Pustki zajmowali się przetwarzaniem mocy na olbrzymią skalę. Gdyby kiedykolwiek pojawili się na świecie...

– ...poprosiłby ich pan o pomoc przy produkcji kotłów parowych? – spytał Artois, sam nie wierząc, że wypowiada te słowa. Wiedział, że chociaż Magowie Pustki – Wielcy Magowie – byli w Bretanii czczeni i poważani, tutaj ciągnęła się za nimi czarna legenda. Ale książę d’Argent najwidoczniej nie zaprzątał sobie głowy takimi detalami.

– Właśnie! Muszę przyznać, że jesteś niezwykle inteligentnym młodzieńcem. Może pomógłbyś mi kiedyś przy warsztacie? – Terence westchnął. – Niestety, z braku cudownych rozwiązań opracowuję znacznie bardziej przyziemne metody.

\* \* \*

„Mógłbym tak żyć – myślał kapitan, gdy wracali długo po zmroku, zmęczeni i przejeżdżeni. – Mógłbym się przyzwycząić, zamienić królewską gwardię na żandarmerię, czyli tutejszą straż miejską, patrolować ulice i gonić kieszonkowców. Żyć w skromnej mieszczańskiej wygodzie, wyhodować brzuch

i zestarzeć się w egzotycznej, ale bezpiecznej Arborii. Nie kłaniać się moźnym, obierać króla w powszechnych wyborach. Towarzyszyć Kathryn w pracowni, którą niewątpliwie prędzej czy później obstałowałaby w domu”. Przez pewien czas bawił się myślą, że Kat abdykuje, zostawią Bretanię daleko za Mostem i będą udawać, że Druga Strona nigdy nie istniała.

„Gdybyś, Wędrowcze, zechciał kiedyś odprowadzić moją duszę do nowego życia, to byłoby całkiem odpowiednie” – pomodlił się w duchu i po raz kolejny rozejrzał się ukradkiem. Niezależnie od tego, kto ich śledził, trochę za późno, aby zawracać kijem rzekę. Już wiele osób oprócz nich wiedziało, że jego ojczyzna istnieje, a niektóre z nich były stanowczo niepowołane.

Z zaułków wylaniały się brzydsze aspekty miejskiego życia; pod ścianą smacznie spał pijak, ulicą przemknęła krzykliwie wystrojona dama, której zawód można by rozpoznać na pierwszy rzut oka w każdym kraju. Przy wejściu do gospody stało dwoje młodych ludzi zalanych w pestkę; kapitan myślał, że wzrok go myli, ale dziewczyna naprawdę miała niebieską skórę, a chłopak długie spiczaste uszy, jak baśniowe stworzenia zwane elfami. Belinde nic mu nie mówiła o innych oprócz ludzi istotach żyjących w Avalonie, może przytył na sprytną iluzję albo przebranie?

Trzymali się oświetlonych ulic, ale Kathryn nie wydawała się szczególnie wystraszona. Błyszczały wokół niej osłony, aż kilkoro spóźnionych przechodniów obejrzało się z lękiem. Tym razem chyba nikt za nimi nie szedł, co trochę rozczarowało kapitana. Miał nadzieję, że koledzy zabitego poczują się w obowiązku pomścić kamrata i będzie można wciągnąć ich w zasadzkę. Oczywiście obawiali się nie jego, lecz Kathryn. Każdy szpicel wart swojej ceny wiedział, co potrafi siwowłosa dziewczyna u boku Artois. I chociaż rzucanie zaklęć ofensywnych w mieście było prawnie zabronione i – podobnie jak używanie broni palnej – surowo karane, wiadomo, że gdzie walczą czarodzieje, tam Wędrowiec ogniste kule nosi.

– Czy Belinde się odezwała? – spytał.

Podczas pobytu u państwa d’Argent w wolnej chwili skorzystał z naładowanej przez Kathryn kuli i powiadomił lady Chamomille o wydarzeniach dzisiejszego przedpołudnia.

– Jeszcze nie – mruknęła Kathryn. – Może faktycznie powinniśmy przenieść się do Belle. A jeśli się włamią?

– Jeżeli tego nie zrobili, założysz na noc zakłęcia ostrzegawcze – odparł Artois. – Nie są ofensywne, więc rozumiem, że powinny być dozwolone. A jeżeli już się włamali, cóż, po prostu posprzątam. Najcenniejszą rzecz, czyli twoją kulę, mamy ze sobą. Hm. Czy umiałabyś rzucić zakłęcia, które pozwoli do nich dotrzeć?

– Zakłęcia śledzące, dywinacje i spora część magii leczniczej – wymieniła Kathryn, odginając kolejno palce – opierają się mocno na komponencie Entropii. Wszystko co odpowiada za zmiany w czasie oraz proces rozkładu.

– Sądziłem, że leczenie działa raczej odwrotnie...

– Żeby zregenerować tkankę, trzeba fragment po fragmencie usunąć uszkodzone ciało, nie mówiąc nawet o mikrobach – odparła Kat. – A poważniejsze zakłęcia lecznicze potrzebują także silnej kontroli w czasie. Nie chcesz wiedzieć, jak wyglądają skutki nieudanego zakłęcia leczniczego. Ale dywinacji mogę spróbować. Rano, jak trochę odpocznę.

– Przepraszam bardzo, szanownych państwa – odezwał się uprzejmy, ale stanowczy głos.

W ich stronę maszerował patrol żandarmerii. Dwóch mężczyzn w czarnych garniturach i wysokich czapkach. Przodem szła kobieta o surowej twarzy, w podobnym umundurowaniu, ale z błękitnymi epoletami na ramionach.

Kathryn westchnęła ciężko.

– Dobrze, proszę bardzo, niech pani spojrzy. Wszystkie zakłęcia, jakie mam na sobie, są stuprocentowo legalne.

– Oczywiście – zgodziła się funkcjonariuszka. – Ile ich jest? Trzy czy cztery?

– Dwa – jęknęła czarodziejka. – Aura Ostrzegawcza i Pomniejsza Tarcza.

– Tak? Wyglądają raczej na klasę wojskową. Proszę rozproszyć.

Kat posłusznie zdjęła osłony.

– Mam profil Creo – wyjaśniła. – Mogą się wydawać silniejsze, niż powinny.

Żandarm notowała coś w małym zeszycie. Artois przypatrywał się zafascynowany. Obsesja Arboriańczyków na tle słowa pisanego wydawała się wszechobecna.

– Aura Ostrzegawcza i Pomniejsza Tarcza – powtórzyła żandarm. – Dokumenty proszę. Dziękuję. Proszę unieść ręce i przygotować się na Niższą Psychometrię.



Poczujecie pani niewielką ingerencję magiczną, więc proszę o powstrzymanie odruchu obrony.

– Proszę pani – zaczął kapitan ostrzegawczo.

– Spokojnie, Artois. – Kathryn wyglądała na zirytowaną, ale nie zaniepokojoną.

– Pani tylko sprawdza, czy mówię prawdę.

– Czy to nie jest nadmiar ostrożności? Przecież pani widzi, że żadne z zaklęć...

– Pana jeszcze wylegitymujemy – odparła spokojnie funkcjonariuszka. – Poszukujemy człowieka podobnego do pana. Doloriańczyk, średniego wzrostu. Może być niebezpieczny.

Artois niezauważalnie odetchnął z ulgą. Skoro mówi to na głos, znaczy, że wykluczyła go z podejrzeń. Oczywiście, rozumował, rozglądali się za cudzoziemcem, a on dzięki szpilce Belinde mówił bez akcentu. Począł spokojnie, aż czarodziejka w służbie prawa skończyła rzucać swoje zaklęcie. Kolejna rzecz, jakiej dziś dowiedział się o Avalonie w praktyce. Belinde wspominała, że reguły dotyczące stosowania magii w miejscach publicznych traktuje się z ogromną powagą, ale nie wyobrażał sobie, że w służbach porządkowych pracują czarodzieje. To sporo zmieniało. Naprawdę sporo. Zastanowił się, czy przesłedzili wydarzenia na zapleczu Starego Fakira i w jakim stopniu potrafili określić ich przebieg.

Skoro Avalon może zatrudniać magów w żandarmerii, ilu ich w ogóle mieszka w stolicy? A w całej Arborii? Przeszedł go dreszcz. Pomyślał o przewadze bitewnej, gdyby Arboriańczycy postanowili zaatakować Bretanię. A skoro już mowa o czarodziejach w żandarmerii, z pewnością pojawili się w odpowiedzi na czarodziejów łamiących prawo.

Podzielił się tymi wnioskami z Kathryn, kiedy żandarmi oddalili się już w swoją stronę.

– Ktoś musiał na mnie donieść – wyjaśniła Kat. – Ona była półaktywna, ale do trudnych przypadków wzywają ciężką artylerię. Wiesz co, chyba rzeczywiście odgrzebię te zaklęcia dywinacyjne. Pierwszy raz w życiu wylegitymowano mnie za tarcze ochronne; poważnie, chciałabym wiedzieć, co się tutaj właściwie dzieje.

\* \* \*

W mieszkaniu na piętrze panowała cisza. Koszmarna gospodyni razem ze swoją fajką zniknęła z pola widzenia, słyszenia i czucia. Ściany były grube, Avalończycy wznosili budynki tak, aby odizolować się od siebie nawzajem. Przez okno docierały do nich z rzadka odgłosy ulicy.

Kathryn zajmowała pokój łazienki. W przeciwieństwie do bogatszych kamienic, gdzie zainstalowano już sieć wodociągową, tutaj wodę przynosiło się z pompy na podwórzu i grzało na kuchni. Kiedy wrócili, czekały na nich dwa powitalne wiadra. Jedno było jeszcze ledwo ciepłe. Artois dowiedział się, że następnym razem będą już musieli zadbać o to sami.

Usiadł na sofie, rozpiął surdut i poluzował kołnierzyk. Znowu powracała świadomość, że tej nocy znajdzie się sam na sam w jednym apartamencie z królową Bretanii, i nie potrafił przestać sobie wyobrażać, jak drobne piersi Kathryn i jej smukła pupa wyglądają bez ubrania. Wydawała się zmęczona; Artois pomyślał, że przedpołudniowa gorączka, jaka ich ogarnęła, chyba minęła pod wpływem wydarzeń dnia. Kto wie, może zraził ją do siebie podczas wizyty u rodziców? I w ogóle jak rozmawiać z królowymi o sztuce miłosnej? Nawet takimi, które wychowały się jako zwykle mieszczki?

„Przestań, durniu – skarcił samego siebie. – Nigdy jeszcze cię tak nie wzięło, ale to nie powód, żeby twój mózg od razu zmienił się w eklerkę, jesteś w obcym kraju, obcym miejscu, śledzili was podejrzani ludzie, spróbuj się opanować”. Wyjął zza pachy list od Margueritte. Teraz dopiero miał czas, aby go przejrzeć.

Otworzył kopertę. Kartka po kartce przeglądał oficjalne arboriańskie dokumenty, zaopatrzone w tyle pieczętek, że nie potrafił sobie wyobrazić, jakim cudem lady de Breville zmusiła tych ludzi do podstemplowania papierów w ciągu ostatnich dwóch miesięcy; musiała chyba wykorzystać wszystkie swoje koneksje. Ciarki chodziły mu po grzbiecie. Rzeczywiście przyjęła go do rodziny. Mówiono mu, że Margueritte żadnej sprawy nie zostawia w pół drogi, ale nie wierzył. Skąd taki hojny gest? Po co? Wyłącznie z powodu Kat?

I na Pustkę, przecież to oznacza, że jest teraz Arboriańczykiem.

Nie wyobrażał sobie, żeby lady de Breville nie rozważyła wszystkich konsekwencji tego faktu. Ale nie potrafił zrozumieć, o co chodzi Margueritte, Czarnej Prorokini, Mistrzynie Kryształowego Ognia, jak nazywano ją na dworze. Czy też Szalonej Meg, jak mawiali ludzie z Arborii. Jego przybranej matce.

Trafił wreszcie na plik spiętych drucikiem papierzysek. W pierwszym momencie nie zrozumiał ani słowa. Były pełne cyfr i schematów; wyłowił jednak nazwisko de Branche Morion, ród szlachecki człowieka, który go spłodził. Do kartek dołączono krótką notatkę napisaną niewyraźnym charakterem pisma. W jego ojczystym języku.

*Zalłączam dywinację Twojego rodowodu. Bretańskie linie krwi są bardzo silne. Jako obywatel Arborii możesz za darmo zapisać się na test potencjału. Decyzja należy do Ciebie.*

*Pozdrawiam*

*Twoja pani matka,*

*Margueritte de Breville de Branche d'Ambre.*

Starannie zebrał kartki i z powrotem włożył je do koperty z grubego nieprzezroczystego papieru. Krew szumiała mu w uszach. „Przecież o tym wiedziałeś – podszeptywał mu rozum – przecież się orientujesz, czym jesteś synem i kim mógłbyś zostać, gdybyś tylko miał okazję”. Ale czy Margueritte chociaż w połowie zdawała sobie sprawę, jak potężnego wysiłku od niego wymaga? Od niego, chłopaka wyszkolonego na ulicach i gościńcach, a nie w przytulnych salach arboriańskich szkół? Jakie wyzwanie mu rzuciła? A co zrobiłaby Kathryn, gdyby się dowiedziała, że kapitan nie chce poprzestać na statusie królewskiego faworyta? Może poczułaby się osaczona? Luźny związek z nieutalentowanym brzmiał bezpiecznie. Co innego, jeśli... Nie śmiał o tym myśleć.

Czy próbując zbyt mocno przy niej trwać, straciłby ją na zawsze?

Wciąż o tym myślał, kiedy wrócił z łazienki i owinął się prześcieradłami na sofie. Zimna woda w niczym nie pomogła; zapowiadało się, że znów czeka go bezsenna noc. Wreszcie podjął decyzję. Jeżeli w ogóle chce mieć szansę cokolwiek zacząć, musi nauczyć się rozmawiać z Kathryn wprost.

Spotkali się w drzwiach między pokojami. Stała naprzeciwko niego, ubrana wyłącznie w cieniutką nocną koszulę. Poczul, jak przyspiesza mu oddech.

– Nie mogę spać – szepnęła.

– Mam ten sam problem.

- Nie przejmiesz się, jeśli powiem coś głupiego?
- Nie. – Brakowało mu słów.
- Czy możemy to zrobić tak, żeby nie było od razu małego następcy tronu? – Rozchyliła usta. – Ja jeszcze nigdy... ale znam takie uroki...
- Przyjmę każdy urok, jaki na mnie rzucisz. – Objął ją delikatnie. Przez koszulę czuł jej rozgrzaną, gładką skórę. – Nie bój się. Będzie dobrze. Jestem przy tobie.

\* \* \*

Obudził się zaskakująco późno. Słońce świeciło przez firanki na ich twarze. Popatrzył na Kathryn. Leżała na wznak z półotwartymi ustami i chrapała cichutko, jakby mruczał kot. We śnie wyglądała tak niewinnie i bezbronne. Łatwo było zapomnieć, że kiedy trzeba, nie zawaha się walczyć ze smokami. Wstał powoli z łóżka, uważając, żeby jej nie obudzić. Znów wzbierał w nim żar, ale wiedział, że powinien dać jej odpocząć.

Chciał śpiewać ze szczęścia, ale to też nie był szczególnie dobry pomysł, bo w przeciwieństwie do aktorów, których spraszał na dwór hrabia Trevancel, Artois miał drewniane ucho i jedyne, co mógł osiągnąć, to wyrwać Kathryn ze snu, zaalarmować gospodynię i sąsiadów oraz spłoszyć wszystkie gołębie w okolicy. Doszedł więc do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli przyniesie wody z podwórza.

Zanim wyszedł, jego wzrok przykuła kula magiczna, pozostawiona przez Kathryn na stoliku do kawy w pokoju obok. Rozświeciła się od środka, pulsując miarowo. Znaczy, że Belinde odpowiedziała. Kapitan poskrobał się w głowę. Kat naładowała kulę, więc mógł się nią posłużyć, ale jak to się robi?

- Magiczna kulo – szepnął. – Pokaż wiadomość.
- Podaj datę oraz/lub nadawcę oraz/lub adresata wiadomości – zaproponowała kula damskim głosem. – Wyszukaj za pomocą hasła.
- Magiczna kulo, pokaż wiadomość od Belinde Chamomille. Data wczoraj albo dziś.
- Nowa wiadomość, nadawca Belinde Chamomille. Nie znaleziono daty wczoraj albo dziś. Czy pokazać wiadomość?
- Pokazuj.
- Polecenie nieznane. Oczekuję polecenia.

– Magiczna kulo. – Kapitan siłą woli powstrzymał się, żeby nie cisnąć nią o podłogę. – Pokaż nową wiadomość, nadawca Belinde Chamomille.

Szkoło rozjaśniło się ponownie; wewnątrz zawirowała szarozielona mgła. Obraz wyostrzył się stopniowo, objawiając światu harmonijne rysy i długie, starannie ufryzowane blond pukle lady Chamomille. Czarodziejka z powagą spoglądała na odbiorcę wiadomości.

– Kiedy usłyszycie moje nagranie, będzie już zapewne po północy, więc dzień dobry. Mam nadzieję, że przyjemnie się wam spało w Avalonie. – Artois przysiągłby, że dostrzegł w jej oczach błysk rozbawienia. – Zasłońcie okno i sprawdźcie, czy nikt nie podsłuchuje za drzwiami. Czekam dwie minuty.

Zgodnie z instrukcją kapitan ostrożnie uchylił drzwi wejściowe. Później wrócił do pokoju, gdzie spali razem z Kathryn; przecisnął się między szafką nocną a ciemnoszarym prześcieradłem, dyskretnie zerknął za firanki. Młoda królowa poruszyła się we śnie i z cichym pomrukiem obróciła na drugi bok. Uśmiechnął się, wracając do kuli.

Lady Chamomille uniosła wzrok, wpatrując się w coś, co znajdowało się poza obszarem widocznym dla odbiorcy.

– Dwie minuty minęły. Zakładam, że nadal mnie słuchacie. Dobrze. Sprawdziłam nazwisko. Millie Severia ma grubą kartotekę w avalońskiej żandarmerii; działa w półświatku. Kilka lat temu była zamieszana w głośną aferę dotyczącą handlu nielicencjonowanymi różdżkami, ale oczyszczono ją z zarzutów. Jeżeli jej ludzie za wami chodzą, to znaczy, że znów pracuje dla czarnoksięskiego podziemia, i wiem, kogo zapytać o szczegóły. Spotkajmy się u mnie o dziesiątej rano.

Dziesiąta rano, czyli przekładając na ludzki język, wczesne przedpołudnie? Arboriańczycy byli obsesyjnie dokładni, jeśli chodzi o pomiar czasu. Kapitan odruchowo zastanowił się, jak wysoko stoi słońce, a potem przypomniał sobie, że nad stolikiem, na którym leżała kula, wisi mały mechaniczny zegar. Spojrzał na oszkloną tarczę pośrodku ciemnego drewnianego pudełka, przez moment przypominał sobie jedną z pierwszych lekcji, jakich udzieliła mu Belinde, znalazł krótszą i dłuższą wskazówkę i dokonał krótkiej kalkulacji.

Jeśli się nie pomylił, brakowało dokładnie dziesięciu minut do dwunastej.

Chwilę później kapitan Artois bardzo żałował, że dał znać Kathryn. Mógłby pozwolić jej spać dalej i załatwić tę sprawę samodzielnie. Miał przecież adres Belinde i zawsze mógł zawołać dorożkę. Chociaż z drugiej strony gdyby wyszedł sam, skutki mogłyby przekroczyć wszelkie oczekiwania.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś? – Czarodziejka mocowała się z troczkami koszuli.

– Sam wstałem chwilę przed tobą. Czy mogłabyś przestać się denerwować?

– Łatwo ci mówić! Ty przecież nie masz poczucia czasu!

– Wręcz przeciwnie, ja do niego nie potrzebuję zegarów. Czy lady Chamomille naprawdę tak źle znosi spóźnienia? Nawet ze strony długoletnich przyjaciół? – Wskazał na Kat. – Jeżeli szybko wyjdziemy, powinniśmy ją zastać. Nigdzie się chyba nie spieszyła.

– Nie skontaktowała się ponownie. I teraz nie odbiera przy swojej kuli. – Lekko przygarbiona Kat obracała się wkoło w poszukiwaniu jakiegoś bieliźnianego drobiazgu. – Jesteśmy spóźnieni godzinę pięćdziesiąt siedem minut! Pięćdziesiąt osiem! Trzeba się jeszcze ubrać! Powinniśmy już dawno wyjść!

– Kathryn. Kathryn, nikt nie straci za to głowy. – Spróbował położyć dłoń na jej ramieniu, ale otrząsnęła się i popatrzyła na niego błędnym wzrokiem.

– Nigdy nie widziałem cię tak zdenerwowanej, nawet kiedy sądziłaś zdrajców królestwa – powiedział. – Może nie rozumiem, dlaczego tak poważnie traktujecie pomiar czasu, ale to nie tłumaczy twojego zachowania.

Królowa zacisnęła powieki i wstrzymała na chwilę oddech. Wypuściła powietrze z płuc. Powiedziała coś bezgłośnie; kapitanowi wydawało się, że brzmiało to jak „tu i teraz”. Kiedy otworzyła oczy, wydawała się spokojniejsza.

– Belinde jest bardzo punktualna – powiedziała przygaszonym głosem. – W przeciwieństwie do mnie. Mamy układ, że kiedykolwiek się umawiamy, przypomina mi wcześniej o spotkaniu. Jedyne raz, kiedy tego zaniechała, to było wtedy, gdy w nieudanym rytuale transformacyjnym wybuchło jej pół laboratorium. Nie wyobrażasz sobie, jak wyglądały pracownia i moja mistrzyni, kiedy wreszcie tam dotarłam; miesiąc leczyła poparzenia. A teraz poszła w środku nocy wypytywać o kryminalistów. Boję się, że coś się stało.

– Lady Chamomille to jedna z najpotężniejszych czarodziejek, jakie znam – odparł Artois, chociaż trochę udzielił mu się niepokój. Był obcy w Avalonie, może

źle oceniał sytuację. – Jeżeli ona nie potrafi dać sobie z czymś rady, nikt nie potrafi. Przewiduję, że zastaniemy ją w salonie nad zimną herbatą albo kawą, chyba nie pijecie wina przed południem? Najwyżej nie każe podać nam ciastek.

Kończąc wypowiedź, kątem oka dostrzegł błysk. Kula magiczna rozjaśniła się ponownie.

– Spójrz. – Delikatnie dotknął łokcia Kathryn.

– O, na Pustkę – odetchnęła. – Magiczna kulo, odbiór.

Pod krzywizną szkła objawiła się twarz sędziego, chociaż rzeńskiego mężczyzny w cylindrze i eleganckich okularach.

– Pustka i Zaświaty – zaklął książę Bernard. – Czy ten piekielny kryształ działa? Kathryn? Artois? Słyszycie mnie tam?

Kathryn odruchowo przyklepała włosy i poprawiła ramiączko koszuli.

– Zaspaliśmy...

– Widzę.

– Co się dzieje z Belinde?

– Nie wiecie? Byłem przekonany, że znajdę ją u was – odpowiedział książę de Montreuil. – Wyszła w nocy, podobno spotkać znajomego z dawnych lat. Nie zamierzałem jej przeszkadzać, ale zapowiedziała, że przed południem planuje was podjąć. O ile znam awalońskie zegary, już nadeszło południe. Sądziłem, że chce oszczędzić czasu i zgarnąć was po drodze.

– Dlaczego nie zabrała swojej kuli? – Kathryn zmarszczyła brwi.

– Powiedziała, że ze względów bezpieczeństwa.

– I to cię nie zaalarmowało?! – krzyknęła królowa. – Kto dla bezpieczeństwa zostawia swoją kulę w obcych rękach?

– W zaufanych rękach – poprawił Bernard i spojrzał na nią z powagą. – Ja tak kiedyś postąpiłem, Wasza Wysokość. I moja decyzja okazała się ze wszech miar słuszną. Czy mógłbym uprzejmie p rosić Waszą Wysokość, aby się opanowała i jak najszybciej przybyła do miejskiej rezydencji lady Chamomille? Oczywiście wszystko pozostaje w gestii Waszej Wysokości.

– Ja... Przepraszam.

– Jeżeli już wpadasz w furję, nie przepraszaj. – Książę de Montreuil pokiwał palcem. – Monarchowie przepraszają tylko w ostateczności. Ale królewski gniew

też powinnaś zachowywać na wyjątkowe okazje. Rzuciłam dywinację, jednak wydaje mi się, że Belinde zamaskowała swoją obecność przed zaklęciami. Wasza Wysokość dobrze zna lady Chamomille; może z Waszą pomocą dam radę przełamać impas. Do zobaczenia na miejscu.

Kula zgasła. Kathryn oparła dłonie na stoliku, potem przeczesała włosy palcami.

– Nie znoszę, kiedy Bernard mnie poucza i ma rację – powiedziała cicho. – Artois, czarno to widzę. Czy zgadniesz, jak długo powtarzałam zaklęcie śledzące w Bretanii, zanim udało nam się określić, gdzie przebywa Vincent?

– Nie muszę zgadywać, pamiętam – odparł kapitan. – Nauczyłem się je rozpoznawać. Podejrzewam, że dzięki praktyce doszłaś do wprawy. Gdybyś nadal miała problem, na miejscu pomoże Bernard. Gdyby magia okazała się bezużyteczna – uśmiechnął się niewesoło – pozostają jeszcze ja. Nie znam miasta, ale dysponuję pewnym doświadczeniem.

Zamknęła oczy, rozpościerając palce na stoliku. Trwała jakiś czas w tej pozycji, aż Artois zaczął się niepokoić. Wreszcie spojrzała na niego, znów opanowana, rzeczowa i gotowa do działania; królowa, jaką zdążył już poznać.

– No dobrze – powiedziała. – Idziemy.

Właśnie wtedy kula zajaśniała ponownie, ale wewnątrz pojawił się tylko obraz szczupłej, bladej dłoni.

– *Kathryn Verd?* – odezwał się metaliczny, monotonny głos. – *Kontaktuję się z tobą na prośbę Andreasa Weylanda. Muszę was ostrzec. Dziś rano na Granicy wydarzył się incydent...*

\* \* \*

Vincent i Amandine

Ombre, tego samego dnia po południu

P osłusznie uniosłem rękę.

Starsza pielęgniarka z poważną miną przesunęła po moim ciele medycznym wykrywaczem skażenia, niedużym kwadratowym urządzeniem z mosiądzu. Od dotyku zimnego metalu cierpła mi skóra.

– Na wszelki wypadek zażyje pan jeszcze pół dawki eliksiru – poinformowała. – Poziom nie przekracza tła, ale nie wykluczam opóźnionych reakcji. Mieli panowie



dużo szczęścia.

– I dobre... osłony – zauważyłem. Pielęgniarka ściągnęła brwi i sięgnęła do kieszeni po małą automatyczną lampkę.

– Proszę spojrzeć w światło. – Poświeciła mi w źrenicę. – Nie, dno oka wygląda dobrze. Proszę pokazać mi tę rękę. Czy miał pan już wcześniej objawy neurologiczne?

– Tak. To stare... dolegliwości.

– Muszę wykluczyć wszystkie skutki uboczne działania eliksiru – wyjaśniła. – Jako półaktywny wymaga pan większej uwagi. Zaleciłam, aby zajmowali panowie osobną kajutę na Glorii i mieli przydzieloną prywatną łazienkę. Oficjalnie nadal odbywacie kwarantannę i nie obchodzi mnie, że musicie natychmiast wracać do Avalonu. Gdybym mogła, zatrzymałabym was jeszcze tydzień na obserwację.

– Proszę pani, miałem... w życiu... więcej narażeń – zaprotestowałem. – Moja narzeczona...

– Aha, i jak to znakomicie wpłynęło na pańskie zdrowie. Oraz, jak widzę, bardzo pan się troszczy o los pańskiej nieutalentowanej narzeczonej – fuknęła pielęgniarka. – Nie obchodzi mnie, ile zaklęć potrafi pan rzucić ani jakie automagiczne cuda nosi pan przy sobie, skażenie jest skażeniem. Dopóki nie mamy lepszych metod, aby się go pozbyć, roznoszenie go na osoby postronne stanowi zagrożenie zdrowia publicznego. Wystarczy, że muszę znosić kaprysy aktywnych Źródeł z tej jednostki, niechże pan ich nie naśladuje zbyt mocno.

Zatem obrywało mi się za Archera, i w dodatku musiałem z nim dzielić kajutę.

– Oczywiście nie zmuszę pana do posłuszeństwa lekarzowi pokładowemu – dodała, wzdychając ciężko. – Ale proszę nie uciekać ze swojej kabiny oraz... jak mam to powiedzieć... zachować wstrzemięźliwość płciową do czasu kontroli po przylocie.

„Tego już trochę za wiele – pomyślałem. – Może ujawnię wszystkim, że jestem Magiem Pustki, i będzie po kłopotach”. A potem uświadomiłem sobie kontrast między czołobitnym zachowaniem niemagicznych Bretańczyków, pomagających mi w zeszłym roku przy misjach w rejonach dotkniętych skażeniem, a tupetem arboriańskiego personelu i nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

– No i co panu tak wesoło?

– Nic – odparłem, nadal się śmiejąc. Mimo wszystko dobrze być w domu.

Na szafce obok leżało moje ubranie, ostro pachnące środkiem chemicznym po dekontaminacji, a o ścianę oparto Zagładę Gwiazd zamkniętą w zaszurowanym futerale. Bretański zielony aksamit trochę się zmechaniał wskutek prania. Przebierając się za parawanem, ukradkiem wetknąłem do środka dokumenty przekazane mi przez Jacqueline. Kazano mi sprawdzić, czy wszystko się zgadza, i podpisać pokwitowanie.

Po drodze wpadłem na redaktora de Pointeferre'a.

– Witam, panie Thorpe – oznajmił sztywno. – Rozumiem, że czuje się pan już znakomicie.

– Proszę... się tak nie boczyć – odparłem wesoło. – Pre... numerowałem pańskie czasopismo jako nastolatek. Mam dużo... szacunku. Ale pewnych granic się nie przekracza.

– Dosłownie czy w przenośni? – prychnął redaktor. – Powiadam panu, prawdy nie można zatrzymać. Przydzielono nam wspólną kajutę z panem Archerem – i na Pustkę, klnę się, że gdy dostanę z powrotem kulę, wydobędę od was wszystkie szczegóły. Czy pan wie, że przez pana nie pozwolono mi zwiedzić całego statku?

– Mnie się zdaje – zauważyłem – że to dzięki mnie został pan... jednym z pasażerów.

– Och, załatwiłbym to sam, bez łaski. – De Pointeferre jakby obracał w głowie jakąś myśl. – Proszę powiedzieć – mam wrażenie, że gdzieś już słyszałem pańskie nazwisko – asystent Szalonej Meg to pan?

– Margueritte de Breville – zaznaczyłem z naciskiem. – Nie jest szalona.

– Widziałem ostatnio pewną publikację z waszą dwójką. – Odchrząknął, a ja poczułem, że włosy jeżą mi się na karku. Raczej nie chodziło o żaden z moich autorskich uroków dla artystów malarzy. Czyżby Meg, kiedy nie patrzyliśmy, opisała proces mojej aktywacji? Nie, to niedorzeczne. Ale de Pointeferre kontynuował: – Oczywiście prawdziwe nazwisko zastąpiono fikcyjnym, ale pańska tożsamość jest tajemnicą poliszynela. Może pan chcieć wytoczyć proces o naruszenie dóbr osobistych. O ile udowadnianie swojej racji przed sądem nie okaże się dla pana zbyt kłopotliwe. Podobno ma się pan wkrótce żenić, więc...

Uniosłem brwi.

– O czym, na Wędrowca, pan właściwie mówi? – spytałem ostro.

– Sam się pan przekona – odparł redaktor. – Przy czym, według prasy brukowej, asystował pan lady de Breville.

Machnąłem ręką. Dziwne, że pracując z Margueritte, dopiero teraz dorobiłem się plotek na swój temat. A co dopiero będzie, jeśli panu de Pointeferre’owi uda się spełnić groźby i wysłać reportaż do redakcji.

– Proszę pana – powiedziałem. – Proszę... zakręcić się raczej wokół panów czarodziejów. Za parę miesięcy... kiedy załatwimy... sprawę na Granicy... może uzyska pan od nich ekskluzywny materiał. Trzeba tylko trochę... cierpliwości.

To go wreszcie uciszyło. Ruszył wąsami w zamyśleniu.

– Wie pan, że konkurencja nie śpi – odpowiedział wreszcie. – Pewne pogłoski krążą po redakcjach już od dłuższego czasu i nie tylko ja przyjechałem do Ombre.

Tego się właśnie obawiałem.

– Proszę się nie martwić. Żołnierze... zamknęli jednostkę i wprowadzili stan... podwyższonej gotowości. Jeśli ktoś tutaj... przyjedzie, po prostu zaczną strzelać.

\* \* \*

Dobiegał wieczór. Oslaniając oczy przed blaskiem zachodzącego słońca, wpatrywałem się w srebrzyste poszycie Glorii d’Aquamarine, pierwszego statku powietrznego, jaki wyszedł poza stadium prototypu. Długi, smukły balon przypominał mi trochę delfina i zastanawiałem się, jak ogromny musiałby być, gdyby konstrukcji nie wzbogacono o runy antygravitacyjne.

Zanim trafiliśmy do Bretanii, przez długi czas interesowałem się nowinkami technicznymi. Usiłowałem rozgryźć tajemnice firmy Arte Benare, która zrobiła majątek na automagii podprzestrzennej. Jako nastolatek czytałem „Magazyn Arboriańskiego Towarzystwa Geograficznego”, które prowadził redaktor de Pointerferre. Nowe odkrycia w dziedzinie pojazdów lądowych i latających pojawiały się w nim co pewien czas, jednak do tej pory żaden z nich nie wyszedł z pracowni do ludzi, poza czysto rozrywkowymi zastosowaniami. Od kilkunastu lat głościono, że nasze dzieci będą jeździć bezkonnymi dyliżansami, i ludzie powoli przestawali już w to wierzyć. A tymczasem proszę, coś jednak się udało.

Cały statek powstał wskutek osiągnięcia delikatnej równowagi między automagią a dokonaniem niemagicznej avalońskiej technologii.

Z tyłu i po bokach statku widziałem dysze napędzane zakłębionymi kierunkowymi. Musieli je koordynować runami przestrzennymi, zwanymi także zwyczajowo runami Pustki – ale nie takimi, do jakich już zdążyłem przywyknąć, tylko ich podróbką stosowaną między innymi w małych teleportach żywieniowych. Zastanawiałem się, skąd biorą energię. Prototypowe projekty opierały się między innymi na silnikach śmigłowych, napędzanych mocą magiczną, lecz to rozwiązanie pochłaniało zbyt dużo jednostek, żeby nadawać się na długotrwałe loty.

O wariackich propozycjach, które uwzględniały kotły parowe, starałem się po prostu nie pamiętać, bo ta technologia miała same wady i żadnych zalet, jeśli chodzi o transport powietrzny.

Na podnośnikach stały cylindry oznakowane symbolami firmy Arte Benare. Każdą butlę, wielkości mniej więcej sporego kufra, podpięto do długiej rury ze wzmocnionego płótna, opiętej na metalowym stelażu. Biegły w górę, w stronę smukłego balonu. Pierwszy raz w życiu widziałem, żeby ktoś wykorzystał magię podprzestrzenną do sprężania gazu. A ponieważ dzięki notatkom Lucjusza wreszcie odkryłem sekret firmy, zastanawiałem się, czy użyto w nich nowej technologii, czy jeszcze stosowano metody opracowane przez mojego niesławnego kuzyna. Lucjusz Szalony, człowiek, który ostatnie dwieście lat życia spędził jako Nadworny Mag Bretanii, pracował wcześniej dla Weylanda – ale także dla Arte Benare. Zapas matryc opartych na prawdziwych runach Pustki, które dla nich wyprodukował, musiał się już kończyć.

Ciekawe, co by zrobili, gdybym się zgłosił.

– Vince!

Odwróciłem się i poczułem, jak mija podskórne nerwowe napięcie, które towarzyszyło mi w bazie, chociaż do tej pory ledwo zdawałem sobie z niego sprawę. Moja narzeczona szła przodem, zdecydowanym równym krokiem, jak to ona; jej gęste rude pukle lśniły w słońcu. Bagażowi ledwo nadążali za nią z walizami. Obok szedł Weyland; przy swoim wzroście nie potrzebował szczególnego wysiłku, aby nie zostawać w tyle za Amandine.

– Proszę ograniczyć czułości – chrząknął lekarz pokładowy, który stał w naszej grupie razem z Archerem, panem de Pointeferre'em, Jacqueline, kilkoma innymi pasażerami i członkami załogi. – Przechodzą panowie kwarantannę.

– Co za bzdury! – fuknęła Amandine i padła mi w ramiona. Objąłem ją czule. – Skażenie w normie tła, chyba możemy się uściskać.

„Jesteś podminowana” – nawiązałem kontakt telepatyczny.

„Wiem przecież, co się stało. Poza tym Weyland rozmawiał z Meg. Powiedziała, że cokolwiek tam próbujesz, powinno zadziałać na poczwórnym Sevri, z kwantami podzielonymi równo między ładne i brzydkie... przepraszam, ale nie zapamiętałam, oraz z zafiksowanym miejscem docelowym”.

„Z zawieszoną jednostką? Egzotyczne i pachnące? Próbowałem takiego rozwiązania, ale nie byłem pewien, czy ma sens. Jeszcze przeliczę”.

„Mówili też coś o Iglicy. Słyszałeś kiedyś o czymś takim?”

„Nie bardzo. Co to, jakieś miejsce?”

„Chyba raczej grupa ludzi. Weyland nic mi nie chciał powiedzieć, ale sugerował, że mogą mieć coś wspólnego z tym incydem. Meg kiedyś się z nimi kontaktowała”.

„Nie za mojej kadencji. Będę musiał porozmawiać z Arcymagiem. Z tobą też, ale o tym później. Dowiedziałem się czegoś potencjalnie frapującego i powinniśmy omówić szczegóły na osobności, bez towarzystwa Archera albo Weylanda. Bądź co bądź, jestem przede wszystkim lojalny wobec Nadwornej Magini Królestwa Bretanii”.

Wymiana zdań w myślach trwała znacznie krócej, niż gdybyśmy porozumiewali się słowami. Szybko pocałowałem Amandine, łowiąc wściekle spojrzenie lekarza pokładowego.

Odwrociłem się w stronę oczekujących.

– Dobrze – powiedziałem. – Kto jest tutaj odpo... wiedzialny za bezpieczeństwo lotu? Sugerowałbym, żeby każda kajuta... miała na wyposażeniu detektor skażenia. Powiedziano mi, że Gloria nie osiąga pułapu powyżej... możliwości lotu ludzkiego, a napastnik podszedł do mostu powietrzem.

– Każda kajuta? – Archer spojrział na mnie uważnie. – Proszę pana, załoga i służba nie potrafią się nimi posługiwać.

– Detektory są w pełni automagiczne – zripostowałem. – Nie potrzebują ładowania. I zdecydowanie tak, zwłaszcza załoga i służba powinny nimi dysponować. Wierzę w pańską spostrzegawczość, panie Archer. Ale skoro zdecydowaliśmy, że nie zostajemy w Ombre, aby uczestniczyć w śledztwie, co –

przy okazji – uważam za błąd, trzeba dmuchać na zimne. Przeszkolenie nie zajmie dużo czasu.

– Ciekawe, ale znów pan przestał się jąkać – skomentował James Archer. – Nadal mówimy o kosztownym sprzęcie magicznym. Proponuję sprawdzić, ile ich razem mamy, i rozsądnie rozdzielić między grupy.

\* \* \*

Wnętrze gondoli latającego statku przystosowano do przewozu pasażerów. Taki flagowy program państwowy jak Gloria d’Aquamarine nie mógł zostać wykonany na pół gwizdka. Wzdłuż wąskiego korytarza znajdowały się kabiny wyposażone jak luksusowe pokoje hotelowe, z jednym wyjątkiem, że z braku przestrzeni łóżka były piętrowe. Zostawiłem walizki w czteroosobowym pokoju, gdzie prócz mnie ulokowano Archera i Simona de Pointeferre’a, grzecznie pozwoliłem lekarzowi pokładowemu pokazać, którą łazienkę przeznaczono dla nas, a później poszukałem Amandine. Nie miałem ochoty dać się zamknąć w kabynie.

Wyglądało na to, że jest gdzie rozprostować kości. Przeszedłem się do jadalni, gdzie oczekiwały nas okrągłe stoliki zaślane już błękitnymi obrusami z herbem rodowym królowej Gwendolyn d’Aquamarine. Znalazłem salonik z oknami widokowymi, gdzie na ścianie zawieszono landszafcziki namalowane pastelami oraz tabliczkę „tu można palić”; domyśliłem się, że pomieszczenie to wkrótce zostanie zaanektowane przez Archera. Do saloniku przylegała czytelnia: mniejszy pokój, zaopatrzony w biurka i małą biblioteczkę. Tam właśnie zastałem Amandine, która widocznie zrobiła już przede mną tę samą trasę.

– Jest niesamowity – odezwała się moja narzeczona. – Ciekawe, co by powiedzieli dawni królowie d’Argent.

Podczas pobytu w Bretanii często podróżowaliśmy Królewskim Rydwanem, magicznym pojazdem latającym dynastii d’Argent. Wyglądał, jakby zaprojektowała go mała dziewczynka pochłonięta marzeniami o wystrojonych w brylanty księżniczках-czarodziejkach, ale działał całkiem przyzwoicie. O ile się orientowałem, był znacznie szybszy niż Gloria, ale dużo mniejszy i stanowczo mniej wygodny; na noc trzeba było nim lądować i korzystać z namiotu lub gospody. A te w Bretanii zdarzały się rzadko i nie należały do szczególnie komfortowych.

– A mnie ciekawi, co powie obecna królowa.

– Och. Ojej. Mamy na to budżet?

– Sama powinnaś wiedzieć – odparłem i znów przełączyliśmy się na telepatię.

„Martwi mnie, że nie mogę działać otwarcie. Gdybym miał okazję, rozrysowałbym kilka run ostrzegawczych w każdym pomieszczeniu”.

„Myślisz, że zamach może się powtórzyć? Sprawdzili cię już i podobno wyszedłeś z tego czysty. Napastnik zdjął iluzję z Mostu. Sądzę, że osiągnął cel”.

„Myślę, że ten, kto do nas strzelał, przypuszczał, że albo znajdzie Maga Pustki, albo zostaniemy ciężko dotknięci Piętnem. Nie przewidział, że uda nam się w porę zareagować. Może chciał upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, ale nie sądzą, żeby chodziło tylko o mnie”.

„Archer nie może tego ignorować. Zresztą nie ma pojęcia, że chodziło o ciebie”.

„I nie ignoruje, ale jest dumny. Sądzi, że atak najpewniej skupi się wyłącznie na nim. Zresztą on myśli trochę po bretańsku, do pewnego stopnia ignoruje cywili. Amandine, dostałem od Jacqueline pewne dokumenty. Muszę jeszcze je odcyfrować i sprawdzić, czy rzeczywiście mają sens, ale wydaje się zaniepokojona obecnością Magów Pustki w Bretanii...”.

„Każdy, kto o nich wie, chyba jest...”.

– Proszę państwa! – rozległ się głos Simona de Pointeferre’a. – Proszę się uśmiechnąć!

– Ma pan kulę magiczną. – Spojrzałem na niego z zaskoczeniem. – Jak ją pan wy dostał z depozytu?

– O właśnie! Doskonałą minę pan zrobił, świetnie będzie wyglądać na odbitkach.

– Odmawiam zgody na publi... kację.

– Ależ proszę się nie krygować, obydwójecie jesteście bardzo reprezentacyjni. – De Pointeferre obszedł czytelnik z kulą. – Co jak co, ale reportaż ze statku powietrznego spodoba się czytelnikom, a muszę się pospieszyć, nim zapadnie zmrok. Panno Amandine, z kolorystyką szanownej pani, na tle zapierającego dech w piersiach krajobrazu, dostaniemy nagrodę ministerstwa za te obrazy.

– A wie pan? – Amandine podparła się pod biodra. – Proszę nagrywać. Przejdźmy do salonu, tam są okna widokowe. Vince, chciałeś pewnie obejrzeć pokój nawigacyjny? Dołącz do Weylanda i porozmawiaj o środkach bezpieczeństwa.

Znalazłem pokój nawigacyjny, zapukałem do drzwi i wszedłem do środka. Minąłem drabinę, która prowadziła powyżej gondoli do technicznej części statku, gdzie znajdowały się również kwatery załogi. Kapitan, brodaty mężczyzna w ciemnogrnatowym uniformie, objaśniał Weylandowi mapy. Za przeszkleniem widziałem pokój kontrolny, pełen rozmaitych wajch, wysokościomierzów, komunikatorów wykonanych na tej samej zasadzie co kule magiczne. Wysoka kobieta, która stała za kołem sterowym, podobnie jak kapitan miała wyhaftowaną na epoletach w dodatku do rangi zębatkę. Czyli obydwójce byli technikami magii. Ten zawód znajdował się oczko wyżej w magicznej hierarchii niż licencjonowana wiedźma. Technicy nie tylko posługiwali się urokami magii prostej, lecz także byli gruntownie przeszkoleni w obsłudze, utrzymaniu, a nawet konstrukcji urządzeń automagicznych. Ci, którzy łączyli umiejętności technika magii z uniwersyteckim wykształceniem, stanowili przeważającą część niższej kadry inżynierskiej, medycznej czy też naukowej; czarodzieje byli znacznie mniej liczni. Wielu półaktywnych magów wybierało życie technika, bo to się mniej kłóciło z ich ambicjami niż dowolna odmiana zawodu wiedźmy.

Żachnąłem się, wspominając odpowiedź Archera na moją propozycję obdzielenia załogi licznikami. Pułkownik już z nimi latał; co więcej, sterowiec, wedle jego własnych słów, należał do niego. Może i technicy nie zostali wcześniej przeszkoleni w obsłudze detektorów skażenia – wśród użytkowników magii prostej takimi sprawami zajmowali się specjaliści od dekontaminacji – ale przecież byli fachowcami. Nie trzeba im długo tłumaczyć, jak odróżnić niebezpieczny poziom od tła.

Po powrocie z Bretanii na nowo przypominałem sobie, jacy zadufani w sobie potrafią być arboriańscy czarodzieje. Nie żeby Bretańczycy byli lepsi, wręcz przeciwnie. Ale tam znajdowałem się w ścisłej elicie władzy, a ze szczytu kiepsko widać, i może sam nabrałem złych nawyków. Zanotowałem sobie tę uwagę w myślach na później. Pewność siebie to jedno, ale nie należy lekceważyć techników, którzy zjedli zęby na swoich specjalnościach i znają się na nich lepiej niż w pełni aktywni magowie.

– Ja w sprawie detektorów – powiedziałem.

– Już dostaliśmy swój, dziękuję. – Kapitan skinął głową. – Jego Magnificencja objaśnił nam, jak je odczytywać. Czy chciałby pan obejrzeć plan lotu?



– Chętnie. – Popatrzyłem na mapę. Trasę wyrysowano kłopotliwym ołówkiem, kilka punktów miało oznaczone współrzędne. Nie prowadziła w linii prostej do Avalonu. Statek omijał jeden masyw górski w rejonie przygranicznym i dwa większe miasta po drodze; widziałem także zmiany kursu, których nie potrafiłem sobie do końca wytłumaczyć.

– Lecąc do Ombre, wybraliśmy trasę widokową i trochę kluczyliśmy – wyjaśnił kapitan. – Ale z powrotem mamy się spieszyć, toteż omijamy tylko punkty niewygodne dla nawigacji. Pogoda zmienia się cały czas, a nie chcemy operować w chmurach burzowych. Naturalne wyładowania nie powinny co prawda szkodzić instrumentom, ale lepiej nie kusić losu. Tak czy owak, widoki będą spektakularne. Szkoda, że większość trasy pokonamy w nocy.

– Pan de Pointe... ferre i tak się ucieszy. Jak długo... będziemy... lecieć?

– Osiem godzin, o ile pogoda się utrzyma. Prognozuję, że osiągniemy średnią prędkość siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Nawet w pełni aktywny czarodziej nie potrafi lecieć tak długo i tak szybko.

Gwizdnąłem.

– Nieźle.

– To nie jest szczyt naszych możliwości, proszę pana. – Kapitan uśmiechnął się dumnie. – Gloria rozwija nawet sto trzydzieści kilometrów na godzinę przy dobrej pogodzie i na prostych odcinkach.

– To tyle co... rydwany... z epoki dynastii d'Argent.

– Widzę, że trafiłem na pasjonata. Ma pan rację, chociaż rydwany miały pewne ograniczenia. Podróżowanie przez czas dłuższy niż dwie, trzy godziny narażało pasażerów na nieprzyjemne wrażenia atmosferyczne. Sterowanie było wyczerpujące, wymagało aktywnego czarodzieja do obsługi. I oczywiście rydwany nie nadawały się zupełnie do lotów pasażerskich. Dobry pojazd na przebycie krótkiej trasy, na przykład w obrębie królestwa. Ale jeśli chodzi o komercyjne loty długodystansowe, przyszłość należy do statków powietrznych.

Skinąłem głową. Znałem te problemy z własnego doświadczenia.

– Pan Archer... mówił, że chce osiągnąć... stratosferę. Ale Gloria nie lata tak... wysoko.

– Z czasem dotrzemy i tam – odparł kapitan. – Wierzę w geniusz wynalazców pana Archera. Na razie wolimy nie wznosić się wyżej niż pięć tysięcy metrów,

a zwykle podróżujemy dwukrotnie niżej.

Dwa i pół tysiąca, czyli górny pułap, jaki potrafi osiągnąć bardzo wprawny latający człowiek. Zastanawiałem się, czy napastnik rzeczywiście zdobyłby się na wysiłek, aby podejść tak wysoko. Gdybym był czarodziejem z butlą pełną skażenia, ukryłbym się raczej na okręcie.

– Chętnie porozmawiam dłużej, kiedy... znajdzie pan czas. – Spojrzałem na Arcymaga. – Czy ma pan może pięć minut?

– Dla pana, panie Thorpe, nawet i cały kwadrans.

\* \* \*

Ominęliśmy salon, gdzie pan de Pointeferre nadal biegał z kulą magiczną wokół mojej narzeczonej. Moim zdaniem usiłował z nią flirtować i miałem wielką ochotę sprzedać mu kopniaka, ale Amandine rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie. Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy byli zostawić go w areszcie wojskowym w Ombre, jednak dalekosiężne konsekwencje bezprawnego przetrzymywania znanego dziennikarza mogłyby nas przerosnąć.

Schowaliśmy się szybko w czytelní. Weyland rzucił znów zaklęcie przeciwpodśluchowe.

– Jeżeli odpowiednio to rozegramy, może stać się naszym sojusznikiem – zauważył.

– Działa mi na nerwy. Poza tym... nie wierzę. Dziennikarze... zapamiętają połowę, połowę przekręcą i jeszcze dodadzą... coś gratis od siebie. – Rozłożyłem ręce. – Tak żeby było... sensacyjnie. Wierzy pan, że znalazł się w bazie przy... padkowo?

– Podejrzewa go pan o działanie z tamtym człowiekiem? – Weyland pokręcił głową. – Rozczarowuje mnie pan, panie Thorpe.

– Potrzebuję kawy – mruknąłem. – Nie podoba mi się, że wracamy... nie podoba mi się, że Archer nic mi nie mówił... o wynikach śledztwa, a już najbardziej mi nie odpowiada, że nie mogę założyć run... ostrzegawczych. Tych moich. Muszę zapytać. Czym jest Iglica?

Weyland westchnął.

– Vince, nie jesteś jedyną osobą na świecie, która może tego dopilnować. Jeżeli chodzi o bazę, zostali tam specjaliści, którzy zamykali już w życiu niejedną

rozpadlinę. A ten człowiek, jeżeli skądś przyszedł, to raczej z Avalonu. – Zdjął okulary i przez chwilę czyścił je chusteczką. – O Iglicy usłyszałeś od Amandine, prawda? To na razie tylko jeden z tropów. Mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu, kiedy Arcymaginią była jeszcze Elysia Fairbanks, załaziła nam za skórę pewna grupka fanatyków. Przywódca tego stowarzyszenia miał na pieńku z Lucjuszem; zresztą nie on jeden. W tamtym czasie nasz Mag Pustki zniknął już w Utraconej Bretanii, ale to im nie przeszkadzało. Jak tak sobie teraz pomyślę – nie wiem, czy więcej dzięki niemu zyskaliśmy, czy straciliśmy.

Wyglądał na zafrasowanego. Na pewno nie mówił mi wszystkiego; przeczuwałem, że konflikt z Lucjuszem był najmniejszym z problemów dotyczących Iglicy. Spróbowałem nawiązać kontakt telepatyczny, żeby porozumieć się trochę płynniej, ale go odrzucił. Jeszcze ani razu nie zgodził się na połączenie poprzez kanały energetyczne. Nawet się nie dziwiłem, Arcymag na pewno miał swoje tajemnice, a przez więź zawsze można zdradzić więcej, niż się zamierza.

– Problemy z zaufaniem – zaznaczył. – Są najbardziej szkodliwą dolegliwością w społeczeństwie. Jedni ufają wszystkim, inni, jak Lucjusz, nie ufają nikomu. Jeszcze inni chcieliby ufać wszystkim, ale nie potrafią, więc pokładają zaufanie w osobach zupełnie niewłaściwych.

– Co ma pan na myśli?

– Nie wiem, czy przypadkiem nie mówię o sobie samym – odparł Weyland w rzadkim przypływie szczerości. – Udało mi się wydusić z Archera, że odrzucił pan jego propozycję. Po powrocie do Avalonu porozmawiamy o rozszerzeniu pana współpracy z Cieniem Gildii. Widzisz, Vince, ja cały czas nie wiem, kto właściwie wrócił z Bretanii. Lucjusz, gdy go pierwszy raz spotkałem, też był takim miłym, nieco roztargnionym facetem.

– Dwie dziesięciotysięczne promila – powiedziałem.

– Co?

– Dwadzieścia dwa pokolenia. W linii niemagicznej, pokolenie co trzydzieści lat. Dokładnie tyle dzieli mnie od Lucjusza. Policzyłem. Gdyby nie smok, umarłby ze starości pięćdziesiąt lat temu; znalazłem jego datę urodzenia. Mam z nim dwie dziesięciotysięczne promila wspólnych cech. Jeżeli pan dostrzega jakiegokolwiek podobieństwo... proszę się zastanowić, czy to nie jest przypadkiem siła autosugestii.

Na szafce nocnej miarowo cykał mój licznik skażenia, przydzielony nam na pokój. Dzień był wyczerpujący, ale próba ucięcia sobie wieczornej drzemki okazała się nieudana. Przewracałem się z boku na bok, zanim zrozumiałem, że wydarzenia tego dnia przywołały stare demony. Usiadłem na łóżku zaścielonym kapą w lilie i dłuższą chwilę przyglądałem się palcom. Kilka miesięcy wystarczyło, aby czarne zabarwienie, pamiątka po krwawej gorączce, zaczęło stopniowo odsuwać się od nasady paznokci; teraz w połowie były już różowe i świeże.

Sądziłem, że się nie przejmę. Przez całe miesiące prawie co dzień miałem bezpośredni kontakt z Pustką. Zajmowałem się budową Mostu; oczyszczałem miejsca, do których wzywały mnie wojska Theresy. Nadużywałem Królewskiego Rydwanu. Czuję się potrzebny i kompetentny, nawet jeśli czasem pracowałem na granicy wytrzymałości. Wiedziałem, że poradzę sobie z dowolnym pustkostworem, z jakim się zetknę. Myślałem, że przywykłem. Instynkt Maga Pustki chronił mnie przed skażoną energią. Reagowałem trzeźwo, miałem dobry refleks; w konfrontacji z zagrożeniem czułem się w swoim żywiole. Jak wspomniał Archer, przestawałem się nawet jękać.

Dlaczego właśnie teraz nie mogłem zasnąć? Dlaczego wracały wspomnienia, z którymi powinienem dawno dać sobie radę? Ksenowurmy. Kraj spustoszony przez skażenie. Umierająca Margueritte. Krwawa mgła przed oczami i obezwładniający ból.

Czy dotknęły mnie słowa Arcymaga? Porównania z Lucjuszem nie powinny robić na mnie wrażenia. Bretańczycy stopniowo się przyzwyczaili, że nie jestem kopią ich dawnego Nadwornego Maga i że mogą się po mnie spodziewać zupełnie innego zachowania. Czasami wciąż stawiali go za przykład; zanim Lucjusz obrócił się przeciwko królestwu, podejmował wiele słusznych decyzji – albo takich, które tylko brzmiały słusznie w zderzeniu z bretańską mentalnością.

Paradoksalnie bretańscy szlachcice obawiali się mnie znacznie bardziej. Pewien efekt odniosły opowieści Bernarda, który domalował legendę do mojej małomówności i skłonności do ciągłej pracy, ale w gruncie rzeczy chodziło o to, że byłem dla nich nieprzewidywalny. Lucjusz był surowy dla pospólstwa, ale zaskakująco pobłażliwy dla swoich totumfackich. Przymykał oko na postęпки, które traktowaliśmy wszyscy śmiertelnie poważnie; w odbudowującej się Bretanii nie potrzebowaliśmy chłopskich rebelii ani przepadających nie wiadomo gdzie podatków. Na szczęście się nie zbuntowali, ale ciągle czekali, aż – wedle słów

księcia de Montreuil – ujawnię żelazną pięść schowaną pod rękawiczką z gronostajowej skórki.

O co chodziło?

Nie musiałem się tam ukrywać.

Nie musiałem udawać kogoś innego. Wyrosłem z cudzego płaszcza. Całkiem dosłownie, bo gdy z wyniszczonego stałem się po prostu chudy, ubrania Lucjusza okazały się przyciasne; był jednak niższy i drobniejszy ode mnie.

Nie czułem się odizolowany. Słowa „Pustka” używano w Bretanii w charakterze przekleństwa, ale Magów Pustki nazywano Wielkimi Magami. Ceniono ich. Nie umieszczano jako negatywnych bohaterów w sztukach i popularnych powieściach. Tymczasem tutaj nawet Weyland, człowiek, który ćwierć wieku temu zatwierdził moją kandydaturę po starannych obserwacjach, przyznał, że nie potrafi mi w pełni zaufać.

Nieuchronnie zbliżał się czas, kiedy będę musiał się zmierzyć z publiczną falą niechęci, podobnie jak Lucjusz. Kiedy to się stanie? Za kilka miesięcy, a może parę lat? Czy zniosę to lepiej niż on? Czy zgorzknieję? Odetnę się od Arborii? Czy Amandine ze mną wytrzyma? Jak to na nią wpłynie?

A jeśli pozostanę w cieniu? Ciągłe podtrzymywanie tajemnicy zniszczy mi nerwy równie skutecznie jak ujawnienie się publice.

Nie, to nie potrwa długo. Miesiące? Raczej tygodnie. Tym razem wróg zaatakował po arboriańskiej stronie. Przeszedł mnie dreszcz i zrozumiałem, co dręczyło mnie najbardziej. Ludzie posługujący się skażeniem, którzy nie wahali się użyć stężonej surowej mocy Pustki w charakterze broni, tym razem nie znajdowali się w Bretanii.

Niebezpieczeństwo pojawiło się w domu.

„Nie – pomyślałem – to wykluczone, może istnieje jakaś szajka dysponująca tajnym laboratorium, ale bez przesady. W Arborii nie ma żadnego niezrównoważonego maga, gotowego wyszkolić i uzbroić całą armię kapłanów kontrolujących pustkostwory i ruchomych zmarłych, a później wypuścić ją na ludność cywilną. Takie pomysły były zarezerwowane dla Lucjusza Szalonego. Prawda?”.

Sięgnąłem po swoje teczki i postanowiłem się schronić w czytelni. Biurka z tekowego drewna wyglądały całkiem wygodnie i obiecująco, a skoro mamy aż

osiem godzin, może przeznaczą je na coś pożytecznego. Sprawdzę, co takiego przekazała mi Jacqueline. Jeśli poczuję się na siłach, spróbuję skorzystać ze wskazówek Margueritte i jeszcze raz przeliczyć zakłęcie teleportacyjne. Na razie miało pewną zasadniczą wadę – pochłaniało tyle jednostek energii, ile teoretycznie przenosiłem przez teleport, czyli całe Źródło... plus jedną. Zatem nieważne, iloma dodatkowymi jednostkami się zasilę, zawsze brakowało dokładnie jednej. Może próbowałem dokonać czegoś niemożliwego, w końcu nie miałem pojęcia, czy starożytni pokonali tę przeszkodę.

Pasażerowie rozproszyli się po okręcie. Amandine też zapowiedziała, że się zdrzemnie, i zapewne powiodło jej się lepiej; nie chciałem jej przeszkadzać. Okrążyłem po kolei wszystkie pomieszczenia, za jadalnią znajdowała się bowiem kuchnia, a w kuchni stała poważna młoda kobieta z włosami nawoskowanymi tak szczelnie, że robiły wrażenie sztucznych, i dzierżyła niepodzielną władzę nad ekspresem do kawy. Skinąłem głową Weylandowi, który sączył herbatę z filiżanki, garbiąc się nad błękitnym obrusem. Zapytałbym, czy on albo Archer założyli runy ostrzegawcze, ale teraz nie miałem ochoty na wysiłek wydobywania z siebie słów. Chciałem chwilę pobyc sam ze swoimi myślami.

Salon wypełnił się dymem; rozparty na ciemnobrązowej skórzanej kanapie James Archer kopał schowany za gazetą. Pan de Pointeferre ćmił natomiast fajkę, skrobiąc coś w notesie. Tytoniowy nałóg zmusił ich do znoszenia wzajemnie swojej obecności, ale nie zamierzali spoufalać się ze sobą. A mnie żadne okna widokowe nie skłoniłyby do kisenia się w tej zawieszynie. Szybko przekradłem się do pokoju, uchylivszy drzwi najwężej, jak zdołałem.

Wyjąłem plik papierów, który dostałem od asystentki Archera, i zacząłem je niezobowiązująco przeglądać. Jej słowa zabrzmiały dramatycznie, ale czy rzeczywiście miałem się czym martwić? Naturalnie, Magów Pustki wiązano z ryzykiem Rozdarcia, w końcu – jak głosiły przekazy – najpewniej właśnie konflikt między nimi przyczynił się do rozpadu świata. Nie mogłem jednak wejść w konflikt zbrojny z samym sobą.

Stopniowo dokumenty coraz mocniej przykuwały moją uwagę. Sam się nie zorientowałem, kiedy wziąłem do ręki ołówek, zacząłem podkreślać niektóre fragmenty i wyprowadzać wzory.

Podobnie jak kiedyś Weyland, Jacqueline przekazała mi plik nieoficjalnych monografii. Niektóre ograniczały się do streszczeń, ale znalazło się też kilka

kompletnych opracowań. Nie były podpisane. I wszystkie opowiadały o teorii siatki geomagicznej, chociaż nigdy w życiu nie widziałem takich wniosków.

Świat jest zawieszony w Pustce i otoczony naturalnymi osłonami, które nie dopuszczają jej do powierzchni Ziemi; o tym wiedzą wszyscy. Przepływają przez niego prądy magii, obecne zarówno w skorupie ziemskiej, jak i atmosferze, dokładnie zmapowane od wielu dziesiątek lat. Czyli siatka geomagiczna.

Wszyscy pobieramy z nich moc. Jedni ludzie dysponują tylko zasobem podstawowym, niewielką ilością mocy pozwalającej czynić uroki. Inni, silniej połączeni, mają półaktywne lub aktywne Źródła. Żeby jednak obecność aktywnych Źródeł była możliwa, konieczne są gorące punkty – Źródła geograficzne – które zakrzywiają te prądy i skracają fale magii do spektrum przyswajalnego przez człowieka.

To znaczy istnieją magiczne miejsca, dzięki którym rzucamy zaklęcia. Niektórzy bardzo wyspecjalizowani czarodzieje potrafią czerpać z nich jak z kopalni i łądować akumulatory na zapas; jest to niezwykle lukratywne zajęcie, bo magii produkowanej przez ludzkie Źródło nie można magazynować.

Nie chcę szkicować wzorów, więc po prostu uwierzcie mi na słowo.

Bretania nie ma Źródeł geograficznych. Pod tym względem kontynent rozpadł się niesymetrycznie. Kiedy brakowało połączenia z Arborią, bretańscy czarodzieje tracili dostęp do swoich Źródeł.

Chyba że na miejscu znajdował się przynajmniej jeden Mag Pustki, którego obecność ugina siatkę geomagiczną w taki sam sposób jak dodatkowe geograficzne Źródło. Magię w Bretanii podtrzymywał Lucjusz, a potem ja, dopóki nie ukończyliśmy Mostu. Później już o tym wiele nie myślałem. W Arborii to nie miało znaczenia. Tak mi się wydawało.

Mag Pustki sprawia, że magia staje się bardziej dostępna dla ludzi.

Ludzie zużywają magię.

Ile mogą jej użyć naraz bez szkody dla świata, spójności osłon chroniących nas przed Pustką i samego kontynentu?

Jasne, byłem tylko jeden. Ale przez ostatnie dwieście lat Arboria i reszta cywilizowanego świata zwiększyły populację kilkukrotnie. Magów było znacznie więcej niż w czasach Cesarstwa. Pomniejsza magia weszła do powszechnego

użytku. Jednostki zużywane przez podręczną automagię, wiedźmy i techników wielokrotnie przekraczały wszystko, czym dysponowali czarodzieje.

Teoria przekazana mi przez Jacqueline sugerowała, że w obecnej sytuacji sama moja obecność w Arborii działa na zapasy światowej magii jak dziura w naczyniu napełnionym wodą. Im dłużej żyję i przetwarzam moc, tym trudniej utrzymać spójność Rozdartego Świata.

Niszczę świat, istniejąc.

Gorączkowo sortowałem monografie. Jeśli te opracowania miały sens, dlaczego nigdy wcześniej o nich nie słyszałem? Wszystko to na pierwszy rzut oka wyglądało bardzo logicznie i spójnie. Czy Weyland je przede mną ukrył? Sam nie wiedział? A może wszystko zmierzył, wliczył obecność pojedynczego Maga Pustki i wyszło mu, że świat przez jakiś czas zniesie jeden egzemplarz?

Ekosystemy działają w taki sposób, ale gdzie były szczegóły? Gdzie pomiary?

Zerwałem się z krzesła i poszedłem szukać Amandine.

\* \* \*

Moja narzeczona nie spała. Siedziała przy toalecie naprzeciwko łóżka, z małą automatyczną lampką zawieszoną nad lustrem, i czytała książkę. W kącie obok łóżka również cykał jeden z wykrywaczy – chyba należący do Archera, w tym samym pokoju ulokowano bowiem Jacqueline. Spod łóżka wystawał rąbek zielonego futerału. Nie wiedziałem, czy ktoś zauważył, że z powrotem przekazałem Zagładę Gwiazd Amandine, i jakie wnioski z tego wyciągnie, ale miałem opory przed jej dłuższym przechowywaniem. Nie sądziłem, że ktoś na nas napadnie na statku latającym, ale... coś takiego było w tym artefakcie, jakby dysponował własną wolą.

W razie gdyby ktoś zapytał, obmyśliłem kilka dobrych wytłumaczeń.

– Amandine...

– Czy coś się stało? – Skierowała ku mnie zatroskane spojrzenie. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– W pewnym... sensie. Obydwoje znamy tego ducha. – Spróbowałem przejść na telepatię. Czuję się tak wstrząśnięty, że przez chwilę mieliśmy problem z ustabilizowaniem połączenia. Zacząłem przekazywać.



„Zwolnij, zwolnij. Zalewasz mnie obrazami, a tych wzorów to już w ogóle nie rozumiem. Powtórz mi wszystko po kolei, od początku”.

Streściłem dokumenty, podkreślając najważniejsze myśli.

Amandine zmarszczyła brwi, zaplotła ręce. Czekałem, aż przetrawi to, co próbowałem jej powiedzieć.

„Hm. Ładna teoria – odezwała się wreszcie. – Łechce ego, jakby wymyślił ją sam Lucjusz”.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

„Łechce ego...?”

„Pomyśl, czy to nie jest wyjątkowo egocentryczne – uważać, że samo twoje istnienie ma bezpośredni wpływ na egzystencję świata”.

„Amandine, chciałbym, żeby chodziło tylko o moje przerośnięte ego, ale wzory wyglądają sensownie. I zastanawiam się, dlaczego Weyland nigdy mi o tym nie mówił”.

Z niedowierzaniem wydeła usta.

„A ja się zastanawiam, dlaczego Jacqueline postanowiła ci zaufać, zwierzyła się i pokazała te dokumenty akurat tobie i akurat teraz”.

„Bo miałem do czynienia z Magami Pustki i byłbym dobrym sojusznikiem. – Rozłożyłem dłonie. – Sama stwierdziła, że ze względu na kontakty stanowią cenny nabytek dla Archera, kto wie, czy to nie jest ich wspólna gra. Mają mój profil psychologiczny, więc wiedzą...”.

„...że ściągasz kotki z drzew” – wtrąciła.

Żachnąłem się.

„Nie ściągam kotków z drzew”.

„Daj spokój. Już ja cię znam. – Ścisnęła moją dłoń. – Powiedz, gdybyś przechodził pod drzewem i zobaczył na nim przerażonego kotka...”.

„Proszę, nie ciągnij tematu, bo czuję się zażenowany...”. Potarłem czoło.

„A czy wywiad ma pojęcie, jak działają Magowie Pustki? Rozumiem, że ona może wiedzieć, że skoro nie pozbyłeś się od razu całego skażenia, to zapewne nie jesteś jednym z nich”.

„Myślisz, że... – Dodałem wreszcie dwa do dwóch i zmarszczyłem brwi. – Nie, to niemożliwe. Nie mogła zorganizować sama tej napaści. A na pewno nie

w porozumieniu z Archerem; gdybym nie zareagował pierwszy, zginąłby”.

„Cóż, możliwe, że zupełnie szczerze go nie lubi. A kto jeszcze może mieć taką wiedzę? Bo większość ludzi jest przekonana, że Mag Pustki to ktoś, kto wykorzystuje surową moc Pustki, a nie ją oczyszcza”.

„Weyland nie wyjaśnił mi dokładnie, jakimi motywami kierowała się Iglica. Oprócz tego, że mieli na pieńku z Lucjuszem. A jeśli tym razem nie chodziło o jego osobowość? Muszę mu o tym opowiedzieć. Po powrocie do Avalonu, bez ciekawskich oczu i uszu. Jacqueline nie powinna wiedzieć, że jednak mu przekazałem monografię”.

Zacisnąłem dłonie na dłoniach Amandine, skłoniłem głowę na jej ramię. Wtuliła się we mnie.

„Zresztą... Amandine, ona ma trochę racji. Weyland mną manipulował i prawdopodobnie nadal manipuluje. Nawet Margueritte przez dwadzieścia cztery lata nie powiedziała mi całej prawdy, chociaż częściowo ją rozumiem; przygotowała mnie zresztą najlepiej, jak mogła. Sam już nie wiem, komu powinienem ufać”.

– Mnie ufaj – szepnęła mi do ucha. – Ja jestem po twojej stronie.

„Cały czas mam poczucie winy, że wciągnąłem cię w to wszystko”.

– Sama się wciągnęłam – westchnęła. – Dokonałam wyboru. I niestety będziesz musiał z tym żyć.

Przez pewien czas trwalśmy w uścisku, dzieląc się niezobowiązującymi pocałunkami. Byliśmy bardzo zmęczeni, ale chyba obydwoje potrzebowaliśmy dziś bliskości. Nie minęło wiele czasu, a lekarz pokładowy załomotał do drzwi i nie przebierając w słowach, wyprosił mnie do pokoju kwarantanny.

\* \* \*

Po uchyleniu drzwi do pokoju dostrzegłem smukłą ciemnoskórą dziewczynę ubraną w długą zieloną podomkę. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, że to Jacqueline; w mojej świadomości widok jej twarzy zdążył się już trwale skojarzyć z granatowym wojskowym mundurem. Czy w ogóle było jej wolno wkładać coś innego? Zdecydowała się złożyć dymisję czy co?

Uśmiechnęła się, widząc moje zdumione spojrzenie.

– Lubię ten statek – powiedziała. – Więcej prywatności niż w bazie wojskowej. Po godzinach pracy można się rozluźnić.

– Słusznie. – Usiadłem na swoim łóżku. Rozmowa z Amandine trochę mnie wyciszyła i mimo wypitej kawy oraz trudnego dnia oczy same zaczynały mi się zamykać. – Przejrzałem te dokumenty.

– Już? – spytała. – Podziwiam. To pokaźna porcja materiału, mało kto potrafiłby sobie z nią tak szybko poradzić.

Faktycznie. Czasem zapominam, że nie każdy miał taką szkołę jak u Margueritte. Doceniłbym komplement, ale wciąż nie mogłem przejść do porządku nad wnioskami z lektury.

– Dlaczego ja? – Zniżyłem głos. – Nie zna mnie pani... prawie wcale. Skąd pani wie, że można... mi zaufać?

Założyła nogę na nogę. Przysypiałem już, ale to mnie obudziło. Czy Jacqueline ze mną flirtuje, czy tylko tak mi się wydaje? Była przecież agentką wywiadu. Ile ona myśli, że mam lat, piętnaście?

– Panie Thorpe, posiadam dostęp do tych samych dokumentów co Archer. Czytam je znacznie uważniej; taki już los asystenta, nieprawdaż? Wiem, jak wykorzystwała pana Gildia. Czy zdaje pan sobie sprawę na przykład, dlaczego pana zatrudniono? Margueritte de Breville, obsesjonatka Wojny Rozdarcia, wielbicielka ostatniego Maga Pustki, Lucjusza...?

Stężałem. Co ona wie?

– Pochodzi pan z tego samego rodu – ciągnęła Jacqueline. – Nie powiedziano panu. Widzę to w pana oczach. Z jego niemagicznej gałęzi, ma się rozumieć. Dawni czarodzieje potrafili blokować dziedziczenie talentu, a stosowali tę sztukę głównie w przypadku bękartów. Lucjusz przemknął się przez nieuwagę. Wysterylizowano go po urodzeniu, ma się rozumieć.

– Co? – Zamrugąłem. Przed oczami miałem teraz cyniczną twarz Geniusza z Arborii. – Wykastrowano...? Przepraszam serdecznie!

Parsknęła gorzkim śmiechem.

– Powinam się domysleć, że tak to się panu skojarzy. Nie, żadne historyczne przekazy nie twierdzą, jakoby Lucjusz Szalony był w dodatku kastratem. W każdym razie na pewno nie odziedziczył pan po nim pańskiego pólaktywnego talentu. Ale jakże to musiało fascynować Margueritte! Może się zastanawiała, czy przynajmniej u potomstwa można odwrócić proces.

– Nie lubi jej pani.

– A pan ma syndrom ofiary. – Nachyliła się ku mnie i zaczęła konspiracyjnie szeptać: – Obowiązki daleko wykraczające poza możliwości fizyczne i psychiczne. Rok niewybranego urlopu. Liczne blizny i urazy. Rola królika doświadczalnego Zagłady Gwiazd. Wreszcie wyprawa do Utraconej Bretanii, z której wraca pan z gotowym przydziałem inwalidzkim. Czy kiedykolwiek to ona ryzykowała dla pana?

Otworzyłem usta i je zamknąłem. Słyszałem kiedyś podobną argumentację od Amandine. Może uznalbym, z pewnymi zastrzeżeniami, że coś w niej jest. Ale od tamtej pory zmieniło się wszystko. Teraz wiedziałem, że Margueritte mogłaby za nas umrzeć.

Tymczasem Jacqueline mówiła dalej:

– Wyżęła pana i zostawiła, ale Weyland panu nie odpuści, nie po tym, co pan tam widział – westchnęła. – Dobrze. Pomińmy moje osobiste animozje. Mogłabym powiedzieć, że próbuję znaleźć u pana zrozumienie ze względu na podobną sytuację, ale to by było niskie. Wzory są prawdziwe, czego Arcymag nigdy panu nie przyzna. Im się cały czas wydaje, że mocy na świecie nie zbraknie, bo w jakiś sposób, za pomocą samej magii Pustki wpisanej w dzieła automagiczne, odwróćą proces. Zarówno on, jak i Archer pragną dla siebie starożytnej magii i całej Bretanii; jeśli nie dostaną po dobroci tego, co chcą od Bretańczyków, wyślą tam wojsko. Afiliacje polityczne to czyste mydlenie oczu. Zauważył pan może, że Archer ma chorą ambicję? Badawcze loty nad stratosferą, aha. Rzeczywiście cieszą go nowinki, ale celem jest czysty kolonializm. Podobnie Arcymag. Pana nie było tutaj przez rok, więc pan nie wie, że cały ten czas ustalali scenariusze na przyszłość; wyprawę planowali od dawna, a Most spadł im jak z nieba. Dwójka Magów Pustki może i jest groźna, ale nie tak groźna, żeby przeciwstawić się armii. A potem... mają sposoby, by ich wykorzystać.

– Proszę pani, Weyland nie jest...

– Za każdym razem, gdy ulega pan złudzeniu, że Weyland to dobrotliwy obrońca ludzkości, proszę się solidnie pukać w głowę. Nawet nie jest pan w stanie pojąć, jak pokrętnie rozumuje czarodziej liczący sobie ponad trzy stulecia, indoktrynowany jeszcze przez Elysię Fairbanks. Wewnętrzny krąg Gildii zrobi wszystko, żeby odzyskać magię Pustki. Marzy im się pełna władza nad nieutalentowanymi. Jak dawniej.

Zapadła cisza. Trochę kręciło mi się w głowie.

– No dobrze. Ale w takim razie... dlaczego ja? Co ja mogę?

– Jest pan półaktywnym bardzo blisko ich wewnętrzznego kręgu, może jeszcze czegoś pan się dowie. Ostrzeże Bretańczyków, kiedy przyjdzie czas. Może pana wtajemniczą w część sekretów; może zechcą wmówić, że dzięki tej zabawce, Zagładzie Gwiazd, dorówna pan ich statusowi. Od razu mówię, że to też mrzonka. Dla nich półaktywny znaczy tyle co nieutalentowany, czyli nic. Ludzkie bydlę.

– Czy ma pani przyjaciół...?

– Niewielu. – Uśmiechnęła się krzywo. – Przeciwwstawianie się tym ludziom przypomina walkę z przyływym.

Oparłem łokcie na kolanach i podparłem dłońmi brodę. Jej argumenty brzmiały bardzo racjonalnie, ale wzbudziła we mnie podejrzenia zarówno wobec Weylanda, jak i siebie.

– A może wie pani... coś więcej o tym napastniku z butlą pełną Pustki?

Parsknęła.

– Chciałabym. Nie mam niestety pełnej wiedzy o sprawach, jakie załatwiają między sobą poszczególne frakcje magów. Mogę się tylko cieszyć, że nie są jednomyślni.

– A czy może mi pani przesłać dane... źródłowe, które wspierają tę hipotezę? – Podniosłem z łóżka manuskrypty zwinięte w rulonik. – Bo brakuje tu... pomiarów, a nie wyciągnę przecież wniosków... ze streszczeń. I niektóre opracowania brzmią strasznie alar... mistycznie.

– Nie noszę ze sobą całej biblioteki, ale dostanie pan swoje dane, jak tylko znajdę chwilę. – Wstała. – Doradzam ostrożność.

\* \* \*

Po rozbłyskach pod powiekami Amandine poznała, że zbliża się migrena. Nic na to nie mogła poradzić prócz zażycia lekarstwa schowanego w neseserku i oczekiwania z nadzieją, że zadziała. Owinięta miękką pościelą z krepy od dłuższego czasu próbowała zasnąć. Mimo pozorów luksusu łóżko było wąskie i twarde; kiedy spróbowała swoim zwyczajem zwinąć się w kłębek, oparła się plecami o zimną ścianę. Gdzieś nad jej głową jęczała i skrzypiała wielka stalowa konstrukcja, jak gigantyczny namiot-wieloryb. Wykrywacz skażenia pozostawiony

na toaletce cykał w leniwym, nierównym rytmie – trzy pyknięcia, potem jedno, cisza... i znów dwa pyknięcia. Jakby próbował nawiązać dialog.

Zsunęła się z łóżka, starannie owinęła się w szlafrok. Zostawiono im na noc butelkę z wodą i dwie szklanki; Amandine podejrzliwie zerknęła, czy butelka była już otwierana. Jej sąsiadka jeszcze nie wróciła do pokoju. Spała powyżej, więc nie dało się tego przegapić.

Nie ufała jej. Mogła się założyć o Zagładę Gwiazd, że będzie próbowała uwodzić jej narzeczonego, a przynajmniej mieszać mu w głowie, jeśli Vince w typowy dla siebie sposób tego nie zauważy. Te miny, które robiła w pobliżu Archera... Biedny, bity szczeniaczek z wielkimi oczkami. W stopniu majora. Jasna cholera.

Nie potrafiła sama ocenić, czy dokumenty, które przekazała Jacqueline, zawierały wartościowe informacje, czy totalne bzdury. Vincent na pewno był zaniepokojony, chociaż sam przyznał, że materiały są niekompletne. Nie zamierzała pochopnie uwierzyć, że jej narzeczony stanowi chodzące zagrożenie istnienia świata. Jedno, czego była pewna, to że Jacqueline prowadzi własną grę, należało więc uważnie ją obserwować. Intrygowali wszyscy, aż skwierczało: Weyland, Archer i jego asystentka. Ale Amandine przez pół roku usiłowała wziąć do kupy nową Gildię Magów, tak żeby jej członkowie nie pozabijali się nawzajem, i jako żywo przeżywała *déjà vu*.

Różnica polegała na tym, że tutaj nikt jej nie słuchał i nie doceniał; może tylko Weyland żywił cień szacunku. Odpowiadała jej ta sytuacja, bo to oznaczało, że gdy zacznie szpiegować Jacqueline, asystentka Archera nie zwróci na nią uwagi. Nadworna Magini Bretanii uważnie się przyglądała, czy jej sąsiadka zauważy rąbek futerału Zagłady wystający spod łóżka i zada jakieś kłopotliwe pytanie. Nic takiego się nie stało. Amandine była nieutalentowana, a zatem nieciekawa. W tym pokoju nic się nie mogło wydarzyć.

Łyknęła lekarstwo, zastanawiając się przelotnie nad przeszukaniem sakwojazu Jacqueline. Szybko porzuciła tę myśl. Każdy szpieg wart swojej ceny zauważy, że grzebano mu w bagażu podręcznym.

Ale mogła sprawdzić, gdzie też jej współlokatorka spędza noc. Na pewno odwiedziła Vincenta, ale to nie mogło potrwać długo; Amandine była pewna, że jej narzeczony odesła uwodzicielkę z kwitkiem. Może robiła coś niewinnego,

na przykład pracowała w nocy albo właśnie poszła do łazienki. A może jątrzyła gdzie indziej. Amandine chętnie podsłuchałaby taką rozmowę.

„Cóż – stwierdziła trzeźwo – najwyżej się dowiem, że siedzi w wygodce”.

Chwyliła Zagładę. Jakby co, zawsze może powiedzieć, że niosła ją Vincentowi. Na razie i tak miała zamiar użyć zaklęcia kamuflażu, którego w Bretanii prawie wcale nie stosowała; potrzebowała tam głównie magii ochronnej. W lasce magicznej nie zapisano prawdziwej niewidzialności, ale tyle wystarczyło.

Przebiegła palcami po symbolach. Zdążyła utrwalić wiedzę o zaklęciach, jakie znajdowały się na lasce magicznej. Starła się, żeby bretańscy magowie nigdy nie zapominali, że jednak ma trochę własnej mocy. Uważała, że to dziecinne. Prawdziwa siła nie bierze się stąd, że można z jej pomocą komuś dać w zęby. Ale wielu czarodziejów nigdy nie wychodziło poza mentalność szkolnych dręczycieli.

Gdy otuliło ją zaklęcie, wymknęła się na korytarz. Latający statek skrzypiał, jęczał i trzeszczał, terkotała maszyneria, niski monotonny dźwięk dobiegał z dysz aerodynamicznych, przenikając poszycie i niosąc się stalowymi wręgami. Mogłaby biec, a i tak z oddali nikt by jej nie usłyszał. Aby jednak mieć pewność, szła boso po zimnym parkiecie.

Przygaszono światła. Świeciła się tylko niewielka część automagicznych lamp. Nigdy wcześniej Amandine nie widziała powszedniej magii zastosowanej na taką skalę; zarówno produkcja, jak i zasilanie takich dzieł kosztowały grube pieniądze. Automagiczne kuchnie były nowinką obecną głównie w szlacheckich rezydencjach. Ekspresy do kawy wyposażone w runy grzewcze spotykało się raczej w restauracjach niż domach. Na składany dom mogli sobie pozwolić tylko nieliczni, jak Margueritte, która dysponowała fortuną.

Amandine i Vincent urodzili się w czasach, gdy takie luksusy tym bardziej należały do wyjątków. Jeszcze trzydzieści parę lat temu przepisy bardzo ściśle regulowały użycie automagii; teraz schodziła pod strzechy. Choćby kule magiczne, kiedyś trudniejsze w uruchomieniu i poza ścisłą elitą rzadko używane. Nie wszystkim się to podobało, zwłaszcza starym magom, którzy wciąż tęsknili do obyczajów panujących w czasach sprzed rewolucji republikańskiej.

Młodzi czarodzieje, tacy jak Kathryn, uznawali obecny stan rzeczy za oczywistość. Nie zapowiadało się, że Kat abdykuje, co znaczyło, że Bretania

powinna się przygotować na wstrząs. Tam wciąż słowo „wiedźma” niesło ze sobą zupełnie inne skojarzenia niż w Arborii.

Salon był pusty; wentylacja działała słabo i w powietrzu nadal unosił się dym. Drzwi do czytelnicy zamknięto, ale spod nich przeświecała smuga bladego światła. Tutejsze lampy emitowały cieplejszy, przyjemny blask. Czyli kula magiczna. Ktoś podśpiewywał cicho. Rozpoznała redaktora de Pointeferre'a i odwróciła się od drzwi.

W tej samej chwili do salonu weszła Jacqueline z sakwojazurem w ręku. Rozejrzała się, ale nie dość uważnie, aby dostrzec Amandine, ukrytą dzięki zaklęciu pod wzorem ze złożonych niezapominajek zdobiących tapetę. Zorientowała się natomiast, że czytelnicy jest zajęta, zachnęła się i zawróciła.

Gdyby obejrzała się za siebie, zobaczyłaby, że z tapety w złożone niezapominajki wyłania się ludzka sylwetka i kolejno wtapiając się w cień pod ścianą oraz koronkowe firanki, podąża w ślad za nią.

Jacqueline zmierzała w stronę pokoju nawigacyjnego, co wydawało się Amandine nieco zaskakujące; przecież cały czas ktoś tam się znajdował. Stała pod ścianą, czując się dość głupio. Na razie wydawało się, że asystentka nie robi niczego podejrzanego.

Pani major skinieniem głowy przywitała jednego z członków załogi – chudego młodego rudzielca w okularkach, który wyglądał, jakby chwilę wcześniej oderwał się od stołu alchemicznego. Podniósł się znad mapy, wlepiając w nią wzrok jak w obrazek.

– Przepraszam pana bardzo – odezwała się Jacqueline – ale muszę koniecznie porozmawiać z mamą. To prywatna sprawa; czytelnicy jest zajęta, a w salonie i jadalni niesie się echo. Czy nie będzie dla pana kłopotem, jeśli pana poproszę o klucz do jednego z nieużywanych pokoiów?

– Naturalnie, proszę pani. – Sięgnął do szafki na ścianie, chwilę poszperał i podał jej klucz.

„Ale ma tupet – pomyślała Amandine. – Trzeba jej to przyznać”.

Szła pół kroku za nią, starając się stąpać jak najciszej. Stopy cierpły jej od chłodu. W drodze powrotnej przez chwilę sądziła, że została wykryta; Jacqueline przystanąła, jakby węsząc. Zrobiła nawet szybki gest palcami. Czegokolwiek jednak



spróbowała, nie namierzyła Amandine. Możliwe, że chciała wykryć kogoś obdarzonego mocą.

Otworzyła wreszcie drzwi. Amandine ostrożnie wślizgnęła się za nią do środka. Sporo ryzykowała. Pokoje były ciasne. Przez chwilę uważnie lustrowała otoczenie, aż wreszcie znalazła kąt, w którym mogła się skryć, na wypadek gdyby Jacqueline wychodziła.

Asystentka wyjęła kulę magiczną i wydała komendę połączenia. „Będzie zabawnie – pomyślała Amandine – jeśli rzeczywiście chce tylko porozmawiać z mamą”.

Przedmiot rozjaśnił się od środka bladym światłem, ale pod szkłem nie ukazał się obraz żadnej twarzy, tylko drewniana powierzchnia – może biurko – a na niej spodek pod filizankę, ozdobiony wizerunkiem smukłej białej wieży.

– Mów, co masz mówić – szepnęła. – W ogóle nie powinniśmy tutaj rozmawiać. Przykręciłam detektory, ale nadal nie rozumiem po co. Dałam mu do myślenia; jest niepewny, ale w końcu go przekonam. Trzeba tylko cierpliwości. Masz pojęcie, ile ryzykuję?

– Nie mamy czasu na przekonywanie ludzi do sprawy. – Głos był męski, nosowy, z arystokratycznym akcentem. – Chamomille jest u mnie.

– Co? Żartujesz. Skąd...?

– Mówiłem, że jej nie docenicie – odparł zirytowany. – Pracowała z moim pradziadkiem. Przechodzimy do drugiego etapu; ostatnia taka okazja, żeby załatwić Weylanda. Ustaw portal i zaczynaj.

Jacqueline przesunęła dłonią nad kulą, gasząc jej światło; później włożyła ją do sakwojażu, w zamian wydobywając obco wyglądający dysk z czarnozielonego połyskliwego metalu. Chwilę trzymała go w dłoni, po czym uniosła wzrok.

Patrzyła Amandine prosto w oczy.

Żadne zaklęcie kamuflażu nie wytrzymało bezpośredniej konfrontacji. W pierwszym odruchu Amandine zacisnęła palce na symbolu kuli ognistej, a później zreflektowała się, że nie powinna jej rzucać w ciasnym pomieszczeniu na latającym okręcie. Zawahała się tylko ułamek sekundy, ale to wystarczyło. Jacqueline mignęła palcami i wypowiedziała słowo. Jako półaktywny mag wojskowy nie znała wielu zaklęć, ale te, które umiała, stosowała szybko i perfekcyjnie.

Amandine poczuła, że błyskawicznie ogarnia ją senność, kolana miękną, pokój rozmywa się przed oczami. Ostatkiem świadomości zobaczyła jeszcze, że Jacqueline przytwierdza dysk do najdalszej ścianki kabiny, a czarny metal zmienia konsystencję, zaczyna pływać i falować. Zdążyła jeszcze sobie przypomnieć, gdzie wcześniej widziała coś bardzo podobnego, i zdjęła ją groza.

\* \* \*

Pływałem w ciężkim, niespokojnym letargu. Jak podczas gorączki, gdy nie można dobrze się obudzić ani spokojnie zasnąć, w rozgrzanej, pachnącej kurzem pościeli, na wpół zanurzony w sennych marzeniach. Uczucie, którego nie potrafiłem precyzyjnie określić, nagliło mnie, abym wstał. Głowę miałem ciężką, ręce bezwładne, skórę rozpaloną i suchą. W powietrzu unosiła się chemiczna woń.

Wstawaj! – wołał do mnie instynkt, który powoli rozpoznawałem. Ten sam, który kiedyś uchronił od śmierci mnie i moich towarzyszy, gdy pogrążony w malignie rozplatałem skażoną magię bretańskiego Inkwizytora. Teraz też moje Źródło mimowolnie przetwarzało rozchodzące się w powietrzu ślady mocy Pustki. A może tylko o tym śniłem; może przytłoczyły mnie wspomnienia?

Dźwignąłem się. Czaszka mi pękała, ćmiło w oczach. Nade mną chrapał Archer, nie widziałem nigdzie redaktora de Pointeferre'a. Moje nozdrza wypełniał kwaśny odór. Na szafce nocnej wciąż cykał licznik skażenia, leniwie i powoli, cały czas tak samo, bez żadnych zmian. A przecież oprócz silnego chemicznego zapachu odczuwałem niewyraźne, pozazmysłowe wrażenie, które rozpoznawałem jako znak skażonej magii.

Skąd ten gaz czy coś...? Awaria na statku? Gdzie sygnały alarmowe? I dlaczego, skoro niby jest w porządku...

Wpadłem na pomysł, żeby oczyścić powietrze zakłębieniem, ale nie mogłem pozbierać myśli i przeliczyć najprostszego wzoru. Zwlokłem się z łóżka, omal z niego nie spadając; sięgnąłem po butelkę z wodą. Badaliśmy kiedyś takie ruiny, gdzie omal nie udusiliśmy się w pyłe; miałem nadzieję, że wiem, jak postępować.

Chwilę później przytykałem do ust nawilżoną, złożoną na czworo serwetkę. Powoli rozjaśniało mi się w głowie. Uważnie przypatrywałem się licznikowi, usiłując skupić na nim wzrok.

I wtedy zrozumiałem, że ktoś przy nim manipulował. Nie zwiduje mi się, nie mam koszmarów wojennych, rzeczywiście wokół czuć Pustkę. Jakby kopnął mnie prąd; zerwałem się gwałtownie, krew zapulsowała u nasady nosa, wystrzyły się myśli.

Gwałtownym ruchem rozsunąłem drzwi i nie odrywając szmatki od ust, wypadłem na zewnątrz. Piekiły mnie oczy, ale umysł wracał do formy. Skupiłem się na przepływie mocy i przekalkulowałem prosty urok na odświeżenie powietrza, z przywołaniem wzoru rekurencyjnego. Kilkanaście kwantów mocy przyjęło należyty kształt, który zaczął pracować wokół mnie nad usunięciem nieprzyjemnych zapachów. Wiedziałem, że zadziała dopiero za chwilę, ale nie miałem siły rzucić niczego mocniejszego.

Ruszyłem w stronę pokoju Amandine, w myślach powtarzając logarytmy i różniczki, badając, czy wraca mi zdolność liczenia. Smugi Pustki stawały się coraz wyraźniejsze; o ile mogłem ocenić, kilkakrotnie wykroczyły już poza tło, przyjmując poziom na dłuższą metę groźny. Opierałem rękę o ścianę; stopy miałem bose. Podłoga parzyła z zimna.

Nasz pokój, przeznaczony do kwarantanny, znajdował się na końcu korytarza. Po drodze do kabin, gdzie ulokowano kobiety, mijałem pozostałe drzwi. Statek zgrzytał i jęczał; nie usłyszałbym intruza, chyba że byłby bardzo nieostrożny. Rozglądałem się czujnie.

W porę dostrzegłem, że trzecie drzwi w korytarzu rozsuwają się z hukiem. Spróbowałem postawić tarczę kinetyczną, ale zrobiłem błąd we wzorze; pękł jak bańka mydlana, zanim wpłynęła do niego moc. Z kabiny wypadł człowiek w srebrnym skafandrze, jaki już raz widziałem, z plecakiem, od którego tak cuchnęło Pustką, że włosy stawały dęba na karku. W dłoni trzymał jakiś nieduży przedmiot, chyba strzykawkę.

Zadziałał naturalny odruch i wokół mnie zawirowały cienkie, migotliwe osłony, dopasowując się kształtem do wąskiej przestrzeni korytarza. Jedna, dwie, trzy. Nie chroniły przed napaścią fizyczną, ale przed Pustką – jak najbardziej. Wyciągnąłem przed siebie rękę i zacząłem przetwarzać; niemal widziałem płynną, ciemną magmę skażonej mocy przez ścianki plecaka i szklanego pojemnika w środku. Postronni nie byli świadomi, gdy to robiłem, ale każdy głupi dostrzegłby, że z nadmiaru pochłoniętej energii zacynam świecić.

Zaskoczony intruz cofnął się i wypluł z siebie serię przekleństw. Zanim zdołałem rzucić jakiekolwiek zaklęcie, skoczył do przodu. Skryłem się za gardą; zwilżona szmatka upadła, jednak już jej nie potrzebowałem. Wyprowadziłem szybki kopniak pod kolano, ale przeniósł ciężar ciała i uniknął ciosu. Jego ruchy nienaturalnie przyspieszyły, mignął mi tylko przed oczami. Poczułem ukłucie w ramię; zdążyłem jednak odskoczyć, wzory wreszcie złożyły się w całość i wokół mnie rozblęsnęła połyskująca miedzią tarcza kinetyczna.

Otrząsnąłem bolącą rękę. Pospiesznie ukształtowałem nadmiar mocy – wciąż ją oczyszczałem, zebrałem tego już tyle, że rozsadzała mi Źródło od środka – i miotnąłem w niego piorunem kulistym, równocześnie przeliczając wzór Szybkości Pumpy. Z moją pojemnością kanałów energetycznych mogłem rzucać kilka zaklęć naraz, ograniczały mnie tylko refleks, umiejętność kalkulacji i doświadczenie. Tego ostatniego mi brakowało; zużyłem znacznie więcej jednostek, niż trzeba – nie zaliczyłbym swoim wyczynem żadnego egzaminu – ale zadziałało. Zrównałem się z nim prędkością.

W ostatniej chwili postawił własne osłony; skwiercząca kula elektryczności spłynęła po półprzezroczystej bańce, uziemiając się wzdłuż wsporników ściany.

– Prawdziwy Mag Pustki! – wrzasnął. Zza drzwi właśnie wychylał się drugi intruz, również w skafandrze. Głośno i wulgarnie wyraził niedowierzanie, równocześnie składając palce do zaklęcia przyspieszającego.

Rozpętało się inferno. Magia wypełniła korytarz. Mniej wprawny w pojedynkach między czarodziejami, wybierałem pierwsze zaklęcia, jakie mi przyszły do głowy. W powietrzu fruwały magiczne pociski, wgniatając ściany korytarza, podłogę i sufit; gruchnęły dwa okazałe lodowe stalaktyty, poszło nieudane zaklęcie Pomniejszego Paraliżu. Rewanżowali się czarami podobnej klasy, zdradzając brak doświadczenia albo półaktywne Źródło. Miałem nadzieję na to drugie. Jeśli byli półaktywni, wkrótce musiały im się skończyć jednostki.

Sam, wyciągając przed siebie ręce, wysłałem całą zawartość plecaków, od razu przeznaczając część na straty; nie potrafiłem natychmiast zużyć całości ani utrzymać w Źródle. W nieznanym mi sposób wydawali się rozumieć, że opustoszyłem ich zasobniki – pewnie mieli w skafandrach własne metody pomiaru – nie próbowali do mnie strzelać z Pustki. Usiłowałem wchłaniać też ich zaklęcia, ale było tego trochę za dużo naraz. Świeciłem się jak olbrzymia lampa automagiczna, oślepiając zarówno ich, jak i siebie.

– Spadamy! Do portalu! – wychrypiął jeden z nich.

– Zepsuje go, idioto! – odparł drugi. – Powietrzem!

Zaczął biec w stronę pokoju nawigacyjnego; między nim a kokpitem znajdowały się drzwi gondoli. Drugi pospieszył za nim. Nie wyglądali, jakby dysponowali spadochronami, a jako półaktywni zapewne używali mniej skomplikowanych zakłéc niż Lot.

Tak czy owak, musiałem ich złapać. Przeklinałem bretańskie praktyki z Bernardem, który nie uznawał zakłéc unieruchamiających. Jeżeli uciekną, nie dowiem się o nich niczego. Natomiast oni będą wiedzieli wszystko o mnie.

Rzuciłem się za nimi. Ramię uklute przez faceta ze strzykawką pulsowało bólem. Cokolwiek się z nim działo, nie miałem czasu stanąć i się zastanawiać. Wpadłem do pokoju nawigacyjnego i od razu złapałem się drabinki prowadzącej do części technicznej; jeden z intruzów właśnie wyszarpnął drzwi gondoli. Uderzył we mnie podmuch mroźnego powietrza.

Po posadzce zsuwał się rudwłosy mundurowy, który pewnie zasnął przy stole na mapach nawigacyjnych. Mignęło mi w świadomości, że to chyba źle, że załoga też jest pogrążona we śnie. Tak czy owak, miałem wybór – ścigać intruzów albo postarać się, by oficer nie wyslizgnął się z pokoju i nie wypadł za burzę.

Łapiąc się barierki i mebli przymocowanych do ścian, a równocześnie nogami przytrzymując nieprzytomnego, wyrząłem za próg; napastnicy właśnie wyskakiwali z gondoli, nie czekając, aż powiodą im się zakłęcia antygravitacyjne. Nie słyszałem ich – wiatr świszczwał w uszach – ale jeszcze widziałem, jak gestykulują frenetycznie, usiłując zmusić magię do działania. Bali się mnie do tego stopnia, że woleli zaryzykować upadek z wysokości dwóch i pół kilometra, niż chwilę dłużej zostać na statku.

No to po zabawie, nie będę ich przecież gonił. Odciągnąłem oficera za próg pokoju, żeby przypadkiem się nie zsunął, przytwierdziłem do podłogi Energetyczną Pajęczyną, po czym spojrzałem znów na drzwi. Krótkotrwałe mogłem je zastąpić Bańką Kinetyczną; nie hamowała napływu zimnego powietrza, ale przynajmniej nikt nie wypadnie.

Po chwili w dziurze, gdzie kiedyś tkwiły drzwi gondoli, metalicznie błyszcząca półprzezroczysta tarcza. Zimny wiatr powoli wypełniał pomieszczenia, co miało też swoją dobrą stronę; prędzej czy później usypiający gaz wywietrzeje. Z tego,

co wiedziałem o statkach latających, mógł jeszcze chwilę pozegłować bez sternika, a przynajmniej wydawał się dość stabilnie unosić na prądach powietrznych.

Bolała mnie ręka. Świeciłem się jak świńska dupa i nie zapowiadało się, że szybko przestanę. Zwykle gdy rafinowałem duże ilości skażonej magii, uwalniałem ją całą naraz w powietrze, ale nie mogłem tego zrobić w ciasnej przestrzeni, na okręcie podtrzymywanym przez delikatne runy antygravitacyjne i odrzutowe. Poza tym promieniowały ze mnie nie tylko nadmiar energii pochodzącej z przetworzonej mocy Pustki, lecz także własne straty, wynikające z zaklęć rzucanych pośpiesznie i w stanie częściowego otumanienia. Ale nie mogłem jeszcze poświęcać temu uwagi. W gondoli nadal wyczuwałem niewielkie, lecz stopniowo rosnące stężenie skażonej energii.

Mówili coś o portalu.

Zawróciłem w stronę kabiny, gdzie spotkałem napastników, ale zmysł Maga Pustki poprowadził mnie do innej, nieopodal pokoju pań. O ile pamiętałem, poprzednio nie była zajęta.

Tym razem zobaczyłem uchylone drzwi, a za nimi leżącą na podłodze Amandine, pukle rudych włosów rozrzucone na piersi, nieco rozchelstany szlafrok i dłoni zaciśniętą na Zagładzie Gwiazd. W głębi dostrzegłem zwiniętą w kłębek półprzymomną Jacqueline; pojękiwała boleśnie.

Na ścianie rozpościerał się pochłaniający światło owal wielkości ludzkiej sylwetki, z którego dobywały się widoczne tylko dla mnie oleiste smugi magii Pustki.

\* \* \*

W pierwszym odruchu odskoczyłem do tyłu, uderzając plecami w ścianę korytarza. Wokół mnie natychmiast rozwinęło się sześć pozostałych osłon, zazębiając się wokół siebie, jakby krążyły po własnych orbitach. Teraz mógłbym bezkarnie unosić się w przestrzeni żywej Pustki, chociaż oczywiście nie potrzebowiałem tak silnej ochrony. Znów spojrzałem przed siebie. Widziałem już kiedyś podobne zjawisko. Jeden jedyny raz, w Utraconej Bretanii. Wszyscy wiedzieli, że teleportacja ludzi jest niemożliwa, ale Inkwizytorzy, kapłani obdarzeni zdolnościami manipulowania skażoną mocą, przenosili się skrótem przestrzennym

przez Pustkę. Pomagała im w tym Trzecia Wyrocznia, zaprzęgnięta do pracy przez Lucjusza Szalonego.

Wskutek takiej teleportacji tworzyła się oleista kałuża mocy Pustki – szybko znikająca miniaturowa rozpadlina. Strach o Amandine podszedł mi do gardła, leżała tu długo i wchłonęła dość, aby zabiło ją na miejscu.

Później uświadomiłem sobie, że stężenie mocy nie jest znowu takie duże. Szkodliwe, ale bez poważniejszych konsekwencji, jeśli natychmiast ją przetworzę. Portal na ścianie wyglądał na ustabilizowany. Podobnie jak ten, który znajdował się w podziemiach budynku Gildii Magów w Avalonie.

Jak to zrobili? Nie mogli przecież wykorzystać Skuld; Weyland wiedziałaby o tym. A może...?

Nie umiałem z tym postępować, więc na wszelki wypadek zacząłem oczyszczać portal od strony brzegów. Widocznie to właśnie należało zrobić, bo zaczął się związać na brzegach jak płonący kawałek papieru. Chwilę później od ściany oderwał się metalowy czarny dysk wielkości dłoni i z brzękiem potoczył po podłodze.

Opadłem na kolana obok mojej narzeczonej.

– Amandine. – Ująłem jej twarz w dłonie. Równocześnie przetwarzałem całą spaczoną moc, jaka jeszcze zalegała w kabinie. – Amandine, obudź się!

– Mmm. – Uniosła powieki i zaraz je zacisnęła; raziło ją światło. – Zzzimno... Vince...? Na Pustkę. Weyland. Pomóż mu.

Zmartwiałem. Oczywiście. Pokój, z którego wyszli napastnicy. Chodziło o Weylanda.

– Nie tkwij tu jak kołek – wychrypiąła. – Nic mi nie jest, rusz się, już!

\* \* \*

Znalazłem Weylanda na wpół zwieszonoego z łóżka; krzywiąc się z bólu, zaczynał właśnie dźwigać się do pozycji siedzącej. Podbiegłem do niego i podałem mu ramię. Jakbym próbował podnieść słonia; jęknąłem ciężko. W ramieniu ukłutym strzykawką zapulsował ból.

– Zostaw... – sapnął Arcymag; oparł dłonie na podłodze i powoli przeniósł ciężar ciała z powrotem na łóżko. – Wyłącz tę lampę...

– Nie bardzo mogę – przyznałem. – Wciągnąłem za dużo Pustki; jeśli wypuszczę naraz to, co przetworzyłem, zepsuję okręt. Wszystko w porządku?

– Nie. – Na czole Weylanda perlił się pot. Otarł go z sapnięciem. Otworzył usta i tylko bezsilnie złapał oddech. Poczulem próbę kontaktu przez kanały energetyczne i po raz pierwszy w życiu ustabilizowałem połączenie z Arcymagiem.

Jak już kiedyś mówiłem, współprzetwarzanie jest czynnością ściśle intelektualną. Wbrew temu, co sugeruje Bernard, w telepatii i przekazywaniu sobie mocy nie ma niczego niestosownego. Przez więź można jednak nie tylko usłyszeć cudze myśli, lecz także poczuć część emocji oraz poznać kształt Źródła i systemu energetycznego człowieka, z którym nawiązujemy kontakt.

Przede wszystkim zrozumiałem, że Arcymag się boi.

W pewnej mierze obawiał się mnie. Poczulem się zaskoczony, a nawet nieco oburzony. Weyland wielokrotnie podkreślał, że nie widzi we mnie zagrożenia, nawet jeśli teraz nie potrafi mi jeszcze zaufać. Sam zatwierdził moją kandydaturę na Maga Pustki. Przyznał, że poszukiwali człowieka o zrównoważonym charakterze, zdolnego do pracy w zespole, pozbawionego nadmiaru ambicji i agresji. Słowem, przeciwieństwa Lucjusza Thorpe’a.

„Teraz już wiesz. To odruchowe – przyznał Arcymag z pewnym wstydem. – Jak lęk przed pająkami albo szkolnym egzaminem”.

„Wypraszam sobie”.

„Z czasem się przyzwyczaję. Za dużo przeżyłem, za dużo widziałem w wykonaniu Lucjusza; na logikę nie obawiam się ciebie, ale racjonalne tłumaczenia nie docierają do zwierzęcej części mojego mózgu. Nie chciałem, żebyś wiedział. Sprawdź, proszę, co się dzieje z moim Źródłem”.

Sięganie do cudzego Źródła jest postrzegane przez czarodziejów jako czynność łamiąca zasady prywatności. Odniosłem wrażenie, jakbym dłubał Weylandowi w zębach. Albo przeszukiwał mu kuferek z brudną bielizną. Nie zaskoczyło mnie, że Arcymag dysponował starym i spracowanym Źródłem o zasobie ponad czterystu jednostek. Przejawiał też szczególny talent do zakłęb metamorficznych, co było dość interesujące, zważywszy, że nigdy nie naprawił blizn ani złamanego nosa.

Coś się do tego Źródła przykleiło, jak grudka żywicy albo mały czarny guz. Rozpościerało na nim krótkie nibynóżki, zasysało energię. I produkowało Pustkę. Na razie w niewielkim stężeniu, ale bez ustanku.

Przekazałem moje wnioski Weylandowi.



„Tak sądziłem. Nie mogę sprawdzić sam. Czuję się paskudnie. To jest... jakiś organizm. Krąży w moich żyłach, a tak się przejawia na poziomie energetycznym. Żaden zwykły mikroorganizm, żadna trucizna. Rzuciłem zakłęcie oczyszczające; pomogło mi oddychać, ale tego nie uleczyło”.

Sapnął.

„Potrzebuję pomocy, Vince. Przekażę ci wzór, a ty rzuć zakłęcie. Spróbuję hibernacji. Ten organizm pasożytuje na moim Źródle. Muszę wejść w trans, w którym Źródło zostanie uśpione. Jeśli po prostu zasnę lub stracę przytomność, pasożyt nadal będzie się rozwijał”.

„Zaufasz mi?”.

„A jaki mam wybór? – westchnął. – Po powrocie do Avalonu znajdź Estere Everett. Najlepsza lekarka diagnostka w całej Arborii, specjalistka od magii Entropii. Należy do Cienia”.

Zmrużyłem oczy.

„Archer przekazał mi to samo nazwisko. Może chciałbyś o tym wiedzieć”.

„Ach, ależ wiem. Leczy agentów rządowych. Ale dłużej jest nasza”.

„Skoro tak mówisz...”.

Przypomniałem sobie o strzykawce i bolesnej ranie na rękę, i zaczął mnie ogarniać niepokój. Czy na moim Źródle także rozrasta się pasożyt? Wydawało mi się, że go wyczuwam; drobne, ciemne ziarno. Pożerał kwanty mocy, ale Pustki wyprodukować nie mógł. Przetwarzałem ją, zanim zdążyłem to zauważyć. Co nie zmieniało faktu, że chyba rzeczywiście tam tkwił.

„Do licha. Ciebie też dopadli, prawda?”.

„Mnie to nie zaszkodzi – odparłem, chociaż wcale nie byłem tego taki pewien. Przekazał mi wzór; rozpracowywałem go przez chwilę. Nic trudnego, ale Weyland nie mógłby go rzucić sam na siebie; zakłęcie stopniowo wyciszało czynności życiowe, a wymagało przeliczania aż do wejścia w pełną hibernację. – Jest coś jeszcze. Ja się tego świecenia prędko nie pozbędę. Możliwe, że zauważyła mnie Jacqueline, a już napastnicy na pewno wiedzą, z kim mają do czynienia”.

Zamknął oczy; na jego czole formowały się krople potu jak ziarna grochu.

„Jestem pewien, że jakoś sobie poradzicie”.

Nie zwlekałem dłużej. Uważnie przekształciłem wzór, fragment po fragmencie, żeby tylko się nie pomylić; nie rzucałem go nigdy wcześniej, chociaż niektóre elementy miał wspólne z Uśpieniem. Z początku Arcymag mnie naprowadzał; gdy powoli zaczął zapadać w trans, zakłęcie było już dostatecznie rozwinięte, żeby przybrać właściwy kształt nawet w obliczu drobnych błędów. Wreszcie puls Weylanda i jego oddech zwolniły, temperatura ciała obniżyła się, Źródło przycichło do prawie niewykrywalnego poziomu.

Otarłem pot z czoła, nagle przerażony, że nieodwracalnie skrzywdziłem Arcymaga. Poszukałem w myślach odpowiedniego zakłęcia diagnostycznego.

I w tym samym momencie coś wstrząsnęło całą gondolą.

\* \* \*

Pozbawiony sternika statek przez pewien czas spokojnie dryfował na ustalonym kursie. Być może napastnicy założyli, że skończą to, po co przyszli, i obudzą załogę, zanim dojdzie do katastrofy. Tymczasem gaz wietrzała powoli, drzwi do kokpitu pozostawały zamknięte, i chociaż Weyland sam się otrzeźwił za pomocą zakłęcia, pozostali nadal leżeli pokodem, stopniowo dochodząc do siebie. Wliczając w to pilota.

Przytrzymałem Arcymaga za pomocą Pajęczyny, żeby nie spadł z łóżka, a później, chwytając się framug, wyskoczyłem za drzwi. Cała gondola bujała się jak statek na sztormowym morzu; gdy parłem naprzód, wrzucało mną od ściany do ściany. Aby przypadkiem nie było mi za łatwo, miałem trudności z rozróżnianiem kształtów, bo przez nadmiar energii oślepiłem samego siebie. Nawet nie wiedziałem, jakie zakłęcie mogłoby mi pomóc, nigdy nie przewidziałem takiej sytuacji.

Stoliki w salonie były przytwierdzone do podłogi, ale krzesła nie. Pospadały też obrusy, potłukł się serwis i ekspres do kawy. Zauważyłem to dopiero, kiedy wdepnąłem bosymi stopami w okruchy, aż świeczki stanęły mi przed oczami. Dopełzłem do drzwi na czworakach i znów, łapiąc się framug, a później drabinki, wtargnąłem do pokoju nawigacyjnego. Czułem, że zostawiam na podłodze ślady kawowych fusów zmieszanych z moją krwią. Prawie się potknąłem o uśpionego oficera wciąż przytwierdzonego Pajęczyną do podłogi.

W drzwiach gondoli nadal wisiało moje zakłęcie Tarczy, uniemożliwiając mi wypadnięcie. Odbiłem się od niej, lądując na przeciwległej ścianie. Ubrany tylko w szlafrok i pidżamę, szczękałem zębami z zimna. Teraz wyraźnie dostrzegałem problem. Za drzwiami widoczność zmniejszyła się do zera; w nieprzeniknionej szarej mgłę nagle zobaczyłem błękitne gałęzie błysku i usłyszałem huk gromu. Dryfując bez sternika, wlecieliśmy prosto w burzową chmurę.

Zawisłem na drzwiach kokpitu. Były zamknięte.

Przymknąłem oczy i przez chwilę po prostu oddychałem.

Potem skoncentrowałem się – miałem wrażenie, że moc przepływa trudniej niż zwykle – i wyrwałem drzwi za pomocą zwykłego brutalnego zakłęcia kinetycznego. Statkiem znowu zatrzęsło; gwałtownie wturlałem się do środka i boleśnie uderzyłem skronią o bliżej mi nieznany aparat. Ciepła strużka krwi spłynęła po moim czole. Mocno chwyciłem pulpity, o ile mi wiadomo, pozbawiony przyrządów, które mógłbym zepsuć.

Kapitan leżał pod ścianą, przetaczając się to w jedną, to w drugą stronę. Kokpit znajdował się blisko drzwi gondoli i dowódca statku powinien już zacząć się budzić, ale wydawał się nieprzytomny. Mrużąc oczy i usiłując dostrzec coś przez światło, zobaczyłem, że miał zakrwawioną głowę.

No pięknie.

Ponownie rzuciłem Energetyczną Pajęczynę, najwyraźniej dzisiejsze zakłęcie dnia. Później, chociaż wzdragam się przed używaniem zaklęć leczniczych w nieoptymalnych warunkach, Powstrzymanie Krwotoku. Następnie spojrzałem na ster.

Zablokowano go kijem od szczotki. O tyle dobrze, że przynajmniej nie kręcimy się w kółko i nie wywinimy kozła w powietrzu. Ale jak wylecieć z chmury? Oslaniając jedną dłonią oczy, a drugą kurczowo trzymając się pulpitu, przyglądałem się wszystkim wskaźnikom przytwierdzonym nad sterem i dookoła, obserwując światelka, wychylające się wskazówki. Nigdy wcześniej nie pilotowałem statku powietrznego, ale miałem pewne doświadczenie z automagią. Przy odrobinie wysiłku może odczytam kluczowe dane.

I w takiej właśnie pozycji, świecącego jak świąteczna dekoracja, wpatzonego w przyrządy nawigacyjne przy sterze zablokowanym za pomocą kija od szczotki, z zakrwawionym czołem, naprzeciwko wyrwanych drzwi kabiny i w towarzystwie

nieprzytomnego kapitana przytwierdzonego do podłogi zakłębem, zastał mnie Archer.

\* \* \*

– Thorpe! – usłyszałem stanowczy głos. – Odsuń się od koła sterowego!

– Mam problem... – zacząłem, ale mi przerwał.

– Ręce do góry i niczego nie próbuj!

Spojrzałem za siebie i zobaczyłem, że na palcach Archera skwierczy czarny jak doloriańska noc i skupiony w precyzyjną strzałę pocisk entropiczny. Wtedy właśnie zrozumiałem, że sytuacja może wcale nie przedstawia się tak jasno, jak sądziłem. A raczej że dla Archera przedstawia się zupełnie jasno i bardzo niekorzystnie dla mnie. Policzmy. Pasażerowie uspieni gazem. Nieprzytomny Arcymag i dwóch członków załogi, wszyscy przytrzymani moją Pajęczyną. Zniszczone nawałnicą zakłęb ściany korytarza, wyrwane drzwi kokpitu oraz wyjściowe; kto wie, może kogoś próbowałem wyrzucić. Ani śladu po napastnikach i portalu, dopóki oczywiście Archer nie przeprowadzi śledztwa, nie zanalizuje dziur po zakłębciach i nie znajdzie dysku. I nie zastanowi się, dlaczego, do jasnej cholery, miałbym porywać statek, którym podróżuję, w dodatku boso i w szlafroku. Ale na razie miotał nim słuszny gniew.

Może nie postępowałyby pochopnie, może dałby się jakoś przekonać, ale moją sytuację pogarszała świetlista aura, świadcząca o tym, że zgromadziłem znacznie więcej jednostek, niż nakazywała przyzwoitość. A przecież nie mieliśmy na składzie akumulatora, który pozwoliłby mi tyle zaczerpnąć.

– Proszę schować zakłęb! – zawołałem. Gondola nadal się kołysała i choćbym chciał, nie mogłem puścić pulpitu. – Niczego nie próbuję, przecież nie umiem pilotować!

– To pan jest Magiem Pustki! – warknął wściekle, jakby używał wyrazu bliskoznacznego z terrorystą, zbrodniarzem i potworem. – Człowiek, który wrócił z Utraconej Bretanii! Vincent Thorpe! Krewny Lucjusza! Nieutalentowana linia krwi, akurat! Wiedziałem, że tylko udaje pan kalekę!

– Niech pan mi pomoże wyprowadzić statek z chmury!

– Co pan zrobił Jacqueline i Weylandowi?!

– Zostaliśmy zaatakowani! – Sapnąłem z bólu, gdy okruch porcelany wbił się głębiej w moją stopę. – Proszę spytać Amandine!

– Amandine? Jest pańską współpracowniczką! Proszę przestać nagrywać, panie Pointeferre!

– Mowy nie ma – odparł redaktor zza jego pleców. Głos miał zduszony, pełen napięcia. – Niech pan mnie zastrzeli, nie przestanę. Wszystko idzie bezpośrednio do redakcji.

Gondolą ponownie wstrząsnęło i wszyscy stracili równowagę; Archer, zmuszony oprzeć się o ścianę, rozproszył zakłęcie.

Skorzystałem z okazji i dałem susa przez drzwi, rozpychając się między czarodziejem a redaktorem. Gorączkowo tkąłem kinetyczne osłony, najgrubsze, jakie potrafiłem wymyślić. Archer był magiem wojskowym; jeśli zaczniesz do mnie strzelać, mam przechlapane. Musiałem go utrzymać na dystans dostatecznie długo, żeby ochłonął.

Na wpół biegnąc, na wpół tocząc się przez pokój nawigacyjny, postawiłem tarcze ochronne grube jak szkło ekspresu do kawy. Ponowiłem zakłęcie przyspieszające, które wyparowało już jakiś czas temu. W mojej lewej stopie eksplodował ból; tkwiący w niej okruch porcelany znów się poruszył, przecinając tkanki. Prawa stopa nadal jakoś działała i miałem nadzieję, że jeszcze przez pewien czas mnie nie zawiedzie.

Archer coś wrzeszczał. W porę rozpoznałem słowa Pioruna Kulistego i padłem na ziemię. Nieduża, ale bardzo skoncentrowana kula energii elektrycznej – elegancko skupiona wokół rdzenia, żadnych zbędnych odprysków – przefrunęła nade mną i z hukiem uderzyła w ścianę, grzecznie wytłumiona przez drewno. Zrobiło mi się zimno i gorąco jednocześnie; nawet Kathryn nie rzucała tak dobrych zakłóc bojowych.

– Żywcem! Bierz go żywcem! – usłyszałem.

Dziękuję, redaktorze de Pointeferre. Próbowaleś.

Poszło kolejne zakłęcie; tym razem uniknąłem go odruchowo, długoletni trening Drogi Czapli działał za mnie. Archer też przyspieszył i teraz szliśmy krok w krok, nie tak szybko, jak byśmy mogli ze względu na turbulencje, które wstrząsały statkiem.

„Skup się, Vince – pomyślałem. – Umiesz wchłaniać cudze zaklęcia. Musisz się po prostu skoncentrować. Archer jest magiem wojskowym, zgadza się, ale to tylko energia, a energię możesz przetworzyć”.

Odwróciłem się, aby spojrzeć prosto w nadlatujące grotty czarnych strzał, trzaskających ciemną energią na krawędziach. Pociski Entropii. Szumiało mi w uszach, kiedy przechwyciłem je i rozplotłem, a nadmiar mocy – której tak naprawdę więcej nie potrzebowałem – szerokim łukiem posłałem w podłogę. Niemal równocześnie nadszedł kolejny piorun i znów pociski; zagarniałem zaklęcia jedno po drugim, biegnąc z powrotem w stronę Archera. Teraz wziął już poprawkę na mój refleks i możliwości, nie pozostawiając miejsca na żaden błąd. Miał nade mną jeszcze jedną przewagę – ja nie chciałem go zabić, a on się nie hamował. Musiałem go jakoś wyłączyć. Wiedziałem, że długo nie dotrzymam mu kroku.

Stanęliśmy obydwoj w korytarzu między kokpitem a pokojem nawigacyjnym. Po mojej prawej stronie w gondoli ziała dziura zasłonięta rozpraszającą się powoli Bańką Kinetyczną. Wy tłumaczyłbym mu, żeby we mnie nie strzelał, ale nie dawał mi szansy na odpowiedź. Zeszły z niego otumaniające skutki gazu i nie tylko przyspieszył, lecz także zaczął działać strategicznie. Pod moimi stopami podłoga zrobiła się nagle bardzo śliska.

Upadłem na posadzkę. Dwa kolejne zaklęcia ześlizgnęły się po moich osłonach, trzecie przygniotło mnie do podłogi. Pajęczyna Energetyczna, jakaś wzmocniona wersja. Szarpnąłem się odruchowo, a potem skupiłem, aby rozpleść i ten wzór. Nie zdążyłem; Archer zdjął moje tarcze za pomocą Większej Przeciwnagii jak skórkę sparzonego pomidora, a potem nadepnął mi na rękę obcasem. Poczułem na szyi dotyk zimnej lufy.

– Niczego nie rzucaj. Nawet nie drgnij – ostrzegł. Dyszał ciężko. W jego głosie pobrzmiwało autentyczne przerażenie. Przynajmniej zaczął myśleć i teraz nie chciał mnie natychmiast zabić.

– Nie zamierzam – zapewniłem. – Na Pustkę, porozmawiajmy...!

Gondola zakołysała się gwałtownie. Zamknąłem oczy, przekonany, że Archer zaraz strzeli. Raz, dwa, trzy. Nadal żyłem.

– James, wykończ go! – rozległ się drżący damski głos.

Mogłem spojrzeć w stronę pokoju nawigacyjnego, więc to zrobiłem. Mrużyłem oczy; nadal przeszkadzało mi światło.

Jacqueline w jednej ręce trzymała pistolet, w drugiej dzierżyła Zagładę Gwiazd. Miała podbite oko i długie zadrapanie na policzku, szlafrok rozchełstany; w oczach dziki strach.

– James, on jest Magiem Pustki! – zawołała histerycznym tonem. – Im więcej rzucasz w niego zaklęć, tym silniejszy się staje! Myślisz, że naprawdę go pokonałeś? Czeka tylko na właściwy moment! Żadnej litości, James!

– Kontroluję sytuację – warknął Archer.

– Poddaję się, nic nie robię – wykrztusiłem. – Jestem bardzo... pokojowym... człowiekiem.

– Och, chromołą – jęknęła Jacqueline. – Dlaczego muszę odwalać za ciebie każdą brudną robotę?

Uniosła pistolet. W tym samym momencie zobaczyłem, jak zza pani major wyłania się inna kobieca postać, kształtna i dumna, otulona chmurą rudych włosów jak aureolą gniewu. Podbiła rękę Jacqueline; kula poszła w sufit. Słyszałem własny krzyk, kiedy Archer oderwał pistolet od mojej szyi i strzelił.

Zanim nacisnął spust, odruchowo wessałem przytrzymującą mnie Pajęczynę i spróbowałem spleść zaklęcie, cokolwiek, aby osłonić Amandine, ale w tej samej chwili statkiem znów zatrzęsło, znacznie gwałtowniej niż wcześniej. Nie umiałem ocenić, co się wydarzyło później. Zsunąłem się po śliskiej posadzce w stronę drzwi osłoniętych Bańką Kinetyczną, która, rzucona jakiś czas temu, nie wytrzymała mojego ciężaru i pękła.

Spadłem prosto w burzę.

\* \* \*

Kathryn i Artois

Avalon, wcześniej tego samego dnia

O ile wcześniej Artois nie potrafił określić statusu majątkowego rodziny Kathryn, o tyle nie miał żadnych wątpliwości dotyczących Belinde Chamomille. Lady d’Emeraude zajmowała całą białą kamienicę usytuowaną w dzielnicy czystej, pełnej klombów z kwiatami i starannie przystrzyżonych drzew. Kiedy weszli do środka, a pokojówka odwiesiła ich płaszcz, odniósł wrażenie, że brakuje mu liberii i miecza przy pasie.

Mieszkanie wyposażono bogato, lepiej niż pokoje u hrabiego Trevancel, chociaż były jaśniejsze i bardziej przestronne, a ozdoby nieco delikatniejsze w stylu. Na ścianach zamiast kilimów wisiały obrazy, wszędzie było pełno najrozmaitszych roślin w doniczkach. W przeszklonych gablotkach ustawiono porcelanę, krzesła miały wypukłe, obszyte aksamitem siedzenia. Artois minął wysoki zegar z miarowo kołyszącym się wahadłem – znowu ta obsesja Arboriańczyków na temat czasu – i wypchanego bażanta, który stał na komodzie. Przyglądał się wszystkiemu z ciekawością; przyzwyczał się do szlacheckich rezydencji, już dawno przestały go onieśmielać.

Była jeszcze jedna sprawa, z którą z początku w Arborii nie mógł się oswoić. Przywykł w Bretanii, że służby się nie słyszało i nie widziało. Nie do pomyslenia było, żeby posługaczka odezwała się pierwsza albo choćby podniosła wzrok. Tutaj tymczasem już od drzwi powitała ich pokojówka, a później gosposia, która specjalnie wyszła im na spotkanie, wyraziła zachwyt panem kapitanem, a na koniec – oczy omal nie wyszły mu z orbit – uściskała Kathryn. Odniósł wrażenie, że znają się bardzo dobrze, a starsza pani trochę jej matkuje. Nie oburzało go to tak jak Bernarda, bo w Bretanii on sam służył, a nie panował, ale to było... co najmniej dziwne. Wydawało mu się, że dostrzega nawet regułę; nie tylko służący nie czuli się skrępowani, witając ich jako pierwsi, ale chyba zobowiązywała ich do tego etykieta.

Ponieważ wszyscy mówili sobie „dzień dobry”, nagle dom Belinde, która przecież nie zatrudniała takiej liczby personelu jak hrabia Trevancel, okazał się niezwykle zaludniony. Artois starał się zgadnąć, jakie funkcje pełnią ci wszyscy ludzie w fartuchach i liberiach, rażno krążący po apartamentach. Wyglądali na dobrze odżywionych, dumnych i spoufalonych; zastanawiał się, czy to reguła, czy też może lady Chamomille prowadzi domostwo według własnych zasad. Zdążył już się zorientować, że ci Arboriańczycy, których poznał jako pierwszych, wyróżniali się spośród rodaków sporą dozą oryginalności.

Weszli do salonu. Zagapił się na instrument muzyczny stojący pod ścianą; na pierwszy rzut oka skojarzył mu się z klawesynem, był jednak znacznie mniejszy, a nad klawiaturą widniało kwadratowe okienko, w którym dało się dostrzec rolkę z czarnego metalu. Przez chwilę się zastanawiał, czy zadać pytanie, ale postanowił odłożyć je na później.

Książę Bernard de Montreuil de Branche d'Amethyste rozparł się wygodnie na kanapie przy niskim stoliku dziennym, najwidoczniej czując się jak u siebie



w domu. Przed nim stała kula magiczna, a także salaterka wypełniona cząstkami pomarańczy i jasnymi pękatymi winogronami.

– Witam państwa – zagaił, skubiąc winogrono. – Uprzedzając pytania, nic jeszcze dla was nie znalazłem. Kiedy próbuję uzyskać lepszy dostęp do wiedzy zapisanej w kuli, ten przeklęty kryształ dopytuje się o hasło. Zakłęcie lokalizacji nic nie daje; w ogóle mam wrażenie, że może być mizernie z magią dywinacyjną w Avalonie. Do budowy miasta użyto księżycowego kamienia, czy mam rację?

– Nie, w ogóle nie mamy księżycowego kamienia, ale kluczowe punkty i systemy miejskie – mosty, linie tramwajowe i tym podobne – zostały zabezpieczone runami – westchnęła Kathryn. – Tego się właśnie obawiałam. Jeśli Belinde znajduje się w starej części miasta, nie będę mogła jej wysledzić magią.

– Jesteś jej uczennicą – wtrącił Bernard. – Kryształ może i tobie okazywać posłuszeństwo.

– Częściowo. A jeżeli nie, istnieją sposoby, aby go zmusić. Zamierzam to sprawdzić. Jest coś jeszcze. Zaraz po tym, jak się wyłączyłeś, skontaktowała się z nami Margueritte...

Przerwała, zerkając na drzwi salonu, które właśnie się uchyliły, i do środka wszedł chudy starszy mężczyzna w nienagannej ciemnozielonej liberii, niosąc tacę z herbatą i ciastkami. Włosy miał półdługie, szpakowate, zaczesane za uszy; pielegnował też cienki elegancki wąsik. Artois, czuły na subtelności dowodzenia, od razu się zorientował, że widzi kogoś stojącego wyżej w hierarchii personelu Belinde.

Przywitał się oczywiście. Roztasował na stoliku nieduże porcelanowe dzbanki z herbatą i pasujące do nich filiżanki, rozłożył herbatniki na talerzykach. Dołożył kolejną kiść winogron do salaterki.

– Smutno tutaj nam było bez panienki – powiedział, a zaraz potem dodał: – Pracownia się kurzyła, a ustawiłem już nowe matryce transformacyjne. Czy przynosi panienka wieści o lady Chamomille...?

– Miałam nadzieję, że sam udzielił mi kilku wskazówek – odparła Kathryn.

– Zrobię, co będę mógł, chociaż... – Zawahał się, patrząc na gości.

Kathryn ze zrozumieniem skinęła głową.

– Kapitanie, przedstawiam panu Jarvisa, kamerdynera lady Chamomille. Jarvisie, oto kapitan Artois de Narbonne de Branche d'Ambre.

– Jestem zaszczycony, panie de Narbonne. – Mężczyzna się uklonił. Artois, nieprzyzwyczajony do hołdów ani do brzmienia własnego nazwiska, poczuł się trochę głupio. – Jeżeli wolno spytać, czy łączy pana pokrewieństwo z lady de Breville?

– To moja przybrana matka – odparł Artois.

Kamerdyner uniósł brwi ze zdumienia, ale nic więcej nie powiedział.

– Obydwoj panowie są godni zaufania – dodała tymczasem Kathryn. – Porozmawiamy za chwilę. Najpierw muszę omówić z nimi parę spraw, ale wolałabym, żeby nikt nie słuchał pod drzwiami. Zająłbyś się tym, proszę?

– Z przyjemnością, panienko.

Kamerdyner ulotnił się jak duch. Bernard wpatrywał się w całą scenę, jakby zobaczył konia, który mówi.

– Czy on powinien tak się spoufalać? – spytał wreszcie.

– Jasne – odparła Kathryn. – Pamięta pan Blancheta? Mistrza szpiegów generał Theresy?

– Mistrza szpiegów? – zdumiał się książę de Montreuil. – Sądziłem, że tylko dowodzi zaopatrzeniem. Sugerujesz, że Jarvis jest kimś takim?

– Analogicznie – potwierdziła. – Zaopatrzenie i nie tylko. Za młodu pełnił służbę w wojsku. Zdrowie już mu nie pozwala na brawurę, ale zrobił też dyplom wiedzy mechanika. Zna się na tym i owym. Jak widzisz, mamy do dyspozycji znacznie więcej informacji niż te zaszyfrowane w kuli. Najpierw jednak chciałabym cię zaznajomić z sytuacją...

W kilku słowach wyjaśniła, co wydarzyło się na Moście.

– Krótko mówiąc, nawet jeśli Belinde wróci za chwilę, mamy spory problem. Wszystko może wyjść na jaw w niewłaściwej kolejności, zanim moja mistrzyni oswoi kręgi władzy z istnieniem Utraconej Bretanii. Dziennikarze nie mają żadnych zahamowań. Zderzenie będzie ostrzejsze, niż chcieliśmy.

– Nie rozumiem – westchnął książę. – Nie możecie po prostu skrócić ich o głowę?

– Podobno to się nie godzi – wyjaśnił Artois. – Obywatele Arborii mają prawo głosu, więc powinni być o wszystkim informowani.

– Skomplikowany system. – Bernard sięgnął po cząstkę pomarańczy. – Droga Kathryn. Tylko nie próbuj czegoś takiego u nas wprowadzać, to się nigdy nie przyjmie.

– Nie martw się, książę – odparła królowa, odginając kolejno palce. – Zaczę od medycyny, wodnych klozetów i pralek obrotowych. Marzy mi się też system szybkiego transportu statkami powietrznymi, o ile zmieszczą się w budżecie. Demokrację wprowadzimy, kiedy ludzie nauczą się myć częściej niż raz na rok. To poprawia jasność myślenia.

– Na początek wystarczy, jeśli dostarczymy zboże na przednówku – mruknął książę.

Artois delikatnie dotknął łokcia Kathryn.

– Powiedz nam, Kat – zagadnął cicho. – Po rozmowie z Margueritte wydajesz się mniej zaniepokojona zniknięciem lady Chamomille.

– Wydaje mi się – zagryzła usta – że to może mieć ze sobą związek. Jeśli Belinde dowiedziała się czegoś więcej, postanowiła nie przerywać śledztwa. Przemyślałam to zresztą; nie sądzę, żeby wpakowała się w coś bardzo groźnego. Zawsze zręcznie radziła sobie z ludźmi. Ale powinniśmy znaleźć ją przed herbatką.

– Jaką herbatką? – Artois uniósł brwi.

– Dzisiejszą. – Królowa zaplotła dłonie. – No wiesz, nieoficjalną herbatką z premierem.

\* \* \*

– To Belinde powinna wam wyjaśniać arboriańską politykę – zaczęła Kathryn – chociaż na teorii znam się całkiem dobrze. Umykają mi bieżące intrygi; trzeba mieć ten zmysł rozpoznawania podwójnych znaczeń i ukrytych intencji. A zapowiada się bardzo trudne spotkanie, bo Belle i premier należą do przeciwstawnych stronnictw. Federaliści przegrali wybory, w dodatku mogą uważać, że częściowo z jej winy. Lady Chamomille, która im sprzyjała, zniknęła w środku kampanii...

– Czyli – Bernard zmarszczył brwi – przez swoją nieobecność lady d’Emeraude straciła sporą część władzy w Arborii.

– Cóż, niezupełnie. Belle zasiada w Wyższej Izbie Parlamentu, składającej się głównie ze szlachciców – czarodziejów; magia nie jest warunkiem, ale aktywne

Źródła długo żyją, więc nie wymieniają się tak często. Nie traci miejsca dlatego, że jej partia przegrała wybory w Izbie Niższej.

– Nadal nie potrafię przejść do porządku dziennego nad tym, że wasza Izba Niższa, do której kandydować może każdy, ma więcej formalnej władzy niż czarodzieje. – Bernard pokręcił głową z niesmakiem. – Pierwotnie sądziłem, że to tylko igrzyska dla ludu.

– Nie zamierzam cię przekonywać do sensowności naszego ustroju. Myślę, że szczegóły techniczne nie są ważne, dopóki wszystko działa, jak należy. A u nas działa właśnie to, przetestowane metodą prób i błędów. Istnieją przyczyny, dla których Arboria ma na przykład wodociągi i powszechną edukację, a Bretania nie. – Kathryn przeczesła dłońmi włosy. – A jeśli chodzi o samą politykę... Poczekajcie, łatwiej mi będzie wyjaśnić.

Królowa ściągnęła z komody sporą zdobioną kulę na stelażu. Artois dostrzegł, że wymalowano na niej zarysy lądu i rozmaite napisy.

– Czy to jest mapa? – zdziwił się. – Dlaczego ma kształt kuli?

– Och. Oczywiście. To nie mapa, tylko globus. Świat jest kulą – wyjaśniła Kathryn.

– Jak to możliwe? – spytał wstrząśnięty Artois. – Przecież ma Granice. Czy Bretania...

– Bretania zajmuje z grubsza ten obszar. – Kat pokazała wielką czarną plamę pośrodku kontynentu. – Znajduje się w innym wymiarze przestrzennym, ale równocześnie nadal tam jest; wciąż nie do końca wiemy, jak to działa, więc uwierzcie mi na słowo. Ale zasadniczo świat to kula. Trochę spłaszczona na biegunach co prawda...

– Czytałem o tym za młodu. – Książę de Montreuil podkreślił węża. – Jest tak ogromną kulą, że przyklejamy się do jej powierzchni niczym mikroby do jabłka – takie niewidzialne zwierzątka odkryte przez starożytnych, uważasz – i tak jak one nie potrafimy spojrzeć dość daleko, aby dostrzec krzywiznę.

– Czyste szaleństwo. – Kapitan się otrząsnął. – Dobrze. Już nic nie mówię.

– Kontynent arboriański – tłumaczyła dalej Kathryn – kiedyś w całości należał do Cesarstwa Triumwiratu, pominałszy te kawałki, które nie nadawały się wtedy do zamieszkania przez ludzi. Podobno u zarania dziejów nasz świat był bardzo nieprzyjazny. – Zakreśliła palcem spore terytorium. – Przez długi czas Imperium

Arboriańskie zajmowało prawie połowę terenów na zachód od Rozdarcia. Przewińmy o parę stuleci i kilka wojen, rewolucji, podbojów oraz uwalniania się podbitych państw i dostajemy taki obraz jak obecnie. Zjednoczona Republika Arborii, przylegające do niej państwa satelitarne i autonomie. Oraz cała reszta.

– Doloria – odczytał Artois na mapie. – Biorą mnie za Doloriańczyka.

– Mieszka tam większy odsetek ludzi ze śniadym lub ciemnym kolorem skóry – wyjaśniła Kathryn. – Poza tym stereotyp głosi, że są dość wysportowani. Doloria jest naszym... jedni twierdzą, że krajem sąsiedzkim, inni że kolonią. Regularnie toczy z nami wojny o niepodległość. Hrabina Oliwia de Branche d’Opal, rywalka polityczna mojej mistrzyni, ma posiadłości w Dolorii, kontroluje ich Gildię. Arcymag Weyland pochodzi z Dolorii. Tamtejsi patrioci uważają go za zdrajcę, bo działa w naszym systemie. Nasi patrioci uważają, że jako agent pracuje na rzecz uwolnienia Dolorii spod kontroli Avalonu.

– A jak jest naprawdę?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. – Ma ponad trzysta lat. Nie śledzę nawet wszystkich planów mojej mistrzyni, a przecież ją dobrze znam.

Trąciła globus palcem.

– Arboria utrzymuje się w jakiejś takiej całości pod władzą jednego z dwóch stronnictw. Tradycyjnie byli to Imperialiści, zwolennicy ścisłej zależności prowincji od Avalonu oraz silnej kontroli nad satelitami, oraz Federaliści, którzy popierają ich większą samodzielność. Imperialiści, co rozumiałe, prowadzą agresywną politykę zagraniczną. W ostatnim półwieczu koncentrowali się głównie na niepokojach w Dolorii. Federaliści reprezentują frakcję pokojową, skupiają się na handlu, opowiadają za szerszą dostępnością magii dla nieutalentowanych. Istnieją jeszcze Separatyści, wieczna opozycja. Niektórzy mają serce na właściwym miejscu, ale... Czy gościliście kiedyś takiego starego wujka, który po kielichu chciał wszystkich wieszać? – Zerknęła na Bernarda. – Um, nieważne.

Książę de Montreuil zdjął kawałek pomarańczy z wąsów.

– Ja to wszystko już słyszałem. Ale mów dalej, interesuje mnie twoja interpretacja.

– Tak w skrócie, ostatnio przez dłuższy czas przewagę utrzymywali Federaliści. Ale mamy kłopoty wewnętrzne, które wynikają z industrializacji...

– Co, wody w wodociągach zabrakło? – spytał Bernard uszczypliwie.

Kathryn spojrzała w sufit i westchnęła.

– Zacznę się przejmować twoją krytyką Arborii, jak ministrowie przestaną nam siusiac w pałacu za kotarami i załatwiać porachunki w pojedynkach. W każdym razie w Bretanii w takich okolicznościach powstają krwawo tłumione bunty chłopskie, a tutaj po prostu jedno stronnictwo przegrywa wybory i tyle. Trzeba pamiętać, że epoka wielkich podbojów już się skończyła. Obydwie partie pozostają w równowadze od kilkudziesięciu lat. Imperialiści marzą o dawnych czasach, ale zadowolają się okazjonalnymi demonstracjami sił na granicach i w prowincjach. Tyle że teraz na horyzoncie pojawia się dawno niewidziany ląd...

Książę de Montreuil podparł brodę kościstymi palcami.

– Uważasz, że istnieje ryzyko podboju. Belinde twierdziła, że wszystko się da załatwić. Przygotowałem dary dla tutejszych możnych i potencjalne towary na wymianę.

Królowa zaplotła ręce nad głową.

– No tak. Wszystko zależy od tego, jak się uda przedstawić Bretanię arboriańskiej socjecie. W optymistycznej wersji wydarzeń Imperialiści chwają się opinii publicznej nowymi rynkami zbytu. Wysyłają ekspedycje naukowe. Zakładają faktorie dokładnie tak, jak by to zrobili Federaliści. Próbuje nas wałować i szpiegować, domagają się bazy wojskowej, ale to się jeszcze da utrzymać pod kontrolą. Wydzieliłabym strefę buforową specjalnie na handel, bez prawa podróży w głąb kraju.

– Wspominałaś mi o tym. – Bernard skinął głową. – Zacny pomysł.

– Ale jeśli to spotkanie spartolimy... – Kathryn schowała twarz w dłoniach. – Jeśli przez ten rok zmieniło się coś, czego nie mogliśmy przewidzieć, a Belinde tego nam nie przekazała... albo na przykład Belle nie wróci na czas i kogoś tym urazimy... ryzykujemy wybuch nowej wojny.

– Rozumiem – wtrącił książę – że jeśli odwołamy herbatkę, tym bardziej ludzi obrazimy. A niektórzy z nich mogą już mieć pojęcie o istnieniu Bretanii z własnych źródeł.

– Właśnie. Musimy znaleźć Belinde, i to nie tylko ze względu na jej bezpieczeństwo. O nią samą właściwie się nie martwię.

– Albo musimy bardzo dobrze kłamać – zauważył Bernard.

– Stanowczo wolę ją znaleźć. – Kathryn spojrzała przed siebie umęczonym wzrokiem. Artois delikatnie pogładził jej ramię, a później przytulił ją; krótko, ale czule.

– Zawołam Jarvisa – powiedziała wreszcie. – Powinien już coś mieć.

\* \* \*

Kathryn wyszła. Artois niespokojnie krążył po komnacie, oglądając bez większego zaangażowania bibeloty ustawione na komodach, portrety przodków i książki w podręcznej biblioteczkę. Chciałby wiedzieć, jak ma w tym wszystkim pomóc, ale nie czuł się kompetentny w kwestiach politycznych. Znalazł na półce przewodnik po Avalonie, dokładnie taki sam, jaki sobie kupił; z niewiadomych powodów podniosło go to trochę na duchu. Przewertował kartki i niemal przypadkowo znalazł budynek, o którym myślał od dłuższego czasu.

Książę Bernard obserwował kapitana, z nonszalancją wyskubując winogrona z salaterki. W oczach miał złośliwe błyski. Artois, wiedziony doświadczeniem, nie zamierzał odpowiadać na zaczepki pana czarodzieja. Jeśli de Montreuil postanowi się podzielić tym, co ma do powiedzenia, i tak to uczyni.

– I co zamierzasz teraz zrobić, kapitanie? – zagaił wreszcie książę. – No, nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Skoro już zdecydowałem się na rolę ambasadora, nie mogę przecież, jak pierwotnie zamierzałem, poślubić królowej. Dostalibyście w takim układzie pełną swobodę, bo mam tyle przyzwoitości, żeby nie pchać się niewieście do łóżnicy, skoro tego nie chce. Ale teraz racja stanu wymaga, abym znalazł kandydata, którego przyjmie. Jasne, deklarowała brak woli wchodzenia w związek małżeński, ale jest w końcu rodowitą Arborianką i bez odrobiny kontroli zwasalizuje Bretanię, zanim mrugniemy okiem. Szykuje się konflikt z Theresą, z potencjalnym królewskim małżonkiem... Próbowałeś chociaż wyobrazić sobie konsekwencje? Umiesz, młody najmito, myśleć dalej niż koniec twojego fiutka?

– Książę – odparł Artois bardzo, bardzo spokojnie – jeżeli pragniesz mnie obrażać, zapewniam cię, że mam spore doświadczenie w znoszeniu obelg od zdziwaczałych starców. Ale jeśli spróbujesz obrażać królową, znajdę okazję, żeby ci się odpłacić.

– Nie odgrywaj przy mnie rycerza bez skazy – prychnął książę de Montreuil. – Ja tylko mówię szczerze coś, co inni będą opowiadać za twoimi plecami, zanim wbiją w nie sztylet. Pytam poważnie. Masz plan?

Artois zamknął książeczkę, którą trzymał w ręku. W zasadzie decyzja była całkiem prosta.

– Mam teraz arboriańskie obywatelstwo. Skorzystam z maszyny testującej i zostanę czarodziejem.

– Hoo! – roześmiał się książę. – A to dobre. Wiesz, kapitanie, że magię trzeba mieć we krwi? Czyim jesteś bękartem? Trevancel zmajstrował cię na boku? Ja bym nie dał głowy za czystość tej odnogi.

– Hrabiego de Morion, mości książę – wycedził Artois.

– No już, już, nie denerwuj się tak. – Bernard ściągnął usta i się zamyślił. – De Morion. Pijak, hazardzista, ale jeśli chodzi o siłę krwi... Ile masz lat? Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia sześć? Wiesz, że samo Źródło nie wystarczy. Może cię zmylił przypadek naszego Wielkiego Maga, który rzuca zaklęcia od niedawna, ale on wskoczył w swoją moc jak w surdut szyty na miarę. Odebrał gruntowne wykształcenie, podczas kiedy ty, kapitanie, jesteś półanalfabeta. Bez urazy.

Kapitan opuścił ramiona. Przemyślał to sobie. Czytał i pisał po bretańsku płynniej niż po arboriańsku za pośrednictwem tłumaczącej szpilki i rachował lepiej niż inni jego pokroju, ale obserwując przez długie lata hrabiego Trevancel, nabył też pewnego pojęcia, ile mu brakuje.

– Nie muszę być dobrym magiem, książę – odparł spokojnie. – Wystarczy mi, jeśli zostanę miernym. Tylko po to, aby móc przy niej trwać. Jeśli nadal będzie tego chciała.

– Dobrze, skoro tak, próbuj – mruknął Bernard. – Nie wierzę w to, ale próbować zawsze można. Nadal nie sędzę, żeby ścierpieli cię jako księcia małżonka, ale status czarodzieja przeniósłby próby pozbycia się ciebie na bardziej wyrafinowane poziomy. Szkoda, że Kathryn źle znosi sugestie wzięcia sobie kilku kochanków. Można by nimi rozgrywać.

Artois pokręcił głową z niesmakiem. Rozmowa z księciem sprawiała, że czuł się brudny. Nawet nie chodziło o to, że postrzegał Kathryn jako niewinną istotę zrodzoną z czystej magii, bo z pewnością nią nie była; obydwójce radośnie przekonywali się o tym poprzedniego wieczoru. Ale miał wrażenie, jakby Bernard



wystawiał na próbę jego lojalność. Znacznie silniejszą niż ta, do której kiedyś zobowiązywał go najemniczy kontrakt.

– Nie doceniasz Kat, jeśli rozważasz, jak nią manipulować – powiedział. – Belinde ma gadane, ale Kathryn tęgą głowę. Poczekaj, jeszcze cię zaskoczy jako królowa.

– O, niewątpliwie. Kapitanie, przeżyłem pięciu królów. Kathryn będzie z nich najlepsza albo najgorsza – westchnął stary książę. – I jeszcze nie wiem, która z tych możliwości wchodzi w rachubę.

Drzwi znowu się uchyliły.

– Chodźcie do pracowni – zaprosiła ich czarodziejka.

\* \* \*

Laboratorium wydało się Kathryn opustoszałe i zubożałe. Posprzątano blaty, wyrzucono przeterminowane roztwory, wyczyszczono nawet niezmywalne plamy pod wyciągiem. Znikł zastarzały zapach rozpuszczalnika. Ciemne szklane słoje opatrzone etykietkami, które dobrze rozpoznawała, stały grzecznie w rzędzie na półce, żaden kątomierz nie zawieruszył się poza szufladą. Stolik jubilerski, zwykle zasypany ścinkami, dziś wyglądał na czysty. Czy tutaj naprawdę było aż tyle miejsc? Przeważnie blaty zniknęły pod warstwami teczek i monografii.

Artois stał za nią, czujny i uważny, jak zwykle, gdy miał do czynienia z magią. Może nadal się jej obawiał, a może przypomniła mu się wieża hrabiego Trevancel. Widziała, że przygląda się etykietom, sylabizując nazwy. W rzadkiej chwili olśnienia dotarło do niej nagle, że prawdopodobnie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy kapitan przeczytał więcej niż wcześniej przez całe życie. Nie narzekał jednak, jak czasem Bernard, na kulturowy wstrząs albo nadmiar materiału do opanowania, tylko obserwował i po cichu się uczył.

Książę de Montreuil taksował wzrokiem aparaturę; wyobrażała sobie, że stary możnowładca układa listę zakupów do własnej pracowni w ambasadzie, którą niewątpliwie otrzyma w darze od królowej Gwendolyn.

Otworzyły się ciężkie metalowe drzwi, które odgradzały laboratorium od pomieszczenia do pracy z wysokimi energiami. Wyszedł stamtąd Jarvis w fartuchu zarzuconym na liberię, niosąc kilka starych, poźółkłych kart.

– Lady Chamomille nie rozmawiała ze mną przed wyjściem – zaczął z powagą. – Wyjęła natomiast z zabezpieczonych archiwów akta personalne z czasu walk w Dolinie Cedrów. Zostawiła je na wierzchu, być może jako wskazówkę dla was. Nie znam tych dokumentów, nigdy wcześniej ich nie oglądałem. Nie mogę stwierdzić, czy czegoś brakuje. To nie jest dobry znak.

Kathryn zmrużyła oczy. Walki w Dolinie Cedrów? Chodziło o jedno z najkrwawszych powstań, jakie wybuchło w Dolorii. Sto pięćdziesiąt... nie, prawie sto sześćdziesiąt lat temu. Co Belinde Chamomille, słynna avalońska piękność i dyplomatką, znana na cały kraj artystką użytkowej magii, mogła mieć wspólnego z doloriańskim powstaniem?

– Dlaczego moja mistrzyni trzyma w domu akta personalne... czyje właściwie?

– Kawalerzystów – odparł krótko Jarvis. – Doloriańskiej Wiedźmiej Kompanii. Tworzyli ją Arboriańczycy i miejscowi wierni rządowi Avalonu. Prawie sami półaktywni, kilkoro pełnych magów. Kazano im uspokajać nastroje, ale skończyło się brutalnym stłumieniem powstania; większość później osądzono i zablokowano im Źródła, nielicznych uniewinniono i usunięto ze służby. Paru z nich objął program ochrony świadków.

– Grubo – szepnęła młoda czarodziejka. – Belinde miała tylko sprawdzić dla nas tutejszą kryminalistkę. Millie Severia; słyszałeś coś o tym?

– O tym akurat sam jej powiedziałem. – Jarvis rozłożył ręce. – Millicent Severia prowadzi zorganizowaną grupę przestępczą w dokach. Jest nieaktywna, ale ogromnie chciwa na magię w każdej postaci, począwszy od akumulatorów, skończywszy na różdżkach ze zdjętą licencją. Kto ma odpowiednie kontakty, może ją wynająć za kontener eliksirów wojskowych albo składany leżak Arte Benare, wszystko jedno. Ma w swoich szeregach kilka niezłe wykształconych wiedźm, ale nigdy bym jej nie połączył z Wiedźmią Kompanią, nie dobiega nawet czterdziestki. A to było już ponad sto pięćdziesiąt lat temu.

– Co znaczy, że ktoś ją wynajął – wtrącił cicho Artois. – Przepraszam, że mówię rzeczy oczywiste. Belinde znalazła powiązanie dzięki swojej wiedzy. I zniknęła. Czy możecie mi wyjaśnić, czym jest program ochrony świadków? Potrzebuję to sobie poukładać w głowie.

Jarvis spojrzał na niego uważnie.

– Pan nie pochodzi z Dolorii, prawda? Belinde mówiła mi, że gości przybyszów z daleka i że wyjaśni wszystko jeszcze przed dzisiejszą herbatą.

– Przestańmy owijać w bawełnę – fuknął książę de Montreuil – bo do niczego nie dojdziemy. I tak lada chwila prawda wyjdzie na jaw. Jarvisie, mam zaszczyt przedstawić dwóch obywateli Królestwa Bretanii z Drugiej Strony Świata.

Kamerdyner na chwilę stracił rezon.

– Przepraszam, mam wrażenie, że źle usłyszałem. Czy pan właśnie powiedział...

– Że jestem z Utraconej Bretanii, czy jak to się u was nazywa, do licha – rzekł de Montreuil z błyskiem w oku. – Którą właśnie połączono na powrót z Arborią za pomocą magicznego Mostu przez Zaświaty, stworzonego z wydatnym udziałem twojej pani. Razem z obecną tutaj Kathryn Verd de Branche d'Argent lady Chamomille spędziła prawie rok w granicach naszego królestwa.

Kathryn niedostrzegalnie odetchnęła z ulgą. Na szczęście Bernard nie wyjawiał wszystkiego. Ustalili w swoim gronie, że jako królowa Bretanii pozostanie incognito tak długo, jak się tylko da, a książę de Montreuil będzie prowadził negocjacje w jej imieniu. Ale nie wiedziała, co mu jeszcze strzeli do głowy.

– Legendy powiadały, że w wyniku Rozdarcia kontynent arboriański stał się niezdatny do zamieszkania, a nieliczne enklawy, jakie pozostały na jego powierzchni, pogrążyły się w zbrojnych konfliktach. Nasze królestwo prowadziło zatem spójną politykę izolacjonizmu – kontynuował Bernard dumnie. – Odpowiadało nam pogrążenie się w sferze legend.

Kathryn zamruwała. Książę de Montreuil dopiero się rozkręcał.

– Jednak po wizycie arboriańskich czarodziejów młoda królowa, Aurora Pierwsza de Branche d'Argent, zdecydowała się przerwać wielowiekową tradycję i ponieść ryzyko zbrukania się kontaktem ze światem zewnętrznym. Most powstał dzięki współpracy waszych fachowców i naszych Magów Pustki. Jako najbardziej sędziwy i doświadczony mędrzec Gildii Magów zostałem wysłany w charakterze ambasadora Utraconej Bretanii, aby przeprowadzić misję nawiązania pokojowych relacji ze Zjednoczoną Republiką Arborii.

Podczas całej tej przemowy Jarvis popatrywał na Bretańczyków z rosnącym zdumieniem. Ściągnął brwi.

– Panienko Kathryn, czy to prawda?

– Bez wchodzenia w szczegóły, mniej więcej tak.

– Ależ... – szepnął. – Czyli noworoczny incydent w Ombre, o którym opowiadały gazety dwa miesiące temu, nie był kolejnym wybrykiem Szalonej Meg... Och, przepraszam pana uprzejmie. Co oznacza, że człowiek, który wynajął Severię, chce śledzić właśnie was. Ma koneksje, dzięki którym zna tajemnice państwowe. Ma powiązania...

– Mnie się zdaje – powiedział Artois spokojnie – że brakuje nam wiedzy Belinde Chamomille. Nie możemy od razu dojść do wniosków, które wysnuła, wyciągając te stare akta. Ale te informacje można uzyskać dzięki pracy w terenie. Jarvisie, z chęcią przespaceruję się do awalońskich doków.

Czarodziejka poczuła, jak przyspiesza jej puls. Czy kapitan znów zamierza ryzykować ze względu na nią? Czy zdaje sobie sprawę, na co się naraża?

– Artois, proszę cię – złapała go za rękę – to niebezpieczni ludzie. Belinde jeszcze nie wróciła, a ona jest doświadczoną czarodziejką, wytrawnym politykiem. Nie chcę, żeby przydarzyło ci się coś złego.

Kapitan uśmiechnął się wilczo.

– Ja również jestem niebezpieczny. Nieraz bawiłem się z mozymi w chowanego; potrafię szacować ryzyko. Masz rację, Belinde dysponuje wielką potęgą. Jeśli zniknęła, to dlatego, że wciąż prowadzi śledztwo albo zdradził ją ktoś znajomy, komu w pierwszym odruchu zaufała. Mnie to w Arborii nie grozi.

– Nie puszczę cię samego. Nie znasz nawet miasta.

– A kto będzie prowadził spotkanie dyplomatyczne? Wyłącznie Bernard? Uwiarygodnisz go. Wyłgacie się z nieobecności Belinde, jeśli tam będziecie.

– Wiesz, że wolę rzucać Kule Ognia. Zawsze mogę służyć wsparciem.

– Jesteś rozpoznawalna na pierwszy rzut oka, natomiast mnie łatwo ucharakteryzować – zaoponował Artois. – Poza tym, jeśli dobrze rozumiem, w dokach też obowiązuje prawo zakazujące rzucania bojowych zaklęć. Jarvisie? Belinde tworzy magiczne przedmioty. Chciałbym podkreślić, że jestem ogromnie chciwy na magię w każdej postaci.

– Na litość Wędrowca. – Jarvis potrząsnął głową. – Proszę dać mi ochłonąć. Utracona Bretania! Monarchia d'Argent! Magowie Pustki! Nie wiedzą panowie, jak to dla nas brzmi.

„Troszkę jak złe królestwo mrocznego władcy – pomyślała Kathryn ponuro. – Przynajmniej wybrane przeze mnie imię budzi ciepłe skojarzenia. Trzeba będzie

rzeczywiście zostać na miejscu i wyjaśnić Bernardowi pewne niuanse. Jest znakomitym kłamcą, czyli jako polityk ma świetne kwalifikacje, ale brak mu szczegółowych danych”.

\* \* \*

Na bruku ścielił się błękitny dym, sięgając kapitanowi aż do kostek. Opadał z fabrycznych kominów nadrzecznej dzielnicy Avalonu, spływał po ścianach domów, barwiąc je stopniowo na brudnosiny kolor. Artois pilnował, aby nie rozglądać się zanadto.

Surdut zostawił u Belinde; z pomocą Jarvisa znalazł przyodziewek bardziej stosowny do okoliczności: spodnie z grubego płótna, koszulę z taniej bawełny (cisnęła w ramionach; przynajmniej spociał się od tego wystarczająco, aby nie wyglądała na nową), wytartą marynarkę i kaszkiet.

Tarczę kinetyczną zapiął na nadgarstku; nie była to używana przez czarodziejów bańka, ale szczególny rodzaj zaklęcia, który spowalniał szybkie i energiczne uderzenia, jakby atakujący ugrzązł w galarecie. W przeciwieństwie do twardych osłon, powstrzymywało kule bez niebezpieczeństwa rykoszetu. Dzięki Jarvisowi kapitan zrozumiał też, że dysponował olbrzymią przewagą w postaci tłumaczącej przypinki, którą dostał od Belinde. Nie znał się na magii i nie wiedział wcześniej, że takie maleństwo należy do grupy ściśle licencjonowanych artefaktów szpiegowskich; szpilka nie tylko pozwalała mówić po arboriańsku, lecz także z czasem dopasowywała dialekt do otoczenia.

Na szyi, pod koszulą, miał medalion z uproszczonym modułem komunikacji, działającym podobnie jak magiczne kule. Pouczono go, aby użyć medalionu tylko w razie szczególnej potrzeby, bo zniknie zaklęcie chroniące jego aurę przed wykryciem. Nikt mu nie musiał tłumaczyć, że ludzie, których śledził, nie powinni wiedzieć, kiedy nagrywa i przekazuje ich głos.

Jarvis, podobnie przebrany, towarzyszył mu w drodze do doków. Poza odzież zmiany w jego wyglądzie były subtelne, ale przeistaczały go w zupełnie innego człowieka. Wystarczyło trochę makijażu, aby obdarzyć go zapadniętymi oczami, zmienić kształt policzków i nosa. Elegancki wąsik przekształcił w niechlujne wąsidło. Garbił się, ręce trzymał w kieszeniach, złe spojrzenie kierował w bruk przed sobą.

– Oni i tak wiedzą, kim jestem – ostrzegł wcześniej Artois. – Na terenie należącym do Severii będzie pan musiał działać na własną rękę.

Ludzie byli tutaj inni niż w dzielnicy uniwersyteckiej, hardzi, ogorzali i hałaśliwi. Palili w piecach brykietami z końskiego nawozu, które dostawali w przydziale z fabryk, więc w całej dzielnicy unosił się specyficzny gryzący śwąd. Tłoczyli się na ulicach jak sardynki w puszcze, pokrzykując i handlując, wożąc do magazynów beczki i pakunki, grając na harmonii, żebrząc. Nawet w Nouveaux Dijon kapitan nie spotykał takich tłumów i teraz Avalon trochę go przytłaczał. Jak sobie radzą w razie epidemii? I jak zaopatrują wszystkich w pożywienie?

Na to ostatnie pytanie częściową odpowiedź dawały wysokie żurawie, pracujące z niezamkniętą regularnością nad brzegiem rzeki Lyonesse, i dziesiątki białych żagli kołyszących się na jej powierzchni. Na brzegu, przy stosach beczek i zwiniętych oślizgłych lin, między dokerami rozładowującymi towar, krążyły chude, sparszywiałe psy i koty; dziesiątki białych ptaków nie przestawały się przekrzykiwać. Dochodziła czwarta po południu i zbliżał się fajrant, więc pracowano ze zdwojoną energią, żeby zdążyć z wyładunkiem, zanim brygadziście przyjdzie do głowy przedłużyć godziny pracy.

W Avalonie mieszkali ludzie wszystkich kolorów skóry, ale w porcie rozmawiano też we wszystkich językach świata po Drugiej Stronie. Jarvis radził, aby trzymali się z daleka od obcokrajowców i tawern, które ci odwiedzali, ze względu na większe ryzyko napotkania werbowników. „Nie chciałbyś – stwierdził – w środku śledztwa dostać nagle w głowę i obudzić się następnego dnia na statku daleko stąd”. Szeroka, posiniała od fabrycznych odpadków rzeka Lyonesse rządziła się takimi samymi prawami jak dalekie morze.

Artois nie wiedział, czym jest morze; wszystkie odpowiedniki w języku bretańskim służyły przede wszystkim jako religijne metafory, domyślał się tylko, że musi zawierać mnóstwo wody; kiedyś chciałby je obejrzeć, ale zgadzał się, że w nieco bardziej sprzyjających okolicznościach.

Weszli do lokalnej mordowni, parę ulic od portu. Artois nie potrafił stwierdzić, gdzie powietrze jest gęstsze od dymu – w środku czy na zewnątrz. Na ścianach widniały kolorowe proporce i obrazki przedstawiające damy, które nie miały na sobie nic prócz negliżu. Siedli na okrągłych stołkach przy barze klejącym się od brudu; barman ze szramą biegnącą przez oko obciął ich wzrokiem i podał kufle. Niektórzy bywalcy brali małe lufki mocnej, przezroczystej wódki, której kapitan

próbował raz w Ombre; nie posmakowało mu, do tego trzeba było się przyzwyczać. Zakąszali piklami albo galareta z mięsem w porcjach wielkości spodka od filiżanki.

Ciemne piwo prezentowało się zacnie, przez brzeg niedomytego kufla przelewała się pianka. Artois poczuł się jak u siebie w domu.

– Bób smażony? – wychrypiął barman. – Rybkie?

– Rybki proszę – rzucił Jarvis z kompletnie innym akcentem niż zazwyczaj.

Kapitan nie odzywał się, skinął tylko głową. Dopóki przypinka Belinde nie złapie gwary, lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

Dostali talerzyk małych śmierzących rybek, suszonych i solonych. Do piwa pasowały całkiem nieźle. Artois sączył płyn w milczeniu, nasłuchując rozmów dookoła. Język był inny, alkohole nie te, powietrze wypełnione obcym, duszącym dymem. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł się jednak swobodnie.

– Klub jest na Madziarskiej pięć – wyjaśnił Jarvis ze wzrokiem skupionym na swoim piwie. – Czy coś dzisiaj planują, tego nie wiem. Nasłuchałeś się już?

– Prawie. Wolę mieć więcej czasu na takie akcje; albo szybko, albo dyskretnie, ale niestety dzisiaj czasu brak. Może mi się zapalić pod dupą. Troszkę ich tam polechtałem wczoraj.

– To albo będą cię bić, albo szanować. Dopóki można, nie używaj tarczy.

Potaknął nad piwem. Poprzez Zaświaty i wymiary niewiele się w pewnych kwestiach zmieniało.

– Ej, ty! – rozległo się z tyłu. Kapitan westchnął. Już? Tak szybko?

Łapa jak u niedźwiedzia opadła ciężko na blat. Jej właściciel, schab pierwszej klasy, w barach metr pięćdziesiąt i podobnie w bebecchu, zaprawiony w bojach i wyraźnie szukający, aby kogoś zaprawić, wpatrywał się złym wzrokiem w nowo przybyłych.

– Miejsce nam zajmujesz, doloriański wielbłądzie.

– Tak? Nigdzie nie widzę podpisu – odparł lekko Artois i z zadowoleniem usłyszał, że przypinka tłumaczka wreszcie zaskoczyła. Miał akcent prawdziwego arboriańskiego robotnika. Zza pleców bambra wyłoniło się dwóch jemu podobnych, trochę może mniejszych.

Skrzywił się.

– Co, więcej was matka nie miała?

– Znaj moją łaskę, krasnalu. Płacisz wkupne, i ze stołka won.

Kapitan przyjrzał się uważnie. Facetowi dymiło się ze łba, ale dostrzegł chyba, że nie ma do czynienia z pierwszym lepszym chłopakiem z ulicy, bo zaczynał się wycofywać z konfrontacji, usiłując zachować twarz. Znał takich na pęczki: duża siła, buta, zero dyscypliny. Po drelichach zgadł, że to dokerzy.

Nie opłacało mu się ich upokarzać; to by zresztą było dziecinne. Nie mógł jednak wyjść na słabeusza.

– Kolejka dla panów – rzucił w stronę barmana, ale ze stołka się nie ruszył. – I smażonego bobu. Trzeba się zrelaksować po fajerancie.

Tamten mruknął z aprobatą i machnął na kolegów, żeby dosiedli się do baru. Artois zerknął w stronę Jarvisa, ale kamerdyner ulotnił się już wcześniej, zostawiając go samego. Piwa wjechały na blat; pianka jak galareta drgała na powierzchni płynu.

– Skąd ty? – burknął wreszcie doker, gdy piwo zeszło mniej więcej do połowy kufła.

– Tamaris. Za pracą.

Wybrali to miasto, bo znajdowało się dostatecznie daleko i było dostatecznie typowym miastem przemysłowym, aby przykrywka brzmiała wiarygodnie.

– Tu dobrej pracy nie znajdziesz – rzucił doker. – Płacą, fajfusy, tyle co nic, wyżyć nie idzie. Nie ma złota w Avalonie.

– Słyszałem, że na Madziarskiej są walki.

Ryknęli śmiechem unisono.

– Ty? Chcesz się spróbować? – spytał facet, ale drwina w jego głosie mieszała się z zaciekawieniem. – To coś ty w życiu robił?

– A, żołnierzem byłem. Zdemobilizowali całą kompanię, to przyjechałem.

Podrapał się w brodę.

– Tom zgadł, żeś trep. I po naszemu gadasz.

– Po doloriańsku nie umiem! Matka śniada, babka śniada, to i ja. Tyle we mnie Dolorii, co zjadłem w rachatlukum.

– Bielmo! – huknął doker w stronę barmana. – Dawaj drugą kolejkę i zapisz na mnie.

– Mam cię w zeszycie, Werner! – odwarknął barman.



– Jutro sobota, Bielmo. Nie bądź żyła, dawaj.

Poszło i drugie piwo. Artois gratulował sobie mocnej głowy. Bretańskie alkohole były gęstsze i bardziej esencjonalne, ale znacznie słabsze, a on nie zwykł pijać zbyt wiele, bo jako dowódca musiał być tym ostatnim trzeźwym w kompanii. Wydawało mu się jednak, że bez szczególnego upojenia zmieściłby jeszcze takie trzy. Wymienili imiona; zaczęli rozmawiać o polityce, a przynajmniej dokerzy rozmawiali, podczas gdy kapitan potakiwał. Wreszcie Werner odbeknął szczerze i odstawił kufel.

– I jak, nadal chcesz się pokazać na Madziarskiej? – spytał. – Bo my tam idziemy. Wędrowiec poprowadzi, to i denary się pomnoży. Przed walkami można się popробować z czempionem, ale tak na moje to cię zje. Z szacunkiem. Nie takich jak ty wgniatał w deski.

– Zobaczysz się. – Kapitan wzruszył ramionami. Wcałe nie potrzebował wygrywać z obecnym mistrzem ringu, żeby znaleźć Millicent Severię w klubie dokerów; właściwie nawet nie powinien, bo o ile próba walki z lokalnym czempionem przysporzy szacunku, o tyle wygrana przyciągnie nadmierną uwagę. Musiał mieć jednak dobry pretekst. Oczywiście wolałyby nie zostać kompletnie wgnieciony w deski.

Werner dźwignął się ze stołka, przeciągnął; znów mu się odbiło.

– Daję ci minutę. Ale – zarechotał – to może być ciekawe.

\* \* \*

Na budynku z czerwonej cegły brakowało szyldu. Kiedyś znajdowało się tutaj coś typowo arboriańskiego; Artois nie potrafił powiedzieć co: fabryka, magazyn czy hala targowa, ale w każdym razie zajmowało okazałą przestrzeń. Teraz połowa budynku degradowała się powoli i z gracją po częściowym wyburzeniu w wyniku incydentu, którego tylko mógł się domyślać. Wojna? Wypadek? Pozostała część zaanektowali dokerzy. Okoliczne kamienice przyklejały się do klubu z obydwu stron.

Werner złowił spojrzenie nowego kolegi.

– A, robili tutaj takie magiczne... nie wiem, dawno temu to było. – Wzruszył ramionami. – Wzięło i się spartoliło. Wali skażeniem, co prawda nie za dużo,

w każdym razie ludziom nie szkodzi, psiarnia ostemplowała, że wolno przebywać, ale tylko tutaj. – Wskazał niezniszczoną część budynku. – No wiesz, tanio było.

Popatrywał na niego uważnie. „No, pierwszy test odwagi” – pomyślał kapitan. Zdążył zauważyć, że Arboriańczycy obsesyjnie badają poziomy skażonej energii i boją się jej, nawet kiedy nie ma powodu.

– Zdarza się – odparł lapidarnie.

Drzwi wydawały się zamknięte na głucho, ale kiedy Werner zapukał, otworzył się w nich mały lufcik. Wyrzwały przezeń kaprawe oczka.

– Legytymacje proszę.

– Proszę bardzo. – Dokerzy kolejno wsunęli swoje dokumenty w lufcik.

– A ten z nami. – Werner wskazał kapitana. – Dopiero przyjechał, roboty szuka.

– A hajc ma? – prychnął strażnik. – Bo tu nie dajemy na kreskę.

– Piwo nam stawiał. Chce się próbować ze Smokiem.

„Czyli w pewnym sensie znowu mam walczyć ze smokiem. Pustka i Zaświaty, klątwa jakaś” – pomyślał Artois.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

– Witamy, witamy nowy befsztyk tatarski – odezwał się krzywonogi, niski doker z parodniowym zarostem jak siwa szczecina. – Prosimy szanownego pana o zażycie znieczulenia w barze na parterze.

Wieczór dopiero się zaczynał. Przy ciemno malowanych ławach siedzieli robotnicy i zaprawiali się sumiennie. Znalazłoby się kilka kobiet, ale w przeważającej większości wydawały się tylko dotrzymywać towarzystwa dokerom; nie pracowały chyba w porcie. Wokół krążyły dziewczki karczemne, czy jak to się tutaj nazywa; Artois nie dostał od Belinde żadnych instrukcji dotyczących postępowania wśród niższych sfer i wszystkie wnioski musiał wyciągać ze skąpych informacji Jarvisa oraz z obserwacji. Wydawało się, że dziewczki nie pełnią innych ról poza podawaniem piwa i wódki, a może po prostu było jeszcze za wcześnie.

W powietrzu unosił się dobrze sfermentowany, zastarzały swąd tytoniowego dymu. Palono fajki i grube papierosy własnego wyrobu. Kapitan układał już wymówkę, na wypadek gdyby ktoś go poczęstował; nieznany w Bretanii nałóg tutaj wydawał się powszechnym, a dowiedział się już wcześniej, że pierwsza próba może

się skończyć zatruciem i tym samym zniweczyć plany zdobywania szacunku. Nic natomiast nie stało na przeszkodzie, aby zamówił jeszcze jedno piwo.

Naprzeciw baru, na skleconym z desek podeście, stało kilku mężczyzn z instrumentami muzycznymi: harmonią, skrzypcami, czymś na kształt cytry i ręcznym bębniem – jakkolwiek to się nazywało – do wybijania rytmu. Przygrywali coś skoczego i wesołego; kilku bardziej pijanych wycinało hołubce w takt muzyki.

Nikt go jeszcze nie rozpoznał i nic dziwnego, bo nikt go także nie szukał w tłumie. Na pewno nie w źle dopasowanej robotniczej odzieży, z rozwichrzonymi włosami i artystycznie zrobionym przez Jarvisa brudem na twarzy.

Dosiedli się do stołu, wziął swoje piwo i rozmawiał z robotnikami dookoła. Więcej słuchał, niż mówił. Narzekali na pracę, żony, brygadzystów i chciwych czarodziejów z rządu; wobec niektórych sugerowali rozwiązania krótkie, acz brutalne. Wybuchły przyśpiewki chwające drużyny sportowe, o których w życiu nie słyszał. Ktoś go prawie pobił za pochodzenie z Tamarisu, bo avalońska drużyna chyba się z tamtą nie lubiła. Ktoś inny znów zwyzywał go od wielbłądów, ale do bicia już się nie rwał, piwo zalewało wszystkie podziały. Przynajmniej dopóki ludzie nie spiją się na agresywnie, ale na to jeszcze nie przyszedł czas. Zresztą wielu Avalończyków, w tym dokerów, miało ciemniejszy kolor skóry.

Nie usłyszał, żeby padło nazwisko Severii, chociaż kilkakrotnie wspomniano o „rynsztokowej magii”. Kapitan pilnie nasłuchiwał, ale nie pojawiły się żadne konkrety, robotnicy zażywali odpoczynku i nie schodzili na poważne tematy.

Wreszcie wielki, stary zegar na ścianie, który chyba pozostał tutaj z poprzedniego życia budynku, wybił ósmą wieczór. Wśród dokerów zapanowało lekkie poruszenie. Już wcześniej kapitan zauważył niewielkie grupki migrujące po schodach na górę. Teraz takich grupek zrobiło się więcej.

– No, ten odważny! – Ktoś klepnął go po plecach. – Smok wylazł z jamy, idziemy go zobaczyć.

\* \* \*

Kto mógł, zajmował krzeselka. Opierano się o barierki odgradzające ring od publiczności. Na suficie jaśniała czerwona automagiczna lampa. Pomieszczenie na pierwszym piętrze okazało się ciaśniejsze niż na parterze i ludzie tłoczyli się,

wypełniając powietrze wonią rzadko mytych ciał. Artois starannie obejrzał salę, licząc uchylone okna i obmyślając ewentualny plan ucieczki. Ktoś potrącił kapitana niechcący, ktoś inny naumyślnie szturchnął go łokciem i podsunął kaszkiet z garścią monet.

– Po występach pokazowych będzie najpierw Smok kontra Ćma – napomknął. – Kto stawia na Smoka?

Artois machnął ręką na znak, że się wstrzymuje. Przypatrywał się kwadratowej scenie pośrodku, okolonej grubymi linami. Docker, który niósł kaszkiet z monetami, dalej przeciskał się w tłumie.

Otworzyły się drzwi z tyłu i przy żywiołowym aplauzie wyszedł z nich wielki facet, łysy, wytatuowany w czarne smoki. Grube żyły napinały się na jego przedramionach i klatce piersiowej, tłoczony skórzany pas ścisnął brzuch. Publiczność się rozstała; gość charknął i splunął pod nogi, wstał na ring; podskoczył, warknął, wstrząsnął głową. Dockerzy wyli ze szczęścia. „Co za potwór – pomyślał kapitan z podziwem – o pół głowy przewyższa Weylanda”. Ale to jeszcze nic nie znaczyło oczywiście; duży przeciwnik to większa siła i większy zasięg, ale i większe pole trafienia. Traci też na szybkości, a Artois był bardzo szybki.

Na liny okalające ring wspiął się wąty delikwent z megafonem i dobywając głos z przepony, ogłosił wejście czempiona. Chwilę musiał przekrzykiwać tłum, ale fala entuzjazmu przetoczyła się i przycichła. Nastąpiło pełne napięcia oczekiwanie.

– A teraz, szanowni państwo – tłum zawył radośnie – tradycyjnie przed oficjalną walką czempion przyjmuje wyzwania! Kto chętny? Kto samobójca? Komu się marzy debiut na scenie? Marzenia się spełniają!

– Uważaj, bo się spełnią! – zaryczał ktoś z uciechy.

– Smoku! Smoku! Smoku! Dawaj!

– Prosimy! – wołał mężczyzna z megafonem. – Prosimy, prosimy!

Werner szturchnął kapitana.

– No, to co?

– Wejdę na drugą walkę – mruknął Artois. – Najpierw chętnie go sobie obejrzę.

– Jak tam chcesz – zaśmiał się docker. – Mówiłem, że to monstrum.

Potężny brodacz przecisnął się przez widownię i przeskoczył przez liny.

– Proszę, proszę, mamy pierwszego odważnego!

Kapitan przyglądał się uważnie i czuł, jak na jego twarzy wykwita szeroki uśmiech. Tłum napierał na barierki, w powietrzu skraplał się pot, wybrzmiewały zachęcające ryki. Ciężkie buty stukały w posadzkę. Z parteru przez podłogę i ściany niosły się rozwibrowane echa smyczków i brzęczących strun; alkohol rozgrzewał krew, atmosfera grała pod skórą. Artois nieświadomie nachylił się w stronę ringu. Rozważne plany podłożenia się w walce gdzieś się ulotniły; w tej chwili nie pamiętał już, po co się znalazł w klubie dokerów. Z całą siłą poczuł, że musi zawalczyć i zwyciężyć; pokaże upasionym avalońskim olbrzymom, z czego zrobieni są Bretańczycy.

„Gdybyś chciał wziąć udział, pamiętaj, że walki mają reguły – poinformował go wcześniej Jarvis ze śmiertelną powagą. – To honorowa gra. Nie wolno nikogo połamać, zabronione są uderzenia poniżej pasa, w oczy, w niektóre wrażliwe punkty (wyliczył). Nie można gryźć ani spowodować trwałego uszkodzenia ciała. Potrafisz się zmiarkować, panie de Narbonne?”

Kapitan zapamiętał sobie, że nie wolno być za bardzo skutecznym, ale taki sposób walki nie różnił się w niczym od szkolenia jego kompanii. Legenda Popielników i to, że znaleźli stały kontrakt u jednego z najbogatszych możnych Bretanii, nie brała się z tego, że w wolnych chwilach leżeli do góry brzuchem.

Tamci stanęli naprzeciwko siebie. Gość z megafonem, ewidentnie sędzia, odliczał do rozpoczęcia walki; Smok i jego przeciwnik prężyli mięśnie i pomrukiwali na siebie, mierząc się złymi spojrzeniami. Sędzia opuścił rękę. Siedzący na słupku inny facet podchwycił ten gest i uderzył pałką w mosiężny talerz; zabrzmiał głośny fałszywy brzęk.

Brodacz wyprowadził pchnięcie. Smok zatrzymał je gardą i skontrował kopniakiem; nie czekając na pełen unik, poparł dwoma szybkimi ciosami, zmuszając przeciwnika do cofnięcia. Artois zobaczył, że brodaty popełnia podstawowy błąd; będąc wysokiego wzrostu, walczył frontalnie, tak, jak przywykł, i nie brał pod uwagę, że Smok ma dłuższe ręce. Posypał się na niego grad ciosów; całkowicie zdominowany, unikał, kluczył i szukał otwarcia.

„Smok uderza z mańki – zaobserwował kapitan. – Znakomicie, bo ja również. Nie ma niczego lepszego na mańkuta niż drugi mańkut; w walkach na zbliżonym poziomie często zwycięża ten, kto pierwszy się zorientuje, że przeciwnik też jest śmaja”.

Walka szybko się skończyła, brodacz wylądował na deskach; podniósł rękę na znak, że się poddaje, i po uderzeniu gongu przy pomocy kolegów wytoczył się ze sceny pod linami. Wybuchła powszechna radość, tuż za plecami Artois dał się słyszeć brzęk monet, w oddali dokerzy poklepywali przegranego po plecach, klarując mu coś uspokajająco. Smok krążył po ringu, tryumfalnie wznosząc ręce. Kapitan poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Kto jeszcze! Kto odważny?! – zawołał sędzia.

Artois nie czekał, aż dokończy wezwanie; już zrzucił buty, a kaszkiet i marynarkę wciskał Wernerowi. Wskoczył za liny, jedną ręką podpierając się o słupek. Na widowni rozległ się śmiech. Chociaż Bretańczyk wcale nie był chucherkiem, a wzrostem osiągał arboriańskie dolne stany średnie, w porównaniu z gigantem prezentował się jak mysz przy słoniu.

– Proszę! Proszę! – W głosie sędziego brzmiała drwina. – Cóż to za wojownik zawitał na ring? Kogo mam zapowiedzieć?

– Żabę – rzucił.

Dobiegły go ordynarne żarciki zza barierek. Kaszkiety znowu zaczęły krążyć i zadzwięczały monety.

– Smoku! Smoku! Smoku!

Mniejsza, ale zaciekle grupka krzyczała:

– Żaba! Żaba! Żaba!

Kapitan stanął swobodnie na deskach; stopy równolegle do siebie, ręce opuszczone, wszystkie mięśnie rozluźnione, ale w pełnej gotowości. Tamten naprężył muskuły i uniosł barki, tak że ledwo było widać jego szyję. Straszyl go, ale nie wkładał w to zbyt dużo zaangażowania. Traktował tę walkę jak rozgrzewkę.

Zabrzmiał gong i Smok od razu wyprowadził cios, a później niski kopniak. Kapitan zrobił unik, obracając się w powietrzu i stając po prawej stronie przeciwnika. Gigant błyskawicznie zwrócił się ku niemu.

Szedł do przodu jak lawina, rzucając cień na cały ring. Czarne tatuaże ruszały się razem z mięśniami, jakby smoki na jego skórze ożyły.

Kapitan zszedł z linii ciosu i skrócił dystans, blokując rękę Smoka z lewej strony; knykie zwarły się ze szczęką giganta, z jego ust bryzgnęła ślina zmieszana z krwią. Olbrzym splunął krwawo, ale nie cofnął się; napał na przeciwnika całą masą, odpychając go, aby stracił oparcie dla stóp. Zamiast uciekać pod naporem ciosów,

Artois odskoczył na sporą odległość i uniknął impetu toczącego się w jego stronę Smoka. Zaszedł go od prawej, później od lewej; schodził z kursu, tańczył, wyprowadzał ciosy, nie pozwalał mu odpocząć. Kilkakrotnie jeszcze ponowił podobny manewr, ale teraz przeciwnik już nie dał się zaskoczyć.

Publiczność huczała; krew pulsowała w uszach. To, co wydawało się rozgrzewką, stało się najbardziej interesującym starciem wieczoru.

Smok zebrał się w sobie, żyły nabrzmiały mu na czole; przyspieszył. Widział już, że ten przypadkowy facet z widowni wie, co robi. Teraz obracał się oszczędnie, nie wyprowadzał ciosów na oślep, kalkulował kroki. Wreszcie sprężył się do skoku jak tygrys. Artois zobaczył manewr, lecz Smok w ostatniej chwili zmienił kierunek i chwycił kapitana w żelazne zapaśnicze kleszcze. Chyba trzasnęło żebro, ale Artois jeszcze tego nie czuł.

Widownia wpadła w entuzjazm.

Siłowali się ze sobą; wreszcie kapitan znalazł odpowiedni kąt i wymknął się z uścisku, udowadniając po raz kolejny w życiu, że Żaba nie tylko wysoko skacze, ale i bywa śliski. Zabłokował Smoka dźwignią i – wykorzystując jego masę – obrócił go na lewym barku jak kamień młyński wokół osi. Olbrzym grzmotnął plecami o ziemię; Artois podążył za nim, fachowo zamykając chwyt i przytrzymując go całym swoim ciężarem. Smok walczył, zmieniając wciąż położenie. Przez łomot uderzeń serca kapitan słyszał, jak ktoś głośno odlicza. Dziesięć... dziewięć... trzy... dwa... jeden...

Zadźwięczał gong.

Przez kilka chwil było cicho jak makiem zasiał. Obydwaj ciężko łapali oddech. Smok dźwigał się z desek, ocierając usta z krwi. Artois przycupnął nad nim w kucki, czując, jak potłuczone żebra promieniają bólem; podał mu rękę.

Potem rozpetęła się zbiorowa histeria. Ludzie przeskakiwali przez liny i wbiegali na ring; jedni chcieli go bić, inni nosić na rękach. Grupa zwolenników Smoka obskoczyła swojego zawodnika z ręcznikami, rwali się też z pięściami do kapitana, ale sam zapaśnik zatrzymał ich swoim szerokim ramieniem. Próba zemsty na zwycięzcy zostałaaby poczytana za tchórzostwo i złamanie wszelkich zasad. Burza wśród dokerów przybierała jednak na sile; szarpano ludzi, którzy przyjmowali zakłady, w powietrzu rozlegały się gniewne okrzyki.

Nagle salą wstrząsnął głośny huk wystrzału; z sufitu posypał się tynk. Cisza rozchodziła się wokół jak kręgi po wodzie. Dokerzy rozstąpili się, robiąc przejście dla niewielkiej grupki, która wyszła z tego samego pomieszczenia, co wcześniej zawodnik.

Pistolet dzierżyła kobieta z włosami zaczesanymi do tyłu i natłuszczonymi pomadą, w szerokiej drelichowej spódnicy i podkoszulku bez rękawów, z tatuażami na muskularnych ramionach. Wyglądała na wściekłą. Za nią podążał wysoki mężczyzna; z tego, że szedł boso i bez koszuli, Artois poznał, że ma do czynienia z drugim zapaśnikiem, Ćmą.

Do kapitana, z którego ulotnił się już bojowy zapach, zaczynało docierać, co właściwie zrobił; rozochocony piwem i atmosferą, upojony nowym miejscem, nowym światem i rozkwitającym romanssem z królową, zbyt długo pozbawiony okazji do działania, z braku towarzyszy, których to on zwykle musiał nadzorować, zachował się jak dzieciak i dokumentnie zapomniał o celu swojej misji.

Tymczasem cel właśnie szedł w jego stronę, bo na dobrą sprawę kto inny to mógł być. Tyle że jakiegokolwiek pozory dyskrecji właśnie uciekały z krzykiem, machając kapitanowi na pożegnanie. Kobieta weszła na ring i z werwą strzyknęła przeżutym tytoniem.

– Masz tupet, magu – powiedziała warkotliwym, napiętym głosem. – Masz tupet, że tu przychodzisz i rujnujesz mi walkę.

\* \* \*

Słowa poniosły się daleko. Millicent Severia, kobieta, która oskarżyła kapitana, zakładała ramię na ramię, wyzywająco patrząc mu w oczy. Cały cywilizowany świat wiedział, że czarodzieje mają lepszą wytrzymałość fizyczną, wzmocnioną odporność i zwiększone zdolności regeneracji. W turniejach sportowych prowadzono osobne kategorie dla nieaktywnych i magów; Vincent narzekał, że po transformacji nie wolno mu uczestniczyć w amatorskich turniejach Drogi Czapli. Oficjalnie uchodził za półaktywnego, a oni podobnie jak więdźmy nie przechodzili przemiany, więc startowali w kategorii dla zwykłych ludzi. Musiałby zatem dopuścić się oszustwa, co było niezgodne ze sportowym duchem tej szkoły walki.

Ci, którzy nie przebywali wśród czarodziejów na co dzień, uważali ich wręcz za nadludzi – silniejszych, szybszych, odpornych na ciosy. To nie była prawda, ale



ponieważ magowie używali też zaklęć o zastosowaniu bojowym, mało kto oprócz zainteresowanych o tym wiedział.

– Magu? – zapytał Artois. – Czy to nowa moda w Avalonie wyzywać ludzi od magów?

– Proszę cię – syknęła. – Prowadzasz się z nimi pod rączkę. Mam wierzyć, że tak po prostu wszedłeś tutaj z ulicy, wyzwaleś mojego czempiona i pokonałeś go w uczciwej walce?

– Sama jesteś wiedźmą; rozumiem, że znasz uroki i możesz to sprawdzić? A, pewnie wolisz odebrać Smokowi satysfakcję z tego pojedynku.

Millie splunęła.

– Zabiłeś mojego człowieka.

– Przykro mi, szkoda chłopca. Jeden zastrzelił drugiego; sądziłem, że ma jaja przyznać się do tego przed szefową.

– Po co tutaj przyszedłeś, co?

– Może mam interes do ubicia.

– Jesteś szpiclem magów. – Zniżyła głos. – Naprawdę sądzisz, że mamy o czym rozmawiać?

– Proszę, czyli według ciebie jeśli człowiek nosi walizki czarodziejom, nie może już pilnować własnych interesów? Ja im nie zaglądam w zaklęcia, oni nie pytają o moje zainteresowania; uczciwa wymiana. Kupiłbym sobie nowy surdut.

– Ten, który widzieli chłopaki, wygląda na odpicowany. W sam raz, żeby bajerować młode słodkie czarodziejki – młasnęła kobieta.

Artois drgnął, a Millicent podniosła gardę.

– Serdecznie przepraszam – powiedział kapitan. – Sam nie wiem dlaczego, ale jakoś tak mi ręka chodzi.

– Kręcisz jak ręczną pralką. – Millie się skrzywiła. Mówili teraz ciszej; słowa nie niosły się już przez całą salę. Dwóch współpracowników Severii odsuwało gapiów. – Ale dam ci szansę. Własne interesy, hę? Co masz na myśli?

– Dobro narodowe – odpowiedział cicho.

Millicent wbiła wzrok w okolice rozchełstanej koszuli kapitana. Patrzyła na przypinkę od Belinde. Ciekawe, co zobaczyła: herb Arborii czy również zawartą w niej magię tłumaczącą? Czy dokonała interpretacji po myśli Artois?

– W ząbek czesany Doloriańczyk – mruknęła z lekkim podziwem. – Nie wierzę ci ani trochę. Chodź, porozmawiamy u mnie.

\* \* \*

Millicent urządziła sobie biuro w starej pracowni na piętrze. Po dawnych latach zostały tutaj blaty i metalowe stołki; laboratorium wyczyszczono do gołej ziemi tylko na niedużej przestrzeni, gdzieniegdzie wciąż poniewierały się resztki przeżartej rdzą aparatury. Dodano nowe meble, takie jak fotel dla szefowej o miękkim skórzanym obiciu, automagiczne stojące lampy i ładne zabytkowe szafki. Na ścianie wisiał oszklony barek zaopatrzony w rząd butelek i rzeźbione kieliszki. W kątach stało kilka drewnianych skrzyń, w jakich transportowano wiele towarów drogą rzeczną. Pomieszczenia pilnowało paru ludzi uzbrojonych w pistolety.

Gangsterka podeszła do barku i naląła sobie do szklanki przejrzystego alkoholu barwy bursztynu. Skinęła głową na jednego z pomagierów; ten przeszedł się do metalowego dystrybutora pośrodku dawnej pracowni i nasypał trochę lodu do szklanej miski. Wrzuciła sobie parę kostek, spojrzała pytająco na kapitana.

– Ja podziękuję.

– Niezły z ciebie okaz – mruknęła. Wyjęła z kieszeni tabakierę i wepchnęła sobie pod górną wargę grudkę tytoniu, po czym machnęła ręką na Ćmę i pozostałych. Kłaniając się szefowej, opuścili pracownię.

Millicent rozsiadła się wygodnie w skórzanym fotelu.

– Nie wiem, co ci ludzie nagadali, bo ja jestem praworządną obywatelką; prowadzę tylko legalne interesy dla Związku Dokerów. W szczególności jako znana patriotka nie chcę mieć nic wspólnego z doloriańskimi agentami.

Artois przysiadł na metalowym stołku. Mimochodem zapiął koszulę; bolały go żebra, ale starał się tego nie okazywać.

– W takim razie dobrze się składa, że nie jestem doloriańskim agentem – zauważył. – Jedyne przyjacielem domu kilkorga wysoko postawionych magów, którzy nie spędzili ostatniego roku w moim rodzinnym kraju, i ostatnie akcje pani ludzi wcale nie zmniejszyły ich zaufania do mnie.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Nie przyjaźni się pan także z Arcymagiem?

– W żadnym wypadku – zapewnił kapitan. – Jestem jak najdalszy od zadawania się z tym człowiekiem.

– I wcale pan nie wie, kto jest Magiem Pustki?

Artois zmarszczył brwi.

– Słyszę to sformułowanie już drugi raz i zaczynam się poważnie zastanawiać, kto jest taki naiwny: ja czy pani pracodawca.

– Daj pan spokój – zarechotała Millie. – Wszyscy wiedzą, że Magowie Pustki w sekrecie rządzą światem.

– Zabawne, bo słyszę ten argument głównie od ludzi, którzy sami chcieliby przejąć władzę. – Kapitan założył rękę na rękę. – Mogła się pani wmieszać w coś, co panią przerasta.

Millicent zmrużyła oczy i powoli wstała z fotela.

– Grozisz mi?

Artois zsunął się ze stołka, uważnie wpatrując się w Severię.

– Nie. Chcę tylko podkreślić, że możnych nie obchodzą ludzie tacy jak ja czy pani. Jesteśmy dla nich pionkami w rozgrywce, o której nie powiedzą nam nic, dopóki nie będzie za późno. Grają na naszych ambicjach, obiecują złote góry, ale gdy nadchodzi godzina próby, to nas pakują na szafot. Ja jestem uczciwym patriotą. Ale czy pani chociaż wie, dla kogo podejmuje to ryzyko?

Gangsterka otworzyła usta, ale zmiarkowała się niemal od razu; pociągnęła łyk bursztynowego alkoholu i prychnęła pogardliwie.

– I myślisz, że powiem? Ha! Jesteś głupszy, niż sądziłam. Wasze małe powstanie upadnie, zanim się zacznie.

– Co pani obiecali? Różdżki? Akumulatory? Po co to pani, skoro jest pani nieaktywna?

Zapadła cisza. Artois zorientował się, że trafił w czuły punkt. Policzki Millicent pociemniały z wściekłości, jej mięśnie stężały; zupełnie straciła nonszalancką pozę sprzed chwili. Agresywnym gestem odstawiła szklankę na blat.

– Nieaktywna! Nieaktywna! – Huknęła pięścią w ścianę, aż odleciały drobne płatki tynku. – Miałam największy potencjał, jaki kiedykolwiek odkryto, słyszysz? Największy! Nie wystarczyło im mocy, żeby poprawnie zmierzyć mój limit. „Przykro nam, ale pani Źródło się nie rozwija”. Gówno prawda! Mogłam być

potężna! Potężna! Stare żmije, sprzedajne uniwersyteckie dziady. Nie podobała im się mała Millie z doków Avalonu, oj nie. Obiecywali posadę asystentki na osłodę; niech mnie w dupę pocałują.

Mówiąc, opluła blat; nadal zaciskała pięści.

– Ale zobaczą jeszcze. Długo czekałam i wkrótce to ja będę się z nich śmiała. Widzisz, twój problem polega na tym, że zjawiłeś się tutaj kilkanaście lat za późno. Panowie! – ryknęła tak głośno, że lód w szklance zastukał o szkło. Do pracowni z powrotem weszli uzbrojeni mężczyźni. – Odprowadźcie pana do pokoiw gościnnych.

Artois de Narbonne przesunął przełącznik w bransoletce na nadgarstku; otoczyła go bladozielona świetlista aura. I nie zwlekając dłużej, rzucił się w stronę okna.

\* \* \*

Kathryn nie musiała wracać do wynajętego mieszkania po odpowiednią suknię na wieczór. Belinde zamówiła aż trzy nowe komplety, które przysły na jej adres, i wszystkie uwzględniały zarówno nową modę, jak i zmiany w figurze jej uczennicy – nawet z lekkim zapasem, więc tu i ówdzie trzeba było zrobić zaszewki. Abigail przyniosła nici i pomogła jej zaciągnąć gorset – bez przesady, bo ani Belinde, ani jej uczennica nie praktykowały dociskania gorsetu kolanem. A w kwestiach mody socjeta raczej naśladowała panią Chamomille niż odwrotnie.

W ogóle zarówno wybór materiałów, jak i fasonu wydawał się czarodziejce znaczący. Lady d’Emeraude nigdy wcześniej nie kupowała jej sukienek. Nawet w otoczeniu ministrów i dyplomatów Kathryn pozostawała gdzieś w tle, ubrana w wizytową wersję stroju uczennicy czarodziejki. Tylko jedna z sukienek z grubsza go przypominała – prosty w kroju, ale niesamowicie drogi oficjalny kostium w szarych i czarnych barwach. Drugą suknię, wieczorową, skomponowano w różnych odcieniach zieleni, czyli w barwach herbowych Belinde Chamomille. Nikt już nie praktykował tego zwyczaju w Arborii, ale starsi arystokraci z łatwością zrozumieją kontekst.

Trzecia, w bieli i srebrze – barwach rodu d’Argent – zdobiona delikatnymi kryształami, nadawała się na wizytę u królowej. I chyba do tego została przeznaczona. Kathryn gwizdnęła cicho, gdy wyjęła ją z pudełka. Belinde zabezpieczyła się na każdą okazję. Ależ to bezczelne; przypomnianie innym

szlachcicom o książęcym rodzie d'Argent będzie musiało się spotkać z reakcją. Nawet jeśli tożsamość królowej Aurory nie wyjdzie na jaw.

„Czy ty mnie przypadkiem, droga mistrzyni, nie próbujesz zwasalizować?” – pomyślała Kat z rozbawieniem. Wybrała zieloną sukienkę i wbiła się w nią przy pomocy Abigail, wysłuchując niekończących się komplementów. Później uczesała się, zaaplikowała na nos sporą dawkę eliksiru przeciwtrądzikowego – niech żyją arboriańskie kosmetyki – i zajęła się nieco poważniejszą pracą.

Skonfiskowała Bernardowi magiczną kulę Belinde, ciężki sprzęt na biurko w porównaniu z jej własną skromną kulą, i przeniosła się do pomieszczenia do pracy z wysokimi energiami. Było nieco mniejsze niż pracownia; nad stołem laboratoryjnym zgromadzono szereg półproduktów z metalu i nasyconego magią szkła oraz komplet narzędzi do ich obróbki. Na ceramicznej posadzce trwale wytłoczono jeden z bardziej skomplikowanych magicznych kręgów do magii Creo, jakie ktokolwiek potrafił obsłużyć.

Zagarnęła suknię pod tyłek – trochę przeszkadzała jej poduszka – a potem siadła na stołku, obydwie kule kładąc na blacie. Zapisała u siebie tyle protokołów łamania haseł, że nie musiała szperać w bibliotece i kopiować ich z książek. Znała nieco lepiej tok myślenia swojej mistrzyni niż Margueritte, miała więc nadzieję, że może się udać.

Chwilę później obydwie kule świeciły się delikatnie, sprzężone ze sobą połączeniem równoległym. Kathryn rzucała zaklęcia protokolarne, krok po kroku sprawdzając poprawną synchronizację. Belinde nie traciła czasu i zaopatrzyła się w sprzęt szóstej generacji, co znaczyło, że kula Kat działa na granicy swojej mocy obliczeniowej. Należało wrzucić dodatkowy proces, który opóźniał pracę kuli Belinde.

Kathryn stukała paznokciami o blat, czekając, aż synchronizacja zaskoczy. „Czasem żałuję, że nie abdykowałam – myślała. – Ucieklebimy razem z Artois gdzieś na Złote Wybrzeże, żeby pić koktajle z palemką, wylegiwać się na leżakach i bzykać pod gwiazdami na plaży. Albo może raczej w hotelu, żeby piasek wszędzie nie wchodził”.

Zastanawiała się, w jakie kłopoty go wpakowała. I samą siebie.

Kule magiczne wydały z siebie kilkakrotnie cichy pisk. Procesy wyrównały się wreszcie. Potem czarodziejka puściła przez swoją kulę krótką melodię i sprawdziła,

czy obydwie równocześnie emitują te same dźwięki. Nie dało się tego zrobić na słuch, bo liczyły się najdrobniejsze opóźnienia, więc zawiesiła nad nimi zakłęcie odczytujące przebieg fal dźwiękowych. Wyszło akceptowalnie.

Westchnęła, znów myśląc o kapitanie. Robiło jej się gorąco na samą myśl o minionej nocy, i wiedziała, jak się skończy pozostawienie ich razem w jednym pomieszczeniu bez nadzoru. Przez pewien czas zastanawiała się, do jakiego stopnia Artois zakochał się w jej wizerunku wystafiorowanej księżniczki. W mocno sfabrykowanym za pomocą makijażu, wypychaczy i drucianego stelaża ucieleśnieniu bretańskiego ideału kobiety bladej, wiotkiej i arystokratycznej, w dodatku posługującej się magią.

Nawet jeżeli tak właśnie się stało na samym początku, teraz sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej. Przez pół roku poznali się znacznie lepiej i w końcu tę znajomość skonsumowali. Kathryn wydawało się, że rozumieją się w pół słowa, że mimo wszystkich różnic – których było niemało – stanowią zgodną parę. Przecież Amandine i Vincent pozostali razem, chociaż tylko jedno z nich było obdarzone talentem.

Wrzuciła łamacz kodu, ustawiając parametry, które trochę przedłużą proces, ale przynajmniej nie zapchają jej od razu całej mocy obliczeniowej. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby jej kula zdechła w samym środku pracy, teraz, gdy brakowało im czasu.

Oby Belinde nie ustawiła hasła w postaci obrazka. Kathryn jeszcze nie opracowała łamacza kodu, który dawał sobie radę z analizą obrazu, i wiedziała, że to musi potrwać.

Zbrojone drzwi uchyliły się i przez szparę zajrzał Bernard.

– Kathryn, musimy omówić jeszcze kilka szczegółów przed spotkaniem.

– Zaraz – odparła czarodziejka, przypatrując się wirującym nad kulami symbolom i zmieniającym się cyfrom.

– Siedzisz już tutaj godzinę.

– Godzinę? – zdumiała się Kat i zerknęła na zegar ścienny. – Rzeczywiście. Czekaj, już puściłam, sprawdzam tylko, czy leci.

– Co ty robisz tym kryształom?

– Krzywdę – odparła Kathryn. – Idzie całkiem przyzwoicie. Chyba możemy je zostawić w spokoju i porozmawiać. Chodźmy do salonu; zamknijmy tylko

za sobą drzwi. Jeśli Oliwia d’Opal zapłacze się zupełnym przypadkiem do tego pokoju, nie ręczę za siebie.

– Oho, nie przepadasz za nią?

– Wściekle – przyznała się czarodziejka. – Oblała mnie na egzaminie dyplomowym. Nigdy nie przegapi okazji do złośliwości. Kiedyś się przejmowałam...

– ...a teraz już nie?

– Tak mi się wydaje. – Zafrasowana podrapała się po głowie. – Ale zupełnie uczciwie, nie wiem, czy znów nie wymyśli czegoś nowego i skutecznego, żeby mi dopiec. Chociaż w rzeczywistości chodzi o to, żeby dopiec Belinde, a jej tu nie ma. Poza tym obecnie lady Oliwia może mieć lepszy humor. Tryumfuje; ministerstwo polityki zagranicznej to nie byle co.

– Oliwia d’Opal została ministrem polityki zagranicznej? – zdumiał się książę de Montreuil. – Sądziłem, że zasiada w Wyższej Izbie, jak Belinde. I w tworzeniu rządu bezpośrednio nie uczestniczy.

– Emrys Chasseur de Branche d’Opal. – Kathryn wstała ze stołka. Obydwoje wyszli z pracowni; czarodziejka najpierw starannie zamknęła na klucz zbrojone drzwi, a później wejście do laboratorium. Uruchomiła automagiczny alarm. – Jej prapra... i tak dalej wnuczek. Przez lata szkolony na głowę rodu, rozpieszczany, zależny od babci w stu procentach. Niestety, półaktywny. Jej rzeczywistą spadkobierczynią zostanie mała Liliana, o ile Emrys sam wcześniej nie spłodzi aktywnego potomstwa. To znaczy tak przynajmniej brzmiał pierwotny plan. Czekać, naprawdę Belinde nie podała ci składu rządu?

– Podała, ale wcześniej. Jeszcze nie mieli wszystkich ministrów.

– W takim razie powiedz, kogo ci brakuje.

\* \* \*

Dobiegała piąta. Zastawiono stół w jadalni, rozmieszczono kwiatowe dekoracje, a na całym piętrze unosił się zapach stygnącego powoli ciasta. Jarvis wrócił kuchennymi drzwiami i w ciągu kilku minut doprowadził się do porządku. Powiadomił ich, że kapitan Artois całkiem dobrze sobie radzi na wybrzeżu; rzeczywiście wydawało się, że praca śledczego to dla niego nie pierwszozna.

Książę Bernard ubrał się stosownie do okazji. Odkąd przybyli do Avalonu, nosił się po arboriańsku; na co dzień przywdziewał elegancki dwurzędowy surdut, miał też cylinder i okrągłe okulary z łańcuszkiem. Dziś poszedł oczko wyżej i włożył frak, a kołnierzyk przyozdobił jedwabną muchą barwy ciemnego fioletu. Dopełniający akcent stanowiła fioletowa poszetka w kieszonce fraka. W końcu pierwsze spotkanie z premierem Zjednoczonej Arborii wymaga zachowania pełnego decorum. Jednak aby zaakcentować swoje pochodzenie, książę ozdobił palce bretańskimi pierścieniami. Ciężka, stara biżuteria wysadzana ametystami oraz pieczęć nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do rodu starego czarodzieja.

Kathryn ponownie zaaplikowała sobie eliksir na nos, jeszcze raz poprawiła spinkę we włosach i nerwowo sprawdziła, czy suknia wszędzie jest dopięta jak należy. Potem w ostatniej chwili przypomniała sobie o nowych czarnych pantofelkach, również zakupionych przez Belinde. Na razie wychodziło na to, że lady d’Emeraude ubiera i obuwa monarchinię Utraconej Bretanii. Zarówno książę, jak i królowa zabrali ze sobą trochę złota, przy czym Bernardowi udało się wycisnąć dość przyzwoitą daninę od swojego kuzyna – uzurpatora Henriego. Planowali wymienić walutę, kiedy istnienie Bretanii wyjdzie na jaw i nikt się nie będzie zastanawiał, skąd się wzięły takie dziwne herby na monetach. W przeciwieństwie do Bernarda Kathryn miała poczucie winy, że ograbia zniszczone wojną królestwo oraz pasożytuje na swojej mistrzyni, ale rozumiała, że ta inwestycja może się zwrócić po wielokroć.

Chyba że spotkanie się nie uda.

Premier Hermes Grant zjawił się punktualnie, czyli ze zwyczajowym spóźnieniem o kwadrans. Siwy przemysłowiec z wielkimi bokobrodami, który dorobił się fortuny na rozwoju kanalizacji, z wykształcenia wiedźma i handlowiec, w głębi duszy widział siebie w roli generała kolonizującego ziemie dzikich, dlatego od kilku dekad zajmował się polityką. Towarzyszyła mu Eugenia Grant, jego żona – malutka, korpulentna kobieta o powierzchowności zadowolonego z siebie domowego zwierzątka. Prawdopodobnie w rzeczywistości była śmiertelnie niebezpieczna. Albo i nie. Kathryn nigdy nie umiała jej rozszyfrować.

Przywitali się z Kathryn i Bernardem.

– A gdzież się ukrywa pani domu? – Premier rozejrzał się ze zdumieniem.



– Przepraszam, ale Belinde wezwano w sprawach wagi państwowej. Mam nadzieję, że dołączy do nas później.

– Droga panno Verd, co może mieć bardziej państwową wagę niż spotkanie z premierem?

Zaległa znacząca cisza. Każdy mógł sam sobie odpowiedzieć na pytanie, jaka osoba w państwie jest ważniejsza od premiera. Królowa Gwendolyn została wybrana z poparciem Federalistów, bo kadencje monarchów trwały dłużej niż kadencja rządu. Wychodziło na to, że Belinde nie ma w domu tego samego wieczoru, którego miała przyjmować na herbatce Imperialistów, ponieważ uniemożliwiła jej to królowa, popierająca jej własne ugrupowanie.

Od myślenia o interpretacjach tego faktu oraz jego możliwych konsekwencjach mogła rozboleć głowa. Inne wytłumaczenia jednak nie mieli.

– Rzeczywiście wyszło niezręcznie – zgodził się Bernard – ale jak pan zapewne wie, Wędrowiec stawia nas czasem na rozdrożach i każe zgadywać, którądy podążać. Lady Chamomille poleciła mi przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia. Kontynuujemy spotkanie wedle jej życzenia, właśnie dlatego, że nikt nie powinien zostać pominięty, gdy tworzy się historia. Proszę, proszę wejść. Mam nadzieję, że dzisiejsze spotkanie wypełni z nawiązką pańskie oczekiwania.

„Jest niezły – pomyślała Kathryn. – I jeszcze to nawiązanie religijne; wszyscy wiedzą, że pani Grant nie opuszcza żadnego niedzielnego nabożeństwa”.

Stopniowo zjawili się pozostali goście, między innymi sędziwy czarodziej, sir Tailleferre z Gildii Magów (zasiadał w Wyższej Izbie), pani wicepremier z mężem, dwójka ministrów z żonami. Bernard brylował, wykorzystując wszystkie szczegóły, z którymi zaznajomiła go Kathryn, na sposoby, o jakich nigdy sama by nie pomyślała. Poza tym odwlekał decyzję o wyznaniu miejsca swojego pochodzenia aż do przybycia ostatniego gościa i napomykał, że wkrótce przejdą do części oficjalnej. Na razie znali tylko jego ród i wiedzieli, że jest dyplomatą z daleka. Przyznał się nawet, że doskonałą znajomość języka zawdzięcza czarnoksiężkiemu kunsztowi gospodyni.

Niektórzy na pewno mieli własne informacje, ale Kathryn za nic w świecie nie potrafiłaby odgadnąć, kto już wiedział, a kto tylko udawał. Nagle zatęskniła za Lilianą. Może dziewczynka nie była odpowiednim gościem na przyjęciu dyplomatycznym, ale Kat czułaby się znacznie swobodniej w jej obecności.

Ciekawe, co młoda smoczyca miałaby do powiedzenia o gościach? Jak jej się wiodło u państwa Thorpe? Czy zaczęła już pobierać nauki u Margueritte?

Wreszcie przybyła dwójka ostatnich gości.

Emrys Chasseur de Branche d’Opal prowadził pod rękę babcię, drobną brunetkę odzianą zgodnie z tradycją w biel, czerń i błękit. Lady Oliwia, która liczyła już sobie cztery wieki, jak zwykle prezentowała się ołsniewająco – dzięki dużej pomocy zakłęb, mikstur i osiągnięć medycyny estetycznej. Czarodzieje starzeli się znacznie wolniej niż nieutalentowani, ale też często maskowali proces starzenia i podobnie jak kiedyś Lucjusz Szalony do końca życia wyglądali na bliżej nieokreślony wiek średni. Magowie tacy jak sir Tailleferre, którzy nie ukrywali swoich lat, należeli do rzadkości. Zwykle szło to w parze z żarliwą religijnością.

Znowu plus dla Bernarda, jeśli chodzi o relacje z Imperialistami.

Kathryn zobaczyła Emrysa może ze dwa razy w życiu, i to przelotnie. Rzadko pojawiał się u Belinde, również dlatego, że obydwie rody mocno ze sobą rywalizowały. Był wysokim trzydziestoparoletnim brunetem z wąskimi bokobrodami, postury dość wysportowanej. Plotka głosiła, że lubi się pojedynkować, chociaż tę praktykę wyjąto w Arborii spod prawa. Przywitał się grzecznie z czarodziejką, mrużąc oczy jak krótkowidz. W jego spojrzeniu drzemało coś, co sprawiło, że Kat poczuła się nieswojo. Świadoma swoich trudności w odczytywaniu intencji postanowiła później wypytać Bernarda o nowego ministra spraw zagranicznych. Na razie mieli pilniejsze obowiązki.

\* \* \*

– Szlachetni państwo. – Bernard wznosił kielich. – Obyczaj wymaga, aby gość, którym jestem, wznosił wpiery toast za gospodarzy. Chciałbym zatem na początek uhonorować nieobecną lady Belinde Chamomille de Branche d’Emeraude oraz przybyłych tutaj obywateli Zjednoczonej Republiki Arborii, pana premiera Hermesa Granta, towarzyszącą mu panią Eugenię...

Kontynuował, wymieniając wszystkich gości.

– A także monarchinię Gwendolyn Bayonne de Branche d’Aquamarine.

„Najpierw Imperialiści, potem nieobecna królowa. Oczywiście wazelina – pomyślała Kathryn – ale docenią to”.

– Chciałbym również przekazać wyrazy najgłębszego szacunku od błogosławionej przez Wędrowca monarchini Aurory Pierwszej de Branche d’Argent, Nadwornej Magini Amandine de Branche d’Aure oraz regentki Theresy von Feuerstein, sprawującej pieczę nad Królewską Smoczycą. Czyli, podkreślę, od całego Triumwiratu Królestwa Bretanii, zwanego w waszym kraju Utraconą Bretanią.

I już. Tajemnica wyjawiona, bomba wybuchła.

Kathryn rozglądała się po zgromadzonych. Nie wszyscy wyglądali na wstrząśniętych, ale nie wiedziała, kto się spodziewał, a kto tylko zachowuje pokerową minę. Czarodzieje, czyli lady Oliwia i sir Tailleferre, robili wrażenie niewzruszonych, chociaż zafascynowanych. Emrys był nerwowy i myślami gdzie indziej, o ile Kathryn umiała to stwierdzić; zachowywał się tak od samego początku kolacji. Żona premiera nie opanowała zdumionego sapnięcia. Dwójka ministrów popatrzyła po sobie, jakby sądzili, że z nich kpią.

– Poważnie? – zająknął się premier, przerywając ciszę. – Ale poważnie, że poważnie?

– W pana ręce składam dar od królowej Aurory – zapewnił go książę de Montreuil i wręczył owiniętą w jedwab zalakowaną paczuszkę.

Ustalili razem z Bernardem, że na pierwszym spotkaniu nie chcą ujawniać zasobów strategicznych. Księżycowy kamień, minerał odporny na magię, nie występował w Arborii (poza jedyną komnatą w podziemiach Gildii Magów, o której prawie nikt nie wiedział). W Utraconej Bretanii służył do budowania twierdz. Wydobywano go w kopalniach obsługiwanych przez urządzenia z okresu Cesarstwa, których nie miał kto konserwować w czasach nieobecności magów. Poza tym stare szyby zostały wyczerpane, a nowe złoża leżały zbyt głęboko jak na bretańską technologię, stąd większość budynków wzniesionych z tej szarej skały pochodziła sprzed stuleci.

Kathryn, która interesowała się budownictwem i techniką, szybko się zorientowała, że materiał jest bezcenny. Gdyby wyizolowano składnik kamienia decydujący o jego oporności na magię... zastosowania technologiczne nie miałyby końca. Ekrany ochronne, zbiorniki, pojemniki, akumulatory z izolacją przeciwskażeniową, osłony na silniki napędzane mocą magiczną... Oczywiście nikt

w Arborii nie powinien o tym wiedzieć, dopóki Bretania nie dorobi się armii z prawdziwego zdarzenia.

Drugim takim zasobem była orenda, czerwona krzewinka uprawiana w księstwie rodu Spinel. Ta nieduża roślina należała do ostańców przedarboriańskich, czyli organizmów obecnych na planecie, zanim skolonizowali ją ludzie. Owocowała jagodami, które gromadziły magię. Na surowo były trujące, ale przy odpowiedniej obróbce uzyskiwało się z nich koncentrat zawierający jednostki czystej energii. Choć kilka odmian występowało po tej stronie kontynentu, tylko bretańska orenda nadawała się do zastosowań przemysłowych.

Arboria pozyskiwała magię ze Źródeł geograficznych i wiecznie miała jej za mało. Kathryn wyobrażała sobie wertykalne uprawy orendy, rozpościerające się czerwonymi terasami w miejsce arboriańskich winnic, i robiło jej się gorzej.

Na razie niech roślina pozostanie tajemnicą. Dostaną próbkę koncentratu; Bernard zabrał porcję w darach, można nim handlować. Kiedyś sekret obróbki zostanie ujawniony lub wykradzony, więc i tak do tego dojdzie. Ale znów, doróbmy się najpierw solidnej armii.

Bernard rozdawał więc unikatowe wyroby artystyczne, rzeźby ze szkła i kilimy, ozdobne miecze od najlepszych rzemieślników, prawili komplementy, perorował, ogólnie wydawał się być w swoim żywiole. Powtarzał wersję, którą wypróbował na Jarvisie, z tym wyjątkiem, że nie wspominał o Magach Pustki, wyłącznie o połączeniu kontynentów za pomocą Mostu. Niedomówienie wisiało w powietrzu, pozwalając gościom grzecznie zignorować ten szczegół.

Dzięki wczesnym przeciekom nie uznali tej historii za bardzo wyrafinowany żart. Przechodzili nad istnieniem Bretanii do porządku dziennego, oswajali się z nim; zajmie to jeszcze kilka dni. W optymalnej wersji opracują instrukcje dla swoich pracowników, wieści zaczną rozchodzić się stopniowo, z góry na dół. Tymczasem stronnictwo Belinde, poinformowane zdalnie, robiłoby to samo. Lady Chamomille zaplanowała nieco mniej sztywną imprezę na następny dzień; jej najbliżsi znajomi już wiedzieli.

Chyba że szybciej zajmą się tym dziennikarze.

Rozmowa toczyła się dalej.

– Nie uszło mojej uwadze, że pięknie wyglądasz w tej zielonej sukience, kochanie – odezwała się hrabina d’Opal. – Jak tam przygotowania do egzaminu?

Rozumiem, że ze względu na ostatni... incydent postanowiłaś odłożyć go na parę lat?

„Niewłaściwy wybór stroju – pomyślała Kathryn z przerażeniem. – Sugeruje, że zamierzam zrezygnować ze zdobycia dyplomu. Przypomina wszystkim o wydarzeniu, które rzuciło złe światło na Belinde”.

Opanowała się jednak.

– Pobyt w Utraconej Bretanii był niezwykle kształcący dla mojej znajomości Entropii – odparła spokojnie. – Poznałam nawet pani daleką kuzynkę. Proszę mi wierzyć, nie czuję się onieśmielona perspektywą powtórką.

– Kuzynkę? – Oczy lady Oliwii zabłyśły autentycznym zaciekawieniem. – Czy ród de Branche d’Opal dobrze się miewa w Bretanii?

„Na Pustkę, co ja powiedziałam. Czy to jest błąd, czy wręcz przeciwnie? Czy lady d’Opal postanowi przejąć i skolonizować swoich kuzynów, czy też uzna, że ich włości już należą do niej przez rozszerzenie? Tak jak w Dolorii. Ech, jaka szkoda, że nie ma tutaj Liliany”.

– Znakomicie. To bardzo silna linia krwi.

Emrys spąsował. Sir Tailleferre zachichotał. Przepięknie, panno Kat, teraz to ty przypominałaś wszystkim, że hrabina ma kłopot z siłą linii krwi i brakuje jej bezpośrednich spadkobierców.

W tej samej chwili zakłęcie kontrolne poinformowało Kathryn w myślach, że łamacz kodu zakończył pracę. Chwilę siedziała jak na szpilkach, czekając, aż rozmówcy odwrócą się ku sobie i przestaną od niej czegoś wymagać, a potem przeprosiła towarzystwo. Każdy pretekst, żeby chociaż przez kilka minut tutaj nie przebywać, był dobry.

\* \* \*

Kula migotała zachęcająco na blacie. Kathryn przesunęła nad nią dłonią, a później otworzyła moduł komunikacyjny i kilka wcześniej niedostępnych katalogów. Wyglądało na to, że wszystko działa. Hasło zostało złamane; miała pełen dostęp do sekretów Belinde Chamomille. Istnieli tacy, którzy zapłaciliby za to majątek.

– Magiczna kulo – szepnęła. – Pokaż rejestr ostatnich zmian, data od wczoraj o północy do obecnej godziny.

– Pokazuję rejestr ostatnich zmian – potwierdziła kula.

Wewnątrz przesunęły się obrazy otwierających się i zamykających sznurowanych teczek. Pokazywały się protokoły zakłóć dywinyjnych wyjątkowo ciężkiego kalibru, najpierw powiązanych z imieniem Millicent Severii, a potem z aktami doloriańskich kawalerzystów sprzed stu pięćdziesięciu lat. Wreszcie Kathryn trafiła na szybko przewijające się nagranie twarzy Belinde.

– Zatrzymaj komunikat – poleciła. – Odtwórz od początku.

Lady Belinde Chamomille wyglądała na zmęczoną. Włosy związała w kitkę; ostatnim razem Kathryn widziała u niej tę fryzurę w Bretanii, na wojnie.

– Droga Kathryn – zaczęła ze smutkiem – jeśli mnie teraz słuchasz, to znaczy, że poniosłam porażkę dostatecznie dotkliwą, abyś poczuła potrzebę włamania się do moich zasobów. Chociaż tego nie pochwalam, uważam twój postępек za konieczny.

Westchnęła.

– Człowiek, którego zamierzam odnaleźć, kiedyś należał do organizacji zwanej Iglicą Fortecy Ostatniego Świata. Służyliśmy także razem w wojsku. Byłam nieobecna pamiętnego dnia w Dolinie Cedrów. Sprzeciwiłam się wykonaniu rozkazu mojej dowódczyni, hrabiny Oliwii de Branche d’Opal, i za to zostałam usunięta ze służby. Ominęła mnie jednak hańba i znacznie surowsza kara. On był posłuszny do końca; w zamian za zeznania zmieniono mu tożsamość i ukryto go.

Rozejrzała się ukradkiem, jakby obawiała się, że ktoś podsłuchuje.

– Nie wiem, kogo kupili, Kathryn. Jestem relatywnie pewna Jarvisa, ale nikogo innego. Iglica dąży do osiągnięcia magicznej równowagi świata. Kiedyś sama w to wierzyłam, dopóki nie poznałam Weylanda. Ich środki są... Oni reprodukują skażenie, Kathryn. Myślą, że tak trzeba. Uważają, że największe zagrożenie dla świata stanowią Magowie Pustki, a zaraz potem my, czarodzieje Creo, poszerzający dostęp do codziennej magii.

Spojrzała jej prosto w oczy.

– Zniszcz to nagranie, Kathryn. Natychmiast skontaktuj się z Margueritte; będzie wiedziała, co robić. Rozbiła Iglicę kilka lat po tym, jak od niej odeszłam, ale teraz... Ten człowiek – nie wiem, czy wciąż z nimi trzyma. Porzucił organizację po procesie. Twierdził, że podobnie jak ja nie wierzy już w ich nauki. Nie mam

pojęcia, kto z jego rodziny należał do spisku; wiem, że ukrywał powiązania przed hrabiną Oliwią.

Wzięła głęboki oddech.

– Nazywał się Edmund Chasseur de Branche d’Opal.

Kathryn przez pewien czas siedziała, wpatrując się w kulę, kompletnie ogłuszona.

Następnie szybkim zakłębieniem skasowała nagranie, przepuszczając je dla pewności przez Fraktalną Niszczarkę. Później to samo zrobiła z całym rejestrem zmian. Zastanawiała się, czy nie rozbić kuli, ale zmieniła zdanie. Nie wiedziała, czy Belinde dysponowała kopią zapasową.

Wstała, starannie zamknęła pracownię i na drżących nogach wróciła do jadalni. Nikt nie zwrócił uwagi na jej nieobecność. Impreza trwała w najlepsze, alkohol dawno rozluźnił atmosferę, podziały polityczne stały się bardziej umowne niż zwykle. Bernard właśnie wznosił się na wyżyny elokwencji; zdawało się, że podbił serca starszych i bardziej konserwatywnych uczestników spotkania. Jeżeli ktoś dostrzegł jej zmieszanie, pewnie uznał, że miała powody.

Usiadła z powrotem na swoim miejscu i się rozejrzała. Nigdzie nie widziała Emrysa. Na wpół świadomie przysunęła sobie talerzyk z owocami.

– Och, kochanie – odezwała się hrabina d’Opal tonem, który sugerował, że młoda czarodziejka popełniła straszną gafę. – Bardzo mi przykro, że straciłaś okazję pożegnania się z ministrem Chasseurem. Musiał wyjść wcześniej w pilnych interesach. Bardzo jesteś blada. Nie zaszkodziło ci jedzenie? Rozumiem, że czujesz się dobrze?

Kathryn zerknęła na stojący w jadalni zegar z kukułką. Dobiegała dziewiąta wieczór.

Pomyślała o kapitanie Artois.

– Niezbyt – przyznała. – Przepraszam, chyba znów panią opuszczę.

\* \* \*

Tymczasem kapitan Artois de Narbonne właśnie usiłował się odnaleźć w niełatwej sytuacji. Stał pośrodku dawnej pracowni fabrycznej na pierwszym piętrze klubu dokerów, pozbawiony kaszkietu, butów i marynarki, gdyż nie zdołał odzyskać ich po wygranym pojedynku. Budynek drgał od muzyki i głośnych

okrzyków. Za jego plecami znajdowały się drzwi do sali walk, a za nimi tłoczyło się mniej więcej stu pijanych dokerów, którym – częściowo już po rozdziale pieniędzy z zakładów – zasugerowano, że jest magiem i w związku z tym zwyciężył nieuczciwie.

Próba negocjacji z Millicent Severią, patronką Związku Dokerów i znaną kryminalistką, wykazała, że co prawda Millie niewiele wie – bez mrugnięcia okiem uwierzyła, że kapitan szpieguje dla doloriańskiego ruchu oporu – ale nie ma ochoty z nim rozmawiać ze względu na własne, bliżej nieokreślone plany. Ktokolwiek ją zatrudnił, cokolwiek jej zlecił, umiejętnie grał na jej starym resentymencie wobec czarodziejów.

Na domiar złego bolały go żebra i właśnie usiłowano go pojmać.

Przesunął przełącznik w bransoletce na nadgarstku; otoczyła go bladozielona świetlista aura. Nie zwlekając dłużej, rzucił się w stronę okna. Zaświstały kule; jedna stuknęła w podłogę, druga ugrzęzła w osłonie jak w kisielu, trzecia stukła szklane drzwiczki barku (Severia rzuciła grube przekleństwo). Podpierając się ręką, kapitan dał susa przez blat. Z bólu aż go zaćmiło.

– Nie strzelajcie! – huknęła Millie. – Za nim!

Kapitan przez chwilę usiłował złapać oddech. Ćma pierwszy doskoczył za blat i złapał Artois za koszulę. Ten uderzył go z bańki, a kiedy głowa zapaśnika odskoczyła do tyłu, błyskawicznie sięgnął po nóż przypięty na łydce i pchnął.

Ćma nie był pierwszym lepszym oprychem; zareagował w porę i chwycił rękę Bretańczyka, próbując dźwigni na łokieć. Nóż brzęknął o ziemię, ale kapitan wymknął się, zanim zawodnik zamknął dźwignię. Cofnął ramię do klatki piersiowej i dzielił zapaśnika łokciem w nos. Chrupnęły chrząstki, bryznęła krew; Ćma zgiął się wpół. Korzystając z tej okazji, Artois wsparł się ręką o jego plecy i przeskoczył nad nim jak nad kozłem do ćwiczeń.

Dwóch kolejnych zbirów zastąpiło mu drogę. Jednego znokautował lewym prostym w tchawicę, drugiego podciął niskim kopnięciem, a potem zrzucił na niego skrzynkę pełną butelek. Dał susa przez kolejny blat, widząc wokół jeszcze trzech z dobytymi długimi nożami i samą Millicent Severię nadbiegającą z daleka w słusznym gniewie.

Oddychał ciężko; żebra były zapewne nie tylko potłuczone, lecz także połamane, a walka nie pomagała. Rozejrzał się wkoło. Dystrybutor lodu, blat, stary zlew, jakies



blaszane pojemniki na wysokiej szafce, chyba po wodzie; metalowe rury. Niewiele myśląc, Artois wyrwał poluzowaną stalową rurkę, zakręcił nią w powietrzu, a później pozwolił, aby weszła w bezpośredni kontakt z twarzą napastnika. Na podłogę poleciał lotem koszącym ząb.

– Łapcie go! – zawołała Millicent. – Za co wam płacę?!

Kapitan nie miał najmniejszego zamiaru konfrontować się z pozostałymi nożownikami. Dосkoczył do szafki z blaszanymi pojemnikami i pchnął ją z całej siły, aż sparciłe drewno oderwało się od mocujących śrub, a metalowe cysterny z ogłuszającym hukiem potoczyły się pod nogi napastników. W jego stronę pofrunęły noże, ale te również utkwiły w bladej ochronnej warstwie magii, drgając w niej jak zanurzone w galarecie, gdy Artois biegł przed siebie.

Dopał okna, szarpnął klamkę; nie mógł otworzyć. Zerknął na poczerńiałe framugi i osmoloną kiedyś w pożarze szybę i zrozumiał, że zapiekły się dawno temu podczas wypadku; nikomu nie chciało się wydawać pieniędzy na wymianę okien. Sięgnął po przerdzewiałą metalową tubę, która stała obok, i z całej siły uderzył nią w szkło.

Poprzez brzęk okruchów usłyszał jednak coś jeszcze. Coś, czego się tutaj zupełnie nie spodziewał. Ktoś recytował słowa zaklęcia. Artois spróbował jeszcze cofnąć się i schować za blat, ale nie zdążył. Poczł, jak traci równowagę na podłodze, która nagle stała się śliska niczym lód. Padł do przodu, amortyzując upadek dłońmi jak dziecko. Następnie świetlista pajęczyna przytwierdziła go do ziemi.

Usiłował podnieść głowę, żeby zobaczyć napastnika. Czarodziej? Tutaj? Czy Jarvis mógł się aż tak pomylić?

Usłyszał ciężkie kroki.

– Millicent – rozległ się niski głos. – Po co mnie wzywałaś? On nie jest Magiem Pustki. Już dawno by się uwolnił.

– No, chyba nie posługuje się magią, prócz tego, co zabrał ze sobą. Tymczasem sytuacja trochę się rozwinęła – odezwała się Millie przepraszająco. – Przyznał się, że szpieguje na rzecz Dolorii. Chciałam dać mu skruszeć i sprawdzić, czy się przyłączy do dzisiejszej akcji; chyba Doloriańscy na niej skorzystają, no nie? Niestety, zaczął uciekać.

– Doloriański agent – rzekł mężczyzna sceptycznie. – Doloriański. Ach tak. Rozumiem, Millicent. Mimo wszystko nie sądzę, żeby chciał się do ciebie przyłączyć.

– Zgodziliśmy się współpracować, panie czarodzieju, ale nie traktuj mnie jak dziecka. – Głos Severii ociekał jadem.

– Zatem nie zachowuj się dziecinnie.

Ciężkie kroki się zbliżyły. Artois wciąż próbował odkleić policzek od podłogi i dojrzeć coś więcej.

– Spóźniłeś się. Nie cofniesz tego, co ma się stać dziś w nocy.

Kapitan cały się wzdrygnął. Nieznajomy odezwał się po starobretońsku, w języku dostatecznie podobnym do bretańskiego, aby można było dzięki niemu się porozumieć.

– Skąd...?

– Mam wysoko postawionych znajomych, podobnie jak ty – odparł tamten. – Żywiłem nadzieję, że to właśnie ty jesteś Magiem Pustki, który przywiódł pozostałych z Bretanii. Oczywiście istnieją inne możliwości. Na przykład ten starzec, ambasador. Sprawdziliśmy asystenta Meg, ale czemuż nie miałyby to być panna Verd? Zważywszy na jej wypadek na egzaminie... mogła się ukrywać latami pod przykrywką maga Creo.

– Próbujesz mnie przesłuchiwać? – sapnął Artois. – Myślisz, że to takie proste?

Tamten roześmiał się ponuro.

– Tak, potrafię rozpoznać fachowca. Rozumiem, dlaczego zabrali cię do towarzystwa panny Verd. Jeżeli powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć, możesz ją jeszcze uchronić. Pozwolę ci nawiązać z nią kontakt za pomocą tego naszyjnika, który nosisz. – Kapitan poczuł, jak chłodne palce dotykają łańcuszka na jego szyi. – I w porę ostrzec, aby nie piła wody pochodzącej z wodociągów. Znajduje się teraz u lady Chamomille, na przyjęciu. Tam mają bieżącą wodę. Podobnie jak na uniwersytecie, w dzielnicach, w których mieszka szlachta, oraz w pałacu królewskim. Widzisz, jak dbam o naszych obywateli? Nie ucierpi nikt, kto nie powinien. Tylko zasłużone, przez długi czas aktywne elity.

– Chcesz zatruć wodę? Po co?!

– Nie chcę zatruwać wody. Pragnę uzyskać dane badawcze. Podaruję stołecznym czarodziejom wiernego towarzysza, w pełni naturalny produkt arboriańskiej ziemi.

Będzie rósł na ich Źródle i wytwarzał Pustkę. Kontynent trochę od nich odpocznie, mnie może uda się opanować sekrety naturalnej magii i ocalić nasz świat od rozpadu. Nie sądzę, żeby elity to rozumiały; są kompletnie zindoktrynowane. Wiem, jaka burza się rozpęta. I wiesz, kogo za to obarczę winą? – Mężczyzna parsknął śmiechem.

Kapitanowi oczy zaszyły mgłą ze strachu o Kat. Serce tłukło się w piersi jak wróbel. „Nie daj się nabrać – odezwał się głos rozsądku. – Próbuje cię złapać na stary i sprawdzony blef”.

– Jeśli ostrzegę Kathryn, to tak, jakbym ostrzegł całe miasto – zauważył. Dlaczego ten arystokrata jeszcze nie użył zaklęć, żeby go przesłuchać? Dlaczego nie próbuje kontroli umysłu, przecież zna wyższą magię? – Wcale nie zamierzasz mi pozwolić na kontakt. Nie jestem taki naiwny.

– Jak sobie chcesz – powiedział tamten i schylił się nad nim. Artois zobaczył upierścienioną dłoń. Skupił się, aby dostrzec i zapamiętać herb. – Do zobaczenia rano.

Zapadła noc.

\* \* \*

Liliana i Margueritte

Alisinnor pod Avalonem, poprzedniego dnia

Płomień lampy oliwnej drgał w szklanej bańce, odbijając się w ciemnych oczach Wandy Thorpe. Cienie tańczyły na jej zmęczonej, niemłodej twarzy, starannie ufarbowanych lokach i naszyjniku z jaspisową kameą. Liliana wpatrywała się w nią zafascynowana. Takiego uśmiechu lady d’Opal nie kupiłaby w klinice magii estetycznej. Był ciepły i jakby trochę smutny jednocześnie. Rzeczywisty.

– Dobranoc, Lily.

„Mogłaby zostać moją babcią – pomyślała Liliana. – Nie obraziłabym się”.

Wanda Thorpe delikatnie pogładziła dziewczynkę po włosach, a później zgasila lampę pokrętem.

– Dobranoc, pani Thorpe. – Lily podciągnęła pachnącą świeżym praniem kołdrę pod brodę.

W powietrzu unosiła się jeszcze woń podgrzanej oliwy. Zewsząd docierały dźwięki; w okiennicach świszczwał wiatr, drobne gałązki starej dzikiej gruszy uderzały o szybę. Dziewczynka leżała na wznak, czując, jak cały dom kołysze się i skrzypi, rozmawia i gra. Gdy się skupiła, słyszała drzewa gnące się w ogrodzie od wichury. Zamknęła oczy i zaczęła sobie wyobrażać, że wlatuje na smoczych skrzydłach wysoko ponad Alisinnor, wzbijając się w powietrze niczym biała, perłowo lśniąca smuga. Prawie nic nie pamiętała ze swojej pierwszej przemiany, co ją martwiło albo drażniło, zależnie od okoliczności.

Tak naprawdę nie była smokiem, skoro nie zachowywała żadnych wspomnień. Smok tylko w niej mieszkał i przez całe stulecia miał przejmować nad nią kontrolę. Powinno ją to przerażać, i czasami, gdy budziła się o czwartej nad ranem, rzeczywiście przez kilka minut trwała w bezruchu, sparaliżowana ze strachu przed samą sobą. Ale później zasypiała i biały smok wracał w sferę fantazji. Czasami się zastanawiała, czy nie wymyśliła sobie tego, co wydarzyło się w Bretanii ponad pół roku temu. W listopadzie skończyła dwanaście lat. Pół roku. Cała epoka.

Obcasy Wandy Thorpe stukały na schodach, oddalając się niespiesznie, krok po kroku. Wreszcie ucichły nawet dla nadnaturalnie czułego słuchu Liliany.

Ostrożnie wysunęła się spod kołdry. Sprawnie zawisła głową w dół, tak, jak potrafią tylko zawodowi gimnastycy i dorastające dzieci, i sięgnęła głęboko pod ramę łóżka. Wymacała kwadratowy przedmiot, starannie przytroczony tam uprzednio sznurkiem, i wyłuskała go z upręży.

Następnie spomiędzy ramy i materaca wydłubała obiekt nieco mniejszy, kształtem przypominający wieczne pióro. Z obydwoma zdobyczami schowała się pod kołdrą. Uruchoimiła automagiczną lampkę, którą skrycie podprowadziła Kathryn. („Skoro sama rzuciłaś się w wir światowego życia, a mnie odesłałaś na wieś, moja królowo – myślała Liliana – nie dziw się, że pozwoliłam sobie zabrać coś w zamian”). Przekartkowała książkę, bez trudu rozpoznając po układzie akapitów miejsce, gdzie skończyła.

I znikła dla świata.

Książka, którą Lily pożyczyła z biblioteczki pani Thorpe, opowiadała o Emmie, wybitnie zdolnej i obdarzonej delikatną urodą dziewczynce, która po utracie rodziców przenosi się do posiadłości zarządzanej przez dwie oschłe ciotki i tam usiłuje odnaleźć miejsce wśród rówieśników, jednocześnie rozwijając w ukryciu

i wbrew ciotkom swoje talenty. Liliana utożsamiała się z główną bohaterką całym sercem.

Jej palce odwracały kolejne kartki poplamione herbatą, pokreślone ołówkiem i pozaginane przez kilka pokoleń czytelniczek. Gdyby powieści zużywały się wskutek czytania, ta rozpadłaby się w proch pod jej spojrzeniem. Hrabina d'Opal nie trzymała w zasięgu Lily takich ksiązek – nie były dość pouczające – natomiast pani Thorpe nie pozwalała tylko czytać w nocy i za karę chowała je wysoko na szafę, gdzie nie pomagał nawet stołek; prostota i skuteczność tego rozwiązania doprowadzały dziewczynkę do furii.

Jakieś cztery rozdziały później, po opisie wystawnego obiadu, w którym bohaterka brała udział, Liliana uznała, że przydałoby się coś na ząb.

Wkrótce, osłaniając magiczną lampkę dłonią, skradała się po schodach na parter. Jej długi cień mieszał się z panującą w rezydencji ciemnością. Zdawało jej się, że skrzypienie drewnianych stopni niesie się przez cały salon, ale wiedziała, że to tylko złudzenie, wyolbrzymione przez jej własny wrażliwy słuch. Pod stopami czuła chłodną podłogę i zaczynała żałować, że nie włożyła kapci.

W oddali rozległy się kroki.

Liliana zamarła. Zgasiła lampkę i wetknęła ją za pasek pidżamy, czując, jak przyspiesza jej puls. Wiedziała, że w salonie zapewne jest pani Wanda albo pan Marcus, ale rozbudzona wskutek nocnej lektury wyobraźnia podpowiadała jej upiorne scenariusze. Skupiła się, chłonąc dźwięki. Ktokolwiek to był, podobnie jak Lily starał się iść jak najciszej.

Czy pani Wanda albo pan Marcus skradaliby się we własnym domu?

Wstrzymała oddech. Później powoli wypuściła powietrze z płuc. Nie widziała zbyt dobrze w ciemnościach, jej oczy nie miały żadnych nadludzkich właściwości. Ale w salonie nie było zupełnie ciemno. Smuga światła wydobywała z mroku jasny prostokąt dywanu; winowajca znajdował się w kuchni i niestarannie domknął za sobą drzwi. Docierały stamtąd znajome, ale niepokojąco stłumione dźwięki: stuk szafki, może brzęk szkła. Lilianie wydawało się, że wyczuła magię.

Margueritte? Niemożliwe. Więcej czasu spędzała, odpoczywając w swoim pokoju, niż na jakichkolwiek innych zajęciach. Od niedawna spacerowała po ogrodzie, ale wciąż kosztowało ją to wiele sił. Co jakiś czas znikwała na kolejnych

badaniach w avalońskim szpitalu. Nie rzucałyby chyba zakłęb przeciwposłuchowych. Nie z jedyń sprawną ręką.

Krok za krokiem Lily przekradła się w stronę półotwartych drzwi. Zatrzymała się wreszcie i ostrożnie zerknęła do środka.

– Cholera – rozległ się charakterystyczny skrzekliwy głos.

Dziewczynka zobaczyła chudą postać w szlafroku zarzuconym na nocną koszulę i z czarnymi półdługimi włosami sterczącymi nad głową jak niedokończone gniazdo. Lewą rękę wetknęła do szafki, która znajdowała się nad jej głową, i teraz zsuwała z półki okazańy szklany słoik. Pod sufitem unosiła się Kula Światła.

Lily wstrzymała oddech. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jej nauczycielka – która do tej pory nie nauczyła jej ani jednego zakłęcia – właśnie kradła słodcyce z kuchni Wandy Thorpe.

Słój wypełniony po brzegi ciastkami z czekoladą chwiał się na jedynej dłoni Meg. Nie mogła sobie pomóc kikutem, balansowała więc jak akrobatka, powoli opuszczając rękę. Liliana zamarła, niezdolna nawet drgnąć.

Wreszcie Margueritte usiadła na zydelku, przytrzymała zdobyc kolanami i w dużym skupieniu zaczęła odkręcać wieczko. Po chwili uniosła głowę.

– Równie dobrze możesz wejść i mi pomóc – rzuciła w stronę drzwi.

– Meg...?

– No, chodź. – Klepnęła dłonią w stołek obok. – Pewnie umiesz to zrobić lepiej niż ja.

Po chwili Lily siedziała obok swojej nauczycielki, pogryzając wielkie okrągłe ciastko z kawałkami ciemnej czekolady. Popatrywała na Meg, która wydawała się całkiem zadowolona. Dziewczynka czuła się winna za siebie i za nią. Ale ciastka były dobre.

– Chrupkie na zewnątrz i miękkie w środku – stwierdziła Margueritte. – Ciekawe, jak ona to robi. Może kiedyś się nauczę, w gruncie rzeczy to prosta alchemia. Dlaczego nie śpisz? Hm?

– Czytam książkę – przyznała Liliana. – Dlaczego ty nie śpisz?

– Mam jeszcze do napisania parę listów – mruknęła czarodziejka. – Pustka niech ich weźmie, na ostatnią chwilę, nie mieli niczego lepszego do roboty. – W jej oczach

pojawił się błysk. – Właściwie, skoro już tu jesteś, po co odwlekać do rana. Potrzebuję twojej pomocy przy pewnym zadaniu.

\* \* \*

Na biurku w pokoju Margueritte piętrzyły się stosy papierów i książek. Przenośna magiczna kula rzucała blade światło na stół; wewnątrz Lily dostrzegła znany już obraz domu na wrzosowisku. Po chwili zdała sobie sprawę z kolejnego szczegółu. Odwiedzając komnatę Meg w Bretanii, przywykła, że unosił się w niej zapach leków. Teraz nie wyczuwała niczego podobnego. Dostrzegła pojedynczy zakręcany pojemniczek, schowany za grzbietem książki, ale najbardziej eksponowane miejsce na blacie zajmowały trzy kubki po kawie. Jakimś cudem pośród tego bałaganu zwinęła się w kłębek Śliwka, czarna kotka Margueritte. Kiedy czarodziejki weszły do pokoju, zaszczyliła je przelotnym spojrzeniem i wróciła do spania.

– Pracujesz w nocy.

– Zdarza się.

– Dłatego tyle śpisz za dnia. Myślałam, że źle się czujesz. – Lily rozejrzała się wokół. Meg nie sprzątała u siebie ze szczególną starannością, ale to nie był pokój obłożnie chorego człowieka. Zaczynała kielkować w niej nadzieja. Przez cały okres pobytu w Bretanii obawiała się, że Margueritte skończyła karierę czarodziejki i mentorki; że po powrocie do Arborii ktoś się wreszcie zorientuje, jak się sprawy mają, i wyśle ją na bezterminowy urlop zdrowotny. A wtedy hrabina d’Opal znajdzie już sposób, żeby ściągnąć dziewczynkę z powrotem do siebie.

– Coraz mi lepiej. W Avalonie mają dobrych lekarzy.

– Ukrywasz swój stan zdrowia. – Liliana zmarszczyła brwi. – Chcesz, żeby uważano cię za bardziej schorowaną, niż jesteś. Dlaczego?

– W tym kłopot – skrzywiła się Meg – że nie wolno mi przecholować ani w jedną, ani w drugą stronę. Na przykład jutro powinnaś dać z siebie wszystko, aby udowodnić, że mimo pewnych niedogodności w stu procentach wypełniam wobec ciebie obowiązki nauczycielskie.

– Na razie niczego mnie nie uczysz.

– Tak? – Margueritte uniosła brew.

Zapadło milczenie.

– Posłuchaj, Lily. – Meg wręczyła jej cienką walizkę rozmiarów aktówki, pokrytą listwami mahoni, z delikatnymi okuciami ze srebra. – Jutro rano otworzysz składany dom, pan Marcus Thorpe powie gdzie. Znasz hasło. Ja muszę się wybrać do Avalonu na ostatnią operację.

– Myślałam, że to już wszystko...

– Tę odwlekałam ćwierć wieku. Kosmetyczny drobiazg; skoro już mnie kroją, i to na koszt państwa, powinnam skorzystać. Weź to – podniosła z biurka niedużą książkę – i sprawiaj wrażenie pochłoniętej pracą domową.

Lily zerknęła na okładkę. *Podstawowe Techniki Magiczne*.

– Przecież ja to już znam.

– Wiem. Tym lepiej.

– Meg, ale... dlaczego?

– Dlatego, moja droga, że cię porwałam.

– Jak to?

– W normalnych okolicznościach uczeń w twoim wieku... – Meg zachnęła się, przypominając sobie najwyraźniej, że Źródło Lily zostało przedwcześnie aktywowane – na twoim etapie nauki... odwiedza pracownię dwa–trzy razy w tygodniu. Uczęszcza na zajęcia. Mieszka u rodziców lub w internacie. Na dłuższe ekspedycje zaczynamy zabierać młodzież po ukończeniu szesnastego, siedemnastego roku życia. W zeszłym roku udało nam się przekonać Komisję do Spraw Alokacji Talentów, że powinnaś znaleźć się jak najdalej od hrabiny d’Opal. Ale miałam pisać raporty, mieli cię wizytować. Tymczasem zniknęliśmy nie wiadomo gdzie, nie zostawiając żadnej możliwości kontaktu. Mimo interwencji Weylanda niektórzy uważają, że porwałam ostatnią dziedziczkę Branche d’Opal. Przez ostatni miesiąc zajmuję się między innymi próbami załagodzenia sytuacji. Dziś wieczorem przyjaciółka uprzedziła mnie o niezapowiedzianej kontroli...

– Aha...?

– Mój stan zdrowia stanowiłby doskonały pretekst, żeby przydzielić cię komuś innemu. – Meg zerknęła krzywo na kikut prawej ręki. – Wystarczy udowodnić, że nie mogę już uczyć cię magii.

– A możesz uczyć mnie magii? – spytała cicho Liliana.

Lady de Breville ściągnęła usta, przypatrując się jej uważnie.



– Na razie nie zamierzam.

– Ale dlaczego?! – W głosie Lily pobrzmiwała rozpacz. – Jestem smokiem! Mam aktywne Źródło! Już się nie boję własnej mocy, naprawdę! Możesz mi powiedzieć, dlaczego chcesz mnie cofać w rozwoju?!

– Później. – Margueritte stłumiła ziewnięcie. – Porozmawiamy po moim powrocie.

– Meg...

– Ciekawe, którą ciotką teraz zostałam. – Czarodziejka ziewnęła już całkiem jawnie. – Euzebią czy Florą.

Liliana zaniemówiła, zastanawiając się, skąd Margueritte wie o jej doborze lektury. Później sobie uświadomiła, że nie trzeba detektywa, żeby dostrzec, jak dziewczynka chodzi z książką pod pachą przez pół dnia, usiłując czytać nawet przy posiłkach.

Meg puściła do niej oko.

– Kiedyś byłam Janką z wrzosowisk – dodała. – Wszystkie tomy powinny leżeć na tej samej półce.

\* \* \*

Słońce opromieniało piaszczystą ujeżdżalnię, gdzie pod opieką pracowników stadniny truchtały konie. Lily stała na podwórzu z książką i walizką ze składanym domem pod pachą, wypatrując Marcusa Thorpe’a, który jak zwykle wstał przed świtem. Źdźbła tłuczonej słomy unosiły się w powietrzu, wzbijane podmuchami wiatru. Zima pod Avalonem była znacznie łagodniejsza niż w Ombre i teraz, pod koniec lutego, lekko wilgotna ziemia uwalniała woń wysypanego podczas mrozów obornika.

Niektórzy jechali w teren; pokrzykiwania i parsknięcia niosły się w dal. Inni trenowali wierzchowce na ujeżdżalni. Lily dostrzegła starszą siostrę Vincenta, panią Helenę Sterling, która brała przeszkodę za przeszkodą na smukłym siwku.

Dziewczynka wiedziała, że państwo Thorpe założyli stadninę i na dobre przeprowadzili się do Alisinnor, kiedy ich syn miał dziesięć lat, co oznaczało, że Vincent też się naprzrzeczał w życiu końskiego nawozu. Jakoś jej to nie dziwiło.

Nie zbliżała się do stajni. Odkąd przemieniła się po raz pierwszy, okazało się, że jej obecność budzi w koniach niepokój. Te bardziej nerwowe mogły się spłoszyć,

inne zaczynały zachowywać się krnąbrnie. Gdy podróżowała dorożką, trzymała się z daleka od zwierząt na postojach; udawała, że to ona czuje przed nimi lęk. W sumie nic dziwnego – czy smok powinien jeździć konno? Ale i tak było jej przykro.

Marcus Thorpe, któremu przekazano tylko, że magiczny talent zmienia zapach dziewczynki, powiedział, że coś na to poradzi; na razie kazał jej nosić stary kożuszek jednej z uczennic. Wątpiła, czy to pomoże.

Wreszcie z daleka dostrzegła wysoką sylwetkę Marcusa. Chociaż dawno skończył sześćdziesiąt lat, z daleka nie rozpoznałaby jego wieku, poruszał się żwawo i zwinnie. Jasne włosy dopiero zaczynały mu siwieć. Zamachała do niego; dał znak dłonią i ruszył w stronę dziewczynki, prowadząc za uzdę niewysokiego, ale masywnego wierzchowca w czarne kropki na białym tle. Lily wiedziała, że taka maść nosi nazwę tarantowatej. Poza tym koń był brzydki, miał krzywe nogi i wyjątkowo wredny pysk. Na pewno nie urodził się tutaj, w stadninie; prawdopodobnie pani Wanda odkupiła go od dorożkarzy. To się czasem zdarzało. Po padoku zawsze spacerowało kilka szpetnych i trudnych w obyciu, ale zadowolonych z życia chabet, które po latach ciężkiej pracy nie chodziły pod siodłem.

Ale ten był osiódłany.

– Liliano, to jest Fenkuł – powiedział pan Marcus Thorpe i rozpromienił się w szerokim uśmiechu. – Fenkuł, to Liliana.

Koń prychnął, odsłaniając żółte zęby. Lily odruchowo osłoniła twarz, żeby uniknąć oplucia.

– Nie boi się mnie – zauważyła.

Pan Marcus Thorpe skinął głową.

– Fenkuł to stary, leniwy spryciarz. Odziedziczył odwagę po zimmokrwistym ojcu z linii arboriańskich wierzchowców bojowych, a łakomstwo i upór po matce, pierwotnym koniku cesarskim. Nie boi się niczego. Weź tę marchewkę; przekup go, a potem cię na niego wsadzimy. Jutro będziesz siodłać go sama. Konie nie są takie głupie; kiedy pozostałe zobaczą, że na nim jeździsz, też się uspokoją. Tylko uważaj, Fenkuł wymaga pracy.

– To znaczy?

– Nieco bardziej zdecydowanie prezentuje własne zdanie niż większość koni do nauki jazdy. Trzeba zachować pewność siebie, żeby nad nim panować. – Starszy

pan Thorpe poklepał Fenkuła po szyi. – Ale dziś zarezerwowałem dla ciebie parę godzin na szkolenie. Będę cię nadzorował.

– Właściwie – Lily pokazała składany dom – Meg powiedziała, że pan wie, gdzie to postawić.

Marcus popatrzył na walizkę i uniósł brwi.

– Sądziłem, że rozłożycie go razem.

– Ale Meg już wyjechała – odparła Lily. – Znam hasło.

– O ile mi wiadomo, trzeba jeszcze nasycić jakieś runy magią. – Marcus poskrobał się w brodę. – Inaczej dom zaraz się złoży. Wiesz, co robić?

Liliana otworzyła usta i od razu je zamknęła.

– Vincent mnie uczył... – zaczęła niepewnie. Na jej policzkach wykwitły rumieńce, kiedy sobie przypomniała, jak przechwalała się przed nauczycielką, że rozpoznaje wszystkie runy używane przy stabilizacji domu. Margueritte wydawała się słuchać jednym uchem, ale najwidoczniej dobrze to sobie zapamiętała. Kłopot w tym, że Lily nie bardzo. Gdy obserwowała Vincenta, wszystko wydawało się jasne i proste, ale od tamtej pory minęło wiele miesięcy.

Pół roku temu, gdyby wplątała się w taką sytuację, chyba umarłaby ze wstydu. Teraz poczuła złość. Dlaczego niby Meg uważa, że ma prawo nią manipulować?

– Zostawiła mnie tutaj bez pomocy, zupełnie samą! – fuknęła, zanim zdążyła pomyśleć, że zachowuje się nieuprzejmie.

– No, niezupełnie – zauważył trzeźwo starszy pan Thorpe. – Ja tutaj jestem. I Wanda jest. I cała stadnina. – Zatoczył ręką krąg. – Lepiej zabierzmy się do pracy. My może nie szpiegujemy dla innych czarodziejów, ale co do reszty, zwłaszcza przyjezdnych, nie dałbym sobie za to ręki uciąć.

\* \* \*

Na tyłach domostwa, za warsztatem i resztką starego jabłoniowego sadu, znajdował się spłachetek piaszczystej ziemi, gdzie nie rośło nic prócz zielska. Kiedyś, w samych początkach istnienia stadniny, mieściła się tam stara ujeżdżalnia. Obecnie część terenu zajął pękaty kopiec – ziemianka na warzywa, którą o tej porze roku sukcesywnie opróżniano; tuż obok stał przykryty płótnem wózek. Zostało jednak dość miejsca na willę Meg.

Teraz Lily, stojąc na ścieżce przed wejściem, wpatrywała się w składany dom otoczony ogródkiem. Przez ostatnie pół roku otwierano go zaledwie kilka razy, ale prezentował się równie dobrze jak wtedy, gdy zajmował się nim Vince. Starannie wypielone bujne grządki ziół robiły wrażenie na tle bladego arboriańskiego przedwiośnia. Liliana potrafiła odróżnić rukolę od bazylii i mniej więcej na tym się kończyły jej umiejętności zielarskie, ale miała nadzieję, że z uprawą roślin pomoże jej Margueritte... „Nie, nie z jedną ręką – zreflektowała się. – Może zatrudnią jeszcze kogoś albo zabiorą ze sobą służbę Meg, albo...”. Zaciśnęła pięści. Trzeba się skupić. W pierwszej kolejności należy uruchomić runy pod schodami. A może na framugach drzwi? A jeśli pomyli kolejność i willa częściowo się złoży? Co się robi w takich przypadkach?

Na jednej z wieżyczek przysiadła sroka i zakrzeczała z uciechą. Liliana odwróciła się, szukając wsparcia. Marcus usadowił się na stołku rybackim w bezpiecznej odległości od chatki czarodziejki i obserwował. Koń Fenkuł, zadowolony z braku obowiązków, skubał trawę nieopodal. Proces rozkładania domu nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

– Masz czas – powiedział pan Thorpe. – Mojemu synowi złożył się dopiero po godzinie.

– Jak to? Vincentowi?!

– Aha. Nie był wiele starszy od ciebie. Zapomniał o jakimś... – Marcus Thorpe zakręcił palcem, jakby rysował w powietrzu. – Wanda zna się na takich rzeczach, nie ja. Jeśli utkniesz, zawsze możemy ją poprosić o wskazówki.

Liliana zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem wyprostowała się dumnie. „Powinnam przestać się do niego porównywać, przecież Meg na pewno miała innych uczniów. A poza tym i tak bardziej przypominam Emmę. Zaniedbany geniusz, pozbawiony wsparcia dorosłych i nauki, jakiej potrzebuje. Tak, ona by mnie zrozumiała”.

– Spróbuję sobie poradzić sama.

– Jasna sprawa. – Starszy pan wyłowił z przepastnych kieszeni spodni gazetę zwiniętą w rulon. – Będę tutaj, gdyby coś się działo.

Weszła do środka. Panował tu lekki rozgardiasz; Margueritte zostawiła na stole w pokoju dziennym otwartą książkę i stertę luźnych notatek, a przez żółtą kanapę przerzuciła pled lekko pachnący kamforą. Liliana przyjrzała się uważniej. Księga,

nie książka, foliał prosto z Bretanii, oprawny w tłoczoną skórę, ręcznie kaligrafowany, iluminowany płatkami złota i farbami, które zapewne wytwarzano ze sproszkowanych minerałów. Obok stał pusty kubek po kawie.

Przerzuciła parę kartek. Nie pamiętała, kiedy do tego doszło, ale rozumiała już bretański dość dobrze, żeby w nim płynnie czytać. Poza tym знаła ten manuskrypt. Genealogia rodów Bretanii. Spędziła nad nim wiele godzin jeszcze przed powrotem do Arborii, czytając go obłożnie chorej Meg.

Lily z namysłem zamknęła foliał. Prawda, teraz pamiętała, na jakie pomniejsze gałęzie dzielili się bretańscy de Rubis, ale w niczym jej to nie pomagało, jeśli chodzi o składany dom. A przecież stabilizowała go razem z Vincentem trzykrotnie; za pierwszym razem tylko przyglądała się jego pracy i słuchała wyjaśnień, ale za drugim i trzecim to ona nasyciała runy magią.

Podeszła do framugi drzwi wejściowych i znalazła wypukłe runy; każda z nich była skrótem wzoru zaklęcia. Dotknęła drewna. Kiedy poczuła znajomą gładką powierzchnię, pojawiło się wspomnienie.

– Druga – powiedziała. – Drzwi wejściowe były drugie.

Wyciągnęła z kieszeni kartkę i ołówek, a potem obiegała cały dom, dotykając ścian. Odszukała znaki pod schodami, w kuchni, w łazience i kilku innych miejscach. Wkrótce okazało się, że wcale nie potrzebuje kartki. Już jej to nie dziwiło. Przecież wiedziała, że ręce mogą pamiętać. Uczyla się gestów używanych podczas rzucania zaklęć. Podejrzewała zresztą, że odebrała już więcej wykształcenia niż Vincent, kiedy przed laty rozkładał dom po raz pierwszy. Przypomniała sobie, że nawet jeśli popełniła błąd pod koniec sekwencji znaków, przenośna rezydencja wytrzyma drobne pomyłki.

Ostatnie runy znajdowały się na framudze drzwi gabinetu Margueritte. Młoda czarodziejka wcale nie musiała tam zaglądać, żeby dopełnić obowiązku. Ale mogła.

Już kubek po kawie powinien jej podpowiedzieć, że dom otwierano podczas pobytu w Arborii. Jednak dopiero widok częściowo rozpakowanych przesyłek ostatecznie ją przekonał, że lady de Breville wcale nie zamierza przechodzić na emeryturę. Wręcz przeciwnie, spiętrzone na biurku eksponaty sugerowały, że jej urlop zdrowotny wkrótce dobiegnie końca. Liliana doskonale wiedziała, że nie powinna po nie sięgać – Meg na pewno się zorientuje – ale nie mogła się powstrzymać. W metalowej kasecie o błękitnej, ozdobnie grawerowanej

powierzchni rozpoznała akumulator magicznej energii. Podniosła go i ostrożnie odłożyła z powrotem. Był niewiele większy niż zwykły notatnik, ale ważył chyba ze trzy kilo. Wzdłuż jego krótszej krawędzi umieszczono zagłębienia na palce, w tej chwili zaklejone taśmą z nawoskowanego materiału, zadrukowanego symbolami Arte Benare.

Obok leżała skrzynka na różdżki produkcji firmy z Kebra Negast, zapieczętowana podobnie jak akumulator. Liliana знаła takie zestawy z katalogów – w środku zapewne znajdowało się kilkanaście świeżo naładowanych rdzeni, każdy zawinięty w osobny futerał i zabezpieczony przed przypadkowym uruchomieniem za pomocą uroków blokujących. Żeby się o tym przekonać, musiałaby zerwać pieczęć, więc na razie zostawiła różdżki w spokoju.

Natomiast w sześciennym skrzynce z jasnego drewna, pokrytej wielobarwną mozaiką pieczęci i ostrzeżeń, że przesyłkę należy szczególnie ostrożnie traktować, mogło się znajdować tylko jedno. Lily poczuła, jak rośnie w niej entuzjazm. Kathryn już ją uczyła, jak się posługiwać magicznymi kulami. Pokazała jej podstawowe funkcje, a później razem zapisywały obrazy bretańskiej architektury. Czy Margueritte kupiła dla niej kulę? A jeśli nie, to czy przynajmniej da się namówić na oddanie tej starej?

Na podłodze Liliana dostrzegła otwarte pudło z automagicznym dziełem, które już dobrze знаła, wrzuconym byle jak do środka. Czarna aksamitna tkanina była chłodna w dotyku i jakby lekko naelektryzowana; zwinięta zajmowała znacznie mniej miejsca, niż powinna. Lily wyczuwała pod opuszkami palców ślady magii ostatniego użytkownika. Płaszcz, który podobno należał kiedyś do Lucjusza Szalonego. Ciekawe, co lady de Breville zamierza z nim zrobić?

– Lily! Liliana!

Dziewczynka rozpoznała głos Wandy Thorpe, odłożyła płaszcz i starannie ustawiła przedmioty na biurku, tak aby nikt się nie domyślił, że ich dotykała. Następnie szczęśliwa, że tak dobrze jej poszło z rozkładaniem domu, a perspektywy na przyszłość malują się znacznie bardziej interesująco, niż się spodziewała, w rącznych podskokach pobiegła do wyjścia. Może pani Wanda przyniosła kanapki; najwyższa pora, bo po półgodzinie spędzonej na praktykowaniu magii Lily odczuwała iście smoczy apetyt. A może przyjechali ludzie z Komisji. W obecnym stanie ducha była przekonana, że jakoś sobie z nimi poradzi.

Uchyliła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. W pierwszej kolejności dostrzegła odświętnie ubraną Wandę, w niemodnej, ale gustownej sukni koloru burgunda, z wzorzystym szalem zarzuconym na ramiona i włosami starannie upiętymi w kok, zaraz jednak zwróciła uwagę na towarzyszących jej nieznanym. Przybyszów było dwoje – chudy, krzywonogi mężczyzna i kobieta solidnej budowy, ubrana w szary kostium, tak neutralny w kroju i stylistyce, jakby zależało jej na barwach maskujących.

Lily przyjrzała im się uważnie, usiłując rozpoznać po twarzach, z jakim rodzajem dorosłych ma do czynienia. Życzliwi czy pogardliwi? Sztynni czy otwarci? Traktują dzieci jak ludzi czy hołdują zasadzie, że należy je widzieć, ale nie słyszeć? Kiedy była młodsza, zdawało jej się, że dorośli to odmienny gatunek, równie groźny i nieprzewidywalny jak pustkostwory. Nadal od czasu do czasu odnosiła takie wrażenie. Nawet gdyby przybysze nie mieli nic wspólnego z hrabiną d'Opal, nie zamierzała zbyt pochopnie ufać żadnemu z nich.

Czas się zakuć w zbroję dobrych manier. Liliana wciągnęła powietrze w płuca, wyprostowała się i ujawszy sukienkę w palce, zeszła ze schodków, skromnie spuszczać wzrok. „Jestem Smokiem Bretanii – pomyślała. – Młodym geniuszem, jak Emma ze Złotego Dworku. Doradzałam królowej, walczyłam ze złem i ratowałam świat od zagłady. Mogłabym przeliczać takie wzory, że wasze zaklęcia są przy nich dziecinną zabawką! Będę dla was łaskawa, ale lepiej nie wprowadzajcie mnie z równowagi”.

\* \* \*

Wizytatorzy z Komisji do Spraw Alokacji Talentów nazywali się Seth Barker i Fabienne coś tam de Branche de Jaspe – Liliana nie zapamiętała nazwiska. Zapewne nie mieli nic wspólnego z półaktywnym urzędnikiem, agentem Weylanda, który przed rokiem wyciągnął ją ze szponów hrabiny. Dziewczynka wiedziała, że Arcymag zdobył w Komisji pewne wpływy, ale nie kontrolował jej całkowicie.

Przywitali się, wyrazili ubolewanie z powodu nieobecności Margueritte i zaproszeni przez Lily weszli do składanego domu. Gdy znikali za drzwiami, Wanda Thorpe leciutko ściągnęła usta i założyła ręce na piersi, a potem wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Lilianą. Dziewczynka ledwo zauważalnie skinęła głową, czując, jakby w jej sercu roztapiało się coś małego i kolczastego, z czego wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

„Wizytacja przebiegnie pomyślnie. Uda się. Musi się udać”.

A potem sobie przypomniała, że na samym środku salonu zostawiła wielką iluminowaną księgę z Królestwa Bretanii, którego istnienie nadal stanowiło ścisłą tajemnicę państwową.

– Przepraszam! – Podkasała spódnicę i rzuciła się do środka, przeskakując kilka schodków naraz. Omal nie potknęła się o własne pantofelki. Pan Barker uchylił się w porę, odruchowo tuląc wielką skórzaną teczkę. Fabienne nie zdążyła i oberwała łokciem.

– Na Wędrowca... – zaczęła urzędniczka z oburzeniem, ale Liliana już ją wyminęła. Dramatycznym ślizgiem doskoczyła do stolika i jedną ręką złapała leżące tuż obok *Podstawowe Techniki Magiczne*, a drugą chwyciła kubek po kawie. Potem położyła podręcznik na bretańskiej księdze.

– Młoda damo, co ty sobie wyobrażasz...?

– Serdecznie przepraszam. – Lily odwróciła się do pani de Jaspe z uśmiechem przyklejonym do twarzy i kubkiem w rękach. Ustawiła się tak, aby zasłonić książki. – Zupełnie zapomniałam, że zostawiłam tutaj okropny bałagan.

– Pokaż mi to. – Fabienne wyjęła kubek z dłoni dziewczynki. – Moja droga, ile ty masz lat?

– Dwanaście – rzucił półgębkiem Barker. – Niech cię nie zmyli jej wzrost. – Błyskawicznie wsadził nos do fusów i niuchnął. – Niezły gatunek, swoją drogą.

– Tym bardziej. Dziewczęta w tym wieku stanowczo nie powinny zażywać stymulantów. Nadmierna ekscytacja jest co najmniej niewskazana. Czegoż znów cię uczy pani de Breville?!

– Szanowna pani – Wanda Thorpe energicznym krokiem wmaszerowała do salonu – chociaż pracownicy Gildii Magów zawsze są tutaj mile widzianymi gośćmi, uprzejmie proszę nie podnosić głosu na moją podopieczną.

– Oczywiście – zreflektowała się urzędniczka. – Proszę wybaczyć. Ocena przebiegu nauki młodych czarodziejów należy do moich obowiązków. Wiem, że wbrew zwyczajowi Liliana nie znajduje się pod kuratelą rodziny, a lady de Breville nie powinna się zajmować wychowywaniem uczniów, tylko przekazywaniem wiedzy. Przywykła zresztą do znacznie starszych pomocników.

Lily podejrzliwie zerknęła na Fabienne. Wiele okrągłych słów, ale sens jednoznaczny. Wizytatorka jest sojuszniczką hrabiny Oliwii. Skorzysta z każdego



pretekstu, żeby podważyć metody Margueritte.

– To prawda, ale pani podejrzenie jest niesłuszne – spokojnie odparła Wanda Thorpe. – Lady de Breville nie częstuje uczennicy swoją kawą. Liliana otworzyła dom dziś rano i nadal go porządkujemy. Bądź co bądź, nie zapowiedziano państwa wizyty, zatem nic dziwnego, że nie zdążyliśmy się należycie przygotować. Proszę pozwolić. – Wzięła kubek.

„Milion punktów. Wielbę panią, pani Thorpe” – pomyślała Lily.

– To ja zabiorę książki do gabinetu. – Dźwignęła obydwa tomy. – Zaraz wracam.

Seth Barker podniósł dłoń jak uczeń. Śledził iluminowaną księgę wzrokiem i dziewczynka przez krótką, straszną chwilę bała się, że będzie chciał ją obejrzeć. – Pani Thorpe, jeśli to nie kłopot, poproszę taką kawę.

– Oczywiście. A pani?

– Ja podziękuję. – Fabienne usiadła na żółtej kanapie. Trzymała notatnik obleczony w tłoczoną skórę. – Panno de Diego Otero, po powrocie proszę się przygotować na kilka pytań.

Liliana spędziła parę minut w gabinecie, upychając po kątach książki, płaszcz Lucjusza oraz wszystkie inne podejrzenie wyglądające przedmioty; wreszcie z westchnieniem ulgi znalazła klucz wrzucony do pustego kałamarza. W całej willi rozchodził się aromat świeżo zaparzonej kawy. Wszystko wskazywało na to, że pani Thorpe nie po raz pierwszy znajdowała się w składanym domu i świetnie wiedziała, jak się posługiwać automagiczną kuchnią. Wrażliwe uszy dziewczynki wychwytywały szum gotującej się wody i brzęk porcelany. Obierając klucz do pokoju z zaschniętego tuszu, zastanawiała się, czy cokolwiek jeszcze zostało z zapasów zrobionych przez Vincenta i czy można liczyć na gorącą czekoladę.

Z salonu dobiegały ją strzępy rozmowy. Lily nie miała wyrzutów sumienia, jeśli chodzi o podsłuchiwanie – zwłaszcza że sprawdzało się jako część strategii przetrwania jeszcze u hrabiny d’Opal. Wtedy nawet nie wiedziała, że jej słuch jest nadnaturalnie czuły, uważała się po prostu za sprytną. Teraz też wychynęła zza drzwi i odruchowo nadstawiła uszu. Od razu się zorientowała, że głosy są charakterystycznie stłumione. Zwykle zakłęcia przeciwpośluchowe nie stanowiły dla niej większej przeszkody, więc jeszcze bardziej się skupiła.

– ...wygląda lepiej niż w raportach – mówiła Fabienne. – Meg jest całkiem skuteczna. Chciałabym zobaczyć, czy mała zyskała już jakąś kontrolę nad Źródłem.

– Wiesz, że dla nas to nie ma żadnego znaczenia. I wiesz, że nie możemy sobie pozwolić na dalszą zabawę w chowanego – odparł pochmurnie Seth. – Dopóki nie spotkamy Szalonej Meg, nie możemy wręczyć jej decyzji Komisji. Przypominam, że nie odbiera od nas listów, zresztą bez potwierdzenia pogłosek dokument i tak będzie nieważny. Nalegasz na grę według reguł i tyle z tego mamy, że lady de Breville wciąż wyprzedza nas o krok.

Urzędniczka parsknęła i zniżyła głos tak, że Lily ledwo rozróżniała słowa.

– I co, mamy ją porwać?

– Nie zrobimy nic nielegalnego. Pojedzie w odwiedziny do babci, i tyle. Zmusimy Meg do konfrontacji. Chcesz, żeby dziewczynka z nią została? Rok nieobecności, Piętno, utrata kwalifikacji, jedna Pustka wie, co oni tam porabiali. Nie wyobrażam sobie, jak Weyland mógłby ją z tego wytłumaczyć. To wariatka!

– Pff, jak każdy mag w pewnym wieku. – Rozległ się odgłos odkładania z impetem notatnika. – Jedna warta drugiej. Moim zdaniem powinniśmy zostawić tę sprawę lady Oliwii, niech się sama z nią męczy.

– Ach tak. – Barker westchnął. – Daj mi znać, kiedy zamierzasz jej to powiedzieć. Odsunę się dość daleko, żeby nie wessała mnie implozja twojej kariery.

Liliana zdrętwiała już przy słowie „porwać”. Krew zapulsowała jej w uszach, ścisnęło ją w żołądku. W żadnym wypadku nie zamierzała potulnie wracać do hrabiny Oliwii. Oczywiście Królewski Smok Bretanii nie powinien bać się niczego, ale dziewczynka wiedziała, że gdyby zaczęła stawiać opór, urzędnicy szybko dadzą sobie z nią radę. Przynajmniej jedno z nich było półaktywne, a może i gorzej; pewnie noszą przy sobie ochronną automagię. Jeśli Lily spróbuje użyć smoczego ognia, osłonią się i odczekają, aż wyczerpie swoje niewielkie Źródło.

Dotknęła chłodnej powierzchni akumulatora magicznego. Gdyby go rozpieczętowała i wchłonęła zawartą w nim moc, mogłaby...

Otrząsnęła się. Nie, nie, jeszcze nie teraz. Może nawet nigdy.

Ale do Avalonu stąd jest całkiem niedaleko. I wszyscy wiedzą, gdzie się znajduje Centralny Szpital, w którym przebywa teraz Meg.

Plan. Trzeba natychmiast opracować plan. Nawet jeśli będzie bardzo desperacki, może zadziałać z zaskoczenia.

Nie czekając, aż dwójka urzędników skończy rozmowę, Lily wpełzła do szafki, do której wcześniej wetknęła płaszcz Lucjusza, pamiętając, że dostrzegła tam również poplamiony odczynnikami podróżny chlebak. W chwili, gdy pani Fabienne niechętnie przyznawała rację współpracownikowi, zgadzając się, że nie ma innego wyjścia, jak po cichu wykraść Lilianę państwu Thorpe, dziewczynka upychała w chlebaku – na zwiniętym w rulon czarnym aksamitnym płaszczu – fabrycznie nowy akumulator, pudełko z kulą i dwie losowo wybrane różdżki, które zgarnęła z półki. Jeszcze zostało trochę miejsca – dość dużo, żeby zmieściła się jedna gruba teczka, na przykład walizka z domem. Dobrze.

To nawet nie było tak, że Lily nie ufała pani Thorpe. Przez chwilę rozważała, czy nie powinna zdradzić jej treści podsłuchanej rozmowy. Ale wiedziała, że nawet najlepiej wykształcona wiedźma nie ma żadnych szans w starciu z czarodziejami. Liliana znów poczuła się zdana tylko na siebie. I nie miała lepszego pomysłu.

Kiedy weszła do salonu, pani Thorpe stawiała filiżankę z kawą przed panem Barkerem.

– Przepraszam, że to tyle trwało – powiedziała Lily. – Musiałam zabrać kilka rzeczy... yyy... do ...eee pracy domowej.

Fabienne ściągnęła lekko usta. Czyżby coś podejrzewała?

– Więc... no... – kontynuowała Lily – przypominałam sobie, że kiedy stabilizowałam dom, pomyliłam kolejność run przestrzennych. Eee... Deltę z Thetą. Próbowałam to teraz poprawić, ale wcale nie zrobiło się lepiej. I za pięć minut dom złoży się nam na głowy... to znaczy prawie, bo z ludźmi w środku nie może, więc... Jedna wielka katastrofa, której, ym, chciałabym uniknąć. Tak że ten...

Seth Barker zerknął tęsknie na swoją kawę ze śmietanką i westchnął.

– Wyborny eliksir, pani Thorpe. Jaka szkoda, że nie jest mi dane dopić go w spokoju.

Kłamała tak fatalnie, że nie uwierzyłaby sama sobie, ale dorośli byli pod tym względem dość głupi. Odetchnęła ostrożnie. Jeszcze wszystko mogło pójść źle. Plan był prosty. Liliana chciała wyprowadzić wszystkich gości, zapakować teczkę do chlebaka i twierdząc, że chce odprowadzić Fenkuła do stajni, uciec konno w stronę Avalonu. Ma się rozumieć, ten plan miał luki, również takie, których jeszcze nie przewidziała, ale wierzyła w swoją zdolność improwizacji.

Wyszli pospiesznie na zewnątrz i stanęli na ścieżce. Ogród należał do składanej willi i gdy dom się zwijał, ścieżka, trawnik, a nawet jabłonka zsuwały się w stronę ganku. Lily odbezpieczyła wzór na framudze drzwi wejściowych i drżącym głosem wydała rozkaz:

– Domku, złóż się!

Płaskie kamienie ścieżki zaczęły migotać pod jej stopami. Odsunęła się odruchowo, gdy trawa odpływała spod butów jak powracająca fala. Ściany i dach miniaturyzowały się i zapadały w sobie, okna stopiły na podobieństwo wosku, schody stały się płaskie jak kartka papieru. Wszystkie elementy domu wracały do mahoniowej teczki.

Oprócz jednej, jedynej ścianki i półtora metra kwadratowego podłogi w salonie.

Lily przez krótką chwilę nie rozumiała, co się dzieje, a potem uświadomiła sobie, że faktycznie zapomniała o jednym komplecie run. Tym, który odstraszał obce zwierzęta. A dom miał wbudowane zabezpieczenia, które nie pozwalały mu się złożyć, jeśli w środku było coś żywego, co miało układ nerwowy bardziej skomplikowany niż owad. Teraz leżała przed nią połowa otwartej skórzanej teczki, do której, przypięty zawiasem, przylegał zaledwie brzeg drugiej połowy. Teczka przechodziła płynnie w kilka cienkich jak karton, na wpół zminiaturyzowanych fragmentów architektury oraz jedną ścianę naturalnej wielkości, pokrytą tapetą w żółte róże, sąsiadującą z fragmentem wzorzystego dywanu. Na dywanie siedziała mysz polna z wytrzeszczonymi jak koraliki oczkami i rozglądała się wokół.

Zapadła głucha cisza.

Liliana dostrzegła, że pani Thorpe odwraca się do niej z pocieszającym spojrzeniem, Fabienne krzyżuje ramiona i krytycznie wydyma usta, a pan Barker stara się nie parsknąć śmiechem. Obejrzała się na Marcusa Thorpe'a, który tymczasem dźwignął się z rybackiego stołka i postąpił krok w stronę źle złożonego domu. Pani Wanda zaczęła coś mówić, ale dziewczynka nie słuchała. Drżały jej ręce. Plan już zaczynał się sypać, a jeszcze nawet nie ruszyła w drogę. Należało się spieszyć i mieć nadzieję, że żadne z nich nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi ich podopieczna. Mocno tuląc przewieszony przez ramię chlebak, szybkim krokiem ruszyła w stronę Fenkuła.

Koń do tej pory stał przy zakrytym plandeką wózku, skubiąc zieleninę. Incydent z domem sprawił, że zwierzę uniosło głowę i zastrzygło uszami. Podobnie jak

poprzednio, transformacja willi nie zrobiła na nim większego wrażenia.

– Lily! – dobiegło ją wołanie. Nie odwracała się. – Lily, nic się nie stało! Wracaj!

Liliana odruchowo poklepała kieszeń, w której schowała klucz do gabinetu Meg, a potem odwiązała zwierzę. Pasek ciężkiego chlebaka wpijał jej się w ramię, gdy korzystając ze wsparcia drabiniastego wozu wsadziła nogę w strzemień i mocno chwyciła siodło.

– Liliano de Diego Otero, wracaj tu natychmiast! – huknęła Fabienne tonem aż nazbyt kojarzącym się z hrabiną d’Opal.

To ją trochę rozproszyło. Fenkuł nie był kucykiem, chlebak ważył swoje, i ostatecznie Lily, przenosząc ciężar ciała nad siodłem, z impetem uderzyła nogą w koński zad. Co, dla odmiany, zrobiło na Fenkule piorunujące wrażenie.

Liliana cudem złapała za łęk i przywarła do siodła, gdy zadnie nogi konia wystrzeliły w górę. Zwierzę energicznie wierzgnęło raz, potem drugi. Dziewczynka leżała jak przyklejona do końskiego grzbietu, usiłując z niego nie spaść.

– Lily!

Dorośli biegli w jej stronę. „Oczywiście chcą mnie ratować” – pomyślała Lily, odrobinę pewniej sadowiąc się w siodle; chociaż bolały ją ręce, udało jej się nawet chwycić wodze. A potem zobaczyła, że Fabienne zaczyna gestykulować. Szlag, szlag, szlag!

Nie miała czasu się skoncentrować, a nawet gdyby mogła, nie znała przeciwnakłęk. Patrząc na Fabienne, czuła, jak ogarnia ją panika. Więc zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Głęboko wciągnęła powietrze w płuca i plunęła małą rozżarzoną kulką ognia w stronę nadbiegających urzędników. Nie tak, żeby trafić, ale żeby na chwilę ich zatrzymać.

Niestety, zupełnie nie uwzględniła tego, że Fenkuł może mieć własną opinię na temat jeźdźca zionącego ogniem. Oraz ognia w ogóle.

Rączo ruszyli naprzód.

Za sobą słyszała krzyki. Fenkuł galopował przez posiadłość, jakby zależało od tego jego życie, a ona z równą determinacją starała się utrzymać na końskim grzbiecie. Minęli już zabudowania; wierzchowiec jednym susem przeskoczył ogrodzenie, zapewne przypominając sobie czasy zwinnej młodości. Na pewno ktoś ich ścigał, może pan Thorpe – był znacznie sprawniejszym jeźdźcem i pewnie znalazł szybszego wierzchowca. Nie oglądała się za siebie, bo całą uwagę

poświęcała na to, żeby nie spaść. Nie miała pojęcia, dokąd jedzie; jeśli nieszczęśliwie spadnie, złamie sobie kark. Teren wokół Alisinnor obfitował w pagórki, strumyki i półdzikie lasy; już widziała przed sobą przerzedzoną linię drzew. Nagle zupełnie serio i wbrew sobie zaczęła życzyć panu Marcusowi Thorpe'owi, żeby jednak ją dogonił.

Nic takiego nie nastąpiło, może dlatego, że Fenkuł nie wybrał trasy, która wydawała się oczywista, i gdy minął pierwszy pagórek, zniknął pozostałym z oczu.

Lily kurczowo ścisnęła siodło, a stary koń rwał do przodu. Spod kopyt bryzgały resztki rozmiętego śniegu. Znalazszy wąską ścieżkę prowadzącą do lasu, odruchowo wszedł na właściwy tor. Dziewczynka przywarła znów do końskiej szyi; po obu stronach drogi migły czarne bezlistne gałęzie. Ręce zaczynały jej cierpnąć. Co jakiś czas próbowała zatrzymać konia, ale nie reagował; nie była pewna, czy Fenkuł pamięta, że ma na grzbiecie coś oprócz siodła – w końcu nie ważyła zbyt wiele. Wreszcie poczuła, że dłużej się nie utrzyma. Jeśli już spadać, to na własnych warunkach. Wyjęła stopy ze strzemion, puściła wodze i zsunęła się bokiem.

Z impetem wylądowała w błocie. Fenkuł pogalopował dalej.

Przez chwilę leżała pośrodku ścieżki, oszołomiona i przekonana, że na pewno połamała sobie wszystkie kości. Potem wsparła ręce o czarne błoto. Ostrożnie usiadła. Miała chyba stłuczone kolano, obtarty łokieć i kilka sińców w innych miejscach, ale upadła szczęśliwie, raczej nic się jej nie stało. Nie wiedziała, bo nikt jej tego nie powiedział, że dzieci są zwinniejsze niż dorośli; na jej miejscu starszy jeździec już dawno by spadł i nie wywinąłby się tak tanim kosztem. Chlebak leżał tuż obok, na wpół otwarty. Magiczne przedmioty, które zawinęła w płaszcz Lucjusza, nadal znajdowały się w środku.

Przyciągnęła go do siebie. Nagle usłyszała nad głową prychnięcie. Zerknęła ku górze; jej serce znów zaczęło szybciej bić. Może ją dogonili? Teraz, kiedy już wiedziała, że nie zginie od upadku, wcale jej się to nie uśmiechało. Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła znajomy paskudny pysk i poźółkłe krzywe zęby.

– Czyli jednak wiedziałeś, że na tobie siedzę – mruknęła.

Fenkuł prychnął i mięsistymi wargami złapał chlebak.

– Nie, nie, nie. Daj mi to! Nie mam kanapki. Nie mam jabłka!

Koń znów parsknął, rozbryzgując wokół krople śliny. Lily przypomniała sobie, że jeszcze ma w kieszeni sukienki kawałek marchewki od pana Marcusa.

Wyciągnęła ją zaraz; musiała szybko cofnąć dłoń, żeby Fenkuł nie odgryzł jej razem z warzywem.

– I rzeczywiście się mnie nie boisz – roześmiała się dziewczynka. – Jesteś za głupi, żeby zrozumieć, skąd się wziął ten ogień? Nie wiesz, że smoki nie powinny jeździć konno?

Smoki.

Państwo Thorpe na pewno już jej poszukują. Ktoś ją odnajdzie, niekoniecznie pan Marcus, mają na ujeżdżalni mnóstwo ludzi z osiodłanymi końmi. Nikt nie uwierzy, że Fabienne i Seth planują jej uprowadzenie. Być może Margueritte nie chciała jej uczyć magii, ale oficjalny koniec nauki z Meg będzie oznaczał powrót do hrabiny i zerwanie kontaktu ze wszystkimi, na których jej zależało. Przecież Rada Gildii nie przydzieli uczennicy Kathryn ani Vincentowi! Nie obronią jej – Oliwia d’Opal wykorzysta okazję, żeby zdyskredytować Arcymaga. A gdyby Belinde mogła coś zdziałać, urzędnicy nigdy nie pojawiliby się w Alisinnor. Liliana zacisnęła pięści. Była Smokiem Bretanii, ale jakie to znaczenie miało tutaj, w Arborii?

Smoki. Wyjęła z chlebaka mały, ciężki, metalicznie połyskujący prostokąt. Mieścił znacznie więcej jednostek niż jej młode, niewycwiczone Źródło. Akurat tyle, ile potrzebowała na przemianę. „Właściwie od samego początku brałaś tę możliwość pod uwagę, prawda?”

Z daleka nie było widać gospodarstwa państwa Thorpe. Mogła lecieć nisko, nad drzewami, trzymać się dolin i kierować w głąb lasu. Pagórki ją zasłonią. O ile oczywiście smoczyca Liliana zapamięta, czego chce mała Lily. O ile nie pochłonie jej świadomości na zawsze. Czy potrafi z powrotem stać się sobą? Poprzednio, jak jej powiedziano, stało się tak, dopiero gdy straciła przytomność. Może zacnie palić wioski? Pożre Fenkuła? Co robi smok, któremu nikt nie wskazał celu?

Zamknęła oczy. „*Wolność*” – szepnął głos gdzieś z głębin podświadomości. A potem drgnął w niej drugi impuls. „*Królowa*”. Więź. Smok, któremu nikt nie wskazał celu, podąży za więzią. Do Kathryn, do Avalonu. Bez rzucania żadnych zaklęć potrafiła wskazać, gdzie w tej chwili znajduje się królowa Aurora Pierwsza de Branche d’Argent. Poza tym smoczyca Liliana nie była bezmyślnym potworem. Przeciwnie, dysponowała inteligencją znacznie wyższą niż jej własna. Ale obcą – rozumowała w innych kategoriach niż ludzie. „Czy mogę zaufać swojemu drugiemu

ja, że nie da się zauważyć, schwytać, zastrzelić? Że gdy przyjdzie pora, z powrotem stanie się tylko małą dziewczynką, która zionie ogniem? Komu mam ufać, jeśli nie dam rady zaufać samej sobie?”.

Zdrapała paznokciami brzeg celofanowej taśmy, która zabezpieczała akumulator energii. Szarpnęła. Położyła rękę na wgłębieniach w kształcie odcisków palców. Cofnęła ją, zanim podjęła ostateczną decyzję.

„Chlebak”.

Przewiesiła pasek przez ramię z nadzieją, że tak jak ubranie i inne osobiste przedmioty bagaż również zostanie wchłonięty przez smoka. Znów przyłożyła palce do zimnej, metalicznej powierzchni. Iskierki magii trzaskały pod opuszkami. Ze strachu było jej równocześnie zimno i gorąco. Pobrała energię w jednym potężnym haucie, aż jej skóra rozjarzyła się delikatną poświatą.

A później przekreśliła pstryczek, który tkwił gdzieś w jej umyśle, i po raz drugi w życiu uruchomiła proces przemiany. Czuła, jak jej świadomość powoli się przekształca i rozszerza. Z początku prerażenie ścisnęło ją niczym lodowate kleszcze, ale i ono stopniowo zanikło.

Nie wiadomo, co zrobił koń Fenkuł. Jedno tylko jest pewne – kilka minut później nad Alisinnor w powietrze wzbił się smok. Jak perłowo lśniąca białoskrzydła smuga.

\* \* \*

Margueritte leżała bez ruchu, wsparta na poduszkach, obserwując bursztynowożłote świetliste symbole, które krążyły po zazębających się ze sobą orbitach nad jej głową. W regularnych odstępach czasu ogarniała ją fala ciepła.

Zamocowany na podłodze wokół jej łóżka runiczny krąg dywinacyjny działał już od kwadransa. Przy stoliku obok siedział młody medyk – technik magii i drapiąc się po koziej bródce, obserwował wyniki pojawiające się stopniowo na papierze kopiowym. Bliźniaczy tekst wyświetlał się w tafli niebieskiego kryształu, który tkwił w ścianie rzeźbionej szafy. Stała pod ścianą w niewielkiej odległości od łóżka. Prawie każdy większy szpital miał już przynajmniej jedną taką maszynę diagnostyczną, ale nadal były rzadkim zjawiskiem. W innych okolicznościach Margueritte chętnie zajrzałyby do środka i sprawdziła, jakie matryce, runy



i automagiczne podzespoły umieszczono wewnątrz, ale tym razem musiała pełnić funkcję obiektu badań, a nie badacza.

Traktowano ją w Centralnym Szpitalu z pełnymi honorami. Trzymano tu dla niej pokój – większość pacjentów spała we wspólnych salach – chociaż przyjeżdżała już tylko na jednodniowe pobyty. Teraz zostawiła w domu Śliwkę i już zaczynała się o kotkę niepokoić. Odkąd rozdzielono je na kilka miesięcy, zwierzątko było na nią obrażone i źle tolerowało dłuższe rozstania. Nie

mogła jej jednak zabrać do sali diagnostycznej, gdzie prawie wszystko, włącznie z nią samą, przykryto białymi, wygotowanymi i wykrochmalonymi prześcieradłami.

Szpital, a przynajmniej jego część przeznaczoną dla dotkniętych Piętnem, pierwotnie zbudowano jako zamek. Pokoje pacjentów mieściły się w okrągłych wieżach, co za bardzo jej się kojarzyło z Bretanią. Nie umiała się też odnaleźć w roli pacjentki. Nie lubiła bezczynności, a tutaj musiała głównie czekać, i to ją złościło. Poza tym taktyka, jaką przyjęła wobec urzędników Gildii, zanim uda jej się tę sprawę należycie rozwiązać, izolowała ją od społeczności czarodziejów. Meg przegapiła już dwa sympozja, na których jej zależało, a nie uczestniczyła w żadnym od ponad roku; jedno z nich organizowali przyjaciele Belinde, co oznaczało doskonałą wyzerkę i stosunkowo dobre wykłady. Była do tyłu z literaturą, do tyłu ze wszystkim, a jeszcze dodatkowo musiała opracować plan nauki dla Liliany. Oraz łamigłówek dla Artois. Lady de Breville wątpiła, żeby kapitan poradził sobie z formalną nauką na tym etapie, nie potrzebował zresztą awalońskich studiów. Należało sączyć wiedzę stopniowo i mimochodem.

Medyk podszedł do łóżka z plikiem kartek w garści i krótką komendą zakończył proces dywinacji. Symbole powoli zanikły, wchłaniane przez krąg w podłodze. Meg przechyliła się na lewy bok i uniosła na łokciu.

– I jak?

– Musi to zobaczyć doktor Everett – odparł. – Ale chyba nie będzie przeciwwskazań. Ile lat pani z tym zwlekała? Dwadzieścia?

– Dwadzieścia pięć.

– Ma pani szczęście, że Piętno nie zaatakowało krtani. – Przekartkował wyniki. – Nie możemy zaoferować pani żadnych zaklęć regeneracyjnych – wyłącznie gojące, więc po zabiegu proszę się oszczędzać. Dokładne zalecenia otrzyma pani od doktor Everett.

Drzwi sali dywinacyjnej otworzyły się ze skrzypieniem i do środka weszła niska, korpulentna kobieta w nonszalancko rozpiętym fartuchu zarzuconym na suknię. Z upierścienionymi rękami, grubymi okularami na łańcuszku i baterią spinek w ciemno farbowanych włosach nie wyglądała na chirurga, i słuźnie; Estera Everett znajdowała się na samym szczycie lekarskiej hierarchii i sama nie przeprowadzała operacji, od tego miała ludzi. Pod pachą niosła niedużą skrzynkę, prawdopodobnie wypełnioną narzędziami medycznymi.

Technik rozdzielił kartki i bez słowa wręczył jej jedną kopię wyników badań. Przyglądała im się dłuźszą chwilę, kiwając głową, później zwinęła w rulonik i schowała do kieszeni fartucha. Wymienili kilka uwag, po czym medyk opuścił salę. Doktor Everett przysunęła sobie stółek, usiadła.

– No, Margueritte, mam dla ciebie same dobre wiadomości – powiedziała. – Dwa ostatnie badania nie wykazały żadnych nowych guzków ani mutacji. Chwilowo mamy je opanowane. Powinnaś się zgłosić na kontrolę za pół roku i zobaczymy, czy czegoś jeszcze nie wyłapiemy, ale na razie jesteś wolna od choroby.

Wręczyła jej kartkę.

– Tutaj masz listę zabronionych zakłęb uzdrawiających.

Margueritte ściaęnęła usta, czytając nazwy.

– Niewiele zostaje – mruknęła. – Nic regenerującego... żadnych metamorficznych... same aseptyczne i proste gojące, mam rację? W terenie będzie trudno. Jak dłuęo mam czekać z wykształceniem nowej ręki? *Ad infinitum*?

Estera popatrzyła na nią sceptycznie. Margueritte się zachnęła. Wiedziała, że regeneracja kończyn należy do ściśle eksperymentalnej magii i udaje się tylko w nielicznych przypadkach, nawet bez żadnych przeciwwskazań. Ale skoro taka możliwość istnieje, należy spróbować szczęścia.

– Nie wiem. Nigdy wcześniej nie leczyłam pacjentki, u której zatrzymano postęę Piętna. Wszystkie zakłęcia regenerujące, zwłaszcza najsilniejsze, przyspieszają rozwój niewidocznych jeszcze ognisk choroby. Nie mam pojęcia, za ile lat stwierdę, że już nie musisz zjawiać się na kontrolach. Meg... jakby ci to... czy kiedykolwiek rozważałaś taką ewentualność, że powinnaś sobie darować pracę w terenie?

Meg zacisnęła lewą dłoń na pościeli. Oczywiście, że rozważała. Wyciągnęła nawet wnioski. Wypadły stanowczo negatywnie.

– Zostaw to młodszemu. Wielu czarodziejów przez całe życie nie oddała się od stołów alchemicznych i bibliotek – kontynuowała Estera. – Nie zabraknie ci pracy w Avalonie. A będzie jej więcej, gdy zaczniesz dawać wykłady.

– Wiem, wiem – mruknęła. Doktor nie była pierwszą osobą, która jej to tłumaczyła, i naturalnie miała rację. Minie wiele czasu, zanim Margueritte wróci do formy. Arboriańscy lekarze dawali jej lepsze prognozy niż uzdrowiciele z Bretanii, ale istniały granice ich możliwości. Na dobrą sprawę nic nie stało na przeszkodzie, żeby przeszła w stan spoczynku jako agentka Cienia Gildii. Wypełniła swoją życiową misję. Miała następców. Nawet jeśli nie uda jej się przeżyć następnego stulecia, już zostawiła po sobie spuściznę, o jakiej wielu czarodziejów może tylko pomarzyć.

Ale za długo pozostawała w roli pacjentki i bardzo ją korciło, aby udowodnić samej sobie, że lekarze się mylą.

– To nie wszystko – dodała doktor Everett i położyła na kolanach przyniesioną ze sobą blaszaną skrzynkę. Odsunęła wieczko. – Proszę. Z wyrazami najwyższego szacunku od całego naszego grona, do wyłącznego użytkowania.

Lady de Breville zamarła w bezruchu. Wpatrywała się w połyskliwy czarny przedmiot, śledząc wzrokiem każdy detal, każdą krzywiznę. Zrobiona na wymiar. Doskonała.

– Estero... – spytała bez tchu. – Ile to kosztowało?

– Cena nie gra roli – odparła doktor cicho. – Za to, czego dokonałaś, powinnaś opływać w zaszczyty do końca życia, ale na razie tylko tyle Ciebie Gildii może dla ciebie zrobić. Będziesz dwudziestym użytkownikiem, znamy już wady i zalety tych konstruktywów.

Wyjęła z pudełka automagiczne dzieło sztuki – prawe przedramię z włókna węglowego i lekkich stopów metali, złożone z kilkudziesięciu ruchomych elementów połączonych ze sobą za pomocą skomplikowanej kombinacji techniki i magii.

– Nie działa tak dobrze jak cielesny oryginał – ostrzegła. – Do cięższej pracy lepiej zamocować zwykłą protezę. Zapomnij o precyzyjnej gestykulacji przy rzucaniu zaklęć. Chociaż ty i tak zaniedbujesz ten aspekt magii...

Margueritte z godnością uniosła się na poduszkach.

– Cóż, w ostateczności pozostanę mańkutom. – Z natury była oburęczna, ale wspomagała się przy pisaniu zakłęciami poprawiającymi koordynację. Nie zamierzała się przyznawać, że tak nieistotny drobiazg utrudnia jej życie. – Chciałam spróbować regeneracji, zanim Komisja mnie znajdzie i wciśnie zakaz nauczania, ale i tak można. W kodeksie napisano tylko, że nauczyciel musi mieć wszystkie funkcjonujące zmysły i kończyny. Stare, barbarzyńskie prawo... ale sztuczna ręka to też ręka. Przecież Arcymistrzynie Elysia Fairbanks...

– Elysia miała asystę nauczycieli pomocniczych, a jej kryształowe symbiotyczne widziały więcej niż zwykłe oczy. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to przejdzie.

– Jeśli nie przejdzie, naprawdę uprowadzę ją do Bretanii. Albo wywołam rewolucję w metodyce. Przekonam ich, że formalne reguły gestykulacji to przeżytek. Ona nie może wrócić do hrabiny. – Lady de Breville nachyliła się nad ręką. – Jak to się uruchamia?

– Odsłoń ramię i trzymaj prosto. O tak.

Doktor Everett nasadziła uchwyt sztucznego przedramienia na zablizniony kikut. Jej krótkie, pulchne palce zwinnie przemknęły po runach wygrawerowanych na obwodzie. Z uchwytu wynurzyły się grube czarne nici i oplotły skórę Meg na podobieństwo macek. Czarodziejka wzdrygnęła się, przypominając sobie halucynacje, jakimi raczył ją Lucjusz Thorpe, ale nie cofnęła ramienia.

Nici zatonęły w jej skórze. Nie czuła bólu, ale jakby łaskotanie wewnątrz ciała. Później nastąpił krótki, gwałtowny szok elektryczny. Podskoczyła.

– Jasna cho...!

Prawa, sztuczna dłoń zacisnęła się w pięść.

Margueritte przypatrywała jej się z fascynacją, zaciskając ją i otwierając na przemian. Poruszyła łokciem. Rzeczywiście, proteza ustępowała prawdziwej ręce. Była wolniejsza, mniej dokładna, nie tak swobodna. Brakowało jej zewnętrznego czucia, a wewnętrzne pozostawiało wiele do życzenia; podczas pracy laboratoryjnej trzeba będzie cały czas podążać wzrokiem za gestami. Ale sama jej obecność zmieniała wszystko.

– Nie odkotwiczaj jej samodzielnie – instruowała doktor Everett. – Konstruktyka się bezpośrednio z twoimi nerwami, to będzie boleć. Gdybyś chciała kiedyś z niej zrezygnować, zajmiemy się tym na miejscu. Sama możesz ją odkręcić od uchwytu powyżej łokcia, o tutaj. Ładuje się bezpośrednio z twojego Źródła.

Margueritte sięgnęła do tkwiącej w jej ciele astralnym jasnej, buzującej kuli mocy, bez której musiała się kiedyś obywać przez kilka bolesnych miesięcy. Sprawdziła zużycie.

– Pięć jednostek? Dziennie?

Doktor skinęła głową. Meg odpowiedziała uśmiechem. Przy Źródle zawierającym ponad dwieście pięćdziesiąt jednostek mogła sobie pozwolić na tę inwestycję. Przyszło jej do głowy, że to luksus dostępny nielicznym. Energia kosztowała, a nie wszyscy dysponowali własną. Skrzywiła się. Miesiące, gdy miała wygaszone Źródło, przeżycia w Bretanii i późniejsza długa choroba spowodowały, że niepokonana Szalona Meg odsłoniła miękkie podbrzusze. Nie wiedziała, co zrobić z odkrytym po latach całkowicie zbędnym nadmiarem empatii. Na razie postanowiła go zignorować.

– Zaniechywalnie mała ilość – oznajmiła.

– Cieszę się. Przygotuj się do operacji, sala numer cztery, żadnego jedzenia ani napojów. Najdalej za półtorej godziny będzie po wszystkim. Aha, i jeszcze jedno, Meg...

– Tak?

– Wystąpiłam dla niego o arboriański tytuł szlachecki i posiadłość w Avalonie, zabezpieczyłam też fundusze z własnego budżetu na tymczasowe zakwaterowanie w Hotelu Tir Na Nog razem z trzydziestoosobową świtą.

– Co? – Margueritte przez chwilę była przekonana, że się przesłyszała.

– Nie mam pojęcia, jak ugościć ciemnowiecznego tyrana feudała, żeby się dla mnie zniżył i zgodził obejrzeć pacjentów, więc zdradź mi uprzejmie, czy to nie za mało. I porozmawiaj z nim wreszcie, na Pustkę.

– Może nie rób nic pochopnie. – Meg uniosła ręce w obronnym geście. Dwie ręce, do licha. – Zajmujemy się tym. Przyjedzie do was, gdy tylko uznamy z Weylandem, że to bezpieczne.

– De Breville – warknęła Estera Everett. – Nie obchodzi mnie, jakie genialne Mosty przez Pustkę opracował ten wasz Wielki Mag, ile pokonał smoków i ile wiosek chłopów pańszczyźnianych wyzyskuje na co dzień. Jeśli potrafi usuwać skażenie z pacjentów dotkniętych Piętnem, chcę go tutaj. Pieprzę moje bezpieczeństwo! Będzie pracował, choćby miała wydać cały roczny budżet.

Dwie godziny później Margueritte pławała się w dużej wannie na lwich nóżkach. W powietrzu unosił się intensywny zapach kwiatowych płatków mydlnych oraz soli kąpielowych z bogatej baterii kolorowych fiolek i słoiczków stojących na łazienkowej półce. Wbrew jej prośbom woda była ledwo ciepła, co trochę utrudniało relaks. Na sukni niedbale przerzuconej przez fotel i zmiętym zielonym szalu, które czarodziejka zdjęła, przebierając się jeszcze przed operacją, leżała wyciągnięta na całą długość Śliwka. To było oczywiście wbrew wszelkim zasadom szpitalnej higieny, ale Meg nie zamierzała czegokolwiek jej zabraniać.

Pielegniarki stanowczo odmówiły przygotowania gorącej kąpieli, twierdząc, że temperatura może wpłynąć na przebieg gojenia strun głosowych. Teraz czarodziejka niechętnie przyznawała im rację. Miała opuchniętą szyję, wyglądała jak ofiara ciężkiego przypadku świnki i gdyby postąpiła po swojemu, pewnie wcale nie czułaby się komfortowo. Zażyła już leki przeciwbólowe i powtórzyła zakłęcie syntetyzujące głos, którego nauczyła się specjalnie na tę okazję. W duchu sarkała na dyktaturę lekarzy, ale wiedziała, że to już ostatnie niedogodności, z jakimi będzie mieć do czynienia przez dłuższy czas.

Proteza sprawdzała się znakomicie. Była wodoodporna, więc lady de Breville nie musiała na nią szczególnie uważać. W tej chwili trzymała w niej książkę i bardzo jej się podobało, że w przeciwieństwie do prawdziwej ręki ta magiczna wcale się nie męczyła.

Czy przekona Komisję?

Na pewno nie od ręki.

Tfu, co za nieszczęśliwa metafora. Margueritte westchnęła bezgłośnie. Problem wcale nie był taki prosty do rozwiązania. Odkąd wyjechali, w Gildii zmienił się układ polityczny. Osłabły wpływy Weylanda, częściowo zresztą wskutek ich nieobecności. Teraz w Radzie dominowali ludzie niezwiązani z Cieniem i w dodatku nieprzychylnie nastawieni do lady de Breville. Swoje zdanie silnie forsowała zwłaszcza hrabina Oliwia, chociaż teoretycznie przewodniczyła doloriańskiemu oddziałowi Gildii. Ktoś wyciągnął na jaw i zakwestionował pobór magicznych przedmiotów, a nie odkryto jeszcze, że Arcymistrz wypożyczył również Zagładę Gwiazd, bo magiczna laska oficjalnie nie znajdowała się na stanie magazynu.

Oczywiście prawdziwa burza dopiero miała nadejść. Krajobraz polityczny ponownie wywróci się do góry nogami, gdy wyjdzie na jaw, że nieodwracalnie zmienili świat. Na razie życie publiczne w Republice Arborii toczyło się jak zawsze, siłą rozpędu.

Meg zerknęła w stronę pozostawionego na krześle ubrania i nowej torebki podprzestrzennej (czarna, solidna, ze srebrną zapinką w kształcie pająka), gdzie trzymała między innymi podręczną kulę. Gestem lewej ręki przywołała tę ostatnią. Półprzejrzysty gładki kryształ wynurzył się z torby i spokojnie zaczął lewitować w jej stronę. Śliwka, która uważnie obserwowała całe zajście, od niechcenia pacnęła kulę łapą, a później wróciła do leżakowania.

Czarodziejka wychyliła się poza wannę, położyła książkę na stołku, na niej zaś umieściła kulę. Wyłączyła jej obraz; nie zamierzała się pokazywać ludziom w wannie i z opuchniętą twarzą, nawet tym, których znała tak dobrze jak Belinde. Zaczęła wywoływać kulę przyjaciółki z nadzieją, że odpowie. Jak uważasz, Belle? Czy uda ci się wpłynąć na Komisję, aby cofnięto zakaz? Może damy radę uchylić ten przestarzały, oburzający punkt kodeksu? A szczerze, czy sądzisz, Belinde, że nadaję się na mistrzynię Liliany? Czy mogę szkolić zaniedbaną emocjonalnie smoczycę z równą skutecznością jak chłopaka wychowanego w ciepłarnianych warunkach?

Znowu westchnęła. Jeszcze nie znalazła odpowiedzi na ostatnie pytanie. Ale na razie nie istniał nikt lepszy. Obydwie nie miały wyboru; decydowała racja stanu zarówno Republiki Arborii, jak i Królestwa Bretanii.

Belinde się nie odzywała, więc Meg nagrała dla niej wiadomość. Niemal w tym samym momencie kula aksamitnym barytonem oznajmiła, że Vincent Thorpe próbuje nawiązać kontakt, i lady de Breville poczuła, jak sama rozświetla się wewnątrz niczym magiczna kula. Bo na pewno chodziło o zakłęcie teleportacyjne, które opracowywał jej uczeń, problem czysto naukowy i przynajmniej na razie pozbawiony politycznych i emocjonalnych konotacji. Przez ostatnie tygodnie dłużyła w nim, gdy potrzebowała odpocząć od spraw wielkiego świata.

– *Vince?* – zapytała. Syntetyczny głos rozbrzmiewał w pokoju metalicznym echem. – *I co, udało się? Przyszło mi do głowy jeszcze parę pomysłów, jak sobie z tym poradzić.*

– Margueritte? – odpowiedział jej zdziwionym tonem Weyland. – Nie rozmawiasz z Vincentem, tylko ze mną.

Piętnaście minut później Margueritte de Breville, z włosami wysuszonymi zakłębieniem i sterczącymi na wszystkie strony, jakby strzelił w nie piorun, pospiesznie dopinała suknię. Incydent na Granicy. Awaria opracowanego przez Belinde rytuału, który podtrzymywał iluzję niewidzialności ukrywającą podprzestrzenny Most. Czegoś takiego obawiała się od samego początku. Arcymag twierdził, że Vincent wyszedł z tego ambarasu obronną ręką i nie został zdemaskowany, ale oczywiście na jednym ataku się nie skończy. Ktoś już rozpoczął wojnę podjazdową, a Weyland sugerował, że nie wyklucza udziału Iglicy Fortecy Ostatniego Świata.

Co gorsza, jego tok rozumowania miał sens. Połączenie obydwu światów zmieniało siatkę geomagiczną na bezprecedensową skalę. Jeśli Iglica znów działała i kierowała się tymi samymi przesłankami co przed setkami lat, to właśnie dostali szansę, jaką nie dysponowali nigdy wcześniej. Musieli o tym wiedzieć. Musieli to zmierzyć.

Próba odnalezienia legendarnej Fortecy Ostatniego Świata właśnie przestała być mrzonką.

Czarodziejka nawiązała kontakt z Kathryn, od której się dowiedziała, że Belinde Chamomille zniknęła z pola widzenia poprzedniego wieczoru, po tym jak kapitan Artois poprosił, aby sprawdziła niejaką Millicent Severię. I gdy tylko Margueritte usłyszała to nazwisko, zyskała podejrzenie graniczące z pewnością, że w sprawę jest zamieszana Iglica. Cóż, wielokrotnie się zastanawiała, co się stało z tamtą niedoszłą kandydatką. Czy udało jej się wyjść na ludzi? Czy ktoś się nią zaopiekował? Mogła się domyślić, że jeśli nie zrobił tego Cień, zajmie się tym inna organizacja.

Tylko co z tym wszystkim wspólnego miała Belle?

Teraz Meg pilnie potrzebowała dostępu do swoich starych notatek. Do składanego domu. A ten znajdował się w posiadłości państwa Thorpe. Zakłęła cicho, zbyt ciasno dopinając haftki sukni pod szyją.

Chwilę później kula znów się odezwała.

„Tygodniami ze mną nie rozmawiają – pomyślała, bo nie miała ochoty zużywać energii na gderanie za pomocą zakłęcia. – Turystyka, rozrywki, amory. I dopiero, kiedy coś wybucha, to wszyscy: Meg, ratuj! Nawet nie można spokojnie się wykapać. Czekajcie, czegoś będziecie chcieli”.



W kuli pojawiła się zatroskana twarz Wandy Thorpe.

– Lady de Breville? Nie widzę pani...

– *Proszę mówić swobodnie.*

– Chodzi o Lilianę. Ona... zabrała coś z pani gabinetu i uciekła. Nie możemy jej znaleźć. Lady de Breville, proszę powiedzieć, bo to ważne. Czy miała pani wśród swoich magicznych przedmiotów taki, za którego pomocą można wywołać smoka? Czy raczej iluzję smoka? Bo moja córka, Helena, widziała nad lasem...

„O cholera – pomyślała Margueritte. – Akumulator!”.

Zgodnie z najstarszym prawem magii, jeśli coś mogło się zawalić, z całą pewnością tak właśnie się działo. I to, jak przystało na porządne domino, wszystko przewracało się naraz.

Meg nie miała pojęcia, co sprawiło, że jej uczennica wpadła w taki popłoch, chociaż przychodziło jej do głowy kilka teorii. Na pewno nie wypróbowała smoczej postaci z ciekawości. Wbrew przechwałkom nadal miała problem z zaakceptowaniem własnej mocy. Nic dziwnego, to byłoby trudne nawet dla dorosłej osoby. Co innego aktywne Źródło, a co innego świadomość, że dzielisz istnienie z czymś niezupełnie ludzkim, a w dodatku twoje drugie ja po stuleciach przejmie nad tobą kontrolę.

Lily zmieniałyby postać tylko wtedy, gdyby uznała, że nie ma wyjścia. Krótko mówiąc, coś ją musiało sprowokować. Coś – a może ktoś.

Wanda Thorpe dalej opowiadała, co się stało, a czarodziejka układała plan.

Należało postępować ostrożnie. Wizytatorzy z Komisji nadal przebywali w gościnie w Alisinnor, a Margueritte w żadnym wypadku nie mogła się z nimi zetknąć. Ani dać znać, że w ogóle przebywa w tym samym miejscu, bo to będzie oznaczało, że zakaz nauczania zostanie uznany za doręczony. I należało wyruszyć błyskawicznie. Liliana na pewno tego dokładnie nie policzyła, ale w akumulatorze wcale nie było tak wiele jednostek, żeby dłużej zachować smoczą postać. Według notatek Lucjusza dla starych smoków, takich jak Nidhogg, podtrzymywanie ludzkiej postaci wiązało się z wydatkiem energii. W przypadku Lily było dokładnie odwrotnie.

Czarodziejka energicznie chwyciła zielony szal, tym samym wywołując oburzenie Śliwki. Złapała rozespiane zwierzątko pod pachy, a potem zapakowała je do koszyka. Kotka rzuciła jej złe spojrzenie i spróbowała ją ugryźć, po czym

przysiadła na wiklinowym dnie, odwracając się do niej tyłem. Margueritte machinalnie pogłaskała ją po grzbiecie. Może i szła prosto w pułapkę agentów hrabiny Oliwii, nie mogła jednak pozwolić, aby jej uczennica zgubiła się w lesie. Poradzi sobie oczywiście. Las Glennfare pod Avalonem to nie kraj ogarnięty wojną, nawet bez ochrony Kathryn i Amandine nic jej tu nie grozi. Odnajdą ją prędzej czy później.

Ale odbudowanie jej zaufania stanie się zadaniem z gatunku niemożliwych.

Co nie wchodziło w rachubę, między innymi dlatego, że Margueritte potrzebowała współpracy Liliany przy zadaniu, jakiego zamierzała się podjąć. Weyland chyba nie do końca zdawał sobie sprawę, co jej zlecił. Tak, to była kiedyś jej pierwsza większa misja. Ale przez sto pięćdziesiąt lat Meg straciła prawie wszystkie dojścia do Iglicy – poznikały kryjówki, informatorzy umarli lub się zmienili, rozproszyła się jej siatka agentów. Żeby czegoś się dowiedzieć, będzie musiała teraz dotrzeć do źródła.

Czyli do Drugiej Wyroczni, Verdandi.

\* \* \*

Meg pospiesznie sunęła jasnym korytarzem, uważnie czytając drogowskazy. Ubrana, uczesana i lekko upudrowana, z kocim koszykiem w lewej ręce oraz iluzją rzuconą dla spokoju otoczenia na czarne automagiczne ramię, prezentowała się znacznie bardziej godnie niż przed kwadransem. A przynajmniej taką miała nadzieję, bo jej szyja i twarz nadal wyglądały jak po ataku szerszeni. Potrzebowała szybkiego transportu, mogła go sobie zapewnić tylko w jeden sposób i zmierzała w stronę bardzo konkretnego celu.

Podczas pobytu w Centralnym Szpitalu Margueritte tak naprawdę poznała tylko Oddział Dla Chorych Na Piętno, razem z częścią zabiegową. Trafiali tutaj pacjenci z Avalonu i okolic, którzy mieli nieszczęście wchłonąć dużą dawkę skażenia i rozwinąć chorobę, przeważnie w formie podostrej. Cierpiących na chroniczne Piętno spotykało się rzadko. Na długotrwałe niskie dawki skażenia byli narażeni przeważnie mieszkańcy dzielnic przemysłowych i pracownicy niektórych fabryk, a najbiedniejszych nie leczono prawie wcale. Gdy ktoś miał pieniądze lub ubezpieczenie z zakładu pracy, kurował się poza szpitalem. Miejsca i tak nie wystarczyłoby dla wszystkich.

Chorowali głównie przedstawiciele zawodów parających się magią: technicy, wiedźmy, czarodzieje. Nieszczęśliwe wypadki zawsze się zdarzały, czasem ktoś okazjonalnie zaniedbał środków ostrożności albo regularnie wchłaniał mniejsze dawki, ignorując konieczność zażywania eliksirów. Tradycyjne Źródła Piętna, wynikające ze skutków Rozdarcia świata, były w stolicy rzadkością. Avalon znajdował się daleko od Granicy, z kolei rafinerie geomagiczne budowano na południu. Tutaj nie otwierały się rozpadliny, a pustkostwory uważano za istoty równie legendarne jak demony, słonie i nosorożce.

Nikomu jeszcze nie udało się przeżyć po narażeniu na tak wielką dawkę mocy Pustki, jaką wchłonęła Margueritte. Ale nikomu takiemu nie oczyszczono całkowicie organizmu ze skażenia. Oczywiście, w nagłych przypadkach stosowano eliksiry, na oddziale ratowniczym wspomagane znacznie silniejszymi rytuałami, ale ich działanie było ograniczone. Jeśli w porę nie udzielono pomocy albo spaczona moc przekroczyła graniczne stężenie i na stałe związała się w tkankach i kościach, nie dało się jej usunąć. Nadal można było regularnie obniżać jej poziom i leczyć pacjenta objawowo, ale ostatecznie Piętno było chorobą chroniczną, nieuleczalną i prędzej czy później śmiertelną.

Lady de Breville przebywała na oddziale dla chorych, którzy nie musieli być izolowani od otoczenia; skażenie krążyło w ich żyłach, ale nie emitowali już tak silnie, żeby szkodzić innym. Idąc korytarzem, mijala damy i dżentelmenów w domowych strojach, z deformacjami ukrytymi pod bandażem lub odzieżą. Czasem tylko widać było zniekształcenia na twarzy, które również maskowano na rozmaite sposoby. Wypoczywali na kanapach pod wysokimi jasnymi oknami, spacerowali w stronę świetlicy – czasem samodzielnie, czasem za pomocą laseczki lub w asyście pielęgniarza. Chodzili także po ogrodzie, niektórym pacjentom zezwalano ćmić fajkę na patio. Wielu miało błędne spojrzenie, świadczące o pozostawaniu pod wpływem opium. Czarodziejka odruchowo odwracała od nich wzrok. Sama już ledwo pamiętała, jak boli rozwijające się Piętno, i wołała sobie nie przypominać.

Zadyszała się trochę, zanim opuściła mieszkalną część szpitala i dotarła do zabiegowej. Nadal nie wróciła do pełni sił, nawet z aktywnym Źródłem szybko się męczyła. Naturalnie, zaledwie przed godziną obudzono ją po operacji, pewnie za kilka dni będzie lepiej. Trzeba wziąć to pod uwagę przy planowaniu wyprawy.

Teraz mijają ją głównie białe personel – pielęgniarki w nieskazitelnie czystych garniturach i pod krawatem, pielęgniarki w sukniach z bufkami i z włosami pod czepkiem. Pochwyliła kilka zaniepokojonych spojrzeń. Wyjściowo ubrana, z wiklinowym koszykiem w rękę i torebką przewieszoną przez ramię, nie wyglądała na pacjentkę przygotowującą się do zabiegu.

– Madame, czy zgubiła się pani? Może w czymś pomóc?

Odrobina bezczelności jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła.

– *Tak, potrzebuję dostać się na lotnisko pogotowia ratunkowego. Czy może pani wskazać mi drogę?*

Pielęgniarka otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale Margueritte patrzyła na nią wyniośle. Tego nie nauczyła się w Bretanii. To Bretańczycy mogliby się uczyć od niej.

– Zaprowadzę panią – skapitulowała. Wydawała się dodatkowo zmieszana tym, że Meg zwraca się do niej syntetycznym głosem. – Ale proszę, niech pani trzyma się z dala od lotników i nie przeszkadza. Rozumiem, że czeka pani na kogoś?

– *Jeśli ktoś odpowiedzialny będzie mógł zamienić ze mną parę słów, będę zaszczycona.*

„Jak tak dalej pójdzie – pomyślała Meg z niepokojem – zużyję pół Źródła na samo mówienie”. Przyszło jej do głowy, że Vince nie miał nawet takiej możliwości, i trochę go pożałowała, a potem ofuknęła za to samą siebie. Było, minęło, po co roztrząsać.

Lotnisko, które mieściło się na dachu budynku zabiegowego, w bezpośrednim sąsiedztwie sal operacyjnych i pokoiów ścisłej kwarantanny, służyło tylko Oddziałowi Dla Chorych Na Piętno. Pozostałe jednostki Centralnego Szpitala miały własne. Pełniący tutaj dyżur lotnicy w służbie Pogotowia Jej Królewskiej Mości musieli się godzić na pracę w warunkach podwyższonego ryzyka. Każdy z nich nosił detektor przypięty do chroniącej przed wiatrem skórzaną kurtki, a uniformy, z gogłami włącznie, miały żółto-czarne barwy, zgodnie z odwieczną symboliką skażenia magicznego.

W teorii lądowisko mogło obsłużyć nawet kilkanaście grup ratowniczych wyposażonych w nosze, ale pełne obłożenie zdarzało się bardzo rzadko, tylko w razie katastrof naturalnych oraz poważnych wypadków z energią Pustki. Meg zignorowała sugestię pielęgniarki, żeby zostać na dole, w poczekalni, i nie

przeszkadzać (ani nie narażać się na skażenie), i ruszyła szerokim pochyłym korytarzem skąpanym w świetle automagicznych lamp. Po minięciu dwójki zdumionych ratowników z pacjentem na wózku wyszła prosto na dach. Maszerowała brzegiem tarasu pokrytego płytami z rdzawego piaskowca, na którym niezmywalną białą farbą namalowano wskazówki dla lotników. Na rogach dachu zamocowano reflektory, które zapewne uruchamiano nocą lub przy dużym zachmurzeniu, żeby z daleka dało się go namierzyć. Czarodziejka poszukała wzrokiem wieżyczki kierującego ruchem. Z niskiego budynku wyszło dwóch mężczyzn z noszami; w tym czasie, gdy czarodziejka szybko szła wzdłuż krawędzi lotniska, ustawili się na jednym z symboli po zachodniej stronie. W powietrzu rozszedł się dźwięk syreny i lotnicy wzbili się w powietrze.

To tam. Meg przyspieszyła kroku. Zaraz ktoś przyjdzie i ją zgarnie, trzeba się uwijać.

Weszła do środka. W dyspozytorni było duszno i parno, na ścianach wisiąco pełno lamp, detektorów i wskaźników, a także jedna ogromna interaktywna mapa Avalonu. Główny kierujący ruchem, bo to musiał być on, pochylał się nad magiczną kulą i wydawał polecenia – zapewne drużynie ratowniczej, która właśnie pofrunęła w miasto. Prócz niego znajdowała się tutaj dwójka techników – młoda dziewczyna i mężczyzna w średnim wieku – którzy chwilowo wypełniali księgi. Jakiś ratownik minął Meg, zdejmując gogle i popatrując na nią nieprzyjaźnie. Czarodziejka podeszła do dyspozytora i zawisała nad nim w uprzejmym, aczkolwiek namolnym oczekiwaniu. Nie przerywała mu. Chociaż jej się spieszyło, naprawdę nie chciała wchodzić w drogę lotnikom.

Wreszcie mężczyzna uniósł zmęczony wzrok.

– Słucham panią. Nie powinna pani tutaj przebywać.

– *Potrzebuję uniformu i otwartego korytarza powietrznego do Alisinnor. To sprawa wagi państwowej.* – Margueritte wyjęła z torebki glejt, który oznajmiał ni mniej, ni więcej, że pracuje w służbach specjalnych Jej Królewskiej Wysokości. Rzadko go używała, ponieważ była to łatwa do zweryfikowania nieprawda. Miała ze sobą kilkanaście innych podobnych wizytówek na różne okazje.

Obejrzał glejt, pokręcił głową, westchnął.

– Widzę. Proszę o wybaczenie, ale w tym stanie nie powinna pani latać. Alisinnor znajduje się poza granicami Avalonu, to bardzo daleki dystans,

a dzisiejsze meteo jest niekorzystne. Nie ma pani przeszkolenia. Jeśli zerwie się wiatr, nie utrzyma pani kontroli nad zakłębem. Możemy pani wezwać dyliżans.

– *Przykro mi, ale to nie wchodzi w rachubę.*

– Nie dam pani pozwolenia na samodzielny lot. Jeśli pani wystartuje, wezwę żandarmerię.

– *Proszę pana. Widzę, że nie mają państwo dziś dużego obciążenia. Mogłabym wypożyczyć jednego z pańskich fachowców, a jeśli to nie wchodzi w rachubę, chociaż same nosze. Wiem, że są obłożone zakłębami antygravitacyjnymi i stabilizującymi. Będą mnie asekurować.*

– Nie mogę pani wydać specjalistycznych noszy! – oburzył się dyspozytor. – A moi ludzie nie służą kaprysom arystokratów. Życie ludzkie jest ważniejsze niż jakiegokolwiek zadanie szanownej pani czarodziejki. Fabryki, proszę pani, mogą eksplodować w każdej chwili.

– Margueritte de Breville? Czarna Meg?

Czarodziejka się odwróciła. Patrzyła na mężczyznę mniej więcej czterdziestoletniego (choć naturalnie to były pozory) w pełnym uniformie, z goglami zwieszającymi się z szyi. Miał przepocone krótkie włosy – czerń przetykana pojedynczymi siwymi nitkami – pełno zmarszczek od słońca i wiatru, lekko skośne oczy.

– Pamięta mnie pani?

– *Edward Stern. Eddie. Jak mogłabym zapomnieć? Miałam nadzieję, że zostaniesz w badaniach. Ale widzę, że ci się tutaj podoba.*

– Badania? – prychnął Eddie. – Nuda! Dziesięciolecia podlizywania się starym magom, żeby mieć ciebie szansy na pozycję adiunkta. Dziękuję, wolę latać. Co panią tu sprowadza? Wygląda pani tylko na ambulatoryjnie chorą. – Zerknął na detektor. – I nie emituje pani, czyli nie na oddział.

– Eddie – odezwał się dyspozytor. – Skoro skończyłaś na dziś, idź do dyżurki, przebierz się i nie zawadzaj.

– *Ach, skończyłaś pracę?* – wtrąciła się Meg. – *Potrzebuję pewnej przysługi natury lotniczej. Wyświadczysz mi ją? Przez wzgląd na dawne czasy.*

Skinął głową.

– Pod warunkiem że przeleje mi pani trochę swoich jednostek. Jestem po dwunastogodzinnym dyżurze, mam prawie puste Źródło. Wypijmy kawę. Na razie trzyma mnie w pionie adrenalina, ale dziś ma jeszcze padać, więc lepiej dmuchać na zimne.

\* \* \*

W szatni dla kobiet śmierdziało potem, wilgotną odzieżą i starymi klapkami. Prócz blaszanych szafek, niezbyt wygodnej ławki i nagiej automatycznej lampki znajdowała się tutaj jeszcze tablica korkowa z przypiętymi kartkami, a także okultografiami dzieci i zwierząt. Na ścianie wisiał wielki plakat półnagiego Armanda de la Coeur w roli Hrabiego Fantoma. Na tyłach pomieszczenia znajdowała się łazienka wyposażona w nowoczesną kanalizację. Meg dostrzegła jeszcze drugą lampkę, w tej chwili zgaszoną, z czerwonym szkłem. Musiała pełnić funkcje alarmowe.

Śliwka wyszła z koszyka i teraz siedziała na wieczku, z zainteresowaniem przyglądając się, jak jej pani przebiera się w uniform – spodnie i kurtkę, wśród lotników Ratownictwa nie istniało rozróżnienie na odzież męską i damską. Suknie, trzewiki i całą resztę zapakowała do torebki podprzestrzennej. Musiała nawet zmienić bieliznę i włożyć coś w rodzaju bawełnianego kostiumu atlety.

Gdy miała już na sobie uniform, zawołała Eddiego.

– Świetnie. Proszę dopiąć sprzączkę. Tutaj. – Przyjrzał się uważnie. – Dobrze, teraz kask się nie zsunie. Nie boli?

Meg zaprzeczyła. Szeroki pasek uciskał spuchniętą szyję i było jej trochę niewygodnie, ale bez przesady.

– Nawet pominąwszy opuchliznę, ma pani duży obwód głowy – mruknął lotnik.  
– Ale to mnie nie dziwi. Teraz proszę popatrzeć tutaj. – Podniósł żółty plecak oznakowany czarnym symbolem skażenia. – Za ten sznurek trzeba pociągnąć, żeby otworzyć spadochron, gdyby zawiodło zakłęcie Lotu. Proszę podnieść prawą rękę...  
– Eddie znieruchomiał. – Co to jest?

Czarodziejka zorientowała się, że iluzja, która ukrywała wygląd jej automatycznego przedramienia, już zanikła, a rękaw uniformu zakrywał je tylko do nadgarstka.

– *Proteza. Nie cięższa niż ciało, nie wpływa na użycie magii. W pełni ruchoma.* – Na dowód uniosła ramię i zacisnęła pięść. – *Ale nadaje się tylko do mało skomplikowanych zadań.*

– Da pani radę odczytać przyrządy? – Ratownik zerknął na trzy szklane tarcze: wariometr, wysokościomierz i kompas, przymocowane na prawym przedramieniu.

Czarodziejka skinęła głową.

– Nie musi się pani tym przejmować, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Mike ma rację, że to długi dystans dla amatora przy takiej pogodzie, ale będę nadawać kierunek i tempo – dodał lotnik. – Przypnę panią linką asekuracyjną dla stażystów. Koszyk proszę umieścić w uprzęży. Czy ten kot musi być przytomny podczas lotu?

Śliwka miauknęła.

– Ona mnie rozumie?

– *Rozumie słowo „kot”. Nie, nie ma w niej nic magicznego. Jak na kota jest bardzo grzeczna i odważna.* – Czarodziejka podrapała Śliwkę za uchem. Zwierzę obróciło się i potarło policzkiem o jej kciuk. – *Nieraz latałyśmy razem. Akurat z nią nie przewiduję problemów. A teraz pozwól, że nie będę się już odzywać, bo chciałabym jeszcze mieć jakieś jednostki po powrocie do Alisinnor.*

– Rozumiem. Ja... – Eddie zawahał się – nigdy pani nie podziękowałem. Gdyby nie pani...

Margueritte machnęła ręką. Przez dziesięciolecia pracy nauczyciele zbierali sentymenty, zarówno pozytywne, jak i negatywne. Czarodziejka pomyślała, że żaden zawód nie przynosił podobnej satysfakcji, ale i żaden w takim stopniu nie obfitował w rozczarowania. Edward Stern nie był jedynym zdolnym, kłopotliwym uczniem w jej życiorysie, który wyszedł na ludzi. Z drugiej strony istnieli też tacy, którzy ją przeklinali. Czasem przypisywano jej skutki własnych starań (jak w przypadku Edwarda), ale także własnych niedociągnięć.

Pozostawało kwestią otwartą, jak się potoczy nauka Smoka Bretanii. A jej przebieg, niestety, mógł wpłynąć na losy świata w większym stopniu niż skład awalońskiego Pogotowia Lotniczego.

\* \* \*

Niebo nad Avalonem ciemniało alarmująco szybko. Przestrzeń powietrzna była niemal pusta, z daleka błysnęły im tylko lusterka na mundurach patrolu żandarmów.



Podmuchy silnego wiatru co pewien czas znosiły obydwójce na zachód, ale i tak mknęli do Alisinnor z dwukrotnie większą prędkością niż umiejętności pozwalały Margueritte w tych samych warunkach.

Wielu czarodziejów znało zaklęcie Lotu, a niektórzy posługiwali się także wersją rozszerzoną, czyli Lotem Drużynowym. Ten sposób transportu chętnie praktykowała Belinde Chamomille, a nawet Bretańcy, u których magia przez stulecia rozwijała się inaczej niż w Arborii. Ale różnica między amatorem a wyszkolonym lotnikiem przypominała tę między przeciętnym czarodziejem rzucającym Kulę Ognia a wprawnym wojskowym magiem Creo. Gdy Vincent przemieszczał się razem ze swoją drużyną starych czarodziejów przez dwie prowincje Bretanii, zatrzymywali się na częste postoje, używali też na zmianę innych środków transportu. Mieli również przez cały czas piękne, słoneczne bretańskie lato. Profesjonalista mógłby przebyć tę trasę kilkukrotnie szybciej, lecąc nawet nocą lub we mgle. Lotnicy potrafili wzbijać się wyżej, latać prędej i dalej i zużywać przy tym znacznie mniej energii. Umieli nawigować nie tylko „na oko”, lecz także za pośrednictwem przyrządów w złych warunkach pogodowych.

Zanim jeszcze grube krople zaczęły uderzać o kask, Meg rzuciła zaklęcie chroniące przed deszczem. Chwilę później bardziej płynęli, niż lecieli; dwuosobowa przeciwdeszczowa bańka rozgarniała ścianę wody, a Śliwka nawet nie wyściubiła nosa z koszyka. Widoczność zbliżyła się do zera. Czarodziejka liczyła jednostki. Koszt uruchomienia protezy był zaniedbywalny, zaklęcie syntezy głosu tanie, koszt Lotu dla dwóch osób do Alisinnor – dla jej Źródła nie tak kosmiczny. Ale wydana energia zbierała się niespostrzeżenie, kwant do kwantu, jednostka do jednostki, stopniowo zmniejszając pulę mocy do dyspozycji po przylocie.

W oddali błysnęło. „Raz, dwa, trzy, cztery” – liczyła Margueritte. W oddali przetoczył się huk gromu. Eddie lekko pociągnął za linkę, dając znać o zmianie kursu. Ludzie, którzy nie latali zbyt często, rzadko pamiętali, że błyskawica nie przypomina zygzakowatej kreski z dziecięcych rysunków. Rozprzestrzeniała się na sporym obszarze niczym gałęzie drzewa. Margueritte odruchowo przytuliła koszyk ze Śliwką. Ze środka dobiegło nieszczęśliwe miauknięcie.

– To tylko piętnaście minut obejścia! – krzyknął. – Ominiemy front i nadrobimy.

Pod nimi, ledwo widoczne za szarą ścianą deszczu i niskich chmur, błyskały światła metropolii, stopniowo coraz rzadziej. Ratownik wydawał się dobrze bawić, mimo zmęczenia i paskudnej aury nie traktował dodatkowego lotu po pracy jak

przykrego obowiązku. Popisywał się. Margueritte nie wiedziała, czy jej były uczeń rzucił na siebie coś wzmacniającego, czy może zażył eliksir pobudzający, ale rwał do przodu bez żadnych zahamowań. Tymczasem lady de Breville przemarzała już do kości, pasek od kasku nieznosnie gniótł ją w szyję i w ogóle nie czuła się jak nieustraszona agentka Cienia Gildii, mistrzyni Magów Pustki, Królewskich Smoków i asów lotnictwa z pogotowia.

Czarodziejka nie umiała powiedzieć, jak długo lecieli. Godzinę, może półtorej. Z Centralnego Szpitala do Alisinnor było mniej więcej czterdzieści kilometrów drogi, ale musieli obejść front burzy, a wiatr dodatkowo ich spowalniał. Meg ponieważ zrozumiała, że dyspozytor ruchu miał rację; sama nie dotarłaby nawet nad granice lasu Glennfare, gdzie światła domostw stawały się już bardzo rzadkie, a w tym deszczu – niewidoczne.

– Alisinnor pod nami – zakomunikował ratownik zachrypniętym głosem. – Będziemy lądować... Co to?!

Szarpnął za linkę, gwałtownie ciągnąc Margueritte na bok. Od strony lasu Glennfare, otaczającego Alisinnor i inne miejscowości pod Avalonem, z zawrotną prędkością nadlatywała biała lśniąca smuga. W strugach deszczu dało się dostrzec smukłą gadzią postać o perłowej łusce i giętkim ogonie tej samej długości co reszta ciała. Miała duże łapy o szczenięcych proporcjach i delikatne skrzydła, blade jak duch. Jej wielkie oczy lśniły krystalicznym błękitnym blaskiem.

Przez bardzo krótką chwilę Meg była przekonana, że smoczyca Liliana radośnie zmierza na powitanie swojej mistrzyni. Złudzenie przyszło bardzo szybko, gdy w ich stronę strzelił strumień ognia.

Eddie zapikował. Margueritte przycisnęła do piersi koszyk z kotem. Przemarznięta, obolała, na wpół lecąc i na wpół spadając, trzy razy przeliczała zakłęcie Bańki Kinetycznej, zanim przejrzysta ściana otoczyła ich obydwójce.

Lotnik dołączył się do zakłęcia, równocześnie śląc w powietrze wiązaną wulgaryzmów. „Nie przy dzieciach” – chciała powiedzieć czarodziejka, chociaż w obecnej sytuacji było to całkiem idiotyczne. Dlaczego Liliana nie myśli? Dlaczego zachowuje się jak przerażone, agresywne zwierzę? Czego jeszcze nie wiedzą o smokach?

– Czy to jest ta sprawa wagi państwowej?! – wrzasnął Edward. Smoczyca zakreśliła łuk i znów kierowała się prosto na nich. – Iluzja? Prawdziwy? Co robić?!

– *Unikać, zaraz skończą jej się jednostki!*

– To jest „ona”?! Na Pustkę!

Znów szarpnął. Margueritte ledwo nadązała za zmianami kierunku lotu. Cienki, skondensowany słup białozółtego ognia niebezpiecznie blisko przeciął powietrze. Ogarnęła ją fala gorąca. Meg dorzuciła do Bańki dodatkową warstwę ochrony termicznej, równocześnie przecałkowała pole Pomniejszej Antygravitacji i zawiesiła ukształtowany wzór w oczekiwaniu na użycie. Może trzeba będzie łapać spadającą Lily. Dorzuciła jeszcze podobnie zawieszoną syntezę głosu. W skupieniu odliczała jednostki. Nie była przygotowana na taką okoliczność, nie zabrała do Avalonu żadnego akumulatora. „Rzeczywiście, straciłam formę”.

Jej szósty zmysł sygnalizował, że Eddie właśnie coś zmienia w parametrach zaklęcia Lotu.

– Zmniejsz prędkość, zwiększ manewrowość! – zawołał, pomijając zwroty grzecznościowe. Meg poszła za jego przykładem. Smoczyca Liliana minęła ich po szerokiej trajektorii i teraz wracała, szybując na rozpostartych skrzydłach. Wykorzystywała prądy powietrza, dzięki czemu nie musiała wydawać tyle energii na lot. Margueritte przypomniała sobie, że Liliana, która w smoczej postaci również miała młodzieńczą sylwetkę, dysponowała znacznie lepszą proporcją powierzchni skrzydeł do ciężaru niż Nidhogg. Zużywała mniej mocy, żeby utrzymać się w powietrzu. Była też zwinniejsza.

Tym razem zbliżała się z wysuniętymi szponami jak polujący drapieżny ptak, całkiem sprawnie manewrując skrzydłami i ogonem. Czarodzieje uniknęli pierwszego podejścia, gwałtownie odfruwając z wiatrem. W tej chwili Margueritte poczuła, że coś wspina się po niej, wbijając w kurtkę szeroko rozpostarte ostre pazury, zdolne przekłuć trzy warstwy odzieży włącznie z bielizną. Przerażona Śliwka uznała, że najbezpieczniej będzie w ramionach czarodziejki. Opuściła więc koszyk i postanowiła trzymać się Meg najlepiej, jak umiała.

Smoczyca wydała potężny ryk i uderzyła szponami w Bańkę Kinetyczną. Śliwka, z sierścią nastroszoną jak szczotka, zaciekle zasyczała w stronę Liliany, prosto w ucho Margueritte. Bańka z czarodziejami wewnątrz pofrunęła kilkaset metrów dalej, odepchnięta jak kocia zabawka. Edward Stern krzyczał coś o tym, żeby próbować ściągnąć smoka w stronę Avalonu; jeśli wyleci poza obszar lasu i znajdzie

się w przestrzeni powietrznej metropolii, zestrzelał go oddział wojskowej żandarmerii.

Śliwka dalej syczała na smoka, boleśnie wpijając się pazurami w bark i szyję czarodziejki, i w tych całkowicie niesprzyjających okolicznościach Meg doznała olśnienia. Liliana wcale nie straciła nad sobą kontroli. Gdyby tak się stało, nie krążyłaby nad Glennfare od kilku godzin, ukrywając się powyżej chmur i pilnując, aby nie wydostać się poza obszar chronionego lasu i nie wejść w miejską przestrzeń powietrzną, gdzie mogli ją wykryć i zestrzelić wojskowi; prawdopodobnie wyczuła ich obecność. Uznała dwójkę czarodziejów w uniformach ratowników za podobne zagrożenie – skąd niby miała wiedzieć, po co się tutaj znaleźli? Oszczędnie zionęła ogniem. Odstraszała intruzów podobnie jak kot i usiłowała strącić ich z nieba. Jak to szło? O czym opowiadała jej Kathryn? Smocze zdolności bojowe powstały głównie po to, aby potężny, świadomy konstrukt, zdolny przeliczać protokoły rytuałów zmieniających świat, nie wpadł w niepowołane ręce. Żadna rozumna istota nie powinna być niczyją własnością, ale starożytni urządzili to tak, że smok należał do czarodzieja, z którym ustalił więź.

Coś sprawiło, że smoczyca uznała, iż istnieje ryzyko wpadnięcia w niepowołane ręce, więc weszła w tryb obronny. I pozostanie w nim, dopóki nie uzna, że niebezpieczeństwo minęło. Albo nie skończą jej się jednostki.

Margueritte przestała wyliczać zaklęcia Zdalnej Kontroli Umysłu i Potężniejszego Uspokojenia Potwora. To by tylko pogorszyło sytuację; Lily była dość przytomna, by odeprzeć obydwa zaklęcia i utwierdzić się w przekonaniu, że czarodziejka chce ją schwytać. Zamiast tego podkreśliła syntetyczny głos do maksimum i zaczęła krzyczeć po bretańsku:

– *KRÓLEWSKI SMOKU! MÓWI MARGUERITTE DE BREVILLE!  
PRZEKAZUJĘ POZDROWIENIA OD KRÓLOWEJ KATHRYN! JEST CAŁA  
I ZDROWA W AVALONIE!*

Celowo użyła prawdziwego imienia. Nie była pewna, czy smoczyca w tym stanie rozpozna koronacyjne miano Aurora Pierwsza.

Krzyk poniósł się w przestrzeń. Eddie zatkał uszy, Śliwka z podkulonym ogonem przyłgnęła do Meg, silniej wbijając pazury. Smoczyca obróciła się w miejscu i się zatrzymała. Zawisała nad nimi, wbrew prawom fizyki, jak trzmiel.

– Margueritte de Breville – powiedziała z wahaniem. Czarodziejka mimowolnie zdrząła. Nigdy nie rozmawiała ze smoczyką. Widziała ją jeden jedyny raz, gdy Liliana, zakrwawiona po walce z Nidhoggiem, leżała pod ścianą świątyni – niedosłęgo wehikułu do podróżowania przez Pustkę. Nigdy nie słyszała jej głosu, dźwięcznego i melodyjnego jak śpiew ptaka. Nie spoglądała w wielkie błękitne oczy, w których powoli przygasła furia i budziła się obca potężna inteligencja.

Zapadła cisza, zakłócona tylko szumem deszczu. Ratownik pytająco spoglądał na czarodziejkę. Dała mu znak, żeby się nie odzywał.

– Przyjaciółka królowej Kathryn. Pamiętam cię – rzekła smoczyca po arboriańsku. – Widujemy się codziennie, a jednak dawno cię nie widziałam. Mała Lily jest tobą zawiedziona. Zafascynowana. Pełna nadziei. Kwestionująca. Nie sądziłam, że można tyle odczuwać naraz. Kogo przywiodłaś tutaj ze sobą?

– *To Edward Stern, mój były uczeń. Przyjaciel. Jest ratownikiem w Pogotowiu Lotniczym.*

Liliana z ciekawością pochyliła nad nim głowę.

– Ratownikiem. Edwardzie Sternie, czy pragniesz uratować małą Lily od porwania przez sługusów hrabiny Oliwii de Branche d’Opal, śmiertelnego wroga mojej królowej?

– E... tak, oczywiście! – zawołał lotnik.

– Czy zechcesz w tym celu złożyć przysięgę krwi?

Czarodziejka zamrugała. Rozpoznawała te sformułowania. Znała na pamięć książki przygodowe pochłaniane przez pokolenia nastolatków, w których Lily zaczytywała się u państwa Thorpe. Tylko nieliczne pochodziły z jej epoki, ale widziała te powieści u dostatecznie wielu swoich uczniów, żeby je przeczytać i wyrobić sobie opinię.

– *Nie wygłupiaj się* – powiedziała ostro, zanim pomyślała, że to może wyprowadzić smoka z równowagi. – *Nie jesteś Emmą ze Złotego Dworku. Eddie nie musi składać żadnej przysięgi krwi. Czy możemy już wylądować? Bo prawie zużyłam Źródło.*

Smoczyca wpatrywała się w nią przez moment.

– Tak. Tak sędzę. Potrzebujemy schronienia przed deszczem. Zrobiłam rekonesans i wiem, że w pobliżu znajduje się opuszczona leśna chata. Nie

obawiajcie się; nikt mnie nie śledził. Niewielu mnie widziało, gdy ukrywałam się w chmurach, i wiem od małej Lily, że Arboriańczycy nie wierzą w smoki.

– Też nie wierzyłem. – Edward spojrzął na Margueritte. – Powiniennem się domyślić, że podróż z tobą skończy się czymś podobnym. Przypominają mi się lata nauki. „Ta mała Lily” – mówisz o niej w trzeciej osobie. Czy chodzi o prawdziwe dziecko? Twoją uczennicę, Meg? Skoro tak, pospieszmy się. Przy takiej pogodzie i dorosły człowiek może się wychłodzić na śmierć.

\* \* \*

Opuszczona leśna chata wyglądała jak nieco zmurszały dom letniskowy. Dach z jodłowego gontu dawno pokrył się już śliskim mchem, ale wciąż się trzymał. Gdy Margueritte nacisnęła butem deski tarasu, ugięły się z lekkim skrzypieniem, ale się nie poddały. Ktoś tutaj nadal przyjeżdżał. Okna i drzwi zabito deskami, ale zrobiono to najdalej tej jesieni, drewno wciąż miało jasny kolor i w dotyku było twarde. Pod grubym woskowanym płótnem przy ścianie domu leżał zapas drewna na opał, znajdowała się tutaj również prowizoryczna otwarta stajnia z poidłami dla koni. Pośrodku podwórza stała pompa wodna z żeliwnym fantazyjnym uchwytem. W ogródku krzewiły się maliny, a spod resztek śniegu wyglądało parę grządek truskawek. Nad framugą drzwi wisiała tabliczka z numerem 12.

Obejrzeni się na smoczyce. Z gracją wylądowała na podwórzu i złożyła skrzydła. Nie zdążyli się nawet dobrze jej przyjrzeć, gdy lśniąca w deszczu gadzia postać zaczęła migotać, blednąć i zmieniać się w feerię geometrycznych kształtów i barw. Wreszcie w tym samym miejscu uformowała się postać siedzącej na trawie drobnej dziewczynki. Miała mokre włosy, brudne ubranie i przyciskała do siebie ubłocony chlebak.

Edward przez pewien czas patrzył na to z osłupieniem, ale w końcu zwyciężyła rutyna. Rzucił zakłęcie przeciwdeszczowe, wyjął z plecaka koc, po czym otuloną nim dziewczynkę doprowadził na taras. Przez ten czas Margueritte zużyła prawie ostatnie jednostki na zakłęcie Entropii, które sprawiło, że deski broniące dostępu do środka poczerniały i rozpadły się ze starości. Klucz do drzwi leżał pod wycieraczką.

Wnętrze pachniało kurzem. Nie zainstalowano tutaj żadnego sztucznego oświetlenia, ale Margueritte szybko znalazła lampę olejową i świecznik wypełniony ogarkami. W pokoju dziennym znajdowały się składana kanapa przykryta

czerwonym kocem, rzeźbiony sosnowy stół i dwie ławy, a także kominek, przy którym leżał kosz z rozpałką, pogrzebacz i nieduży stos drewnianych szczap.

Śliwka wyskoczyła z koszyka i wybiegła na środek pomieszczenia, skarżąc się płacząco na wszystko, do czego ją zmuszano przez ostatnie kilka godzin. Zanosilo się na to, że dłuższy czas będzie zwiedzać dom i obwąchiwać wszystkie kąty, miaucząc rozpaczliwie i bezustannie. Meg wyjęła z podprzestrzennej torebki dwie miski; do jednej nalała wody z butelki, do drugiej nałożyła gotowanych podrobów. „Może jak poczuje kurzą wątróbkę, to się zamknie” – pomyślała, sięgając głębiej do torebki. Niestety, jeśli chodzi o karmę dla ludzi, miała ze sobą wyłącznie tabliczkę czekolady.

Lily siedziała na kanapie zawinięta w koc, wpatrując się w swoje stopy. Przygryzała kosmyk włosów, który wpadł jej do ust.

– Proszę. – Margueritte wręczyła jej czekoladę.

– Przepraszam. – Dziewczynka zadygotała. – Przepraszam, nie chciałam. Podśluchałam ich. Mówili, że mnie porwą. Twierdzili, że dopóki grają według reguł, zawsze będziesz krok przed nimi.

Meg westchnęła i uściskała ją niezgrabnie.

– *To ja cię muszę przeprosić* – powiedziała. – *Powinłam była się domyślić, że coś takiego może się wydarzyć, i zabrać cię do Avalonu, aby nie narażać na spotkanie z Komisją. Estera znalazłaby ci zajęcie w świetlicy. Trochę by potem narzekali, ale wywinęłabym się z tego.*

– Co ci się stało w krtań?

– *Operacja. Zresztą w samą porę; tam, dokąd się wybieramy, będzie mi potrzebny mój dawny głos. Opuchlizna szybko zejdzie. Tyle że za dziesięć minut zużyję całe Źródło, więc jeśli jeszcze o coś chcesz zapytać, lepiej się pośpiesz.*

– Masz dwie ręce! – zorientowała się nagle Lily i zakryła usta dłońmi.

– *Tę drugą można odkręcić.* – Margueritte zademonstrowała.

Drzwi pokoiku obok otworzyły się ze skrzypieniem.

– Rozejrzałem się trochę – powiedział Eddie. Niósł gruby porcelanowy kubek, z którego unosiła się para. Pachniało herbatą z cytryną i rumem. – Mają tu zupełnie nowoczesną łazienkę z bojlerem na runy grzewcze i mały ekspres Renlinga w kuchni. Zagotowałem wodę, więc częstujcie się, co kto woli – kawa, herbata. Nie zbiednieją od tego. W szafce cukier, sól, mąka, olej, słoiki z domowym dżemem

i jakieś weki. Z wędek stojących pod ścianą wnioskuje, że ludzie jeżdżą tutaj na ryby, niedaleko znajduje się czysty dopływ Lyonesse. Do Alisinnor jest może ze dwadzieścia kilometrów żwirówką.

– Dziękujemy panu – powiedziała Liliana. – Zrobię naleśniki.

Meg zerwała się z kanapy z lekkim przestraczem. Lily miała dobre chęci, ale czarodziejka nadal pamiętała ten jedyny raz, kiedy jej uczennica pomagała w kuchni pani Thorpe, i wolała sprawdzić, które weki jeszcze nadają się do jedzenia.

– Jest prawie piąta po południu. – Eddie przysiadł na ławie. – Zdrzemnę się w pokoju na piętrze, aż burza przejdzie, odzyskam parę jednostek i będę wracał. Nigdy nie sądziłem, że kiedyś jeszcze dam się wplątać w coś takiego.

– *Nigdy cię nie zmuszałam* – odparła Margueritte ze znużeniem.

– Jasne, że nie. Samo wychodziło. Ale praktyka się przydała. – Przeciągnął się. – Nie ma lepszych ode mnie w lotnictwie.

– *Jasne*. – Czarodziejka się uśmiechnęła.

– Mała Lily? – Edward zwrócił się do dziewczynki. – Nie mam pojęcia, co jej ukradłaś, żeby się zamienić w smoka, ale nie robiłbym tego więcej na twoim miejscu. Zapewniam, że dostaniesz jeszcze swoją porcję przygód, czy tego chcesz, czy nie.

Lily skinęła głową ze skruchą.

– Ile ona ma lat, pani de Breville? – spytał ratownik. – Trzynaście to minimum, ale...

– Dwanaście – odparła Liliana. – Aktywowano mnie za wcześnie. Pewnie dlatego pani de Breville nie chciała mnie uczyć magii. Podobno to szkodzi zdrowiu.

– Aha, i dlatego podprowadziłaś zaawansowaną automagię z jej gabinetu. – Eddie siorbnął łyk herbaty z rumem. – Zły pomysł. Dobrze chociaż, że ci spieszno do nauki, bo jak wreszcie dostaniesz pierwszy protokół do opracowania, to ci mózg uszami wyjdzie. U nas na roku mówili, że na specjalizację do lady de Breville idzie się za karę...

– *Eddie...*

– A później, za kilkadziesiąt lat, dostaniesz własnego stażystę i dowiesz się, jak to jest z nauczycielami i uczniami. – Edward Stern podniósł kubek jak do toastu. –



Bo widzisz, każdy z nas bywa i jednym, i drugim. Czasem równocześnie. Więc szanuj mistrza swego, możesz mieć gorszego.

Z tymi słowami dźwignął się z ławy i udał po schodkach na piętro drewnianego domu.

\* \* \*

Drewno w kominku wreszcie zajęło się ogniem. Liliana spała na kanapie, ubrana w szlafrok Meg, otulona tutejszym wełnianym kocem. Tuż obok dziewczynki położyła się Śliwka, najedzona i wreszcie spokojna. Margueritte, przebrana w czystą suknię podróżną, z pledem zarzuconym na ramiona, postawiła na stole magiczną kulę. Kawa parowała w kubku – była słabego gatunku i zalatywała palonymi trocinami, ale darowanej lurze nie zagląda się w fusy.

Powinna wcześniej skontaktować się z Wandą Thorpe, ale nawet przy swoich ograniczonych umiejętnościach opieki nad dziećmi rozumiała, że najpierw trzeba zadbać o uczennicę, tak żeby miała ciepło, sucho i pełny żołądek. Przy okazji te same potrzeby zapewniła sobie. Jej Źródło odwdzięczyło się, produkując porcję mocy – całe cztery i pół jednostki. Akurat wystarczy na rozmowę. Żeby regeneracja energii nabrała tempa, należało się porządnie wyspać.

Zajrzała już do chlebaka, który Lily zabrała z jej gabinetu. Sądziła, że torba, którą Vince brał kiedyś w teren, dawno zaginęła, a tutaj proszę. Jej uczennica wykazała się sporą przytomnością umysłu, kradnąc najcenniejsze zasoby, jakie miała pod ręką. Płaszcz Lucjusza Thorpe'a właśnie wrócił z poprawek. Zmienił fason i rozmiar, nie przypominał już postneogotyckiej peleryny sprzed dwustu lat, ale właściwości pozostały. Nowa kula się przyda, chociaż trzeba będzie wprowadzić jej wszystkie dane, hasła i takie tam.

Akumulator oczywiście był pusty. Margueritte westchnęła. Nie mogła go naładować własną mocą, to nie wchodziło w rachubę. Energia pochodząca z ludzkiego Źródła źle się magazynowała i dość prędko wypaczała w skażenie. Może da się znaleźć po drodze jakąś stację, choćby niefirmową. Pieczęć już i tak zerwano, gwarancja przepadła.

Zostały jeszcze dwie różdżki z Pociskami Entropii i Ścianą Kinetyczną, w których czarodziejka ze wstydem rozpoznała niezuzyczone zapasy z zeszłorocznej wyprawy na duszoscoka. Której nie rozliczyła w terminie, bo zniknęła po Drugiej

Stronie Świata, i musiała się później handryczyć z Gildią, żeby w ogóle uznano jej raport. Pociągnęła za każdy biurokratyczny sznurek. Weyland pomógł, ale razem z tym, co załatwiała dla Liliany i Artois, wyczerpała chyba już wszystkie zaległe przysługi, jakie mogła wykorzystać. Wydała też lwią część oszczędności. Dwór de Branche d'Ambre wcale nie był tak zamożny, jak się ludziom wydawało, Margueritte odziedziczyła po wuju więcej długów, niż wynosiła jej własna fortuna.

Zacisnęła czarną prawą dłoń w pięść. A zatem po długiej chorobie i nieobecności zaczyna pisać swoją nową kartę w dziejach świata. „Nie, to nie do końca tak” – poprawiła się. Obejrzała się na Lilianę. Pomyślała o tym, czego ich mała, nadszpodziewanie zżyta grupa dokonała w Bretanii. Nie wszyscy znajdowali się tutaj, ale więzi między nimi nie zniknęły, były równie trwałe jak ta magiczna, ustalona między smokiem a królową d'Argent.

Z tą myślą wywołała kulę pani Wandy Thorpe. Dłuższą chwilę czekała na odpowiedź, aż wreszcie kryształ pokazał twarz dystyngowanej damy w wieku późnośrednim. Państwo Thorpe skończyli, o ile dobrze pamiętała, po siedemdziesiąt lat (Vincent miał siostrę urodzoną dziesięć lat wcześniej, zamężną i dzieciatą), ale słowo „starsza pani” w tym przypadku nie przychodziło jej do głowy. Zdrowy tryb życia i dobry makijaż. Rezydualna aktywność Źródła. Albo inne czynniki. Kto ich tam wie. Ziemia Drzew cicho, lecz nieustępliwie pracowała nad swoimi nowymi – według rachuby geologicznej – mieszkańcami z większym lub mniejszym sukcesem. Ale Margueritte nie miała dziś ochoty myśleć nad teoriami zmian, jakie z pokolenia na pokolenie zachodziły w ludzkim gatunku.

*– Dobry wieczór. Przepraszam, że dopiero teraz się odzywam. Zguba znalazła się parę godzin temu, jest cała, zdrowa i bezpieczna.*

Wanda Thorpe wyglądała na zmartwioną, ale nie zaskoczoną. Może dlatego, że przed wyjazdem Margueritte została ostrzeżona, iż przez pewien czas będzie przemawiać syntetycznym głosem.

– Wiemy – potwierdziła. – Skontaktował się z nami ratownik Stern. Odpoczywacie pod dwunastką, to znaczy w letnim domu państwa Pomeroy. Może powinna pani wiedzieć, że urzędnicy Komisji jadą w tę stronę. Ten cały Barker używał mojej kuli i tak coś zmienił, że nie mogłam pani wywołać. On jest półaktywny, pani de Jaspe to pełnoprawna czarodziejka. Powinni już być na miejscu.

Margueritte zerwała się z ławy i podbiegła do drzwi. Uchyliła je.

W oddali dostrzegła zbliżające się z wolna światło.

\* \* \*

Vincent

W środkowej Arborii, nad granią Hergest, później

Zakłęcie kinetyczne, które od jakiegoś czasu zastępowało drzwi gondoli, pękło pod moim ciężarem. Przez kilka najdłuższych w życiu sekund zaciskałem rękę na krawędzi śliskiej podłogi, a widok Jamesa Archera celującego w moją narzeczoną zapisywał się w pamięci jak na formie do akwaforty. W uszach wybrzmiał huk wystrzału.

W tamtej chwili statek znów się zakołysał. Zobaczyłem tylko urywki całej sceny. Chmurę rudych włosów i znajomą sylwetkę tracącą równowagę na podłodze gondoli. Pułkownika z pistoletem – tuż przed wystrzałem, a później już po tym, jak wybrzmiało echo. Nie wiedziałem, gdzie utkwiała kula, czy Amandine została ranna, czy tylko poślizgnęła się na posadzce. Strach o nią mieszał się ze wściekłością na Jamesa Archera. Nigdy wcześniej tak bardzo nie chciałem nikogo zabić. Szumiało mi w uszach, a przed oczami miałem biel.

Później moje palce się poddały. Zdawałem sobie sprawę z tego, że spadam i że jak najszybciej muszę przeliczyć zakłęcie Lotu, ale ta część mózgu, która odpowiada za racjonalne myślenie, odmówiła współpracy. Instynkt nakazywał mi tam natychmiast wrócić, uratować Amandine i zrobić z Archera mielone.

Grawitacja postanowiła mi to udaremnić.

Po krótkiej chwili swobodnego spadku przeważyły odruchy wytrenowane podczas długoletniej nauki u Margueritte. Zacząłem przeliczać zakłęcie Lotu, z początku prawie bez udziału świadomości. Nadal wrzała we mnie krew, odciągając uwagę od wzorów. Myliłem się jak uczeń, uwalniając w powietrze coraz większe ilości nadmiarowej mocy. Powietrze świszczą wokół mnie. Wiatr wyciskał łzy z oczu, grożąc oślepieniem, więc zacisnąłem powieki.

Wreszcie skleciłem kształt zakłęcia – w żadnym razie prawidłowy, ale wystarczający, żeby zadziało. Zatrzymałem się raptownie, co sprawiło, że omal nie zwróciłem całej treści żołądka.

Ostrożnie otworzyłem oczy. Otarłem je grzbietem dłoni.

Pode mną ginęły w deszczu szerokie zielone przestrzenie. Znajdowałem się mniej więcej dwieście metrów nad ziemią. Nagle dotarło do mnie, jak niewiele brakowało, żeby został ze mnie mokry placek, i zorientowałem się, że cały czas wstrzymywałem oddech.

Przez chwilę lewitowałem bezmyślnie, starając się tylko utrzymać równowagę w powietrzu. Mimo starań podmuchy wiatru targały mną, jak chciały. Szlafrok i piżama kleiły się do skóry, a deszcz stopniowo zaczynał stawać się niemal ciepły, co było bardzo groźnym objawem. Moja stopa – ta sprawna – cierpła z bólu wywołanego tkwiącą w niej porcelanową drzazgą, ramię pulsowało od pasożyta zatruwającego Źródło.

Przynajmniej już nie świeciłem.

Spojrzałem w górę. Gloria d'Aquamarine zniknęła gdzieś w chmurach. Strugi wody lejące się z nieba i wiatr przenikający kości sprawiały, że ledwo panowałem nad zakłębieniem, i chociaż wszystko we mnie krzyczało, żeby wzbić się wyżej i gonić statek, zaczął do mnie docierać prosty fakt: powinienem raczej zacząć szukać schronienia, zanim zginę od pioruna albo z wychłodzenia organizmu.

„Spokojnie, Vince. Tylko spokojnie. Nikt jej nie próbował zamordować, to był przypadkowy postrzał, może wcale nie trafił, niemożliwe, żeby została ciężko ranna. Zaraz wysterują z burzy i wszystko będzie dobrze. A ty go później znajdziesz i zemścisz się tak, żeby do końca życia moczył się w łóżku, gdy mu się przyśnisz”.

Cały się trząsałem. Zimny wiatr i furia równocześnie przenikały mnie aż do kości. Ale chęć przeżycia brała górę. Zataczałem koła nad górskim grzbietem porośniętym gęstym jodłowym lasem. Ledwo cokolwiek widziałem w deszczu; górskie zbocze chyba przecinała droga, dostrzegłem też łąki. Skoro są tutaj łąki, to znaczy, że wypasają zwierzęta. A jeśli wypasają zwierzęta, to gdzieś musi być chociaż jedna pasterska chata.

Zacząłem lądować nad pierwszym dachem, który wypatrzyłem na grani. Nieduży drewniany budynek trudno było nazwać domem, wielkością przypominał raczej komórkę na narzędzia zbitą z poczerniałych, krzywych desek. Opadłem na mokrą ziemię tuż przed chatą i chyba na sekundę urwał mi się film, bo po chwili zorientowałem się, że leżę w błocie przy drzwiach, trzymając się za stopę.

Namaciałem przeciętą skórę. Okruch porcelany wypadł sam, jednak musiał przeciąć większe naczynie, bo dość silnie krwawiłem.

Odetchnąłem głęboko. Potrafiłem zachować trzeźwy umysł w trudnych warunkach, a przynajmniej wystarczająco trzeźwy, żeby przeliczyć proste zakłęcie tamowania krwotoku. Rzuciłem je rutynowo – moje Źródło stawiało pewien opór, ale postanowiłem, że pomyślę o tym później – a następnie wstałem, podpierając się dłońmi o kolana. Drzwi chaty zamknięto od zewnątrz tylko na haczyk, więc otworzyłem je i wszedłem do środka.

Wnętrze trochę zalatywało owczarnią, ale było sucho i odrobinę cieplej niż tam, w deszczu. Usiadłem po ciemku na klepisku, a później, mimo że wciąż dygotałem z zimna w przemoczonej szlafroku, a dzwoniące zęby znacząco utrudniały wytyczanie granic funkcji, zrobiłem coś bardziej konstruktywnego od fantazjowania o zemście na Archerze: rzuciłem zakłęcie lokalizacyjne.

Z wielką ulgą dostrzegłem, że cienka złota nić zmaterializowała się natychmiast, wystrzeliła, przenikając ścianę, i pomknęła w dal. Amandine żyła. Punkt, w którym znajdowała się moja narzeczona, nadal się poruszał, czyli nie spadli. Całe szczęście. Zamknąłem oczy, starając się jak najlepiej zapamiętać kierunek. Nie może być poważnie ranna. Nie może. Jutro znów sprawdzę, jak się miewa, a później, za dnia, dotrę na pierwszą pocztę, jaką znajdę, i postaram się z nią skontaktować.

Gdy już uznałem, że dość wiem, umieściłem pod sufitem kulę światła.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, okazał się żelazny piecyk z długim czarnym kominem. Na blasze stały stary rondel i czajnik, a obok w koszyku leżało kilka brykietów opałowych. Nie wnikałem, czy są z torfu, czy z nawozu. Wolałem węgiel, ale nie spodziewałem się zastać tutaj tak luksusowego źródła ogrzewania. Tuż obok ścianę podparła odrapana szafka zastawiona szpargałami, stoikami i puszkami. Na kołku wisiał płócienny strój roboczy razem z wytartym kozuchem i pałatką przeciwdeszczową, a pod nim zostawiono brudne gumki. Naprzeciwko stała szeroka ława przykryta warstwą baranich skór.

„Masz wszystkie wygody, Vince. Rezydencja godna Wielkiego Maga”.

Wciąż się trzęsąc, przeszukałem szafkę i kosz, żeby znaleźć zapalniczki, ale obok piecyka leżało tylko stare pudełko na krzesiwo. „Oczywiście – westchnąłem. – Krzesiwo nie zamoknie i nic nie kosztuje”. Chociaż już kręciło mi się w głowie, wrzuciłem brykiety do piecyka, a następnie przeliczyłem podstawowy element Creo

z modyfikacją termiczną. To nawet nie było pełnoprawne zakłęcie, ale na szczęście nie wybuchło, a kominek miał dobry ciąg. „Dobra nasza, przynajmniej się nie zac zadzę”.

Godzinę później grzałem się przy piecyku cuchnącym końskim nawozem, przebrany już w suche ubranie, z kubkiem ziołowej herbaty w dłoniach. Maliny, goździki i parę innych przypraw; stanowczo brakowało alkoholu. Prócz tego znalazłem w szafce słoik z cukrem zapaskudzionym przez mrówki, dwie puste butelki po wódce, lampę olejową, szeroki pędzel i puszkę z niebieską farbą z hojnym dodatkiem owczej sierści – nie miałem pojęcia, czy owce się maluje, wyglądało na to, że tak. Środkową półkę przeznaczono na ołtarzyk – leżał tam mały obrazek świętej Aimée, przystrojony koralami z suszonej jarzębiny, i ogarek świeczki. Wyczuwałem resztki starej magii, zapewne tradycyjnych uroków pasterskich.

Właściciel chaty był ode mnie tęższy i trochę niższy, ale czułem ulgę, że chociaż buty miały mój rozmiar. Temperatura oscylowała wokół zera i bardzo nie chciałem odmrozić sobie nóg w drodze do tutejszej cywilizacji. Bo w obecnych warunkach pogodowych latanie wyglądało na zdecydowanie zły pomysł.

I czy przypadkiem nie zdradziłem swojej tożsamości Maga Pustki przed tajną organizacją, która odkryła, że samo moje istnienie powoli niszczy świat i w związku z tym należy mnie jak najszybciej zlikwidować? W świetle wydarzeń na statku mogłem przyjąć za pewnik, że Jacqueline trzymała z napastnikami i że prawie na pewno mieliśmy do czynienia z Iglicą – organizacją, o której opowiedział mi Weyland.

Dodatkowo wszystko wskazywało na to, że agenci wyżej wymienionej organizacji potrafią się teleportować. W przeciwieństwie do mnie. Nawet jeśli mają rację i naprawdę wywieram destrukcyjny wpływ na siatkę geomagiczną, wolę nie rozwiązywać tego problemu, dając się zabić. Może się przejaśni; jeszcze to przemyślę. Trzeba jak najszybciej wrócić na Glorię i zamordować Archera... Nie... Zacisnąłem pięści. Pomóc Amandine. Wyjaśnić nieporozumienie i opowiedzieć, co się stało z Weylandem.

Jeszcze raz przeszukałem szafkę, ale nie znalazłem niczego, żeby opatrzyć skałeczoną stopę, więc poprzestałem na zakłęciu Aseptycznej Ulgi. Uważnie obejrzałem ranę; okazała się nie tak głęboka, jak się obawiałem, i już nie krwawiła. Pomyślałem, że może później znajdę siłę, żeby trochę sobie pomóc w regeneracji.

Tymczasem postanowiłem sprawdzić, co właściwie dzieje się w miejscu, gdzie w moje ramię wkłuła się strzykawka z pasożytem.

Ponieważ napastnik nie próbował mi zrobić profesjonalnego zastrzyku, igła rozorała skórę po zewnętrznej stronie ramienia i pozostawiła długi czerwony ślad. Uważnie mu się przyjrzałem, używając magicznego wzroku, żeby od razu zidentyfikować problem. Nie miałem wielkiej nadziei, że rozpoznam, czym właściwie mnie zarażono, skoro sam Arcymag tego nie potrafił. Z drugiej strony jemu brakowało czasu, żeby to przemyśleć.

Rzeczywiście coś aktywnego magicznie znajdowało się pod skórą. Nacisnąłem palcem wierzch ranki; wypłynęła kropla krwi zmieszanej z brunatnożółtym płynem. Zdjął mnie paniczny strach, że znów złapałem coś potwornie zjadliwego i zaraźliwego i że tym razem nie wywinę się od śmierci.

Nie miałem jednak żadnych objawów oprócz pewnej trudności w posługiwaniu się Źródłem. Za skronią wciąż tętnił ból, ale ten był skutkiem toksycznego dymu, którym uspili nas napastnicy. Nie pojawiła się też większa ilość płynu, jakbym wycisnęła przyszc. I coś jeszcze – dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że ranka wydziela ledwo wyczuwalny zapach. Jak ziemia po deszczu zmieszana z odrobiną piółunu. Dziwne. Coś mi to mówiło, ale w tej chwili nie potrafiłem sobie przypomnieć nic konkretnego. Coś związanego z pracą albo kolekcjonowaniem ziół. Może używałem takiego odczynnika w pracowni.

„Prześpię się trochę – postanowiłem, kuląc się na ławie. – Może mnie olśni. Na przykład się zorientuję, gdzie mnie właściwie poniosło”.

Aż do rana przewracałem się z boku na bok, wielokrotnie się budząc i z powrotem zapadając w sen. Śniły mi się urywki wspomnień z Utraconej Bretanii. Znów rozdzielono mnie z Amandine i krążyłem po całym kraju, usiłując ją odnaleźć, ze świadomością, że moja narzeczona prawdopodobnie już nie żyje. W niektórych sennych wersjach szedłem pieszo przez bagna Montreuil i spustoszone wsie, w innych fruwałem na Królewskim Rydwanie. Czasami sprawcą był Lucjusz Thorpe, ale równie często jego twarz przeistaczała się w oblicze pułkownika Archera. Wszędzie, dokąd trafiłem, otwierały się rozpadliny, a istoty Pustki wypełzały z każdego cienia. Wojna pustoszyła kraj.

Obudziłem się z ulgą. W chacie panował zaduch, piorunująca mieszanka brykietów z końskiego nawozu, owczych skór i wilgoci, która odparowała z wiszących na kołku szlafroka i mojej piżamy. Nie zwlekając, uchyliłem drzwi.

Uderzył we mnie poranny chłód. Na zewnątrz świergotały zięby. Zapach jodeł mieszał się z wonią przedwiośnia, rozmięklej ziemi i zbutwiałej ściółki. Szeroko otworzyłem drzwi, żeby wywietrzyć chatę, i powoli zacząłem dochodzić do siebie.

W lewym bucie miałem lepko i mokro, a stopa nieprzyjemnie ćmiła. Z rany sączył się surowiczy płyn z domieszką krwi. W zwykłych warunkach zaszyłbym ją, ale nie miałem czym, więc musiałem znów zastosować wyłącznie magię. Dodałem zaklęcie przyspieszające gojenie, którego niedawno się nauczyłem. Nie znałem niczego mocniejszego, magia lecznicza nie bez powodu należała do najtrudniejszych dziedzin sztuki, ale dobre i to. Szło mi nie lepiej, ale i nie gorzej niż wczoraj. Trochę jakby moje Źródło zostało czymś zasłonięte. Albo przytłoczone obcym ciężarem.

Nie miałem się gdzie umyć, więc tylko poszedłem w krzaki. Z wolna rozjaśniało mi się w głowie. Tak, znów rozdzielono mnie z Amandine. Strzelano do niej. Ale przecież widziałem, jak statkiem targnęło dokładnie w chwili, gdy Archer strzelał. Zapewne nie trafił. Jeżeli ją zranił – zatrząsem się na samą myśl o takiej możliwości – na pokładzie znajdował się medyk z dostępem do magicznych metod leczenia. Bardzo możliwe, że zanim ja się zemszczę na pułkowniku, Amandine zrobi to za mnie. A już na pewno powie, co o tym wszystkim sądzi. Odetchnąłem głęboko, usiłując sobie wyobrazić, jak moja narzeczona opiernicza Jamesa Archera do końca wspólnej podróży. Sprawilo mi to pewną satysfakcję.

Zamknąłem oczy, uspokajając się powoli. Jeżeli chciałem doczekać ponownego spotkania, należało się zająć bieżącymi problemami. Ktoś chciał mnie zabić i pewnie wiedział, gdzie się znajduję, bo półaktywni czarodzieje, których wypłoszyłem z Glorii, wylądowali gdzieś w szeroko pojętej okolicy. A gdy wypadałem za burtę, świeciłem jak automagiczna lampa.

Kwestię tego, czy doprowadzam świat do rozpadu, postanowiłem odłożyć na później. Wszystko po kolei, inaczej zwariuję.

Najpierw zaklęcie lokalizacyjne. Wykazało, że Gloria z moją narzeczoną na pokładzie od tamtej pory przebyła długą trasę, a teraz się nie poruszała. Powinni



już dotrzeć do Avalonu, ale dowiem się na pewno, dopiero gdy skonfrontuję wskazówki zaklęcia z mapą.

Dawno zarzuciłem nawyk porannego medytowania w celu zgromadzenia kwantów magii, jakie krążyły po kanałach energetycznych ludzi pozbawionych aktywnego Źródła. Już tego nie potrzebowałem. Ale tego ranka postanowiłem dokładnie się sobie przyjrzeć i pokusić się o diagnozę. Już poprzednio wyczuwałem, że coś tam tkwi – jak czarne pasożytnicze ziarno. Teraz zbadałem się dokładniej.

Cokolwiek to było, próbowało wchłaniać magię Źródła, ale nie umiało jej zużyć zbyt wiele naraz. Oceniałem jego możliwości raczej w kwantach niż w jednostkach. Miałem wrażenie, że było odrobinę – ale tylko odrobinę – większe niż wczoraj. Pamiętałem, jak silnie zareagował Weyland, i zastanawiałem się, czy to kwestia dawki, czy właściwości mojego talentu. Nie potrafiłem ocenić, czy pasożyt rzeczywiście wytwarza moc Pustki. Jego energetyczny fantom tkwił tuż przy Źródle, a ono bardzo dobrze sobie radziło z takim wyzwaniem. Jeśli ilości skażonej mocy były niewielkie, nawet nie czułem, że ją przetwarzam.

Ranka na ramieniu zaschła i zbladła. Jednak w miejscu, gdzie nastąpiło wkłucie, pojawiło się coś nowego: dwie czarnobrzazowe nici na skórze, jak namalowane albo wytatuowane. Ponieważ przez kilka ostatnich lat nauczyłem się traktować sztalugi i tubki z farbami jak zwykły element wystroju domu i chętnie stosowałem uroki, które pomagały Amandine w pracy (rozcieńczanie beznadziejnie wyschniętych farb, wygładzanie płócien, poprawianie werniksu itp.), od razu przyszła mi do głowy nazwa tego koloru – sepia. Zarówno barwa, jak i wyraźny zapach ziemi z piołunem, nasuwały mi skojarzenia z czymś, co już kiedyś widziałem. Stwierdziłem, że w końcu sobie przypomnę, i pozostałem przy nadaniu imienia mojemu nowemu potworowi. Sepia. Może być.

Należało bezzwłocznie przygotować się do drogi. Nie zamierzałem latać – chmury się nie rozeszły, lada chwila pogoda znów mogła się pogorszyć, a na domiar złego prawdopodobnie mnie ścigano. Na tle nieba będę stanowił idealny ruchomy cel.

W chacie znalazłem kij pasterski. Przyda się. Podarłem nogawki wyschniętej już pizamy na paski i starannie owinąłem stopy. Koszulę związałem tak, żeby utworzyła sakwę. Zabrałem do niej rondel, a także butelki po wódce; jeśli znajdę gdzieś strumień, nadadzą się jako naczynia na wodę. W okolicy dostrzegłem kępę pięknie kwitnących, żółtych jak małe słońca krokusów; na pewno gdzieś rósł tasznik, ale nie

chciałem się wygłupiać ze zbieraniem cebul i jadalnych ziół, dopóki nie stwierdzę, że to konieczne. Nie wylądowałem na zupełnym odludziu. Skoro latem wypasano tutaj owce, gospodarstwa znajdowały się niedaleko.

Już miałem ruszać w drogę, gdy coś sobie uświadomiłem.

Tutejszy pasterz ochronił mnie, uratował i ugościł, nawet o tym nie wiedząc. Za miesiąc lub dwa odwiedzi swoją chatę podczas pierwszego wypasu, a ja zabrałem mu odzież roboczą, wypaliłem ostatnie brykiety i w zamian zostawiłem tylko szlafrok. Tak nie może być.

Poświęciłem z pół godziny na chodzenie wokół chaty i rzucanie uroków, takich, jakimi posługiwałem się jeszcze jako asystent. Zabezpieczyłem ją przed kornikami i mrówkami, skrobiąc pieczętującą runę na progu. Odnowiłem zwietrzałą magię, która chroniła dom przed uderzeniem pioruna. Właściciel chaty pozna, co zrobiłem. Od więdźmy dla więdźmy, kolego.

\* \* \*

Opierając się na kiju pasterskim, zacząłem powoli schodzić granią. Wkrótce dostrzegłem stary kamienny słupek i nieco nowszy czerwony pasek na jednym z drzew. Znajdowałem się nie tylko w rejonie wypasu owiec, lecz także na szlaku turystycznym, a to dobrze wróżyło na przyszłość. Poczułem, jak moje ramiona lekko się rozluźniają, i zdałem sobie sprawę z tego, że zaraz po wylądowaniu wszedłem w tryb przetrwania, jakbym ponownie przeniósł się do Utraconej Bretanii. A przecież wróciłem do domu, do Arborii, kraju, którego kulturę miałem we krwi i który zwiedziłem wzdłuż i wszerz razem z Meg – dylizansem, drogą lotniczą czy też na piechotę z plecakiem. Skoro widzę oznaczenie szlaku, drogowskaz powinien znajdować się niedaleko stąd.

Natknąłem się na niego przy pierwszym rozwidleniu.

Przyjrzałem się wytartym tabliczkom. Moja sytuacja wcale nie przedstawiała się tak źle, jak się z początku zdawało. Wylądowałem na grani Hergest. Co prawda nigdy nie szedłem tym konkretnym szlakiem, ale rejon gór Llywarch poznałem dość dobrze podczas jednej z misji dla Gildii Magów. Całkiem niedaleko prowadzono wykopaliska w Kotlinie Miedzianego Smoka; wciąż odkrywano tam nowe ruiny imperialnych fortec, głównie z okresu środkowego i wczesnego Cesarstwa Triumwiratu. Natomiast w samym Llywarch, oddalonym o kilka godzin jazdy

dyliżansem, pracował niejaki Donatien Beaufort, czarodziej i specjalista od rezonansu Pustki, jeden z naukowych kolegów Margueritte. Wymienialiśmy listy jeszcze przed naszą wyprawą na Drugą Stronę.

Nie tylko Iglica miała w Arborii swoich ludzi. Może i wczoraj spadłem z nieba, lecz nie wziąłem się znikąd i od ponad dwudziestu lat za pośrednictwem mojej szefowej należałem do prężnej społeczności czarodziejów. Wcale nie byłem pewien, czy Donatien zechce mi pomóc, ale wiedza o istnieniu Cienia Gildii ukazywała mi znajomości Meg w całkiem nowym świetle.

Musiąłem spróbować szczęścia. Nie tylko ze względu na własne bezpieczeństwo, lecz także z powodu Weylanda. Nie mogę liczyć na to, że w obecności Jacqueline uda się zdiagnozować Arcymaga, będzie się starała nie dopuścić do kontaktu z doktor Everett. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej mnie to wszystko niepokoiło. Po co Iglicy zainfekowany Weyland? Co planują? Praktycznie dostałem na piśmie wykładnię ich motywacji, a ze słów Jacqueline wynikało, że od lat spiskowali przeciwko Gildii Magów. Tyle że nie przewidzieli mojego istnienia. Rozpoczęli akcję na pokładzie Glorii już po tym, jak wykluczyli mnie z równania jako Maga Pustki. Będą chcieli mnie zlikwidować nie tylko ze względu na mój talent.

Najpierw trzeba uzyskać kontakt z cywilizacją. Odkąd byłem tutaj ostatni raz, minęło piętnaście lat i w rejonie Llywarch zaczęły pojawiać się schroniska, a według drogowskazu jedno z nich znajdowało się w odległości dwóch godzin marszu. Daleko – jedną stopę miałem nadal obolałą, a drugą niezupełnie sprawną. Powiedzmy, że dotrę tam przed wieczorem. Dam znać telegrafem Beaufortowi (wątpię, żeby mieli tam kulę), dostanę pomoc medyczną i jedzenie, może straż górską odwiezie mnie do miasta. Nie muszę fruwać i narażać się na konfrontację z agentami Iglicy. W Llywarch wypłacę pieniądze na poczcie, ubiorę się jak człowiek i odpocznę sobie wreszcie w instytucie.

Wciąż wpatrując się w drogowskaz, kątem oka dostrzegłem, że ktoś nadchodzi szlakiem. Odwróciłem się z nadzieją. Bardzo możliwe, że uzyskam pomoc jeszcze wcześniej, niż sądziłem.

Drogą szło dwóch turystów. Mieli ze sobą kijki i plecaki, wysokie górskie buty, podbijane puchem kurtki, grube wełniane podkolanówki, rękawiczki oraz czapki i w ogóle wyglądali bardzo profesjonalnie. Im dłużej im się przyglądałem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że jestem ubrany w niedopasowane pasterskie

spodnie, które trzymały się na mnie tylko dlatego, że związałem je sznurkiem od pidżamy, a prócz tego noszę za dużą koszulę o zbyt krótkich rękawach, stary barani kozuch, który wygląda, jakbym go komuś ukradł, oraz brudne gumki, i wszystko to cuchnie owcami oraz końskim nawozem. Żeby dopełnić obrazu, taszczyłem na plecach sakwę zrobioną z koszuli, w której pobrzękiwał rondel i wyraźnie odciskające się przez cienki materiał butelki po wódce. Gdyby jeszcze ubranie było w moim rozmiarze, robiłbym chociaż wrażenie zapracowanego autochtona. Obawiałem się jednak, że budzę gorsze skojarzenia.

Cóż, wszystko się szybko wyjaśni, a nikt przecież jeszcze nie umarł ze wstydu.

– Dzień dobry.

Ominęli mnie szerokim łukiem, bardzo starannie ignorując moją obecność.

– Dzień dobry – powtórzyłem. Może wyglądałem jak lokalny menel, ale na szlaku na powitanie zawsze odpowiada się powitaniem.

– Dzień dobry – odparł jeden z nich i przyspieszył kroku.

Unikał kontaktu, a ja właśnie obserwowałem, jak odchodzi moja szansa na apteczkę i śniadanie.

„Tak się właśnie kończy podejmowanie decyzji pod wpływem gniewu – pomyślałem smętnie. – Schronisko znajduje się niedaleko. Gdybym wczoraj nie zaprzętał sobie głowy zemstą i przyjrzał się górom pięć minut dłużej, na pewno zobaczyłbym jego dach. Dostałbym ciepły posiłek i wygodne łóżko. Spędziłbym noc w znacznie bardziej komfortowych warunkach. No i nie śmierdziałbym owcą”.

– Proszę panów – odezwałem się zdecydowanym tonem. – Pot... rzebuję pomocy. Napadnięto na mnie i obrabowano.

– Nie mam drobnych – powiedział turysta i szturchnął tego drugiego, żeby iść jeszcze szybciej. W lekkim stuporze patrzyłem, jak się oddalali, zastanawiając się nad fenomenem psychologicznym, który każe udzielać pomocy tylko ludziom odpowiednio ubranym i starannie umytym. Mógłbym oczywiście rzucić na nich zaklęcie i ich okraść, ale nie czułem się jeszcze aż tak zdesperowany.

– Oj, bo to młodzież była kiedyś grzeczniejsza – sapnął ktoś za moimi plecami.

Z zarośli wynurzyła się starowinka. Zgarbiona, skurczona, w baranich kozuszkach, z wiklinowym koszykiem. Takie staruszki spotykało się w górach równie często jak pasterzy. Gdyby to było lato, zbierałaby jagody, jesienią kosz wypełniłyby prawdziwki i koźlaki. Teraz zobaczyłem stos cebulek, bulw i bladych jeszcze liści.

Szanowni turyści, witajcie na grani Hergest. Prosimy uważać, ruch jak w centrum Avalonu. Zwróćcie uwagę na smog i ciekawskie babcie zielarki.

Uśmiechnąłem się do starowinki.

– Trudno ich winić – powiedziałem. – Kiepsko wyglądam.

Podpierając się kosturkiem, babcia wygramoliła się na szlak. Otaksowała mnie wzrokiem od stóp do głów. Widziałem, jak się nad czymś zastanawia. Była stąd; pewnie знаła wszystkich pasterzy na pamięć.

– To kaloszki Olgierda? – Wskazała na moje stopy. – I pewnie jego kozuch? A co na plecach niesiecie?

– Zaraz wszystko wy... tłumaczę.

Zdjąłem prowizoryczną sakwę i ją rozsuptałem. Babcia wzięła koszulę w dwa palce i wysoko uniosła brwi.

– Nie wiedziałem, kiedy kogoś znajdę. Spałem, gdy zrzucili mnie tutaj zakłębieniem. Ograbili mnie do ros...ołu.

Popatrzyła na mnie zaniepokojona.

– Zbóje? Czarodzieje zbóje? Wy sobie nie żartujcie. Toż trzeba dać znać żandarmowi w Ynysforgan, a może i do miasta. Czarodzieje, patrzcie ich, skurczybyków!

– Macie może kulę w Ynys... we wsi?

– Kuli nie mamy, dalekopis jest, ale to u wójta, w dolinie – odparła starowinka. – Czarodzieje u nas, na Hergest?! To już dziesięć... piętnaście lat, jak w Ynysforgan była Szalona Meg.

Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem. Wciąż nas pamiętali, a ja nawet nie potrafiłem wymówić nazwy tej miejscowości.

– Była, była. Do tej pory odbudowują tartak. Chodźcie za mną. Jeść chcecie?

Spracowanymi dłońmi, trwale przebarwionymi od wieloletniego skrobienia warzyw, wyjęła zza pazuchy zawiniątko w tłustym papierze, rozsuptała, podała pajdę chleba ze smalcem. Nie protestowałem.

\* \* \*

W zagrodzie wrzała praca. Zażywna kobieta trzepała na ganku pierzyny. Siwy mężczyzna, prawdopodobnie dziadek, siedział na pieńku przy drewnitni i naprawiał

końską uprząż. Dwóch nastoletnich chłopaków tkwiło na dachu stodoły, stukając młotkami i wymieniając zniszczone po zimie gonty. Ten młodszy powinien być chyba jeszcze w szkole powszechnej. Pamiętałem wysiłki nauczycieli z Alisinnor, żeby zagonić do klasy wszystkich uczniów z okolicznych gospodarstw, a przecież to było prawie na przedmieściach Avalonu.

– Janna! – krzyknęła starszuszka. – A rusz się no! Cebule przyniosłam! I gościa przyprowadziłam!

– Co ty gadasz, babka?! – odkrzyknął głos z wnętrza chaty. – Już, już idę! Lena, patrz, żeby się nie przypaliło.

Na ganek, wycierając ręce w fartuch, wyszła gospodyni. Czarnowłosa, czarnooka, obfita we wszystkich właściwych miejscach, w kwiecistej spódnicy i takim samym gorsiecie założonym na koszulę, wypełnionym niezwykle hojnie i z rozpiętymi dwoma guziczkami na górze. Napomniałem sobie bardzo stanowczo, żeby patrzeć na jej twarz. Zaświtało mi w głowie, że chyba kiedyś ją widziałem, ale nie byłem pewien.

– Coś ty znowu, babka, z lasu przywlokła? – Gospodyni podeszła bliżej. „Twarz, Vincent. Patrz na twarz”.

– Zgubił się. Mówi, że go napadli, i w dodatku czarodzieje. Też myślałam, że może pomyłony, ale przecież butów nie ma, jedną koszulinę na grzbiecie. Jak by się tutaj uchował? Eric przyjedzie, to go weźmie do żandarma.

– Czarodzieje? W Ynysforgan? – Janna zmrużyła oczy. – A pan co za jeden?

– Vincent Thorpe, do usług szanownym paniom – przedstawiłem się. – Z Uniwersytetu Avalońskiego. Wracam z wyko... palisk.

– Chwilę. Thorpe, Thorpe. Ja pana chyba pamiętam. Szalona Meg znów jest we wsi?

Zaraz, zaraz. My tutaj naprawdę długo nie zabawiliśmy. Trzy, może cztery tygodnie. I cała wieś, której nazwy nie potrafiłem nawet prawidłowo wymówić, wspomina nas po piętnastu latach? Dobrze wiedziałem, że o Meg opowiada się różne historie, ale przecież nawet nie zrobiliśmy nic szczególnego. No dobrze, kiedy zapadły się tamte ruiny, tąpnięcie rzeczywiście zawaliło tartak.

– Nie, tym razem jestem sam.

– Całe szczęście! Ale – zerknęła na mnie podejrzliwie – nie przyniósł pan czasem własnych kłopotów?

„Hm, pomyślmy. Wczoraj spadłem z królewskiego statku latającego, gdzie zostali moja narzeczona i Arcymag, nieprzytomny wskutek zamachu. Ci sami ludzie, którzy nas napadli, chcą mnie zabić. Stosują automagię, której nie rozumiem, być może wezwali posiłki i krążą gdzieś po okolicy, a ich agentka wciąż znajduje się na okręcie. Aha, czy wspominałem może, że jestem Magiem Pustki z Utraconej Bretanii? Mam pełne wiadro kłopotów, proszę pani, i im krócej tutaj zostanę, tym lepiej dla was. Niestety, żeby skutecznie walczyć z tajnymi organizacjami, trzeba się najpierw ubrać”.

Oczywiście nie powiedziałem tego wszystkiego na głos.

– To ten chłopak, co z nią był? Uczeń albo parobek – zainteresowała się babcia i uważnie popatrzyła mi w twarz. – Rzeczywiście. Pamiętam cię, jakby to było wczoraj. Zmizerniałeś okrutnie. Taki uprzejmy, odważny, podobał ci się, Janno.

– Babko! – ofuknęła ją gospodyni.

– Przepraszam, że zajmuję czas. – Postanowiłem przerwać dyskusję, która stanowczo zbacziała na niewłaściwe tory. – Nie zostanę tutaj długo, muszę szybko dos... tać się do miasta. Na poczcie będzie kula i jakoś sobie poradzę. Chciałbym prosić o pożyczanie ubrania... które może lepiej pa... suje. Chętnie bym się umył. Potrzebuję też opatrunku.

– Nogę ma całkiem poharataną – dodała babka. Widziała, jak zdejmowałem but na postoj i poprawiałem prowizoryczny opatrunek. – Aż cud, że idzie!

„No co ty, babciu, nie powiesz?”.

– Nie mam pieniędzy. Ale gdybyście potrzebowali uroku albo dwóch, pomogę. Janna wspomniałomyślnie skinęła głową.

– Przyda się. Nasza wiedźma zarobiona jest teraz, na przedwiośniu.

– A co taki miastowy czarodziej umie? – wyraziła wątpliwość staruszka.

– Wbrew pozorom sporo – odparłem. – Moi rodzice hodują konie.

– Konie to nie owce – prychnęła babka. – Niech się do inwentarza nie dotyka, resztę może robić.

Obmyłem się w korycie przy studni z najgorszego błota i szcękając zębami, wszedłem do domu, gdzie nalano mi letniej wody do metalowej balii w kuchni. Siedziałem na stołku naprzeciw kafłowego pieca i blachy, na której gotował się gar żuru (od czasu do czasu mieszany chochlą przez Janę), pochylałem się nad

miednicą stojącą na mokrej polepie i kawałkiem szarego mydła pocierałem skórę. Skoro byłem pomocnikiem Meg, uznali mnie za czarodzieja, choćbym nie wiem jak próbował się wykręcać. Zresztą i tak nie znali różnicy między półaktywnym i aktywnym Źródłem, więc moja zwykła wymówka nie miała sensu. W przeciwieństwie do Ombre, w okolicy grani Hergest nie ciągnęły wycieczki Avalończyków zafascynowanych magią, a turystyka dopiero raczkowała. Rzecz jasna pracowało ich paru w przemysłowym Llywarch, czasem odwiedzali też Kotlinę Miedzianego Smoka, ale nie kontaktowali się z miejscowymi. Z ich punktu widzenia stanowiłem dość sensacyjne zjawisko. Przyszli mi się przyjrzeć wszyscy po kolei; babka, chłopaki, mała Lena i nawet dziadek.

– Chudy jak śmierć na chorągwi – zawyrokowała babka, podchodząc bliżej i bezwstydnie przypatrując się mojej klatce piersiowej. – Ale muskuły ze stali. Widzisz, Janno, jaką ma szramę na brzuchu?

Wskazała moją bliznę po wyrostku robaczkowym, ale co ja się będę kłócił. Gospodyni, nieco zakłopotana zachowaniem seniorki rodu, nie odwracała się w moją stronę.

– A coś tu jakby czarnym zieleń pachnie – dodała staruszka, ze skupieniem rozglądając się po kuchni.

Odruchowo zerknąłem na ramię. I wszystko mi się poskładało.

Tutaj właśnie następuje moment, kiedy wyjaśniam, a mimo to nikt nie wierzy, jak to się stało, że ja, z moim skąpym doświadczeniem medycznym i nieco większym botanicznym, przy pomocy wiejskiej babci postawiłem diagnozę, która umknęła Weylandowi i avalońskim specjalistom. Nie mogli na to wpaść, bo żadne z nich nie fascynowało się botaniką. Czarodzieje się specjalizują. Wszyscy spodziewali się mikrobów, pasożytniczych grzybów, może pierwotniaków lub nicieni. Nikomu nie przyszło do głowy, że Sepia jest rośliną, a ściślej mówiąc, ostańcem przedarboriańskim, pozostałością po czasach, gdy człowiek nie zamieszkiwał jeszcze Ziemi Drzew. Nie mieli nawet na to zakłęb. W ogóle mało kto prócz hobbystów i kilku badaczy interesował się tymi gatunkami; nie były jadalne, nie miały wielu zastosowań, a gdy się pojawiały w polu lub w ogrodzie, należało je jak najszybciej wytępić.

Rozpoznałem zapach, bo kiedyś kolekcjonowałem ostańce w zielniku, próbując się domyślić, jak wyglądała flora kontynentu, zanim Wędrowiec przyprowadził tutaj



ludzi. Babcia go rozpoznała, bo czarne ziele wywoływało ogromne zniszczenia w gospodarstwie. Zachowywało się jak porost. Rozkwitało w obecności śladów magii, malując bele drewna w fantazyjne czarnobrązowe wzory, doprowadzając zabudowania do rozpadu i pozostawiając po sobie skażenie. Ale współcześnie stanowiło już rzadkość, bo zaczęto stosować nowe środki, które jeszcze lepiej niż poprzednio tępiły ostatek.

Sepia, która mnie trawiła, pewnie została zmodyfikowana magicznie, żeby utrzymać się w ludzkim ciele. I też chyba nie szło jej najlepiej. A ja już miałem pomysł, co z nią zrobić. Tym bardziej musiałem dostać się do Llywarch i porozmawiać z Beaufortem.

Kiedy byłem już ubrany – zostawiłem sobie lekko oczyszczony kozuch i gumiak – pożyczona koszula na mnie wisiła, spodnie też musiałem przewiązać sznurkiem, ale tym razem przynajmniej były dostatecznie długie – dostałem gar gęstego żuru z chlebem. Potem wziąłem się do pomocy przy pracach gospodarskich. Dziadek poprowadził mnie do stodoły, gdzie nakazano mi rzucenie uroków konserwujących na lemiesz. Innym razem zrelaksowałbym się przy takim zajęciu, ale teraz się spieszyłem; wciąż czułem, jakby za mną stał strażnik z zegarkiem i odliczał czas.

Właśnie siedziałem na pieńku i ostrożnie przesuwalem dłoń wzdłuż ostrza, patrząc, jak rdza osypuje się na ziemię pod moim dotykiem, gdy rozległo się parskanie konia i usłyszałem donośny męski głos; widocznie rzeczony Eric, mąż gospodyni, wrócił z pracy. Uniósłem wzrok. Mężczyzna mniej więcej mojego wzrostu, barczysty i ciemnowłosy, prowadził konia do koryta przy studni.

Za nim szło dwóch uzbrojonych żandarmów.

– Janna! – zawołał Eric. – Panowie przyszedli z Llywarch. Pytają, czy nie widzieliśmy obcego. Chudy, włosy mysi blond. Mówi jak Avalończyk. Może trochę utykać i się jękać.

– A bo co? – Gospodyni szła w ich stronę przez podwórze.

– A bo to groźny kryminalista – odpowiedział mężczyzna. – W dodatku potężny czarodziej. Podobno napadł na kogoś ważnego. Arcymaga czy coś w tym guście.

Znieruchomiałem nad lemieszem. Po raz pierwszy zaczęło mi świtać w głowie, że podróż do Llywarch może się okazać trudniejsza, niż przypuszczałem, a lokalne władze nie są moimi sojusznikami. Czy Archer wysłałby za mną stróżów prawa? Przecież powinien już się zorientować, co się naprawdę wydarzyło na okręcie. Ale

została tam Jacqueline, która w dowolny sposób mogła kręcić, kłamać i podmieniać dowody, a on jej ufał. Trzeba też brać pod uwagę, że jeśli Iglica ma wpływ na wywiad wojskowy, równie dobrze może mieć wtyczki w żandarmerii.

Przedstawić się? Pozwolić aresztować? Rozglądali się z determinacją, która nieco mnie martwiła. W Arborii nie trzymano aresztantów w ciemnym lochu o wodzie i suchym chlebie. Gdyby kilka lat temu ktoś mnie spytał, jak zamierzam postąpić, odpowiedziałbym, że dam się zatrzymać dla wyjaśnienia sprawy. Spodziewałbym się darmowego obiadu, wizyty więziennego medyka, nocy spędzonej w spokojnej celi i rozmowy przez kulę z najbliższymi. Teraz zaczynałem podejrzewać, że to wcale może nie wyglądać tak różowo. Jak się traktuje groźnych kryminalistów podejrzanych o napaść na jedną z najważniejszych osób w państwie? Dlaczego ci żandarmi w ogóle mają przy sobie karabiny? Powolutku wstałem z pieńka, zostawiając narzędzia na ziemi. Patrzyłem w klepisko, nie dając im szansy na dostrzeżenie mojej twarzy.

Gospodyni podeszła do męża i zaczęła mu coś tłumaczyć nagłym, cichym tonem. Nie zrozumiałem ani słowa, ale dotarł do mnie sens wypowiedzi. Żandarmi, obydwaj rośli, wąsaci, z epoletami lśniącymi od wbudowanych zakłęb ochronnych, dalej lustrowali wzrokiem podwórze. Ukryłem się w cieniu stodoły i przeliczyłem zakłęcie kamuflażu.

– Tam jest! – krzyknął żandarm. – Rzucił coś!

No i pięknie. Nie wziąłem pod uwagę, że to nie Bretania i mogą mieć uruchomione zakłęcia wykrywające magię.

– W imieniu Jej Królewskiej Wysokości Gwendolyn Bayonne de Branche d’Aquamarine, stój, bo strzelam!

Nie zadali sobie fatygi, aby dokończyć całą formułę. Po „w imieniu” w moją stronę świsnął strzał i kula z głuchym stuknięciem utkwiała w deskach stodoły. Włosy zjeżyły mi się na karku. Jasna cholera, czy oni nie widzą, że tu są dzieci?

Schowałem się za róg. Usłyszałem ciężkie kroki. Nad sobą miałem skraj dachu stodoły i gęste jodłowe gałęzie. Padł kolejny strzał; chmara wróbli poderwała się do lotu. Poszedłem w ich ślady i zamaskowany pstrokatą zielenią drzew uniosłem się w powietrze. Wystawiałem się na kule, ale przynajmniej odciągałem żandarmów od gospodarstwa. Wyrwałem jednostki ze Źródła, postawiłem Tarczę Ochronną. W samą porę; poczułem, że pocisk odbija się od niej rykoszetem.

– Za nim!

Z niewielkiej wysokości, może pięciu metrów nad dachem stodoły, miałem jak na dłoni zabudowania gospodarcze. Studnię, przy której stał koń, teraz spłoszony, przytrzymywany za uzdę przez Erica. Chałupę pokrytą równiutkim sosnowym gontem, drewnię i kurnik. Widziałem, jak domownicy biegną w stronę ganku, mała Lena potknęła się i upadła w błoto. Muszę się ujawnić, bo zaraz ktoś oberwie kulą zamiast mnie.

– Tutaj jestem! – krzyknąłem. – Chcecie mnie aresztować czy zabić? A może spalić całe gospodarstwo?!

– Chce spalić gospodarstwo! – usłyszałem głos jednego z żandarmów.

Obydwaj unieśli się w powietrze, lecąc w moją stronę. Ten po prawej, nieco grubszy blondyn, pospiesznie zaczął składać ręce do zakłęcia. Drugi celował do mnie z karabinku. Małe szanse, żeby trafił w locie; zastanawiałem się przez moment, dlaczego w ogóle próbuje.

W moją stronę pofrunął trzaskający czarnymi iskrami Pocisk Entropii. Odruchowo przechwyciłem go i wchłonąłem. Niespodziewanie dla samego siebie poczułem pulsujący ból w ramieniu, aż moje oczy zaszyły mgłą. Odniosłem wrażenie, jakby Sepia poruszyła się niespokojnie.

– Nic nie rzucaj! – wrzasnął ten drugi. – Przecież to Mag Pustki! Tylko go wzmacniasz! Chcesz, żeby zaczął nam tutaj promieniować skażeniem?!

Byli przerażeni. Nie spodziewali się, że się na mnie natkną.

Ktoś mnie zdemaskował, nastraszył ludzi moimi wyolbrzymionymi możliwościami, ale nie poinformował żandarmów, z czym dokładnie mają do czynienia i jak sobie ze mną radzić. Czy dlatego zaczęli od strzelania, nie czekając, aż się poddam? A może im kazano? Tutejsi? W Llywarch na pewno pracowało niewielu stróżów prawa z półaktywnym czy też w pełni aktywnym Źródłem. Wezwali posiłki? Byli prawdziwymi żandarmami, agentami Iglicy czy jednym i drugim?

Nie dowiem się, co się tutaj wyprawia, dopóki nie dotrę do miasta.

I co się właściwie dzieje z Sepią? Dlaczego tak reaguje?

Frunąłem naprzód, lawirując między drzewami. Uznałem, że wzbijanie się ponad szczyty jodeł to głupi pomysł, podobnie jak zrzucenie kamuflażu. Zakłęcie ledwo działało, jeśli ktoś już wiedział, gdzie się znajduję, ale na pewno utrudniało

celowanie. Byłem słabym lotnikiem i mało doświadczonym czarodziejem, a na dodatek straciłem swój największy atut, to znaczy zdolność przechwytywania cudzych zaklęć. Z reakcji żandarmów wywnioskowałem, że nie dysponują większymi możliwościami niż te, które zaprezentowali do tej pory. Półaktywni albo stażyści świeżo po dyplomie. Wystarczy ich zmęczyć. Niech się wyprztykają ze Źródła. Byle tylko utrzymać przewagę odległości.

Uznałem, że nie umiem latać sprawniej niż oni, więc leciałem niebezpiecznie. Wybrałem strome zbocze i sunąłem wzdłuż niego niemal na poziomie czubków drzew, cały czas utrzymując tę samą wysokość. Dodałem kilka modyfikacji we wzorze, które poprawiały moją zwrotność kosztem stabilności. Podkreśliłem prędkość i dostosowałem się do kierunku wiatru. Miotano mną na boki, a gałęzie obijały się o moją tarczę energetyczną. W pewnym momencie zorientowałem się ze zdumieniem, że bez wysiłku zostawiam ich w tyle. Jak to, czy to już? Niemożliwe, żeby się wyprztykali z jednostek. To ja jestem taki potężny czy oni tacy słabi?

„Nie, moc im się nie skończyła – odpowiedziałem sam sobie. – Zgubiłem ich, bo znacznie lepiej improwizuję. Chociaż rzucam zaklęcia od niedawna, rzeczywiście jestem potężnym czarodziejem – nie ze względu na talent Maga Pustki, ale dlatego, że wprawny ze mnie matematyk”. Od dawna wiedziałem, że mało kto potrafi na bieżąco zmieniać protokoły i liczyć tak szybko jak ja albo Meg, Belinde czy też Kathryn. Teraz zobaczyłem tę różnicę w praktyce.

Powoli osiadłem na ściółce. Otarłem pot z czoła. Tutaj, w niższych partiach gór, temperatura zbliżała się do plus czterech, może plus pięciu stopni, ale wysiłek sprawił, że parowało ze mnie jak z doloriańskiej łaźni. Trzeba stanąć i pomyśleć. Znajduję się w środku lasu, lecz w oddali widać drogę; warto wrócić na szlak. Stamtąd w taki czy inny sposób dotrę do Llywarch. Trzeba unikać ludzi. Może zawieszę iluzyjny kamuflaż na kozuchu i będę go uruchamiać na sygnał. Ci, którzy mnie ścigają, potrafią wykryć rzucone zaklęcie, ale najpierw muszą wiedzieć, że trzeba go szukać. Moją sytuację poprawiał także lokalny strój. Żandarmi nie zdążyli przyjrzeć mi się uważnie, zanim zamaskowałem się zaklęciem. Wyglądałem jak jeden z mieszkańców Ynysforgan; nie rozpoznają mnie, dopóki się nie odezwę i nie spróbuję szybciej iść.

Nie po raz pierwszy uciekałem przed pogonią. Zaskoczyło mnie tylko, że spotkało mnie to w Arborii, gdzie powinienem być bezpieczny i u siebie. Reguły się

zmieniały. Prawa, na które mogli liczyć zwykli ludzie, nie miały zastosowania wobec Vincenta Thorpe'a, Maga Pustki. Chciałem, żeby moja tożsamość nie przerażała postronnych do tego stopnia, że stróże prawa zaczynają od strzelania do mnie z karabinu. Chciałem być traktowany jak pełnoprawny obywatel. Najpierw jednak musiałem pozostać na wolności dość długo, żeby udaremnić plany Iglicy i nawiązać kontakt z Cieniem Gildii. Nie tylko moje losy od tego zależały.

Zacisnąłem zęby i ruszyłem naprzód.

\* \* \*

Samotność sprawia, że zaczynamy myśleć, a w pewnych okolicznościach nadmiar myślenia nikomu nie wychodzi na dobre. Gdy późnym popołudniem znalazłem się wreszcie w dolinie, zobaczyłem drewnianą bramę z napisem Zajazd Leśna Korona i poczułem unoszącą się w powietrzu woń końskiego nawozu; byłem już chyba na wpół obłąkany ze stresu. Podczas marszu pięciokrotnie rzuciłem zaklęcie lokalizacyjne i za każdym razem uzyskiwałem potwierdzenie, że Amandine żyje. Zastanawiałem się nad losami Weylanda. Rozwahałem miliony rozmaitych scenariuszy, według których może postępować Iglica. Wiedziałem, że muszę jak najszybciej czymś się zająć i przerwać pracę trybików jałowo obracających się pod kopułą.

Prawie nie zmęczyłem się fizycznie, co trochę mnie zaskoczyło. Jeszcze ani razu nie wystawiłem na próbę zwiększonej wytrzymałości, jaką cieszyli się czarodzieje. Zachorowałem przecież niedługo po przebyciu transformacji, a później przez kilka miesięcy odzyskiwałem zdrowie i starannie stopniowałem wysiłek. Dopiero teraz zaczynałem tak naprawdę odczuwać korzyści wynikające z ciała wzmocnionego magią.

Kiedy więc wszedłem na dziedziniec, przyglądając się licznym powozom i dyliżansom oraz góralom, którzy krążyli między nimi, pomagając w rozładunku, zaświtał mi pewien pomysł. Potrzebowałem transportu. Na razie nie miałem pieniędzy na bilet, ale to się wkrótce mogło zmienić.

Na przestronnym parkingu wybrukowanym szarą kostką stało kilkanaście pojazdów o różnych kształtach i gabarytach. Większość z nich należała do sieci rejonu Llywarch, ale zauważyłem parę prywatnych powozów, a nawet jedną furmankę zaparkowaną nieco z boku.

Nie dostrzegłem na razie ani jednego żandarma, ale to tylko kwestia czasu, na pewno kręcili się w okolicy. Dołączyłem do dwójki górali, którzy właśnie rozładowywali nowo przybyły dyliżans. Nie odstawałem od nich poziomem higieny – pracowali tutaj od rana, dostatecznie intensywnie, żeby się nie zdziwić moją obecnością. Może przyszedłem na wieczorną zmianę. Zdarzało się.

– Masz. – Wysoki stangret wręczył mi ciężką skórzaną walizę. – Nieś do gospody.

– Proszę pana! – zaproponowała pasażerka, korpulentna kobieta w szaroróżowej sukni z koronką, nieco wymiętej po długiej podróży. – Przecież on ją całkiem uświni!

Wymamrotałem coś pod nosem, nie zwracając uwagi na protesty, i zacząłem podążać w stronę karczmy, śledząc górala niosącego skrzynię. Z naprzeciwna szedł żandarm. Zasłoniłem się walizą. Ręce mi omdlewały, minęło już trochę czasu, odkąd nakarmiono mnie żurem.

Manewrowałem w tłumie, starając się z nikim nie zderzyć. Docierało do mnie ujadanie małego psa, takiego z gatunku mufka domowa. Wypomadowany dżentelmen minął mnie odruchowo. Stateczna dama nie przestała w ostrych słowach besztać płaczących dzieci, gdy przechodziłem obok. Nie szukano ze mną kontaktu wzrokowego. Byłem niewidzialny, nie stosując zaklęcia kamuflażu. W tej chwili bardzo mi to odpowiadało.

– Zrzuć to tutaj – poinformował mnie kolega. Z ulgą zostawiłem walizę w progu gospody. Z otwartych drzwi buchnęła we mnie ciepła para, przesycona zapachem smażonej cebuli. Zaburczało mi w brzuchu. Właśnie dogonił nas mężczyzna w liberii i teraz stał przy bagażach, czekając na następne. Popatrywał na nas nieprzyjaźnie. Zawróciliśmy w stronę powozu.

– Pierwszy dzień? – zagadnął mnie góral.

– Mhm. – Wolałem się nie odzywać. Mój avaloński akcent odróżniał się od tutejszego.

Za plecami usłyszałem żandarma.

– Czy nie widzieli państwo mężczyzny, metr osiemdziesiąt wzrostu, Avalończyk, utyka na prawą nogę, może się jękać?

– Weź no tego kufra – poinstruował mnie góral. – Łap go z tej strony, a ja złapię z tamtej.

Skinąłem głową.

– Ledwo już żyję – poskarżył się. – Łeb mi pęka. Ani chybi idzie burza.

Westchnąłem współczująco. Odwdzięczył się, opowiadając mi o chorym zębie, a później o woreczku żółciowym. Udawałem, że uważnie go słucham, w rzeczywistości ukradkiem wypatrując żandarma. Zniknął gdzieś w tłumie.

Ostrożnie położyliśmy kufer na podłodze gospody. Mężczyzna w liberii policzył bagaże, a potem skinął głową z uznaniem. Góral hipochondryk popatrzył na niego wyczekująco i dostał do ręki pięciodenarówkę. Ponieważ go naśladowałem, też wręczono mi monetę. Schowałem ją do kieszeni spodni i wróciłem na dziedziniec.

– Skąd jesteś?

– Ynysforgan – rzuciłem niewyraźnie, starając się nie zdradzić z akcentem.

– Clydach – zrewanżował się góral. – Czekaj, o patrz, Aimée Łaskawa, ten będzie dobry!

Spojrzałem za nim. Na dziedzińcu zatrzymał się właśnie prywatny dyliżans z herbami wymalowanymi na drzwiczkach – nie rozpoznawałem ich, więc to musiała być jakaś pomniejsza lokalna rodzina szlachecka – po brzegi wyładowany bagażami. Mój towarzysz wręczył mi szmatę i polecił, żebym się trochę wytarł, a później rażno udaliśmy się w stronę nowej klienteli.

Dwóch żandarmów przecięło nam drogę. Jeden spojrzał prosto na mnie. Wstrzymałem oddech.

– Nie widzieliście, gospodarze – odezwał się – Avalończyka, metr osiemdziesiąt wzrostu, utyka na prawą nogę, może się jąkać?

– Nie, panie władzo, nie było tutaj takiego – odparł góral. Ja tylko wzruszyłem ramionami. Ruszyliśmy dalej. Bardzo się starałem, żeby iść równym krokiem. Moja prawa stopa raz funkcjonowała lepiej, raz gorzej, i akurat w tej chwili nie sprawiała problemów.

Żandarmi zostawili nas w spokoju. „Mało prawdopodobne – kalkulowałem – że zaczną do mnie strzelać w tłumie, ale jak już wspomniałem, na zwykłe względy przysługujące aresztantom też nie mógłbym liczyć. Zabójcy Iglicy potrafią się teleportować, a w kajdankach z ołowiu i cyny wiele wobec nich nie zdziałam”.

Zaniosłem jeszcze kilka pudeł pod próg gospody i parę na piętro zajazdu. Potem dostawiłem drabinę pasażerom zsiadającym z dachu sieciowego dyliżansu. Zostałem przy tym obśliniiony przez psa i usmarkany przez dziecko. Zapytano mnie, gdzie

można tutaj kupić owcze serki. Wreszcie kazano mi się zgłosić do czyszczenia koni, więc resztę czasu spędziłem w stajni, myjąc i szczotkując zwierzęta oraz natłuszczając im kopyta. Kiedy się tylko zorientowano, że umiem to robić, już nie wypuszczono mnie na dziedziniec.

W kieszeni miałem dwadzieścia trzy denary z napiwków. Wiedziałem, który dyliżans odjeżdża wieczorem do Llywarch. Udałem się do wspólnej sali dla nisko urodzonych pasażerów, gdzie stołowali się też pomocnicy, i od naburmuszonej góralki dostałem pół bagietki z szynką i bryndzą oraz słodką jak ulepek herbatę w cienkiej szklance wstawionej do plecionego koszyczka. Trzęsły mi się ręce, kiedy zatopiłem zęby w bułce.

Żandarmi jeszcze przeczesywali dziedziniec, kiedy załadowałem się na dach dyliżansu, usiłując znaleźć miejsce wśród pięciu innych podróżnych, z których jeden miał podwójne gabaryty, trzech było pijanych, a resztę przestrzeni zajmowała dumnie trzymająca się góralka z pękatym koszem, z którego co pewien czas dobiegało gęganie. Z całej tej grupki wcale nie wydzielałem najgorszych zapachów. Nieco się to różniło od warunków, w jakich zwykłem podróżować z Meg, ale nie narzekałem. Powóz ruszył. Stróże prawa nadal wypytywali nowo przybyłych.

Odetchnąłem z ulgą. Miałem nadzieję, że chwilowo zostawiam kłopoty za sobą.

\* \* \*

– Wstawaj pan!

Powoli otwierałem powieki. Żdźbła słomy weszły mi pod koszulę; wszystko mnie swędziało. Dookoła cuchnęło stajnią. Usiłowałem sobie przypomnieć, jak się tutaj znalazłem i co znowu robię w Bretanii. Czy jako Wielki Mag nie powinienem mieć przypadkiem zapewnionych lepszych wygód?

– Wstawajże no. – Nade mną stał podparty pod boki stajenny. – Żandarmi przyszli i wypytyują, czy kto nie przyjechał wczoraj z grani Hergest. Tak mnie się zdaje, żeś też był w tym dyliżansie.

Usiadłem i potarłem twarz. Zarost kłuł mnie w dłonie, dotknięte Sepią ramię zaćmiło boleśnie. No tak. Jestem w Llywarch, położyłem się w stajni, bo nawet gdyby mnie było stać na nocleg, nie wpuściliby mnie w góralskim brudnym przyodziewku. Ukrywam się przed władzami. Muszę dyskretnie odwiedzić instytut naukowy, dowiedzieć się, co porabiali moi wrogowie, kiedy błąkałem się



po górskich bezdrożach, i w miarę możliwości nie dać się złapać. Przy odrobinie szczęścia pod koniec dnia to ja będę górą.

– Poczekają? – spytałem jak grzeczny obywatel, który nie ma nic na sumieniu. – Bo muszę się odlać.

Obejrzał się w stronę drzwi. Spojrzałem za nim. Patrol właśnie przepypywał kilku podróżnych.

– A idźże lać, tylko zaraz wracaj.

Wymknąłem się tylnym wyjściem ze stajni. Powietrze było gęste od fabrycznego niebieskiego dymu, zakłady przemysłowe znajdowały się zaledwie kilka przecznic dalej. Ludzie w biedniejszych dzielnicach nie kupowali węgla drzewnego – jako Avalończyk mieszkający w kamienicy niedaleko Uniwersytetu byłem pod tym względem dość rozpieszczony. Palili drewnem, jeśli mieli za co je kupić, i brykietami z końskiego nawozu, jeśli dostali swój przydział z fabryki, ale poza tym wrzucali do kominków, co popadło.

Tłum podróżnych był tutaj jeszcze gęstszy niż wczoraj w Leśnej Koronie, a i znalazłyby się w najbliższej okolicy jeszcze ze trzy takie zajazdy. Wszędzie krążyli zaaferowani dżentelmeni w cylindrach i z walizami oraz panie z całym anturazem w postaci służby, dzieci, tiurniur, falbanek, bagaży, kotów i psów. Kłopot polegał na tym, że podczas gdy na grani Hergest nie odstawałem wyglądem od miejscowych, tutaj wyróżniałem się z tła; mój kozuch, koszula i gumiaki wyraźnie wskazywały, że dopiero przybyłem ze wsi. Tu i ówdzie mignął mi granatowy ubiór żandarma. Nie rzucałem zakłéc. Nie każdy stróż prawa dysponował zdolnościami magicznymi, ale byli wyszkoleni, aby zwracać uwagę na zakłęcia kamuflażu, może nawet zaopatrzone ich w automagię służącą ich wykrywaniu. Wiedziałem, że jeśli będę chodził po Llywarch pod częściową iluzją niewidzialności, prędzej czy później i tak przyciągnę uwagę patrolu.

Szedłem spokojnie, z pochyloną głową i rękami w kieszeniach. Na ulicy za gospodą natknąłem się na gromadkę przekupek z siatami. Krótka inspekcja otoczenia wykazała, że jest ich więcej, zarówno przekupek, jak i drobnych handlarzy, i wszyscy zdążają w tym samym kierunku. Kilku również wyglądało, jakby poprzedniego dnia przyjechali z gór. Dołączyłem do nich. W samą porę, bo na skrzyżowaniu, gdzie przystanąłem przed chwilą, zjawili się właśnie dwóch mundurowych i przepypywali przechodniów. Mogłem się tylko domyślać powodu.

Zegar nad cukiernią pokazywał za kwadrans siódmą.

Jak podejrzewałem, plac targowy znajdował się zaledwie ulicę dalej od zajazdów. Na jego skraju dostrzegłem wysoki budynek poczty; w zwykłych warunkach udałbym się tam natychmiast, żeby dzięki publicznej kuli uzyskać dostęp do moich funduszy, ale teraz musiałem się trzymać z daleka od jakichkolwiek państwowych budynków – z wyjątkiem tego jednego, którego poszukiwałem.

Na rogu facet grał na harmonii. Inny cwaniak nabierał ludzi na starą grę w trzy kubki. Przy spiętrzonych na murku kłębach odzieży stało dwóch brodatych meneli; dyskusję prowadzono za pomocą słów powszechnie uznawanych za obelżywe. Nie próbowałem im gwizdnąć ubrań, bo po pierwsze, stanowczo wolałem coś mniej śmierdzącego, a po drugie, dość mieli nieszczęść w życiu, żeby jeszcze okradał ich czarodziej, tylko chwilowo pozbawiony środków finansowych (taką przynajmniej miałem nadzieję). Poza tym chyba nie powinienem tego robić tutaj. Wypatrzyłem już w tłumie trójkę przyjaciół w wieku nastoletnim, w wielkich płaszczach i workowatych spodniach, którzy wydawali się krążyć bez celu między przechodniami. Mimo że pochodzę z dobrego domu i dorastając, spędziłem kilka lat na wsi, dość długo mieszkałem w Avalonie, żeby rozpoznać zawodowych złodziei. A oni kiepsko znoszą konkurencję.

Znalazłem się między stoiskami. Przekupy głośno zachwalały towar, krzyczano i kasłano donośnie, pachniało chlebem i ciastem, zmrożonym błotem i niemytymi ludźmi. Barczysty facet o czerwonych ramionach rąbał świńską półtuszę na rzeźniczym blacie; mięso parowało i parował także on. Bezzębny dziad agresywnie wyciągał przed siebie kaszkiet. Rodzina ciemnoskórych Doloriańczyków handlowała starymi zegarami, popielniczkami i wytartą porcelaną. Wieśniacy ubrani podobnie jak ja zachwalali owcze sery i wełnę – upraną i zgręplowaną albo uprzedzoną w motki, surowe i farbowane. Sprzedawano baranie skóry, wyroby z kości i rogu, a nawet baraninę; ponieważ owiec, zwłaszcza na przednówku, nie pozbywano się tak chętnie, wolałem sobie nie wyobrażać jakości tego mięsa. Piętrzyły się głowy kapusty i stosy marchwi oraz cebul, i kopy jaj, oferowano też regionalne dzikie warzywa z lasu; większości z nich nawet nie rozpoznawałem. Dostrzegłem też stoiska z odzieżą, ale straganiarze mieli oczy dookoła głowy; kiedy jeden się odwrócił, to drugi pilnował towaru dla niego – zbyt wielkie ryzyko, że ktoś krzyknie i zawoła żandarmów. Nie oddaliłem się jeszcze od zajazdu tak daleko, aby zaryzykować.

Przeszedłem cały plac. Nie byłem w stu procentach pewien, że nikt mnie nie śledzi, ale większej pewności mieć nie mogłem. Przedemną tłoczyły się pociemniałe kamienice dzielnicy robotniczej, wzniesione tak blisko siebie, że dwóch ludzi wyglądających z przeciwległych okien mogłoby podać sobie ręce. Z kratki ściekowych docierał do mnie ostry zapach chemikaliów i mój zmysł Maga Pustki sygnalizował, że tło było lekko podwyższone.

Kamienice zbudowano z byle jakich materiałów i wykończono w pośpiechu; klatki schodowe z metalu ze schodkami z drewna znajdowały się na zewnątrz budynków, drewniane balkony gniły od deszczu. Na sznurach suszyło się, a może wędziło pranie; powiewały cudze koszule i galoty, nieco rzadziej odzież wierzchnia. O tej porze mieszkańcy powinni być w pracy, ale ponieważ nic w życiu nie jest proste, w Llywarch panowało spore bezrobocie. Jakiś czas temu rozwój przemysłowy Arborii zderzył się z barierą: brakiem energii. Magia nie do wszystkiego się nadawała, a prawie cały węgiel wypalany wzdłuż rzek pożerały zakłady wytwórcze. Tymczasem ludzie wciąż przybywało i sytuacji nie poprawiały kolejne fale imigracji z Dolorii, zjawisko dla nas już tak naturalne jak wiosenna powódź.

Widziałem więc w bramach panów po kilku głębszych albo palaczy wystających na balkonach, którzy smętnym wzrokiem przypatrywali się sąsiednim kamienicom. Ze względu na porę dnia nie było ich znowu tak wielu, ale musiałem spacerować dłuższy czas, żeby bez świadków rzucić Pomniejszą Telekinezę i ściągnąć sobie coś ze sznura. Tutaj galoty, tam koszula, wreszcie szara marynarka z łatami na łokciach i spodnie w kolorze sraczkowatym, prawie bez dziur. Wymieniłem garderobę w bramie. Pijak, który tam spał, na chwilę podniósł głowę, ale zaraz na powrót popadł w letarg.

Mimo cienia panującego pod arkadami zauważyłem czarne nici i serpenty wijące się na skórze ramienia dotkniętego Sepią. Przyspieszył mi puls. Odetchnąłem kilkakrotnie i po raz kolejny tego dnia napomniałem samego siebie, żeby zachować spokój.

Dobrze, gumiaki oblecą, ale jeszcze ten nieszczęsny kozuch. Zacząłem się zastanawiać, czy nie trzeba bardziej rażąco naruszyć prawa – na Pustkę, staczałem się w zastraszającym tempie – i włamać się komuś do mieszkania, ale los uśmiechnął się do mnie wcześniej. Między kamienicami trafiłem na plac, gdzie pobierano wodę z pompy; stała tam także drewniana budka z warzywami oraz

piwem sprzedawanym z dużej kadzi. Pod budką znajdowała się ławka, a na ławce wypoczywał nietrzeźwy dżentelmen – sądząc po odzieży, niski stopniem urzędnik w stanie upadku moralnego, któremu mimo tak nieprzyjaznej pogody zrobiło się ciepło i położył płaszcz oraz kaszkiet na ławce.

Zostawiłem mu w zamian cuchnący barani kozuch. Prawie uczciwa wymiana. Może nawet kozuch był cenniejszy, wymagał tylko czyszczenia.

Za rogiem oparłem się o ścianę. Kiszki grały mi marsza. Poprzedniego dnia niewiele zjadłem, dziś jeszcze byłem na czczo, a nadal źle znosiłem głód. Spokojnie, Vince. Jeśli wszystko pójdzie, jak należy, niedługo sobie odpocznieš i najesz się do syta.

Poprawiłem zdobyczny kaszkiet. Teraz wyglądałem jak chudy, zarośnięty robotnik wśród innych chudych, zarośniętych robotników. Nie kuśtykałem tak wyraźnie, żeby można mnie było po tym rozpoznać. Pan Vincent Thorpe, agent wyborowy. Może i sprawdziłbym się w wywiadzie, gdyby nie to, że pracował tam Archer. Znow pomyślałem o Amandine. Zaczekaj, wróć, choćbym miał w tym celu porwać lotnika pogotowia. Przysięgam.

Czas się zorientować, gdzie jestem. Klucząc uliczkami, skierowałem się w stronę głównej arterii miasta. Zegar nad kawiarenką wybił wpół do dziewiątej. Mijały mnie blade damy w schludnych garsonkach i dopasowanych wełnianych płaszczach oraz ciemno odziani dżentelmeni; to klasa urzędnicza zdążyła do pracy. Przywykłem do barw Avalonu, gdzie moda kazała ludziom nosić odważniejsze stroje i jaśniejsze kolory, dlatego Llywarch wydawało mi się trochę ponure. Po szynach ciągnęły tramwaje konne, kopyta dorożkarskich chabet stukwały o bruk. Nieopodal chudy wyrostek zbierał do worka nawóz, który nie trafił do płóciennych zbiorników pod ogonami. Sprzeda go później za kilka denarów w osiedlowej wytwórni brykietów.

Ze wczorajszych napiwków zostały mi jeszcze trzy denary, więc poszukałem najbliższego stoiska z gazetami. Staruszek, który go pilnował, obserwował mnie uważnie, w każdej chwili gotów podnieść alarm. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem monety; uspokoił się trochę.

Ja natomiast wprost przeciwnie.

„TAJEMNICZA ZARAŻA W STOLICY!” – krzyczał nagłówek „Ekspresu Avalońskiego”. Z podtytułem: *Skazone Źródła – Koniec Magów Avalonu?* Inne dzienniki podejmowały temat ostrożniej, ale w tym samym duchu.

Drugi tytuł, który rzucił mi się w oczy, był cienką broszurą, wydaniem specjalnym „Magazynu Arboriańskiego Towarzystwa Geograficznego”. Na pierwszej stronie widniał obraz Mostu do Utraconej Bretanii, na który w rogu nałożono drugą okultografię w półzbliżeniu: rozjarzonego magicznym blaskiem mężczyznę o nieco zatartych światłem rysach. Wyglądał groźnie.

Odetchnąłem. Przegarnąłem włosy palcami.

– Kupuje pan co?

– To i to. – Pokazałem „Ekspres” i wydanie specjalne.

– Dwa denary to i dwa tamto.

– Mogę dostać obydwu za trzy?

Popatrzył na mnie spode łba.

– Może pan nie pić tyle, będzie na gazetkę.

– Poproszę numer specjalny. – Jeśli, jak się domyślałem, Sepię rozprzestrzeniono na Avalon, mieliśmy do czynienia z klęską żywiołową. Więcej się dowiem tam, dokąd zmierzam, niż z gazet. Ale koniecznie muszę wiedzieć, czy de Pointeferre zdemaskował mnie przed całym krajem i co tam napisał; może już zostałem wrogiem publicznym numer jeden, a jeśli tak, nie miałem czego szukać w Llywarch, zatrzymają mnie na portierni. Sprzedawca gazet nie wydawał się rozpoznawać mojej twarzy, ale to o niczym nie świadczyło, ja sam bym się teraz pewnie nie poznał w lustrze. – Ja prze... praszam, ale czy tam jest coś... o Magach Pustki?

Staruszek rozciągnął usta w krzywym uśmiechu.

– Panie! Pan kupi, pan się dowie! Może świat się kończy, ale jeść trzeba.

Kupiłem, bo co miałem zrobić. Przysiadłem na ławce obok; kolana uginały się przede mną. Zachłannie czytałem artykuł redaktora de Pointeferre’a. W miarę jak zagłębiałem się w tekst, wbrew sobie zaczynałem odczuwać podziw.

Miałem przed sobą arcydzieło sugestii oraz insynuacji. Redaktor szanowanej gazety nie mógł pisać wprost o Utraconej Bretanii i Magach Pustki, więc zrobił to, co umiał najlepiej – zaprezentował czytelnikom reportaż. Oglądałem zdjęcia przedstawiające ze wszystkich stron Most na Granicy, bez wzmianki, dokąd prowadzi, ale wystarczająco szczegółowe, żeby uciszyć wszystkich, którzy stwierdzą, że to iluzja. Każdy czytelnik dysponujący inteligencją większą od złotej rybki dopowie sobie ciąg dalszy.

Dalej następowały piękne ujęcia Glorii d'Aquamarine. Po obrazkach statku z zewnątrz redaktor przedstawił dokumentację jego wnętrza. Podziwiałem Amandine upozowaną na tle okien widokowych, zjawiskową jak gwiazda awalońskiej opery. Oglądałem okultografie przedstawiające Weylanda, panią bosman i mnie, dyskutujących we trójkę nad mapami. Albo Jamesa Archera w palarni, z nieodłącznym papierosem w kąciku ust.

Następnie de Pointeferre opowiedział historię napaści na statek powietrzny. Co ciekawe, dziennikarz nie zdradził, co się stało z Arcymagiem. Nawet nie sugerował, że jedna z najważniejszych osób w państwie pogrążyła się transie podobnym do śpiączki. Nie padło też ani jedno słowo o Magach Pustki. Pojawiał się tylko obraz mojej rozświetlonej sylwetki przy sterze i sugestia dotycząca człowieka o możliwościach większych niż zwykli magowie. Nie dało się poznać rysów twarzy.

Ale to mnie wcale nie uspokoiło, bo Simon de Pointeferre zdradził czytelnikom jeszcze jedno. Gloria wcale nie dotarła do Avalonu. Jak twierdził redaktor, statek nadal znajdował się w rękach porywaczy. I teraz zmierzał prosto w stronę Dolorii. Dlaczego tam?

„O naszych dalszych losach będziemy informować w kolejnych wydaniach specjalnych!”.

Zmiałem gazetę.

Spośród wszystkich uczuć, jakie w tej chwili kłębiły się we mnie, na powierzchnię wypłynęła ulga. Opisy wydarzeń sugerowały, że Amandine czuje się dobrze. A przecież redaktor nie miał powodów, żeby ukrywać jej stan zdrowia, jak w przypadku Arcymaga. Zastanowiło mnie też coś innego – jak na ofiarę porywaczy (kogo? Jacqueline? czyżby wezwała posiłki?) de Pointeferre miał dużo swobody, skoro zdołał podyktować asystentce reportaż i przesłać jej zdjęcia.

Coś w tym artykule się nie zgadzało. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że przeoczyłem drugie dno. Przecież redaktor mógł wywołać jeszcze większą sensację i zdradzić moją tożsamość. Zwłaszcza jeśli Gloria wciąż znajdowała się w rękach Iglicy. Dlaczego tego nie zrobił?

– Magowie Pustki, co? – spytał starszek z przekąsem. – Ja panu mówię, oni, to znaczy Gildia, ukrywają to od lat. I powiedziałbym panu, kto zbudował ten Most, ale nie powiem. Nigdy nie wiadomo, kto słucha.

Drżącą ręką przegarnąłem włosy. Czułem, jak Sepia drąży moje Źródło.

Musiałem się spieszyć.

\* \* \*

Zegar na wieży wybił dziesiątą rano.

Starałem się nie myśleć o artykule redaktora de Pointeferre'a. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że na jednym się nie skończy, co więcej – jego reportaż właśnie otworzył drogę do spekulacji na temat Mostu do Utraconej Bretanii oraz potencjalnie do Magów Pustki. O ile druga informacja budziła tylko sensacyjny skojarzenia, o tyle ta pierwsza niosła ze sobą konsekwencje dla całego arboriańskiego kontynentu. Autorzy brukowców nie będą mieli zahamowań. W ciągu kilku dni, może tygodnia, do ludzi zacznie docierać, że świat nieodwracalnie się zmienił. Już sama taka informacja, uwolniona w niekontrolowany sposób, wstrząśnie krajem. Jeśli dodamy do tego Sepię w Avalonie... Nie miałem bladego pojęcia, co tam się dzieje. To się może skończyć zamieszkami albo i czymś gorszym.

W Llywarch nie było takiej dzielnicy uniwersyteckiej jak u nas w Avalonie. Lokalna uczelnia znajdowała się w sąsiedztwie fabryk, nie założono tam wydziału magii z prawdziwego zdarzenia, a kształceni na miejscu technicy przeważnie od razu szli do pracy w przemyśle. Instytut Przyrodniczy wybudowano pół wieku temu, prawie równocześnie z Królewskim Szpitalem w Llywarch. Wcześniej tych kilkoro czarodziejów, którzy prowadzili tutaj badania naukowe, utrzymywało prywatne pracownie w różnych częściach miasta. Wielu arystokratów nadal tak robiło, nawet w stolicy; jeśli ktoś dysponował własnym majątkiem, wołał zapewnić sobie przestrzeń, gdzie nie musiał konkurować o miejsce i sprzęt z kolegami. Teren, na którym umieszczono instytut, także podarował miastu jeden z arystokratów. Wcześniej znajdowały się tam ogrody, skutecznie zaduszone przez zmieniający się klimat Llywarch. Teraz pozostał po nich tylko elegancko przystrzyżony trawnik oraz nieco zabagniony staw i kilka rachitycznych drzew za wysokim parkanem. Na ławeczkach przed budynkiem siedziało kilkoro młodych ludzi. Palili papierosy, czytali monografie lub po prostu dyskutowali.

Wzniesiony przed półwieczem budynek był prostopadłościenny, bez żadnych ozdób, zbudowany dla maksymalnego wykorzystania przestrzeni. One zawsze tak wyglądały, jeśli nie odziedziczono ich po zdetronizowanej arystokracji; wystarczyło szukać największego i najbrzydszego gmachu w okolicy. Rażnym krokiem

wszedłem przez otwartą bramę. Z głodu robiło mi się ciemno przed oczami i nadal trochę utykałem, ale musiałem trzymać fason. Teoretycznie tam, gdzie pracują państwo czarodziejstwo, strażnicy powinni zatrzymać nieogolonego i niezbyt dobrze pachnącego faceta w robotniczym ubraniu. Ale jeśli tenże nieogolony, źle ubrany facet idzie wyprostowany, trzeźwy i dumny w stronę wejścia, a w kieszeni płaszcz trzyma zrolowaną gazetę, może się okazać, że to właśnie mistrz magii albo inny pracownik naukowy, który zarwał noc i przed godziną skończył pisać monografię. Albo wraca z prac terenowych. Albo co.

Wbiegłem po schodkach do środka.

– Ja do mistrza Beauforta – rzuciłem na portierni.

– Proszę się wpisać do zeszytu. – Portier wyraźnie zmarszczył nos.

– Wracam z terenu. Zaraz się poddam dekon... taminacji. Taki dzień, wie pan.

– Z tą Utraconą Bretanią to prawda? – dopytał się portier. – Okropny tutaj ruch od rana. A dopiero dziesiąta.

Rzeczywiście, co rusz mijał mnie nowo przybyły pracownik, wszyscy dość zaferowani. Nie miałem ochoty wdawać się w dłuższą pogawędkę z portierem, jeszcze zapamięta moją twarz. Bąknąłem coś o tym, że wykład i że się spieszę, i pognałem na trzecie piętro, gdzie znajdowała się Pracownia Energii Pustki Drugiego Stopnia, prowadzona przez Donatiena Beauforta de Branche de Sapphire.

Na korytarzu zwolniłem. Kręciło mi się w głowie z osłabienia, znów pobolewała mnie stopa. Między technikami i asystentami płci obojga, w otoczeniu chemicznych zapachów ostrzejszych niż mój własny smród, poczułem się jak u siebie i adrenalina zaczęła opadać. W ostatniej chwili oparłem się o podłokietnik czerwonego odrapanego fotela, który stał przed gabinetem mistrza. Usiadłem. Zamknę oczy tylko na chwilę. Małą chwileczkę.

– Pan Thorpe? Na Pustkę, co pan tutaj robi? Prosto z wykopalisk?

Otworzyłem oczy. Moje spojrzenie skupiło się na drobnym ciemnowłosym czarodzieju w grubych okularach, z imponującymi bokobrodami, w niebieskiej koszuli i wełnianym bezrękawniku w kratkę. Był tutaj. Nadal pracował w instytucie, chociaż ostatni raz widzieliśmy się mniej więcej półtora roku temu, podczas sympozjum w Avalonie. Nie wyjechał właśnie na żadną konferencję. Odetchnąłem z ulgą. Odniosłem już połowę sukcesu.



Beaufort zajmował się teorią rezonansów energii, szczególnie skupiając się na Pustce. To dzięki uczonym należącym do jego specjalności wiedzieliśmy, jak obchodzić się ze skażoną mocą, jak mierzyć jej natężenie i jak się jej bezpiecznie pozbywać. Podobnie jak Meg interesował się również historią Rozdarcia. Moja szefowa знаła wszystkie jego monografie; dwie z nich napisali razem. I chociaż ja sam ostatnio gościłem w Llywarch piętnaście lat temu, mistrz Beaufort niejednokrotnie odwiedzał pracownię Meg w Avalonie. Należał do tych magów, którzy rzadko ruszali w teren i sami zdobywali dane czy też poszukiwali artefaktów, ale był doskonałym analitykiem, więc zawsze mieli sobie coś do przekazania.

A więc, Iglico, ja też mam swoją własną sieć powiązań. Teraz musiałem sprawdzić inne moje podejrzenia względem mistrza. Miałem nadzieję, że test wypadnie pozytywnie, inaczej Beaufort prędzej czy później dowie się, że w jego pracowni przebywa uciekinier, którego oskarżono o napaść na Arcymaga Weylanda, i wtedy sam wezwie żandarmerię. Ale najpierw trzeba o siebie zadbać, bo zaraz padnę.

– Dzień dobry, panie Beaufort. Czy mógłbym dos...tać klucz do pokoju dekon...taminacji?

– Naturalnie. Alain! Przynieś klucz do kabin. Na Pustkę, i nikt panu nie pokazał. Gdzie pan zostawił panią de Breville? – Założył ramię na ramię. – Co się stało? Dobrze się pan czuje?

Šczęście w nieszczęściu, że wyładowałem niedaleko Llywarch. Co prawda nosząc teczki za Margueritte przez dwadzieścia cztery lata, poznałem osobiście większość arboriańskich czarodziejów naszej specjalności i kilkoro zagranicznych. Ale nie wszyscy współpracowali z nami tak ściśle, żebym mógł wpaść do nich bez zapowiedzi, bez mojej byłej szefowej oraz minimum kilkutygodniowej wymiany listów i wizyty starannie zaaranżowanej przez instytut, i nie zostać niezwykle chłodno przyjętym. Naturalnie Beaufort nie był durniem. Domyślał się, że skoro zjawiłem się tutaj tak nagle, wydarzyło się coś wyjątkowego. Dostrzegłem, że przelotnie zerknął na rulon gazety w mojej kieszeni. Znał ten artykuł. Zapewne właśnie przypomniał sobie o zdjęciach, które przedstawiały mnie na statku latającym w towarzystwie Weylanda. Rozpoznał mnie przecież, nawet jeśli nie byłem podpisany. Niekoniecznie od razu skojarzył z postacią przy sterze, ale już się zorientował, że nie powinno mnie tutaj być.

– Miałem ostatnio parę wzlotów... i upadków. Z góry przepraszam za impertynencję. Ogromnie potrzebuję pańskiej pomocy. I przyniosłem infor... macje, które mogą pana zainteresować.

Uniósł brwi.

– Myślę – powiedziałem cicho – że wiem, czym jest magiczna zaraza, która wybuchła w Avalonie. Mogę przygotować środek, który hamuje jej postęp. Choćby zaraz. Muszę tylko...

– Na Moce! – Beaufort rozejrzał się po korytarzu. Nikt nas nie podsłuchiwał. Młodzianka techniczka przebiegła korytarzem z plikiem papierów w garści. – Niechże pan leci pod ten prysznic. Zamówić panu coś do jedzenia?

– Chętnie. – Popatrzyłem mu prosto w oczy i powiedziałem, kładąc nacisk na odpowiednie słowa: – Jeśli można, placek po bretańsku.

Pamiętałem, jak uzyskaliśmy dostęp do magicznej kuli Margueritte i poznaliśmy jedno z haseł Cienia Gildii. Wydarzyło się to rok temu, ale równie dobrze mogły minąć stulecia. Hasło odnosiło się do misji Margueritte dotyczącej powstrzymania Rozdarcia, mojego talentu Maga Pustki albo obydwu rzeczy naraz; nie wtajemniczono mnie jeszcze w sprawy Cienia i nie dostałem dostępu do archiwów. Nie wiedziałem, kto jeszcze je znał. Jeśli nic więcej nie uzyskam, przynajmniej się najem i przyrządzę eliksir hamujący rozwój Sepii, a później poproszę o kontakt z Esterą Everett, Entropistką z Avalonu, której nazwisko podał mi Arcymag Weyland. Ona już z pewnością należy do wtajemniczonych.

Istniała także niewielka możliwość, że mistrz Beaufort – nawet jeśli znał hasło – został zwerbowany przez Iglicę. Albo wywiad wojskowy. Albo miał agentów w swoim najbliższym otoczeniu. Nie mogłem ufać mu w stu procentach. Ale tak jak mówił Weyland, problemy z zaufaniem są najbardziej szkodliwą dolegliwością w społeczeństwie, i żeby czegokolwiek dokonać – w sztuce magicznej, w interesach, w życiu – trzeba czasem zaryzykować, że ktoś cię potraktuje jak drabinę do wspinaczki albo okazję do darmowego obiadu (który swoją drogą próbowałem tutaj dostać).

Obserwowałem, jak na twarzy Donatiena Beauforta pojawia się wyraz szoku, zaskoczenia, wreszcie zrozumienia. Wymieniliśmy spojrzenia. Podał mi rękę i pomógł wstać; dźwignąłem się, ciężko opierając o podłokietnik. Dostrzegłem, że

patrzy teraz na mnie inaczej. Nie jak na asystenta Meg, pomocnika od noszenia teczki ze składanym domem i przygotowywania eliksirów.

Ale jak na kolegę.

\* \* \*

Łaźnia dekontaminacyjna była ascetyczna, wyłożona bladozielonymi kafelkami z *trivium*. Na progach i framugach drzwi umieszczono srebrne serpentyny wzorów zakłęb. Umyłem się pod gorącym prysznicem w wodzie o delikatnym zapachu chloru, przez dłuższy czas pozwalając sobie odmakać. Stopa mnie szczypała od wody, ale zakłębienie gojące zadziało prawidłowo, rana była czysta i już zasklepiona. Pozostała po niej tylko różowa kreska.

Sepia miała się doskonale. Gdy nie patrzyłem, czarnobrazowe nici rozprzestrzeniły się na mojej skórze, malując fraktalne kształty od łokcia po obojczyk, na pierwszy rzut oka bardziej zawile niż cokolwiek, co może stworzyć ludzka dłoń. Dotknąłem skóry. Ślady miały szorstką, jakby mszystą fakturę. Oprócz punktu wkłucia nie bolały. Nie zmieniały także koloru na żółty – tego w świetle mojej wiedzy o czarnym ziele obawiałem się najbardziej. Tymczasem astralny fantom pasożyta, który wyczuwałem przy Źródle, wcale nie rozrósł się tak mocno, jak wskazywałyby na to oznaki na skórze. Uznałem, że Sepia, niezdolna w pełni do skolonizowania mojego układu energetycznego, próbuje ekspansji na zewnątrz. Czarne ziele potrafiło szybko zająć dużą powierzchnię drewna, usiłując znaleźć miejsce najbardziej obfitujące w ślady magii.

Skorzystałem z automatycznej pralni i suszarni. Doprowadziłem do porządku całą zdobyczną odzież, z gumiakami włącznie. Zyskał na tym zwłaszcza płaszcz, który po upraniu okazał się zupełnie porządny, tyle że nieczyszczony przez kilka ostatnich lat. Nadal niezupełnie wyglądałem na dżentelmena, ale czysty strój na razie mi wystarczył.

Jakiś czas później siedzieliśmy w pokoju pracowników nad plackami po bretańsku i parującą kawą. Na odrapanych stołach piętrzyły się monografie, skrypty i odręczne notatki, blat przy zlewie zastawiono talerzami. Ciągłe ktoś nas mijał, witał się z mistrzem Beaufortem, próbował zagadywać. Przywykłem do Margueritte, która ze względu na połowy tryb pracy robiła wszystko sama – ze mną do pomocy, ostatecznie z technikami, których dzieliła z innymi mistrzami na Uniwersytecie Avalońskim. Tymczasem Donatien Beaufort, jak Gildia

przykazała, miał tylko jedną uczennicę, ale techników i asystentów chyba z dziesięcioro, i niektórzy z nich – znacznie starsi ode mnie – spędzili na badaniach więcej niż dwadzieścia pięć lat. Pracowało z nim także dwóch czarodziejów z dyplomem, ale bez własnego laboratorium. Tych zresztą zapamiętałem podczas naszych dawnych odwiedzin; pozdrowili mnie przelotnie, chociaż chyba nie wiedzieli, skąd znają moją twarz, bo jeszcze nie wzbudziłem silniejszej reakcji. Sam mistrz już od dawna nie dotykał się stołu alchemicznego.

Żeby mieć trochę spokoju, zamknęliśmy drzwi, a mistrz od razu rzucił odpowiednie zaklęcie. Woleliśmy, żeby przez pewien czas nikt nas nie podsłuchiwał.

Leżały przed nami notatniki, jeden nowy zeszyt w kratkę dostałem od razu dla siebie. Zapisałem już recepturę eliksiru, który zamierzałem uwarzyć, a teraz trochę odruchowo odwzorowywałem elementy zaklęcia teleportacji, nad którym pracowałem w Ombre.

– Hmm, tak, to by się zgadzało – powiedział Beaufort, w zamyśleniu skubiąc bokobrody. – Dam panu raport, który uzyskałem dziś rano. Ponad połowa avalońskich magów jest zarażona, każdy z nich emituje skażenie. Jeśli to potrwa dłużej, rozwiną Piętno. Niezależnie od tego mają bardzo silne objawy choroby. Na razie Centralny Szpital podaje środki hamujące aktywność Źródła, ale to nie pomoże na długo.

Gdy tylko usłyszałem swoje obawy wypowiedziane na głos, zrobiło mi się niedobrze ze strachu. Połowa avalońskich magów. Czyli kto? Kathryn? Belinde? Bo przecież nie Margueritte albo mała Lily – one znajdowały się w Alisinnor.

– Pan choruje bardzo lekko. – Beaufort rozwinął przede mną papiery. – Rezonans pańskiego Źródła jest zbyt niski i wykracza poza spektrum mocy, którą Sepia... uznają pańskie prawo do nazwy... komfortowo się pożywia. To by wyjaśniało indywidualne różnice między przypadkami. Nie wszyscy cierpią tak jak Weyland.

Ach, to dlatego pasożyt silnie reagował, gdy pochłaniałem cudze zaklęcia. Dostarczałem mu pożywienie.

– Ale nic więcej nie wiem. – Rozłożył ręce. – Sprawa jest bardzo świeża, pierwsze zakażenia odkryto wczoraj rano. Twierdzi pan, że nie zaraża...

– Nie zarażam. Wyłącznie dojrzała postać ziela uwalnia zarodniki, a plecha nie fragmentuje bez zimowania. Koniecznie trzeba sprawdzać, czy jej zewnętrzne ślady

nie żółkną. To bardzo alarmujący objaw.

Donatien Beaufort przejrzał moją listę.

– Berberys, izolowany inhibitor z ości makreli, żelatyna ze skóry ryb morskich...

– To tylko wypełniacz.

– Ekstrakt z czarnej porzeczkii, sole aralskie, zielony zenit. Jest pan pewien?

Podtruje się pan.

– Przy tych dawkach pocierpię dwa dni i będę jak nowy.

– Musi to zobaczyć doktor Everett. Bez obrazy, ale to prowizorka, a ona pewnie znajdzie coś lepszego. Niewątpliwie ta mieszanina zabija ostańce przedarboriańskie, jednak... Ja się znam na czystych energiach, pan na środkach ochrony roślin, lecz jeśli chodzi o medycynę, wierzyłbym jej. Już przekazałem wiadomość, wie o Weylandzie i o tym, że znaleźliśmy sposób na Sepię. Umówiliśmy się na rozmowę przez kulę o trzeciej trzydziści.

– Trzeciej trzydziści? – Zerwałem się od stołu. – Przecież liczy się każda minuta! Sam pan twierdzi, że u pozostałych magów choroba rozwija się piorunująco. Nie pamięta pan, że Weylanda porwano, a na żandarmerię w tym wypadku nie ma co liczyć? Nie powiedział pan, że tu jestem?

– Nie, na razie nie. – Potarł czoło. – Estera Everett jest lekarzem i nawet ja nie potrafię jej odciągnąć od pacjentów. A w tej chwili ma ich więcej niż kiedykolwiek. Podejdzie do kuli magicznej wtedy, gdy upora się z najpilniejszymi przypadkami.

Usiadłem. Nawet nie próbowałem sobie wyobrażać, jak wygląda Avalon ogarnięty epidemią, która dotknęła najpotężniejszych i najbardziej wpływowych czarodziejów w kraju, samą elitę arboriańskiej władzy. Ale nie o nich martwiłem się najwięcej. Czy Margueritte i Lily są bezpieczne w Alisinnor? Co z Kathryn i Belinde? Co się dzieje z moimi znajomymi z Gildii, współpracownikami, dawnymi nauczycielami z kursów? Tymczasem statek z Amandine na pokładzie mknie w stronę Dolorii. Potrzebowałem chociaż pięciu minut przed kulą Beauforta. Potrzebowałem... potrzebowałem znaleźć się w dwóch miejscach równocześnie. A tego nie umiał nikt, nawet Mag Pustki.

Zamknąłem oczy. Dookoła rozpadał się cały mój świat. Czy Iglica zaczęłaby działać, gdybyśmy nigdy nie wrócili z Bretanii? Czy to przeze mnie?

– Panie Thorpe, co do tych ludzi... tej Iglicy... nic mi o tym nie wiadomo. Gdyby pan przyszedł do mnie tydzień temu i opowiedział o pólaktywnych

czarodziejach teleportujących się za pomocą nieznannej automagii przez Pustkę, uznałbym, że to niemożliwe. Nie mniej niż kontakt z zaginioną częścią kontynentu i powrót Magów Pustki, chociaż pracowaliśmy i nad jednym, nie pomoże na długo.

Gdy tylko usłyszałem swoje obawy wypowiedziane na głos, zrobiło mi się niedobrze ze strachu. Połowa avalońskich magów. Czyli kto? Kathryn? Belinde? Bo przecież nie Margueritte albo mała Lily – one znajdowały się w Alisinnor.

– Pan choruje bardzo lekko. – Beaufort rozwinął przede mną papiery. – Rezonans pańskiego Źródła jest zbyt niski i wykracza poza spektrum mocy, którą Sepia... uznają pańskie prawo do nazwy... komfortowo się pożywia. To by wyjaśniało indywidualne różnice między przypadkami. Nie wszyscy cierpią tak jak Weyland.

Ach, to dlatego pasożyt silnie reagował, gdy pochłaniałem cudze zaklęcia. Dostarczałem mu pożywienie.

– Ale nic więcej nie wiem. – Rozłożył ręce. – Sprawa jest bardzo świeża, pierwsze zakażenia odkryto wczoraj rano. Twierdzi pan, że nie zaraża...

– Nie zarażam. Wyłącznie dojrzała postać ziela uwalnia zarodniki, a plecha nie fragmentuje bez zimowania. Koniecznie trzeba sprawdzać, czy jej zewnętrzne ślady nie żółkną. To bardzo alarmujący objaw.

Donatien Beaufort przejrzał moją listę.

– Berberys, izolowany inhibitor z ości makreli, żelatyna ze skóry ryb morskich...

– To tylko wypełniacz.

– Ekstrakt z czarnej porzeczkii, sole aralskie, zielony zenit. Jest pan pewien? Podtruje się pan.

– Przy tych dawkach pocierpię dwa dni i będę jak nowy.

– Musi to zobaczyć doktor Everett. Bez obrazy, ale to prowizorka, a ona pewnie znajdzie coś lepszego. Niewątpliwie ta mieszanina zabija ostańce przedarboriańskie, jednak... Ja się znam na czystych energiach, pan na środkach ochrony roślin, lecz jeśli chodzi o medycynę, wierzyłbym jej. Już przekazałem wiadomość, wie o Weylandzie i o tym, że znaleźliśmy sposób na Sepię. Umówiliśmy się na rozmowę przez kulę o trzeciej trzydzieści.

– Trzeciej trzydzieści? – Zerwałem się od stołu. – Przecież liczy się każda minuta! Sam pan twierdzi, że u pozostałych magów choroba rozwija się piorunująco. Nie pamięta pan, że Weylanda porwano, a na żandarmerię w tym wypadku nie ma co liczyć? Nie powiedział pan, że tu jestem?

– Nie, na razie nie. – Potarł czoło. – Estera Everett jest lekarzem i nawet ja nie potrafię jej odciągnąć od pacjentów. A w tej chwili ma ich więcej niż kiedykolwiek. Podejdzie do kuli magicznej wtedy, gdy upora się z najpilniejszymi przypadkami.

Usiadłem. Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, jak wygląda Avalon ogarnięty epidemią, która dotknęła najpotężniejszych i najbardziej wpływowych czarodziejów w kraju, samą elitę arboriańskiej władzy. Ale nie o nich martwiłem się najwięcej. Czy Margueritte i Lily są bezpieczne w Alisinnor? Co z Kathryn i Belinde? Co się dzieje z moimi znajomymi z Gildii, współpracownikami, dawnymi nauczycielami z kursów? Tymczasem statek z Amandine na pokładzie mknie w stronę Dolorii. Potrzebowałem chociaż pięciu minut przed kulą Beauforta. Potrzebowałem... potrzebowałem znaleźć się w dwóch miejscach równocześnie. A tego nie umiał nikt, nawet Mag Pustki.

Zamknąłem oczy. Dookoła rozpadał się cały mój świat. Czy Iglica zaczęłaby działać, gdybyśmy nigdy nie wrócili z Bretanii? Czy to przeze mnie?

– Panie Thorpe, co do tych ludzi... tej Iglicy... nic mi o tym nie wiadomo. Gdyby pan przyszedł do mnie tydzień temu i opowiedział o półaktywnych czarodziejach teleportujących się za pomocą nieznannej automagii przez Pustkę, uznałbym, że to niemożliwe. Nie mniej niż kontakt z zaginioną częścią kontynentu i powrót Magów Pustki, chociaż pracowaliśmy i nad jednym, i nad drugim. Ach, to było takie oczywiste! Lady de Breville ukryła pana tuż pod naszym nosem. Czy może pan porozmawiać z kimkolwiek innym, kto zna się na takich portalach? Mówi pan, że już wcześniej pan to widział. Gdzie?

Popatrzyłem pustym wzrokiem na swoje notatki. Przecież nie mogę się skontaktować z Trzecią Wyrocznią i bezpośrednio zapytać, czy nie ma z tym nic wspólnego i czy przypadkiem mogłaby pomóc w teleportacji...

...nie, Vincencie, ty to czasami jednak jesteś głupi. Oczywiście, że możesz.

– Przyszła mi do głowy jeszcze jedna osoba, od której będę w stanie uzyskać parę odpowiedzi. Może wieczorem. Czy mógłbym skorzystać z pracowni? Czy jest pan pewien swoich ludzi?

– Jak samego siebie, panie Thorpe. – Beaufort rozłożył ręce. – Jak samego siebie.

Gdy znalazłem się w przestronnym, jasnym laboratorium, zacząłem się stopniowo uspokajać. Wszystko tutaj wyglądało znajomo. Blaty alchemiczne ustawiono w trzech rzędach, każdy zaopatrzony w zlew i automagiczny palnik, każdy ze stelażem, do którego można przykręcać elementy szklanej aparatury. Szafy pod ścianą zapełniały butle i słoje z odczynnikami, zauważyłem też jedną automagiczną chłodziarkę i połyskującą brązem maszynę do produkcji lodu. Pod blaszanym wyciągiem, wyłożonym poplamionym papierem chłonnym, zmieściła się cała kolekcja słoików i słoików ze szklanymi korkami, a także wysoki pojemnik wypełniony szklanymi pipetami i ciemnym roztworem chromianki.

W lewym rogu pracowni znajdował się kwadrat dwa na dwa metry podłogi z *trivium*, przeznaczony do układania eksperymentalnych kręgów run. Ponieważ w pomieszczeniu nie operowano na wysokich energiach, tę przestrzeń osłonięto wyłącznie cienkimi ekranami o podstawowej chłonności, takimi jak w salach służących do treningu sztuki magicznej. Dostrzegłem rozdlubane resztki kręgu; kilka pociemniałych srebrnych run, już pozbawionych ładunku, które należało zanieść do piecyka i przetopić. Aż zaswędziały mnie ręce. Ale nie przyszedłem tutaj po to, żeby porządkować pracownię.

Uprzątnięto dla mnie kawałek blatu i przydzielono pomoc. Madeleine, chyba tak jej było. Niewysoka i bardzo młoda – na pewno młodsza od Kathryn, w wielkich okularach i z ciemnymi włosami upiętymi w kok. Nosila przepisowe szaty ucznia. No tak, to ma sens. Beaufort na pewno zechce odtworzyć recepturę, więc dobrze, żeby towarzyszyła mi jego uczennica. Po chwili miałem na stole alchemicznym wszystkie odczynniki, o które poprosiłem. Ułożyłem mały krąg run służących do stabilizacji energii i już mogłem się zabrać do stopniowego nasycania mocą powstającego eliksiru. Madeleine ucierała w moździerzu sole aralskie z berberysem. Na palniku podgrzewała się zlewka z roztworem żelatyny. Nad kręgiem obracały się ledwo widoczne świetliste znaki. Odkreślałem w zeszycie kolejne dodawane składniki.

- Pracuje pan z de Breville?
- Pracowałem. Niedawno skończył mi się kontrakt.
- Dwudziestopięcioletni? Będzie pan siedł na związkową emeryturę?
- Nie – odpowiedziałem, czując, że mówię zaskakująco szczerze. – Właściwie chciał... bym zostać... w badaniach. Chyba nie umiem przestać.



– Pan jest półaktywny, prawda? Asystenci się zużywają. Musi pan mieć niezły życiorys, skoro bierze pan poważnie możliwość ponownego zatrudnienia.

Uśmiechnąłem się do siebie. Niezły życiorys, rzeczywiście.

– Bo chyba nie myśli pan o założeniu własnej pracowni?

To się zdarzało. Dość rzadko, bo mało kto umiał konkurować z długowiecznymi czarodziejami o posadę, ale istniały takie przypadki, więc Madeleine miała prawo tak uważać. Nie wiedziała, że moja sytuacja wygląda jeszcze inaczej. Istniało tyle możliwości, jeśli tylko... na pewno wszystko będzie dobrze. Zielonkawy eliksir puszczał w kolbie bąbelki. Nakreśliłem ołówkiem na blacie urok stabilizujący; kilka kwantów mocy błysnęło w powietrzu i przeszło do roztworu. O trzeciej trzydzięci porozmawiam z Esterą Everett, a potem jakoś się ułoży. Wszystko się uda. Na pewno jeszcze mieliśmy przed sobą przyszłość.

– Może takiej... malutkiej.

– Najlepiej! – ucieszyła się.

Nie zrozumiałem, co najlepiej. Ale może tak się teraz mówi.

Eliksir powoli dochodził, przybierając konsystencję rzadkiego budyniu. Szkicowałem na kartce uroki chłodzące. Kątem oka dostrzegłem, że do pracowni właśnie wchodzi Donatien Beaufort, niewątpliwie po to, aby skontrolować postępy. Madeleine przyglądała się, notując z zapalem i podpytując o szczegóły.

– Co właściwie robimy?

– Ratujemy świat od zagłady. – Przelałem część zawartości kolbki do cylindra. Pięćdziesiąt mililitrów. A potem z cylindra do czystej zlewki. – Ucz się pilnie. Mam wprawę.

– Ale jak na eliksir to chyba trochę trujące, nie?

– Ano – potwierdziłem i uniosłem zlewkę do ust. – No to chlup!

Gorzka ciecz spłynęła mi do gardła. Wzdrygnąłem się z obrzydzeniem. Na widok zaszokowanej miny Madeleine postanowiłem, że zażartuję, ale w tej samej chwili wydarzyło się coś, czego się zupełnie nie spodziewałem. Rozległ się huk wystrzału i Donatien Beaufort upadł na twarz w drzwiach pracowni.

Teraz wszystko działo się w zwolnionym tempie, jak w złym śnie. Rewolwer wystrzelił drugi raz, potem trzeci, w stronę Beauforta i moją. Padłem na ziemię, obejmując ręką Madeleine. Gdy moja dłoń dotknęła jej pleców, poczułem wilgoć

i ciepło. Kolejna kula odbiła się rykoszetem od stołu alchemicznego. Palnik automatyczny, który jeszcze nie zdążył ostygnąć po naszej pracy, przewrócił się na błądź, prosto w świeżo rozlaną kałużę rozpuszczalnika. Buchnęły płomienie. Nie wiem jakim cudem, ale zdołałem się odwrócić, chwycić krzesło i osłonić siebie razem z uczennicą Beauforta. Napastnik postąpił dwa kroki do przodu, usiłując lepiej wycelować. Tyle wystarczyło, żebym dał radę rzucić Tarczę Kinetyczną. W powietrzu zaślniła przejrzysta ścianka barwy miedzi.

Udało mi się dostrzec zabójcę i go rozpoznać. Zobaczyłem błądź i zdeterminowaną twarz portiera. W chwili, w której udało mi się postawić tarczę, zrezygnował z dalszych strzałów. Cisnął rewolwer na podłogę pracowni i rzucił się do ucieczki.

– Pomocy! – krzyknął. – Wezwać żandarmów! On zabił mistrza!

Drżącymi rękami podtrzymywałem Madeleine. Spojrzała na mnie zdziwionymi oczami w wielkich okularach i krwawa bańka uciekła z jej ust. Gorączkowo zacząłem kształtować zakłęcie tamowania krwotoku. Z moim Źródłem nadal było źle, eliksir jeszcze nie zaczął działać, ale musiałem coś zrobić, cokolwiek. Donatien Beaufort się nie ruszał i wszystko wskazywało na to, że nie oddycha, a jego uczennica umierała mi na rękach. Usłyszałem odgłosy kroków w korytarzu i nagle powietrze przeszyło donośne wycie syren alarmowych. Zaciskając zęby, dokończyłem obliczenia. Nie umiałem zastosować nic lepszego, więc delikatnie odciągnąłem dziewczynę jak najdalej od płonącego stołu alchemicznego i położyłem w pozycji bocznej.

Właśnie wtedy do pracowni wbiegło dwóch stażystów mistrza, obydwa osłonięci Bańką Kinetyczną, z bojowymi zakłęciami trzaskającymi na koniuszkach palców. Za nimi zobaczyłem strażników. W moją stronę poszybowały dwie kule błękitnej energii.

„Zakłęcie paraliżujące – przemknęło mi przez myśl. – Oczywiście nie są mordercami Iglicy, tylko pracownikami mistrza. Chcą mnie zatrzymać, a nie zabić.

Ale gdy to zrobią, Iglica dokończy dzieła”.

Ledwo udało mi się przechwycić obydwa zakłęcia. Gdyby mieli wprawę Archera, byłoby już po mnie. Sepia zapulsowała wściekle, poczułem, jak moje ramię płąnie bólem. Czy eliksir zaczął już działać? Mało prawdopodobne.

Czarodzieje patrzyli na mnie z przerażeniem, niepewni, co przed chwilą zrobiłem. Wykorzystałem ich wahanie. Poruszałem się jak automat. Ponieważ upadając razem z Madeleine, zrzuciłem ze stołu swój notatnik, nie splonął, ale w tej chwili leżał zbyt daleko, żeby po niego sięgnąć. Zabrałem więc zeszyt uczennicy Beauforta. Za to kolba z resztką eliksiru stała na brzegu blatu i pozostała nietknięta. Dałem po nią susa. Następnie rzuciłem się do ucieczki w stronę okna. Wiedziałem, że na żandarmerię nie mam co liczyć. I nikogo nie przekonam, nie teraz. Portier pracował tutaj od lat, ja przybyłem kilka godzin temu.

Roztrzaskałem szybę metalową tubą na pipety i pospiesznie spłotłem proste zakłęcie antygravitacyjne. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że przyprowadziłem tutaj śmierć i że niezależnie od tego, czy teorie Iglicy mają sens, sam przyczyniam się do rozpadu mojego świata.

\* \* \*

Amandine

Pokład Glorii d'Aquamarine, dwa dni wcześniej

Prześcieradło pachniało krochmałem. Stół operacyjny w infirmerii oświetlała biała automagiczna lampka, w którą Amandine starała się nie patrzeć. Prawa połowa jej ciała była odrętwiała i jakby chłodna. Od czasu do czasu artystka czuła nacisk narzędzi chirurgicznych w okolicach żeber. Kręciło jej się w głowie.

– Teraz proszę leżeć spokojnie i się nie ruszać – powiedział doktor Roberts. – Jeśli zaczniesz panią boleć, proszę natychmiast mi powiedzieć.

Amandine posłusznie zastygła w bezruchu, wdzięczna losowi, że kula nie trafiła centymetr wyżej i jej biust ocalał. Ze strzaskanym żebrem jakoś mogła sobie poradzić, przynajmniej dopóki działało znieczulenie. Usłyszała metaliczny brzęk. Coś wpadło do blaszanego pojemnika.

– Wyjąłem kulę – wyjaśnił Roberts. – Ma pani szczęście, opłucna nie została naruszona. Pocisk uszkodził żebro i utkwił pod skórą. Teraz sprawdzam, czy nie ma w ranie luźnych odłamków kości. Rzucę zakłęcie regenerujące, ale przez pewien czas będzie pani musiała się oszczędzać.

– Co z Weylandem? – szepnęła. Z trudem przychodziło jej wzięcie głębszego oddechu.

– Proszę się nie ruszać – powtórzył lekarz pokładowy. – Stan Arcymaga jest stabilny. Proszę się o niego nie martwić. Widziałem takie zakłęcie raz, może dwa razy. Ma bardzo spowolniony metabolizm i na pierwszy rzut oka nie widać oznak życia, ale zapewniam, że oddycha, a jego serce bije.

Amandine poczekała, aż nacisk narzędzi chirurgicznych ustał i Roberts odwrócił się do pojemnika, brzękając metalem w poszukiwaniu nowych przyborów.

– Czy może pan przekonać pułkownika, że to nie było wrogie zakłęcie?

– Nie mogę tego stwierdzić w stu procentach – odparł doktor po namyśle. – Nie przychodzi mi do głowy powód, dla którego można by kogoś uśpić w ten sposób, zamiast unieszkodliwić go bardziej definitywnie. Ale nie znam tego protokołu i nie wiem, jak je stosować. To znaczy, że nie należy do repertuaru medycznego, a przynajmniej takiego, z jakim ja mam do czynienia. Proszę przez chwilę nic nie mówić, będę szył.

Roberts ze skupieniem dotknął jej skóry długą stalową igłą. Pochylił głowę i wyszeptał słowa zakłęcia, a później milimetr po milimetrze przesuwał igłę wzdłuż rany. Mimo znieczulenia Amandine poczuła iskiarki mocy, jak delikatne wyładowania elektrostatyczne. Po skończonej pracy lekarz napotkał jej wzrok i wyczytał w nim uznanie.

– Robię to bezszwowo. – Uśmiechnął się z fałszywą skromnością. – Trochę się pracowało w wojsku.

– Zastanawiałam się, czy interesuje pana posada za granicą.

Rozległ się łomot do drzwi.

– Archer, pracuję tutaj – odparł doktor znużonym tonem. – A pacjentka jest nieubrana.

Coś błysnęło i drzwi infirmerii otworzyły się gwałtownie. James Archer wmaszerował do kabiny z plikiem papierów w dłoniach. Lekarz szybkim gestem zarzucił na pacjentkę czystą chustę chirurgiczną.

– Czy to taktyka przesłuchania – zapytała Amandine lodowato – czy jest pan po prostu chamem?

– Już skończyłeś, Roberts? Wyjdź stąd. To rozkaz.

Doktor rzucił pułkownikowi zniesmaczone spojrzenie, ale posłusznie opuścił infirmerię. James Archer zamknął drzwi. Mignął palcami w geście, który artystka

już rozpoznawała jako zakłęcie przeciwpodśluchowe, a potem usiadł na stołku. Przez ten czas Amandine zdołała sięgnąć po pled i owinąć się nieco dokładniej.

– Nie jestem pani winien żadnych uprzejmości – powiedział pułkownik. – Za to pani powinna mi udzielić kilka wyjaśnień, i to możliwie jak najprędzej. Co to jest?

Kartki zapisano gęstym, równym pismem Vincenta, głównie wzorami, z dodatkiem wielu rysunków. Amandine widziała, jak pracował nad nimi wieczorami w Ombre. Rozróżniła nawet kilka elementów Sevri, które znała ze starożytnej sztuki naściennej; przypadkowo dowiedziała się kiedyś, że są także używane jako symbole w magii Pustki.

– Jakieś wzory. Nie wiem.

– Nie poprawia pani swojej sytuacji.

– Naprawdę nie wiem. Proszę pana, ja skończyłam historię sztuki. Dwanaście lat temu. Nie brałam dodatkowych kursów z nauk ścisłych. Nie znam się na magii.

James Archer popatrzył na nią przeciągle.

– Nadworna Magini Bretanii – spytał z naciskiem – nie zna się na magii?

– Znam się na organizowaniu dużych przedsięwzięć. Mogę panu zaprojektować pracownię. Albo zrobić wernisaż na dwieście osób, chce pan? Bierze się do kupy zespół fachowców i zapewnia takie warunki, żeby mogli pracować. Oni się świetnie sobą zajmują, jeśli im za bardzo nie przeszkadzać. – Amandine kaszlnęła. Źle jej się mówiło na pełnym oddechu.

– Twierdzi pani, że to łatwe.

Nie było. Ale nie zamierzała mu się zwierzać.

– A może rolę architekta Gildii Bretanii i ministra za tronem – dodał James Archer – pełni w rzeczywistości Belinde Chamomille?

„A może pan jest dupkiem i gburem” – pomyślała Amandine. A na głos powiedziała:

– Oczywiście można by na tym miejscu umieścić kogoś innego. Ale ten ktoś powinien najpierw wygrać wojnę i posadzić na tronie królową. Myśli pan, że o wszystkim decyduje potencjał Źródła? Gdyby tak było, nie musielibyście tak długo się uczyć, walczyć o zasługi i udowadniać swoich umiejętności przed sobą nawzajem. Wystarczyłby test podczas próby aktywacji.

– Pani wie, że nie o to pytałem.

Amandine ciasniej owinęła się pledem.

– Pan po prostu uważa, że ludzie bez magii są niekompetentni, gorsi. Nie traktuje mnie pan poważnie nawet jako użytkowniczkę Zagłady Gwiazd, bo nie mam pomniejszych zdolności magicznych, tak jak pan podejrzewał o to Vincenta.

– Nie została pani w żaden sposób przeszkolona – zachnął się Archer. – Wymachiwanie Zagładą jak cepem może robić wrażenie na dzikusach z Bretanii, ale nie na mnie. Ale skoro już o tym mówimy i mam panią traktować poważnie, to czy przypadkiem wbicie klina między Maga Pustki a jego protektora Weylanda nie było pani pomysłem?

– Co? Na Pustkę i Zaświaty, panie pułkowniku... – Rozkasłała się boleśnie. – Już panu mówiłam, że to nie Vincent napadł na Weylanda. Jacqueline...

– Mam ufać pani, a nie jej? – spytał cicho pułkownik. – Ma pani pojęcie, ile lat Jacqueline u mnie pracuje? Proszę mnie nie rozśmieszać. Ten człowiek, ten Mag Pustki... – wycedził te słowa jak obelgę – wiem, do czego może być zdolny. Wiem, ile są warte te sfalszowane profile osobowości. Widziałem, jaki z niego aktor. Pomyśleć, że przez ćwierć wieku razem z de Breville wodził wszystkich za nos!

Po tych słowach James Archer wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Jeśli pani zdecyduje się opowiedzieć o nim coś więcej, Korona będzie pani wdzięczna. O ile, ma się rozumieć, pozostała pani wierna Koronie.

– Pan jest po prostu uprzedzony! – zawołała za nim Amandine. – Proszę chociaż przesłuchać załogę!

Zadyszała się. Nie mogła odetchnąć głębiej, więc przez dłuższą chwilę wciągała i wypuszczała powietrze z płuc, powoli i z namaszczeniem. Do infirmerii z powrotem wszedł Roberts.

– Przepraszam serdecznie za to całe zamieszanie. Potrzebuje pani jeszcze zakłęcia regenerującego oraz bandaża. Pani szlafrok wisi tutaj. – Wskazał kołek na ścianie. – Proszę wybaczyć, że pytam o takie szczegóły, ale czy posiada pani miękki gorset na haftki? Nie powinna się pani jutro zbyt ciasno sznurować.

Amandine powolutku usiadła na stole operacyjnym. Lekarz szkicował na kartce symbole matematyczne. Czuła, jak ciepłe porcje mocy co jakiś czas opływają jej skórę.

– Przepraszam... – odezwała się. – Czy długo pan pracuje z Archerem?

– Trochę – mruknął Roberts.

– Jakim jest szefem?

– To odrobinę niedelikatne pytanie, panno Cerise.

– Czy naprawdę uważa pan, że napadliśmy do spółki z moim narzeczonym na Arcymaga Weylanda?

– Strasznie dużo pani mówi, panno Cerise. Proszę podnieść ręce. Teraz proszę się wyprostować, o tak. – Lekarz obwiązywał bandażem jej klatkę piersiową. – Jeśli chodzi o Jamesa Archera, powinna pani odczekać. Mam wrażenie, że przekonał sam siebie do wyniku śledztwa, i dopóki nie opadną emocje, nie zmieni zdania. Ja nie wiem, co się wydarzyło na pokładzie. Spałem. Jednak pan Thorpe nie zrobił na mnie wrażenia ani wariata, ani idioty, który by zaraz chciał napadać na Weylanda. Nie mam pojęcia o Magach Pustki i szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy pan Archer nie zmyślił sobie tego w kłębach dymu, lecz wiem, że pani narzeczony wcale nie udawał przed nami ułomności. Po prostu trochę mu się poprawia, kiedy jego umysł intensywnie pracuje. Widywałem już takie przypadki.

Spojrzał na nią z powagą.

– Ale chciałbym też wiedzieć, co się tutaj naprawdę stało. A już kapitan Fleury, proszę mi wierzyć, nie odpuści sobie tego tematu. Bo wie pani, na niebie Arborii lata tylko jeden taki statek. I to jest nasz statek – podkreślił. – Nikt go nie będzie porывał. Mag Pustki czy też ktokolwiek inny.

\* \* \*

Jedyną dobrą stroną całej tej awantury i aresztu domowego była osobna kabina przeznaczona tylko dla Amandine. Artystka usiadła na koi pachnącej lawendą, przykrytej kapą w lilie. Wiedziała, że za drzwiami stoi strażnik – jeden z członków załogi. I tak miało zostać, aż dotrą do celu podróży.

To zaś mogło nastąpić ze sporym opóźnieniem. Chociaż Archer wyprowadził statek z chmury, wichry zniosły ich daleko z kursu, a co gorsza, fronty burzowe wciąż przetaczały się przez Arborię. Zastanawiała się, co z Vincentem, gdzie udało mu się wylądować, jak sobie radzi. Oddaliła od siebie myśl, że nie powiodło mu się zakłęcie Lotu. Wyobrażała sobie, że bez trudu trafił na pocztę, a tam, dzięki dostępowi do publicznej kuli, załatwił sobie środki na powrót do Avalonu. Znajdowali się w cywilizowanym kraju i na pewno nie musiała się o niego martwić.

Nerwowo zacisnęła dłonie na kapie łóżka. Będzie próbował się z nią skontaktować, a ich kula znajdowała się w rękach Archera i tej jego cholерnej asystentki.

Kim byli ci ludzie?

Czego chcieli od Arcymaga? Nie zabili go przecież. Chyba że zamierzali, ale Vincent im to uniemożliwił. Jakim sposobem przedostali się na statek? Jeśli umieli przenosić się przez portale, w takim razie... trzeba natychmiast porozmawiać z regentką. Theresa będzie wiedziała, czy ktoś próbował nagiąć Trzecią Wyrocznię do swoich celów.

Czego chcieli od niej? Zdemaskowała Jacqueline, nawet jeśli pułkownik jeszcze w to nie wierzył, więc będą próbowali ją zastraszyć. W razie stawiania oporu zabić. Skoro James Archer przeszukał bagaże i odkrył jej tożsamość jako Nadwornej Magini Bretanii, Jacqueline też o tym wiedziała. Tylko załoga statku powietrznego pozostawała w błogiej nieświadomości szczegółów całej intrygi i Amandine upatrywała w tym dla siebie pewnej szansy.

Zadając pytania Robertsowi, zrobiła pierwszy ruch. Teraz czekała, aż pozostali wykonają swoje.

Rozległo się pukanie do drzwi. O właśnie.

– Proszę!

Do kabiny weszła Jacqueline. Siniec pod jej okiem już zbladł, widocznie Roberts miał dość dużo mocy, żeby zająć się wszystkimi. Amandine wątpiła, żeby ktoś taki jak major chciał przelewać komuś własną moc.

– Wasza Wysokość. – Jacqueline dygnęła drwiąco.

– Mówi się Wasza Ekscelencjo – poprawiła ją Amandine, od razu wchodząc w rolę – skoro już upiera się pani przy używaniu tytułów. Przyszła się pani pokajać za próbę zabójstwa Wielkiego Maga?

– Pani tak serio?

– W zupełności. – Zniżyła głos. – W co wy gracie? Nawet to, co Vincent opowiadał mi o badaniach waszej organizacji, nie tłumaczy pani zachowania.

– Przyznam, że trochę mnie poniosło – w głosie major zabrzmiała nuta gniewu. – Pani tego nie rozumie i nie zdaje sobie sprawy, jak groźny jest ten mężczyzna. Może sobie pani wyobrażać, że będzie się wysługiwał Nowemu Triumwiratowi. I rzeczywiście może to robić. W przeciwieństwie do Jamesa wiem, że prawdopodobnie nigdy w życiu nikogo nie napadł. Ale na dłuższą metę sama jego



obecność doprowadzi do zniszczenia wszystkiego, co pani drogie. Choć oczywiście nie łudzę się, że przekonam marionetkę Weylanda na tronie Bretanii do swoich racji.

– Proszę spróbować. Słucham.

Rzuciła jej krzywe spojrzenie.

– Pani jest nieutalentowaną przy władzy. To niezwykle rzadkie i godne pochwały. W innych warunkach pomogliśmy pani ustabilizować władzę w Bretanii i odsunąć od wpływów starych magów. Nauczylibyśmy panią, jak utrzymywać równowagę mocy na Ziemi Drzew, żeby mogła naprawiać się sama, w sposób całkowicie naturalny. Ale pani go broni. Proszę dobrze się zastanowić, jak długo jeszcze z panią będzie. Zanim się pani zestarzeje?

Amandine dołożyła wszelkich starań, żeby major nie dostrzegła, jak boleśnie wbiła jej szpilę.

– Przecież nie przehandluję własnego narzeczonego – odparła. – To niedorzeczne.

– Nie musi zginąć. – Major spojrzała na nią ze współczuciem. – Ja panią rozumiem, uczucia nie są mi obce. Mamy sposoby, żeby unieszkodliwić jego Źródło. Zrównacie się długością życia – kusząca perspektywa, nieprawdaz? Jeśli będzie pani współpracować, postaramy się schwytać go żywcem.

Amandine udała, że się zastanawia.

– Skąd mam wiedzieć, że wasze teorie nie są zwykłą bzdurą dla naiwnych?

– Niestety, nie mam czasu pani przekonywać. Ale proszę pomyśleć, ile by pani zyskała, i to na każdym polu. Porozmawiamy jeszcze. Będę zdawać relacje z postępów w poszukiwaniach pana Thorpe'a. Kto wie, może przyjdzie pani rozstrzygnąć ten dylemat, gdy się z nim pani bezpośrednio zderzy?

Z tymi słowami Jacqueline opuściła pokój.

Amandine pozwoliła sobie na dreszcz obrzydzenia. Nie podobało jej się, że w pewnym momencie argumenty major zabrzmiały tak trafnie. Pomyślała, jaką krzywdę wyrządziłaby Vincentowi, pozbawiając go teraz Źródła. Nawet jeśli wcześniej tak długo dawał sobie bez niego radę. Znów zadrżała. Bolały ją żebra.

„Odrobina zachęty, odrobina szantażu, dla każdego coś miłego. Czegoś potrzebuję. Chyba wódki”.

Znów ktoś zapukał do drzwi. O ile Amandine mogła to stwierdzić, ktoś inny niż Jacqueline. Coś takiego. Ruch jak na moście nad Lyonesse. Niech będzie, że dzisiaj Nadworna Magini udziela audiencji.

– Proszę wejść!

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Kapitan Fleury, wysoki brodac, który równie dobrze mógłby służyć na jednostce morskiej – a przynajmniej tak Amandine wyobrażała sobie marynarzy – uklonił się uprzejmie, chociaż niewprawnie. Nie dało się przeoczyć, że miał obandażowaną głowę.

– Zbliża się świt, więc chyba dzień dobry – mruknął. – Muszę z panią porozmawiać.

„Tak – pomyślała Amandine – to dziś popularne zajęcie”.

– Słucham.

– Chcę poznać pani wersję wydarzeń. Mogę usiąść?

Nie czekając na odpowiedź, przycupnął na krzesle przy stoliku dla pasażerów.

– Czy wie pani, co to jest? – Postawił przed sobą zakrecony słoik. W środku znajdowała się strzykawka ze zgietą igłą i resztkami brunatnożółtego płynu.

Wyprostowała się z niepokojem.

– Pierwszy raz to widzę. Gdzie pan to znalazł?

– Wiem, że na moim statku pojawiło się jeszcze dwoje ludzi. – Kapitan delikatnie podrapał się przez bandaż. – Zebrałem informacje, zbadałem kilka śladów po zakłęciach. I nie zostawił ich Weyland, on się nie ruszał ze swojej kabiny. A wie pani, co jest zabawne? Praktycznie przyłapałem panią major, jak je usuwała. Stary właśnie wysyła listy gończe za Thorpe'em. Jacqueline twardo go w tym wspiera. Obydwoje twierdzą, że Arcymag stoczył pojedynek z pani narzeczoną, a mnie cały czas wychodzi, że tam się biła trójka czarodziejów i żaden z nich nie był Weylandem. Proszę mnie źle nie zrozumieć, pułkownik to dusza facet, ale jak sobie czasem coś wbije do głowy, nie ma na niego siły. Jednak co do niej... Widziała pani tych magów?

Pokręciła głową.

– Słyszałam tylko, jak Jacqueline rozmawiała z kimś przez kulę magiczną. Później tych dwoje weszło na pokład przez portal w ścianie. Ale ledwo ich zauważyłam, zresztą chyba byli zamaskowani.

Fleury się skrzywił.

– Nie ufam tej wydrze. Ale łatwiej bym uwierzył, gdyby pani powiedziała, że podlecieli.

Amandine rozłożyła ręce.

– Może powinien pan wiedzieć, że jacyś obcy ludzie znów mogą się teleportować na pokład, jeśli ona im w tym pomoże.

Kapitan zatrzymał dłoń w pół drogi do manierki przy pasie.

– Zastępuje mnie bosman, Jessie – rzekł przepraszająco, jakby się tłumacząc – ale nie powinienem pić przy pani.

– Mnie to nie przeszkadza – mruknęła Amandine. – I może pan mnie poczęstować. Alkohol chyba mi się dzisiaj przyda.

Fleury bez słowa nalał bursztynowej cieczy do jednej z dwóch szklanek na stoliku. Wręczył artystce z uprzejmym skinieniem głowy. Amandine ostatnim razem próbowała tak podłej brandy w czasach, gdy wiodła prym w awalońskiej bohemie, ale skoro już poprosiła, nie miała wyjścia, musiała dopić do końca.

– Ten Most do Utraconej Bretanii, o którym mówił dziennikarz – zagadnął kapitan. – Widzieliśmy go z pokładu. Wie pani coś o tym?

Skinęła głową.

– Całkiem sporo, ale nie powinnam zdradzać szczegółów. Choćby ze względu na Weylanda. Dlaczego pan pyta?

– Bo jest dostatecznie szeroki, żeby Gloria zmieściła się na nim. Gdybyśmy spuścili trochę gazu, dałoby się przelecieć. – Fleury znów dotknął dłonią bandaża, jakby nad czymś rozmyślał. – Nieważne. Wygląda na to, że ten cały Thorpe uratował nam dupy, tymczasem pułkownik ma ochotę zawiesić sobie jego głowę nad kominkiem. To ci sami ludzie, przed którymi miały nas ochronić detektory? Jestem niezwykle ciekaw, dlaczego nie zadziałały.

– Wyrzucmy ją za burtę – zaproponowała Amandine.

Fleury zrobił minę, jakby rozważał ten krok na poważnie, potem westchnął.

– Obawiam się, że nie dam rady tego zrobić bez zrażenia do siebie Archera. Wie pani, on to wszystko finansuje. – Kapitan zatoczył ręką koło. – Rozwija arboriańską flotę powietrzną. Innego patrona raczej nie znajdziemy.

Amandine ściągnęła usta, ale nic nie powiedziała. Jeszcze nie czas, żeby zagrać tą kartą. Załoga nie wie o jej pozycji w Bretanii.

– Oczywiście – dodał – pułkownikowi brakuje rozległej wiedzy praktycznej. Wyprowadził statek z burzy, ale nie ma doświadczenia w długofalowej, codziennej nawigacji. Bardzo daleko zbczyliśmy z kursu i pogoda nie pozwala nam wrócić. Zrobimy sobie wycieczkę krajoznawczą, a tymczasem Archer ochłonie i skorzysta z rozumu. Bo kiedy chce, to potrafi. Gdyby tylko dało się go jakoś przekonać, że pani major ma swój własny interes w schwytaniu pana Thorpe’a albo że chociaż myli się w jego sprawie. Wie pani chociaż, kto próbuje tak skutecznie zinfiltrować nasz wywiad? Doloriańczycy?

„A co tam. Chyba mogę mu powiedzieć”.

– Weyland wspominał coś o Iglicy. Taka frakcja wśród czarodziejów. Nie jestem nawet pewna, czego chcą. Oprócz tego, że wydają się uprzedzeni do Magów Pustki.

– Ja to nawet nie wiem, o co chodzi. – Fleury rozłożył ręce. – Pomijając mity i legendy, tak patrząc po człowieku, normalny czarodziej. Są magowie Creo, są Entropii, to może być i Pustki. Chyba że ktoś czerpie wiedzę o świecie z teatru.

Brzmiał trochę, jakby próbował przekonać samego siebie. Ale to był najbardziej trzeźwy komentarz w tej sprawie, jaki Amandine słyszała do tej pory od kogokolwiek, włączając w to Arcymaga.

– Niech pan Roberts obejrzy tę strzykawkę i spróbuje jeszcze raz zdiagnozować Weylanda – poprosiła. – Może da radę go obudzić i dowiemy się, czego chce Iglica. A co o tym wszystkim sądzi dziennikarz? On pewnie patrzy teraz Archerowi przez ramię.

– Chce pani z nim porozmawiać?

– Czy mi się wydaje, czy pan ma nadzieję, że chcę?

– Uwolni nas pani od niego na chwilę.

Amandine wysączyła alkohol do reszty.

„Może powinnam wziąć sobie do serca ostrzeżenie Fleury’ego. Ale bez przesłuchania pana de Pointeferre’a nie poczuję, że dzisiejsze audyencje się skończyły”.

\* \* \*

Statek powietrzny skrzypiał i jęczał. Stalowe wręgi balonu nieustannie pracowały na wietrze, a lekkie kołysanie gondoli wskazywało, że pogoda wciąż pozostawia wiele do życzenia. Amandine na powrót umieściła szklanki w uchwytach zamocowanych na stoliku i otaksowała wzrokiem nieotwartą butelkę wody. Znieczulenie już przeszło, a zębra nadal pobolewały – świeża chrząstka, która zespoila złamaną kość, nadal była krucha i zakłęcie regenerujące miało jeszcze działać przez jakiś czas. Artystka wyciągnęła więc z neseserka słoiczek z tabletkami od bólu głowy.

Przed rozmówcami udawała spokój, ale trzęsły jej się ręce. Głównie ze złości. Pominąwszy czyny grubszego kalibru, ta głupia kłępa Jacqueline przeszukała jej torebkę i obmacała wszystkie prywatne drobiazgi. Miała okazję podumać nad nieświeżą chustką do nosa oraz zmiętymi rachunkami ze sklepików w Ombre. Zostawiła jej lekarstwo, ale poznała dolegliwość, z jaką zмага się przeszukiwana. Może dotykała szminki? Wtedy będzie do wyrzucenia. Amandine otworzyła przybornik do makijażu i poddała go dłuższej inspekcji. Wszystko wydawało się w porządku.

Archer zapewne pracował teraz nad hasłem do ich kuli magicznej. Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim regentka Theresa poczuje się zaniepokojona brakiem kontaktu z jej strony. Nie rozmawiały codziennie, ale von Feuerstein nie cierpiała spóźnień, nie przywykła do rozmów na odległość i od myśli do działania było u niej bardzo niedaleko. Amandine westchnęła. Trudno przewidzieć, co zrobi – może wykorzysta okazję do samodzielnych rządów i postanowi odciąć się od przybyszów z Arborii? Z drugiej strony wiedziała, że potrzebuje ich przy odbudowie kraju, poza tym żywiła głęboko zakorzeniony szacunek wobec rodu d'Argent i Królewskiego Smoka. No i uznawała autorytet Trzeciej Wyroczeni, a Skuld uważała, że Arboriańczycy są na miejscu niezbędni. A przynajmniej Vincent, Kathryn i Liliana. Ona sama nie.

Może nadszedł czas, żeby zostawić za sobą Utraconą Bretanię? Przecież Vincent połączył już światy i nic się nie stanie, jeśli Weyland zatrzyma go w Arborii. Nie potrzebowała władzy (choć musiała przyznać, że stanowisko Nadwornej Magini, które z początku jej ciążyło, zaczynało się stawać zaskakująco komfortowe). Wplątała się w tę całą awanturę z poczucia obowiązku, dla ochrony Kathryn i małej Lily. Nie miała własnej mocy. Istniało tylu ludzi, którzy mogli zająć jej miejsce w Nowym Triumwiracie.

Zamknęła neseserek. Wszystko to były na razie zagadnienia teoretyczne. Pomyśli o tym później, teraz trzeba jakoś się wydostać z tej matni. Obudzić Weylanda, unieszkodliwić Jacqueline i – co najważniejsze – wstrzymać pościg za jej własnym narzeczonym.

Znów zapukano do drzwi.

– Czy nie przeszkadzam? Może pani śpi?

– Ależ proszę, redaktorze de Pointeferre. – Odwróciła się z westchnieniem. – I tak już dzisiaj nie zmruję oka.

– Ale się porobiło. – Starszy mężczyzna ciężko opadł na brzeg łóżka, starannie utrzymując przyzwoity dystans od Amandine. – Dobrze mi tak. Powinienem wysłać kogoś z moich reporterów, może pana Cabbage’a, ale połaščzyłem się, chciałem tematu życia. No i mam swój temat życia. Czy mogę zapisać pani obraz na kuli?

– Jestem nieumalowana i niedysponowana. Proszę się powstrzymać.

– Dobrze. – Simon de Pointeferre westchnął ciężko. – Nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Nikt nie umie pochłaniać cudzych zaklęć. Archer myśli jak wojskowy; przede wszystkim obawia się siły pana Thorpe’a i jeszcze do niego nie dotarło, że taka możliwość podważa kilka kluczowych teorii magii. Otwiera nowe ścieżki badań. Nawet nie wiem, jak ugryźć temat, muszę podpytać specjalistów. Może zresztą sam pan pułkownik, kiedy znajdzie czas, aby przemyśleć konsekwencje... W końcu pracował kiedyś na uczelni.

– Chciałabym pana prosić, żeby pan go do tego nie zachęcał – mruknęła Amandine. – I dla całkowitej jasności: jeśli pan opublikuje swoje zdjęcia i ujawni, że Vincent Thorpe jest Magiem Pustki, oskarżę pana o zniesławienie i wygram. Bo to się kwalifikuje jako termin powszechnie uznawany za obelżywy. James Archer nie ogłosił tego publicznie?

– O ile mi wiadomo, nie. Częściowo. Wysłał rysopis żandarmerii i kazał go szukać.

Amandine ucisnęła grzbiet nosa dwoma palcami.

– No dobrze, nie jest tragicznie. Albo inaczej, jest tragicznie, ale może nie stuprocentowo. Mam jeszcze jedno pytanie. Zanim wylecieliśmy, czy posprzątano ten cały bałagan z kałużą skażenia na Moście do Bretanii?

– Tak, pan Thorpe udostępnił bramę Pierwszej Specjalnej. Dlaczego pani pyta?

– Tak się tylko nad czymś zastanawiałam. Zaraz, chwilę. Jakim cudem pan się dowiedział?

Pan de Pointeferre z godnością poprawił monokl.

– Mam oczy i uszy otwarte. Proszę mi powiedzieć, czy dostrzegła pani animozje między Arcymagiem a panem Thorpe'em?

– Co? – spytała Amandine z groźbą w głosie.

– Proszę zapomnieć. O nic nie pytałem.

– A pan, czy dostrzegł pan może przypadkiem, że major Jacqueline ma zupełnie inne zdanie na temat całego wydarzenia niż załoga Glorii? A przynajmniej kapitan Fleury?

– Wiem, że pan Thorpe rzucił na kapitana zakłęcie Powstrzymania Krwotoku – odparł de Pointeferre. – Naturalnie dzięki temu kapitan jest mniej skłonny uznać go za winnego napaści na Andreasa Weylanda. Ponadto gdy dotarliśmy do kokpitu, część załogi została przymocowana do podłogi Pajęczyną. James Archer uważa, że Vincent ich obezwładnił, żeby nie stawiali oporu, ale...

– Pan uważa, że to dla ich bezpieczeństwa – domyśliła się Amandine.

– Ja nic nie uważam. Za to uważnie słucham i oglądam. – Redaktor de Pointeferre rozłożył ręce. – Czy mogę zadać kilka innych pytań?

– Proszę spróbować.

– Czy odwiedziła pani Utraconą Bretanię?

– Nie jestem pewna, czy ta informacja nie należy do tajemnic państwowych.

– Ależ proszę mi zdradzić. Chociaż troszkę. Może odrobinę szczegółów dotyczących ustroju społecznego? Jak się ludzie ubierają? Czy ma pani ulubione bretańskie potrawy? I tak nie dam rady tego wydrukować. – Simon de Pointeferre uniósł palec wskazujący. – W przeciwieństwie do dziennikarzy z brukowców całe życie pracuję ciężko na moją reputację. Nie publikuję wieści z nieudokumentowanych źródeł. Moja wiarygodność musi być absolutnie nienaganna.

– Jak powiedział fryzjer z Nouveaux Dijon – odezwała się Amandine po bretańsku.

– Co? Co to znaczy? Czy pani mnie obraża?

– Umiarkowanie. Proszę pana, opowiem panu to i owo, jeśli pan znajdzie dla mnie to i owo. Interesuje mnie zwłaszcza bliska i dyskretna obserwacja Jacqueline. Szybko pan się zorientuje, że ta... że pani major ma coś na sumieniu. Jeżeli pan znajdzie dowody i je zaprezentuje Archerowi, będę niezmiernie zobowiązana. Wstrzyma pan pościg żandarmerii za niewinnym człowiekiem i zapobiegnie spiskowi sięgającemu elit władzy. Brzmi dobrze?

– Pan James Archer uważa, że to pan Thorpe należy do spisku sięgającego elit władzy – odparł pan de Pointeferre. – Oczywiście ja wiem, którzy redaktorzy naczelni żyją z podobnych teorii. Nie zmienia to faktu, że nawet wysoko postawieni oficerowie wywiadu mogą w nie wierzyć.

– Rozumiem. I zawarł pan z nim podobną ugodę.

– Życie jest niesprawiedliwe, panno Cerise. – Simon de Pointeferre ze smutkiem pokręcił głową. – Na przykład w tej chwili bardzo żałuję, że nie urodziłem się dwadzieścia lat później.

Amandine przewróciła oczami.

– Doprawdy.

– Już nie przeszkadzam. Czy mogę ucałować pani dłoń? Do zobaczenia. Wrócę, jeśli czegoś się dowiem.

\* \* \*

Salon uprzątnięto już do czysta. Brakowało kawy z ekspresu, ale obrusy zmieniono na świeże i pozmiatano resztki stłuczonej porcelany. Większa część zastawy znajdowała się w szafkach, dobrze zabezpieczona przed turbulencjami, tak że straty okazały się niewielkie.

Pani, która podawała im śniadanie, nazywała się Maud i nosiła tak szczerlnie nawoskowaną fryzurę, że jej włosy przypominały hełm. Amandine jeszcze nie знаła tej mody. Z kolei wysoka, spokojna dziewczyna, która jej w tej chwili pilnowała, miała na imię Pola i zazwyczaj służyła na popołudniowej wachcie jako pilot. Poprzednio pracowała w wojsku i specjalizowała się w manewrach lotniczych. Odkąd straciła oko w wypadku, nie latała samodzielnie, ale zachowała umiejętność doskonałej nawigacji za pośrednictwem przyrządów, dzięki czemu mogła służyć na pierwszej dużej jednostce powietrznej. Prawie każdy członek załogi posługiwał się magią prostą, ale tylko Pola i lekarz pokładowy Roberts dysponowali



półaktywnym Źródłem. Kapitan Fleury był z wykształcenia technikiem mechaniki. Podwójnym dyplomem inżyniera i wiedźmy legitymował się rudowłosy nieśmiały Jimmy, którego wszyscy nazywali małym Jimmym mimo metra dziewięćdziesięciu wzrostu, aby uniknąć pomyłki z Jamesem Archerem. Funkcję bosmana pełniła hałaśliwa i dość szorstka w obyciu kobieta imieniem Jessie, w jej wymowie dało się słyszeć silny wiejski akcent. Ale przyrządy nawigacyjne i mapy odczytywała odruchowo, jakby robiła to całe życie. Amandine podejrzewała, że Jessie zdobyła doświadczenie na morzu, ale nie miała jeszcze okazji się spytać.

Służyło ich na Glorii łącznie kilkanaście osób i nie poznała jeszcze wszystkich imion, ale starannie zbierała informacje. Znajomość załogi w pewnym momencie mogła się przydać. Pułkownik i Jacqueline, gdy jej nie przesłuchiwali, traktowali ją jak powietrze, i to Amandine drażniło; z chęcią przyjęłaby choćby wymianę docinków. Pozostali również rozmawiali z nią oszczędnie, zwłaszcza w towarzystwie dwójki oficerów wywiadu, widocznie taki dostali rozkaz. Brakowało jej towarzystwa Weylanda, jego monumentalnej sylwetki pochylonej nad filiżanką kawy i bystrego spojrzenia znad okrągłych okularów. A przede wszystkim tęskniła za Vincentem. Tak bardzo przyzwyczała się do rozmowy z nim poprzez magiczną więź, że niemal słyszała w głowie jego komentarze do minionych wydarzeń.

Zmarszczyła brwi. Dlaczego właściwie Vincent uspił Weylanda? O co chodziło ze znalezioną przez Fleury'ego strzykawką?

Dokończyła rogalik z czekoladą i wypila herbatę z mlekiem, bo brakowało kawy. Ponieważ odsypiała nocne zamieszanie, śniadanie zjadła ze sporym opóźnieniem; dobiegało południe. Ale nie tylko ona znajdowała się w salonie, przy osobnym stoliku siedzieli także Archer i Jacqueline, po herbatę wpadł też Roberts. Pan de Pointeferre kręcił się po okolicy jak mucha w cukierni, rozmawiał, irytował i cały czas nagrywał. Amandine już zrozumiała, że redaktor ma doskonałą świadomość tego, co robi; wszyscy dawno się znieczulili na towarzyszącą im wszędzie kulę magiczną Simona de Pointeferre'a. A kiedy zupełnie o nim zapomną, zobaczą swoje okultografie na kredowym papierze w wydaniu specjalnym za trzy denary sztuka.

– Muszę porozmawiać z doktorem – zwróciła się do Poli, która siedziała obok niej i posilała się gęstą owsianką. Pilotka skinęła głową.

– Cały czas mam panią na oku – powiedziała, wskazując prawą część twarzy. Jej lewa gałka oczna była szklana i nieruchoma.

Lekarz wyciskał cytrynę do herbaty, pogrążony w zawodowym skupieniu, brakowało mu tylko narzędzi chirurgicznych. Amandine przysiadła się obok. Jej ruch nie został niezauważony przez Jacqueline; major podniosła wzrok znad notesu i obserwowała ją uważnie.

– Zgłaszam się na kontrolę, panie doktorze.

– Oczywiście, panno Cerise. Za kwadrans widzimy się w infirmerii.

Amandine wróciła do stolika. Kiedy przechodziła obok Jacqueline, dostrzegła spojrzenie pani major i mimo woli przyspieszył jej puls. Odezwie się. Oczywiście, że się odezwie i powie coś nieprzyjemnego.

– Odnalazł się na grani Hergest – szepnęła Jacqueline. – Omal nie spalił jakiegoś biednego gospodarstwa. Stopniowo traci kontrolę nad swoją mocą. Może jednak czegoś pani o nim nie wie? Porozmawiamy wkrótce.

Malarka zgromiła ją wzrokiem i z powrotem usiadła przy swojej herbacie. Zachowywała kamienny wyraz twarzy, ale gotowała się w środku.

\* \* \*

Niedługo potem Amandine starannie zasłaniała chustą piersi, podczas gdy lekarz pokładowy delikatnie naciskał skórę na żebrach, oglądając zagojoną ranę. W lewej ręce trzymał nieduży kryształ w srebrnej oprawie, za pomocą którego sprawdzał stan zrastającej się kości. Zapisany w kryształach protokół dywinacyjny był zbyt potężny, żeby ktoś nie w pełni aktywny zastosował go bez pomocy automagii. Coraz więcej pojawiało się na rynku takich przedmiotów, opracowanych w podobnej technologii co kule magiczne; wciąż sporo kosztowały i nie wytwarzano ich przemysłowo; ten kryształ zapewne sfinansował Archer.

– Goi się dobrze – powiedział Roberts. – Dla pewności odnowię zakłęcie regeneracyjne. – Uniósł wzrok znad kryształu. – Jeśli chodzi o Weylanda, moje próby diagnozy nadal nie dają żadnych sensownych wyników, ale tym razem zabrałem licznik i pobawiłem się trochę. Oprócz zakłęcia tkwi tam coś jeszcze. Ma podobny podpis energetyczny, co w strzykawce znalezionej przez Fleury’ego. Ślady skażenia. To znaczy... magii Pustki? – Spojrzał na nią ze skupieniem.

– To nie to samo.

– W każdym razie wspomniałem już o tym Jamesowi Archerowi. – Roberts odłożył kryształ na stół i starannie przetarł dłonie środkiem odkażającym. –

Poinformował mnie, że pan Thorpe stracił nad sobą kontrolę. Wie pani, cytując naszego dobrego kapitana, ja nie czerpię wiedzy o świecie z operetek. Ale może jednak pomyliłem się w swojej opinii. Może moc Pustki wiąże się z szaleństwem. Bądź co bądź jest dość toksyczna.

– Proszę pana, to w ogóle tak nie działa – odparła Amandine, czując, że jej argumenty nie padają już na podatny grunt. – Vincent nie wytwarza skażenia. On je potrafi przetwarzać.

– Istnieją czarodzieje, którzy czerpią ze skażonej mocy. To ściśle zakazane, ale czasem się zdarza. Tyle że ponieważ nie są Magami Pustki, bardzo szybko rozwijają Piętno.

– Tak, proszę pana, ale Vincent nie czerpie ze złej mocy, stosując złą moc. Bierze złą moc i robi z tego dobrą moc – powiedziała Amandine, akcentując każde słowo. – Przetwarza skażenie.

– Zrozumiałem za pierwszym razem, dziękuję bardzo. – Roberts podał pacjentce gorset. – Biorę też pod uwagę, że Jacqueline może kłamać. Ale wie pani, o niczym jeszcze nie zdecydowaliśmy. Słowo przeciwko słowu.

– Kapitan Fleury twierdzi inaczej.

– Kapitan Fleury i ja nie jesteśmy bliźniakami.

Teraz Roberts niespokojnie chodził po infirmerii, stukając ołówkiem o podbródek. Czegoś jeszcze jej nie powiedział albo nie chciał powiedzieć.

– Czy znalazł pan jakąkolwiek metodę wyrwania Weylanda ze śpiączki?

– Mam kilka pomysłów. Ale zastanawiam się, czy powinienem. Nie podoba mi się to wszystko – szepnął jakby do siebie. – Tutaj trzeba diagnosty z prawdziwego zdarzenia.

Czyli Roberts też z nią grał. Rzucając oskarżenia, próbował wyprowadzić ją z równowagi, na wypadek gdyby wiedziała, co się stało z Weylandem, i ukrywała przed nim szczegóły tylko z sobie znanych powodów. Amandine westchnęła. Nie powinna się dziwić.

Tym razem zdążyła się ubrać i nawet pożegnać doktora Roberta kurtuazyjnym skinieniem głowy, zanim do infirmerii wpadł James Archer. Prawie zderzyli się w drzwiach. I gdy tylko Amandine go zobaczyła, zrozumiała, że wydarzyło się coś nowego, coś poważnego. Pułkownik nie był pod wpływem usypiającego gazu ani przypływu adrenaliny spowodowanego walką, ale wydawało się, że cała krew

odpłynęła mu z twarzy. Włosy miał zmierzwione, spojrzenie straszne. Na jej widok zastygł w miejscu i wbił w nią wzrok. Nastąpił krótki moment, gdy Amandine odniosła wrażenie, że zaraz ją udusi gołymi rękami. Potem zmrużył oczy i wycedził napiętym głosem:

– Proszę za mną.

– Panie pułkowniku...

Mocno zacisnął dłoń na jej rękę.

– Musi pani zobaczyć, kogo pani broni. – Jego głos zdrzął. – Musi pani wiedzieć, co się stało. Chcę, żeby pani sobie uświadomiła, do czego pani doprowadziła. Powtarzam, za mną.

– Proszę mnie puścić. – Amandine spróbowała wyszarpnąć rękę.

Roberts porzucił notatnik, w którym przed chwilą spisywał dane pacjentki, podbiegł do pułkownika i położył mu dłoń na ramieniu.

– Archer, puść ją, do cholery!

– Przepraszam. – James Archer spojrział przed siebie błędnym wzrokiem i rozluźnił dłoń. Amandine roztała rękę, rzucając w jego stronę mordercze spojrzenie. – Chodźcie obydwójce.

Przemaszerowali cały korytarz aż do palarni. Duszący dym sprawił, że Amandine zakasłała i znów rozboleły ją zębra. Na stole leżał stos kartek papieru, a obok magiczna kula pułkownika; widniał w niej obraz nieznamym kobiecie w średnim wieku.

– Amelio – odezwał się pułkownik. – Powtórz, proszę, wszystko, czego się dowiedziałaś. O zarazie w Avalonie. O skażonych Źródłach. Skażonych tak samo jak u Arcymaga Weylanda, panie Roberts. – Dźgnął go palcem w klatkę piersiową. – O człowieku, który w nieznanym sposób wszedł na teren strzeżonych filtrów w centrum miasta. – Archer z szelestem przesunął po stole plik kartek. – Zrozumiałem to wreszcie, wie pani? To są badania nad teleportacją. Wiedziałem. Wiedziałem. Na Pustkę, panno Cerise! – Załamał mu się głos. – Tam zostały moje córki.

Amandine zagryzła usta. Jasna cholera. Tym razem Archer miał dobry powód, żeby odchodzić od zmysłów. Skupiła się, żeby dokładnie wysłuchać tej Amelii. Miała nadzieję, że wszystko zrozumie, niektóre terminy ze slangu czarodziejów nadal jej umykały.

Tego ranka w Avalonie, w dzielnicach, gdzie funkcjonowały już wodociągi, nastąpiła fala gwałtownych zatruc. Chorowali tylko czarodzieje i półaktywni, a wśród objawów notowano silny ból i wysoką gorączkę, zakłócenia w przepływie energii, czarnobrzazowe wykwity na skórze oraz powolną produkcję skażonej mocy przez Źródło. Do tej pory nie udało się postawić jasnej diagnozy. Kilka godzin zajęło ustalenie, że przyczyną dolegliwości jest nieznan drobnoustrój, który znalazł się w wodzie pitnej, prawdopodobnie pasożytniczy grzyb. Chorych poddawano ścisłej kwarantannie w ich własnych domach, gdyż wodociągi w Centralnym Szpitalu należały do miejskiej sieci i niejeden lekarz padł ofiarą nowej epidemii. Zamknięto większość instytucji publicznych. Ponieważ użytkownicy wyższej magii pracowali na wysokich stanowiskach w przemyśle, w żandarmerii, w urzędach, Amandine mogła sobie tylko wyobrazić, jak sobie radzi miasto bez głowy. Pomyślała, że to znakomita okazja, żeby bez konsekwencji napaść na bank. Albo okraść dotkniętego chorobą arystokratę. A nawet zagrozić bezpieczeństwu królowej Republiki Zjednoczonej Arborii, Gwendolyn Bayonne de Branche d'Aquamarine.

Zdawała sobie sprawę, że w Avalonie zostały Kathryn i Belinde, istniało także ryzyko, że Margueritte odwiedziła Centralny Szpital. Bała się, że dla niej nowa choroba w bardzo krótkim czasie skończyłaby się śmiercią.

Dlaczego Vincent uśpił Weylanda?

Gdy rozmowa dobiegła końca, artystka odwróciła się w stronę czarodziejów.

– Jeśli chory zostanie pogrążony w głębokim śnie – zagadnęła – to mu pomaga?

– Dlaczego pani idzie w zaparte? – spytał pułkownik matowym, bezbarwnym głosem. – Pani narzeczony pozbawił Arcymaga przytomności, a potem wstrzyknął mu tę zarazę. Następnie po tym, jak wypłoszyliśmy go z okolic grani Hergest, teleportował się do Avalonu. Oszalał, jak każdy znany z historii Mag Pustki, jak Mordred albo Lucjusz. Odpłaca czarodziejom pięknym za nadobne. Przez lata traktowali go jak ogara na smyczy, jak narzędzie. Weyland w pierwszej kolejności, bo to on nim manipulował. Moja rodzina...

– Och, na Pustkę, dlaczego niby Vince miałby się mścić na pańskiej rodzinie? Proszę siebie posłuchać, plecie pan bzdury.

– Panie pułkowniku – odezwał się powoli Roberts, który przez całą rozmowę z roztargnieniem bawił się ołówkiem. – Właściwie panna Cerise mówi z sensem.

– Co?

– Pani Amelia twierdzi, że ten mikrobia wypacza moc Źródła. Arcymag w śpiączce nie regeneruje Źródła, więc z początku nie dostrzegliśmy objawów i nawet nie wiedzieliśmy, że został zarażony. Zastanawiałem się, po co komu zaklęcie wywołujące tak głęboką hibernację. Teraz wiem. Pan Thorpe nawet nie potrafiłby tego rzucić samodzielnie, ten protokół wymaga aktywnej współpracy pacjenta. Nie odtworzę go teraz, ale po powrocie do Avalonu poszukam w bibliotece monografii; mogę się założyć, że zaklęcie zostało opublikowane całe stulecia temu. Założyliśmy, że pan Thorpe uśpił Arcymaga, tymczasem wszystko wskazuje na to, że Andreas Weyland dzięki niemu uśpił samego siebie. Możemy pomóc chorym, trzeba jak najszybciej przekazać wiadomość do Avalonu.

Pułkownik wprawnym gestem nasypał tytoniu na bibułkę i zwinął papierosa. Słowa lekarza wyraźnie dały mu do myślenia.

– Pańska teoria wydaje się dość naciągana – mruknął z namysłem. – Kto inny chciałby zaatakować Avalon?

– Och, na litość Wędrowca... – zachnęła się Amandine.

James Archer nakreślił dłonią gest zaklęcia przeciwpodśluchowego. Westchnął ciężko.

– Od początku sprzedaje mi pani tę bajkę o sługusach tajemniczej organizacji, wyskakujących przez teleporty w ścianie. Dlaczego miałbym w to wierzyć? Obwinia pani Jacqueline, z którą pracuję od dekady i która, o czym wiem zupełnie przypadkowo, wzbudziła w pani zazdrość o narzeczonego. Oczywiście, że pani go broni. Jedyną osobą na świecie, którą podejrzewałbym o zdolność teleportacji, jest Vincent Thorpe.

Zapalił papierosa pstryknięciem palców i zaciągnął się łapczywie. Trochę drżały mu ręce.

– Ten Most. Zawieszony w czystej, żywej Pustce. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. To się nie mieści w głowie. Że facet pochłonął moje zaklęcia, wszystko jedno. Walczyłem już z silniejszymi od siebie. Można pokonać czarodzieja na wiele sposobów bez użycia magii. Każdy głupi potrafi zabić. Ale żeby zbudować coś takiego, to trzeba umieć. W połączeniu z reputacją Magów Pustki...

Amandine z rezygnacją potrzęsła głową.

– Ile pan wie o naszym pobycie w Bretanii? – spytała. – Czy powiedziano panu, że poznaliśmy Lucjusza Szalonego?

– Słucham?

– No właśnie, proszę wreszcie mnie wysłuchać. On wcale nie był bardziej szalony niż każdy inny czarodziej liczący sobie pół tysiąca lat, zbyt dumny, żeby wysłuchać krytyki, i z paskudną osobowością. Takich ludzi czasem się spotyka na wysokich stanowiskach.

– Czy próbuje pani coś mi zasugerować? – Archer uniósł brwi.

– Ach, nic. Taka uwaga na marginesie. Chcę powiedzieć, że nic pan nie wie o Magach Pustki. Nic nie wiemy. Może to tylko taki talent. Są magowie Creo, Entropii... ale pan wyraźnie do czegoś zmierza.

– Chciałem powiedzieć, że jeszcze nie skreślał pani teorii. – Wskazał na nią papierosem. – Ale tylko dzięki panu, panie Roberts. Będę obserwować Jacqueline. I panią też. Żadna z was do tej pory nie zamordowała Arcymaga, więc może od niego uzyskam odpowiedź. Gdzie jest Fleury? Żadnych wymówek. Lecimy prosto do Avalonu.

\* \* \*

James Archer pomaszerował energicznym krokiem do pokoju nawigacyjnego. Simon de Pointeferre drobił za nim. Amandine podążała ich śladem, nie wywołując wrażenia, że gdziekolwiek się spieszy. Mignęła jej myśl, że pułkownik mimo targających nim humorów, które dawały się we znaki całej załodze, domyślił się, że statkowi dawno przestało grozić niebezpieczeństwo, a kapitan Fleury kołuje w pewnej odległości od stolicy ze względu na niego. Wiedzieli, jak dawać sobie z nim radę, ale i on był tego świadom.

W pokoju nawigacyjnym zobaczyli scenę, której się nie spodziewali. Znajdowali się tutaj chyba wszyscy wyżsi stopniem: kapitan Fleury, bosman Jessie, mały Jimmy i kilka innych osób, których imion Amandine jeszcze nie pamiętała. Pola miała zastępstwo przy sterze. Widać było jej sylwetkę zza przeszklenia dzielącego pokój nawigacyjny od kokpitu. Dwóch młodszych inżynierów tkwiło przed aparaturą w sterówce – rzędem cyferblatów z większą liczbą wskazówek, niż nakazywała przyzwoitość, i gorączkowo poprawiali jakieś pokrętła. Wyglądało na to, że zmieniali kurs.

Na stole rozwinięto rulon nowych map. Zdjęto też ze statywu ciemny kryształ oprawiony w koszyk ze srebrnego drutu, który służył do komunikacji wewnątrz

statku – a także przekazywania rozmów z pokoju łączności, samego dźwięku bez obrazu. Kapitan Fleury wskazywał coś na mapie ołówkiem. Mówiono półsłówkami, w słuchaczach wyczuwało się napięcie. Gdy Archer wszedł do pokoju, wszyscy zamilkli; Fleury spojrział mu prosto w twarz, Jessie oparła dłonie na stole. Pozostali popatrywali na pułkownika spod oka, wyraźnie oczekując, aż kapitan przemówi.

Amandine pomyślała, że wiadomość o zarazie w Avalonie musiała nimi wstrząsnąć. Może wcale nie zamierzali tam teraz lecieć. Może właśnie była świadkiem buntu na pokładzie.

– Dobrze, że pan tu jest, panie pułkowniku – odezwał się Fleury. W jego głosie pobrzmiwała uraza, a może nawet groźba. – Bo mamy sobie coś do wytłumaczenia. Próbujemy od godziny zrozumieć pewną rzecz i nadal nie wiemy, czy pan sobie z nami pogrywa, czy to pana ograno.

– Słucham? – Archer poczerwieniał. – Czy sugerujecie, że to ja ponoszę odpowiedzialność za to, co się dzieje w tej chwili w Avalonie?

– A co się dzieje w Avalonie? – Jessie spojrzała na niego podejrzliwie. – Jest coś jeszcze? Bo my chcemy przede wszystkim pana spytać, dlaczego, do cholery, nie powiedział nam pan, że istnieje drugi latający statek. A przede wszystkim nie poprosił oficjalną drogą inżynierów o kopię planów, zanim zaczęto go budować. Bo wie pan, one się same nie narysowały.

– Co? Jaki drugi statek?

– Właściwie mamy nadzieję, że to tylko żartowniś, który pójdzie pod sąd za używanie linii dla jednostek lotniczych i rozpoczynanie komunikatu od czarnego kodu. – Fleury przesunął po stole kryształ dźwiękowy. – Puść nagranie, Jimmy.

Rozległ się cichy brzęk uruchamianego kryształu. Po serii dłuższych i krótszych piskliwych dźwięków w pomieszczeniu zabrzmiał męski głos mówiący po arboriańsku, ale z silnym akcentem. Ciarki przeszły Amandine po plecach, gdy zorientowała się, że go zna.

– Halo? Proszę o odzew. – Mężczyzna powoli i wyraźnie artykułował zgłoski, wahając się przy trudniejszych słowach. – Znajdujemy się na statku powietrznym Żelazny Wiatr. Jest ze mną lady Belinde Chamomille. Bractwo, które wzięło nas w niewolę, obrało kurs na Alilat w Dolorii. To oni ukradli rdzeń maszyny testującej. Statek używa kamuflażu i jest uzbrojony. Mówią o sobie Iglica, a ich przywódca nazywa się...



Tutaj komunikat się urywał.

Zapadła cisza.

James Archer pobladł jak kartka papieru. Amandine chciała powiedzieć „a nie mówiłam?”, ale trochę się obawiała, że pierwsza osoba, która się odezwie, zarobi prawy prosty.

– Czyli rozumiem – zaczął kapitan Fleury, zupełnie przypadkowo jedyny człowiek w pokoju zdolny onieśmielić pułkownika posturą – że to nie żart. Tak?

– Jest wyposażony bojowo – zamruczała Jessie. W jej oczach mignął niebezpieczny błysk. – Ale my mamy na pokładzie czarodziejów. Idą święta Równonocy. Myślę, że potrzebuję takiego samego statku, i w sumie tamten się nadaje.

Drugi statek powietrzny w służbie Iglicy. Powstały, rzecz jasna, na podstawie planów skradzionych przez Jacqueline. Na którym, nie wiadomo dlaczego, znalazł się pojmany kapitan Artois de Narbonne oraz Belinde Chamomille. Czy Kathryn również? Swoją drogą, kiedy on się nauczył mówić po arboriańsku? To brzmiało, jakby nie używał przypinki tłumaczącej. Co jeszcze się wydarzyło w Avalonie? Gdzie...

– Gdzie jest Jacqueline? Słyszała już może tę wiadomość? Czy ktoś ją widział?

Pułkownik wyrwał się ze stuporu.

– Ty, ty i ty – wskazał na członków załogi – idźcie jej szukać. Już!

– Za pozwoleniem, pułkowniku – warknął Fleury.

– Fleury, każ ludziom jej szukać.

– Ty, ty i ty – zarządził kapitan. – Pokój silnikowy, pokój łączności, kwatery załogi, kabiny pasażerów, w tej kolejności. Idę pierwszy sprawdzić silniki i ładownię. Później wy. Pułkowniku Archer, panno Cerise, dołączycie na końcu, jak się zwolni drabinka.

Amandine skinęła głową. Techniczne pomieszczenia statku znajdowały się na górnym piętrze gondoli, a wchodziło się do nich po drabince przy drzwiach do pokoju nawigacji.

– Fleury, nalegam, aby iść tuż za panem – oznajmił pułkownik. – Jest pan nieaktywny. Potrzebuje pan wsparcia.

– Racja. Niech pan idzie. – Kapitan zaczął się wspinać. – Już, już, już!

Jeden po drugim znikali w luku prowadzącym na górne piętro. Fleury, pułkownik, wreszcie dwóch oficerów. Amandine poczuła, jak ktoś wciska jej coś do ręki. Ze zdumieniem rozpoznała czarną, obłą magiczną laskę. Odruchowo przebiegła palcami po złocistych runach.

– To chyba pani różdżka – odezwała się Jessie. – Ma tam pani coś przydatnego? W miarę niewybuchowego?

– Znajdzie się.

– No to proszę lecieć.

Z lekką obawą, czy nie poślizgnie się na stopniach, Amandine złapała za metalową, biało malowaną drabinkę. Tylko jedną rękę miała wolną do wspinaczki, ale jakoś udało się jej wejść, a raczej wypełznąć przez luk na górę. Znalazszy się piętro wyżej, ostrożnie się podniosła. Dookoła było pełno rur, ozebrowań i elewacji z różnych stopów metali, a korytarz wyglądał na wąski; niewiele brakowało, a uderzyłaby się w głowę. Otrzepała spódnicę z kurzu, mocniej chwyciła laskę magiczną i ruszyła śladem Archera. Z oddali jeszcze słyszała głośne kroki oficerów, odbijające się echem od metalowego chodnika. Obcasy jej własnych trzewików donośnie stuknęły o blachę. Mieszało się to wszystkim ze stukotem maszyn, skrzypieniem drewna i jękiem naprężonego olinowania.

W pewnej chwili wydało jej się, że usłyszała krzyk. Przyspieszyła kroku. Przed nią wyrosły rozsuwane drzwi, a za nimi pokój silnikowy. Wewnątrz gigantyczna maszyna, na poły magiczna, zajmowała niemal całe pomieszczenie. Gdzieś w tym kłębowisku pomp, śrub, przekładni i zębatek znajdował się moduł transmutacji służący do uzupełniania gazu w balonie oraz rdzeń antygravitacyjny. Amandine dostrzegła główny kocioł, szklany pojemnik oparty na runach grzewczych, przypominający przerośnięty ekspres do kawy Renlinga. Nie знаła się na technologii, ale dowiedziała się już, że nie uciągnąłby statku samodzielnie, nawet z dodatkiem antygravitacji. Jego siłę zwielokrotniała wpisana w konstrukcję statku automagia. Inżynierowie Archera słusznie mieli pretensje o kradzież planów, bo to było nowatorskie rozwiązanie, opracowane w drodze wielokrotnych testów i prób osiągnięcia równowagi między działaniem magii a fizyką całej aparatury. Duże kotły, wykonane z koszmarnie drogiej i zawodnej arboriańskiej stali, opalane jeszcze droższym w eksploatacji węglem, pozostawały w sferze marzeń takich wariatów jak ojciec Kathryn. Przynajmniej tak twierdził Vincent.

Zacisnęła zęby. Wyminęła silnik i pobiegła dalej, w stronę ładowni.

Widok, który zobaczyła zaraz po rozsunięciu drzwi, skłonił ją do natychmiastowego otoczenia się Bańką Kinetyczną.

Patrzyła w głąb ładowni – przestronnego pomieszczenia, gdzie dało się zmieścić ze dwa dylizanse skrzyń, poprzecinanego stalowymi belkami, w których zamocowano haki i komplet olinowania służącego do zabezpieczenia waliz i tego wszystkiego, co mogli ze sobą zabrać podróżni. Obecnie ładownia w dużej części przostawała pusta; jedynymi osobami, które pojawiły się na pokładzie z większą ilością bagażu, byli Amandine, Vincent i Weyland, a Głorię zbudowano dla dwudziestu pasażerów. Stałe miejsce zajmowały duże, obłe cysterny ze znakiem Arte Benare, które służyły do ładowania statku po wylądowaniu. Podobnie jak osobiste akumulatory magazynowały jednostki energii, ale nie nadawały się do bezpośredniego użycia przez czarodzieja, nie umieszczono na nich żadnych miejsc połączenia przystosowanych do ludzkich dłoni.

Prawie w drzwiach natknęła się na nieprzytomnego kapitana Fleury'ego, nieznanego jej oficera oraz Jamesa Archera – leżał na podłodze, skręcał się z bólu i usiłował rozerwać kołnierzyk. Jacqueline przed chwilą wciągnęła na siebie srebrny kombinezon i teraz właśnie zapinała suwak; pod pachą trzymała hełm. Amandine przypomniała sobie, że tak właśnie opisywano napastnika, który zaatakował Vincenta i Jamesa na Moście do Utraconej Bretanii.

Jakim cudem major błyskawicznie unieszkodliwiła Archera? Przecież szkolono go w walce przeciwko magom; gdyby nie oszołomienie wywołane gazem, wygrałby ten pojedynek z Vincentem w ciągu pięciu sekund, możliwe że ze skutkiem śmiertelnym dla jej narzeczonego. Czy użyła skażonej magii? Amandine gorączkowo odpalała kolejne runy, wzmacniając Bańkę do granic możliwości laski magicznej. Serce tłukło się w niej, jakby przedawkowała kawę. Jeśli Jacqueline dysponuje takimi możliwościami jak renegaci Lucjusza Szalonego, zakłęcie i tak w niczym nie pomoże. Nie zabezpieczy przed Pustką.

Na jej widok Jacqueline dotknęła munduru pod kombinezonem i wokół niej zalśnił miedziany metaliczny blask, który Amandine już kojarzyła z osłonami przeciwmagicznymi.

– Co mu zrobiłaś? Czy użyłaś skażonej mocy?

– Nie sądziłam, że tak się troszczysz o mojego szefa – odparła i cisnęła coś na ziemię. Artystka odskoczyła. Po śliskiej podłodze potoczył się detektor, jeden z tych, które podarowali załodze. Cykał powoli i nieregularnie, raz za razem. – Teraz jest prawidłowo ustawiony. Widzisz, długo pracuję z Archerem. Dość długo, żeby zadbać o środki bezpieczeństwa. – Spojrzała Amandine prosto w oczy i uśmiechnęła się słodko. – Jeśli każesz asystantom zamawiać dla siebie automagię, musisz mieć do nich całkowite zaufanie.

Amandine prawie na oślep wybrała runy Pocisku Entropi. Major odpowiedziała szybkim gestem; niematerialna tarcza przed nią stała się mniej przejrzysta. Czarne groty energii ześlizgnęły się po niej, nie wyrządzając żadnej szkody. Część zaklęcia trafiła w podłogę, zostawiając na niej czarne plamy rozkładu.

– Zepsujesz statek. – Jacqueline szeroko rozstawiła dłonie. Mimo pozorów spokoju na jej twarzy malowało się napięcie. Była półaktywna, bardzo szybko zużywała jednostki. Jej osłony już ledwo się trzymały. Amandine zrozumiała, że ma nad Jacqueline przewagę mocy.

Przebyła długą drogę, odkąd po raz pierwszy użyła laski magicznej. Z początku odczytywała kombinacje run z instrukcją w rękę, nie rozumiejąc, co robi. Później zdobywała doświadczenie na wojnie, gdzie z braku innych pretendentów wzięła na siebie rolę Wielkiej Magini. Otoczona sojusznikami, robiąc dobrą minę do złej gry, gdy pchano ją do przodu z Bańką Kinetyczną i zaklęciami ofensywnymi, stopniowo wprawiała się w walce. A później jeszcze pół roku uczyła się sztuki pojedynków u Bernarda, żeby nie pozwolić czarodziejom zapomnieć, że coś jednak potrafi.

Wcale nie była tak całkiem nieprzeszkolona, jak sugerował Archer. Nie umiała walczyć wręcz, ale wyposażona w Zagładę Gwiazd wcale tego nie potrzebowała.

Jacqueline podtrzymywała tarczę jedną ręką, drugą mignęła w szybkim geście zaklęcia. Tym razem Amandine przewidziała, że major znów spróbuje ją uśpić. Nie potrafiła się obronić przed zaklęciami wpływającymi na umysł, ale mogła je skierować na inny cel, więc tak jak ją uczył książę Bernard, dała nurka za drugą osobę w pomieszczeniu, która właśnie wpatrywała się w Jacqueline – czyli pułkownika. Sama zerwała kontakt wzrokowy. Tyle wystarczyło, żeby James Archer przestał wić się na podłodze w spazmach bólu. Amandine nie przyglądała się, jak ofiara zaklęcia zapada w sen, tylko skontrowała atak pani major, wysyłając natychmiast grad sopli lodu. Z podłogi wzniosły się kłęby pary.

– Pożyczona moc – warknęła Jacqueline. – Nie umiesz gospodarować jednostkami.

– Za to ty swoje prawie zużyłaś. – Amandine poprawiła kolejnym lodowym pociskiem.

– Zostało mi trochę automagii. – Jacqueline cofała się w stronę skrzyń, resztką sił podtrzymując tarczę. Nasadziła hełm. – Oraz możni sojusznicy.

– Kobieta bluszcz. – Artystka szła w jej stronę z laską magiczną. – Zawsze się musisz wokół kogoś owinąć. Archer, Iglica, wielkie ideały. Czy ty w ogóle masz coś swojego? Może stopień wojskowy, którego nie szanujesz?

Major skrzywiła się pogardliwie.

– Siła słabych. Powinnaś to rozumieć. Mnie przynajmniej nic nie spadło z nieba. Mag Pustki, Zagłada Gwiazd. Czym ty zapłaciłaś za tytuł Nadwornej Magini? Odrobiną bólu głowy? Starzy czarodzieje i tak sterują tobą, jak chcą.

Dopięła hełm. Znów wzniosła dłoń do zaklęcia usypiającego. Amandine poczuła, jak omywa ją moc przeciwniczki. Nagła senność niemal ścięła ją z nóg, ale tym razem wpływ magii okazał się zbyt słaby, aby całkiem zniwelować adrenalinę krążącą w jej żyłach. Mocno oparła się na lasce, odruchowo podtrzymała Bańkę. Chciała odpowiedzieć, że to nieprawda. Że ona nikomu nie służy, nie należy do żadnej sekty, że współpracuje z czarodziejami na własnych zasadach i ustawiła całą bretańską Gildię do pionu dzięki zdolnościom organizacyjnym i sile własnego charakteru. Że nie wykorzystuje Vincenta, tak jak Jacqueline wykorzystywała Jamesa Archera.

Ale jakoś nie mogła sformułować tych słów z pełnym przekonaniem.

Major skorzystała z okazji i przytwardziła do ściany ładowni niewielki czarnozielony dysk. Amandine w ostatniej chwili zrobiła jedyną rzecz, jaka przysła jej do głowy: strzeliła lodowym pociskiem w posadzkę pod sobą, poddając się sile odrzutu. Pofrunęła do tyłu po śliskiej podłodze, w ciągu sekund odsuwając się od rosnącego portalu. Wraz ze zwiększającą się odległością od źródła skażonej mocy jej napięcie błyskawicznie spadało; nauczył ją tego Vincent. Detektor zaterkotał; na wpół świadomie malarka liczyła wchłonięte dawki. Postać w srebrnym kombinezonie zniknęła w otwartej czeluści.

Kilka sekund później portal skurczył się i zwinął, na powrót przybierając formę dysku. Odpadł od ściany z brzękiem, a potem pękł na pół. Wreszcie licznik

z powrotem zaczął pykać powolutku i nieregularnie, trochę powyżej tła, jakby z lekką pretensją wobec świata.

Amandine siedziała na zmrożonej podłodze z kolanami zbyt miękkimi, aby wstać.

\* \* \*

Ziołowa herbata miała mleczny odcień i ostry zapach lekarstwa. Amandine Cerise trzymała kubek w dłoniach, przyglądając się mętnej cieczy. Ciężki wełniany koc zsuwał jej się z ramion. Tym razem nie była jedyną pacjentką w infirmerii, ale fotel z oparciem przydzielono jej jako pasażerce i damie.

– Proszę nie zwlekać – ponaglił ją Roberts. Był ubrany w świeży fartuch z przypiętym do kieszeni prostym wskaźnikiem skażenia – niedużą tabliczką, która zmieniała barwę pod jego wpływem. W całym pomieszczeniu silnie pachniało acetonówką. – Kiedy ostygnie, będzie tylko gorszy. I tak odczuje pani skutki działania eliksiru dopiero za kilka godzin.

– Pocięsza mnie myśl, że Archer też musi go zażyć – mruknęła Amandine. – Ile to potrwa? Dzień? Dwa?

– Może i trzy. Wchłonęła pani wysoką dawkę i będę musiał stosować zakłęcia osłaniające przed wycieńczeniem organizmu – odparł lekarz pokładowy. – Ale niestety, rozczaruję panią. Aktywne Źródła lepiej znoszą proces oczyszczania.

– Uratowała mu pani życie – odezwał się Fleury ze swojego stołka. Pił eliksir, krzywiąc się lekko. – Kiedy usnął, pułapka zawarta w jego tarczach automagicznych przestała działać. Będzie go tylko bolało gardło przez kilka dni. Może sobie przemyśli parę spraw.

Potrząsnęła głową.

– Ja go nie uśpiłam, to był przypadek. – Pociągnęła łyk eliksiru. Zostawiał na języku gorzki posmak. – Zresztą używam tylko pożyczonej siły.

– Jak inni ludzie. Jak my. – Fleury hałaśliwie odstawił kubek na blat. – Jak nasz praprzodek, gdy po raz pierwszy wykuł kamienne narzędzie.

– Nie przypuszczałam, że jest pan religijny.

– Życie to Droga. Każdy wędruje własną.

Drzwi infirmerii rozsunęły się i do środka zajrzał młody, krępy oficer z czarną grzywką opadającą na lewe oko. Luigi, chyba tak się nazywał. Towarzyszył

mu redaktor de Pointeferre.

– Kapitanie, bosman pyta, czy stawi się pan jeszcze dziś na mostku.

Fleury dźwignął się ze stołka.

– Przekaż jej, że zaraz obejmę wachtę, ale niech trzyma Polę w pogotowiu. Mogę nie mieć całych czterech godzin. Poślij Jimmy’ego, żeby sprawdził transformatory. Chcę wiedzieć, czy dolecimy bez międzylądowania.

– Robi się, kapitanie. – I już go nie było.

Simon de Pointeferre wszedł do infirmerii, z wahaniem poprawiając błękitny fular. Z kieszeni surduta wystawały mu notes i ołówek. Amandine westchnęła.

– Tak, panie de Pointeferre?

– Jeśli pan Roberts pozwoli, chciałbym wypytać świadków o to, co wydarzyło się w ładowni.

– Przepraszam, czy naprawdę chce pan sprzedać historię o tajemniczej organizacji, której członkowie posługują się teleportami? Chyba mówił pan kiedyś coś o brukowcach i wiarygodnych źródłach, ale może mi się wydawało. – Amandine wetknęła do ucha mały palec.

– Zbieram tylko materiały na przyszłość. Na okazję, gdy już się osadzą w kontekście. Za to kontaktowałem się z redakcją w Avalonie i myślę, że to doskonały moment, aby ujawnić istnienie Mostu do Utraconej Bretanii, a przynajmniej ostatni, żeby być pierwszym, jeśli pani rozumie, co mam na myśli, więc jeśli zechce się pani podzielić szczegółami, będę zachwycony.

– Tylko żadnych Magów Pustki – zaznaczyła Amandine. – Stać mnie na prawnika. I jeśli będzie pan pisał ten swój artykuł, proszę to zrobić tak, żeby Vince wiedział, dokąd lecimy.

– Aha! Chce pani poszczuć nim Iglicę. Znakomite!

– Chcę się spotkać z moim narzeczonym. – W głosie Amandine pojawiła się twarda nuta. – Którym Vincent był, zanim jeszcze zaczęła się ta cała awantura, i mam nadzieję, że nim pozostanie i że obydwójce doczekamy żywi do ślubu. Nie wiem, ile czasu zajmie mu dotarcie do Alilat, więc raczej bym nie liczyła na żadną cudowną interwencję.

– A jakby się teleportował?

– To tylko fantazja Jamesa Archera.

– Panie de Pointeferre – wtrącił Roberts. – Pan ma dojścia. Podam panu listę nazwisk i poproszę o sprawdzenie, kto z nich choruje na zarazę.

– Ja też – dodała Amandine. Wcale jej się nie podobało, że mimo odzyskania kuli nie mogła się z nikim skontaktować. Vincent był w drodze do Avalonu i pewnie do tej pory nie dał rady pojawić się na poczcie, Belinde została pojmana przez Iglicę – a jeśli ona, to zapewne też Kathryn oraz Bernard. Kula magiczna poinformowała ją, że poprzedniego wieczoru, gdy pasażerowie statku już spali, Kathryn nagrała prośbę o rozmowę. Amandine mogła tylko się domyślać dlaczego. Nie wiedziała jednak, czemu nie odzywają się Margueritte i rodzice Vincenta. Przesłała krótką wiadomość swojej mamie, ale Florence Cerise nie miała własnego kryształu, a biorąc pod uwagę, co się teraz działo w Avalonie, miną tygodnie, zanim da radę zajrzeć do okienka. I nadal oczekiwała na odpowiedź Theresy von Feuerstein.

– Naturalnie.

– Ach... i proszę pamiętać – zaznaczył Roberts – że nas porwano.

– Sami się państwo porwaliście. Uprawdziliście Głorię d’Aquamarine, pierwszy statek powietrzny Arborii.

– Właśnie. Za to czeka nas sąd wojskowy – wyjaśnił lekarz. – Ja jestem tylko felczerem, ale Fleury i oficerowie mogą dostać czapę, a tego byśmy nie chcieli. Wyjaśnimy to sobie z pułkownikiem i dopóki nie porozmawiamy, oficjalna wersja pozostaje w mocy.

Amandine ciasno owinęła się kocem.

– Martwi mnie, że nawet nie wiemy, z kim mamy do czynienia. Nie mówiąc już o Weylandzie. W Alilat chyba pracują fachowi lekarze? Czy wywiad ma tam kontakty? A jeśli znowu dojdzie do walki? Trzeba kupić osłony przeciwskażeniowe. Takie pozbawione pułapek.

– Wszyscy liczymy na Jamesa. Poznała go pani od najgorszej strony, ale on naprawdę bywa pożyteczny jak na czarodzieja. No i jeszcze ta nowa broń, Zagłada Gwiazd. Fleury zechce się dowiedzieć, czego można się spodziewać.

– Jasne.

– Pani jednak całkiem dobrze się zna na magii.

– Umiem o niej mądrze mówić i uruchamiać runy. To nie to samo.

– Może za kilkadziesiąt lat już nikt nie będzie musiał mieć aktywnego Źródła, żeby rzucać zaklęcia. Zniknie różnica między czarodziejami a nieutalentowanymi.



Może właśnie temu Iglica próbuje zapobiec. Vincent opowiadał, że sprzeciwiają się użyciu codziennej magii na dużą skalę. To by wiele wyjaśniało. Amandine uśmiechnęła się szeroko.

– A wie pan? Mam nadzieję, że tego dożyję.

\* \* \*

Kathryn

Avalon, poprzedniego wieczoru

Zegar z kukłką w jadalni wybił dziewiątą. Kathryn przeprosiła towarzystwo, wymawiając się niestrawnością, i po raz kolejny wymknęła się z herbatki z premierem. Unosząc brzegi sukienki, wbiegła po schodkach wyściełanych ciemnozieloną wykładziną i odnalazła buduar. Za sobą słyszała jeszcze podniesione głosy biesiadników, brzęk talerzy i śmiech. Bernard w roli gospodarza stawał na wysokości zadania. Do tej pory wszyscy już się najedli i nieco sobie podpiłi; może nawet nie zauważają jej nieobecności.

Po tym, jak odczytała wiadomość pozostawioną jej przez Belinde Chamomille, zabrała swoją podręczną kulę magiczną. Nie zamierzała się z nią teraz rozstawać, należało – wedle instrukcji – natychmiast skontaktować się z Margueritte de Breville. Powiedzieć jej, że śledzili ich ludzie powiązani z Iglicą Fortecy Ostatniego Świata, w której niegdyś działał przodek obecnego ministra, Edmund Chasseur de Branche d’Opal. Oraz sama Belinde.

Nie poprawiał sytuacji fakt, że ten drugi facet na E, to znaczy minister spraw zagranicznych Emrys Chasseur, opuścił przyjęcie wydane między innymi właśnie z myślą o nim. Dokładnie w tym samym czasie, w którym Artois prowadził swoje śledztwo. Może to nic nie oznaczało. Przynależność do tajnych organizacji nie jest przecież dziedziczna. A może...?

Kathryn nie znała całej przeszłości swojej mistrzyni, czyli ostatnich dwustu lat ze sporym kawałkiem. Może nie powinna czuć się wstrząśnięta tym, że lady Chamomille, przy swoim zamięłowaniu do dyplomatycznych gier, wpadła kiedyś w podejrzanę towarzystwo. Sto pięćdziesiąt lat temu na pewno miała mniej doświadczenia, znajdowała się też na zupełnie innym szczeblu czarodziejskiej hierarchii. W społeczności, gdzie niektórzy dożywali czterech wieków, istniał

bardzo skomplikowany porządek dziobania; nawet odmowa udziału w rozgrywkach stanowiła deklarację, jak w przypadku Szalonej Meg.

Ale armia? Belinde służyła w okupacyjnej armii? Gdy tak pomyśleć, rzeczywiście wydawała się zaskakująco dobrze zaznajomiona ze sztuką wojenną. Wiedziała, że jej oddział dostał rozkaz stłumienia powstania wszystkimi dostępnymi środkami, i odmówiła uczestnictwa w akcji przed jej rozpoczęciem. Ale nie zapobiegła masakrze. Nie dała rady? Nie próbowała? Czy to wydarzenie miało coś wspólnego z samą Iglicą? Dlaczego hrabina Oliwia, która dowodziła wtedy oddziałem, nie należała do spisku? Przynajmniej tak sugerowała Belinde Chamomille.

I co to znaczy, że Iglica rozprzestrzenia skażenie? Czyżby ukrywali magów renegatów, czerpiących z mocy Pustki, podobnie jak słudzy Lucjusza Thorpe'a? A skoro poszukują Maga Pustki, uważając go za największe zagrożenie dla świata, czy chcą śmierci Vincenta?

Za dużo pytań, za mało odpowiedzi.

Kathryn zamknęła się w buduarze i usiadła na łóżku zaruconym ubraniami: dwiema sukniami kupionymi jej przez Belinde Chamomille oraz tą zwykłą, codzienną. Blask uruchamianej kuli odbił się w lusterku na toalecie. Wywołała Margueritte de Breville, ale bez powodzenia. Postanowiła spróbować później, mało prawdopodobne, żeby Meg położyła się spać przed pierwszą w nocy. Nawet choroba nie zmusiła jej do zmiany przyzwyczajzeń.

Zastanowiła się nad inną formą kontaktu. Ciekawe, jak daleko sięga więź królowej i smoka? Kathryn zamknęła oczy. Gdzieś tam, na niciach sieci geomagicznej, utworzyło się ledwo wyczuwalne połączenie. Zbyt odległe, żeby porozmawiać za jego pośrednictwem.

Może Vincent powinien się dowiedzieć, że tajna organizacja chce jego śmierci. Czarodziejka kazała kuli wyświetlić listę kontaktów i przed jej oczami rozwinął się obraz pergaminu z ręcznie wypisanymi nazwiskami. Każde z nich zawierało polecenie połączenia się z numerem fabrycznym kuli adresata. Jeśli nie znała takiego numeru, mogła wykrywać kule w danym obszarze na podstawie współrzędnych, ale to się tylko sprawdzało przy nawiązywaniu znajomości wśród czarodziejów, i to tych młodych, którzy nie mieli nic przeciwko i nie ukryli swojej

kuli. Albo przy wysyłaniu wiadomości na pocztę, co zresztą sprawiało, że publiczna kula wysyłała zwrotną wiadomość na jej konto bankowe i ściągała należność.

Vincent też się nie odzywał. Może spał. Niemożliwe, przecież odkąd wrócił z Bretanii, miał kompletnie zaburzony cykl dnia i nocy i też zasypiał później niż wszyscy. Musiało się wydarzyć coś, co zakłóciło jego nową, utrwaloną pod wpływem nadmiernych dawek kawy rutynę.

Wreszcie wywołała Weylanda.

Ponieważ dobiegało wpół do dziesiątej i wszystko, co wydarzyło się później na Glorii, nadal znajdowało się w fazie planów, po krótkiej chwili udało jej się nawiązać kontakt. Arcymag przebrał się już w pidżamę i szlafrok; kiedy uruchomił kulę, z roztargnieniem wycierał okulary i zakładał je z powrotem na poblížniony nos.

– Dobry wieczór – odezwał się. – Jak tam życie w wielkim świecie?

Kathryn zawahała się niepewna, jak zacząć rozmowę. Arcymistrz Gildii Magów nadal ją onieśmiał. Przez pół roku pełniła funkcję królowej Bretanii, ale gdy wróciła do kraju, szybko odkryła, że mimo wszystkich zmian, jakie w niej zaszły, nie przestała być studentką ostatniego roku wydziału sztuk magicznych, Kathryn Verd. I czasami zdarzały jej się właśnie takie momenty.

– Mamy kłopoty, i to chyba poważne – powiedziała. – Śledzą nas jacyś ludzie. Belle twierdzi, że mówią na siebie Iglica.

Arcymag natychmiast spoważniał.

– A jednak – mruknął. – Dobrze, że mnie o tym informujesz, źle, że teraz. Moja kula nie jest godna zaufania. Powinienem ją od razu zablokować, ale niektóre sprawy Gildii nie mogły czekać.

– Aha. To znaczy, że nie powinniśmy szczegółowo o tym rozmawiać. – Kathryn zastanawiała się, jak zakodować wiadomości, które próbuje przekazać, tak żeby tylko Weyland je odczytał, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Andreas Weyland podrapał się w brodę.

– Oczywiście. Skoro nie udało się na Moście, próbują z wami. Nigdzie już dzisiaj nie wychodźcie. Żadne z was.

„Na to już chyba trochę za późno” – pomyślała Kathryn.

– Dlaczego? Myśli pan, że będą chcieli nas bezpośrednio zaatakować?

Weyland pokręcił głową.

– Żadnych szczegółów. Jutro rano będziemy w Avalonie. Wracamy statkiem powietrznym. – Uśmiechnął się leciutko, wiedząc, jakie wrażenie wywrze na Kathryn ta informacja. Miał rację; mimo powagi sytuacji poczuła się podekscytowana.

– Prawdziwym? Działającym? Gdzie zacumuje?

Arcymag Weyland podał jej adres. Kathryn zapisała go sobie w kuli i zamknęła obraz teczki osobnym hasłem.

A potem, bo z rozmowy z Arcymagiem jasno wynikało, że Artois ze względu na śmiertelne niebezpieczeństwo powinien natychmiast zrezygnować z poszukiwań Millicent Severii, przebrała się w swoją zwykłą codzienną sukienkę i poszukała w szafie ciemnego płaszcza z kapturem. Uszyty na Belinde Chamomille odsłaniał jej nogi i nadgarstki, poza tym trochę na niej wisiał, ale nie mogła być wybredna. Na szczęście to była jedna z tych części garderoby o prostym kroju, które nie wyglądają bardzo bogato, nawet jeśli kosztują więcej niż dylizans razem z końmi. Nie lśnił też dla zmysłu magii. Kathryn zwinęła go w kłębek i rzuciła na podłogę, starannie udeptała i z powrotem rozwinęła. Kto się bliżej przyjrzy, zobaczy, że płaszcz nie ma śladów wytarcia na mankietach i łokciach, a jego głęboki granatowoczarny kolor nigdy nie zdołał wyblaknąć, ale teraz nadała mu pozory używania. Dobrze, że już się zrobiło ciemno.

Wyrzała zza drzwi.

Stał tam Jarvis i uprzejmie na nią czekał.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała cicho. – Wychodzę na miasto. Trzeba koniecznie znaleźć Artois.

– Czy jest panienka absolutnie pewna tego, co robi? – odszepnął.

– Naturalnie. Zniszczyłabym tamtą sukienkę. Doskonale o tym wiem. W ogóle powinno się wprowadzić modę na damskie spodnie albo zacząć je nosić bez mody; lubię suknie, ale zawsze coś się z nimi dzieje... – Poczula, że wpada w słowotok. Jednak była zdenerwowana. „Weź się w garść, Kathryn Verd”. – Trzeba go znaleźć.

– Już to panienka powiedziała. Umówiliśmy się, że zostaniesz, Kat. – Jarvis przeszedł na ty, co robił tylko wtedy, gdy nikt inny nie słuchał i gdy trzeba było przemówić Kathryn do rozsądku. – Arystokraci mogą się obrazić, jeśli wyjdiesz ze spotkania z premierem.

– Bernard zajmuje się nimi doskonale, nawet nie zauważa, że zniknęłam – odszepnęła. Co prawda wcale nie miała takiej pewności odnośnie do hrabiny Oliwii, ale uznała, że w życiu istnieją priorytety. Hrabina i tak za nią nie przepada. – Poza tym niech się obrażają. Lepiej, żeby ktoś był obrażony niż kto inny martwy.

Jarvis wpatrywał się w nią z trudnym do odczytania wyrazem twarzy. Kathryn już myślała, że dał się przekonać jej argumentami, ale po chwili usłyszała:

– Przepraszam, ale nie zrozumiałem. Czy ktoś chce zabić gości?

Dopiero wtedy Kathryn uświadomiła sobie, że kamerdyner nie wie, jak rozwinęła się sytuacja. Nie miał pojęcia o wiadomości od Belinde Chamomille ani o rozmowie z Weylandem. Nie utrzymywali ze sobą więzi i przecież nie czytał w jej głowie. Zwykle pamiętała, że nie wszyscy mają te same informacje co ona, ale gdy tak jak teraz wrażenia, emocje i świeżo wysłuchane rozmowy zagłuszały jej myśli, z trudem nad tym panowała.

Rzuciła zakłęcie przeciwposłuchowe. Rok temu jeszcze go nie znała, nie wchodziło w zakres programu, ale w Bretanii okazało się jednym z najczęściej przez nią używanych.

– Chyba powinniśmy sobie wyjaśnić parę rzeczy.

Następnie wyjaśniła.

\* \* \*

Wysiedli z dorożki w odległości dwóch przecznic od dzielnicy portowej, na wypadek gdyby ktoś ich obserwował. Szum deszczu wydawał się Kathryn ogłuszający. Białe światło ulicznych wiecznych lamp wypełniało ulice zimnym blaskiem, uwidaczniając płynące z nieba strugi wody. Przypominały świąteczne fontanny. Woda ciurkała między brukowymi kamieniami, ściekając do kanałów burzowych tam, gdzie mogła, i płynąc drogą tam, gdzie nie dała rady. Obydwójce mieli na sobie peleryny zarzucone na płaszcze. Nie rzucali uroków przeciwdeszczowych, nie chcieli przyciągnąć uwagi kogoś wyposażonego w magiczny zmysł. Kathryn przypuszczała, że Jarvis potrafi zachować czujność nie gorzej niż Artois i dostrzec, gdyby zaczęto ich śledzić, ale nie zamierzała kusić losu.

Wkrótce zagłębili się w rejony, których Kathryn nie potrafiłaby określić inaczej niż mianem podejrzanych. Nie bywała w dokach. Czynnówki, gdzie studenci wynajmowali pokoje, budowano niedaleko uczelni; jej dzielnica miała opinię

łocznej, brudnej i mało prestiżowej, ale względnie bezpiecznej. Podczas pobytu na uczelni czarodziejka zarobiła także na opinię grzecznego kujona, i nie bez powodu – nie szukała żadnych niebezpiecznych rozrywek, w jakich czasem celowali żacy, nie chadzała do jaskiń hazardu ani miejsc, gdzie organizowano nielegalne magiczne pojedynki, nie odurzała się niczym groźniejszym od taniego wina na okazjonalnych prywatkach, a i to tylko wtedy, gdy na horyzoncie nie majaczyły egzaminy. Kathryn niezupełnie rozumiała, po co się robi te wszystkie rzeczy, skoro można równie dobrze bawić się w gronie znajomych. Wiedziała, że istnieją ludzie, których pociąga ryzyko, skoro jednak nie musiała przysparzać sobie kłopotów, zostawiała ich samym sobie.

Nie znała zatem nadrzecznych rejonów Avalonu. Nie miała pojęcia, czy w tamtym budynku z oknami zabitymi deskami nie produkowano czasem narkotyków, a pod tamtą bramą nie czaili się opryszkowie; wyobraźnia podpowiadała jej najrozmaitsze scenariusze. Nie to, żeby się bała. Nie była bezbronna, wręcz przeciwnie, a że w samoobronie miała prawo do kilku zaklęć, niemal wyczekiwała, że coś się stanie. Niemal. Bo jednak stanowczo wołała się nie zdekonspirować.

Mocniej naciągnęła kaptur na oczy. Wygląd czarodziejki, a ściślej siwe włosy przy młodej twarzy, zdradzał uważnym obserwatorom jej tożsamość. Podobno w okolicy znano Jarvisa. Oczywiście dopóki pada, a ulice są puste – chociaż o tam, w bramie, co robi ta trójka chłopców zaciągających się dymem z butelki? – trudno będzie ich dwójkę wypatrzeć i zidentyfikować.

– Powinnaś wiedzieć – poinformował ją wcześniej Jarvis – że nie wpuszczą nas do klubu na Madziarskiej. Nie mam tam już wstępu, a przynajmniej musiałbym bardzo się wysilić i wiele obiecać, aby pozwolono mi wejść. Jesteśmy zmuszeni dostać się do środka od kuchni; oczywiście powinnaś trzymać się za mną i nie odsłaniać włosów. W najlepszym wypadku ryzykujemy, że White nie pozwoli nam wejść. W najgorszym – że trzeba będzie uciekać przed linczem.

– Linczem? Na tobie? Na mnie? – zdumiała się Kathryn.

– Uosabiasz wszystko, czego ci ludzie nienawidzą – odparł Jarvis. – Żadna w tym twoja wina ani to, w jakiej rodzinie przyszłaś na świat, ani u kogo się uczysz. Ale nie zobaczą w tobie młodej zdolnej dziewczyny, tylko symbol.

– Nie wiedziałam, że jest aż tak.

– Jest aż tak. Jak to wygląda w Utraconej Bretanii?

– Znacznie gorzej. – Kathryn pokręciła głową. – Czasami czuję się jak zębátka w maszynie. Ale zawsze myślałam, że my sobie z tym poradziliśmy. Każdy może za darmo się przetestować na obecność talentu magicznego. Każdy może studiować. A skoro muszę tym wszystkim... – Tutaj urwała, bo przypomniała sobie, że Jarvis nic nie wie o jej roli w Królestwie Bretanii.

– Ja jestem tylko lokajem. – Wzruszył ramionami. – Chociaż powiedziałbym raczej, że aż lokajem. Czasem dumam sobie nad tym, jak świat powinien zostać urządzony, ale chyba po prostu nigdzie nie jest idealnie. Ludzie to tylko ludzie, z magią czy bez. Jeśli każdy robi, co mu wychodzi najlepiej, i może robić, co wychodzi mu najlepiej, to ma szczęście i powinien się tego trzymać.

„Oprócz tych chwil – pomyślała Kathryn – kiedy trzeba się nauczyć tego, czego się nie umie, po to, żeby sobie umożliwić robienie tego, co wychodzi najlepiej. Na przykład jak realizować w Bretanii wielkie projekty inżynieryjne w taki sposób, żeby podwładnym się od tego poprawiło, a nie pogorszyło?”. W ramach monarszej edukacji naczytała się o swoich przodkach; co jeden, to galeria obsesji, i nie cofnęli się przed niczym, żeby je realizować. Bretańcy mają głęboko w dupie statki powietrzne, oni chcą zboża na przednówku. Chociaż oczywiście flotylla takich latających okrętów poprawiłaby ekonomię. Pomyślała, że musi napisać wzory, które to wszystko policzą, i wprowadzić je do kuli. I że ktoś z praktycznym podejściem powinien ją czasem sprowadzać z chmur. Może Amandine? Na pewno Artois był kimś takim.

Kiedy opowiedziała Jarvisowi o wiadomości od jego chlebobawczyni, nawet nie mrugnął. Nie wstrząsnęła nim informacja o tym, jaką funkcję pełniła Belinde w Doloriańskiej Wiedźmie Kompanii ani o jej przeszłości w Iglicy. Może po wyznaniu Bernarda na temat Utraconej Bretanii nic już nie mogło go zaskoczyć, a może sam miał bogaty życiorys; pewnie jedno i drugie. W ciągu kwadransa przeistoczył się z kamerdynera w szpiega i razem pomknęli w mrok. Teraz znajdowali się już niedaleko klubu dokerów, szukając Artois. Albo, co bardziej prawdopodobne, szukając guza.

Dotarli do starej, na wpół zawalanej manufaktury z czerwonej cegły. Górował nad nią krzywy komin w ostatniej fazie rozkładu – katastrofa rozciągnięta w czasie – wdzięcznie osuwający się między resztki ścian. Druga część budynku stała nienaruszona, potężna i dumna; z okien padało światło, a z wnętrza dobiegały

słumione dźwięki muzyki. Kathryn popatrzyła w górę i oceniła pojemność klubu. Zmieści się tam ze dwieście osób albo i więcej, jeśli nie będą się przejmować, komu deptają po stopach.

Schronili się w cieniu z dala od wejścia. Nadal lał deszcz.

– Kuchennymi drzwiami? – spytała cicho.

– Właściwie miałem na myśli zupełnie inne wejście od kuchni. – Jarvis przekręcił coś na nadgarstku i rozległo się znajome cykanie detektora. Potem ucichło; kamerdyner wyłączył dźwięk, ale nie samo urządzenie. Wręczył jej cienką miedzianą bransoletkę zaopatrzoną w pokrętła jak w ręcznym zegarku. – Idź za mną. Droga została dawno temu oczyszczona i nic się nie powinno dziać, ale dla pewności weź tarczę. Jest tutaj kilka gorących punktów; Severia pousuwała ostrzeżenia, taka niespodzianka, gdyby ktoś niepowołany próbował się zakraść od strony byłych kuchni alchemicznych. – Przekroczył płotek oznakowany tabliczką „Niebezpieczeństwo! Teren skażony!”.

– Dużo o niej wiesz.

– Mhm – odparł Jarvis. – Nie czas na to. Chodź.

Dali susa na uklepaną ziemię między stosami porośniętych mchem cegieł. Po lewej stronie ściana kilkupiętrowego budynku drżała od muzyki.

Przed nimi jak spod ziemi wyrosły trzy potężne sylwetki. Chronili się w cieniach; nieprzyjaźnie spoglądali spod kapturów.

– Dobry wieczór – odezwał się kamerdyner. – Nie spodziewałem się panów tutaj.

– Czasy się zmieniły – odparł najwyższy i najbardziej barczysty. – Ogródek zamknięty dla spacerowiczów. Idźcie się sztachać dymkiem pod bramę.

– Ależ, panie kochany, w ten deszcz? Chciałbym pogawędzić z panem White'em, przecież nie będzie nas trzymał na takim ziąbie.

– O tym zadecyduje pan White. Pokazać facjaty, niech no się napatrzę.

Jarvis obejrzał się ukradkiem na Kathryn. Pomyślała, że zupełnie dobrze zamaskował szok. Ryzykowała, ale z ich wcześniejszej rozmowy wynikało, że lepiej świecić magią dla tego, kto potrafi ją widzieć, niż pokazać komuś twarz Kathryn Verd. Magia iluzji zawierała silny komponent Creo, więc Kat osiągnęła w niej sporą biegłość i wiele zaklęć, podobnie jak bojowych, umiała rzucać bezdźwiękowo. Zarówno Jarvis, jak i trzej panowie patrzyli w tej chwili na wysokiego, muskularnego mężczyznę z mieczem na plecach i rewolwerem przy pasie. Dla



większego realizmu czarodziejka dodała trzydniowy zarost i podkrążone, skacowane oczy. Iluzja nie maskowała koloru jej włosów, piętna rodu d'Argent – nadal były siwe – ale akurat to w komplecie z całą resztą nie budziło podejrzeń.

Uśmiechnęła się paskudnie.

– Jesteś pan wiedźmą? – spytał z wahaniem prowodyr, mrużąc oczy. Obserwując zachowanie mężczyzny, Kathryn pobieżnie oszacowała jego umiejętności. Najwidoczniej umiał dostrzegać ślady mocy, ale sam nie dysponował talentem, co najwyżej znał trochę magii prostej.

– Prawie – odparła chrapliwym, niskim głosem, dając do zrozumienia, że nie będzie zadowolona, jeśli ktoś każe jej się rozbroić z zaklęć.

– Szefuniu – zwrócił się do Jarvisa – powiedz swojemu gorylowi, żeby przestał nam grozić.

– Przestań – syknął kamerdyner. – Co ja mówię. Jak już zacząłeś, to zostaw. Masz w ogóle pojęcie, co ryzykujemy?

– Tak. Wyjaśniłeś mi to całkiem dokładnie.

– Mhm. No tak. – Jarvis rozłożył dłonie. – Sami panowie widzicie. I jak? Czy mamy szansę na krótką i niezobowiązującą audyencję?

– Jeżeli panowie zachowają się grzecznie, wszystko będzie w najlepszym porządku. – Ochroniarz usunął się na bok, odsłaniając ścieżkę. – Ale brzydkie żarty spotkają się z natychmiastową eksmisją.

Dwóch poszło przodem, jeden za nimi. Stąpali po rozmięklej ziemi, z której wystawały resztki czerwonych cegieł. Kathryn bardzo się starała nie wdepnąć w kałużę. Postanowiła, że lepiej się nie odzywać. Nie umiałaby naśladować ich akcentu, nawet gdyby zastosowała wszystkie zaklęcia iluzyjne, jakie znała. A nie była pewna, czy zaklęcie tłumaczące rozpozna awalońską gwarę jako osobny język.

– Pracowity wieczór – zagadnął Jarvis, wskazując ruchem głowy na światła między ruinami.

– Aha.

– Prowadzicie nas inną drogą niż zwykle.

– Nie macie panowie zaproszenia na tę prywatkę.

Jarvis zerknął na swój licznik i zmarszczył brwi. Rozglądał się uważnie. O ile Kathryn umiała to ocenić, szli bardzo naokoło. W pewnej chwili zorientowała się, że

towarzyszy im ktoś czwarty, niższy i drobniejszy. Prowodyr grupki dał znak dłonią, żeby się zatrzymać. Nowo przybyły wyszeptał mu coś na ucho. Nastąpiła dłuższa wymiana zdań, potem ochroniarz obejrzał się na Jarvisa i Kathryn.

– Zmiana planu. Prosimy tędy. – Wskazał ręką. – Prosimy przodem.

– Gdzie pan White? – spytał Jarvis. – Zupełnie przypadkiem wiem, że tamten teren jest wysoko skażony.

– No to macie niesamowitego pecha.

Coś w tonie jego głosu zaalarmowało Kathryn. Od dłuższego czasu utrzymywała dyskretnie zawieszony wzór Tarczy Kinetycznej, teraz tylko wypełniła kształt mocą i uwolniła. Energia zamigotała wokół niej i kamerdynera. Niemal równocześnie padły strzały. Jarvis instynktownie rzucił się naprzód, za niski murek. Kathryn zorientowała się, że przed nią stoi trzech solidnie zbudowanych facetów, a każdy celuje do niej z rewolweru.

Nie zamierzała testować wytrzymałości swojej tarczy, biorąc na klatę wszystkie kule. Wyrzuciła przed siebie dłonie w geście Średnio Potężnej Telekinezy, przewracając dwóch napastników, a później dołączyła do Jarvisa za murkiem. W samą porę. Ktoś chyba przyniósł na imprezę kartaczożnicę.

– Przewidziałeś to?! – Kathryn przekrzykiwała strzały, równocześnie dodając do rachunku nowe tarcze. Rozproszyła iluzję, żeby nadmiernie się nie obciążać i nie marnować jednostek. Z murku wypadały odpryski cegieł.

– Jasne, od rana rzucam zaklęcia dywinacyjne – warknął Jarvis. – Nie mam pojęcia, co się tutaj dzieje, ale jeśli coś panienka pamięta ze szkolenia bojowego, to się przyda teraz!

– Nie są dużo gorsi niż bretańska armia – mruknęła Kathryn i wychyliła się zza murku. Kilka pocisków przemknęło nad jej głową, jeden odbił się rykoszetem od tarczy. Czarodziejka w ostatniej chwili powstrzymała się od splecenia Pocisku Entropicznego i posłała w tamtą stronę Pajęczynę i Nagły Paraliż. Nie walczyła z pustkostworami, nie była teraz na wojnie i żaden z tych ludzi nie został osądzony jako zdrajca Królestwa Bretanii; nie umiała ich tak po prostu zabić. Nawet jeśli do niej strzelano.

Kamerdyner zajęł miejsce za rogiem ścianki, dobywając własny rewolwer. Oddał kilka strzałów w stronę ciemnych sylwetek w ruinach. Kathryn obejrzała się za siebie. W odległości kilku metrów od nich kolejny przeciwnik zaczął się za stertą

gruzu. Kątem oka uchwyciła ruch; niewielki przedmiot mignął w powietrzu i okrągły kształt upadł ze stukotem tuż obok jej stóp. Dymił.

Nie miała przygotowanego zaklęcia telekinezy, więc w ostatniej chwili zmodyfikowała wzór Ochrony Żywiółów, który właśnie próbowała dokończyć. Sięgnęła po moc, wysoko uniosła rękę. Wykrzyczała słowa. Ziemia pod nimi zadrżała i wypiętrzyła się błyskawicznie jak przybierająca fala tłuczonych cegieł, przegniłych desek i szkła. Granat poturlał się w jedną stronę, eksplodując z wizgiem i oślepiającym błękitnym blaskiem, Jarvis i Kathryn potoczyli się w drugą.

– Aktywne Źródło! – krzyknął ktoś z przerażeniem.

– A żebyście wiedzieli. – Kathryn oparła dłoń o kolano, a drugą zatoczyła krąg, kontynuując zaklęcie. Wokół niej i kamerdynera wyrastała ściana ziemi. – Aktywne i złe.

Właśnie złamała prawo pięć czy sześć razy z rzędu, ale z drugiej strony używanie kartaczownicy na terenie miasta czy w ogóle strzelanie do ludzi też nie wliczało się w poczet zwykłych aktywności obywatelskich.

– Granat był przeciwmagiczny – ostrzegł ją Jarvis. – Mają tego więcej. Zaklęcia wzmacniające?

– Czekaj. – Kathryn zaciskała zęby. – Liczę!

Cały kłopot w tym, że strzelanina to zupełnie inny typ walki niż bretański pojedynek czarodziejów albo starcie z użyciem broni białej. Na przykład zostaje do dyspozycji znacznie mniej czasu na całkowanie po powierzchni. Tylko niektóre wzory nadawały się do ponownego wykorzystania bez przeliczania ich na nowo albo z niewielkim podstawieniem przy określaniu celu. Kathryn wykorzystwała chwilę, gdy ustał grad pocisków kruszących jej tarcze, i rozejrzała się za kartaczownicą, równocześnie splatając dla Jarvisa Szybkość Pumy.

Piętnaście metrów w głąb ruin korytarza zamajaczyła postać pochylona nad urządzeniem wyposażonym w dwa kółka i korbę. Stało na dużej skrzyni. Kathryn nie zastanawiała się, co do cholery przygotowywali gangsterzy tej nocy, skoro rozstawili wokół fortyfikacje obronne. Posłała w tamtą stronę Kulę Światła, żeby rozjaśnić sobie pole walki, a później, wychylając się zza ściany ziemi, z nadzieją, że w razie niepowodzenia nowo wzniesiona osłona i tarcze wytrzymają serię pocisków, uwolniła zaklęcia dla kamerdynera i precyzyjnie wymierzoną ognistą kulę o białobłękitnym rdzeniu i eleganckiej żółtej koronie. Zobaczyła jeszcze, że

pozostali napastnicy padają na ziemię, a Jarvis odruchowo zasłania oczy. Sama skuliła się za ścianą.

Kula rąbnęła w kartaczownicę, podpalając zapasy amunicji. Huk dało się słyszeć chyba w całej dzielnicy. Kathryn postanowiła, że nie będzie patrzeć w tamto miejsce; wyglądało na to, że jednak kogoś zabiła. Zrobiło jej się zimno.

– Kula Ognia?! – jęknął Jarvis.

– Łatwiejsza i szybsza niż Poruszenie Ziemi – odparła, ostrożnie wychylając się zza osłony. – Spójrz, puciekali.

– Prócz tych, co nie żyją.

– My żyjemy – podkreśliła czarodziejka. – Na Pustkę!

– Przepraszam panienkę. Nie spodziewałem się artylerii. – Kamerdyner wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł nią czoło. Popatrzył na nią, jakby się nad czymś zastanawiając. Jako weteran wojenny zapewne już rozpoznał, że Kathryn zdobyła doświadczenie nie tylko na sali treningowej. – Tam.

Wskazywał światło docierające z pomieszczenia, które kiedyś było halą produkcyjną lub ciągiem otwartych pracowni alchemicznych. Teraz brakowało dachu i drzwi, ale ściany z czerwonej cegły trzymały się nieco lepiej niż labirynt, w którym do tej pory obydwójce krążyli. Rzecz jasna gangsterzy na pewno dostrzegli zamieszanie i zorientowali się, że na ich terenie zjawił się nie tylko wrogi czarodziej, lecz także potężny wrogi czarodziej. Możliwe, że gdzieś na zrujnowanych ściankach stała druga kartaczownica, a zmasowany impet pocisków bez żadnej dodatkowej naturalnej osłony natychmiast przebiłby tarcze Kat.

– Mamy następujące wyjścia – powiedział Jarvis. – Ewakuować się i poczekać, aż przyfruną żandarmi, co pewnie nastąpi lada chwila. Albo brnąć dalej.

Kathryn dostrzegła przed sobą ruch. Długie cienie padały na spiętrzone stopy cegieł i zrujnowane mury. Ktoś znów się skradał za przepierzeniem dzielącym ich od oświetlonej hali.

– Coś czuję, że brniemy. – Uniosła dłoń. Teraz przygotowywała pełne spektrum zakłęb; z jej potencjałem umiała przeliczyć i zawiesić trzy albo cztery kształty do równoczesnego uwolnienia, jeśli bardzo się postarała. Podczas pobytu w Bretanii sama opracowała bańkę ochronną, która zwracała strzały w stronę łuczników. Jeśli

to miało zadziałać z kulami, należało ją dodatkowo wzmocnić, i to sprytnie, żeby od razu się nie spruć z jednostek. – Uspokoję się, jak znajdziemy Artois.

Kamerdyner ukradkiem zerknął na licznik skażenia i czarodziejce nie spodobała się jego mina.

– Przed chwilą wzrosło tło – poinformował ją, a potem pogmerał przy bransoletce przeciwskażeniowej. Wokół niego zaśnił znajomy metaliczny blask. – Teraz znów spadło. Nie wiem, co tam robią, ale miejmy się na baczności.

Poszła w jego ślady, ustawiając pokrętko na bransoletce. Niemal natychmiast znów dostrzegła ruch za murkiem, znacznie bliżej nich. Jakby błysk srebra.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Kathryn poderwała się ku górze jak na skrzydłach, niesiona Skokiem Pумы i otulona autorską osłoną przeciw pociskom. Złapała za rękaw Jarvisa, ale kamerdyner sam wybił się w powietrze, korzystając z zakłącia, które przeliczyła dla niego przed chwilą. Ułamek sekundy później w ich stronę bluznął strumień czarnej mazi, którego źródłem był człowiek odziany w srebrzyście połyskujący skafander, z butlą na plecach i miotaczem połączonym ze zbiornikiem długą rurką. Czarodziejka natychmiast rozpoznała, czego przeciwko nim użyto. Kamerdyner pobladł, znów spojrzał na licznik i rzucił Kathryn spojrzenie, które miało coś oznaczać. Kłopot w tym, że nie rozszyfrowała co.

Czarna ciecz otarła się o podwójną warstwę osłon i zgodnie z celem autorskiego zakłącia Kathryn zawróciła w stronę człowieka w skafandrze, fundując mu smolistą kąpiel. Wrzasnął z przerażeniem; rzucił miotacz i zaczął otrzępywać się z gęstej, lepkiej mazi. Kathryn wyszeptwała kilka słów i wokół niego zmaterializowała się gęsta tkanina energetycznych nici. Obydwoje z Jarvisem wylądowali na murku, skąd doskonale mogli obserwować otoczenie. W ich stronę biegło jeszcze dwóch podobnie odzianych ludzi. Widząc, co spotkało ich kolegę, przyłgnęli do najbliższej ściany.

– Jaki mamy status? – spytała Kathryn. – Ile mikromerlinów?

– Musnęło nas tylko brzegiem – odparł kamerdyner, dysząc ciężko. – Osłony wytrzymały, jesteśmy prawie czysti. Niech panienka spróbuje ich unieszkodliwić.

Nie musiał jej tego mówić, już wypełniała mocą dwa nowe ukształtowane wzory Energetycznej Pajęczyny. Wypuściła je z rąk; zakłącia zawirowały w powietrzu, rysując świetlisty wzór. Niemal w tej samej chwili zeskoczyła z murku pod resztkę

przegniętego drewnianego dachu. Jarvis zsunął się za nią, opadł na wilgotną ziemię. Wyglądał źle.

– Hej – zaniepokoiła się. – Nie dostałeś?

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie, panienko, po prostu coś mi się przypomniało. Nie przejmuj się mną. Ci ludzie... Oni zmagazynowali płynną moc Pustki w butli. Wystarczyłaby jedna kropla bez osłon, żeby nas zabić, nie od razu, ale w ciągu miesięcy, w męczarniach. Człowiek, w którego stronę zawróciłaś strumień...

– Po coś założyli kombinezony – zauważyła. – Może nic mu się nie stało. Ale gdybym była na jego miejscu, chybabym się zesrała. Przepraszam. Pajęczyna nie wytrzyma długo, przyda się ich sparaliżować albo uspić, ale wcale nie jestem pewna, czy to zadziała. Jeśli skafandry chronią przed skażoną mocą, może powstrzymują też działanie magii.

– Skąd panienka to wie?

– Bo różnica polega tylko na strukturze cząsteczek – wyjaśniła Kathryn. – „Skażona magia” – czarodziejka pokazała palcami znak cudzysłowu – jest nieuporządkowana czasoprzestrzennie i energetycznie. Silnie wzbudzona. Ale to też energia, tyle że surowa. Naturalna, nieprzetworzona.

– Ja nie o tym. Skąd panienka wie takie rzeczy? Od tego Bretańczyka? Maga Pustki?

– No tak. Ale przecież i w Arborii mamy tematyczne monografie. – Zastanowiła się chwilę. – Prawda, część wiedzy, o której mówię, pochodzi od starożytnych. Znaleźliśmy w Bretanii pewne opracowania. Ale o tym później.

Oparła dłoń o mur. Śliski, chłodny, porośnięty mchem. Mimo peleryny ubranie kleiło się do niej, dokumentnie nasączone wodą. Wyrzucała sobie, że nie przyszło jej do głowy, aby – skoro już zdemaskowano ją jako użytkowniczkę magii – zastosować prosty urok przeciwdeszczowy. Ale teraz było już na to trochę za późno. Za kilka godzin do niej dotrze, że uczestniczyła w walce i że znalazła się o włos od śmierci. Wtedy zwinie się w kłębek, będzie potrzebować ciepłego koca, pocieszenia i dużej ilości czekolady. Ale jeszcze nie teraz. Trzeba rozwikłać tę sytuację. Dowiedzieć się, co się stało z Artois. Na dnie jej żołądka drzemała mała, zimna kulka strachu; Kathryn nie chciała dopuścić jej do świadomości.

– Spróbujmy ich znaleźć. Najbardziej mnie interesuje, skąd wzięli taki sprzęt. Chętnie go sobie pożyczę. – Czarodziejka w zamyśleniu dotknęła palcem ust. –

Zastanawiam się, jakie natężenie potrafią zatrzymać te kombinezony. Jeśli działają tak, jak myślę, to ktoś mi ukraść pomysł na badania.

Dookoła było cicho. Chwilowo nikt nie próbował ich zabić. Światło w hali przygasło, ale nie zamierzali tam podchodzić, dopóki się nie upewnią, że już minęło ryzyko ze strony srebrzyście odzianych przeciwników. Eteryzna Pajęczyna w wykonaniu Kathryn trzymała prawie pół godziny, jeśli użyto jej przeciwko osobom niezdolnym upleść własne przeciwzakłęcie.

W sąsiednim pomieszczeniu, zapewne dawnym magazynie, znaleźli dwóch gangsterów ubranych w srebrne kombinezony. Obydwaj leżeli przyklejeni do podłogi Energetyczną Pajęczyną – jeden na plecach, drugi w bardzo niewygodnej pozycji, z lewą ręką wyciągniętą przed siebie, prawą wciśniętą pod pachę i z zadkiem do góry. Kathryn przyjrzała im się uważnie. Każdy skafander zwieńczono hełmem, który po zapięciu przysysał się do kostiumu.

W przeciwieństwie do Vincenta, który mniej więcej w tej samej chwili walczył na Glorii d’Aquamarine, miała czas dokładnie zastanowić się nad tym, co widzi. Naoglądała się automagicznej odzieży u Belinde. Czasem pomagała w jej produkcji, i chociaż okazała się krawieckim antytalentem, dysponowała sporą wiedzą teoretyczną. Mogła sobie wyobrazić skafandry, w które wpisano silne Tarcze Przeciwskażeniowe, może nawet silniejsze niż te zawarte w bransoletkach. Podobnych akcesoriów używały przecież ekipy dekontaminacyjne. Ale w tym przypadku wystarczyło się przyjrzeć z bliska, żeby stwierdzić, że stroje wykonano w zupełnie nieznannej technologii. Większość magicznych przedmiotów dawała się łatwo zidentyfikować. Zawartą w nich moc niektórzy postrzegali jako blask, inni jako zapach lub dodatkową barwę. Tymczasem te kombinezony pod względem magicznym były martwe. Brakowało im nawet tej łagodnej aury tła, jaką charakteryzują się wszystkie inne obiekty materialne.

„Księżycowy kamień – pomyślała Kathryn. – Udało im się wyizolować i wykorzystać składnik księżycowego kamienia, antymagicznego minerału, który w Arborii prawie nie występował – jego złoża znajdowały się głównie w Bretanii. Wyprzedzili mnie”.

A później wzięła brzeg skafandra w dwa palce i coś jeszcze rzuciło jej się w oczy.

Nie знаła tej tkaniny. Nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Nie miała pojęcia, jak wykonano szwy; były niewidoczne. Gmerając na oślep przy hełmie, znalazła coś, co przypominało zapadkę; wcisnęła ją i rozległ się syk uwalnianego powietrza. Zdjęła kask i popatrzyła prosto we wściekle, przerażone oczy chuderlawego faceta o aparycji zupełnie przeciętnego kanapowego urzędnika.

– Gdzie to znaleźliście? – spytała. – Bo nie uwierzę, że sami zrobiliście.

– Niech mnie zabiją, jeśli powiem ci cokolwiek – szepnęła. – Jesteś Maginią Pustki.

– Skąd taki pomysł?

– Widzieliśmy, co potrafisz. Strzelaliśmy do ciebie i nic ci nie jest.

– To się nazywa wyciąganie wniosków na skróty – poinformowała go Kathryn. – Co się dzieje w hali? Zostało was tam więcej? Czy widzieliście mężczyznę imieniem Artois?

– Nie ma tam nikogo – roześmiał się. – Pieprz się, czarodziejko!

– I co ja mam z tobą zrobić? Nawet jako tyranka jestem przeciwna torturom. – Kathryn zaczęła przeszukiwać więźnia. – A ty nie wyglądasz jak bandyta. Co to takiego?

W kieszeni przy pasie tkwił okrągły czarno-zielony dysk. Skupiła się i dokładnie przyjrzała mu się magicznym zmysłem. O ile skafander był pod tym względem martwy, o tyle ten obiekt jarzył się jak latarnia. Na brzegach miał wygrawerowane ledwo widoczne, jakby wytarte z biegiem lat runy. Kathryn codziennie przez kilka miesięcy widywała podobne symbole na Moście. Tyle że zapisane zupełnie innym charakterem pisma.

– Nieźle. Masz coś przeciwko magii Pustki, ale sam jej używasz.

– Co?! – Pozieleniał.

– A jak myślisz, co to jest? Runy Podróży. – Uważnie obejrzała dysk. Rozpoznawała poszczególne elementy, ale nie potrafiła rozszyfrować całego zapisu. – Jak to działa? Czekaj, nie mów, już wiem. Jarvis! Rozbierz tego drugiego. Jest wyższy, kombinezon będzie dla mnie.

– Tak, panienko.

– A teleportuj się! – syknął więzień. – Na zdrowie! Tam, gdzie zakotwiczono dziś bliźniacze portale, już się na ciebie przygotowali. Ostrzeżliśmy ich. Zrobili to,



co mieli zrobić. I przyjdą po ciebie, Magini Pustki. Każdy czarodziej w mieście będzie cierpiał.

Kathryn rzuciła Narkolepsję.

– Portale? Panienska im wierzy? – spytał Jarvis, metodycznie ściągnając skafander z drugiego więźnia. Również go uspił, co prawda, że nie za pomocą magii.

– Niestety tak – odpowiedziała. – Znam te symbole. Chociaż o szczegółach powiedział mi przed chwilą sam, żywiłam już pewne podejrzenia. Ten dysk – położyła go na dłoni – musi być bardzo stary. Możliwe, że kombinezony też. Pochodzą z okresu Cesarstwa... No dobrze, to nieprecyzyjny termin. Cesarstwo trwało całe tysiąclecie. Myślę, że trzeba je włożyć, żeby przeżyć teleportację. Jeśli to działa tak, jak myślę, portale przeciągają użytkownika przez Pustkę.

Westchnęła.

– Mam złe przeczucia. Naprawdę, naprawdę się boję o Artois. Oni by się nie zawahali go zabić, gdyby odkrył ich plany. To nie są zwykli gangsterzy. Gangsterom chodzi o pieniądze, można ich przekonać, można im się wymknąć. A ten gość – wskazała na urzędnika – brzmiał tak... fanatycznie. Chodźmy do tej hali. Sprawdźmy, czy coś po sobie zostawili. Żandarmeria będzie tutaj lada moment.

\* \* \*

Deszcz powoli cichł. Weszli do dużego pomieszczenia, jednego z niewielu ze wszystkimi ścianami i częścią dachu. Kiedyś może znajdowały się tutaj stoły alchemiczne i wyciągi albo inne stanowiska manufaktury, ale po niegdysiejszym wypadku uprzątnięto wszystko do czysta. W tej chwili pod jedną ze ścian spiętrzone drewniane skrzynie, chyba puste. Po ziemi poniewierały się resztki papieru pakowego, dało się zauważyć ślady kół.

Kathryn spostrzegła, że pod jedną ze skrzyń błysnęło coś srebrnego. Podeszła bliżej; był to zmięty i wciśnięty w kąt worek z tego samego materiału co kombinezon. Nigdy by tego nie zostawili, gdyby się tak nie spieszyli. Zwinęła go w kłębek i upchnęła w kieszeni przy pasie; nieco wystawał. Czuła się chora. Nie podobał jej się dotyk materiału skafandra – szeleścił, elektryzował się i kleił do ciała, i miała świadomość, że nosił go przed nią inny człowiek, sądząc po zapachu niepraktykujący zwyczaju codziennej kąpieli. Martwiła się o kapitana. Denerwowało ją, że przeciwnik dysponuje tak olbrzymimi możliwościami.

Teleportacja przez żywą Pustkę kojarzyła jej się ze zdolnościami Trzeciej Wyroczni, a doskonale pamiętała, że Skuld przez pewien czas była podporządkowana Lucjuszowi.

Czarodziejka pomyślała, że powinna natychmiast porozmawiać z Thesą von Feuerstein. Ale zupełnie szczerze – wcale jej nie obchodziło, co się stanie z Bretanią, jeśli zwlekając z działaniem, pozwoli Artois zginąć.

Założyła hełm i docisnęła zapięcie. Zassało się z głośnym młaśnięciem. Kombinezon od wewnątrz jednak miał właściwości magiczne, produkował własne powietrze. Zatęchłe, ale zdatne do użytku. Przed jej oczami wyświetliły się symbole. Zwykle używała ich we wzorach, ale teraz nie potrafiła rozpoznać kontekstu, miały chyba inne znaczenie, niż przywykła. Gdy skupiała wzrok na pojedynczym znaku, przesuwał się na środek pola widzenia. Wypróbowała kilka po kolei i w pewnym momencie zorientowała się, że skafander przestał ją izolować od otoczenia; jej magiczny zmysł znów sięgał na zewnątrz. Czyli skafandry dawały się regulować. Metodą prób i błędów wróciła do pierwotnego stanu kombinezonu; sprawdziła kolejność wyświetlających się symboli. Chyba wyglądały identycznie jak na początku. Napomknęła Jarvisowi, żeby nic sam nie zmieniał.

Zostawili butle z płynną mocą Pustki obok ich właścicieli, uspionych i skrępowanych. Niech się tłumaczą żandarmerii z posiadania substancji niebezpiecznych w ilościach zdolnych zagrozić całemu miastu.

– Co teraz?

– Odsuń się – poleciła czarodziejka.

Dysk wyglądał na automagiczny – inaczej to nie miałoby żadnego sensu – i już zawierał kilka jednostek mocy potrzebnej do uruchomienia. Teraz i tak nie mogłaby ich przesłać, była dość dokładnie odcięta od jakiegokolwiek magii na zewnątrz kombinezonu. Nie wiedziała, czy skafander daje możliwość równoczesnej ochrony przed mocą Pustki i przepuszczania zwykłej energii; w przypadku tak zaawansowanej automagii niczego nie była pewna. Na dysku wygrawerowano kilka koncentrycznych kręgów run, ale sam środek miał gładką powierzchnię. Może służył jako przycisk? Kathryn przydusiła go mocno, a później cisnęła na ziemię.

Nic się nie stało.

Tamten człowiek mówił coś o zakotwiczeniu portalu. Dookoła nie było widać żadnych wyróżniających się miejsc, które służyłyby zakotwiczeniu, ale przecież nie

mogli ich zabrać ze sobą.

– Panienko Kathryn?

Jarvis od pewnego czasu rozglądał się po pomieszczeniu, popatrując na licznik, którego nie schował pod skafander. Teraz zatrzymał się pod ścianą i spoglądał w dół.

– Tu jest takich więcej.

Podeszła bliżej. Rzeczywiście. Na ziemi leżało kilka podobnych dysków, na pierwszy rzut oka nie dało się nawet stwierdzić ile, ponieważ wszystkie były popękane.

– O! – ucieszyła się. – Są jednorazowe. Zużywają im się.

– Ale to znaczy, że nie wrócimy tą samą drogą, panienko.

– To i tak nie byłby najlepszy pomysł. – Nadstawiła uszu. Wydało jej się, że w oddali usłyszała syreny. – Wszystkie leżą tutaj?

– Tak, wzdłuż ściany.

Kathryn przystawiła dysk do ściany. Przyssał się, tak jak poprzednio hełm do kombinezonu, i przed nimi zaczęła się otwierać czarna pulsująca przestrzeń. Jarvis spojrział na licznik i zaklął całkiem niekamerdynersko. Nie skupiała się nad tym zbyt mocno.

– No to idziemy.

– Na wypadek gdyby nas jednak rozpuściło razem z kośćmi... – odezwał się drżącym głosem. – Belinde mówiła, że będzie trzymać panienkę z daleka od wojska. Że mamy lata pięćdziesiąte ósmego wieku i magowie Creo powinni tworzyć, a nie niszczyć. Nie dotrzymała obietnicy. Widzę to po tobie. Nie zmieniaj wojny w zawód. Mówię to z doświadczenia, to zły wybór, zwłaszcza dla ciebie. Cokolwiek robiliście w Bretanii, zostaw to za sobą. Ty nic nie musisz.

– Niestety, mylisz się – odparła z żalem. – Muszę. Co gorsza, chcę. Ale na razie staramy się nie dopuścić do kolejnej wojny. Stanowczo wolę pokojowe rządy.

– Pokojowe rządy...?

– Opowiem ci, jeśli przeżyjemy.

I zanurzyła rękę w kłębiącą się w portalu pochłaniającą światło czerń.

\* \* \*

Wypadła na gładką granitową posadzkę. Drżała z zimna. Miała uczucie, jakby przeżyła doświadczenie zmieniające życie i zapomniała o tym, jakby dotknęła absolutu i brakowało jej zmysłów pozwalających go opisać. Potrząsnęła głową; wrażenie rozwiewało się stopniowo. Za sobą usłyszała twardo lądującego kamerdynera. Dookoła lśniły blade automagiczne lampy, model sprzed co najmniej pięćdziesięciu lat. Odgłos kapiącej wody odbijał się echem w pomieszczeniu. Kathryn spojrzała przed siebie. Znajdowali się na ścieżce biegnącej wzdłuż ściany olbrzymiej podziemnej komnaty. Rozpoznawała krzyżowe sklepienia z czerwonej cegły i ciągnące się w głąb rzędy potężnych kolumn. Nawet gdyby nie uważała na kursach architektury, naprowadziłyby ją obecność krystalicznie przejrzystej wody, która wypełniała podziemia od brzegu do brzegu, zostawiając niewiele ponad dwa metry od granitowej ścieżki aż do sufitu.

Wbrew pozorom nie znajdowali się w zatopionej świątyni ani w podwodnym mieście. Z powodów, które Kathryn mogła tylko zgadywać, ludzie w srebrnych kombinezonach wybrali na swój cel teren awalońskich filtrów wodociągowych.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Jarvis.

– Zbiornik czystej wody. – Czarodziejka przyglądała się oznakowaniom na kolumnach. – Wybudowany w roku siedemset czteremsetym, dostarcza ją do siedemdziesięciu pięciu procent miejskiej sieci, oprócz dolnej dzielnicy nadrzecznej, zaopatrywanej bezpośrednio z filtrów. Jak z poziomem skażenia, bo czuję się, jakbym naniósł błota do łóżka?

– Portal się zamknął. – Kamerdyner spojrzął za siebie. – Dysk wydziela śladowe promieniowanie, ale nie zostawiliśmy pyłu ani płynnej mocy Pustki, jeśli o to chodzi. Już nic, mówiąc waszym językiem, „nie strzela”.

Kathryn nachyliła się nad posadzką i podniosła połówkę innego dysku. Leżało ich tutaj jeszcze kilka. Żałowała, że brak jej czasu, żeby je zbadać i dowiedzieć się czegoś więcej.

– Mhm.

– Panienko Kathryn, czy oni chcą napuścić skażenia do wody?

– Rozcieńczyłoby się chyba – powiedziała niepewnie. Zmarszczyła nos. – Ile to rzędów wielkości... a jeszcze osadziłoby się w rurach. Wytraciłoby aktywność po drodze. Najwolniejsza trucizna świata. Bez sensu. Chcą czegoś innego.

W pomieszczeniu rozległ się echem cichy plusk. Spojrzała przed siebie, próbując coś wypatrzeć w grze światła i długich cieni kładących się na powierzchni wody. Ktoś, kilka osób, nieduża grupa ludzi krzątała się za kolumną na samym końcu sali, zapewne tuż przy wejściu. Pięcioro, może sześcioro. Granitowa ścieżka tworzyła tam prostopadły most łączący się z przeciwnym brzegiem zbiornika.

Musieli widzieć dwójkę nowo przybyłych, ale nie przerywali pracy. Wzięli ich za swoich? Mało prawdopodobne. Tamten człowiek twierdził, że ostrzeżono sojuszników po drugiej stronie portalu.

– Jarvisie, jak dobrze umiesz walczyć, biorąc pod uwagę moje zakłęcia? – Kathryn zdjęła hełm.

Chciała mieć dostęp do mocy, nie wiedziała, czy umie szybko wyregulować kombinezon, i kalkulowała, że nie będą tutaj używać butli z płynną Pustką. Nie wszystkie sylwetki w oddali połyskiwały srebrzyście, dostrzegła jednego wysokiego mężczyznę w eleganckim skórzanym płaszczu i ze szmaragdowym szalem przewieszonym przez ramię. Na twarzy miał chustkę albo maskę. Wydawał się nadzorować pozostałych, którzy pochyleni nad brzegiem zbiornika wrzucali tam zawartość dużej miedzianej beczki czy też cylindra. Parowała w zetknięciu z powietrzem. Kathryn rozpoznała automatyczną zamrażarkę niskich temperatur, bardzo kosztowny rodzaj chłodziarki, w której przetrzymywało się wyłącznie najcenniejsze, wrażliwe na ciepło odczynniki, martwe okazy egzotycznych zwierząt i tym podobne. Uniwersytet Avaloński miał ich na składzie tylko pięć, a tutaj widziała jeszcze dwie. I jedna chyba już została opróżniona.

Ale wcześniej się domyśliła, że ich przeciwnik – Iglica – dysponuje majątkiem. Byle kto nie używałby jednorazowych artefaktów z okresu Cesarstwa i nie gromadziłby płynnej mocy Pustki w butlach. Te z kolei wyglądały na współczesne, wyłożone ołowianą blachą, i zapewne nie w stu procentach powstrzymywały promieniowanie.

– Kiedyś byłem lepszy. Przemyślałbym to – sapnął kamerdyner. – Ale nie mamy czasu na myślenie.

Czarodziejka mocno szarpnęła prawy rękaw skafandra. Oderwał się z trzaskiem. Materiał, chociaż odporny na moc Pustki, okazał się delikatny jak zetlałe prześcieradło. Jarvis zerknął na nią i sięgnął do rozpiętego kombinezonu

po rewolwer. Wokół nich znów zabłyśły tarcze kinetyczne. Równym krokiem ruszyli naprzód.

Mężczyzna w masce odwrócił się w ich stronę. „Maseczce chirurgicznej” – poprawiła się w myślach Kathryn, rozpoznając białe płótno i charakterystyczny kształt. Było w nim coś znajomego. Czarodziejka nawet nie próbowała go rozpoznać wyłącznie po górnej połowie twarzy, tylko od razu zerknęła na spodnie i buty. Miała rację. Minister Emrys Chasseur nie zwracał sobie głowy zmianą stroju z wieczorowego na codzienny.

– Pomyślałem, że zobaczę cię tutaj – zagadnął. – Wyobrażałem sobie, że zawoła cię Pustka. Że nie będziesz mogła się oprzeć pokusie teleportacji. Jesteś religijna? Wątpię. Wędrownka na skróty, najgorsze bluźnierstwo starej wiary.

Kathryn, która przed chwilą przeszła do porządku dziennego nad koniecznością spuszczenia manta ministrowi spraw zagranicznych Republiki Arborii i własnoręcznym wywołaniem wojny z Królestwem Bretanii, a teraz opracowywała taktykę ataku i pracowicie przeliczała zaklęcia unieruchamiające, zamrugała. Nie dziwiło jej, że minister Chasseur wziął ją za Maginię Pustki. Ludzie z butlami na plecach najwidoczniej mieli ją przetestować; skoro się tutaj zjawiała, test wypadł pozytywnie.

Nie, nie to ją zaskoczyło. Nie powinno. I nie to, że dysponował dostępem do artefaktów, o których nigdy nie słyszała, do wiedzy, którą prawdopodobnie od dziesięcioleci trzymano w tajemnicy. Był u władzy, miał pieniądze i wpływy, to się zdarza. Zdziwiło ją, że w jakimś niesamowitym umysłowym wygibasie uznał teleportację, aspekt magii całkowicie neutralny, chociaż do tej pory czysto teoretyczny, za kwestię natury religijnej.

– Co ty tutaj zrobiłeś?

– Naprawiam świat – wyjaśnił jej. – Wiem, wiem, powinienem zacząć od siebie.

Zrobił jakiś gest. Kathryn poczuła, jakby w jej skórę wbiło się milion szpilek. Upadła na ziemię; usłyszała jeszcze zduszony krzyk kamerdynera. Ból był ogłuszający.

– Nie warto zabierać cudzej automagii, bo może mieć zabezpieczenia przeciwko złodziejom – poinformował ją Chasseur. – Planowałem cię zabić, ale dosłownie pięć minut temu dowiedziałem się, że to nie ciebie poszukuję, księżniczko. Przyznam, że mój sprawdzian ma słabe punkty i przy odrobinie sprytu można go przejść w inny

sposób. Nie bój się. Nie jestem mordercą, chociaż stoję tutaj nad tobą i deklamuję jak negatywny bohater Sagi o Glorionie. Zabierajcie te pojemniki – zwrócił się do swoich ludzi. – Utrzymujcie dystans i ewakuujcie się stąd. Nie dołączę do was.

Spojrzał na Kathryn, która usiłowała zmusić się do jakiegokolwiek ruchu i zerwania z siebie kombinezonu.

– Ja po prostu wyjdę drzwiami. Nikt wam nie uwierzy, że tutaj byłem. Zostawię cię żywą i zdrową. Świetnie się nadasz na kozła ofiarnego, zwłaszcza teraz, gdy Belinde Chamomille znów zniknęła. Pięknie to będzie wyglądało zwłaszcza w powiązaniu z twoim... wypadkiem sprzed roku. Aha, nie martw się o Bretańczyka, zapewnię mu wolne łóżko, wikt i opierunek. Może moja ciotka zechce z nim porozmawiać. Na pewno ułoży się z ambasadorem, mówiła mi, że czuje, jak wiele mają ze sobą wspólnego. Bardzo ją drażni, że to Federaliści kontrolują Utraconą Bretanię.

Zdjął maseczkę i uśmiechnął się szeroko.

– Z więzienia kiedyś wypuszczają, księżniczko. Oczywiście jeśli nie skażą cię na śmierć za zabójstwo za pośrednictwem magii i akt terroryzmu, nie wspominając już o posługiwaniu się skażoną mocą. Może tylko częściowo wyciszą ci Źródło i zachowasz długowieczność. Powodzenia w tłumaczeniu się przed żandarmerią.

„Pewnie jeszcze kopiesz szczeniaczki” – pomyślała Kathryn ze wściekłością. Poczwała, jak spływa na nią zaklęcie Narkolepsji. W zwykłych warunkach łatwo by się oparła, ale ból nie pozwalał jej myśleć; podświadomie chciała zasnąć i nie czuć, że jej skóra płonie.

Więc zasnęła.

\* \* \*

Obudził ją inny rodzaj bólu. Obejmował jej czaszkę jak zaciskająca się żelazna opaska, nieustępliwie wpychał się pod oczy, rozsadzał od środka Źródło. Znała już tę formę tortur. Na nadgarstkach czuła zimny metal. Bez sprawdzania mogła powiedzieć, że to stop ołowiu i cyny, wzmocniony tak, aby kajdanek nie dało się zerwać. Posłanie pod plecami było zimne i twarde, a gdy przechyliła głowę, jej policzek trafił na skórzany zagłówek.

Otworzyła oczy. Leżała na pryczy w niedużym pokoju ze ścianami wyłożonymi *trivium*, częściowo już zdartym; blacha przymocowana do ścian w postaci

kwadratowych płatów przypominających kafelki była przybita grubymi nitami. Drzwi wejściowe również wzmocniono zielonym metalem, a ponadto wyposażono w zakratowane okienko. Nie miała już na sobie srebrzystego skafandra, tylko własną sukienkę. Obok niej na sfatygowanym krześle siedział postawny żandarm z wąsikami, podkrążonymi oczami i o nieco zmęczonym wyrazie twarzy.

– Kathryn Verd de Branche d’Argent – powiedział, gdy zobaczył, że już się obudziła. – Jesteś aresztowana w imieniu królowej Gwendolyn Bayonne de Branche d’Aquamarine.

Westchnęła. Z powrotem zamknęła oczy.

– Poproszę o dostęp do magicznej kuli.

– Ze względu na powagę zarzucanych czynów pani prawo do kontaktu zostało ograniczone na czas prowadzenia śledztwa – poinformował ją żandarm. Nie umiała zdecydować, czy jej współczuje, czy ją potępia. A może po prostu wykonywał swoją rutynową pracę. Chociaż w tym, o co ją oskarżano, zapewne nie było nic rutynowego.

– Gdzie Jarvis?

– Pan Jarvis Bouton znajduje się w zwykłym męskim więzieniu – wyjaśnił tamten. – Nazywam się Brennan i będę prowadził pani sprawę. Proszę się przebrać.

Teraz w jego głosie wyraźnie zabrzmiała nuta pogardy.

– Co tam się stało? – zapytała. – Co oni wpuścili do wody?

– Jesteśmy przekonani, że pani nam to wyjaśni. – Brennan rzucił na prycze uniform. Wstał i odwrócił się w stronę drzwi, wyraźnie oczekując, że Kathryn się przebierze. Usiadła na prycy, przyjrzała się swoim nadgarstkom. Założono jej raczej ciasne bransolety niż kajdany, brakowało im łańcucha pośrodku. Cała wiedza czarodziejki o przestępcach, więzieniach i aresztowaniach brała się z gazet oraz przedstawień teatralnych, ale domyślała się, że podobne wygłuszacze Źródła zakłada się w razie długiego oczekiwania na proces.

Dotknęła szorstkiego materiału. Ból głowy wybrał tę chwilę, żeby wrócić kolejną falą. Zachwiała się, z trudem złapała równowagę, przytrzymując się prycy. Brennan błyskawicznie skierował na nią wzrok, z palcami już złożonymi w geście jakiegoś zaklęcia. Przyjrzał się jej uważnie, potem znowu się odwrócił.

Przebrała się szybko. Tkanina była czysta i wykrochmalona prawie na sztywno, i może dlatego dotyk materiału wywoływał tak potworne swędzenie, że na jej



rękach pojawiła się gęsia skórka. Jej ciało ostatecznie wyrwało się z odrętwienia wywołanego zakłębciem i poczuła, że musi siusiu. Ile upłynęło czasu? Gdzie zabrano Artois? Czy goście zaproszeni przez Belinde już o wszystkim wiedzieli? Czy gazety pisały o tym, że aresztowano podejrzaną o akt terroryzmu uczennicę znaną dyplomatki Belinde Chamomille? Co porabiał książę Bernard? Czy rzeczywiście podczas jej nieobecności zaczął się układać z Oliwią d'Opal?

Ukryła twarz w dłoniach. Po co sugerowała, żeby Artois włączył się w śledztwo w klubie dokerów? Po co czynili cokolwiek? Jakie to teraz miało znaczenie?

– Ja nic nie zrobiłam – powiedziała cicho, chociaż wiedziała, że „nic” to nieprawda. Bo w rzeczywistości popełniła ten jeden czyn, o którym wspomniał Chasseur. Zabiła człowieka zakłębciem.

– Wszyscy jesteście niewinni jak baranki – mruknął Brennan. Wyciągnął ręce po jej cywilne ubranie, a potem otworzył drzwi, nie spuszczając z niej wzroku. – Wkrótce wszystko nam pani opowie.

Drzwi zamknęły się z hukiem.

\* \* \*

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło. Nie wiedziała, co do tej pory wykazało śledztwo. Czy zbadali ślady zakłęb na jej skafandrze. Nie, oczywiście, że nie, nie było przecież żadnego zakłębcia Chasseura, dała się złapać jak dzieciak w pułapkę w automatycznym kostiumie.

W celi nie było nic prócz metalowego kibla i pryczy obitej skórą jak ława dyliżansu. Żadnego koca, żeby się otulić. Nie dali jej nawet egzemplarza *Legendy Wędrowca*, może się bali, że coś sobie zrobi papierem? Bez sensu. Światło – automatyczne, ale ukryte za zbrojoną szybą z *trivium* – nie dawało się wyłączyć. Może to były tortury? Na pewno torturowano ją za pomocą wygłuszaczy Źródła. Zwijała się na pryczy, czasem płakała albo wymiotowała do kibla. Minęła godzina. Może dwie. Może cały rok.

Przyszli zabrać ją na przesłuchanie – aż czterech zandarmów na nią jedną, ponurych i tępych, obwieszonych automagią jak drzewka na święto Przesilenia. Zakratowane okna w pokoju przesłuchań nie przepuszczały światła. Może nadal trwała noc? Krzesła były metalowe i niewygodne. Więzienny fryzjer ogolił jej głowę do gołej skóry, a okultograf robił jej obrazy na tle ściany prymitywnym

modelem kryształu. Od jasnej, nieco przybrudzonej zieleni płyt z *trivium* było jej słabo. Brennan nie przestawał skrobać ołówkiem w notesie. Może zapisywał każdą jej reakcję.

– Proszę powiedzieć nam prawdę.

Może należał do Iglicy i nie wolno było mu się zwierzać.

Ale i tak nie miała siły na kłamstwa, więc opowiadała prawdę. Może nie to, że jest królową Bretanii i że Mag Pustki, którego poszukuje tajna organizacja tworząca spiszek sięgający szczytów władzy, to uczeń przyjaciółki jej mistrzyni i również jej przyjaciel. Ale wszystko inne owszem.

O teleportacji przez Pustkę. O skafandrach z okresu Cesarstwa, które chroniły przed skutkami skażenia. Przecież obydwójce z Jarvisem mieli takie na sobie i żandarmeria na pewno je skonfiskowała, czyż nie tak? O tym, że powinni poszukać w zbiorniku czystej wody resztek czarno-zielonych dysków i sprawdzić, że jej się to wszystko nie zwidywało.

O ministrze spraw zagranicznych Emrysie Chasseurze zamieszonym w całą awanturę. Nie dopytywali o niego, ale bardzo uparcie próbowali się dowiedzieć, co się stało z jej mistrzynią, Belinde Chamomille. Kiedy ostatnio ją pani widziała, panno Verd?

Przenieśli ją potem do innej celi. Tam już były ciepły koc oraz pościel, a także miękkie światło kinkietów padające z korytarza. Kiedy dostarczono jej posiłek – gęstą zupę z chlebem – Brennan i dwóch innych żandarmów przyglądali się, jak je, żeby zaraz później odebrać jej miskę i łyżkę. Właściwie nawet nie pamiętała, że jest głodna, wszystkie jej fizyczne odczucia zdominował tępy, dojmujący ból. Zastanawiała się, jak ludzie potrafią w takim stanie wytrzymać dni, może tygodnie, aż do procesu.

Spała na pryczy, skulona i owinięta kocem. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło.

\* \* \*

– Panno Verd?

Oblizwała spieczone usta. Jej Źródło naciskało od wewnątrz na skórę, w żołądku kotłowała się niestrawiona zupa. Miała ochotę wyrwać sobie oczy. Usiadła na pryczy z jękiem.

Po drugiej stronie krat kuczał mężczyzna, właściwie jeszcze chłopak – w jej wieku, a może nawet niepełnoletni – ubrany w długi ciemnofioletowy surdut. Miał bladą skórę i lekko podkrążone oczy. W dłoniach trzymał ołówek i notes.

– Już wszystko powiedziałam – szepnęła.

– Panno Verd, czy naprawdę aż do tego stopnia nie zależy pani na obywatelach Avalonu? Pani przyjaciółka, Susan von Trieste, leży w Centralnym Szpitalu. Czy nie obchodzą pani jej losy? Musimy wiedzieć, czy kiedykolwiek wcześniej zetknęła się pani z pasożytem. Nie wiem, jak to nazwaliście.

– Jakim pasożytem? – Kathryn dotknęła czoła palcami. Z trudem skupiła myśli. Susan? W szpitalu? – Już mówiłam, że nie mam z tym nic wspólnego. Przyznałam się do użycia magii w samoobronie. Możliwe, że nieadekwatnej.

– Zostaw mnie z nią, Williamie – odezwał się cichy kobiecy głos z tyłu. W cieniu poruszyła się niewysoka, pulchna sylwetka w długim płaszczu z kapturem. – Ze mną będzie rozmawiać.

– Czytała pani te raporty – sprzeciwił się William. – Ona się opiera każdej kontroli umysłu, jaką na nią próbowano rzucać. Nikt nie dał rady zerwać tej więzi, pani też nie da.

„Jaka więź? – zdziwiła się Kathryn. – Aha. Oczywiście. Więź z Królewskim Smokiem. Czy to znaczy, że Liliana – albo sama natura więzi – w jakiś sposób chroni ją przed zastrzeżonymi, koszmarnie silnymi, być może wojskowymi zakłęciami kontroli umysłu?”. Niczego nie poczuła podczas przesłuchania.

– Z czym jest pani związana, panno Verd? – Kobieta w płaszczu podeszła bliżej do krat. – Pytam z zawodowej ciekawości.

Kathryn milczała.

– Zostaw nas, Williamie – ponowiła prośbę nieznajoma.

Chłopak schował notes, niechętnie wstał i ociągając się nieco, zniknął w cieniu. Jego towarzyszką – szefową, mistrzyni? – czekała, aż ucichną kroki w korytarzu.

– Dziś przed południem zabito Donatiena Beauforta, człowieka, którego znałam i ceniałam. – Kobieta przysunęła sobie stołek i siadła na nim ciężko. – Dosłownie dwie godziny wcześniej przesłał mi krótką wiadomość przez kulę magiczną. Epidemię, z którą się zmagamy, nazwał Sepią. Powiedział, że chyba wie, czym jest czynnik infekcyjny, i musi ze mną o tym porozmawiać. Nie zdążył tego zrobić.

– Przykro mi – szepnęła Kathryn. – Nie wiem nic o żadnej epidemii.

– Tego samego dnia odwiedził go pani przyjaciel, dawny asystent mojej znajomej, Vincent Thorpe. – Jej głos stwardniał. – Żandarmeria twierdzi, że to on zastrzelił Donatiena, zanim ten zdążył mi przekazać swoje odkrycie. Prasa brukowa oczywiście już ma swoją teorię. Twierdzą, że pan Thorpe jest Magiem Pustki, odpowiedzialnym za rozprzestrzenienie epidemii w Avalonie. Że teleportował się do avalońskich filtrów. Pani nazwisko nie zostało podane do publicznej wiadomości. Ale pani go zna.

– Myśli pani, że razem uknuliśmy spisek? Nie wierzę, że Vincent mógłby kogokolwiek zastrzelić. – Czarodziejka zadrżała. – Czy próbowała pani rozmawiać z Margueritte de Breville? Albo z moją mistrzynią? Albo z Arcymagiem Weylandem? Prosiłam ich, żeby skontaktowali się z Weylandem.

W głosie kobiety prawie zabrzmiało współczucie.

– Żandarmeria poszukuje pana Thorpe’a za atak na Arcymaga. Dowiedziałam się, że Weyland jest pacjentem zero. Został zakażony Sepią, zanim trafiła do wodociągów. Według nieoficjalnych informacji Mag Pustki stracił nad sobą kontrolę i zaczął atakować swoich byłych współpracowników. Nie można się skontaktować z de Breville ani z pani mistrzynią. Zamilkł też wojskowy, który pierwszy poinformował nas o zagrożeniu z jego strony. Prasa twierdzi, że został porwany. Proszę powiedzieć, czy kiedykolwiek łączyło coś panią z panem Thorpe’em? Mam na myśli związek romantyczny.

Kathryn poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

– Ja kocham kapitana Artois. – Smarknęła. Jej głowa odpowiedziała nową falą bólu. – Nie wiem, co się z nim dzieje. Porwał go minister Chasseur. Porwała go Iglica. To oni za tym stoją. Błagam, niech ktoś mi wreszcie uwierzy.

– Zdaje sobie pani sprawę z tego, jak to brzmi?

– Przecież moje zeznania powinny się zgadzać z tym, co mówi Jarvis. – Łzy ciekły ciurkiem po policzkach Kathryn. Drżała jej zuchwa.

– Władze nie wiedzą, dlaczego wymyśliliście taką dziwną linię obrony – szepnęła nieznajoma. – Czy pan Vincent Thorpe naprawdę jest Magiem Pustki? Pani go dobrze zna. Czy umiałaby pani wykryć go za pomocą zakłęcia lokalizacyjnego? Byłoby znacznie bardziej precyzyjne niż to, czego próbuje żandarmeria, zwłaszcza w obecnej... sytuacji kadrowej.

Kathryn przełknęła łzy.

– Ma pani własną teorię.

– Mam własną teorię – potwierdziła kobieta. – Potrzebuję współpracy.

– Kim pani jest?

– Estera Everett. – Zsunęła kaptur. Twarz miała ładną, chociaż niewyróżniającą się. Oczy w piwnym kolorze, inteligentne spojrzenie. – Pracuję w Centralnym Szpitalu jako diagnostka. Od dwóch dni próbuję zidentyfikować grzyb zwany Sepią, pasożyta, który atakuje Źródła i zmusza je do wytwarzania skażonej energii. Wysiałam go już chyba na wszystkim, na czym się dało. Zaklęcia niczego nie wykrywają – albo raczej wykrywają, ale dają wyniki, które się nie zażebiają. Już trzy razy myślałam, że wiem, i nic z tego. Teraz pracujemy nad próbą numer cztery. Nie spałam od wczorajszego ranka.

Kathryn odniosła wrażenie, że w tej chwili powinna być wdzięczna żandarmerii z powodu wygłuszacza Źródła. Ponieważ jej myśli koncentrowały się na własnej obolałej głowie, wyjaśnienia lekarki nie w pełni do niej docierały. Zdawało jej się, że usłyszała o abstrakcyjnej sytuacji, czymś, co wydarzyło się daleko stąd, dawno temu, w innym mieście. Nie tam, gdzie mieszkała większość ludzi, których zna. Vincent mógłby zmniejszyć stężenie skażenia w ciele pacjentów, złagodzić przebieg choroby i zdobyć więcej czasu na diagnozę. Ciekawe, skąd Everett o tym wie?

– Nie muszę pani tłumaczyć, co to znaczy, że jestem dysentropiczką – odparła Kathryn. – Nawet jeśli pani ich przekona, żeby zdjęli mi wygłuszacze. W co wątpię.

– Czyli to on. – Estera złożyła dłonie jak do modlitwy, głęboko wciągnęła powietrze w płuca. – Teraz rozumiem. Margueritte, jesteś potworem. Rzeczywiście. Ujawnił się i wszyscy wpadli w amok. Jeśli dam radę przekonać żandarmów, poradzimy sobie z zaklęciem. Mój talent i skaza to lustrzane odbicia talentu Creo ze skazą dysentropii. Sama zlokalizuję pana Thorpe’a, jeśli wyliczy pani jego charakterystyczne zmienne.

– Jak pani mnie przekona, że mogę pani zaufać? – Czarodziejka otarła twarz wierzchem dłoni. – Przecież równie dobrze może pani grać ze mną w dobrego glinę. A już pani wydedukowała...

– Już mówię. Rezydencja Belinde Chamomille jest jednym z domów, które objęliśmy kwarantanną. Ale dzentelmen, którego gości twoja mistrzyni, książę Bernard d’Amethyste, nie zachorował. Władze mają wobec niego swoje

podejrzenia, ale nic konkretnego, a on się zasłania immunitetem dyplomatycznym ambasady Utraconej Bretanii. O ile mi wiadomo, autentycznym.

– I ma rację – wtrąciła Kat. – Oczywiście. Mogę pani powiedzieć, dlaczego się nie zaraził. On nie pije wody.

Estera na chwilę straciła wątek.

– Wszystkie żywe istoty...

– Nie, nie o to mi chodzi. On uważa, że czysta woda jest trująca. Kawy nie polubił, herbatą gardzi, kakao uznał za napój dla dzieci. Zaczyna dzień od słabego piwa. Przed południem wybiera cydr, a wieczorem wino. Przeważnie rozcieńczone, ale do wieczora musiał się chyba zorientować, że wodociągi zostały skażone.

– To wiele wyjaśnia... On się o panią bez przerwy dopytuje. W coraz bardziej agresywnym tonie. Grozi reperkusjami natury politycznej.

– Ojej.

– Powiem mu, gdzie pani jest. Przyjdzie z wizytą.

– A czy jest pani przygotowana na konsekwencje?

Estera wzruszyła ramionami.

– Niech dla odmiany pozatruwa życie żandarmerii. Nie ja zapłacę tę cenę.

– W takim razie niech mu pani powie, żeby oszczędził życie ludziom, którzy wejdą mu w drogę, i że to rozkaz, którego niewypełnienie uznam za samowolę równą zdradzie stanu. Proszę jeszcze dodać, że nie jesteśmy w stanie wojny z Arborią, a moje uwięzienie nastąpiło wskutek intrygi, która miała do niej doprowadzić, i że nie dam moim wrogom tej satysfakcji.

– Poważnie?

– Śmiertelnie poważnie. – Kathryn masowała skronie. – Bernard nie jest szalony. Ja nie jestem szalona. Ale świat, przekona się pani, kompletnie oszalał. Gdzie panią znaleźć, gdy już się stąd wymknę?

– Nie twierdzi pani chyba...

– Iglica na pewno ma agentów wśród stróżów prawa. Proszę powiadomić Bernarda. Jest żywiołem, który trudno kontrolować, ale spełni swoje zadanie.

– Mówi pani jakoś inaczej.

– Przyzwyczajenie.

Pani Everett pokręciła głową.

– Skoro tak pani twierdzi. Nic z tego nie rozumiem, ale niech pani będzie. Proszę szukać lądowiska pogotowia Oddziału Dla Chorych Na Piętno. Powodzenia.

\* \* \*

Gdy tylko ucichł stukot obcasów doktor Everett, cierpienie ze zdwojoną siłą wróciło do Kathryn, napływając od czoła, przez nos, szyję, barki i wzdłuż kręgosłupa, aż do żołądka. Skuliła się na pryczy, mając wrażenie, jakby pękały jej gałki oczne, i czekała, aż jej serce trochę się uspokoi, a ból zelżeje. Wraz z wizytą nowego gościa wróciła jej nadzieja, a natłok wrażeń okazał się zbyt silny dla jej rozgorączkowanej głowy.

Bo jeśli Estera Everett umiała zlokalizować pana Thorpe’a dzięki przeliczonym przez nią zmiennym charakterystycznym, będzie potrafiła zrobić to samo dla kapitana. Nie po kilkunastu próbach, kilku godzinach i połowie zużytego Źródła, ale w ciągu dwóch minut, i to bez pomocy przedmiotu, który należał wcześniej do celu zaklęcia. A wtedy królowa Kathryn Verd ruszy na Iglicę w pełni sił i z użyciem wszystkich mocy, jakie ma do dyspozycji. Na Pustkę, wezwie Królewskiego Smoka.

Oby tylko doktor wzięła ją poważnie i przekazała wszystko Bernardowi słowo w słowo. Kathryn pozostawało tylko mieć nadzieję, że lepiej jej szło z przewidywaniem cudzych reakcji niż z odczytywaniem ich z twarzy. Owinęła się gryzącym kocem ze spranej, zmechaconej, nieco już śmierdzącej wełny. Próbowwała zasnąć, ale bezskutecznie. Zasłoniła twarz rąbkiem tkaniny. Nawet niemagiczne światło kinkietów raniło jej oczy. Znow straciła poczucie czasu.

Zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełniła błędu. Bernard de Montreuil to tylko jeden czarodziej. Czterystuletni, wprawiony w walce i wszelkiego rodzaju podstępach, ale przecież nie wszechmocny. Może właśnie posłała go na śmierć? Czy na tym polega bycie królową?

W oddali rozległ się stłumiony huk.

Czarodziejka błyskawicznie usiadła na pryczy. Od razu tego pożałowała; przytknęła dłonie do ust, starając się pohamować wymioty. Huk się powtórzył. Raz, potem drugi. Wydało jej się, że usłyszała głośno wykrzyczane zaklęcie z bretańskim akcentem.

Nie musiała długo czekać, żeby z chmury pyłu i tłustego dymu wypełniającego korytarz wyłonił się stary czarodziej. Brodę miał zmierzwioną, w oczach

gorączkowy blask, włosy sterczały mu we wszystkie strony. Po czole ściekała strużka krwi. Na czarnym surducie arboriańskiego dżentelmena malowały się smugi. Złapał za kratę dzielącą celę od korytarza i wyrwał ją ze ściany jednym szarpnięciem.

– Wasza Wysokość.

– Spodziewałam się, że wyjdziemy pod Niewidzialnością.

– Próbowałem tego na samym początku. – Bernard otrzepał rękawy. – Ten loch jest dosłownie wybrukowany runami ochronnymi. A ja nie mam takich delikatnych rączek, żeby próbować je rozbrajać. Pustka i Zaświaty! Nie chce mi się wierzyć, że przetrzymują cię w kazamatach bez wiedzy arboriańskiej królowej.

– Może jest chora. – Kathryn wstała. Jęknęła. – Coś słyszałam o epidemii. A może Belinde jeszcze jej nie powiedziała.

– Nie bądź naiwna – ofuknął ją. – Tak się robi politykę. I niech Wasza Wysokość nie mąci mi głowy lokalną kulturą. Rozmawiałem już ze starszymi od ciebie i od lady Chamomille. Kilka stuleci temu byliście dokładnie tacy jak my. Epidemia! Zupełnym przypadkiem wymierzona w klasę rządzącą Avalonu! Ten, kto umknął zarazie, z całą pewnością trzyma z tym, kto ją wywołał, i na miejscu Waszej Wysokości chętnie poznałbym szczegóły. Zawsze warto wiedzieć, czyja frakcja wywołuje przewrót w sąsiednim imperium. Gdyby mnie ktokolwiek słuchał, nie bawilibyśmy się w podchody, tylko wpierv wjechali do Arborii królewskim pocztem przez Most, z pełną pompą i paradą. I niech Republika sama się martwi o swoje rozruchy i zamieszki.

Kathryn otworzyła usta, aby przypomnieć, że nie chcieli sprowokować wojny, ale machnęła ręką.

– Czekaj, nie tak prędko. Nie myślę. Boli mnie głowa.

– Ach. Kajdany. Niech Wasza Wysokość pozwoli.

Czarodziejka wyciągnęła przed siebie ręce. Bernard ujął jej nadgarstki i zmarszczył brwi. Zastanawiała się, czy staremu czarodziejowi rzeczywiście brakuje subtelności w stosowaniu magii. Kajdanki projektowano tak, żeby nie mógł ich otworzyć byle kto.

Okazało się jednak, że księżę de Montreuil zna się na rzeczy. Klik, klik – i obydwie bransoletki z brzękiem potoczyły się po kamiennej posadzce. Stłumiona przez wiele godzin moc zaczęła uciekać porami jej skóry, emanując ledwo



widocznym światłem. Czarodziejka zachwiała się z ulgą, czując, jak rozluźniają się jej mięśnie w ramionach i brzuchu, nawet takie, o których istnieniu zwykle nie pamiętała. Najchętniej położyłaby się teraz i spała dziesięć godzin, może więcej.

W zamian przekalkulowała Szybkość Pумы i zawiesiła zakłęcie Lotu. Nie szło jej tak dobrze jak zwykle. Liczyła na głos, kilkakrotnie się pomyliła, pomogła sobie przybliżonymi wartościami. Ponieważ jednak używała wielokrotnie przećwiczonych wzorów, jakoś zadziało. Ruszyli naprzód korytarzem pośród wycia syren oraz buchających kłębow dymu. Ku wielkiej uldze Kathryn cele, które mijali, były puste.

– Uważaj z zakłęciami – ostrzegła Bernarda. – Ściany są wyłożone *trivium*!

– Zauważyłem – mruknął. Trochę utykał. Po drodze minęli leżących strażników; czarodziejka nie sprawdzała, czy żyją. Kazała ambasadorowi ich oszczędzać, ale była przekonana, że rozumiał to jako „nie zabijać naumyślnie”, i rzucał zakłęcia, kierując się przede wszystkim skutecznością.

Znaleźli wreszcie schody i wbiegli nimi na górę. Ściany korytarza miały szarą barwę starego tynku. Wszędzie wokół leżało pełno rozkruszonych stiuków i fragmentów potłuczonej mozaiki; na niektórych pozostały resztki run, inne pełniły wcześniej tylko funkcje ozdobne, a księżę nie zwracał sobie głowy odróżnianiem jednych od drugich. Tutaj też nie było okien. Czarodziej wziął zamach i rąbnął pięścią w mur.

– Bernie!

Od ściany odpadło kilka kawałków cegieł. Bernard strzepnął dłoń, chuchnął na knykcie.

– Jak mi nie mam, te nie mają okrywy z *trivium*. Już rozbiłem tutejsze runy. Nie ma potrzeby wracać tą samą drogą, skoro odnalazłem Waszą Wysokość, więc uprzejmie proszę się odsunąć.

Kathryn pomyślała, że to może nie wystarczyć. Cofnęła się kilka kroków i wciąż licząc, owinęła się mocą jak kokonem. Księżę Bernard przyłożył dłoń do ściany, po czym wymruczał kilka słów po starobretońsku. Mur zdrzął, zatrzeszczał i z potwornym hukiem pękł, jakby pod wpływem trzęsienia ziemi. W powietrze wzbił się rdzawy pył.

– Gdybym był w pełni sił, gdyśmy wraz z Wielkim Magiem szukali drogi wyjścia z lochów Montreuil – westchnął – inaczej by to wyglądało. Ale tutaj nie mają też

ścian z księżycowej skały. Niech to zaraza pożre, kto buduje więzienne fortece z błota?

Przez dziurę w ścianie Kathryn spojrzała na dziedziniec.

Znajdowali się w Brennes. Domyśliła się tego, wiedząc, że to właśnie w tym kompleksie więziennym na południu Avalonu przetrzymywano utalentowanych magicznie. Potężne bloki z czerwonej cegły na wyższych piętrach wyposażono w okna zabezpieczone kratą o jasnozielonym zabarwieniu. Zapewne niewielu oskarżonych dysponowało, tak jak ona, aktywnym Źródłem. Pełnoprawni czarodzieje nie zdarzali się często, chociaż można było odnieść takie wrażenie, obracając się w środowiskach, gdzie trzymali się razem. Większość osadzonych w Brennes rekrutowała się spośród użytkowników magii prostej. Trafiali się też półaktywni.

Jeszcze mniejsza liczba więźniów oczekiwała na proces. Tylko im zakładano wygłuszacze Źródła. Skazanych pozbawiano talentu – częściowo lub całkowicie.

Jej blok powinien być zabezpieczony lepiej niż skarbiec Republiki Arborii i chyba nie tylko zdolnościom Bernarda zawdzięczała tak szybką i sprawną ucieczkę. Wokół już powinno się kłębić od latających żandarmów, a tymczasem widziała w powietrzu dwóch. Za to spory oddział niemagicznych, ale wyposażonych w różdżki stróżów prawa biegł teraz przez dziedziniec w stronę budynku. Na wieżach wyły syreny i jaśniały jaskrawozielone światła.

Bernard słał w żandarmów zaklęcia paraliżujące. Fakt, nie próbował ich zabić bezpośrednio, pozwalał działać grawitacji. Wolała na to nie patrzeć. Schowała się za mur i starannie ukształtowała Perfekcyjną Niewidzialność. Potrzebowała kilku minut, żeby ją przeliczyć, ale efekt był tego wart. Nikt nie potrafił rzucić tego iluzyjnego zaklęcia Creo z taką siłą i dokładnością jak ona. Nikt ich nie zobaczy. Żandarmi musieliby sprowadzić profesjonalnych wojskowych magów, a wyraźnie mieli z tym problem.

Bernard odetchnął z zauważalną ulgą. Zastanowiło ją, w jakim był stanie. Nie umiała przecież uzdrawiać.

– Dziękuję. Czy można prosić o tarcze?

– Ile ci zostało jednostek?

– Dość dużo, żeby wzbić się w powietrze – odparł. – Biermy nogi za pas.

Wystartowali obydwój. Kathryn patrzyła na cztery bloki Brennes zrosnięte ze sobą na kształt krzyża i oddalający się wysoki mur. Wydawało jej się, że poszło trochę za łatwo. Mogła uwierzyć, że większość magów w mieście zapadła na Sepię, ale co z zabezpieczeniami przeciwlotniczymi?

– Chyba powinniśmy uwolnić Jarvisa.

– To bardzo szlachetne, ale nie mamy czasu. Proszę przyjąć, że sługa Belinde się dla ciebie poświęcił.

Zastanowiła się. Nawet nie wiedziała, gdzie dokładnie przebywa kamerdyner.

– Masz rację. Do Centralnego Szpitala. Doktor Everett obiecała nam pomóc odszukać Vincenta. Może znajdzie też kapitana.

Bernard odchrząknął.

– Kathryn. Wasza Wysokość. Przecież to z pewnością jest pułapka zastawiona na Wielkiego Maga. O ile wszystko dobrze rozumiem, to jego obarczono winą za spisek.

– Pacjenci wytwarzają skażenie. Ona potrzebuje Vincenta. Avalon go potrzebuje.

– Nawet jeżeli jej zaufamy, skąd wiadomo, że jej współpracownicy są godni zaufania? – spytał księżę. – Czytałem te wasze gazety. Ktoś chce, żeby cały świat uznał Wielkiego Maga Bretanii za najgorszą kreaturę od czasu Rozdarcia. Żeby móc dokonać egzekucji z pełną aprobatą gawiedzi, a samemu zostać zbawcą i wedle planu przejąć władzę w Arborii. A następnie nas najechać.

– Minister Emrys Chasseur i jego tajna organizacja – wyjaśniła Kathryn. – Tak, to prawda. Mają chyba motywację religijną. Ale, Bernardzie, ja cię nie muszę przekonywać. Ja ci rozkazuję. Ona zaufała nam. Dałam słowo. Nie powinnam go łamać.

Westchnął.

– Kim jestem, żeby uczyć królową honoru? Zatem wedle rozkazu, lećmy.

\* \* \*

Frunęli nisko nad dachami. Wciąż byli niewidzialni, ale nie kusili losu; z pewnością nie wszystkich magów w mieście dotknęła zaraza. Spodziewali się pościgu. Nie tylko doktor Everett znała zaklęcia lokalizacyjne, a w magazynach Brennes zostało wystarczająco dużo osobistych rzeczy Kathryn, żeby na ich

podstawie wyliczyć zmienne. Bernard wręczył czarodziejce dwie zrolowane gazety. W locie przeglądała artykuły.

Minęli kilka beczkowsów rozstawionych na węższych ulicach, do których ustawiały się kolejki z wiadrami. Szersze trakty były całkowicie zakorkowane, chyba pół Avalonu usiłowało naraz wydostać się z miasta. W kilku oddalonych punktach Kathryn widziała wznoszące się w niebo kłęby czarnego dymu. Dostrzegła także wybite witryny i poczerniałe domy.

– Jest bardzo źle? – spytała.

– Wszyscy oszaleli – prychnął Bernard. – A wasi dziennikarze robią, co mogą, żeby szaleństwo stało się jeszcze gorsze. Podobno doszło do serii niezwykle zuchwałych kradzieży w bankach, magazynach magicznych przedmiotów i w prywatnych posiadłościach. Wokół rezydencji lady Chamomille stoi kordon wojska.

– To chyba niedobrze... Chciałam wrócić po jej kulę. Powinniśmy wysłać wiadomość do...

Kathryn przypomniała sobie, że statek powietrzny, na którego pokładzie znajdowała się Amandine, porwano, a kula magiczna lady de Breville milczała.

– Chyba nikt nie został... – Przełknęła głośno, potrząsnęła głową. – Ja zostałam. Powinnam zabrać kulę. Liliana żyje, jest zdrowa i wszystko z nią w porządku.

Bernard spojrział na nią z uwagą.

– Poczłabyś?

Skinęła głową.

– Wiesz, gdzie się znajduje?

Zamknęła oczy. Wyczuwała więź, jakby patrzyła na gwiazdę na tle ciemnego nieba.

– Umiem wskazać kierunek. Musiałabym znaleźć mapę. Na pewno bardzo daleko stąd. Przemieszcza się błyskawicznie, jakby... Nie, chyba nawet w smoczej postaci nie potrafi osiągać takiej prędkości. Nie rozumiem.

– Poprośmy tę doktor, żeby zlokalizowała Czarną Meg.

– Z tego, co wiem, już próbowała. One się znają.

Podrapała się pod wełnianym kocem, który zabrała z celi. Nic innego nie izolowało jej od zimnego wiatru. Ogolona głowa cierpła z zimna. Więzienny uniform nadal drażnił jej skórę, wywołując swędzenie, jeszcze bardziej nieznośne,

odkąd blokada Źródła przestała odwracać jej uwagę od dotyku szorstkiej tkaniny. Ręce i nogi miała już poznaczone długimi, zaognionymi śladami po paznokciach. Buty, drewniane chodaki, nie nadawały się do niczego, zwłaszcza do chodzenia. Kiedyś, między jednym przesłuchaniem a drugim, wyszorowano ją do czerwoności w gorącej wodzie, ale teraz znów rozpaczliwie potrzebowała się umyć. Była głodna. Z gazet wynikało, że przez ostatnie dwa dni tkwiła w otępieniu, podczas gdy wszystko zdążyło prościutko w Zaświaty. Ale to się przecież kiedyś zaczęło. Czym?

– Znajdź mi jakiś płaszcz. Muszę wreszcie pomyśleć.

Co powiedziała Margueritte?

*„Kathryn Verd? Kontaktuję się z tobą na prośbę Andreasa Weylanda. Muszę was ostrzec. Dziś rano na Granicy wydarzył się incydent. Iluzja, która do tej pory osłaniała Most, nie działa. Próbowano zdemaskować Vincenta. To się nie powiodło, ale bądźcie ostrożni. Lada chwila wszyscy się dowiedzą o istnieniu Utraconej Bretanii. Być może twoja oficjalna audyencja u królowej będzie musiała zastąpić tę nieoficjalną. Będę próbowała ustalić, kto za to odpowiada, i uprzedzić ich kolejne kroki. Natychmiast przekaz tę wiadomość Belinde”.*

I nikt już więcej nie słyszał o Margueritte de Breville. Podobnie jak o drugiej czarodziejce. „Jeśli miałaś uprzedzić działania Iglicy, Meg, zawiodłaś na całej linii” – westchnęła Kathryn w duchu. Chyba że... Nie, Szalona Meg nie była przecież półboską istotą, która w krytycznym momencie wyłoni się z niebytu i uratuje świat od zagłady.

Co nie zmieniało faktu, że w tej chwili przypuszczalnie podróżowała razem z Lilianą z prędkością szybszą od smoka. A kiedyś, zanim zachorowała, pełniła funkcję tajnej agentki organizacji, której członkostwo dzieliła z Weylandem. Jednym z jej zadań była opieka nad szczególnie uzdolnionymi czarodziejami. Oraz powstrzymanie Rozdarcia za sprawą nowo odkrytego Maga Pustki.

Przypomniała sobie słowa doktor Everett.

„Teraz rozumiem. Ujawnił się i wszyscy wpadli w amok”.

– Po pierwsze, sądzę, że zniknięcie Meg nie ma nic wspólnego z sytuacją w Avalonie – powiedziała wreszcie. – Chyba. Ona coś robi. Nie wiem co, ale robi. Spróbuję namierzyć Lilianę, gdy przestanie się poruszać. Po drugie, myślę, że doktor Everett jednak jest godna zaufania. Należy do Cienia Gildii.

Obejrzała się. Myślała, że mówi w powietrze, ale Bernard już wrócił z damskim płaszczem. Białym, chyba z futra z norek, ozdobionym malutkimi kryształkami. Na chwilę poczuła się zbита z tropu, ale z wdzięcznością otuliła się miękkim i ciepłym okryciem. Stary księżę pochwycił jej spojrzenie.

– Zostawiłem kupcowi garść klejnotów. Nie jestem pospolitym złodziejaskiem. Cień Gildii? Coś słyszałem. Nie opowiadano mi o nim szczegółowo, chociaż oczywiście chciałem się przyłączyć. Myślę, że powinniśmy zadać pani doktor kilka pytań.

W oddali majaczyło lotnisko pogotowia z symbolami wymalowanymi białą farbą. Z góry wyraźnie dało się odczytać skrót nazwy oddziału i dostrzec charakterystyczny symbol skażenia. W szybko zapadającym mroku jarzyło się światło automagicznego reflektora.

\* \* \*

Postarali się wylądować z samego brzegu, żeby nie zawadzać pracownikom pogotowia. Czarodzieje w żółto-czarnych uniformach krążyli po okolicy jak osy wokół gniazda. W chwili, w której Kathryn i Bernard dotknęli posadzki, jedna drużyna wylądowała z pacjentem na noszach, a dwie inne wystartowały. Zabrzmiał dźwięk syreny. Kathryn zastanawiała się, jak to się stało, że uniknęli epidemii, ale zaraz zrozumiała, że pracowali na kilka zmian; w dodatku zapewne jako jedni z pierwszych dowiedzieli się o zakażonej wodzie. Kołatało jej się po głowie, że szpital korzystał z tych samych wodociągów co reszta miasta, więc trochę ją dziwiło, że przyjmowano nowych pacjentów. Postanowiła zapytać doktor Esterę, jak rozwiązano problem z wodą na oddziale.

Tymczasem iluzja niewidzialności powoli zaczęła z nich spływać. Kathryn i tak gratulowała sobie, że udało jej się podtrzymać zakłęcie przez tak długi czas; zdarzały się dni, kiedy miała stanowczo lepszą kontrolę nad Źródłem. Rozglądała się przez chwilę, próbując się zorientować, gdzie można szukać kontaktu z doktor Everett. W tym niskim budynku, z którego wychodzili właśnie ratownicy, musiały się znajdować jakaś kula albo kryształ komunikacyjny. Oczywiście równie dobrze można było z ich pomocą zawiadomić żandarmerię. Czarodziejka łowiła niezadowolone spojrzenia załogi lotniska i czuła się naga.

– Masz jakieś jednostki? – szepnęła. – Przydałoby się maskowanie.

– Mam jeszcze siedem.

Obejrzała się na Bernarda. Wyglądał niepokojąco blado.

– Zostaw. Mogą się jeszcze przydać. Potrzebujesz Powstrzymania Krwotoku?

– Już rzucałem – mruknął stary czarodziej i dopiero wtedy Kathryn poczuła się naprawdę zaniepokojona. Odruchowo wyciągnęła rękę, żeby go podeprzeć, ale wywinął się niby przypadkiem i ruszył przodem.

Gdy weszli do dyspozytorni, jej ogoloną głowę i stopy obute w więzienne chodaki owiało ciepłe powietrze. Odetchnęła bezwiednie. Zmęczenie wróciło z pełną siłą, więc oparła się o ścianę. Cyferblaty zawieszane na ścianach przyciągały jej wzrok. Dostała kiedyś od taty komplet składający się z termometru żeglarskiego, wilgotnościomierza i ciśnieniomierza. Lubiła na nie chuchać, żeby zafałszowywać wskaźniki. Oczywiście przyrządy, które tutaj widziała, odczytywały wyniki z anten umieszczonych na zewnątrz.

Czy jej rodzice mieli się dobrze? Na pewno się nie zarazili – żadne nie dysponowało nawet połowicznie aktywnym Źródłem. Ale potrafiła sobie wyobrazić, jak na nich wpłynęło zniknięcie córki w powiązaniu z sytuacją w mieście. A jeśli się dowiedzieli, że ją aresztowano...

– Przepraszam państwa – usłyszała surowy głos i ocknęła się z zamyślenia.

Mężczyzna za biurkiem, który dopiero skończył rozmawiać przez magiczną kulę, wpatrywał się w nich z miną pełną oburzenia.

– Przepraszam państwa, ale to nie jest recepcja – odezwał się twardo. – A uciekających pacjentów już nie wypuszczam. – Wskazał na Kathryn. – Najpierw pani de Breville, teraz wy. Nie obchodzi mnie, czy to sprawa wagi państwowej. Wszyscy teraz mamy tutaj sprawę wagi państwowej. Podlegacie państwu kwarantannie.

– Margueritte de Breville? – Oparła dłonie o blat. – Jak to? Kiedy pan ją ostatnio widział?

– Aha. – Bernard westchnął. – Doskonale. To ja sobie tutaj usiądę i odpocznę.

Po czym bez przytomności osunął się na ławeczkę.

Minęło pięć strasznych sekund, podczas których Kathryn stała w miejscu, niezdolna do sensownej reakcji. Potem opadła na kolana i zaczęła rozpinać księżycu kołnierzyk.

– Nie... nie. Najpierw kapitan, potem Jarvis, teraz ty. Nie chcę tego. Nie chcę, żeby ludzie dawali się dla mnie uwięzić albo zabić. To nie jest... nie powinno tak być. Nie.

Ktoś wziął ją pod ramiona i odciągnął. Przed oczami młodej królowej mignął żółty uniform. Po chwili nad Bernardem już pochylała się ratowniczka.

– Proszę usiąść. – Drugi ratownik położył na ramieniu Kathryn ciężką dłoń. – Zajmiemy się nim. Jak się pani czuje? Czy panią coś boli? Nie emituje pani skażenia.

– Nie. – Kathryn potrząsnęła głową, zmuszając się do opanowania. – Umówiłam się z doktor Esterą Everett. Powiedziano mi, że stąd najłatwiej się z nią skontaktować.

– Z którego oddziału pani jest? – Ratownik obrzucił krytycznym spojrzeniem jej więzienny mundur i ściągnął usta.

– Z mojego – odezwał się znajomy głos. W otwartych drzwiach stała doktor Everett ubrana w fartuch zarzucony na suknię. – Oczekiwałam ich. Szybko, proszę za mną.

Czarodziejka splótła ramiona i wydeła usta. Może zaraz wpadnie tutaj oddział żandarmerii. Może to zły moment na upór. Jeśli postępuje irracjonalnie, pieprzyć racjonalność.

– Idę tam, gdzie Bernard. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby on też mi gdzieś zniknął.

– Z mojego oddziału nikt nie znika – zaczęła Estera, ale Kat jej przerwała.

– Margueritte zniknęła. Ten pan powiedział...

Estera Everett powoli wciągnęła powietrze w płuca.

– Nie jestem pewna, jak w ogóle mam z panią rozmawiać. Zważywszy na to, co pani przeszła, jak z panią postępowano, może nie powinnam się dziwić. Lady de Breville robi, co chce, i nawet ja jej nie przekonam, żeby zostawiła swoje stare przyzwyczajenia i na dobre zasiadła za stołem alchemicznym. Dwa dni temu, zanim zaczęło się to wszystko – doktor wskazała za siebie – Meg wyszła od nas w pośpiechu i przekonała jednego z lotników, żeby odeskortaował ją do Alisinnor. Resztę mogę pani opowiedzieć na dole. Porozmawiajmy w cztery oczy. Jeśli chodzi o pana de Montreuil... – Zerknęła w stronę ratowników. Ułożyli starszego pana



na noszach i przykrywali go kocem. Przez ten czas Bernard się ocknął i teraz próbował protestować. – Wnioskuje, że nie jest bardzo źle.

– Upływ krwi i ogólne wyczerpanie organizmu. – Ratowniczką uniosła głowę znad noszy. – Widzę ślady magii bojowej. Ale nie jest w ciężkim stanie. Nie wykryliśmy też Sepii.

Lekarka uniosła wzrok.

– Czy teraz pani mi zaufa?

– Już zaufałam – powiedziała Kat łamiącym się głosem. – Przylecieliśmy tutaj.

\* \* \*

– Przepraszam, że tylko tyle mogę zapewnić – powiedziała Everett, rozkładając łóżko polowe na podłodze swojego gabinetu. – Prywatne sale są zajęte, większość wspólnych objęto kwarantanną. I nie chcę, żeby zbyt wielu ludzi panią zobaczyło.

Kathryn skinęła głową. Pokój od początku wydał jej się miejscem, gdzie doktor nie tylko pracuje, lecz także czasem spędza noc. Za wysokim regałem z drewna orzechowego, wypełnionym sfatygowanymi podręcznikami medycznymi, skrywały się drzwi do łazienki. Na ciężkim rzeźbionym biurku piętrzyły się pliki papierów, stała tam – rzecz jasna – magiczna kula oraz leżało kilka przyrządów, których przeznaczenia czarodziejka nie umiała odgadnąć. Poza tym gabinet mieścił dwa fotele, niedużą kanapę obitą wytartym zielonym suknem, komodę i szafę, w tej chwili otwartą na oścież.

– Należy pani do Cienia Gildii? Czy ułatwiła nam pani ucieczkę?

Spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

– Dobry Wędrowcze, ależ pani jest bezpośrednia. Tak i tak. Nie mogłam zadbać o wszystko, na szczęście pan de Montreuil to jednoosobowa armia. Miała pani rację.

Czarodziejka ciężko opadła na kanapę.

– Nie jestem dobra w owijaniu w bawełnę, a zaledwie parę godzin temu zdjęto mi wygłuszacze Źródła. Nadal niezupełnie czuję się sobą. Nie mam pojęcia, co się dzieje z moimi przyjaciółmi. Margueritte...

– O ile mi wiadomo, opuściła szpital na prośbę Weylanda – odparła doktor. – Tyle zdążył mi powiedzieć. Straciłam z nią kontakt po jej przylocie do Alisinnor. Nie byłyśmy przypisane do tych samych projektów. Nie wprowadzono panią w sprawę Cienia...

– Myślę, że w tych okolicznościach może mi pani swobodnie opowiedzieć więcej.

– Pani również. – Everett wyciągnęła z szafy złożoną w kostkę pidżamę i szlafrok. – Proszę, niech się pani wykąpie i przebierze; w wiadrach jest czysta woda. Sepię można odfiltrować, ale ta pochodzi ze studni. Gdy planowałam pani oswobodzenie, skontaktowałam się z jednym z naszych. Powinien tu wkrótce być. Mało mu oczy nie wyszły z orbit, kiedy się dowiedział, że panią aresztowano. Mówił, że to się może skończyć krwawą jatką na historyczną skalę i że koniecznie musi przekazać tę wiadomość dalej. Ambasador zupełnie szczerze chciał poświęcić dla pani życie. Postarałam się, żeby nie musiał; na szczęście znam tu i ówdzie kilku ludzi. Czy jest pani drugim Magiem Pustki?

– Nie. – Kathryn splótła dłonie na kolanach. Doktor wydawała jej się dość bezwzględna; dobrze, że przynajmniej chwilowo była po jej stronie. – Ale mam wpływowych i potężnych przyjaciół.

– No, proszę nie owijać w bawełnę.

– Po pierwsze, nie uwierzy pani. Po drugie, i tak się pani dowie. Po trzecie, potrzebuję dostępu do kuli magicznej, i to jak najprędzej, jeśli nie chcemy wywołać międzyświatowego konfliktu zbrojnego. Od dwóch dni nie ma o mnie żadnych wieści, i z tego, co wiem, nie tylko o mnie. Istnieją ludzie, którzy potraktują to śmiertelnie poważnie. W stronę Mostu na Granicy może właśnie maszerować armia.

– Żartuje pani.

– Nie śmiałaabym. – Kathryn dotknęła głowy i przeklęła po bretańsku.

Jeśli Theresa zobaczy królową upokorzoną, z ogoloną głową, rozmowa przyniesie efekt odwrotny do zamierzonego. Co prawda regentka nie ma charakteru księcia Bernarda. Pochodzi z pokolenia Bretańczyków wychowanych w kraju pozbawionym magii i rozumuje inaczej niż starzy feudałowie, poza tym zna arboriańską przewagę militarną i nie zaszarżuje przez Granicę ze wszystkim, czym dysponuje. Ale jednak może się zrobić nieprzyjemnie.

– Czy ma pani jakieś nakrycia głowy? Kapelusze? Peruki? Nie mogę się tak pokazać.

Doktor patrzyła na nią przez chwilę.

– Czy coś się stało? – spytała czarodziejka.

– Nic. Tylko... ile pani ma lat? Dwadzieścia? Wydaje mi pani rozkazy i, co gorsza, takim tonem, że prawie mam ochotę posłuchać. Zgaduję, że nie uczyła się pani tego od Belinde Chamomille.

Kathryn otworzyła usta, żeby przeprosić. Zawahała się. Królowa nie przeprasza. Ale przecież nie znajdowali się w Utraconej Bretanii, a tutaj nadal mimo wszystko była tylko uczennicą czarodziejki. A lekarz diagnosta w szpitalu to właściwie monarcha.

– Postaram się trochę przystopować – obiecała.

– Znajdę pani perukę. Mamy tego trochę na oddziale.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kathryn zdążyła się jeszcze schować za szafę. Zerkając zza rogu, dostrzegła, że do gabinetu wchodzi czarodziej, którego już wcześniej widziała. Właściwie nie tak znowu dawno temu – uczestniczył w przyjęciu Belinde Chamomille. Sędziwy wykładowca z Gildii Magów, sir Tailleferre, powiązany ze stronnictwem Imperialistów. Rozpoznała go natychmiast: jak wielu czarodziejów, Tailleferre nie nadążał za modą i w tej chwili, z siwymi włosami zaplecionymi w cienki warkoczyk, w ciemnoniebieskim fraku i z obfitym fulem noszonym do koszuli, wyglądał jak podstarzały dandys sprzed dwustu lat.

Czarodziejka stężała. Czy on też, podobnie jak minister Chasseur, jest po stronie Iglicy? Wymienili serdeczności z doktor Everett; później nachylił się i zaczął tłumaczyć jej coś przyciszonym głosem. Kathryn żałowała, że nie ma tutaj Liliany, która mogłaby podsłuchać rozmowę.

– Możesz wyjść – powiedziała doktor. – On jest z nami.

– Jak to? – zdumiała się Kathryn. – Przecież trzyma z ministrem. To znaczy...

Sir Tailleferre na widok czarodziejki uklonił się niemal do samej ziemi.

– Wasza Wysokość. Cień Gildii nie narzuca swoim członkom celów ani układów politycznych – wyjaśnił. – Jesteśmy klubem uczonych. Kagankiem w mroku. Gdzie światło, tam i Cień.

Doktor Everett spojrzała na kolegę, całkowicie zbita z tropu. Młoda czarodziejka już zupełnie nie wiedziała, kto o czym i kiedy został poinformowany. Rozumiała tylko tyle, że Cień Gildii nie stanowił jednorodnej, odgórnie zarządzanej organizacji, podobnie jak Iglica.

– Mam do przekazania list. – Sir Tailleferre podszedł bliżej i obiema dłońmi, w ukłonie, wręczył czarodziejce zapieczętowaną kopertę. – Ktoś chce się z panią –

z Waszą Wysokością – zobaczyć. I to jak najpilniej.

Kathryn szeroko otwartymi oczami oglądała list. I pieczęć.

Nikogo tutaj nie było, żeby jej doradzać. Nikogo starszego i bardziej wprawnego w sztuce dyplomacji, bretańskiej czy też arboriańskiej. W najważniejszej chwili, którą wyobrażała sobie zupełnie inaczej, sama musiała pilnować, żeby nie popełnić żadnych gaf. A teraz na jej barkach spoczywały losy całkiem rzeczywistego królestwa, chociaż oddalonego w więcej niż jednym wymiarze przestrzennym. Serce biło jej powoli, ale mocno. Podobnie jak rok wcześniej, przed egzaminem.

– Dziękuję, panie Tailleferre. Zachowajmy formalności na formalne spotkanie. – Zwróciła się do doktor Everett. – Jeśli może pani poprosić o coś bardziej wyjściowego niż pidżama i szlafrok, będę zobowiązana.

\* \* \*

Z listu wynikało, że sytuacja nie pozwala zwlekać. W pośpiechu nie udało się zorganizować nic bardziej godnego niż garnitur pielęgniarski. Żadna czysta pielęgniarska suknia nie odpowiadała Kathryn rozmiarem i fasonem, ale znaleziono parę nowych trzewików, które pasowały. Wszystkie peruki wyglądały głupio. Po namyśle zawiązała sobie na głowie chustkę. Nic nie przebiegało według scenariusza, jaki wielokrotnie przećwiczyła sobie w myślach, ale czuła się dziwnie spokojna. Biorąc pod uwagę wszystkie możliwe ścieżki rozwoju sytuacji, królowa Gwendolyn Bayonne de Branche d’Aquamarine przynajmniej nie była smokiem.

Niedługo potem Kathryn weszła do prywatnej izolátky, stylizowanej na buduar. Przeszło jej przez myśl, że sytuacja musi być niekomfortowa również dla urzędującej monarchini Arborii. Towarzyszyli jej doktor Everett i sir Tailleferre; w pomieszczeniu znajdowali się też pielęgniarka, dwoje służących i mężczyzna w średnim wieku, który, sądząc po drogim surducie, należał do rodziny lub najbliższych zauszników Gwendolyn.

Kobieta na wózkowi wyglądała na słabą i zmęczoną, a na jej policzku malował się ciemnobrązowy wykwit przypominający pajęczynę. Mimo choroby trzymała się prosto – z włosami upiętymi w kok, ubrana w dzienną szarobłękitną suknię. Na widok czarodziejki wstała z pomocą lokaja. W ciszy, która zapadła na krótką chwilę, dałoby się usłyszeć trzepot skrzydeł ważki. Następnie królewski krewniak wypowiedział dyplomatyczne formułki, przedstawiając sobie nawzajem obie panie.

Kathryn podeszła bliżej. Zdawała sobie sprawę z tego, jak absurdalnie wygląda w pielęgniarstwie stroju, białych trzewikach i z chustką na głowie. Cokolwiek Belinde planowała na tę wielką chwilę – mnogość znaczeń wyrażoną strojem, przemowę pełną aluzji i obietnic – odfrunęło właśnie w siną dal. Nie pocieszało jej, że królowa Arborii przygotowała się niewiele lepiej, a spotkanie było zaledwie na wpuł oficjalne.

Gdy znalazły się naprzeciwko siebie, kobieta zdjęła rękawiczki i wyciągnęła dłoń, a Kathryn ją uściśnęła. Nie ukloniła się. Dygnęła tylko nieznacznie, tyle, ile wymagała od niej uprzejmość. Przywitały się jak równe sobie.

Zapewne wszyscy starali się nie zauważać, że Aurora Pierwsza przewyższa o głowę Gwendolyn Bayonne. Królowa z obłożonego anatemą rodu d'Argent, pełniąca funkcję dziedzicznej monarchini – to budziło skojarzenia, których nie dawało się uniknąć. W Republice Arborii koronę noszono maksymalnie przez dwie kadencje, liczące po dwadzieścia lat; obecna monarchini panowała już od trzech dekad. Gdyby po przewrocie nie wprowadzono tego systemu, długowieczni czarodzieje pozabijaliby się nawzajem w próbach zdobycia władzy. W toku burzliwych – niekiedy dosłownie – debat wypracowano kompromis, który każdemu ze starych magów dawał szansę władania Arborią, z pominięciem Branche d'Argent. Od tamtej pory minęły cztery stulecia i przy życiu zostało niewielu czarodziejów, którzy pamiętali wprowadzenie monarchii elekcyjnej. Przez ten czas system ewoluował, zmieniając się na różne sposoby, i tylko jedno nie uległo zmianie. Ród d'Argent nie otrzymał biernego prawa wyborczego ani miejsca w Izbie Wyższej.

Kathryn była młodsza niż całe panowanie obecnej królowej. Nie pamiętała krwawej przeszłości własnego rodu, a jego historię znała wyłącznie z książek. Przez kilka pokoleń wśród tych d'Argent, na których nie dokonano egzekucji, nie rodziły się dzieci obdarzone magicznym talentem. Ostatni czarodziej o przedwcześnie siwych włosach umarł ze starości sto pięćdziesiąt lat temu. Nie wsławił się żadnym wynalazkiem, nie przyniósł wstydu rodowi – żył sobie po cichu, konstruując mechaniczne zabawki. Rodzice Kathryn trzymali w domu ostatni z jego mechanizmów – nakręcaną figurkę kota, który grał na cytrze.

Ale to nie miało większego znaczenia. Liczyło się natomiast to, że zarówno konstytucyjni monarchowie Arborii, jak i dysponujący niemal absolutną władzą królowie Bretanii mogli ustanawiać pokój – oraz wypowiedać wojny.

– Proszę przyjąć moje serdeczne przeprosiny za to nieporozumienie – zaczęła Gwendolyn Bayonne, gdy wymieniły już uprzejmości.

Kathryn dopisała w myślach nowy kontekst znaczeń do długiej listy nieszczerých eufemizmów, jakie stosują dobrze wychowani ludzie. Przez chwilę nie wiedziała, jak sformułować odpowiedź. Nie znajdowała się w Bretanii, gdzie gra dyplomatyczna była mniej subtelna i przypadkowe obraźliwe stwierdzenia brano najczęściej za doskonały dowcip.

Ale to była ta sama gra, w której ruchy się powtarzały, a konsekwencje dawało się przewidzieć. Im bardziej sformalizowane spotkanie, tym mniej możliwości obydwie miały do dyspozycji. Na nieoficjalnej herbatce błędziła w mroku; tutaj stała na planszy szermierczej. Wcale nie musiała czytać w twarzy królowej. Wystarczyło analizować słowa.

– Ku naszej przykrości minister Chasseur okazał się niezainteresowany spotkaniem z ambasadorem. Oraz nawiązaniem relacji z Królestwem Bretanii. – Kathryn poczuła się dumna z piętrowego niedopowiedzenia oraz zawołowanego sposobu, w jaki dała do zrozumienia, że uważa ministra za kretyna i zdrajcę stanu. Nie mogła sprawdzić, co wie królowa Arborii. Roboczo zakładała, że wszystko, ale nie chciała niczego sugerować.

Królowa Gwendolyn uśmiechnęła się nieznacznie.

– Zatem nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy kontynuowały bez niego. Mniemam, że nie ma go już w mieście.

Od strony wejścia, gdzie zostali doktor Everett oraz sir Tailleferre, dało się usłyszeć niespokojne kasznięcie. Kathryn nagle zrozumiała, że Gwendolyn Bayonne właśnie wykorzystała pretekst i odsunęła od negocjacji, a może podała do dymisji ministra spraw zagranicznych związanego z Imperialistami. A także dała podstawy zdyskredytowania tejże partii, gdy tylko nadejdzie odpowiednia pora. W drugim zdaniu natomiast zastawiła pułapkę na nią samą. Naturalnie wiedziała, że minister uwięził Artois. Kto jej mógł o tym powiedzieć? Doktor Everett? Nieważne. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, żeby zapytać, dokąd właściwie udał się minister Chasseur. I tym samym przyznać, że trochę za bardzo zależy jej na kapitanie.

Ściślej mówiąc, to była już druga pułapka. Bo w pierwszą Kathryn wpadła, odpowiadając na zaproszenie. Spotkanie zorganizowano w pośpiechu, nie tylko ze względu na pogarszające się zdrowie królowej Bayonne, lecz także poprawiające

się zdrowie ambasadora. Znacznie lepiej rozmawiać z niedoświadczoną, młodą władczynią bez suflera. Kat przypominała sobie, że w historii stosowano taktykę przetrzymywania możnych w gościnie, z dala od zaufanych sojuszników, jako nieco grzeczniejszy ekwiwalent wrzucania ich do lochu.

Jasna cholera. Nie przeszły jeszcze do negocjacji strategicznych, a już dawała się rolować jak dziecko. Co dalej?

– Kontynuujemy – powiedziała. – Czy można usiąść?

Królowa Bayonne skinęła głową i powoli usadowiła się na wózku, a Kathryn natychmiast podsunęło krzesło. Nawet ten gest miał znaczenie, bo przecież jedna z nich nie mogła siedzieć, podczas gdy druga stała. Kat pierwsza wyszła z prośbą, ale to Gwendolyn z trudem utrzymywała się w pionie, więc młoda czarodziejka pozwalała jej zachować godność i nie wymuszała sytuacji potencjalnie obraźliwej. Chyba zapunktowała. Ale nie miała pewności.

– Interesująca sytuacja. Jest pani królową Bretanii, ale i obywatelką Arborii.

Tłumaczenie z królewskiego na arboriański: czy przypadkiem nie poddała mi pani swojego kraju?

– Jak pani wie, pełnię funkcję trzeciej części Nowego Triumwiratu, wspólnie z Nadworną Maginią Amandine de Branche d’Aure oraz regentką Thesą von Feuerstein.

Tłumaczenie: pozostali mogliby mieć coś przeciwko temu; i czy już wspomniałam, że Królestwo Bretanii wprost nawiązuje do dziedzictwa Cesarstwa Triumwiratu, podczas gdy Arboria jest monarchią konstytucyjną?

– Kathryn Verd de Branche d’Argent. Aurora Pierwsza. To dość niecodzienne.

Tłumaczenie: czuję się zszokowana, że komukolwiek z Branche d’Argent powierzono władzę, aczkolwiek doceniam, że nawiązuje pani do bardziej udanej przedstawicielki swojego rodu.

– Ale zasłużone, madame.

– Jestem ciekawa, co trzeba zrobić, żeby zasłużyć na taki zaszczyt.

Tłumaczenie: znając reputację Branche d’Argent, zastanawiam się, kogo musiałaś zabić.

– Między innymi odnalazłam Królewskiego Smoka i pokonałam armię magów renegeatów, wykorzystujących istoty Pustki jako broń.

Kątem oka Kathryn obserwowała, jak na twarzach szanownych zgromadzonych pojawia się szok.

„Mhm. Właśnie powiedziałam, że możecie mi skoczyć”.

– Rozumiem, że lady Belinde Chamomille de Branche d’Emeraude służy pani radą.

Młoda królowa uniosła brwi. Gwendolyn musiała naprawdę źle się czuć, skoro uciekała się do stwierdzeń niemal otwarcie obraźliwych. Czy jest pani marionetkową władczynią? Królowo Bayonne, czy sądzi pani, że nie sugerowano mi tego na pięćdziesiąt różnych sposobów i że wszystkie znam już na pamięć? Ale to pani kadencja skończy się za dziesięć lat. A ja się dopiero uczę.

– Oczywiście. Most na Granicy zaprojektowaliśmy we trójkę: Mag Pustki, Belinde i ja.

W pokoju ktoś stłumił gwałtowne westchnienie. Sir Tailleferre znowu kaszlnął. „Tak jest, zrobiono wroga publicznego z mojego poddanego i zarazem faceta, który powstrzymał Rozdarcie. Ciekawe, jak energicznie to teraz odkręćcie. Ciekawe, czy tę maszynę w ogóle da się jeszcze zatrzymać”.

– Ach tak! Jestem z państwa niezwykle dumna. Kto by pomyślał, że troje obywateli Republiki dokona tak wiekopomnego dzieła. – Gwendolyn Bayonne złożyła dłonie w trójkąt i pochyliła się lekko. – O ile mi wiadomo, pani i pan Thorpe – podobnie jak ja – urodziliście się w Avalonie. Jak się państwu podoba Bretania?

Tłumaczenie: sama pani przyznaje, że na dobrą sprawę zrobiliście z niej moją kolonię. Finta, wypad, punkt. Floret wygina się w zgrabny łuk. Kathryn omal się nie spaliła ze wstydu. Czy w ogóle da się jeszcze coś z tym zrobić? To znaczy, nie grożąc wojną królowej państwa o przeważających siłach militarnych?

A, chrzanić.

– Podobają mi się zwłaszcza smoki – rozmarzyła się, opierając twarz na dłoniach. – Oraz fortece, w szczególności te starożytne. Chociaż oczywiście sami ostatnio dodaliśmy jeden cud świata, który można otwierać i zamykać wedle upodobania.

„I tylko my mamy klucze – dodała w myślach. – My... oraz Belinde”. Dopiero po fakcie zdała sobie sprawę z tego, że Gwendolyn zastanawia się, czy książę Bernard – lub sama Kathryn – nie pozbyli się szarej eminencji w osobie lady Chamomille, sojuszniczki Federalistów i przyjaciółki królowej Arborii. A może nawet czy wszystko od początku – napaść na Arcymaga, epidemia Sepii, porwanie



statku powietrznego – nie zostało zaplanowane, by osłabić Republikę i uniemożliwić próbę kolonizacji nowego lądu.

Tym bardziej że kontakt był raczej symboliczny, dopóki Most pozostawał zamknięty. Oczywiście można go wcale nie otwierać. Ale żeby trwale odwrócić proces rozpadu kontynentu, potrzeba więcej mostów, dzięki którym Utracona Bretania będzie stopniowo przemieszczać się w zawiniętej przestrzeni. Kiedyś nastąpi dosłowne zderzenie dwóch światów i dobrze byłoby stopniowo je ze sobą poznawać.

– Myślę, że obydwa kraje skorzystają na wymianie handlowej i kulturalnej. Planujemy na przykład programy stypendialne dla młodych talentów, ale o szczegóły najlepiej pytać Nadworną Maginię; to ona nadzoruje naszą Gildię i nie wchodzi w jej prerogatywy. Choćby dlatego zależy nam na ocaleniu Arcymaga Andreasa Weylanda i udzielimy każdej pomocy, jaką możemy w tej chwili zaproponować.

Nie wiedziała, czy tylko jej się tak wydawało – brakowało jej wycucia – ale po tych słowach odniosła wrażenie, jakby powietrze odtajało. Czyżby poddała ten pojedynek? Niepotrzebnie obiecała pomoc? A może rozwiała podejrzenia wobec siebie? Brakowało jej danych. Co się tutaj właśnie stało?

– Dziękuję pani za gest dobrej woli. – Gwendolyn Bayonne z powagą skinęła głową. – Również jesteśmy zdania, że kryzysy należy rozwiązywać wspólnie.

Reszta rozmowy przebiegła w mniej napiętej atmosferze. Kathryn udało się mimochodem napomknąć o Jarvisie i uzyskać obietnicę ułaskawienia. Wymieniono kilka grzecznych uwag, i nawet jeśli czarodziejka przeoczyła jakieś ukryte znaczenie, zebrani nie zareagowali w żaden wyraźny sposób. Nie miała wrażenia, że wygrała tę bitwę, ale nie poniosła też porażki; coś jej mówiło, że nie w pełni świadomie uniknęła potężnej katastrofy.

Gdy usiadła wreszcie przy biurku w gabinecie doktor Everett przed prostą, ale obfitą kolacją – puddingiem z kiełbasą i cebulą, tłuczonymi ziemniakami, z brokułami, groszkiem i mnóstwem sosu – i w braku postronnych obserwatorów rzuciła się na jedzenie, była z siebie całkiem zadowolona. Teraz należało jak najszybciej przeliczyć zmienne do zakłęb lokalizacyjnych. Wrócić do rezydencji Belinde, zabrać stamtąd kulę, a ze swojego wynajętego mieszkania – plecak spakowany na wyprawę. Jeszcze nie wiedziała, czego się może spodziewać teraz,

gdy się ujawniła, ale wyglądało na to, że skoro z pozostałymi nie udało się do tej pory nawiązać kontaktu i została tylko ona, to właśnie ona powinna przejąć inicjatywę i wyruszyć teraz, zaraz, z Bernardem i Jarvisem lub bez nich. Postanowiła, że nie da się nigdzie zamknąć: w armii, pałacu, więzieniu czy szpitalu. Już nigdy więcej.

I wtedy właśnie dostrzegła, że woda w szklance zaczęła falować, a ołówek i pióro doktor Everett przesuwają się po powierzchni biurka. Rozejrzała się wokół. Drżały szyby. Nieznacznie, ale wyraźnie trząsł się cały budynek.

Cokolwiek się wydarzyło, sytuacja znowu uległa zmianie.

\* \* \*

Artois

Pokład Żelaznego Wiatru, tego samego dnia rano

S zurnięcie. Huk.

Drewniana zimna posadzka kołysze się jak na łodzi. Przerażliwie skrzypienie odbija się echem w powietrzu i słychać stukot, jakby koła na bruku. Deski drżą od cudzych butów i czegoś ciężkiego, z wolna przesuwanego po podłodze.

– Ostrożnie! Ostrożnie, ostrożnie. – Męski głos jest zaniepokojony, ale i podekscytowany. – Przywiążcie jeszcze tutaj. Nie, nie tak. Daj, sam to zrobię.

Artois skulił się na zimnym, śliskim drewnie. Skuto mu ręce z tyłu – wokół nadgarstków czuł zimny metal, a gdy spróbował nimi poruszyć, zadźwięczały ogniwa łańcucha. Chyba miał też skępowane nogi. Pierwsza myśl: „Jednak dorwali mnie werbownicy w dokach Avalonu”. Jestem na statku na Lyonesse i płynę w stronę morza. Zaraz posadzą mnie przy wiosłach.

Później zaczął sobie przypominać. Ostrożnie otworzył oczy. Zobaczył kilka par nóg w srebrnych spodniach, a także jedną należącą do mężczyzny w garniturze i wizytowych butach. Krzątano się przy wysokim przedmiocie o okrągłej miedzianej podstawie o średnicy dwóch dużych beczek wina. Zaintrygowany Artois uniósł głowę, żeby dostrzec coś więcej, i wtedy widok zasłoniła mu suknia koloru świeżej krwi.

– Budzi się – powiedziała kobieta. – Może zabierzcie go do kabiny.

– Miał nam posłużyć jako obiekt testowy.

Artois rozpoznał głos człowieka w wizytowym stroju. To ten sam szlachcic, który go schwytał. Jego rodowy pierścień zawierał kaboszon wyrzeźbiony w opalu – po latach spędzonych na dworze hrabiego Trevancela kapitan był wyczulony na podobne szczegóły. Szlachcic prawie na pewno należał do Branche d’Opal, a tak się składało, że głowa tego rodu w Arborii, hrabina Oliwia, zaliczała się do nieprzyjaciół Kathryn.

Zacisnął zęby i zaklął. Czy to jest rzeczywiście aż tak proste? Aristokraci walczący o wpływy za pośrednictwem zabójców i szpiegów, jak w jego ojczyźnie? Przypomniawszy sobie przemowę, jaką wygłosił szlachcic. Przyznał się, że chce schwytać Maga Pustki, a także planuje sabotaż w miejskich wodociągach. Dlaczego? Kapitan na razie nie widział związku między tymi dwoma celami.

– Przecież nie w tej chwili – odparła zimno kobieta. – Ani wtedy, gdy będziemy nabierać wysokości. Muszę wszystko podłączyć. Emrysie, pohamuj się trochę.

Dziwnie mówili. Z pomocą przypinki Artois powinien wszystko doskonale rozumieć, tymczasem musiał się skupiać, żeby wyodrębnić słowa, przeszkadzał mu akcent. Poprzednio wcale tego nie zauważył. Może automagia Belinde miała swoje granice i powoli przestawała już działać. I czy słuch go nie myli? Co to znaczy „wysokości”?

– Dobrze, dobrze, możliwe, że masz rację. Ale zabierz się jak najszybciej do pracy. Liczę na ciebie, Edmundzie.

– Seleno – podkreśliła kobieta z naciskiem.

Mężczyzna westchnął.

– W końcu cię odzyskamy. Przywrócę ci jeszcze Źródło i tożsamość.

Odmaszerował. Kobieta w czerwonej sukni kucnęła nad Artois, tak że mógł zobaczyć jej twarz, i spojrzała mu w oczy. Miała długie ciemne włosy, w tej chwili rozpuszczone, i wydała się kapitanowi bardzo podobna do Belinde. Dopiero potem doszedł do wniosku, że miały inne rysy twarzy. Tyle że obydwie robiły ze swoim wyglądem coś, co je do siebie upodabniało. Artois nie został na herbatce z premierem i nie miał pojęcia, czy Arborianki od święta używały podobnego makijażu, a to też mogło być istotne, bo przynajmniej w Bretanii oznaczało kastę społeczną. Żyjąc wśród wpływowych ludzi, należy uczyć się ich mowy – także tej pozbawionej słów.

Selena była piękna taką urodą, jaką w Bretanii spotykało się u oficjalnych wysoko urodzonych metres. Wystudiowaną, wypracowaną i nieco wyzywającą. Jako młody najemnik Artois snuł różne fantazje o damach dworu, ale później się dowiedział, że w tych atlasach i koronkach kryły się ciała nieróżniące się szczególnie od innych, bardziej chętnych kobiet. W dodatku intrygi, które prowadziły szlachcianki, były równie niebezpieczne jak walka w bitwie. Osobiście znał gwardzistę, który dał się wplątać w jakąś absurdalną grę, toczącą się wokół sprezentowanych niewłaściwej osobie brylantowych spinek. Gwardzista ocalił honor damy, jednak sam poszedł na szafot. Rzeczona dama uroniła łezkę podczas egzekucji, a później nie wspominała o nim więcej. Kapitan przyrzekł sobie solennie, że sam nigdy nie będzie żywił afektu do żadnej szlachetnie urodzonej, i całkiem dobrze mu szło. Aż do niedawna.

Chociaż Kathryn nie przypominała bretańskich szlachcianek i nie prowadziła żadnych intryg, do tej pory skończyło się walką ze smokiem i podróżą na Drugą Stronę Świata, a teraz, cóż, znajdował się tutaj. A miał ją chronić. Od początku wiedział, że zakochując się w królowej, postąpił jak głupiec – przecież z tego nie miało prawa wynikać nic dobrego. Jednak nic nie mógł poradzić na to, że jego myśli nieuchronnie kierowały się ku niej.

– Cały Emrys – powiedziała Selena niby do niego, ale jakby w powietrze. – Powinien cię przesłuchać. Ale już wie, kto jest Magiem Pustki, ma rdzeń, więc stracił zainteresowanie Utraconą Bretanią. Wiedziałam, że będę tego żałować. Ładny z ciebie chłopiec, Bretańczyku. Trochę szkoda.

„Ona myśli, że jej nie rozumiem” – pojął nagle Artois. Nie zamierzał wprowadzać jej z błędu.

Podniosła się, niemal omiatając jego twarz brzegiem sukni.

– Zabierzcie go do kabiny.

– Tej samej?

– Wszystko jedno. Dokąd niby miałby uciec?

Wzięli go pod ramiona. Po raz pierwszy Artois mógł dokładnie obejrzeć pomieszczenie, w którym go przetrzymywano. Zbudowano je z drewna, co potwierdzało jego przypuszczenia, że został uwięziony na statku. Mogłoby posłużyć za salę balową w niezbyt okazałym zamku, gdyby nie spiętrzone wokół skrzynie i pakunki, przymocowane do metalowych żebrowań i belek, które zapewne

wzmacniały konstrukcję. Ludzie, którzy właśnie popychali go w stronę wyjścia, nosili dziwne srebrzyste uniformy z nieznanego materiału. Ale nie ten widok sprawił, że jego serce na chwilę zamarło.

Centralne miejsce w ładowni zajmował przedmiot, którego miedzianą podstawę kapitan wcześniej podziwiał z podłogi. Wtedy wydawało mu się, że patrzy na metalową beczkę. Teraz oglądał go w całej okazałości i jego umysł niezupełnie rozumiał, co widzą oczy. Na miedzianej podstawie stał wielki cylinder z białoróżowego kryształu, jakby wzięty z pracowni hrabiego Trevancela, zakończony pokrywą z miedzi, identyczną z podstawą. Wyrastały z niego rurki i przewody wykonane z metalu oraz czarnego tworzywa, którego Artois nie rozpoznawał.

W środku kryształu znajdowały się bezustannie zmieniające się geometryczne kształty – z metalu i mniejszych kryształów lub szkła – z których chyba żaden nie powinien istnieć. Wyglądało to tak, jakby przestrzeń wewnątrz nie mogła się zdecydować, jaką formę przybrać, próbowała więc wszystkich równocześnie. Artois raz w życiu obserwował coś podobnego, kiedy Liliana przeistoczyła się w smoka. Ale wtedy przemiana zaledwie mignęła mu przed oczami. Teraz wpatrywał się... w to coś... nieco za długo. Zakręciło mu się w głowie.

Dopiero gdy ciągnięto go klaustrofobicznie ciasnym korytarzem, udało mu się pozbyć tego obrazu spod powiek. Otrząsnął się z oszołomienia i zrozumiał, że skoro niczego przed nim nie ukrywano, nie wyjdzie już stąd żywy. Chyba że postara się o to sam. Nie wiedział, ile ma czasu, zanim posłuży jako obiekt testowy... dla tego czegoś. Emrys de Branche d'Opal wydawał się znacznie bardziej pomyłony niż hrabia Trevancel, ale przecież on też potrzebował przygotowań.

Drzwi rozsunęły się i popchnięto go na podłogę kabiny. Usiadł, wpatrując się w swoich oprawców złym wzrokiem. Zwykli Arboriańczycy, tacy, którzy nie parali się pracą fizyczną ani nawet nie trenowali żadnej Drogi Czapli. Jeden chudy, młody i wąsaty, drugi w średnim wieku i z brzuszkiem. Gdyby kapitan nie miał skutych rąk, podyskutowałby z nimi, jak należy.

– Jak będziesz chciał łąć, zapukaj – poinstruował młody – to cię zaprowadzimy.

– On nie mówi po arboriańsku. Nie ma pojęcia, co do niego gadasz. – Ten drugi machnęła ręką. – Niech mu ta panusia wyjaśnia, jak nie chce mieć zaszczane.

Drzwi zamknęły się z hukiem, a kapitan obejrzał się za siebie. Jaka panusia?

W kabinie znajdowało się piętrowe łóżko, przykryte kapą z wybielonego lnu. Na dolnym piętrze leżała piękna kobieta w ciemnozielonej sukni: blada, z zamkniętymi oczami i jasnymi włosami rozrzuconymi na poduszce, tak samo zakuta w kajdanki.

– Belinde – szepnął. – Pustka i Zaświaty! Jednak cię znalazłem.

\* \* \*

Belinde Chamomille leżała na materacu bez ruchu. Wyglądała na chorą – a może zatrutą. Oddychała płytko, ale nie zareagowała na słowa kapitana. Oczywiście – coś musieli jej zrobić, żeby unieszkodliwić liczącą sobie ponad dwieście lat czarodziejkę. Artois przyjrzał się kajdankom, ale wbrew temu, czego się spodziewał, nie wyglądały na ołowiane, tylko żeliwne, znacznie misterniej wykonane niż te, które widywał w Bretanii. Zamykano je na kluczyk. Kapitan już się bawił w Ombre podobnym rodzajem zamka – konstrukcją tylko trochę się różnił od mechanizmów używanych w skrzyniach z klejnotami i panieńskich sekretnikach.

Postanowił sprawdzić, czy brosza tłumacząca nada się na wytrych, i zerknął na koszulę.

Prezentu od Belinde nigdzie nie było. Jeszcze przez chwilę starał się obejrzeć ubranie, mimo rąk skutych na plecach, zanim przyjął do wiadomości rzecz oczywistą: ktoś się poznał na magicznym przedmiocie i go skonfiskował. Dopiero wtedy Artois uderzyło, że nie słyszał rozmów swoich porywaczy w arboriańsko-bretańskim dwugłosie, do którego tak zdążył przywyknąć.

Kapitan zastanawiał się nad tym chwilę, próbując sięgnąć po zasób słów i zdań, których nie powinien umieć przywołać. Pamiętał je. Powoli uświadomił sobie, że zna już arboriański. W żadnym razie płynnie – znacznie lepiej rozumiał ten język, niż w nim mówił, i gdyby zaczął rozmawiać, musiałyby się mocno skupić.

Popatrzył na Belinde z mieszaniną gniewu i trwogi. Co ona mu zrobiła? Nie powiedziała ani jemu, ani Bernardowi, że szpilki działają w ten sposób. Nie zdradziła, że wpływają na ich umysły. Poczuł się potraktowany jak... jak dziecko. Albo dzikus z Bretanii, niezdolny do zrozumienia potężnej magii. Ktoś nie w pełni gotowy do podejmowania własnych decyzji. Czy to w ogóle oznaczało, że arboriańscy czarodzieje znali każdy język świata? Jeśli mieli do dyspozycji takie możliwości, nie mógł przecież tego wykluczyć. Co jeszcze dla nich zaplanowali?

Czy w szalonych przemowach poprzedniego Wielkiego Maga, Lucjusza de Branche d'Aure, gdy obwinał Arboriańczyków o spiski przeciwko niemu, tkwiło ziarno prawdy?

Może Kathryn nie przypominała bretańskich szlachcianek i nie prowadziła gier, ale nie dało się powiedzieć tego samego o jej mistrzyni. Artois odniósł wrażenie, że wokół jego rąk zacisnęły się niewidzialne kajdany, znacznie mocniejsze niż te żeliwne. Powinien wcześniej porozmawiać z Kathryn. Namówić ją, żeby uciekli razem na koniec świata, w wysokie góry, do księstw granicznych. Gdzieś, gdzie nie dosięgną ich machinacje starych magów.

Teraz już było na to za późno.

Rozejrzył się dokładniej. Siedział oparty plecami o piętrowe łóżko, a przed sobą miał lakierowany drewniany stolik. Ściany pomieszczenia wyklejono kolorowym papierem w kwiatki, co wyglądało na częstą praktykę w Arborii. Usiłował znaleźć drzazgę albo wystający gwóźdź, ale nic takiego nie rzucało mu się w oczy. Z pewną desperacją spojrzął na Belinde. Żadnych spinek do włosów. Ale niedawno miał okazję się dowiedzieć, że w arboriańskie gorsety i biustonosze wszywa się druty.

Postanowił, że zapyta o to, kiedy czarodziejka się obudzi. Tymczasem należało jakoś sobie poradzić z więzami na nogach. To akurat było proste, chociaż wymagało wysiłku – Artois stracił dawną giętkość po tym, jak połamano mu kości w walce ze smokiem. Dał jednak radę się skulić, dosięgnąć zębami związanych kostek i starannie, metodycznie rozluźnić supeł.

Teraz, gdy nogi już miał wolne, wstał i szturchnął czarodziejkę łokciem.

– Lady Chamomille?

Nie odpowiadała. Kapitanowi bardzo się nie spodobał problem moralny, przed jakim został właśnie postawiony. Zastanawiał się nad tym przez moment i doszedł do wniosku, że ma inny, lepszy pomysł. Taki, który uwzględniał konieczność rzuca się głową naprzód w kłopoty. Ale do tego powoli zaczynał już się przyzwyczajać. Załomotał w drzwi.

– Jest tam kto?! – krzyknął po bretańsku. – Muszę iść szczać!

Drzwi się rozsunęły i do środka zajrzał jeden z dwóch mężczyzn, którzy wrzucili go do kabiny. Zgodnie ze wcześniejszym zamierzeniem Artois z impetem uderzył go głową w nos. Maszyna statku huczała i zgrzytała, zagłuszając odgłos ciosu. Strażnik bez przytomności osunął się na ziemię.

Artois poprawił kopniakiem w głowę, a następnie kucnął, złapał jego nogi między skute kajdankami ręce i wciągnął ofiarę do kabiny. Chwilę zajęło, zanim udało mu się mężczyznę przeszukać. Miał nadzieję na klucze do kajdanków, ale znalazł komplet małych metalowych narzędzi, jakich mógłby używać złotnik albo inny mistrz rzemiosła. Jedno z nich nadawało się w sam raz.

Minęło pięć, może z dziesięć minut. Rozległo się pukanie do drzwi.

Artois stanął schowany po prawej stronie, już z wolnymi rękami, za to uzbrojony w kajdanki. Teraz postanowił włożyć je do kieszeni na później. Narzędzie, którego użył do otwarcia zamka, trochę uwierało go w bucie.

Do środka weszła Selena. Ledwo zdążyła zauważyć strażnika leżącego na podłodze. Kapitan chwycił ją, wbił palce w jej nerw łokciowy, a drugą rękę przycisnął do ust. Potem zasunął stopą drzwi.

– Serdecznie przepraszam – powiedział po bretańsku. – Mam nadzieję, że pani mnie rozumie. Naprawdę nie chcę tego robić. Zaraz trochę rozluźnię chwyt, ale proszę pamiętać, umiem zareagować szybciej, niż pani liczy. Chcę wiedzieć, gdzie jesteście, co się stało Belinde i jak stąd uciec.

Skinęła głową. Kapitan postanowił jej zaufać i zwolnił uścisk. Zanim się odezwała, odetchnęła kilkukrotnie, zginając i prostując palce. Artois w myślach pogratulował jej opanowania.

– Umieściliśmy pana tutaj zaledwie przed półgodziną. Jak pan to zrobił? – spytała po starobretońsku.

– Trzeba było uważać – odparł kapitan. – Proszę nas wyprowadzić z tej przeklętej łódki.

Zaczęła się cicho śmiać. Artois popatrzył na nią zdezorientowany, w każdej chwili gotów, żeby znów zacisnąć dłoń na jej łokciu.

– Znajdujemy się dwa tysiące metrów nad ziemią – wyjaśniła. – A latać pan nie umie. I jeśli nie pozwoli mi pan pracować, lady Chamomille umrze. Przyszedłem z lekiem, który hamuje postęp jej choroby. Zależy mi na tym, żeby przeżyła.

Jak to nad ziemią? Artois poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Latał raz za pośrednictwem Kathryn, a drugi raz na smoku. Wciąż uważał, że ludzie nie zostali stworzeni do tego, żeby fruwać jak ptaki.

– Łże pani.

– Może pan zaryzykować jej życie. I jeszcze coś. Nie jestem czarodziejką.



Artois przypomniał sobie, że Emrys de Branche d'Opal mówił coś o utraconym Źródle i dawnej tożsamości. O czym rozmawiali z Jarvisem, zanim kapitan wyszedł na spacer do avalońskich doków? Program ochrony świadków, tak to się nazywało.

– On panią nazwał Edmundem – zauważył.

– Dawne dzieje i nieprawda. Emrys za dużo sobie wyobraża. – Wyraz jej twarzy się zmienił.

– Pani go nienawidzi – zauważył Artois. – Dlaczego pani z nim pracuje?

– Mam powody. Puści mnie pan?

Jeśli cały czas blefowała, byłby najbardziej naiwnym człowiekiem na świecie. Gdyby chodziło o faceta, torturowałby go bez wyrzutów sumienia, żeby się upewnić, że tamten mówi prawdę. Zastanawiał się chwilę. Przekonał go nieudawany błysk nienawiści we wzroku kobiety, gdy mówiła o Emrysie.

Uwolnił Selenę.

Sięgnęła po przewieszoną przez ramię torbę, położyła ją na stoliku. Ze środka wyjęła mały flakonik oraz metalowe pudełko, które zawierało smukłą strzykawkę z metalu i szkła, zakończoną osłoniętą na razie igłą. Kapitan wiedział już, do czego służą strzykawki, i wcale nie spodobał mu się ten widok. Popatrzył wrogo na Selenę.

– Ten eliksir trzeba wprowadzać przez skórę – poinformowała go, wskazując na butelkę. – Służy do hamowania aktywności Źródła, a choroba, na którą cierpi lady Chamomille, rozwija się tylko w obecności jej własnej mocy.

– A czy możecie ją wyleczyć?

– Oczywiście – odparła. – Ale jedyne znane mi lekarstwo trwale wygłuszy jej Źródło. Emrys nie jest orłem alchemii; zapewne wymyśliłabym coś lepszego. Muszę jednak popracować z nim dłużej, żeby zdobyć przepis. Zależy mi, żeby Belinde wyszła z tego cała i zdrowa.

– Oni panią szantażują – domyślił się kapitan.

– Mhm, między innymi. – Selena pochyliła się nad lady Chamomille, najwyraźniej po to, aby podwinąć jej rękaw i podać lekarstwo. Kapitan zauważył na jasnej skórze Belinde niedużą czarnobrazową plamę. Przypominała wzory, jakie tworzyły się zimą na szybach zamku w Narbonne. Kobieta w czerwonej sukni zauważyła jego spojrzenie.

– Niewiele widać na zewnątrz – powiedziała. – Infekcja sięga głęboko do wnętrza. Belinde jest podatna, magia Creo znajduje się wysoko na spektrum rezonansu magicznego. Tyle wiem, bo Emrys oczywiście mi nie powiedział, co to za starożytny mikrob i gdzie go odkopał.

Kapitan grzecznie skinął głową. Nic nie rozumiał – a rozbieżności między bretańskim i starobretonskim wcale mu tego nie ułatwiały – ale zapamiętywał na później. Seleną włożyła igłę w rękę lady Chamomille. Wyglądała na osobę, która zna się na swoim fachu, i rozmawiała z nim niemal przyjaźnie – nie wydawało się, żeby dysponowała bronią albo magią – więc podświadomie się rozluźnił. I chociaż cały czas miał poczucie, że jego rozmówcy może blefować, pilnował się odrobinę – tylko odrobinę – mniej, niż powinien.

To wystarczyło, żeby kobieta w czerwonej sukni, która właśnie skończyła wprowadzać eliksir do żył Belinde, sięgnęła znów do medycznego neseserka, odwróciła się i płynnym ruchem przyłożyła czubek różdżki do brzucha kapitana. Artois poczuł, jak zimny dreszcz przeszywa go od głowy aż do stóp, a potem osunął się na ziemię. Nie stracił przytomności. Tyle tylko, że jego ręce i nogi całkowicie przestały słuchać tego, co miał im do powiedzenia.

– Przykro mi, Bretańczyku. – Przykucnęła nad nim. Tym razem widział dekolację sukni, co w bieżących okolicznościach jakoś zupełnie go nie obchodziło. – Zależy mi, żeby Belinde przetrwała tę burzę cała i zdrowa. Ale jeśli chodzi o ciebie, brak mi sentymentów.

\* \* \*

Kilka następných godzin Artois spędził w ładowni. Owinięty sznurem jak górski serek, zakneblowany i rzucony na podłogę pod ścianą, gdzie właśnie urządzano improwowaną pracownię magiczną, co poznawał po ilościach mosiężnych cylindrów, rurek i reszty oprzyrządowania, w jakim lubował się na przykład hrabia Renard. W wersji arboriańskiej aparatura wyglądała nieco inaczej – z przewagą szkła, a nie metalu, trochę delikatniej i mniej kolorowo. Ale dało się zauważyć podobieństwa. Najwidoczniej szlachta na obu kontynentach pozostawała szlachtą, a czarodzieje – czarodziejami.

Usiłował słuchać członków załogi – umundurowanych ludzi, którzy od czasu do czasu wchodzili do ładowni i rozmawiali z Emrysem. Udało mu się wychwycić, że znajduje się na statku powietrznym o nazwie Żelazny Wiatr, a cel podróży nosi

nazwę Alilat – ale nic więcej. Mimo najlepszych chęci trochę go rozpraszało, że przed nim powstawała konstrukcja, w której główną rolę grała ta rzecz zamknięta w bladuróżowym cylindrycznym kryształ, kalejdoskop majaczeń o błuźnierczej geometrii sprzed eonów. Obok niej ustawiono już pulpit z trzema niedużymi magicznymi kulami. Część wystających z cylindra rurek, zarówno tych czarnych, jak i srebrzyście lśniących, zamocowano na rusztowaniu pełnym urządzeń podobnych trochę do zegarów lub detektorów skażenia, które Artois już znał, z podobnymi okrągłymi szklanymi tarczami i wychylającymi się wskazówkami. Pozostałe przewody zakotwiczone w metalicznie lśniących skrzyniach. Wszystkie oznakowano symbolem, który kapitan już gdzieś widział; w chwili olśnienia przypomniał sobie gdzie: opieczętowano nim obydwie składane domy.

Wreszcie przed całą tą konstrukcją postawiono krzesło. Selena, która od pewnego czasu pochylała się nad wskaźnikami i sprawdzała, czy wszystkie rurki mocno tkwią na swoich miejscach, skinęła głową na pomocników. Podnieśli kapitana, chwytając go pod ramiona.

– Teraz, Bretańczyku – powiedziała po starobretońsku – jeśli nie będziesz się szamotał i opierał, załatwimy wszystko błyskawicznie. To jest maszyna testująca – wskazała na cylinder – a przynajmniej jej najważniejsza część. Co roku setki dzieci bada się za jej pomocą i żyją. Chcemy się dowiedzieć, czy zachowała zdolność przetwarzania magii po tym, jak wyjęliśmy rdzeń z gniazda, gdzie tkwiła przez pół wieku od ostatniej konserwacji. Rozumiesz mnie?

Zaczęła wyjmować mu knebel.

– Będzie nam przeszkadzał, więc jeśli masz pytania, proszę bardzo. Tylko mnie nie ugryź. Ani nie wrzeszcz. To by było głupie.

Artois odetchnął ciężko.

– Skoro to takie nieszkodliwe, dlaczego testujecie ją na mnie?

– Ach, bo widzisz, wszystko zależy od tego, czy ją prawidłowo podłączyłam. Odtworzyłam gniazdo ze starego projektu i skompletowałam je tutaj na sznurku i ślinie. Przepływ mocy może cię spalić. – Uśmiechnęła się krzywo. – Ryzyko jest większe, jeśli się będziesz opierał. Dlatego zależy mi, żebyśmy to szybciotko mieli za sobą. Znaleźliśmy ochotnika, ale skoro już się trafiłeś, dlaczego nie skorzystasz z więźnia?

– I tak planujecie mnie zabić. – To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Oraz wyzwanie. Kapitan nie wiedział, czy Arborianka potrafi odczytać jego zamiary, ale dla każdego Bretańczyka byłoby jasne, że nie wybaczy takiego traktowania, uwięzienia i utraty twarzy. Nie wiedział jeszcze, jak się zemści, ale obiecał sobie, że tego dokona. Narzędzie jubilerskie nadal znajdowało się w jego bucie.

– Czy mogę?

Wicehrabia obszedł obydwójce i stanął tak, żeby kapitan mógł go widzieć.

– Właściwie wolałbym, żebyś pracował dla nas – powiedział. – Jako obywatel Bretanii byłbyś cennym nabytkiem. Przyznam, że niezręcznie zaczęliśmy naszą znajomość, ale rozumiesz, nie graliśmy do tej samej bramki.

Kapitan zmrużył oczy.

– Pana bretański nie jest zbyt dobry – powiedział. – Namawia mnie pan na zdradę stanu? Tak? Proszę się wychędożyć buzdyanem.

Ermys lekko zacisnął pięści. Potem je rozluźnił.

– Musisz zrozumieć, że starzy czarodzieje tobą manipulują. Próbujemy uzdrowić Ziemię Drzew. Może tobie się wydaje, że Mag Pustki pracuje na waszą korzyść, Most na Granicy i te sprawy, ale on sam zapewne nie ma świadomości, że jego obecność doprowadzi do rozpadu świata. Gildia ukrywa przed nami prawdę. Dla nich liczą się tylko władza i bogactwo, los nieutalentowanych ich nie obchodzi. Ludzie tacy jak ja albo pan są z tej gry systematycznie wykluczani.

– Przecież pan jest arystokratą. I czarodziejem.

– Półaktywnym. Nigdy nie osiągnę choćby ułamka ich możliwości.

– Oraz bardzo bogatym i wpływowym człowiekiem. Chyba że to wszystkie prezenty od hrabiny Oliwii i ona, jako pański senior, steruje pana decyzjami.

Ermys stęzał z gniewu. Selena musnęła jego ramię palcami; wzdrygnął się.

– Próbowaleś. – W jej głosie pobrzmiwała ironia. – Zaczynamy.

Ponownie wyciągnęła różdżkę.

– To nam trochę utrudni sprawę, ale jak widzę, nie chce pan współpracować.

Chociaż obezwładniony zakłębieniem Artois nie mógł poruszyć nawet palcem u nogi i z trudem regulował napięcie mięśni, do krzesła przymocowywało go aż trzech pomocników, nie puszczając go nawet na mgnienie oka. Roześmiałyby się, ale

obecnie mógł się tylko ironicznie uśmiechać. Bardzo starannie przywiązano go skórzanymi pasami – ręce, nogi, szyja. Następnie na jego nadgarstkach i kolanach zamocowano zimne metalowe klamry, dbając, aby dotykały gołej skóry, natomiast na głowę wsunięto kask wysmarowany od środka słodko pachnącą wilgotną substancją, która kleiła się do włosów. Selena ze skupioną miną obserwowała trzy magiczne kule i cyferblaty przy pulpicie, natomiast Emrys krążył po sali, pozornie dumny i niewzruszony. Kapitan jednak wyraźnie widział, że rozsadza go wściekłość. „Aha, czyli to cię gryzie – pomyślał. – Nienawidzisz głowy swojego rodu, a zawdzięczasz jej prawie wszystko. Pewnie to, że nie jesteś prawdziwym czarodziejem, też ma tutaj znaczenie. Ciekawe, do jakiego stopnia Iglica podąża za swoimi ideałami, a do jakiego za prywatną ambicją wicehrabiego?”. Te dwa aspekty wydawały się ze sobą ściśle łączyć.

Selena przekreśliła jakiś kurek na konsoli i Artois przygotował się na najgorsze. Po tym, co usłyszał przed chwilą, spodziewał się bólu. Ku własnemu zaskoczeniu poczuł ciepło, jakby siadł przy kominku w ciemny zimowy wieczór. Wrażenie właściwie nie dotyczyło jego ciała, lokowało się gdzieś poza nim, ale kapitanowi brakowało pojęć, żeby je opisać. Nigdy nikt go nie uczył choćby podstaw magii prostej, takiej, którą mógł opanować prawie każdy bez względu na Źródło.

– Dwadzieścia kwantów na sekundę – mruknęła Selena. – Na razie nieźle.

Emrys zerknął na konsolę.

– Mhm. Daj trochę więcej.

Ciepło stało się wyraźniejsze. Artois rozluźnił mięśnie ramion. Całkiem przyjemne uczucie. Mógłby sobie sprawić podobną maszynę, żeby pomagała mu odpocząć po dniu spędzonym na gościńcu, na końskim grzbiecie.

– Pięćdziesiąt kwantów na sekundę. – Selena ostrożnie manipulowała pokrętełłem. – Mamy potwierdzenie, że rdzeń działa. Kończę procedurę.

– Zostaw na razie i nie wyłączaj. – Emrys podeszedł do konsoli i stanął tak, żeby uniemożliwić Selenie dostęp. – Patrz. On się uśmiecha. Jesteś pewna, że wytyczyłaś limit?

Kapitan otrzeźwiał. Miał złe przeczucia.

– Nie, nie wytyczyłam. Jego potencjał nas nie obchodzi. Rdzeń działa. Koniec. – Selena próbowała odsunąć Emrysa. Chwilę się szamotali; wreszcie dostała się do pulpitu. Ciepło, które czuł Artois, się rozwiało.

– Ja chcę wiedzieć. – Głos wicehrabiego stwardniał. – Sprawdź jego limit.

– Odmawiam. Po pierwsze, bez stabilizatorów to będzie tortura. Po drugie, nie mamy tutaj kręgu. Ani go nie wyblokujemy, ani nie przeprowadzimy rytuału aktywacji Źródła. Wiesz, czym to się skończy.

Roześmiał się, ale jego spojrzenie mroziło.

– Oczywiście, że wiem. Bez rytuału aktywacji zabiją go własne niestabilizowane kanały energetyczne. Spali się od środka. Taki potencjał. Wszystko na nic.

– Zgodziłam się pomóc, ale nie pamiętam, żeby w rachubę wchodziło torturowanie ludzi.

– Nie masz wyboru. – W głosie wicehrabiego zabrzmiała groźba. Wyjął z kieszeni podręczną kulę magiczną i z ostentacją obrócił ją w palcach. – Pamiętaj, kim jesteś, Edmundzie. Nie masz prawa mnie pouczać. A ja w każdej chwili mogę sprawić, że dowie się o tobie cały Avalon.

Selena wstrzymała oddech i powoli wypuściła powietrze.

– Emrysie, jeśli ma wysoką przepustowość, zużyje nam połowę akumulatorów. Twój kaprys będzie nas drogo kosztował.

– Och, stać mnie. Wykorzystamy zapasy w Dolorii. No już. Już. Czekam. – Nonszalancko bawił się magiczną kulą.

Artois próbował się poruszyć, ale bezskutecznie. Selena z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu manipulowała przy pokrętlach. Ciepło powróciło, ale szybko zaczęło przeistaczać się w nieprzyjemne uczucie gorąca. Nie, niezupełnie gorąca – kapitan podświadomie szukał porównań – trochę jakby wlewano w niego na siłę destylowany alkohol. Nie, jeszcze nie to – jakby miał dodatkowy zestaw nerwów, ulokowany na zewnątrz tego cielesnego, i teraz usiłowano wypełniać go sosem z ostrej papryki. Zaciśnął zęby.

– Pięćset na sekundę – poinformowała Selena bezbarwnym głosem.

– Aha, czyli jednak! – ucieszył się wicehrabia. – Przekracza dziewięćdziesiąty siódmy centyl. Oczywiście, nie zabrali ze sobą byle jakich Bretańczyków. Zobaczymy, gdzie ma limit.

– Emrysie, dość. Odmawiam.

– Sam się tym zajmę. – Sięgnął do pulpitu, odsunął Selenę i chwycił pokrętło.

Artois ledwo zdał sobie sprawę z tego, że krzyczy. W jego żyłach płonął ogień. Wódka z pieprzem. Nowo odkryte drugie nerwy znalazły się na granicy eksplozji. Po chwili uczucie przestało narastać i osiągnęło stałą wartość. Zmieniony w pojemnik dla siły potężniejszej od siebie, jak dolina rzeki wypełniona lawą, tonął w bezmiarze rwącej, dzikiej, wzburzonej mocy.

Wreszcie wszystko ucichło.

– Tysiąc trzysta pięćdziesiąt – powiedział zadowolony wicehrabia.

Kapitan otworzył oczy. Nadal żył i chyba tego żałował. Bolały go nawet korzonki włosów i miał wrażenie, że jego świadomość cały czas odpływa i przy pływa. Ale nagle odkrył, że zakłęcie paralizujące przysło. Znowu mógł się ruszać.

Skórzane paski, które go przytrzymywały, cuchnęły spalenizną, więc wcale się nie zdziwił, że pękły, kiedy je szarpnął. Zerwał z głowy kask i wstał z krzesła. W jego czaszce tańczyły demony, zamiast jednego wicehrabiego d’Opal widział dwóch. Ale jeśli zaraz miał umrzeć, to niech przynajmniej zabierze kogoś ze sobą.

– Łapcie go!

Chyba się przewrócił. A może ustrzelono pod nim wierzchowca? Miał wrażenie, że przydusza go dwieście kilo cielska, może to właśnie jego Dropiata. Szkoda, dobra klaczka, jeszcze długo mogła chodzić pod siodłem. Dlaczego czuł, jakby w jego ciele przewiercono dziesiątki tuneli na wylot? Pewnie zginął od kul arboriańskiej miniaturowej armaty. Odetchnął głęboko. „Ech, wiedziałem, że ryzykuję, próbując wynosić się ponad stan.

Święta Aimée, idę do ciebie”.

\* \* \*

Każdy czas później, zdumiony, że nadal żyje, uniósł powieki. Światło zaatakowało jego oczy, w głowie zapulsował ból. Nie znał się na życiu po śmierci, ale podejrzewał, że w Zaświatach nie miałyby tak potwornego kaca. Przewrócił się na bok i zwymiotował na posadzkę z polerowanego dębowego drewna. Gdzie wicehrabia? „Jeszcze z tobą nie skończyłem” – pomyślał kapitan.

Leżał na koi w kabinie. Przed sobą widział eleganckie biurko rzeźbione w różne kwiatki i fidrygałki. Zdjęto mu buty, a razem z nimi stracił zaimprovizowany wytrych. Ręce i tym razem również nogi miał skute kajdankami. Bolały go głowa i skóra, w żołądku się gotowało, drżały mu dłonie. Głowa kleiła się do poduszki,

usmarowana substancją pochodzącą z hełmu. I nadal czuł, jakby wyposażono go w dodatkowy, ulokowany na zewnątrz ciała zestaw nerwów, w tej chwili obolały jak naciągnięty mięsień. Kiedy tylko sobie to uświadomił, szarpnął się przerażony, w pierwszym odruchu pragnąc zerwać z siebie klamry maszyny testującej. Oczywiście nie było żadnych klamer.

– Proszę – usłyszał głos.

W zasięg jego wzroku weszła Selena. Przykucnęła obok, podsuwając mu szklanke pełną przezroczystego płynu. Odsunął głowę.

– Czy to trucizna?

– W twojej sytuacji niezły pomysł – odparła. – Trucizna skróciłaby męczarnie. Ale nie, to tylko woda. Emrys chce obejrzeć, jak umierasz.

– Ty spróbuj najpierw.

Selena upiła łyk i znów podsunęła mu szklanke. Tym razem kapitan skorzystał z propozycji. Chłodny płyn trochę uspokajał jego żołądek.

– Czy on naprawdę aż tak zazdrości czarodziejom? – spytał. – Dlatego chciał sprawdzić, czy mam magiczny talent? I dlaczego teraz umieram? Przeżyłem test na waszej maszynie.

– We wszystkich opracowaniach twierdzą, że jeżeli w teście wytyczono limit konieczny do obudzenia Źródła, trzeba je w ciągu dwudziestu czterech godzin aktywować podczas rytuału. Albo zablokować. Bez tego twój system energetyczny nie przebuduje się prawidłowo i cię zabije. Tyle że takiego przypadku nie udokumentowano od kilkuset lat. Na całym świecie tam, gdzie przeprowadza się badanie Źródła, krąg aktywacyjny znajduje się w pokoju obok. Emrys uważa, że zbierze interesujące dane.

– Ech, pani bretański jest naprawdę bardzo słaby. Nic nie rozumiałem. Umrę. Ile mam czasu?

– Mniej więcej trzy dni.

„Czyli jednak odziedziczyłem talent po ojcu” – pomyślał kapitan. Warto było się dowiedzieć, nawet jeśli tutaj kończyły się jego podróże i marzenia. I tak miał dobre życie. Służył najmożniejszym z możliwych. Osobiście poznał Wielkiego Maga. Walczył ze smokiem, odwiedził legendarny zaginiony kontynent. Sama lady de Breville wzięła go na spadkobiercę. Kochał królową Bretanii, a ona kochała jego.



Nadmiar szczęścia dla bękarta takiego jak on; najemnicy rzadko umierali ze starości. A trzy dni to wystarczająco dużo czasu, żeby zdążyć zabić wicehrabiego.

Wpatrywała się w niego, jakby się nad czymś zastanawiając.

– Jak się domyśliłeś, czego chciał Emrys? Rozmawialiśmy po arboriańsku, a zabrałam ci broszkę ze słownikiem. Zaraz. Już wcześniej wiedziałeś, jak się do mnie zwracał...

– A, znam parę słów. – Artois obrócił się na koi, starając się usiąść. – To niech mi pani jeszcze powie, skoro nam się tak dobrze rozmawia, a ja nie przeżyję, żeby zdradzić pani tajemnicę, dlaczego wicehrabia panią szantażuje tym Edmundem. Wedle mojej wiedzy najlepiej w takiej sytuacji pozbyć się szantażysty.

Spowaźniała.

– Nawet jeśli mi się uda, jego ludzie wyślą wiadomość zaraz po tym, jak Emrys zginie.

– Jaką wiadomość? Co pani straci?

– Dobre imię. Całe moje życie, a przynajmniej ostatnie sto pięćdziesiąt lat. Rodzinę. Przyjaciół. Wszystko.

– Sto pięćdziesiąt... – Kapitan aż się zatchnął. – A podobno nie jest pani czarodziejką.

– Ograniczono moje Źródło w taki sposób, że straciłam świadomy dostęp do mocy, ale pozostałam długowieczna. Emrys twierdził, że je naprawi. Nie spodziewałam się, że mój własny praprawnuk okaże się... – Zaciśnęła usta w wąską kreskę. – Nie chcę tego. Nigdy nie pragnęłam powrotu na łono kochanej rodzinki. Zawsze wolałam być Seleną niż Edmundem de Branche d’Opal.

Artois uśmiechnął się niewesoło. Co prawda nie umiał się postawić na jej miejscu, ale szlachcice miewali różne pomysły na życie, z zamienianiem się w smoka włącznie. Potrafił też zrozumieć, że Selena chciała uciec od rodziny. Arboriańska gałąź rodu de Branche d’Opal przywodziła mu na myśl gniazdo jadowitych żmij.

– No i myśli pani, że skoro jest, jaki jest, to zostawi panią w spokoju? A może wpadnie w zły humor i palec mu się omsknie na kuli magicznej? Po tym, co niedawno się zdarzyło, ma pani wątpliwości? Powiem pani, jakbym wybierał między kontraktem z takim arystokratą jak wicehrabia a rozbojem na gościńcu, rozbój byłby lepszy. Chociaż nagrodę za moją głowę wyznaczono by uczciwie.

On pani płwa w twarz i każe się uśmiechać. I jeszcze truje pani przyjaciółkę, dobrze myślę?

Splotła ramiona. Długo milczała, próbując przyciągnąć jego spojrzenie. Może ważyła argumenty, jakie wielokrotnie przedstawiała samej sobie. Może rozprawiała się z resztkami nieuzasadnionej nadziei. A może po prostu rozmyślała o głupocie Bretańczyków. Kto ją tam wie. Wreszcie odwróciła wzrok.

– Cuchnie tutaj – powiedziała, spoglądając na posadzkę zaplamioną wymiocinami. Zdjęła z górnej koi ręcznik do rąk, zwinęła go w kłębek i rzuciła na podłogę. – Idę do kabiny obok zając się Belinde. Podobno się ocknęła.

Po czym wyszła.

Artois jakiś czas siedział na łóżku, powoli oddychając i czekając, aż ustanie ból głowy wywołany zmianą pozycji oraz długą przemową. „Idę do kabiny obok”. Po co mu o tym powiedziała? Wyciągnął stopy przed siebie, starając się pochwycić ręcznik. Coś z brzękiem wypadło z zawiniątka na posadzkę.

Roześmiał się cicho, powodując kolejny przyływ cierpienia. Jak już umierać, to przynajmniej z hukiem.

\* \* \*

Niedługo później Artois przekręcał czarny kluczyk w ostatnim zamku, otwierając obręcz na lewej kostce. Trwało to dłużej, niż sądził – wciąż siłował się sam ze sobą, by znów nie położyć się na koi. Nie mógł jednak zwlekać i odpoczywać. Jeśli rzeczywiście za trzy dni umrze, to znaczy, że już nie będzie lepiej. Musiał się pogodzić z powracającym wciąż bólem, iść naprzód, nawet gdyby co krok tracił równowagę. Nie wiedział, jak długo zachowa przytomność.

Gdy już ręce i nogi miał wolne, postanowił przypieczętować zamiar ucieczki, szczerze odlewając się na materac. Już tutaj nie wróci. Poza tym, jak mawiał jego pierwszy dowódca, przed walką trzeba mieć pusty brzuch i lekki pęcherz.

Rozsunął drzwi i popukał strażnika w ramię. Chyba go znał. To był ten grubszy. Pozwolił mu dostrzec swój szeroki uśmiech, po czym obezwładnił go szybkim uderzeniem w dół nadobojczykowy. Mężczyzna wydał z siebie zduszony jęk, a potem zwinął się jak gąsienica dźgnięta patykiem. Kapitan wciągnął go do kabiny, zakneblował i zakuł w kajdanki, kluczyk przezornie chowając do kieszeni. Potem wyjrzał na zewnątrz. Jego serce tłuło się w piersi przyspieszonym, niezdrowym

rytmem, w skroniach huczał wodospad. Korytarz na razie był pusty, ale Artois nasłuchiwał za drzwiami dostatecznie długo, żeby się domyślić, że wkrótce ktoś będzie tędy przechodził.

Statek kołysał się i trzeszczał. Kapitan starał się nie myśleć o tym, że nie płyną, a unoszą się w powietrzu; już i tak zaczynały go chwytać mdłości. Zrzucił skarpetki, żeby stopy nie ślizgały się mu na gładkiej podłodze. Cierpły mu palce. Przynajmniej chłód go otrzeźwił.

Po lewej i prawej stronie korytarza znajdowały się zasuwane drzwi prowadzące do innych kabin. Szybko dostrzegł, że jedno z nich było lekko uchylone, może na pół centymetra. Podążył za wskazówką i tak jak się spodziewał, trafił do kabiny, gdzie przetrzymywano Belinde.

Czarodziejka leżała na lewym boku, plecami do ściany. Jej skóra nadal przywodziła na myśl pergamin, ale tym razem, kiedy tylko Artois wszedł do pokoju, lady Chamomille otworzyła oczy.

– Och. Dzień dobry, Artois – szepnęła. – Spodziewałam się twojej wizyty.

Pytająco uniósł brwi.

– Selena, khem, zapomniała przybornika – wyjaśniła.

Kapitan zerknął w stronę biurka, a później zgarnął z niego neseser z przyborami medycznymi – małą skórzaną torbę wyposażoną w suwak. Przewiesił ją sobie przez ramię i bezzwłocznie przystąpił do otwierania kajdanów lady Chamomille.

– Powiedziała, że ma pani stłumione Źródło – mruknął cicho.

– Tak. I lepiej, żeby na razie tak zostało – odszepnęła. Usiadła na łóżku, roztarła uwolnione nadgarstki. – Sprawdź, może zostawiła nam automagię.

Skinął głową, otworzył przybornik.

– W zielonej butelce znajdziesz lekarstwo przeciwbólowe – poinstruowała go Belinde. – Muszę je zażyć i odczekać parę minut, inaczej będę tylko zawadzać. Dostałam już jedną dawkę i trochę stymulantów, ale to nie wystarczy.

Szybko trafił na pojemnik z zielonego szkła, w którym grzechotały pigułki.

– Ten? Też chętnie skorzystam.

– Infekcja? Nie, przecież ty nie masz...

– Nie infekcja – odparł krótko.

Nie zamierzał się nad sobą rozczulać, chociaż miał wrażenie, że jego mózg zaraz wyleje się nosem. Sam przed sobą udawał, że miewał już gorszego kaca. Może zresztą się nie mylił, o takich incydentach starał się szybko i skwapliwie zapominać. Podał lady Chamomille pigułki i butelkę z wodą, którą też znalazł na stoliku wetkniętą w drewniany uchwyt, a sam usiadł na krześle. Pomyślał, że kiedy on przebywał w pokoju, nie miał takich udogodnień. Rozbawiło go, że widocznie zdaniem jego oprawców potrafiłby zrobić broń ze wszystkiego.

– To przez nią została pani schwytana? – spytał. – Skąd pani zna Selenę?

Przełknęła pigułkę. Przez chwilę siedziała z zamkniętymi oczami i uniesioną głową.

– Nie znam Seleny – mówiła przyciszonym głosem. – Sto pięćdziesiąt lat temu znałam Edmunda de Branche d’Opal. Mojego towarzysza broni i współspiskowca należącego do pierwszej Iglicy. Był nieszczęśliwym człowiekiem, który miał wszystko, czego nie pragnął, i dostał szansę nowego życia, dopiero gdy zniszczył stare. O ile mi wiadomo, Selena Blaire to przykładowa obywatelka Avalonu i tylko od czasu do czasu kontaktuje się z przemytnikami nielicencjonowanej magii. Potrzebuje eliksirów; nie wszystkie zmiany, jakim się poddała, zadziałały trwale. A ostatnio brakuje jej pieniędzy na zakup z legalnych źródeł.

– Millicent Severia – domyślił się Artois. – Tak się pani dowiedziała.

Potaknęła.

– Niestety, Emrys dotarł do niej wcześniej. Zależało mu na tajemnicach starej Iglicy.

Kapitan przypomniał sobie o dokumentach, które Belinde Chamomille zostawiła w pracowni. O aktach personalnych Doloriańskiej Wiedźmiej Kompanii, oddziału znanego z tego, że krwawo stłumił doloriańskie powstanie. Musiały być niekompletne, bo nazwisko de Branche d’Opal rzuciłoby mu się w oczy. Jarvis twierdził, że w zamian za zeznania kilkoro kawalerzystów objęto programem ochrony świadków.

– Zabrała pani jego akta, żeby używać na nich magii. Po to, żeby go odszukać w Avalonie. Myślała pani, że to Selena stoi za tą... Iglicą?

Znów potaknęła. Nie pytał, jak weszła w ich posiadanie. Lady Chamomille miała swoje sposoby.

– Czego oni chcą? – spytał.

– Uratować świat, ma się rozumieć. Co prawda ich teorię obalono czterysta lat temu, ale Iglica twierdzi, że tylko tuszujemy prawdę. I że każdy, kto się z nimi nie zgadza, został przekupiony albo zmanipulowany przez Gildię. Też w to kiedyś wierzyłam.

Kapitan przyciskał palce do skroni. Zażyte przed chwilą lekarstwo nie pomagało albo jeszcze nie zaczęło działać. A może objawy już się nasilały?

– Cóż, manipulowała pani mną – przeszedł na arboriański. – Nie powiedziała pani, że broszka wpływa na mój umysł.

Zamiast wykazać skruchę, Belinde Chamomille rozpromieniła się, jakby właśnie usłyszała doskonały komplement.

– Bardzo ładnie mówisz. Nie spodziewałam się takich szybkich postępów.

Popatrzył na nią sceptycznie.

– Od sześciu tygodni słuchasz, rozmawiasz i czytasz w dwóch językach naraz. Zakotwiczyłam w szpilce tylko jeden dodatkowy czar ułatwiający naukę. Opracowałam wzór na podstawie zaklęcia służącego do leczenia urazów głowy, które pomogło panu Thorpe’owi odzyskać mowę. Eksperymentowałam. Poprawia też pamięć czarodziejom z demencją. No i daje dobry start w przyswajaniu słówek.

Potarł czoło. Ona naprawdę nie rozumiała, dlaczego powinna zapytać go o zgodę, ale to był temat na dłuższą rozmowę, na którą brakowało czasu. Przyszło mu do głowy, że jeszcze rok temu nie żądałby wyjaśnień. Byłby wręcz zaszokowany, gdyby szlachetna czarodziejka lady Chamomille de Branche d’Emeraude postanowiła się wytłumaczyć ze swoich planów. Okazało się, że Arboriańczycy wpływali na jego umysł nawet niechcący.

– To się nadal liczy jako manipulacja. Na tym właśnie polega problem z wami, magami, prawda? Niektóre rzeczy są dla was tak oczywiste, że nawet wam się nie chce tłumaczyć. Bo inni ludzie i tak nie rozumieją.

– Przepraszam – westchnęła.

– Przepraszam przyjęte. Czy lepiej się pani czuje? Ucieka nam czas. – Artois się zawahał. – Zamierzałem zabić wicehrabiego i zginąć, ale teraz, gdy otaczam panią opieką, to chyba nie wchodzi w rachubę... Ma pani pojęcie, jak się ucieka z latających okrętów?

– Statków.

– Latających statków.

– Statków powietrznych.

– Co to za różnica?

– Załoga mogłaby się obrazić. Tak na przyszłość. – Belinde wstała i wygładziła suknię. – Będą inne statki. Pracowałam przy prototypie, wiem, jak zbudowano tę gondolę, i od dłuższego czasu nie robię nic poza obmyślaniem kolejnych planów ucieczki. Co wy, Bretańcy, w ogóle macie z tym ginięciem przy zabijaniu? To strasznie nieefektywne.

Artois chciał powiedzieć, że i tak umiera i nie planuje żadnej przyszłości, ale zrezygnował. Jeszcze nie minęły dwadzieścia cztery godziny od testu. Belinde miała rację. Niezależnie od tego, jak się w tej chwili czuł, wcale nie musiał zginąć. Wystarczyło w porę odnaleźć budynek Gildii z kręgiem aktywacyjnym. Jak daleko od Avalonu się znajdowali?

– W takim razie proszę objaśnić mi plan. – Rozsunął drzwi. – Tylko chwileczkę.

Na statku powietrznym panował bezustanny hałas, ale drewniana podłoga dobrze przenosiła odgłos kroków i kapitan wyczuwał je bosymi stopami. Teraz też się pomylił. Na korytarzu stał mężczyzna, który zapewne rozglądał się za nieobecnym strażnikiem. Artois uderzył go w dołek za obojczykiem, podobnie jak tamtego, a potem, tłumiąc krzyki, wciągnął do pokoju. Mógłby go zabić. Ale na razie nie musiał, toteż szybko i sprawnie zrobił z niego prezent zapakowany w prześcieradło.

– Zaraz przyjdą kolejni, a tu jest ciasno i w końcu przestaną się mieścić – zauważył. Pomasaował kark. Leki wcale nie działały, ale przynajmniej ekscytacja zbliżającą się walką zaczynała odsuwać ból na dalszy plan. – Więc proszę mówić.

\* \* \*

W oryginalnym projekcie gondola miała dwa poziomy: górny techniczny i dolny przeznaczony dla pasażerów; znajdował się tam również mostek. Mimo modyfikacji, jakie Emrys dodał do części pasażerskiej – tłumaczyła Belinde – cała reszta została skopiowana z nowo powstałej Glorii d’Aquamarine. Minęło dziesięć lat, odkąd zaproszono lady Chamomille do skonsultowania planów, żywiła więc nadzieję, że od tamtej pory niewiele się zmieniło. Już wtedy szlifowano tylko szczegóły nowego wynalazku. Prostsze balony od czasu do czasu latały nad Avalonem, budząc zainteresowanie hobbystów i marzycieli.

Więźniów umieszczono na górnym poziomie, w wolnych kwaterach załogi. To miało sens. Łatwiej zawlec obiekt doświadczalny do laboratorium w ładowni, która znajdowała się na tym samym piętrze. Belinde i Artois wychynęli z kabiny, obydwójce boso, stojąc pewnie na śliskiej podłodze. Statek kołysał się lekko. Cała konstrukcja drżała i pracowała, a z dalekiej maszynowni dobiegał przeciągły huk, tak niski, że rezonował we wnętrzościach.

Potrzebowali spadochronów, które znajdowały się w schowkach pod sufitem.

Artois wyciągnął ręce nad głowę – musiał stanąć na palcach – i szarpnął za uchwyt. Kłapa otworzyła się i komplet uprząży razem z plecakiem wypadł z luku. Jak tłumaczyła lady Chamomille, balon unoszący statek był podzielony na osobne komory. W razie awarii Żelazny Wiatr trzymałby wysokość dostatecznie długo, aby zdążyć z ewakuacją, podobnie jak na pływającym okręcie. Czy też na statku wodnym. Jeśli chodzi o jednostki morskie, Artois też nie był ekspertem z prostego powodu: nieobecności morza w Bretanii.

Z pomocą czarodziejki dopiął sprzączki uprząży. Gogle na razie swobodnie zwisły na szyi. Wcale nie poprawiała mu humoru wiadomość, że ucieczka wymaga kontrolowanego spadania. Spodziewał się kolejnego cudu, na przykład sztucznych skrzydeł, ale nic z tego. Belinde wyjaśniła, że tworzenie automagii wcale nie było takie proste, jak mu się wydawało, gdy obserwował niezwykle drobiazgi codziennego użytku, jakimi posługiwali się Arboriańczycy. Przedmioty magiczne musiały zostać zaprojektowane w najdrobniejszych szczegółach. Jeśli zakłęcie wymagało dużej kontroli i dostosowywania na bieżąco do warunków – jak magia uzdrowicielska albo właśnie antygravitacyjna – zamknięcie go w przedmiocie okazywało się zbyt skomplikowane. Albo zbyt kosztowne. Albo wymagało rzadkich składników, wydzieranych z głębin ziemi lub spod morskiego dna, i złożonych komponentów, które razem osiągały wielkość szafy.

Czyli miał spadać na wielkim poziomym żaglu. Znakomicie, czemu nie. Pomyślał, że jeśli jakimś cudem przeżyje i wróci do Bretanii, reszta chłopaków nigdy mu nie uwierzy. Sam by sobie nie uwierzył jeszcze kilka dni temu. Latał już na smoku, ale to chociaż brzmiało jak coś, co czasem robili bohaterowie w opowieściach. Przynajmniej wszyscy wiedzieli, że smoki naprawdę istniały.

Statek zakołysał się nieco mocniej. Chwilowe zamroczenie rozmyło mu obraz przed oczami; mimo woli oparł się o ścianę.

– Choroba morska? – spytała Belinde.

– Mhm, tak jakby. – Jeszcze nie umierał. Od testu minęło zaledwie kilka godzin, na pewno nie doba. Wstydził się, że nie widać po nim obrażeń, a czuje słabość. Miewał już połamane kości, odnosił rany na wojnie, przecierpiał swoją pulę chorób zakaźnych, które należało przeżyć (lub ich uniknąć), by dotrzeć do wieku dorosłego, nie przypuszczał jednak, że przyjdzie mu się spodziewać śmierci od wypalającej go od środka magii.

Albo od upadku z dwóch tysięcy metrów.

Zamknął na chwilę oczy. Pomyślał, że skoro już rzeczywistość ostatecznie go przerosła i w jego życiu zdarzyło się tak wiele rzeczy, których on, prosty chłopak z Bretanii, nie umiał sobie nawet wyobrazić, powinien założyć, że wszystko jest możliwe i niczego nie należy przyjmować za pewnik. Żadnego porządku, który do tej pory uważał za oczywisty. Świat jest ogromny, szalony i niezbadany.

Powinno go to przerażać.

Zamiast tego odkrył, że bardziej niż kiedykolwiek chce żyć, choćby tylko po to, aby się dowiedzieć, co się jeszcze zdarzy. „Dusza hazardzisty – pomyślał. – Zdecydowanie odziedziczyłem coś po ojcu”.

Ruszyli w stronę pokoju komunikacyjnego. Mieścił się tuż za kwaterami załogi, naprzeciwko kuchni. Prawie w drzwiach natknęli się na wysokiego, umundurowanego członka załogi. Ten, w przeciwieństwie do wiernych ludzi Emrysa, nie wyglądał na urzędnika oderwanego siłą od dokumentów. Na ich widok wyciągnął pistolet.

– Alarm!

Artois zszedł z linii strzału, zablokował jego ramię w łokciu oraz nadgarstek i zwrócił broń w stronę przeciwnika, wyłuskując ją z ręki mężczyzny, tak, jak to się robiło z nożami. Poruszenie za jego plecami sugerowało, że Belinde zdążyła się odsunąć. Przeciwnik zrezygnował z broni palnej i wypuścił z rąk pistolet, widząc, że kapitan chce go przejść. W zamian uderzył prawym prostym. Artois uchylił się w ostatniej chwili, przechwycił jego ramię i spróbował założyć dźwignię. Trzasnął rękaw munduru. Cel wywinął się i, co gorsza, znów zaczął wyprowadzać ciosy. Też umiał walczyć, a na dodatek miał dłuższe ręce. A tutaj się nie dało manewrować jak na ringu. Na domiar złego facet nie przestawał gromko wzywać pomocy.



Tym razem jednak walka nie toczyła się jeden na jednego. Kapitan dostrzegł kątem oka, że lady Chamomille jedną ręką przytrzymuje głowę przeciwnika, a drugą zadaje cios. Nie zrobiła tego z wielką siłą, nie była bardzo szybka, ale nie musiała – napastnik całą uwagę skupiał na Artois, zapominając o pozbawionej mocy czarodziejce. Rozległ się paskudny trzask i mężczyzna zwiotczał, osuwając się na ziemię. Kapitanowi przemknęło przez myśl, że nie powinien się dziwić. Przecież Belinde też kiedyś służyła w wojsku. Uczestniczyła zresztą w bitwie o Nouveaux Dijon, co prawda używając zaklęć.

Nie zastanawiał się nad tym dłużej. Za drzwiami prowadzącymi do maszynowni, tam, gdzie gładka drewniana posadzka ustępowała nagim strukturom statku, rozległ się głośny brzęk blachy pod ciężarem czyichś nóg. Artois szarpnął drzwi do pokoju komunikacyjnego, odsuwając je razem z mężczyzną, który właśnie usiłował je zablokować i zamknąć. Napał na niego całym ciężarem, przewracając go na ziemię. Usłyszał jeszcze, że Belinde dostała się do środka; drzwi huknęły o framugę, a potem rozległo się metaliczne kliknięcie.

Człowiek w mundurze wił się jak piskorz, bezskutecznie usiłując się oswobodzić z dźwigni założonej na ramię. Był starszy, łysawy, z rzadkim wąsem i zaczątkami piwnego brzucha. Nosił okrągłe okulary w srebrzystej oprawie. Prawdopodobnie kiedyś broniłby się sprawniej, ale to było dawno temu, i teraz żadne Źródło nie hamowało jego starzenia ani utraty masy mięśniowej. Pewnie dałby sobie radę w starciu z przeciętnym obywatelem Arborii, ale nie z bretańskim najemnikiem.

– Teraz się przekonamy, czy cenisz sobie sprawę Emrysa bardziej niż własne życie – powiedział kapitan w łamanym arboriańskim, tu i ówdzie wtrącając słowa we własnym języku. – Pomagasz nam albo skreć ci kark. Wybieraj.

– Nie rozumiem cię, człowieku – jęknął tamten. – Czego ode mnie chcesz?

– Potrzebujemy nadać wiadomość do Avalonu. – Belinde nachyliła się nad nim z dłońmi opartymi na kolanach. – Ponieważ oczywiście zamierzamy sprawić, żeby Emrysowi zapaliło się pod dupą, zanim zostawimy go tutaj, wyskakując przez okno. – Wyciągnęła rękę w stronę wysokich okien, ciągnących się od posadzki aż do sufitu. – Należysz do załogi statku powietrznego. Zastanawiam się, jaki stopień wtajemniczenia uzyskałeś w Iglicy. A jeżeli wierzysz w ich teorie, czy przypadkiem się nie zawahałeś, gdy przeszli do praktyki. Nie wiem, czy ktoś ci już powiedział, że twój szef rozprzestrzenił magiczną infekcję w wodociągach avalońskich. Być może także nie masz pojęcia, że wykorzysta zarażonych w taki sposób, że w samym sercu

naszej arboriańskiej ziemi pojawią się rozpadliny. Ale ciebie przecież zatrudniają jako technika łączności. Słuchałeś wszystkiego, o czym rozmawiano na mostku i w ładowni. Prawda? Zatem masz wątpliwości czy nie?

Drzwi się zatrzęsły. Ktoś do nich łomotał. Łącznościowiec przestał się wrywać i znieruchomiał w oczekiwaniu na pomoc. Lady Chamomille rozpostarła palce na metalu, zamknęła oczy, a następnie zaczęła szeptać. Artois obserwował ją z niepokojem, oglądając się przez ramię. Oczy miała zapadnięte jak trup, skórę poszarzałą. Na rękach wyraźnie rysowały się żyły. Wydało mu się – ale to musiało być tylko złudzenie – że drzwi załśniły. Pod lady Chamomille ugięły się nogi, osunęła się na posadzkę, podpierając się plecami o ścianę i ciężko łapiąc oddech.

– Zwyczajny urok – powiedziała wreszcie. – Nawet ze stłumionym Źródłem zawsze zostaje parę kwantów, jak u nieutalentowanych. Chwilę potrzyma, ale się sprężajmy. Albo pan nam pomaga, albo pana wyłączamy. Ostatnia szansa, by posłuchać sumienia, wyłamać się z szeregu i spróbować zapobiec nieszczęściu. Aby móc potem bez wstydu spojrzeć w lustro.

Kapitan zrozumiał, że mówi o sobie.

– Przecież wy trzymacie z Magiem Pustki – odparł technik. – Nie ma nic gorszego. Nie rozumiecie. Nikt niewinny nie ucierpi. Emrys chce tylko, żeby dostało się tym, którzy na to zasłużyli. A rozpadliny w ostateczności wyjdą Arborii na dobre. Ale po co ja się pani tłumaczę, przecież pani dyryguje tym wszystkim. Zabijcie mnie. Lepiej zginąć jako bohater, niż żyć jako tchórz.

– Stary a głupi – powiedział Artois po arboriańsku. – Nie zabijam bezbronnych, bo to nie honor. Chyba że mi ktoś zleci. Leż spokojnie. – Na kilka oddechów przycisnął jego tętnicę szyjną. Dość, żeby go obezwładnić i szybko zakuć w kajdanki, zanim odzyska przytomność. – Już. Lady Chamomille, proszę czynić swoją magię.

– Przykro mi, mój drogi. – Belinde uśmiechnęła się słabo. – Muszę tu chwilę poлеżeć i dojść do siebie. To ty wyślesz wiadomość do Avalonu. Będę dyktować, co masz robić, więc lepiej słuchaj mnie uważnie.

Kapitan spojrział przed siebie. Kolekcja cyferbłatów, uchwytów, wajch i kryształów równie dobrze mogłaby być rozgrzebaną partią gry w kamienie albo jedną z zagadek, które, jak twierdził hrabia Renard, smoki zadawały kandydatom na czarodziejów.

Drzwi trzęsły się bezustannie. Dobiegały zza nich gromkie krzyki. Artois rozpoznał głos wicehrabiego.

– Jakie to szczęście, że Emrys w ambicji dorównania czarodziejom gardzi zwykłymi urokami magii prostej – westchnęła Belle. – A tych kilka zaklęć, które zna, odklepuje bez wyobraźni... Co ty wyprawiasz?

Kapitan chwycił ją za ramię i z trudem dźwignął na nogi.

– Wędrowiec mi świadkiem, że jestem zbyt dumny, żeby pojąć to wszystko samemu. Proszę mi tłumaczyć i pokazywać palcem z bliska. A ja będę przekreślać przełączniki.

– W takim razie podaj mi czerwony flakonik – zarządziła. – Usiądę przed mapą i zaczekam, aż zadziała.

Gdy Artois po raz pierwszy usłyszał o pokoju komunikacyjnym, wyobrażał sobie salon wyposażony w wygodne szeszlongi i oświetlony blaskiem świec, a pośrodku kulę magiczną na piedestale w runicznym kręgu. Tak to się za czasów jego dziadków podobno robiło w Bretanii. Ale oczywiście Arboriańczycy musieli wszystko skomplikować.

Przed nim rozpościerał się rząd pulpitów i zawieszonych nad nimi urządzeń. Znajdował się tam jeden duży owalny kryształ, przypominający trochę wypukłe lustro, w którym poruszały się różne kolorowe symbole. Na drugim płaskim kryształach wbudowanym w pulpit jawiły się kontury mapy świata. Zgodnie z prośbą Belinde kapitan posadził czarodziejkę na obrotowym fotelu przed nimi i wetknął jej w dłoń czerwoną buteleczkę wydobytą z medycznego nesesera. Sam usiadł na miejscu obok. Trochę przeszkadzał mu plecak ze spadochronem, więc podobnie jak lady Chamomille przycupnął na krawędzi siedzenia, pochylając się nad oprzyrządowaniem. Przed sobą miał kolekcję różnokolorowych pokręteł oraz okrągłych szklanych tarcz z wychylającymi się strzałkami, opisanych arboriańskim alfabetem. Większość znaków nawet pamiętał. W uchwytach stały także dwa zielono-różowe kryształy zamknięte w klatce z drutu.

– Co oni tutaj zamontowali... – mruzczała Belinde, zniekształcając słowa z powodu pigułki wetkniętej pod język. – Nie znam tego modelu... Racja, sam byś tego nie zrobił...

Artois obejrzał się na chwiejące się drzwi i pomyślał, że to nie wróży dobrze na przyszłość. Lady Chamomille, pochylona nad mapą, mówiła do niej w języku,

który chyba był arboriańskim, ale poszczególne słowa nie miały dla kapitana żadnego sensu.

– Lecieliśmy z wiatrem, no tak, to by się zgadzało. – Czarodziejka lekko się wyprostowała. – Sto piętnaście, sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, zaczęliśmy niedługo po świcie. Prawie osiem godzin, na Pustkę. – W jej oczach lśnił gorączkowy blask. – Złapałam coś niedaleko Avalonu. Kilka sygnatur. Nie wiem, czy znajduje się tam baza, czy inni lotnicy, ale nie ma czasu, żeby szukać dalej. Widzisz czarne pokrętko po twojej prawej stronie?

Artois przez chwilę próbował znaleźć obiekt na pulpicie.

– To?

– Przekręć. Puść sygnał alarmowy.

Jeden z kryształów zaczął wydawać z siebie krótkie i dłuższe popiskiwanie, podobne do ptasiego świergotu.

– Zostaw tak przez chwilę. Inni lotnicy muszą nas namierzyć.

– Co to jest?

– Szyfr. Pozostałości po czasach telegrafu.

– Czego?

– Nieważne.

– Inni lotnicy to inne statki powietrzne?

– Nie, to latający czarodzieje.

– Skoro tak mówisz. Nasi nowi znajomi zaraz wyrwą te drzwi – zauważył kapitan. – Jeśli masz nadać wiadomość, zrób to teraz.

– Dobrze. Przekręć teraz to zielone. Nie, nie to, tamto drugie. I weź ten kryształ, z którego nie słycać dźwięków. Powtarzaj za mną, słowo po słowie.

– Halo? – mówił Artois. – Proszę o odzew. Znajdujemy się na statku powietrznym Żelazny Wiatr. Jest ze mną lady Belinde Chamomille. Bractwo, które wzięło nas w niewolę, obrało kurs na Alilat w Dolorii. To oni ukradli rdzeń maszyny testującej. Statek używa kamuflażu i jest uzbrojony. Mówią o sobie Iglica, a ich przywódca nazywa się...

Drzwi wypadły z zawiasów, uderzając o podłogę. Przez ułamek sekundy kapitan wpatrywał się w Emrysa de Branche d’Opal, gestykulującego z twarzą czerwoną ze wściekłości i bokobrodami nastroszonymi jak szczecina atakującego dzika. Nie

czekał; zapobiegawczo padł na ziemię. Zakłęcie trafiło w pulpit, zalewając cyferblaty i pokręta iskrami nieuformowanej mocy. Skuty kajdankami technik łączności, który z wolna odzyskiwał przytomność na podłodze, wydał pełen grozy okrzyk.

Tymczasem lady Chamomille, która jeszcze parę minut temu nie miała siły wstać na nogi, odskoczyła od pulpitów. Dygotały jej ręce, ale uparcie pełzła w stronę okna.

Kapitan zorientował się, że zanim Belinde rozbije szkło, wicehrabia zdąży przeliczyć kolejne zakłęcie. Okazał się też dostatecznie inteligentny, by się odsunąć i wpuścić do środka posiłki, a stało za nim jeszcze trzech przydupasów, z czego dwóch umundurowanych, dobrze zbudowanych i z bronią palną, oraz jeden szczuplejszy, w cywilnym ubraniu, który też właśnie zaczynał gestykulować. Za ich plecami mignęły mu ciemne włosy Seleny. Oczywiście. Rzuciła mu kluczyk i „zapomniała” przybornika, a następnie zostawiła ich samym sobie. Pewnie skalkulowała, że w panującym zamieszaniu Emrys nie domyśli się zdrady. Lepiej nie oczekiwać po niej wsparcia.

Zamiast tego skoczył w stronę technika, złapał go za fraki i podniósł.

– Zabijam szybciej, niż wy umiecie liczyć – powiedział. – Zepsujecie statek. A kule trafią w niego. Nie warto.

Członkowie załogi się zawahali. Emrys przeciwnie, złożył dłonie w kolejnym geście. Poczzerwieniał jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe, jakby odczytał słowa kapitana jako wyrafinowaną złośliwość. Moc zebrała się na koniuszkach jego palców. Artois nie wiedział, jakim cudem to dostrzegł, ale nie miał żadnych wątpliwości, że wicehrabia zaraz uwolni zakłęcie.

Wszyscy poczuli się bardzo zaskoczeni, kiedy Emrys wytrzeszczył oczy, wzdrygnął się na całym ciele, a potem z hukiem upadł na posadzkę. Selena trzymała różdżkę paraliżującą i wpatrywała się w niego spojrzeniem bez wyrazu.

– On ma rację, Emrysie – powiedziała chłodno. – Nic nie osiągniesz, jeśli zepsujesz statek.

I wtedy rozległ się trzask. Ostre szklane okruchy posypały się wszędzie wkoło i rozsiały w powietrzu, spadając za burtę; błyszcząły jak drogocenne kamienie w świetle popołudniowego słońca. Lady Chamomille stała pod ścianą. Dzierżyła narzędzie przypominające krótką metalową pałkę; za jej plecami wisiała otwarta skrzynka. Artois nie rozumiał, dlaczego w pokoju komunikacyjnym jest sprzęt

nadający się do niszczenia okien, ale nie zastanawiał się nad tym. Zanim członkowie załogi otrząsnęli się z osłupienia, popchnął technika w ich stronę, a sam stanął na krawędzi gondoli. W ostatniej chwili zreflektował się, żeby nie chwycić za framugę, z której wciąż wystawały odłamki szkła. Pod sobą widział szybko przesuwane się prostokąty pól i lasów, dachy domków małych jak kropki i połyskującą taflę jeziora na horyzoncie. Za wysoko, żeby jego umysł przyjął do wiadomości, że nie patrzy na gobelin, ale znajduje się dwa tysiące metrów nad powierzchnią ziemi. Wiatr przenikał go na wskroś i zatykał uszy. Artois wsunął gogle na twarz.

Belinde złapała go za rękę i tak jak zaplanowali wcześniej, skoczyli.

\* \* \*

Kapitan pamiętał, że powinien odliczać.

Dwa tysiące metrów to bardzo dużo, ale człowiek po czterdziestu sekundach spadania tak czy owak uderza o ziemię, zmieniając się w mokry worek pełen zakrwawionych ścięgien i kości. Jedna sekunda równa się pięćdziesiąt metrów w dół. „Otwieramy się kilometr nad ziemią – mówiła lady Chamomille. – Jeśli zrobimy to natychmiast, zestrzelą nas jak kaczkę. Dwadzieścia sekund wystarczy, żeby uciec z zasięgu Żelaznego Wiatru. Oni cały czas lecą naprzód. Musisz liczyć do dwudziestu”.

Cholerni Arboriańczycy i ich obsesja precyzyjnego pomiaru czasu. Podświadomie kołatało się w Artois przekonanie, że pierwsze, co zrobi, jeśli wylądje bezpiecznie, to zaopatrzy się w nakręcany kieszonkowy zegarek. Zastanawiał się wcześniej, jak oni to wytrzymują, przez całe życie pilnując upływu sekund, minut, godzin. Czy odczuwają je jako ciągłą niewolę podzieloną na ściśle wymierzone kawałki, czy też cykanie zegarków stało się ich drugą naturą, do tego stopnia, że sobie tego nie uświadamiają. Postanowił kiedyś porozmawiać o tym z Kathryn.

„Nie licz według uderzeń serca – przestrzegała Belinde. – Puls przyspiesza pod wpływem ekscytacji lub zagrożenia”.

O tym akurat dobrze wiedział.

Raz. Wiedział też, że powinien ułożyć się w płaskiej pozycji, jaką przyjmowali lotnicy czarodzieje, gdy rozwijali dużą prędkość w powietrzu. Dwa. I pociągnął

za uchwyt zwisający z uprząży, kiedy tylko doliczy do dwudziestu. Trzy. Wiatr huczał w uszach. Ziemia zbliżała się nieuchronnie; blask bijący od powierzchni jeziora oślepiał mimo gogli. Cztery. Jego ręka bezwiednie powędrowała w stronę uchwytu i nagle stracił równowagę, plecak go przeważył – obrócił się na wznak jak leśny żuk. Kapitan patrzył teraz do góry. W pierwszym momencie nawet nie dostrzegł oddalającego się statku powietrznego, dopiero po chwili zauważył jego obłą sylwetkę; przypominał gigantyczną poziomą kroplę wody, maskującą się na tle nieba dzięki zakłębom wpisanym w poszycie. Podobnie jak w ogniu walki, myśli i odruchy kapitana podzieliły się na kilka równoległych nurtów.

Ta część umysłu Artois, która odpowiadała za utrzymanie się przy życiu, z przerażeniem stwierdziła, że chyba nie powinien wirować w powietrzu, podczas gdy wiatr szamoce nim na wszystkie strony. Spróbował na powrót ułożyć się w odpowiedniej pozycji, tak jak zalecała Belinde. Zrobił kozła raz, potem drugi.

W tym samym czasie jego chłodny umysł, który nawet w takich okolicznościach nie chciał zamilknąć – a może zwłaszcza w takich, gdy myśli o czymś innym niż niekontrolowany upadek i nieuchronna śmierć chroniły go przed wpadnięciem w panikę – rozważał fakt, że statek powietrzny leci pod kamuflażem. Ktokolwiek go ściga, nawet nie będzie wiedział, że tam się znajduje, dopóki nie popatrzy na wprost lub nie wykryje statku jakimś innym czarodziejskim sposobem. Czarodzieje przecież widzą magię. Powinni go dostrzegać. Może muszą najpierw się spodziewać, że tam jest? A może ludzie Iglicy mają sposoby, żeby go zamaskować nawet dla magicznego wzroku.

Dziesięć. Jedenaście. A może to już dwanaście? Artois nie umiał opanować wirowania. Jak to się robi? Zaraz spadnie. Dwanaście. Trzynaście. Pola i domki zbliżały się z zatrważającą prędkością. Gogle uciskały mu twarz, uszy i stopy cierpły od wiatru, powietrze wciskało się pod koszulę i spodnie.

Zobaczył Belinde. Spadała obok niego, ułożona w powietrzu tak, jakby już dziesiątki razy latała kilometr nad ziemią. Zapewne tak właśnie było. Coś do niego krzyczała. Nie słyszał. Czy to już? Piętnaście? Czarodziejka jedną ręką mocno chwyciła go za ramię, drugą za plecak. Szesnaście? Siedemnaście? Rozpostarł ramiona i wreszcie przyjął prawidłową pozycję. Teraz czuł, że kontroluje lot. Miał wrażenie, że jego serce obija się o klatkę piersiową jak gumowa piłeczka na sznurku, zabawka, jaką widział u dzieci w Ombre.

Belinde puściła go i odfrunęła dalej, energicznie pokazując coś dłonią. To teraz? Już teraz? Zamarł, jakby wrzucono go nagle do zimnej wody. Dwadzieścia powinno być chyba parę sekund temu? Lady Chamomille wciąż znajdowała się niedaleko i spoglądała na niego z widocznym niepokojem.

Poszukał uchwytu. Nie znalazł go. Znów pogmerał dłonią w okolicach pachy i natrafił na obły skórzany kształt. Szarpnął. Chyba za słabo. Znowu szarpnął. Usłyszał gwałtowny łopot materiału, najpiękniejszy dźwięk świata, wspanialszy niż chóry mniszek Wędrowca w największej katedrze Nouveaux Dijon. Pasy uprząży mocno wpiły się w jego ciało i wydało mu się, że podskoczył. Wiedział, że to tylko złudzenie.

Lekko kołysało nim na boki, ale teraz frunął nogami w dół. Zorientował się, że w chwili, gdy otwierał spadochron, zacisnął powieki, więc teraz otworzył oczy.

Odetchnął głęboko.

Materiał świszczał na wietrze. Pod kapitanem rozpościerała się przestrzeń z widokiem na gobelin Ziemi Drzew aż po horyzont. Wtedy, z Kathryn, nie wzbił się w powietrze na taką wysokość. Później, gdy leciał na smoku, panowały już ciemności, zresztą przez większość czasu i tak starał się nie patrzeć w dół.

W niewielkim oddaleniu widział Belinde unoszącą się na swoim spadochronie. Pod sobą – szerokie, zazielenione pole, szare i czerwone dachy domów, pyliste wiejskie drogi. Gdy sięgnął wzrokiem w dal, gdzieś na granicy widoczności dostrzegał szczyty wież – spiralnych, okrągłych, zakończonych kopułami. W ogóle nie przypominały budynków, które znał z Avalonu. Przypomniawszy sobie, że lady Chamomille jeszcze w pokoju komunikacyjnym recytowała przebyłą odległość.

Zorientował się, że już nie boli go głowa. Tylko te dodatkowe, zewnętrzne nerwy, których obecność zaczynała się dla niego stawać czymś oczywistym – chociaż nadal przerażającym – ciągnęły jak przetrenowane mięśnie.

Czy w tym mieście daleko na horyzoncie mają swoją Gildię? Czy zdąży?

Ale tutaj pięknie.

Porośnięte oziminą pole zbliżało się z wolna.

Chłopaki nigdy mi nie uwierzą.

Kontakt z ziemią mógłby być łagodniejszy. Zazwyczaj skakano w odpowiednich strojach, a nie tylko w koszuli, spodniach i z bosymi nogami. Artois przetoczył się odruchowo, jakby ćwiczył zapasy ze swoimi Popielnikami. Potem oparł łokcie



na mokrej glebie. Żdźbła zboża łaskotały go w skórę. Z brody skapywały mu krople potu, czuł ucisk w czole i po bokach nosa, jego uszy stawały się boleśnie gorące. Skóra otarta od uprząży i lądowania zaczynała go piec. Usiadł i drżącymi palcami sięgnął do sprzączek uprząży. Niechcący wbił sobie metal pod paznokcie. Zaklął, splunął, roześmiał się.

Żył.

\* \* \*

Belinde wylądowała kilkadziesiąt metrów dalej. Podniósł się z wolna, otrząpął i zaczął iść w jej stronę. Zastanawiał się przez chwilę, czy to tylko krew pulsująca w jego żyłach, czy rzeczywiście dookoła jest znacznie cieplej niż w Avalonie. Z pobieżnych oględzin wynikało, że rozkwitała już tutaj wiosna. Roślinność też wyglądała trochę inaczej, ale nie znał się tak dobrze na botanice, żeby wywnioskować cokolwiek poza pierwszym wrażeniem grubszych liści i większej ilości barw. Samotne drzewa stojące pośrodku pola miały czarne, poskręcane pnie i gęste, bujne korony, z daleka przywodzące na myśl kudłate psiaki. Szedł boso po skibach czarnoszarej ziemi, uważając na kamienie. Skórę na stopach tu i ówdzie miał pozdzieraną i nie zamierzał pogarszać tego stanu, żeby nie dopuścić do zakażenia. Głupio byłoby uniknąć innych rodzajów śmierci tylko po to, aby zabił go szczękościsk.

Czarodziejka pólleżała, pólleżiała na ziemi. Oddychała szybko i płytko. Kapitan dotknął jej czoła i spojrzał w oczy. Źrenice miała małe jak główka szpilki.

– Lady Chamomille?

– Mogę wstać – powiedziała. – Naprawdę mogę. Potrafię jeszcze bardzo długo iść. A potem sobie spokojniutko umrę w cieple.

Namacał przybownik medyczny, o którym wcześniej zupełnie zapomniał.

– Czy potrzebuje pani jakiegoś lekarstwa?

– Nie! – zachichotała. – Nie, nic więcej. Odespać. Musi mi przejść. Dużo wody, czystej, nieskażonej. Nie, nie, Armandzie, wyjdę za ciebie dopiero na jesieni. Belinde de Branche d’Emeraude. Prawda, że to pięknie brzmi?

– Bardzo pięknie, lady Chamomille. Proszę wstać. – Zaczął rozpinać jej sprzączki.

– Co ja powiedziałam? – Spojrzała na niego błędnym wzrokiem. – Za dużo wypilałam, prawda, kochanie? Wiesz, że mogę zasłużyć na własny tytuł szlachecki. Dadzą mi za wierną służbę. Wcale nie muszę go dostać po mężu.

Ile warstw ma ta kobieta? Artois poskrobał się w głowę. Z oddali docierały do niego głośnie okrzyki. W ich stronę szedł mężczyzna, bosonogi i śniady, w rozchełstanej koszuli, nieprzyjaźnie przypatrując się czaszy spadochronu. Towarzyszył mu duży wilkopodobny pies.

Kapitan wyplątał czarodziejkę z uprząży. Chłop zbliżał się niespiesznie. Zawołał coś donośnym głosem. Belinde zaczęła płynnie i szybko odpowiadać w tym samym języku, co wcale go nie uspokoiło; wręcz przeciwnie, przyspieszył kroku, wpatrując się w nich gniewnie. Artois bardzo nie chciał tego robić, ale zasłonił lady Chamomille usta.

– Ona chora – powiedział po arboriańsku najprościej, jak się dało. Nie miał pojęcia, czy ten człowiek zna język. – Za dużo eliksiru. Potrzebujemy pomocy.

– Widzę. Nie jesteś aby z Avalonu? Słyszę, że nie – odparł tamten z silnym akcentem, tak że Artois musiał poświęcić chwilę, żeby zrozumieć jego słowa.

– Nie, nie jestem – odparł kapitan. – Ale nie znam twojej mowy.

– A ona? To arboriańska czarodziejka.

W jego głosie pobrzmiwała pogarda. Artois sięgnął do brązowego nesesera, szukając monet, gorzałki czy dowolnego przedmiotu, który posłużyłby jako waluta. Niestety, znajdowały się tam same różnokolorowe buteleczki z eliksirami i pigułkami, a większości z nich i tak nie rozpoznawał. Jego palce trafiły na znajomy metalowy przedmiot z wygiętą szpilką. „A jednak Selena zostawiła nam jakąś automagię”. Ciekawe, czy broszka tłumaczy też inne języki? Sprawdzi to później. Spróbował sobie przypomnieć wszystko, co wiedział o arboriańskiej polityce w Dolorii, włącznie z informacjami, jakich bezwiednie udzieliła mu Millicent Severia.

– Czarodziejka i ważna osoba – odparł. – Bierz te spadochrony i potnij na kawałki, to dobre płótno, przyda się w gospodarstwie. Rebelianci nie mogą wiedzieć, że tu jesteśmy. Pomóż nam, a rząd cię obsypie złotem. Pieniędzmi. – Potarł kciukiem i palcem wskazującym w geście, który wydawał mu się uniwersalny.

Chwilę trwało, zanim chłop przełożył sobie jego wypowiedź. Zmarszczył brwi z jeszcze większą pogardą. Artois zastanawiał się, czy jego kłamstwo okaże się wiarygodne. Wzorował się na sytuacji znanej mu z Bretanii, gdzie bandyci, którzy co jakiś czas przeistaczali się w przywódców buntu, stanowili część lokalnego folkloru. Mało prawdopodobne, żeby buntownicy – czy też doloriańscy patrioci – faktycznie znajdowali się w okolicy. I dobrze; dzięki temu mógł zmyślić nieszkodliwą blagę i zapewnić miejscowym temat do plotek.

– Paru ludzi we wsi pewno widziało, że spadacie – powiedział wreszcie chłop, markując pokorę. – Ale chodźcie ze mną, znam jedno miejsce, gdzie was nie będą szukać.

\* \* \*

Pagórki, które zaczynały się na skraju pola i z góry wydawały się kapitanowi prawie płaskie, składały się głównie z wapiennych skał skąpo porośniętych mchem. Między nimi znajdowały się szczeliny, gdzie bez trudu dało się ukryć ludzi. Na pewno od czasu do czasu chowały się tutaj przed deszczem owce, co dało się poznać już z daleka po odchodach na stratowanej ścieżce i śladach wełny na skałkach.

W jaskini, do której weszli, zmieściłoby się całe nieduże stadko łącznie z pasterzami. Pozostawiono tu lekko nadgniłe skrzynie i złożoną na nich stertę starych koców. Wcześniej, idąc w stronę skałek, Artois dostrzegł także strumień. Postanowił, że odpocznę tutaj dwie godziny, aż Belinde trochę dojdzie do siebie, i postarają się o transport w stronę miasta. Na pewno ściga ich Iglica, ale doloriańskie władze przypuszczalnie będą po ich stronie. Kapitan liczył na kontakty lady Chamomille.

Żałował, że nie udało mu się jednak zabić Emrysa de Branche d’Opal. Nawet kosztem własnego życia. Ale skoro już się oswobodził, nie zamierzał zmarnować tego życia tylko dlatego, że nie udało mu się na czas odnaleźć lokalnej Gildii. Jeden koc rozłożył dla Belinde, na drugim spoczął w siadzie skrzyżnym i uważnie obserwował, czy czarodziejce znowu nie zaczną się coś zwidywać. Na razie leżała spokojnie. Nogi podkuliła pod brodę i mocno zaciskała powieki.

Musiał przemyśleć wszystko, czego się dowiedział. Belinde Chamomille, dyplomatka, która wyszkoliła królową Bretanii, sypała pieniędzmi dla ambasadora i służyła radą koronie, miała także kontakty w półświatku, przeszłość

w okupacyjnym wojsku oraz sekcie próbującej zlikwidować Magów Pustki. Umiała zabijać gołymi rękami, podczas gdy Arboriańscy wysoko cenili życie, nawet życie własnych wrogów. Kapitan jeszcze niedawno sądził, że są łagodniejsi z natury, oswojeni, a nawet słabsi – ale arboriański charakter był chyba bardziej skomplikowany, niż mu się zdawało. Zbudowali cywilizację i żyli pokojowo w ludnych miastach, i nawet ich czarodzieje współpracowali ze sobą częściej, niż walczyli. Doszedł do wniosku, że hołdowali surowym zasadom, bo tylko dzięki nim udało się utrzymać taki stan rzeczy. Ludzka natura nie zmieniała się mimo setek lat rozwoju obydwu państw na różnych kontynentach.

Belinde stanowczo zbyt dobrze zapoznała się z planami współczesnej Iglicy – zapewne próbowała negocjować z Seleną, zanim została pojmana, ale tego też warto się było dowiedzieć. Możliwe, że zamierzała zwasalizować Królestwo Bretanii; na jej miejscu sam by tak postąpił, żeby uniknąć konfliktu zbrojnego. Dzięki bliskim kontaktom z obydwoma królowymi lady Chamomille w roli szarej eminencji gwarantowała stabilność polityczną. Kathryn, która pozostawała pod jej długoletnim wpływem i szczerze jej ufała, nie oceniała zamiarów swojej mistrzyni obiektywnie. Czyż nie to właśnie sugerował książę Bernard? Wszystko, co wiedzieli o lady Chamomille, włącznie z olśniewającą urodą, mogło zostać przez nią starannie preparowane. Wyglądało na to, że nawet tytuł szlachecki nie przysługiwał jej z urodzenia.

Artois za długo pracował w cieniach dla hrabiego Trevancela, żeby mieć jakiegokolwiek złudzenia wobec zamiarów możnych. Ciekawe, jak w tym świetle wygląda decyzja lady de Breville, żeby przyjąć go na ucznia. Czy myślała o jego ewentualnej pozycji na dworze? Konkurowała z własną przyjaciółką o wpływy? Poskrobał się w brodę. Nie. Szalona Meg rozumowała kategoriami, których nie pojmował.

O samej Iglicy na razie wiedział niewiele. Rdzeń maszyny testującej i magiczna infekcja bezpośrednio wiązały się ze sobą, czego się domyślił z wypowiedzi lady Chamomille. Emrys de Branche d’Opal planował wykorzystać зараżonych w sposób, który doprowadzi do pojawienia się Rozpadlin w Arborii, ale jego ostateczny cel był inny. Chodziło o magię, a Artois nie znał się na magii. Iglica miała słaby punkt w postaci niechętnego współpracownika, Seleny, ale kapitan nie liczył na to, że była czarodziejka (były czarodziej?) przestanie wspierać

wicehrabiego. Raczej zatuszuje swoją rolę w ucieczce więźniów, z nadzieją, że uwolniona Belinde Chamomille pokrzyżuje szyki Emrysowi.

Kapitan popatrzył na czarodziejkę. Oddychała teraz spokojniej. Sam też poczuł, że gaśnie w nim gorączka walki i wracają ból oraz sensacje żołądkowe, jakie doskwierały mu od czasu testu na maszynie do sprawdzania potencjału. Teraz jednak towarzyszyło mu narastające uczucie senności. Głowa opadała na piersi, w oczach czuł piasek, kończyny stawały się coraz cięższe.

Nie. Nie mógł sobie teraz pozwolić na sen. Zostało mu jeszcze kilkanaście godzin, zanim magia zacznie go wypalać. Począł przeszukiwać neseser i trafił na czerwony flakonik z pigułkami pobudzającymi, których użyła wcześniej lady Chamomille. Nie miał pojęcia, jak je dawkować, i trochę się bał własnej reakcji. A jeśli i jemu zacznie się coś zwidywać? Życie Belinde składało się z intryg, a jego – z walki. Chociaż może zaryzykuje...

Gdzieś spośród wspomnień wypłynął bardzo stary obraz, a raczej jego cień, wrażenie zaledwie. Ciemnowłosa mężczyzna, być może hrabia de Morion, wyprostowany nad stołem na tle światła księżyca. Rozbite naczynia. Zapach alkoholu. Czyjś cichy płacz.

Artois bardzo starannie schował flakon z powrotem do torby. Wyprostował się, usiłując zachować przytomność.

Wytrzymał tak chyba pięć minut, a co było dalej, nie wiedział.

\* \* \*

Obudził go dźwięk przypominający cykanie świerszczy, ale znacznie głośniejszy i bardziej skrzekliwy. Oparł ręce na ziemi i usiadł gwałtownie. Koc zsunął się z niego. Nawet nie pamiętał, czy sam się nim przykrył. Ile czasu stracił na sen? Spoglądając w stronę wejścia do jaskini, widział skrawek jasnego nocnego nieba.

Czuł się dobrze. Dodatkowy zestaw nerwów chyba miał zostać z nim na zawsze, ale nie sprawiał już bólu. Dręczyło go jednak niejasne uczucie, że coś się w nim zmieniło, i to go przerażało. Umiał sobie poradzić z każdym zewnętrznym zagrożeniem. Co innego, jeśli nie mógł przed nim uciec ani się z nim skonfrontować.

Lady Chamomille siedziała obok, blada, ale zupełnie przytomna. Uważnie przeszukiwała neseser z medykamentami. Na jego widok skinęła głową, nie

przerywając swojego zajęcia.

– Dzień dobry, Artois.

– Co to znaczy dzień dobry? – Słowa, które wyrwały się z jego zachrypniętego gardła, były szorstkie jak piasek. – Ile czasu minęło?

– Mniej więcej czternaście godzin – odpowiedziała. – Co stanowi pewien problem, bo Selena nie zostawiła mi antidotum. Tylko lek tymczasowo tłumiący Źródło, a ten się już kończy. No i jak wykazuje doświadczenie, nie mogę się bez końca faszerować stymulantami. Wylądowaliśmy niedaleko Alilat, ale musimy tam się jeszcze dostać.

– Czternaście godzin?

– Spałeś jak dziecko. Przyniosłam pomarańcze. Koniec sezonu, ale są całkiem słodkie.

Kapitan zwrócił uwagę na stos wielkich pachnących kul ułożonych na kocu. Skórki sugerowały, że lady Chamomille już zjadła wczesne śniadanie.

– Pani nie rozumie – powiedział. – Oni mnie wsadzili do maszyny testującej. Mam nieustabilizowane kanały energetyczne – przesyłabizował trudne słowa. – Nie wiem, ile czasu mi zostało, ale nie zdążę dotrzeć do Alilat. Spałę się od środka. Umieram.

Spojrzała na niego uważnie.

– A jak się czujesz? Czy coś cię boli?

– Nie. Teraz już nie.

– Czy mógłbyś usiąść i przez chwilę się nie ruszać?

Podeszła do niego. Dotknęła palcami jego skroni, ze skupieniem obejrzała źrenice.

– Tylko raz obserwowałam ten proces, a i wtedy nieświadomie i nie do końca – mruknęła sama do siebie. – Przeniosło nas do Bretanii, a zresztą Źródło Vincenta może się trochę różnić od pozostałych. Chciałabym wiedzieć, jaki masz limit.

– Tysiąc trzysta pięćdziesiąt. Tak twierdził wicehrabia.

Z powagą skinęła głową.

– Mniej więcej tyle co ja. W takim razie nie jesteś drugim przypadkiem pokroju pana Thorpe'a. Nie opublikowała tego oczywiście i nikt z tobą jeszcze nie rozmawiał o magii, pewnie uznała, że ma czas... – Belinde zacisnęła palce, jakby

chwyciła coś tuż nad głową Artois. Poczuł szarpnięcie w swoim drugim, niewidocznym ciele.

– Nigdy wcześniej nie uczono cię dostrzegać własnych kanałów energetycznych?

– Wie pani, że nie. W Bretanii nie było magii. – Otrząsnął się niespokojnie. – To jest to?

– Mhm. Po przeszkoleniu można je wyczuwać nawet bez aktywnego Źródła. Ale po teście każdy zyskuje świadomość ich istnienia. To nam powinno dać do myślenia już wcześniej. Margueritte się zorientowała. Gdy po Rozdarcu ludzie na nowo odkrywali, jak budzić czarodziejów, preferowali takich kandydatów, którzy już się nauczyli widzieć swój system energetyczny. Wśród nich było wiele doświadczonych wiedzim. Zważywszy na to, jak wyglądał wtedy świat i z czym zwykle mieli do czynienia użytkownicy magii, kandydaci często cierpieli na Piętno.

– Czyli...?

– Aktywacja sama w sobie nie jest obojętna dla zdrowia, a Piętno to ciężka choroba. Pierwsze pokolenia magów po Rozdarcu były kruche, mało kto przechodził transformację, niewielu dożywało stulecia. Ze względu na wcześniejszą długoletnią pracę z magią prostą w krótkim czasie rozwijali potężną moc, ale nie mieli pojęcia, jak ją kontrolować. Nie odbywali przecież takiego treningu jak Vincent. Niewykluczone, że bez dodatkowej stabilizacji zabijało ich własne Źródło. Powielaliśmy dawne techniki budzenia czarodziejów, ale nie wiedzieliśmy, po co to robimy.

– Nie rozumiem.

– Mówię do siebie. Próbuję prześledzić jej tok myślenia. Po fakcie to nieco łatwiejsze. Ależ się wścieknę – już drugi raz nie może udokumentować bezpośredniego dowodu swojej hipotezy. Stara teoria jest błędna. Meg to odkryła. Aktywacja Źródła zachodzi już podczas testu potencjału i nie potrzeba niczego więcej. Hm... Skoro ból znikł, powinieneś już się przebudować. Czy kiedykolwiek medytowałeś?

– Nie znam dość dobrze języka, żeby wiedzieć, co to znaczy – powiedział ostrożnie Artois; odruchowo czekał, aż szpilka tłumacząca podrzuci mu definicję, ale oczywiście nic takiego się nie stało.

– Gdy rzucasz nożem do celu albo przygotowujesz się do walki, najpierw musisz się wyciszyć. Skoncentrować. Zrób to samo, ale skup się na kanałach

energetycznych i znajdź ich środek.

Kapitan zamknął oczy. Po raz pierwszy, zamiast odsuwać na bok świadomość, że dysponuje drugim, zewnętrznym ciałem, spróbował je wyuczyć.

Coś tam było. Przypominało mały kłębek ognia. Albo rozżarzony węgielek. Poczuł instynktowny lęk. Na razie nic nie wskazywało, żeby spalał się od środka, ale może to tylko kwestia czasu. Wstrzymał oddech, nie chcąc się zdradzić przy lady Chamomille choćby z taką słabością. Belinde była niebezpieczna, nawet jeśli znajdowali się po tej samej stronie.

Ale jeśli chciał się dowiedzieć, co się z nim dzieje, musiał to jakoś opisać.

– Wygląda jak odrobina żaru w palenisku – powiedział po chwili zastanowienia.

– Czy jest stabilne? Dobrze uformowane, o regularnym kształcie, skupione w centrum?

– Tak mi się wydaje – odparł z wahaniem. – Siedzi na swoim miejscu.

– Ile kwantów... Nie, nie umiesz tego ocenić. Możesz odetchnąć, kapitanie. Masz aktywne Źródło i w najbliższym czasie nie umrzesz.

Artois znów się przyjrzał drobinie mocy, jaka w nim tkwiła. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że siedzi na beczce prochu ze skwierczącym lontem.

Miał aktywne Źródło. Był czarodziejem.

To wszystko zmieniało.

Wszystko.

Znów popatrzył na lady Chamomille. Nazywał się Artois Narbonne de Branche d'Ambre, i chociaż nie urodził się z tym mianem, ich status właśnie się zrównał.

– Naucz mnie zaklęcia – zażądał. – Może być Szybkość Pumy.

Zacęła się śmiać.

– Dopóki nie opanujesz chociażby piątego pewnika o prostych równoległych, równie dobrze mogłabym do ciebie mówić po teutońsku.

– W takim razie naucz mnie o prostych równoległych. Lady Chamomille, może i nie dysponuję intelektem Wielkiego Maga, ale na pewno nie jestem głupszy od Emrysa.

– Nikt tak nie twierdzi. Zadam ci kilka zagadek matematycznych, gdy znajdziemy się w mieście. Zobaczę, na czym stoimy, podobno masz podstawową wiedzę o rachunkach. Nie bój się własnego Źródła. Nie wybuchnie. To znaczy



dopóki nie spróbujesz uruchomić jakiejś automagii, a to bym na razie odradzała. Bojlery i ekspresy do kawy zostaw mnie.

Z powagą skinął głową. Być może całe kontynenty dzieliły go od umiejętności choćby najslabszego z arboriańskich uczniów, ale uważał, że wykazanie szczerzej ambicji ma kluczowe znaczenie. Zwłaszcza przy kimś takim jak lady Chamomille.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie Belinde zamarła, a jej źrenice uciekły do góry, obnażając same białka. Osunęła się na koc, roztrzając pomarańcze.

– Lady Chamomille?

Zacisnęła powieki i zaraz otworzyła oczy. Atak trwał zaledwie kilka oddechów. Ciężko łąpała powietrze i pobladła jeszcze bardziej, o ile to możliwe. Ale już odzyskiwała przytomność.

– Zaczęli – sapnęła. – Łączą nas wszystkich w sieć. A ja nie mam antidotum. Cholerna Selen! Margueritte dała sobie odciąć rękę, ja mogłabym wygłuszyć Źródło.

„Powiniennem był go zabić” – pomyślał Artois. Czuł się winny, chociaż nie przychodziło mu do głowy, w jaki sposób mógłby wygrać z Emrysem wtedy, na statku.

– W Avalonie nie skojarzą, co się dzieje – dodała. – Nie powiążą faktów. Nie wiedzą tyle co my. Potrzebujemy kuli magicznej! – Wbiła mu paznokcie w ramię.

Przede wszystkim potrzebowali konia, a także miecza i dwóch dobrych sztyletów, niezależnie od tego, co doloriańskie prawo mówiło o noszeniu przy sobie broni. Gdyby na statku zdobył sztylet, sprawy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej. Kapitan uznał, że najwyższa pora zacząć postępować po bretańsku.

Od strony wejścia do jaskini dobiegły go słowa w obcym języku. Odwrócił się. Stało tam dwóch rosyłych mężczyzn i jedna tęga kobieta. Mieli wysokie buty, skórzane kurtki i dzierżyli powiązane sznurkiem wysłużone rusznice.

Artois ogarnęły bardzo, ale to bardzo złe przecucia.

– Dzień dobry, arboriańscy szpiedzy – odezwał się jeden z nowo przybyłych. – Mamy dla was świetną wiadomość. To my jesteśmy rebeliantami, których szukacie.

\* \* \*

Llywarch, następnego dnia wieczorem

Oparłem dłonie na kolanach i wciągnąłem w nozdrza mieszaninę odoru moczu, ryb i zgniłych warzyw. Promienie słońca ledwo prześwitywały zza strzępiastych chmur, odbijając się w rozmarzających kałużach. Lokalne mewy, kołyszając się z boku na bok, niespiesznie wygrzebywały co smaczniejsze kęski ze stert odpadków. Nieco bezmyślnie wpatrywałem się w ciemną wodę Vvyrnwy, obserwując kołyszające się na niej rybackie łodzie, tratwy i promy. Odpoczywałem, trochę zaskoczony, że moje płuca i mięśnie tak szybko odzyskiwały sprawność po długim biegu. W zwykłych okolicznościach cieszyłbym się z poprawy formy, ale teraz ramiona przygniatał mi niewidzialny ciężar. Nie umiałem przyjąć do wiadomości wydarzeń, do których niedawno doszło w instytucie.

Donatien Beaufort nie żył, Madeleine być może również. Wciąż miałem przed oczami portiera z pistoletem w ręku, mistrza Beauforta upadającego w drzwiach własnej pracowni i jego młodziutką uczennicę osuwającą się na podłogę. Na mojej koszuli zostały zaschnięte plamy krwi. I to ja sprowadziłem na nich nieszczęście, głównie dlatego, że postrzegałem placówki naukowe jako bezpieczne, niezdobyte fortece. Iglica zinfiltrowała wywiad wojskowy, więc dlaczego nie miałyby umieścić swoich ludzi choćby w kadrach administracyjnych instytutów, które prowadziły badania nad Pustką?

Zresztą może to wcale nie był prawdziwy portier, tylko iluzja. Nie miałem nawet czasu się przyjrzeć.

Odchyliłem głowę, opierając ją o mur. Bez płaszcza zaczynałem marznąć. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że w ciągu dwóch dni z pomniejszego, ale znanego członka czarodziejskiej społeczności stałem się przestępcą poszukiwanym za napaść na Arcymaga i podwójne zabójstwo. Lada chwila zaczną się też spekulacje dotyczące mojej natury jako Maga Pustki. Szanowane gazety nie opublikują niesprawdzonych pogłosek, ale niejasno podejrzewałem, jak będą wyglądały nagłówki brukowców. Co robić? Zgodnie z prośbą Weylanda powinienem się skontaktować z doktor Everett w Avalonie, ale jako ścigany nie mogłem po prostu wejść na pocztę i skorzystać z kuli magicznej. Gdybym dał się aresztować, prędzej znajdą mnie ludzie Iglicy – którzy umieją się teleportować – niż zdołam wyjaśnić sytuację. W dodatku jeśli wcześniej miałem co do tego jakieś wątpliwości, teraz byłem pewien, że żandarmi nie pozwolą mi używać kuli, zwłaszcza przy tak

ciężkich zarzutach. Może właśnie dlatego strzelano do Beauforta? Ludzie Iglicy chcieli mnie zabić, a gdyby się nie dało – odizolować, odciąć od sojuszników i wszelkich źródeł pomocy. Zniszczyć jako człowieka.

Niezupełnie to sobie wyobrażałem, gdy myślałem o publicznej niechęci wobec Magów Pustki, w tym mojego niesławnego przodka.

A jeśli chcieli zniszczyć mnie, to i moich bliskich. Czy interesowali się Amandine? Może im wystarczyło, że ją porwano... Wsunąłem palce we włosy. Pozostawały jeszcze Kathryn, Belinde, nawet rodzice. Nawet Meg. Z przyzwyczajenia uznawałem ją za postać legendarną i niezwykłą, ale musiałem przyznać sam przed sobą, że po tym, co przeszła w Bretanii, to ona potrzebowała teraz wsparcia i przede wszystkim świętego spokoju.

Żeby chronić ludzi, na których mi zależało, musiałem skutecznie zniknąć. Przynajmniej dopóki nie dotrę do Avalonu lub w inny sposób nie przekażę wiadomości o Sepii do Centralnego Szpitala. Miałem niejasne wrażenie, że Iglica również i temu chciała zapobiec, zapewne ktoś podsłuchiwał mistrza Beauforta, gdy rozmawiał przez kulę.

Trochę się na niego zżymałem. Mógł od razu powiedzieć Esterze Everett, czym jest Sepia, ale wolał najpierw obejrzeć wyniki moich doświadczeń. Nie wiedziałem, czy chciał sprawdzić hipotezę wedle prawideł sztuki, czy też egoistycznie dbał o zabezpieczenie swoich interesów w razie publikacji, gdyby doktor od razu wynalazła własną, lepszą recepturę.

Oderwałem plecy od murku. Otrząsałem się, usiłując zapomnieć o widoku zakrwawionej Madeleine. Chciałem wierzyć, że zakłęcie zadziałało w porę i uda się ją odratować. Teraz już nie uzyskam odpowiedzi. Nie mogłem popełnić więcej takich błędów i pojawić się gdziekolwiek pod własnym nazwiskiem. Ruszyłem wybrzeżem zgarbiony, z kaszkietem nasuniętym na czoło i rękami w kieszeniach, gdzie wyczuwałem zabrane z pracowni jeszcze ciepłą kolbę i notatnik. Omijałem uwijających się dokerów, rybaków rozciągających sieci do suszenia, rozklekotane wozy i tłumy ludzi z taczkami załadowanymi aż do granic pojemności. Starłem się ignorować coraz wyraźniejszy chłód i nieprzyjemny ciężar w żołądku, zapewne wywołany eliksirem. Przeciskałem się przez wielojęzyczny tłum. Tu i ówdzie dostrzegałem żandarma, ale na szczęście omijali mnie wzrokiem. Na pewno mnie szukali, więc starałem się nie rzucać w oczy.

Kim powinienem się stać, żeby móc dostarczyć wiadomość? Na poczcie mnie wylegitymują, jeśli znajdę tutaj telegraf – tak samo. Opłaciłbym posłańca, który nadałby list, ale nie miałem ani pieniędzy, ani adresu. W dodatku – przyszło mi do głowy – to bardzo niepewny interes, delikwent mógłby zbiec z zadatkami, a listu nie zobaczyłby ani urzędnik poczty, ani doktor Everett. Zabrać komuś dokumenty? Jeszcze nie upadłem na głowę. Zresztą zaraz mnie zaczną ścigać, a przywłaszczone nazwisko też trafi do kartotek. Kradzież konia? Równie dobrze mógłbym osobiście zgłosić się na posterunek.

Mój wzrok padł wreszcie na szyld tawerny. Wyglądała tak podle, jak tylko się może prezentować nadrzeczna mordownia na południu kraju. Nie zatrzymywali się tutaj szanowani handlarze ani zwykli flisacy. W takim miejscu dostanę w łeb od werbowników, zanim się obejrzę. Chyba że sam się do kogoś zgłoszę.

Podejrzewałem, że dla dokerów mógłbym mieć na czole tabliczkę z napisem „Avalończyk, szczur ładowy”. Miałem pewien pomysł. Mogło wypalić albo nie.

Wszedłem do środka przekonany, że wyfrunę z lokalu albo nabawię się innych kłopotów, zanim zdążę rozpytać o oferty pracy. Postanowiłem, że gdyby zrobiło się gorąco, wyjdę i spróbuję znaleźć główny plac załadunkowy, a tam z pewnością stoi tablica ogłoszeń. Ale na razie szukałem miejsca, gdzie napotkam pracodawcę, który nie będzie ode mnie wymagał dowodu tożsamości. W dodatku mimo energicznego marszu zaczynałem już zamarzać.

Powitały mnie krzywe spojrzenia. Nie nadeszła jeszcze pora fajrantu, więc przy stolikach siedziało zaledwie kilku miejscowych, przeważnie steranych życiem mężczyzn mniej więcej w moim wieku. Wyglądałem młodziej niż każdy z nich, i to nie z powodu Źródła.

Nieduża mroczna speluna nie odróżniała się od innych miejsc tego typu, gdzie na ścianach wisiały wycięte z gazet kulturografie i wypchane trofea przeżarte przez mole i korniki. Krzesła były krzywe, stoły lepkie, kelnerki nieuprzejme, a w powietrzu unosił się dobrze sfermentowany aromat desek wielokrotnie zalanych piwem. Na pewno wszyscy bywalcy się znali, prowadzono tutaj podwójny cennik – dla miejscowych i dla nieszczęśliwie zbłąkanych turystów – tłuszcz do pieczonych ziemniaków osiągnął już własny niepowtarzalny aromat i wszyscy wiedzieli, że nie jada się tutaj kiełbasek. Ani sałatki z majonezem.

Oparłem łokcie o blat. Bar prowadziła kobieta z tego samego gatunku, co tutejsi bywalcy, blada, ponura i z wydatną brodawką przy nosie. Na mój widok zmrzyła oczy i obcięła mnie spojrzeniem od stóp do głów. Jej reakcja wydała mi się przesadna – przecież to tylko ja. A może w gazetach pojawiły się już moje wyraźne zdjęcia? Albo listy gończe? Nie, niemożliwe – za mało czasu.

– Fajny tatuaż – rzuciła.

Odruchowo dotknąłem szyi i opuszkami palców wyczułem wzór. Jak mocno rozrosła się Sepia? Brakowało mi płaszcza, a koszula częściowo odsłaniała ramię. Nagle zrozumiałem, dlaczego żandarmi przestali zwracać na mnie uwagę. Nikt nie opisywał Vincenta Thorpe’a jako mężczyzny z wielką, artystycznie skomplikowaną dziarą.

W przybliżeniu olśnienia zobaczyłem siebie jej oczami. Dość wysoki, chudy i nieogolony facet w kaszkiecie, wytatuowany, ubrany w koszulę, na której widnieje jeszcze smuga zaschniętej krwi. Może i wyglądałem na szczura lądowego, ale z rodzaju takich, co mogą pogryźć. I pewnie jeszcze czymś zarazić.

Powstrzymałem się od podziękowania za komplement. W przypadku podejrzanych, paskudnych typów spod ciemnej gwiazdy uprzejmość nie należała do pakietu.

– Potrze... buję barki do Avalonu – zagailem. – Ponoć pani coś wie.

Wydeła usta.

– A co? Zabił pan kogo?

Rozłożyłem ręce.

– Tylko własne konto.

– Codziennie widuję takich, co myślą, że w avalońskich fabrykach będzie im lżej niż w Llywarch – powiedziała, od niechcienia przecierając szmatą blat. – Myślisz pan, że jesteś pierwszy?

– Znam podstawowe węzły. I jestem lekki, a mogę dłu... go pracować.

Hałaśliwie zebrała odniesione przed chwilą kufle.

– Tak. Może ze dwa lata, jeśli wcześniej nie wykaszlesz pan płuc. Wątroba jeszcze tyle wytrzyma. Napatrzyłam się już na tobie podobnych. To powiem ci jedno. Nie znam takiej barki, na której sprzedadzą ci żywicę.

Za kogo ona mnie brała?

– Wolę kawę.

– I żadnych sztyletów pod żebro podczas nocnej gry w kości?

Najwidoczniej w jej oczach plasowałem się bardzo daleko od mojego przypuszczalnego wizerunku zwykłego mieszczanina. Czy naprawdę tatuaże aż tak zmieniają ludzi? Prawda, że przynajmniej w Avalonie oznaczały przynależność do półświatka albo jednej z młodzieżowych subkultur.

Krzątała się nerwowo. Z wolna docierało do mnie, że się boi. Jeden z tutejszych przesiadł się do stolika blisko baru. Za chwilę dołączył do niego drugi, obydwaj gotowi bronić barmanki. Obserwowali mnie czujnie, jak nowego drapieznika w rewirze. Niestety, nie miałem pieniędzy, żeby postawić im piwo i rozładować napięcie.

– Szukam pracy, a nie guza. Próbuję spłacić... dług. Tylko do tego trzeba czasu.

Zauważyłem, jak się rozluźniają i trochę wygodniej moszczą na stołkach. Tylko odrobinę, ale wystarczająco, żebym wiedział, że wymyśliłem odpowiednią wymówkę. Ścigany za lichwiarskie długi – to się zdarzało.

– Nie słyszałeś pan, że w Avalonie zaraza? – zagaił ten bliżej mnie.

– Tylko dla czaro... dziejów. A oni sobie poradzą. To musi szyb... ko minąć.

– Widzisz, tak samo powiedziałem – mruknął ten drugi. – Ty! A bić się umiesz?

Wzruszyłem ramionami.

– Jak trzeba.

Zamachnął się na mnie. Pewnie uważał, że z zaskoczenia, ale jego zamiary dostrzegłem już sekundę wcześniej, kiedy przemieścił ciężar ciała na stołku. Przez cały czas pobytu w Bretanii, a później w Ombre, nie zaniedbywałem treningów – układy Drogi Czapli pomagały mi w odzyskiwaniu sprawności fizycznej. Jeśli dodać do tego cotygodniową naukę pojedynków z Bernardem, trudno się dziwić, że nie tylko nie straciłem wprawy, lecz także poprawiłem szybkość reakcji.

Odsunąłem się i przechwyciłem jego ramię, blokując łokieć.

– Zawsze można po... prosić na stronę i wy... próbować – zasugerowałem. – Nie trzeba... niszczyć baru.

– Dobra już, dobra – sapnął tamten. – Puszczaj pan.

Spełniłem jego prośbę.

– On nie ćpa – zwrócił się do barmanki. – Coś pan za jeden? Na zapaśnika za chudy. Nie szprechasz jak złodziej. Bardziej jak typ z uniwerku, powiedziałbym, ale oni są jak pudding, a ty jak rzemień. Trochę przetarty, ale rzemień. I żaden z ciebie mundurowy z takimi malunkami. Nie jesteś czasem wiedźmą?

No i proszę. Okazało się, że mam życiorys wypisany, nomen omen, na skórce. Co im powiedzieć? Cokolwiek wymyślę, będzie za blisko prawdy.

– Nie. Pracowałem kiedyś dla magów przy wyko... paliskach – odparłem wreszcie. – Nigdy... więcej. Szkoda zdrowia.

Zobaczyłem, jak ludzie dookoła mi potakują. Wszyscy w barze oczywiście słuchali bardzo uważnie. Darmowa rozrywka. Lada chwila zamówią przekąski. Zaczynałem czuć się nieswojo. Gdzie się podział mój brak znaków szczególnych? Ulotnił się z wiatrem, kiedy nie patrzyłem. I jak to szło z tym znikaniem? Zbyt dużo zależało od mojej anonimowości.

– Piętno? – spytał podejrzliwie.

– Obyło się bez. Odleżałem swoje.

– Chciałbym usłyszeć tę historię.

– Może kiedy indziej. – Rozejrzałem się wkoło. – Długi. Lichwiarz. Rozumiesz.

– Tu sami swoi – prychnął. – Ale jak pan sobie chcesz. Jacob.

– Marcus – przedstawiłem się imieniem własnego ojca. Prędkiej się odwróć, jeśli ktoś postanowi sprawdzić i mnie zawoła.

Sondował mnie jeszcze chwilę niby o pogodę. Zerknął też na moje dłonie, a ja się zastanawiałem, co mógł z nich wyczytać. Paznokcie nadal miałem w połowie czarne, ale ślad po krwawej gorączce, który w Bretanii rozpoznaloby nawet dziecko, większości ludzi u nas nic nie mówił. Bardziej mnie trapiło, że mój fach można rozszyfrować po kolekcji przebarwień, oparzeń i blizn na palcach. Gdzieś w połowie tej wymiany zdań na stół wjechało piwo, żeby podtrzymać konwersację. Popijałem je powoli, wiedząc, że ryzykuję malowniczego pawia. Elixir przyswajał się powoli i źle – a może już zaczęły się objawy zatrucia. Oszacowałem, że nie będą poważne, ale szukając pracy na rzece, nie powinienem okazywać słabości.

Mniej więcej kwadrans później skończyła się zmiana i bar zaczął się powoli wypełniać robotnikami z rodzaju najgorszych mętów portowych, jakich kiedykolwiek widziałem, łysych typów ze szramami na pokrzywionych gębach, jednookich albo okulawionych, wytatuowanych w wyblakłe granatowoczarne

wzory, które opowiadały historię ich życia nie gorzej niż moje ręce. Nie zdziwiłem się. Sam wybrałem lokal, gdzie bywalcy prędzej należą do mafii niż do związku zawodowego. W niższych sferach czasem się te kategorie zazębiały, ale nie zawsze, podejrzewałem też, że subtelne różnice między organizacjami przekładały się na krwawe animozje.

Jeśli wydawało mi się wcześniej, że to już koniec obwąchiwania się nawzajem, grubo się pomyliłem. Chociaż po tym, jak tłum zgęstniał, nie znajdowałem się już w centrum uwagi, pojawiło się kilku kolegów Jacoba. Jeden z nich nosił na ramieniu stary, niemal całkiem zatarty tatuaż symbolu Tau, i na moment zamarłem, bo to był znak gangu złodziei artefaktów, który ścigaliśmy razem z Meg dekadę temu, kilkadziesiąt kilometrów na północ od Llywarch. Nie rozpoznałem jednak jego twarzy ani on mojej. Może zresztą wcale nie należał do nich, tatuaże nawiązujące do podstawowych run albo Elementów często się powtarzały.

Planowałem, że przyjmą mnie na barkę jako zwykłego mieszczanina uciekającego przed lichwiarzem. Ale czasy, gdy podróżowałem w cieniu Margueritte, dawno minęły. Nie było jej tutaj i wyróżniałem się, nawet pomijając Źródło, staż podyplomowy w charakterze Wielkiego Maga oraz wzór, jaki na moim ciele ostatnio wymalowała Sepia (nie sięgał twarzy – tyle na razie sprawdziłem palcami). Nie znajdowałem się w Bretanii. Dopóki przemykałem się w przebraniu ciemnymi alejkami, mogłem zachować anonimowość. Wystarczyła jednak krótka rozmowa, żeby ocenić moje umiejętności oraz rozpoznać akcent – zarówno pochodzenie, jak i wykształcenie.

Musiałem zachowywać się ostrożnie.

Dobiegał już wieczór. Tłum nie zmalął, niektórzy bywalcy opuścili tawernę, ale przybywali nowi. Zbierało mi się na wymioty od eliksiru, piwa i pieczonych ziemniaków, skóra mnie swędziała i na pewno miałem lekką gorączkę. Wymieniłem z przemytnikami kilka starannie dobranych anegdot. Chyba podtrzymałem wizerunek człowieka, który nosił skrzynie za czarodziejami i trochę potrafił walczyć, ale brakowało mu zdolności magicznych. Rola niebezpiecznie bliska mojej prawdziwej tożsamości, zwłaszcza że mnie poszukiwano.

Cały czas miałem wrażenie, że biegnę w powietrzu i że jeśli choćby na chwilę przestanę myśleć nad rozwiązaniem bieżącej sytuacji, wróci do mnie wszystko, co się wydarzyło przez ostatnich kilka dni. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Podświadomość usiłowała mi także podszeptywać coś, co było ważne i dotyczyło



artykułu redaktora de Pointeferre. Prawie, jakby Amandine – jak czasem miała w zwyczaju – odzywała się jako głos rozsądku i mówiła mi, co przeoczyłem, spiesząc się do Beauforta.

– To ten? – odezwał się ktoś burkliwie. – Trochę zmarnowany.

Jacob klepnął po plecach nowo przybyłego znajomego. Obejrzałem go sobie. Podgolony łeb, muskuły jak piłki, brzuch jak większa piłka oraz imponująca kolekcja kolczyków w małżowinach usznych. Standard. Znacznie bardziej interesująco wyglądała druga osoba, która stała obok niego. Babcia mierzyła jakieś metr pięćdziesiąt, włosy miała spięte w kok, śniadą skórę i wielkie złote kółko w nosie. Na jej odsłoniętych ramionach malowały się wyblakłe tatuaże. Obserwowała mnie z lekką dezaprobatą.

Nauka na przyszłość. Jeśli widzicie przed sobą takiego wielkiego gościa, a obok stoi babcia, i ta babcia weszła do baru pełnego podobnych osiłków, a teraz mierzy cię wzrokiem, to właśnie na nią należy zwracać uwagę podczas rozmowy. Zwłaszcza jeśli babcię i osiłka łączy pewne nieuchwytne podobieństwo rysów twarzy.

Nawyki nabyte w Bretanii wzięły górę. Odruchowo zeskoczyłem ze stołka i ukloniłem się głęboko. Może trochę przeszarżowałem, ale starsza pani nadeła się z aprobatą i wymieniła spojrzenie ze swoim towarzyszem.

– Wypływamy za dwie godziny – odezwał się tamten. – Będziemy podróżować nocą.

Nocą? Bardzo się spieszyli. Wyglądało na to, że pakuję się w coś mocno nielegalnego. Ale tego się spodziewałem, nieprawdaż?

– W takim razie potrze... buję płaszcza. I zadatku.

Uniósł brwi.

– I może jeszcze pieczonych kartofelków? Wydawało nam się, że to ty jesteś w potrzebie.

– Tak. Dlatego obniżyłem wymagania.

– Dobrze pan o sobie myślisz.

– Proszę mnie prze... testować.

Zmierzyliśmy się wzrokiem. Później facet zerknął w stronę babci.

– A zdejść koszulę – powiedziała starszuszka – bym tę dziargankę zobaczyła.

Splotłem ramiona. Wolne żarty. Nie zamierzałem się rozbierać, żeby zdobyć pracę.

– Walki uliczne czy co innego? – dodała, nie nalegając.

– Droga Czapli.

– Kij czy pałka?

– Kij. Zwykle używam teleskopowego.

– Tak myślałam. Anzelmo, daj mu bańkę i niech coś sobie kupi. Potrącimy ci z wypłaty. – Popatrzyła mi prosto w oczy. Zapewne chciała zbić mnie z tropu, ale nie takie przenikliwe spojrzenia już widywałem. – Wróć tutaj w porę. Pilnujemy cię.

\* \* \*

Słyszałem już o przestępczych klanach, gdzie rolę przywódczą pełniła najstarsza kobieta z rodu. Takie relacje panowały w rodzinach pochodzących z Dolorii lub Adastrii, gdzie najważniejszą osobą dla każdego mężczyzny przez całe życie pozostawała mama, ku nieodmiennej frustracji żon, które w rewanzu stopniowo dążyły do takiej samej władzy.

Jeśli zatrudniali kogoś z zewnątrz, to najwidoczniej nagle potrzebowali rąk do roboty. Nie wiedziałem jeszcze, co to oznacza, ale pewnie nic dobrego. Stolica pogrążona w chaosie, czarodzieje pozbawieni mocy. Czy istnieje lepsza okazja do interesów dla złodziei i paserów? Musiałem się z tej sytuacji w porę wywikłać, nie byłem najemnikiem ani reketierem, a wojna wciąż śniła mi się po nocach. Przerzała mnie ewentualność, że mógłbym kiedyś zobojeźnić na bicie i zabijanie ludzi i – podobnie jak Bretańczycy – żyć z kostuchą za pan brat, oczekując od innych tego samego.

Tak czy owak, zapewniłem sobie transport do Avalonu. Właściwie wystarczyłoby mi teraz pieniędzy na bilet na dylizans, ale żandarmeria na pewno kontrolowała postoje. Zresztą mnie obserwowano.

Kupiłem stary wełniany płaszcz na straganie ze szmatami – przetarty na łokciach i trochę za duży, ale nadal przyzwoity – gazetę i duży placek z serem, chociaż ryzykowałem, że będę po nim rzygać jak stąd do Glennfare. Obejrzałem siebie podczas przymiarki. Po ucieczce z pracowni i wchłonięciu dwóch cudzych zakład fraktale Sepii rozpełzły się aż po nadgarstek, zajęły skórę między ramieniem a obojczykiem, fragment klatki piersiowej i szyi; pojedyncze końcówki nici sięgały

aż do zuchwy. Teraz ten obszar trochę swędział. Wydawało mi się, że ślady lekko pociemniały, a zajęta skóra była gorąca.

Bardziej mnie niepokoiło, że dostęp do Źródła wcale się nie poprawił i zasób jednostek spadł o jakieś dwadzieścia procent. Czy eliksir w ogóle działał?

Z plackiem starannie zwiniętym i zapakowanym do kieszeni płaszcz schowałem się w miejskim szalecie. Chciałem na osobności rzucić zakłęcie i zrealizować pomysł, na który wpadłem jeszcze w pracowni Beauforta. Oraz zastanowić się, dlaczego mam wrażenie, że Amandine usiłuje mi coś powiedzieć.

Z artykułu redaktora de Pointeferre'a dowiedziałem się przynajmniej, że jest cała i zdrowa, i w drodze do Alilat. Nowo rzucone zakłęcia lokalizacyjne wskazywało mi jej obecność – gdzieś bardzo daleko, możliwe, że już w Dolorii.

Powinienem tam być.

Ale powinienem się też ukrywać, żeby ją chronić.

Niemal zobaczyłem, jak Amandine przewraca oczami i mówi mi, że ten pomysł jest głupi na tyle różnych sposobów, że nawet nie wie, od czego zacząć. Dystansować się od ukochanej, żeby ją chronić. A gdzie miejsce na jej zdanie?

„Mnie możesz ufać. Jestem po twojej stronie”.

Rozwinąłem gazetę, wieczorne wydanie „Ekspresu Hergest”. Brukowiec, ale nie najniższego lotu. Prawie cały poświęcony spekulacjom na temat Utraconej Bretanii i Maga Pustki. Tutaj już wymieniano moje nazwisko, i w dodatku sugerowano, że mam coś wspólnego z sytuacją w Avalonie, skąd – ponoć – zdołałem się teleportować.

O, gdybym tylko umiał.

Co ciekawe, wcale nie był to przedruk materiałów redaktora de Pointeferre'a. Ktoś zrobił własne zdjęcia bazy na Granicy, przytoczono nawet fragment wywiadu z burmistrzem. Simon de Pointeferre wcale nie wywołał tej lawiny. On ją uprzedził, i to zaledwie o kilka godzin. Wiedział, że inni już są na tropie, i podał własną wersję. Miał lepsze źródło informacji, ciągły kontakt z redakcją, nie ujawnił mojej tożsamości, a także zapewniał mi alibi, publikując zdjęcia w pokoju nawigacyjnym, i tym samym sugerując, że nadal znajdują się na statku...

Poskrobałem się w głowę. Dlaczego?

Nic nie pisał o stanie zdrowia Weylanda. Wiedząc, co się wydarzyło na Glorii, nie mogłem się pozbyć wrażenia, że gdyby porywacze zmusili go do napisania

reportażu, cała historia brzmiałaby zupełnie inaczej.

Najmniej wiarygodne porwanie, o jakim w życiu słyszałem.

Po co w ogóle pisał o tym, że leci do Alilat? Wyłącznie po to, żeby nadać opowieści sensacyjny zabarwienie? Przecież za pomocą kuli można wezwać pomoc i poinformować każdego...

...kto ma łatwy dostęp do kuli...

Chyba że nie mógł po prostu pójść na pocztę.

Artykuł był wiadomością przeznaczoną dla mnie.

Zwinąłem gazetę z szerokim uśmiechem. „Kocham cię, Amandine”.

Wokół rozpadał się świat, a mimo to czułem się zadziwiająco podniesiony na duchu. Niezwłocznie przystąpiłem do sformułowania drugiego zaklęcia lokalizacyjnego.

Kiedy Trzecia Wyrocznia pojawiła się w moim życiu, przyciągnął ją ślad mocy duszoscoka, którą przetworzyłem. W sposób nie do końca dla mnie zrozumiały sięgała poprzez wymiary, obejmując uwagę nie tylko mnie, lecz także ludzi, których dobrze znałem – dzięki temu porwała Margeuritte i Belinde. Zakładałem, że teraz, wolna od łańcuchów run, jakimi skrępował ją Lucjusz, może ze mną porozmawiać bez względu na kontynent i odległość. Wyczuwała mnie, gdziekolwiek się znajdowałem.

Mogłem się zapytać, czy rzeczywiście niszczy świat, jak temu zapobiec i – być może – w jaki sposób dokończyć zaklęcie teleportacji.

Musiałem tylko dać powód do nawiązania kontaktu.

Nie miałem przy sobie żadnych przedmiotów, które ułatwiają sformułowanie wzoru. Ale Wyrocznia nigdzie się nie ruszała. Nadal tkwiła w samym centrum byłej świątyni Cierpliwego Wędrowca, potencjalnego wehikułu służącego do podróży przez Pustkę, obecnie siedziby bretańskiej Gildii Magów. Umiałem ją namierzyć. I wiedziałem, że rozpozna moją intencję nawiązania kontaktu.

Zatem starannie skomponowałem i rzuciłem zaklęcie z nadzieją, że pomysł zadziała. To była najbliższa modlitwie czynność, jakiej się podjąłem, odkąd skończyłem dwanaście lat. Swoją drogą Bretańczycy uważali Skuld za kapryśną boginę, która doradza władcom. I zapewne również Wielkim Magom.

Odzew nie nadszedł, ale podejrzewałem, że muszę zaczekać, aż zasnę.

Załadowana po brzegi barka kołysała się w doku Vvyrnwy, sprawiając wrażenie, że każdy dodatkowy kilogram mógłby pociągnąć ją na dno. Obydwa żagle miała zwinięte.

Alcyone była jednym z większych statków handlowych w porcie. Krajobraz wybrzeża upstrzyły dziesiątki małych łódek i barek, obsługiwanych przez jednego lub dwóch flisaków, oraz łodzie-domy, na których mieściły się rodziny z przychówkiem, żyjące i pracujące na rzece. Ich dzieci jeszcze rzadziej trafiały do szkoły powszechnej niż te ze wsi, zresztą często były to imigranckie rodziny z niewielką znajomością języka. Mogłem się też założyć, że gdzieś znajdowała się przynajmniej jedna łódź Klanów Wędrownych, które zawsze mi przypominały wielki skład pełen dywanów, taniej biżuterii i muzyki granej na harmoniach oraz mandolinach.

Gdzieś po Lyonesse, a zatem również po jej dopływie Vvyrnwy, pływał może jeden z eksperymentalnych parostatków – Żar Niebios albo Gorączka Szmaragdów. O ile wiem, Uczciwy Hrabia został już wtedy zezłomowany i spoczywał w suchym doku.

Kotły parowe były jedną z takich technologii, które dobrze wyglądały na papierze, ale nigdy nie miały szansy się przyjąć. Jako dzieciak czytałem powieść przygodową, której akcja rozgrywała się w świecie, gdzie przed milionami lat doszło do katastrofy unicestwiającej prawie całą faunę i florę. Pomysł dość naciągany – chociaż nie takie rzeczy zdarzały się w fikcji – zakładał, że szczątków było tyle, iż cała ludzkość korzystała z wytworzonego z nich węgla i oleju skalnego. Jak się o tym pomyśli, napędzanie cywilizacji taką trupiarnią brzmi dość makabrycznie. Jednak autor nie wchodził w szczegóły, za to rozwinął wyobraźnię, jeśli chodzi o parostatki, parowe dylizanse i tym podobną maszynierię.

Cóż, węgla kamiennego mamy tyle, ile mamy – dość dużo, żeby robić eksperymenty. Węgiel drzewny prawie w całości trafia do przemysłu. Zawsze jest drewno, ale trzeba by nim chyba załadować pół parostatku. No i na taką stal, żeby nadawała się do produkcji odpowiednich kotłów parowych, stać wyłącznie dużych graczy, na przykład w fabrykach; nikt nie wdroży masowej produkcji. Przecież musi jej pilnować wykwalifikowany mag i rzucać zaklęcia bardzo wysokich temperatur. Zresztą po tragicznej eksplozji Perły Lyonesse rozsądni ludzie nie chcą słyszeć

o ulepszaniu technologii kotłów, zostawiając ją hobbystom, takim jak sir Terence de Branche d'Argent. Oraz bardzo zamożnym ekscentrykiem.

Gdzieś tam krążyły patrole, które mnie szukały. Mnie – Vincenta Thorpe'a, samotnie podróżującego pracownika naukowego, ale nie Marcusa, wytatuowanego zbira z kijem, towarzyszącego blisko ze sobą spokrewnionej załodze Alcyone.

Wszedłem na kołyszący się pod stopami pokład, który aż do Avalonu miałem dzielić z adastriańskim klanem zaprawionych w bojach kobiet, mężczyzn i nastoletnich dzieci, pod twardym przywództwem babki Eleny. Prócz mnie najęto jeszcze jednego najemnika, milczącego gościa z podkrążonymi oczami i zwyczajem żucia tytoniu. Skrzynie wypełnione po ciemku towarem spoczywały w ładowni, ale gdy już znajdowałem się na łódce, zobaczyłem, jak babka rozmawia z zakapturzonym człowiekiem na brzegu i jeszcze jeden pakunek przechodzi z rąk do rąk. Dostrzegłem delikatny poblask magii. Aurę dobrze zamaskowano, ale mój magiczny zmysł odznaczał się szczególną czułością, nawet jeśli nie brać pod uwagę wykrywania Pustki.

Już wiedziałem, co wieziemy. Znajdowałem się na łodzi przemytników artefaktów.

Może mieli kulę magiczną?

Ukryłem swoje zainteresowanie i słuchając poleceń Anzelma, zabrałem się do roboty. Wcześniej powiedziano nam, jakie obowiązki spoczywają na załodze na poszczególnych wachtach, od sprzątnięcia po przygotowywanie posiłków. Nie byliśmy w marynarce, więc wszyscy po kolei robili wszystko. Anzelmo sprawdził moją znajomość węzłów, które pamiętałem jeszcze z czasów studenckich, i orzekł, że jako pomoc się nadam.

Światła lamp odbijały się w ciemnej toni Vvyrnwy. Barka skrzypiała ciężko i rozlegał się cichy plusk wiosła. Opuszczaliśmy port.

\* \* \*

Wachtę kończyłem o północy. Znajdowaliśmy się dzień drogi z górką od Avalonu i dawno wpłynęliśmy na zdradliwe wody Lyonesse, wielkiej rzeki przecinającej całą Arborię, Dolorię i część Adastrii. Przebyliśmy kilkaset kilometrów z Llywarch, zostawiając za sobą górzysty krajobraz i jodłowe lasy. Pogoda stopniowo się poprawiała, uprzedzając nadchodzący wybuch wiosny.

Mijało nas coraz więcej żaglowców i barek płynących w górę rzeki. Od czasu do czasu ich kapitanowie wymieniali wieści z babką Eleną i sądząc po nieodmiennie chmurnej twarzy starszej pani, nie brzmiały one zbyt dobrze. Chodziła po skrzypiącym pokładzie, ciągnąc za uszy swoich synów i wnuków oraz pokrzykując na synowe.

Ja za to w wolnych chwilach usiłowałem poznać statek i dowiedzieć się, czy w ładunku znajduje się chociaż jedna magiczna kula, ale przemytnicy zachowywali się czujnie i nie wszędzie wpuszczali ludzi z zewnątrz.

Obrałem już dzisiaj kilkanaście kilogramów ziemniaków i wyszorowałem kambuz, a potem, na wyraźną prośbę babki Eleny, spędziłem godzinę na demonstrowaniu walki kijem dwóm najmłodszym członkom załogi, urwisom w wieku mniej więcej ośmiu lat. Teraz, opierając się o nadburcie, pełniłem nocną straż. Nie lubiłem tego obowiązku. Nic się wtedy nie działo. Mogłem myśleć.

A wolałem tego nie robić.

Pierwszego dnia odchorowałem skutki eliksiru; drwili ze mnie, że cierpię na chorobę morską. Zwłaszcza drugi najemnik, Ian, wydawał się zadowolony – jego duma ucierpiała, gdy się okazało, że jako jedyny na pokładzie nic nie wie o żegludze. A tutaj, proszę, zachowywałem się jak modelowy szczur lądowy.

Od tamtej pory czułem, jak małe pasożytnicze draństwo przyklejone do mojego Źródła stopniowo staje się coraz mniej wyraźne. Ślady na ciele, z początku czarnobrazowe, zupełnie szczeniały. To była subtelna zmiana i nikt prócz mnie jej nie zauważył, ale objawy mówiły wyraźnie, że Sepia zamierała.

Z tym że moje Źródło również. Zasób jednostek błyskawicznie spadał. Trzeciego dnia zostało ich trzydzieści. Czwartego wykrzesalem z siebie zaledwie pięć. Zaczęłem się szybciej męczyć. Całe szczęście, że przez ostatnich kilka miesięcy nie zaniedbywałem treningów, a dwa ostatnie spędziłem na odpoczynku w Ombre, dlatego nawet mimo gasnącego Źródła moje mięśnie działały całkiem sprawnie.

Przyzwyczałem się do mocy. Przyzwyczałem się do tego, że jestem czarodziejem, jakbym się urodził do tej roli, a długoletnia nauka u Margueritte przygotowała mnie do niej lepiej, niż się spodziewałem.

Zastanawiałem się, co zrobię, jeśli proces się nie zatrzyma i okaże się, że Sepia może zginąć tylko razem ze Źródłem. Jak dalej potoczy się moje życie. Prawdopodobnie Gildia mi nie odpuści. Ani opanowana przeze mnie teoria, ani

wzory poznane w Bretanii nie ulotnią się z mojej głowy, nie przestanę być człowiekiem, który przyłożył się do budowy Mostu na Granicy. Będę wykładać dla swoich następców? A może postarają się, żebym zniknął.

Myslałem, co to oznacza dla Arcymaga i reszty zarażonych czarodziejów z Avalonu. Przecież oni nie mieli wyboru – stopniowo zatrzuwało ich skażenie. Albo stracą Źródło, albo życie. Chyba że doktor Everett wymyśli lepszą recepturę.

A to był tylko wierzchołek góry lodowej, bo nadal nie miałem pojęcia, co dzieje się z resztą moich przyjaciół. Wiedziałem tylko, że Amandine jest prawdopodobnie bezpieczna w Alilat i przeprowadza bliżej nieokreślony plan z pozostałymi pasażerami Glorii, chociaż bardzo chciałem się dowiedzieć, jak do tego doszło i co działo się na statku podczas mojej nieobecności. Prawie wprost dali mi przecież do zrozumienia, że porwanie jest tylko przykrywką.

Obwinałem się też o śmierć Donatiena Beauforta i kilkakrotnie złapałem się na tym, że ponownie przeliczam w pamięci Powstrzymanie Krwotoku, przywołując wspomnienie tamtej sceny i próbując ocenić, jak ciężko zraniono Madeleine i czy dałem radę ją uratować.

Poza tym byłem wdzięczny losowi, że znajdując się na Lyonesse, nie mam gdzie kupić gazet i przeczytać wszystkiego, co prasa brukowa wymyśliła na mój temat przez te kilka dni. Nadal mnie ścigano, i chociaż powtarzałem sobie, że to nieporozumienie musi się w końcu wyjaśnić, wiedziałem, że raz rzucone oskarżenie może szkodzić mojej reputacji w nieskończoność.

– Co piszesz?

Schowałem notatnik z zaklęciem teleportacyjnym do kieszeni płaszcza. Nadal trzymałem tam również kolbę z drugą dawką eliksiru, którą starannie zagwintowałem korkiem od butelki po winie.

– Takie tam szkice, babko Eleno.

Staruszka wpatrywała się we mnie jak sroka w kość. Jej sztywne siwe włosy poruszyły się całe, gdy zmarszczyła czoło.

– A to nie były wzory?

– I tu mnie masz, kapitanie – odparłem. – Uczę się na wiedźmę. Spłacę długi, kupię licencję i czeka mnie dobre życie w Avalonie.

– To jeszcze nie masz licencji? – zapytała. – Taki uczony.

– Nie taki znowu uczony.



– Jak tam sobie uważasz. – Wyděła popękane usta. Podczas ostatnich dwóch dni parę razy odbyliśmy podobną rozmowę i wiedziałem, że o coś mnie podejrzewa. Ale na pewno nie zobaczyła dokładnie, co szkicowałem, jedynym źródłem światła na rzece były w tej chwili latarnia na dziobie i jej własna lampka oliwna. – Dopływamy jutro wieczór. Będę mieć robotę dla was po rozładunku, ale wpierw muszę lepiej wiedzieć, co z ciebie za jeden. Ten mikroob, który nazywają Sepią, zaczął się roznosić, więc jak masz magię, to się pożegnamy. No i jeszcze rozpadliny, psia ich mać.

– Jakie rozpadliny? W środku Arborii?

– A, boś nie słyssał. – Machnęła ręką. – Jeszcze ich nie było, jak wypływaliśmy z portu. Pogadamy rano.

Jakie, na Pustkę, rozpadliny? U nas? W Arborii? W domu?! Co jeszcze Iglica wykombinowała, kiedy mnie nie było? W dodatku Sepia zaczęła uwalniać zarodniki? Pięknie, dzięki Beaufortowi nazywali ją teraz Sepią, ale najwidoczniej nikt się nie zorientował, co to jest. Oczywiście minęło tylko kilka dni; to niewiele, jeśli chodzi o badania od podstaw. Może jedynie moje wzory na skórze wyglądają tak charakterystycznie. A może naprawdę istnieje niewielu ludzi, którzy są równocześnie botanikami z powołania i specjalistami od magii – zwłaszcza tej związanej ze skażeniem – i wiedzą coś o medycynie.

Moja wachta się kończyła, więc oddałem stanowisko Anzelmowi i zszedłem pod pokład. Popatrzyłem na swoją koję, jedną z czterech w ciasnym, pachnącym wilgotnym drewnem pomieszczeniu w kajucie pod pokładem, posłaną równo jak w wojsku, ściągnąłem buty i płaszcz i zwinąłem się pod kocem. Miałem wrażenie, że od samego początku podróży nie odpocząłem nawet przez minutę. Ian twierdził, że przewracam się z boku na bok, mówię przez sen i ogólnie nie daję ludziom spać.

Codziennie budziłem się, gwałtownie wciągając powietrze w płuca, chociaż nie pamiętałem, abym śnił. Dręczyło mnie powtarzające się wrażenie, że coś – lub ktoś – mnie szuka, i to uczucie zamiast nadziei wywoływało dreszcze. Nie wiedziałem, skąd się tego domyślam, ale to nie była Trzecia Wyrocznia, tylko coś innego, znacznie bardziej złowieszczego. Zastanawiałem się, czy Iglica nie próbuje mnie zlokalizować zaklęciem. Podróżowałem wodą, co bardzo utrudniało magię dywinacyjną (a przynajmniej w klasycznej wersji, bo moje zaklęcie zawierało elementy magii Pustki i działało poprzez wymiary, a co dopiero przez wodę). Może w Avalonie też próbowano mnie znaleźć? Jak już wspominałem, dałbym się

aresztować tylko po to, żeby przekazać wiadomość. Tyle że ludzie Iglicy mogą się teleportować i dotrą do mnie pierwsi. Albo żandarmeria zacznie od strzelania, jak ostatnio. A teraz nawet nie mogłem się obronić.

Nie myśleć. Trzeba się wyspać.

Nie myśleć.

Zamknąłem oczy.

\* \* \*

Stałem na posadzce z żółto prążkowanego marmuru, a dookoła świat kończył się we mgle. Miałem bose stopy i dotyk chłodnego kamienia koił moją skórę jak kompres. Biała rzeźba pośrodku dziedzińca, poprzecznie żebrowana ryba w kształcie litery S, wypływała strumień krystalicznie przejrzystej wody do fontanny.

Zielonowłosa dziewczyna w długim białym giele, którą znałem jako Skuld, Trzecią Wyrocznię, stała odwrócona do mnie plecami.

Odetchnąłem z ulgą.

– Miło cię znowu widzieć, Wyrocznio. Potrzebuję twojej rady. Chciałbym zapytać...

Skuld odwróciła głowę w moją stronę. Jej rozpuszczone włosy unosiły się jak naelektryzowane. Błada skóra wydawała się jeszcze bardziej nienaturalna niż zwykle. Oczy lśniły zielonym światłem.

– Odnalazłam cię. Ale nie powinnam. – Jej głos pobrzmiwał echem. – Odejdź.

– Chciałem tylko... – zacząłem.

– Odejdź! – krzyknęła. Mgła wokół mnie zaczęła gwałtownie ciemnieć. Marmur pod stopami błyskawicznie pokrywał się czarnobrazowymi fraktalnymi wzorami. Wokół Skuld wyrastał krąg z półprzezroczystych kamieni, podobny do mozaiki we wnętrzu kaplicy Trzeciej Wyroczni w rzeczywistym świecie.

– Jest tutaj. – Głos Wyroczni się zmienił, stał się bardziej sztuczny, jakby mechaniczny. – Zniszczy nas. Trzeba go unicestwić.

Mówiła teraz szybko i gwałtownie, nie zwracając się chyba do mnie, w języku, którego nie rozpoznawałem. Kamienny krąg powstawał również wokół mnie, półprzezroczyste cegły materializowały się jedna na drugiej. Cofnąłem się o krok, tylko po to, aby uderzyć plecami o zimną ścianę. Wyrocznia się zmieniała. Z jej

twarży całymi płatami odchodziła skóra, odsłaniając lśniący metal. Oczy przypominały automagiczne lampy. Ręce przeistaczały się w stalowe szpony.

– Zniszczyć.

Krąg zwiężał się i zaciskał, zaczynał już miażdżyć barki.

Coś mną zatrzęsło. Jakby szarpnięcie.

– Marcus!

Jaki znowu Marcus?

Znów szarpnięcie.

– Marcus, pies cię czniał, a twoja matka dawała erlingom.

Otworzyłem oczy. Leżałem na ciasnej, śmierdzącej koi w pomieszczeniu zalatującym wilgotnym drewnem. Tonąłem we własnym pocie, a nade mną widniała wyjątkowo wkurzona gęba drugiego najemnika, Iana.

Zamachnąłem się pięścią. Jestem bardzo pokojowym człowiekiem, ale nikt nie będzie bezkarnie obrażał mojej matki. Ian cofnął się poza zasięg moich rąk.

– Opium chcesz? – zapytał agresywnym tonem. – A może meliski? A może w łeb, żebyś się tak nie rzucał?

Dźwignąłem się ciężko.

– Miałem kosz... mar.

– Widzę! Wypad stąd na pokład i wróć za godzinę. Niech chociaż zdążę zasnąć.

Nadal odrętwiały wygrzebałem się z łóżka i wyszedłem z kabiny. Oparłem się plecami o ścianę. Barka kołysała się spokojnie na falach.

Sepia była nieodwołalnie martwa.

Moje Źródło też.

Rozpaczliwie spróbowałem poszukać kwantów mocy, czegokolwiek, co mogło jeszcze krążyć po moich kanałach energetycznych. Jednak ich także nie wyczułem. Nie tylko zgasło Źródło, lecz także miałem wrażenie, jakbym stracił kontakt ze wszystkim, czego nauczyłem się kiedyś o postrzeganiu magii. Ostatnim razem byłem taki ślepy, nieświadomy i bezradny jako trzynastoletni chłopiec. Czy właśnie tak zawsze czuła się Amandine?

Schowałem twarz w dłoniach. Odetchnąłem głęboko. Raz, potem drugi.

Cóż, przynajmniej teraz nie zniszczę świata. Wyrocznia o to zadbała. Albo eliksir. Nieważne.

Emocjonalnie ogłuszony – po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku dni – myśląc tylko o tym, żeby się przewietrzyć, dotarłem do schodków i chwiejnym krokiem, opierając się ciężko o balustradę, wyszedłem na pokład. Nie wzięłem gumiaków, więc w pierwszej chwili nie przyciągnąłem uwagi dwójki rozmówców spacerujących po pokładzie. Ciężkie buty Anzelma zagłuszały moje kroki.

Trzymał w rękach przenośną kulę magiczną.

Dziwnie wyglądała, gdy nie dostrzegalem w niej mocy. Jak zwykle, martwe szkło. Ale świeciła od środka, więc właśnie rozmawiał. Towarzyszyła mu babka Elena.

Zobaczyli mnie wreszcie w blasku latarni na dziobie okrętu. Elena uśmiechnęła się życzliwie, ale spojrzenie Anzelma przez ułamek sekundy wyrażało uczucie, którego w pierwszej chwili nie rozpoznałem. Jakby się we mnie zakochał albo co. Dopiero po chwili się zorientowałem, że to czysta chciwość. Widział we mnie chodzący worek z denarami.

Dowiedzieli się, kim jestem.

„Wszystko jedno – pomyślałem sobie. – Anzelmo ma kulę, w dodatku uruchomioną, nie trzeba na nią wydawać nawet kwanta. Dzięki temu kryształowi nawiążę kontakt z Amandine. Porozumiem się z doktor Everett i przekażę, czym jest Sepia. Dowiem się, czy moi rodzice i Liliana są bezpieczni i czy ojciec skutecznie wypłoszył reporterów z posiadłości, co się dzieje z Kathryn i Belinde, czy nie zapadły na Sepię, czy udało im się umknąć z ogarniętego epidemią Avalonu. Porozmawiam z Meg, która na pewno znajdzie dla mnie lekarstwo”. Cała nadzieja świata skupiała się w świecącym magicznym przedmiocie. Byłem gotów zabić dla tej kuli.

Nigdy się jednak nie dowiedziałem, czy rzeczywiście bym to zrobił i czy Anzelmo odczytał moje zamiary, bo w tej samej chwili łodzią zatrzęsło. Coś ciężkiego staranowało nas po ciemku. Babka Elena wysoko uniosła latarnię; dostrzegłem zarysy wielkiego, niewyraźnego kształtu na wodzie, być może zamaskowanego zakłębieniem. Adastriańczyk schował kulę w kieszeni płaszcza i dobył rewolweru.

– Do broni! – huknął. – Piraci!

Priorytety, Vince.

Zeskoczyłem pod pokład i załomotałem do drzwi mojej kabiny. Ze wszystkich innych już wysypywali się ludzie. Otworzył mi zaspany i wściekły Ian.

– Co znowu, psiakrew... – zaczął.

– Piraci. – Wzulem buty, narzuciłem płaszcz, złapałem kij. – Rusz się!

Wybiegłem na zewnątrz, ścigany wykrzykiwaną z emfazą litanią do wszystkich dam negocjowalnego afektu. Zatrudniono mnie do obrony tej łajby, ale nie dlatego tak się rwałem do pomocy załodze Alcyone. Nie zamierzałem uciekać, dopóki nie zdobędę magicznej kuli.

Prawie w wejściu zderzyłem się z dwoma typami uzbrojonymi w noże, którzy usiłovali wdrzeć się pod pokład. Kij ma dłuższy zasięg, poza tym nie spodziewali się mnie; jednemu skasowałem nadgarstek, drugiego dźgnąłem w splot słoneczny, a potem obydwu huknąłem po kostkach. Czułem, jak krew pulsuje mi w uszach.

Żadnych własnych tarcz, żadnej automagii, i to nie są ani pustkostwory, ani partnerzy treningowi. Uderzałem szybko, efektywnie i bez powstrzymywania ciosów, słysząc, jak łamią się kości. Nie żałowałem bandytów, ale nie podobało mi się, że muszę to robić. A jeszcze mniej, że niesie mnie adrenalina.

Wyminąłem leżących napastników. Dobiegło do mnie charknięcie, gdy Ian prawdopodobnie dobijał ich nożem.

Gdybym podróżował z Meg, zostawilibyśmy ich pokiereszowanych, ale żywych. Nie byliśmy mordercami.

To nie jest pokaz walk. To nie jest żadna gra.

A ja nie stoję z tyłu, osłaniając tarczami grupkę krwiożerczych czarodziejów, którzy ciskają kule ogniste. Wróciłem z Bretanii do domu. Nie uczestniczę w wojnie.

Barka kołysała się niebezpiecznie. Kilkanaście osób, przemytników i bandytów, kłębiło się na pokładzie. Po ciemku nie rozpoznawałem wieku ani płci, ale niektórzy walczący byli niepokojąco niscy. Wolałem się nad tym nie zastanawiać. W pewnej chwili zorientowałem się, że stoję plecami w plecy z Anzelmem. Kij furkotał w moich rękach, a dwóch przeciwników z maczetami – młody chłopak i barczysta kobieta po czterdzieście – usiłowało do mnie podejść. Na razie nie słyszałem, żeby na pokładzie padły strzały, co mnie nie dziwiło – po ciemku i w panującym zamieszaniu łatwo o pomyłkę.

Gdybyśmy brali udział w sztuce teatralnej, walka toczyłaby się jeszcze kwadrans, pełna nieprawdopodobnych szarż i wymiany ciosów, którym towarzyszyłyby huknięcia produkowane przez specjalistę od dźwięku. Ale wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Podciąłem nogi kobiecie; upadła na plecy. Potem trafiłem w łokieć chłopaka, który wreszcie się zdecydował i doskoczył do mnie z maczetą. Ostrze tylko musnęło płaszcz – było zbyt tępe, żeby go rozpruć. Cofnął się, próbując wyjść poza zasięg obracającego się kija, przechylił się w stronę nadburcia, a potem przez chwilę usiłował złapać równowagę, zanim z pluskiem wpadł do wody.

Za sobą usłyszałem podobny dźwięk i kątem oka zobaczyłem jeszcze, że Anzelmo wpada do wody. Odruchowo przełożyłem kij przez ramię; z traskiem zatrzymał się na cudzym ciele. Przeciwnik Adastriańczyka zwinął się na deskach, z jękiem łapiąc się za nogę.

Anzelmo nie szamotał się w wodzie i domyśliłem się, że to bardzo zły znak, zanim jeszcze jego podgolony łeb zaczął się zanurzać pod powierzchnię fal. W ciemnej toni Lyonesse właśnie znikła moja szansa na odzyskanie kontaktu ze światem.

Nie zastanawiałem się długo. Zrzuciłem płaszcz i skoczyłem za nim.

To mógł być najgorszy i ostatni błąd w moim życiu, bo nie skojarzyłem, że temperatura wody sięga może kilku stopni, a ja – pozbawiony mocy – nie mogę użyć uroków, których się nauczyłem po tym, jak wymarzęm w Bretanii, pomagając rzeczniczemu smokowi. Nie kierowały mną jednak podświadome skłonności samobójcze. Ani nadmiar heroizmu. Po prostu bardzo chciałem dostać kulę.

Złapałem Anzelma za włosy, zanim poszedł na dno. Później chwyciłem go za rękę i objąłem. Był ciężkim, masywnym zbirem mojego wzrostu, ale w wodzie różnica wagi nie miała aż tak dużego znaczenia. Położyłem się na plecach, podtrzymując go jedną ręką, z nadzieją, że nie porwie mnie żaden wir ukryty w toni szerokiej, pozornie leniwej rzeki.

Nie musiałem sprawdzać, jak długo wytrzymam w Lyonesse, zanim pokona mnie wychłodzenie lub ciężar Anzelma, bo zaraz obok nas wylądowała gruba lina. Złapałem ją jedną ręką i powoli, przy akompaniamencie głośnych okrzyków, kilka par silnych ramion wyciągnęło nas na pokład.

– Uratowałeś mi życie – powiedział Anzelmo, marszcząc brwi. Piraci odpłynęli z nurtem Lyonesse. Zwyciężyliśmy i chyba nikt nie zginął, bo w zachowaniu przemytników wyczuwałem raczej tryumf niż żalobę. Możliwe, że piraci spodziewali się zwykłego statku handlowego; w każdym razie nie docenili nas już w chwili ataku. Tuż obok stała babka Elena, z marszem na czole i splecionymi ramionami. Na jej spódnicy widniały ślady cudzej krwi. Obok ukłękła młoda czarnowłosa kobieta, która – o ile pamiętałem – była narzeczoną przemytnika. Podawano nam właśnie ciężkie, suche koce. Jeden z tych urwisów, których uczyłem walki kijem, wcisnął mi do ręki piersiówkę z wyjątkowo cuchnącą anyżkową wódką.

– Rzykowałaś dla mnie życie, człowieku.

Wzruszyłem ramionami. Wódki popijać nie chciałem, bo to bardzo kiepski pomysł w razie hipotermii – od alkoholu skóra szybciej traci ciepło. Zdjąłem tylko koszulę i starannie owinąłem się wełnianym kocem.

– I co ja mam teraz zrobić? – Adastriańczyk wyjął z kieszeni kulę magiczną. Była ciemna i widniała na niej wyraźna pajęczyna stłuczenia.

Poczułem się jak przekłuty balon statku powietrznego.

– Masz pojęcie, ile to kosztowało? – spytał z agresywną gestykulacją. Nie umiał okazywać wdzięczności, więc natychmiast przełączył się w znajomy i zrozumiały tryb. – Więcej niż ja i cała ta łajba!

– Zwróci się – odparła spokojnie babka Elena. – On nam nie ucieknie. Wbrew temu, co piszą w gazecie, Vincent Thorpe nie ma żadnej magii. Na pewno nie magii Pustki. Inaczej już byśmy jej trochę zobaczyli. Bałam się, że nie pójdzie tak łatwo. Bystrzak z ciebie i zaraz byś się połapał, że chcemy cię sprzedać.

Usłyszałem kilka zaskoczonych westchnień. Nie cała załoga знаła moją tożsamość i została wtajemniczona w plan.

– Możesz skakać do wody i pewnie nawet trochę popływasz – ciągnęła głowa klanu przemytników – ale na tę okazję tutaj obecny Edoardo przygotował harpun z linką. Złowimy cię jak sumę i za martwego też coś dostaniemy. A gdyby nie trafił, to podpłyniemy spokojnie do brzegu i zgarniemy cię, gdy będziesz umierał z zimna.

– Uratowałem życie pani syna – wtrąciłem. Mimochodem zsunąłem z ramion wełniany koc i poszukałem wzrokiem kija. – Czy to dla pani nic nie znaczy?

– Znaczy bardzo dużo, bo Anzelmo ma się właśnie żenić. A ty mu ufundujesz wesele.

– Matka! – warknął Adastriańczyk. – Jakby on mnie z tej wody nie wyciągnął, nie byłoby żadnego wesela.

– Zaraz, zaraz. – Uniosłem ręce. – Zgadzam się na por... wanie dla okupu. Albo oddanie władzom. Ale pod warunkiem, że dos... tanę pięć minut przy kuli magicznej. Nie tej, to innej. Albo wysy... łacie dla mnie list do Centralnego Szpitala. Znam lekarstwo na Sepię.

– I możesz wyleczyć czarodziejów? – spytała z niedowierzaniem babka Elena.

– Tak.

Przemytniczka oblizwała popękane usta.

– To już wiem, czego cię tak szukają. Severia płaci więcej niż gliny. Ale ona cię chce żywego albo martwego, znaczy, że idzie tu jeszcze o co innego. Sam rozniosłeś tę zarazę? Nie, teleportować się nie umiesz... Taką głupotę tylko pismaki mogą wymyślić. Skoro ci zależy, czemuś się od razu nie dał pojąć strażom? Wyśpiewałbyś im wszystko, i tyle.

– Zaczynali od strzelania – odparłem. – Są ludzie, którzy chcą mnie zlikwidować, mają wtyki w żandarmerii i polo... wali na mnie w Llywarch.

Zacisnęła usta.

– Mhm. Nie możesz nikomu zaufać, co?

Rozłożyłem dłonie.

– A wy możecie? Jesteście pewni, że nie oszukają was z tą nagrodą?

– Jeśli chcecie znać moje zdanie – najemnik Ian podszedł bliżej – cała sprawa cuchnie gorzej niż avaloński smog zimą. Rzecz jest w oczywisty sposób polityczna i z gruntu podejrzana. Jeszcze wystrzelają nas razem z nim, żeby zatrzeć ślady. Ja bym puścił go wolno i udawał, że nigdy nie widziałem na oczy.

– Ja bym mu dał w łeb – dorzucił Edoardo.

– No nie, jednak wyciągnął mnie z wody – sprzeciwił się Anzelmo.

Ian oparł ręce na kolanach.

– Sam się wykończy. Spójrzcie na niego. Śpi, jakby ścigało go stado demonów. Nikomu nie wierzy, nikomu nie ufa. Schudł jeszcze, odkąd wszedł na łódkę. Wydaje



się twardy, ale widziałem już ludzi w szoku po wojnie w Satrapii, i o, tyle mu brakuje. – Pokazał na palcach. – Żeby pęknął.

– Umieć zadbać o siebie, dzie... kuję – odparłem. Moje palce dotykały kija tak na wszelki wypadek. Pewnie zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli zechcą dać mi w łeb, będę stawiać opór. – I mam przyjaciół.

– Ciekawe, ilu ich pozostało – powiedział Ian. – Dostałem wczoraj gazetkę od kapitana słupu, który tędy przepływał. Nie wiesz, co o tobie piszą.

– Domyślam się.

– Spokój, chłopcy. – Babka Elena weszła między nas. – Podjęłam decyzję. Przybijamy do brzegu. Paola i Graziano potrzebują medyka. Thorpe, więcej z tobą kłopotu niż zysku. Zarobiłeś na sobie, ratując mi syna, żeby nie było, że skąpię tych kilku denarów. Wyplacę ci za te cztery dni minus zaliczka. Ale warunek daję taki, że nie nocujesz we wsi i jedziesz, czym możesz, tak prędko, jak możesz. Sprzedam informacje o tobie. My ryzykujemy mniej, ty dostaniesz szansę ucieczki, Anzelmo nie będzie musiał czuć się paskudnie. – Pieszczotliwie podrapała syna za uchem. Z szacunku dla Adastriańczyka wszyscy postanowiliśmy tego nie zauważyć.

\* \* \*

Alcyone przycumowała w najbliższej oczyszczonej z trzciny zatoczce, pełniącej dla miejscowych funkcję portu. Gdzieś w zasięgu wzroku krążyła oświetlona łódka straży rzecznej, i tym razem obecność władz okazała się babce Elenie na rękę. Nie mieliśmy wypisane na burcie „przemytnicy artefaktów”, a piraci zawsze mogli wrócić z kolegami.

Nie spałem tej nocy i ani trochę nie odpocząłem. Szok wynikający z utraty Źródła był tak wielki, że niezupełnie pamiętam, jak dotarłem do Cairbre – nieco większej wsi, gdzie znajdował się już pełnoprawny zajazd dla dyliżansów. Gdy próbuję sobie przypomnieć tamtych kilka godzin, majaczy mi podróż konno z gospodarzem wysłanym po medyka dla przemytników. Migawki wspomnień – chłód, który nie ustępował po tym, jak wyciągnięto mnie z rzeki, i błady księżyc zasnuty strzępiastymi chmurami, które zwiastowały burzę. Palce zaciśnięte na notesie w kieszeni płaszczka, tak na wszelki wypadek, butelka z resztką eliksiru wciągnięta w kieszeni. Słabość mięśni i żołądek zaciśnięty z głodu.

Niebo szarzało już w oczekiwaniu na świt. Zostałem zajązdz zamknięty na głucho. Żadnych dyliżansów na dziedzińcu. Tylko światło w budce strażnika tuż przy wejściu. Znajdowałem się przed bramą, a przez przetarte podeszwy gumiaków czułem bruk, który po czterech dniach na łódce nadal wydawał się podejrzanie nieruchomy. Gospodarz gdzieś zniknął. Może nawet go pożegnałem. Nie pamiętam. Wiem, że nasunąłem kaszkiet na oczy i podszedłem bliżej do budki.

– Co tu się stało?

Strażnik, który od dłuższego czasu przysypiał, na mój widok wyprostował się i zamrugał niezadowolony, że przerywają mu drzemkę.

– Panie, a pan się z księżycą urwał?

– Nie, płynąłem rzeką.

– Masz pan. – Wręczył mi gazetę. – To z wczoraj. Trzecia rozpadlina pod Dolinką, wszędzie pełno wojska. Żeśmy zamknęli wczoraj, bo droga zastawiona i objazd przez Tiobre. Pojechało, co miało pojechać, i tyle.

– Inne postoje działają? Dojadę czym do Avalonu?

– Panie, jak tego skurczybyka złapią, to może i dojedziesz.

– Skurczybyka – powtórzyłem. Wiedziałem, co zaraz usłyszę.

– No, tego Thorpe’a. To jego wina. On się teleportuje i to robi. O, tutaj napisali.

Rozwinąłem gazetę. Rozpoznawałem wielką czcionkę „Pszczółki Avalońskiej”, gazety brukowej, która profesjonalnie mijała się z prawdą, i w dodatku była szczególnie cięta na Federalistów (partię, którą wiązano z Meg, chociaż uważała wielką politykę za coś w rodzaju krykieta – dobrze, że tą męczarnią może się zajmować ktoś inny). Wszystko, czego się z niej dowiem, będzie trzeba przesiewać przez bardzo gęste sito. Uzbroiłem się psychicznie na okoliczność sensacyjnych nagłówków. O Meg przecież też od czasu do czasu pisano różne rzeczy.

NADCHODZI DRUGIE ROZDARCIE – głosił napis na pierwszej stronie. Rozpadliny pojawiały się w samym centrum kraju. Spełniał się mój najgorszy koszmar. A ja nie byłem już Magiem Pustki i nie mogłem nic z tym zrobić. Nigdy, nawet wtedy, gdy ledwo mówiłem i chodziłem, nie czułem się tak bezsilny i beużyteczny.

Przekartkowałem gazetę.

Nie przygotowałem się, bo niby jak, na wielkie zdjęcie Florence Cerise, matki Amandine, na wewnętrznej szpalcie.

A TO BYŁ TAKI MIŁY CHŁOPAK! – oznajmiały litery wielkości mojego kciuka. A pod spodem malutka okultografia Amandine w jednej ze swoich najbardziej czarujących póz. Coś o porwaniu. Że ostatnim razem widziano mnie na Glorii d’Aquamarine. Nie doczytałem.

– Panie, pan się dobrze czujesz?

– Jechałem... całą noc. Macie otwartą gos... podę? Żeby coś zjeść?

Wzruszył ramionami.

– Za dwie godziny otworzy się piekarnia we wsi. O, tam. Kawalek na piechotę.

Zacząłem kuśtykać w tamtym kierunku. Na wsi czas płynie wolniej niż w Avalonie, a wszystkie odległości są nieokreślone i rozciągają się bez końca. Ma to swoje dobre i złe strony, jak w tym wypadku; przez „kawalek na piechotę” strażnik mógł rozumieć dziesięć minut albo godzinę.

Co jeszcze się może wydarzyć? Domyślałem się, jak brukowce preparują materiały, a mimo to zwątpiłem. Może Florence rzeczywiście w dobrej wierze udzieliła im wywiadu, wylewając żale na mój temat. A jeśli tak – jakim cudem Amandine nie powiadomiła jej jeszcze, że jest bezpieczna? Czy rzeczywiście jest? Czy coś się zmieniło przez tych kilka dni? W moim żołądku umościła się lodowa kula.

Obwiniano mnie o powstawanie rozpadlin – i może faktycznie ponosiłem część winy? Zmieniliśmy świat. Przywiozłem ze sobą cały ten nieszczęsny bretański burdel. Albo dołożyłem się przez zaniechanie. Albo, kto wie, błąd we wzorze Mostu, albo... A może teorie Iglicy były prawdziwe? Przecież Wyrocznia usiłowała mnie zabić. Tylko dlaczego dopiero teraz?

Napływały do mnie nieproszone wspomnienia zniszczonej wojną Bretanii. Nasze wojsko poradzi sobie z rozpadlinami. Prawda?

Przecież to tylko jedna głupia gazeta. Nawet nie wiem, co piszą w innych. Nie może być aż tak źle.

Odnosiłem wrażenie, że cały świat rzuca mi dzisiaj kłody pod nogi. Piekarnia okazała się zamknięta; strażnik, nietutejszy, nie był widać dość dobrze poinformowany. Krążyłem od gospodarstwa do gospodarstwa, coraz wyraźniej kuśtykając ze zmęczenia i coraz ciężiej opierając się na kij. Dopytywałem

o transport do Avalonu. Niektóre drzwi zamykały się przede mną na głucho, zanim zdążyłem przemówić. Byłem już niemal przekonany, że nim znajdę kogoś, kto może mnie podwieźć, dotrze do mnie żandarmeria. Nie obronię się, jeśli zaczną od strzelania, tak jak w Ynysforan.

– A zajrzyj do Stepana – powiedział wreszcie staruszek, który obserwował mnie z ganku, podczas gdy wokół niego bawiły się kocięta. – On miał jechać na targ. Ale szwagier nie chce mu pomóc, bo się boi pustkostworów.

– Dziękuję.

– Jakoś znajomo mi wyglądasz. Z Tiobre? Jaką krzywdę sobie teraz młodzież robi. Zastanów się, jak będziesz wyglądać w moim wieku.

„Jak stary człowiek z tatuażem” – przemknęło mi przez głowę. Przez chwilę próbowałem znaleźć oparcie w myśli, że zestarzeję się razem z Amandine, ale przypomniałem sobie artykuł i znów zacząłem się o nią bać.

Znalazłem Stepana przy załadowanym po brzegi i przykrytym woskowanym płótnem wozie drabiniastym, naprzeciwko świeżo odmalowanej stodoły. Miał ze czterdzieści lat, portki na szelkach, ręce z ziemią trwale wżartą w skórę i gumiaki podobne do moich, tyle że nowsze i mniej znoszone. Wpatrywał się w ładunek, jakby chciał go zabić, i mamrotał do siebie, gdy do niego podszedłem. W odpowiedzi na powitanie rzucił mi spojrzenie spode łba.

– Nie mam żadnych pieniędzy, nie mam papierosa, a to nie jest dylizans.

– Podobno potrzebuje pan eskorty do Avalonu.

– Do Tiobre.

– Wystarczy.

Cofnąłem się, ukloniłem teatralnie i pokazowo zafurkotałem kijem. W moim obecnym stanie miałem całkiem wysoką szansę, że go upuszczę, uderzę się w nogę albo skompromituję w inny sposób, ale dałem radę.

– Nie płacę.

– Nie szkodzi. Potrzebuję tran... sportu.

Zmrużył oczy.

– Naprawdę nie mam żadnych pieniędzy. Tylko same długi.

– Już pan powiedział – westchnąłem. – Nie obrabuję pana. Wiem, jak wyglądam. Jestem zmar... nowany i bardzo się spie... szę.

– To jak ja. – Stepan zastanawiał się chwilę. Gruba kobyłka przy wozie parsknęła, omiatając zad ogonem. – Wsiadaj pan. Ale przy rozładunku też pomożesz.

\* \* \*

Najemnik Ian, mój towarzysz z kabiny na Alcyone, miał rację, gdy twierdził, że zbliżam się do kresu wytrzymałości. W życiu zdarzają się takie etapy, kiedy wszystkie nieszczęścia uderzają naraz. Osobno można je rozpracować albo odchorować, zastanowić się co dalej. Ale razem wydają się nie do pokonania. Podążałem do Avalonu chyba tylko siłą rozpędu. Wolałbym wyruszyć w stronę Dolorii, ale przebycie tak długiej drogi, skoro wydano za mną listy gończe, wydawało się nierealne. Ostatni raz jadłem poprzedniego wieczoru, a wyspałem się... chyba jeszcze w Ombre. Podczas noclegów na barce w ogóle nie odzykiwałem się, budziłem się wyczerpany, z nieodpartym wrażeniem, że poszukuje mnie nieznana mroczna siła.

Wóz toczył się leniwie po błotnistej drodze, ciągnięty przez spokojną gniadą kobyłkę. Jechaliśmy jedynym dostępnym skrótem, główne gościńce zamknęło wojsko. Szlak prowadził lekko pod górę, przez zagajnik pełen brzoź i sosen. W zwykłych warunkach zasnąłbym w drodze, ale teraz siedziałem na koźle czujnie, z mięśniami napiętymi jak struna, bezwiednie zaciskając dłoń na kijku. Nie udało mi się dowiedzieć, gdzie dokładnie otworzyły się rozpadliny – Stepan znał więcej plotek niż faktów, poza tym był gderliwy i mało pomocny. Podejrzywałem, że nie wyczułbym teraz zmiany tła, nie mogłem liczyć na instynkt, gdyby zaczęły zbliżać się erlingi, harpie albo inne, rzadsze pustkostwory. Więc obserwowałem otoczenie, wypatrując każdego nietypowego poruszenia w krzakach.

Słońce wzeszło już jakiś czas temu, ale ledwo prześwitywało przez chmury. Po pewnym czasie dostrzeżliśmy, że w naszą stronę sunie sinoczarny, skłębiony front burzowy. Stepan wyciągnął zza kozła płócienną pałatkę i po namyśle drugą podał mnie.

– Do zwrotu – burknął. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział od dłuższego czasu.

Sine chmury nadciągały nieuchronnie jak flotyła bojowych statków powietrznych z groszowych powieści madame Chateaubriand. Pierwszy błysk

odbarwił świat, pozostawiając po sobie powidoki. Nad głowami przetoczył się odległy huk gromu.

Niedługo później lunęło.

Gliniasta droga, przeorana już koleinami, zmieniała się w leniwie płynącą rzekę. Zsiadliśmy z wozu, żeby dodatkowo nie obciążać konia, i szliśmy obok, wlokąc się noga za nogą. Zastanawiałem się, czy razem z deszczem nie spływa na nas skażony pył rozpadliny – przecież nawet bym tego nie zauważył. Pustkostworów zresztą też nie, właściwie z trudnością dostrzegałem kobyłkę. Tyle dobrze, że się nie spłoszyła. Wysforowałem się naprzód, badając drogę kijem. Nawet ostatniej nocy było jaśniej. Z wyjątkiem tych chwil, gdy błyski wydobywały z ciemności nasze sylwetki, wóz i drzewa jak narysowane piórkiem.

W pewnym momencie kobyłka stanęła.

– Wioo! Heej! Rusz się, Gniada! – Stepan bezskutecznie zdierał sobie gardło.

Kolejny błysk lepiej odsłonił sytuację – otóż jedno z kół zakopało się w błocie. Wyszliśmy już na górkę i brakowało nam dosłownie kilku metrów, żeby droga zaczęła z wolna prowadzić w dół, ale utknęliśmy właśnie tutaj. Przed nami wiele innych pojazdów wyrzeźbiło na podejściu głębokie koleiny.

I wtedy właśnie nadeszło załamanie nerwowe. Ale nie moje, tylko Stepana.

– Co jeszcze?! – wrzasnęła, wyrażając pięściami niebu. – Co, na Pustkę?! Załóż inspekty, mówili! Zainwestuj! Bądź nowoczesny, tylko zyskasz! Najpierw nowe podatki, psiakrew! Potem rozpadliny! Ze wszystkich rzeczy, w samym środku Arborii! Przedwośnie, przecież wszystko mi pognij! Niech jeszcze smok przyleci albo troll jakiś i warzywa zeżre! Co tu się jeszcze może stać?!

Nie potrafiłem wykrzesać z siebie ani odrobiny współczucia. Jakie on w ogóle ma problemy w życiu? Czy to jego narzeczoną porwano gdzieś za granicę? Czy mordowano przy nim znajomych? Czy spędził ostatni tydzień zaszczuty jak zwierzę? Czy cały świat na zmianę czegoś od niego chciał albo go nienawdził? Nikomu nie mogłem ufać, Pustka rozrywała świat, a ten się martwi o jakieś inspekty!

– Może się napatoczyć Mag Pustki! – warknąłem do wtóru huku gromu i ogłuszającego szumu ulewy.

Spojrzał na mnie. Ucichł. Kolejna błyskawica ukazała mi jego twarz w ostrych kontrastach. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Lodowa kula w moim

żołądka jakby urosła. Czy ucieknie? Spróbuje mnie zabić? Nie miał ze mną szans w walce. Ani z ewentualnymi pustkostworami w lesie. Zginie dlatego, że mnie rozpoznał. Czy poziomem egotyzmu i paranoi właśnie dorównałem Lucjuszowi Szalonemu?

– Ma pan rację! – zawołał, jakby zawstydzony. – Pan tu poczeka! I mocno się trzyma!

Zamrugałem. Jego reakcja wydała mi się zupełnie nieadekwatna. Patrzyłem, jak okrąży wóz i zaczyna poprawiać na nim woskowaną plandekę, jeszcze staranniej owijając transportowany ładunek. Znowu błysnęło. Mignęły mi bladezielone kule wielkości ludzkiej głowy. Nagle zrozumiałem, co usłyszał.

„Mogą się panu potoczyć kapustki!”.

Kapustki! Świat nie obraca się wokół ciebie, Vincencie. Są rzeczy ważne i ważniejsze.

Z gardła wyrwał mi się zduszony śmiech. Po chwili chichotałem przez łyzy, które spływały mi ciurkiem po policzkach. Płakałem i śmiałem się na przemian, i chociaż Stepan nie wiedział, co przyprawiło mnie o tę chwilową utratę zmysłów, zawtórował mi. Zanosiliśmy się histerycznym pieniem, wolni od wstydu, bo wszystkie łyzy niknęły w deszczu. Ryczeliliśmy jak idioci, wypychając wóz z błota dzięki spróchniałym konarom, które podrzuciliśmy w poprzek pod koła. Gniada dłuższy czas stąpała w miejscu, mokra, przemarznięta i niezadowolona, ale wreszcie ruszyła naprzód.

Powoli się uspokajałem.

Czułem się tak, jakbym dobiegł do mety po wyścigu na długim dystansie. Bolały mnie mięśnie i płuca. W butach chlupotała woda, ubranie kleiło się do skóry. Właściwie nic się nie zmieniło. Nadal byłem przemęczony, ścigała mnie Iglica, mój świat się rozpadał – dosłownie i w przenośni – a Źródło pozostawało martwe.

Ale oddychałem. Żyłem. I wciąż byłem sobą.

Może nie potrafiłbym teraz niczego uratować od zagłady, nawet siebie, ale mogłem iść do przodu, krok za krokiem, i w końcu, wreszcie, gdzieś doczłapać.

Deszcz powoli cichł i promienie słońca przeświecały już przez chmury. Przed nami widniały rozstaje, a przy nich drogowskaz, wiata dla podróżnych razem z ławkami zbitymi z bali drewna, a pod nią krąg kamieni z wygaśniętym ogniskiem.

Została jeszcze sterta chrustu po poprzednich podróżnikach. Na pewno był wilgotny, ale może coś się z nim dałoby jeszcze zrobić.

– Odpocznijmy i wysuszmy się tutaj – zaproponowałem. – Gniada nie pójdzie dalej, my też. I tak nie do...trze pan już rano na targ. Wyru... szyliśmy za późno.

– Trzeba będzie obniżyć cenę – zgodził się Stepan z westchnieniem. – Ledwo wyjdę na swoje. Resztę mogę jeszcze przetrzymać w kopcu, aż się to wszystko skończy... Myśli pan, że zamkną te rozpadliny?

Skinąłem głową.

– Trzy to zno... wu nie tak dużo dla fachowców. Byle nie pojawiały się nowe. Ale myślę, że mają wielu specjalistów, którzy się znają na rzeczy i szybko odkryją przyczynę.

– Myśli pan, że to nie przez Maga Pustki? Albo imigrantów z Utraconej Bretanii?

– Nie, to chyba tak nie działa. – Odetchnąłem. Zaczynałem myśleć bardziej racjonalnie i do głowy przychodziły mi potencjalne rozwiązania. – Nie miałem czasu nad tym się zastanowić, ale sądzę, że ktoś ostatnio grzebał przy siatce geomagicznej. Przecież rozpadliny to nie są fizyczne przepaście.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Pan się na tym zna.

– Pracowałem dla czarodziejów. – Zastanowiłem się. – Właściwie nadal pracuję.

– Ciężka robota.

– Mhm.

– Zje pan chleba z kielbasą?

– A chętnie. – Zaburczało mi w brzuchu.

Wkrótce siedzieliśmy przy ognisku, raczej się wędząc, niż susząc w dymie, który wzbijał się znad mokrego chrustu. Kobyłka, którą Stepan wyprzągł i starannie sprawdził jej kopyta, stała przywiązana do wiaty z takim wyrazem pyska, jakby chciała zaraz się zerwać i pobrykać.

Kiedy już mój towarzysz zdecydował się nawiązać ze mną kontakt, przyznał się, że zabrał w drogę termos – zwyczajny, niemagiczny, taki, jakie nosili teraz do pracy co zamożniejsi robotnicy i technicy w fabrykach Avalonu. Naczynie zawierało słodką jak ulepek malinową herbatę z rumem. I tak siedzieliśmy, korzystając



z dobrodziejstw arboriańskiej cywilizacji i popijając herbatę przy ognisku, aż usłyszeliśmy, jak Gniada przestępuje z nogi na nogę, parskając z zaniepokojeniem.

Odwrociłem się.

Za nami stał podpułkownik Miles Blackthorn i czarodzieje żołnierze z Pierwszej Specjalnej Jednostki Królewskiej Armii, która ostatnio stacjonowała na Granicy w Ombre. Mimo swojego metra czterdziestu dowódca jakimś cudem dał radę patrzeć na mnie z góry. Przybyli chyba wszyscy, kilkunastu magów razem ze smukłą złocistą wiwerną oraz jednym golemem – żywiołakiem ziemi. Celowali we mnie z zaklęć i broni palnej.

Stepan ze strachu spadł z ławy i wylał herbatę. Powoli wstałem, unosząc ręce nad głowę.

– Proszę się nie ruszać, panie Thorpe – powiedział Blackthorn. – Sugerujemy, żeby nie stawiał pan oporu.

– Nie zamierzam – zapewniłem go. – Ale proszę przestać straszyć obywateli.

Nie zaczęli od strzelania.

Uważałem, że to całkiem niezły początek rozmowy.

– Jest pan owładnięty przez Sepię. Jeszcze nie widziałem tak wielkiego wykwitwu.

Faktycznie, podczas gdy ogrzewałem się przy ognisku, a płaszcz suszył się przewieszony przez oparcie ławy, wyraźnie dało się zauważyć fraktalne ślady na nadgarstku, przedramieniu i te wychylające się znad kołnierzyka koszuli, sięgające aż po żuchwę. Zastanowiło mnie jednak sformułowanie „owładnięty”.

– Byłem. Zlik... widowałem ją. Wyleczyłem się. Widzi pan, ślady są czarne.

Miles Blackthorn uniósł krzaczaste brwi.

– Nie wierzę. Zna pan remedium? Może faktycznie to pan ją rozsiał?

Westchnąłem z irytacją.

– Nie, nie roz... siałem. Proszę pana, zaraz wszystko wyjaśnię. Na początek pot... rzebuję kawę. Mocnej. Będzie nam łatwiej rozmawiać.

– Na Pustkę. Kim ja według pana jestem, żeby panu robić kawę?

– Kimś, kto ma kawę? – spytałem z nadzieją.

– Wie pan, chodzi taka pogłoska, że pan oszalał i stracił nad sobą kontrolę. – Teraz podpułkownik mówił z lekkim przekąsem.

– I teleport... uję się po świecie, różniczkując i całkując w napadach psycho... patycznego szału. Obydwoj wiemy, że to niemożliwe.

– Sir – odezwał się głos z tyłu.

– Tak?

– Mam kawę, sir. W termosie, sir.

– Podaj ją panu Thorpe'owi.

– Tak jest. – Żołnierz podszedł do mnie ostrożnie, obserwując jak wściekle zwierzę. Wyciągnął rękę z termosem, stojąc najdalej ode mnie, jak się dało. Przyjąłem podarunek.

– Dziękuję. Możemy usiąść? Ręce wam się zmęczą od pod... trzymywania zakłęb.

– Żartowniś z pana.

Odkręciłem termos. Herbata malinowa od Stepana prawie ocaliła mi życie, ale zapachu kawy łaknąłem jak powietrza.

– Nie strzela pan do mnie. To mi na razie wystarczy, żeby panu zaufać.

\* \* \*

Usiedli w kręgu wokół ogniska. Stepan przesunął się na skraj ławy, udając, że go tutaj nie ma, i popatrywał na mnie podejrzliwie. Chciałem go zapewnić, że odeskortujemy jego warzywa do Tiobre, ale nie mogłem mu tego obiecać, dopóki nie wyjaśnimy sobie wszystkiego z podpułkownikiem. Miałem jeszcze jeden powód, dla którego przypuszczałem, że mimo ostrożności Miles Blackthorn mnie wysłucha. Wolałem o nim nie wspominać, żeby się przypadkiem nie okazało, że po prostu nie pomyślał. Piłem kawę w spokoju, czekając, aż kofeina poprawi to, co nadal nie działało sprawnie w moim mózgu, i umożliwi mi płynną mowę.

Podpułkownik ani przez chwilę nie dał do zrozumienia, że chce mnie zakuć w kajdany z ołowiu i cyny, chociaż nie miał pojęcia, że straciłem zdolność rzucania zakłęb. Wiedział więcej, niżby się wydawało, a zagrożenie widział nie we mnie, ale w Sepii. Oczywiście mógł uważać, że jeden uniwersytecki czarodziej, nieważne jak potężny, nie da rady całemu pułkowi wojskowych magów.

Zacząłem więc od Sepii.

– Potrzebuję suchego notatnika. I ołówka. Będzie łatwiej, jeśli od razu zapiszę recepturę.

– Skąd pan ją zna? – Blackthorn w zamyśleniu skubał czarną brodę.

– Sam opracowałem. Nie jest doskonała, ma poważne skutki uboczne. Powinna natychmiast trafić do rąk doktor Estery Everett z Centralnego Szpitala, ona by może ją ulepszy.

– Jak pan w ciągu dwóch dni, w biegu, dał radę wymyślić lekarstwo na mikroba, którego próbuje zidentyfikować pól Avalonu? A przynajmniej ci, którzy jeszcze nie zostali zarażeni.

– Przypadkiem. To wcale nie jest mikrob, tylko rzadka roślina, pewien gatunek glonu występującego w różnych postaciach w Arborii. Ostaniec przedarboriański.

– Ale jak...

– Zapach – odparłem. – Bardzo charakterystycznie pachnie. Ani zielarze, ani czarodzieje zwykle nie zwracają uwagi na te rośliny, ale mnie one interesowały od dawna, poza tym w Bretanii hoduje się jeden ze znanych u nas gatunków, zmodyfikowany tak, żeby wytwarzał energię magiczną. Myślę, że gdybym ja na to nie wpadł, w końcu znaleźlibyście wiedźmę botanika, która by wam to samo powiedziała. Może mieliśmy pecha i ktoś, kto równie dobrze mógł znaleźć lek, wcześniej zachorował. Albo zajęli się nim ci, którzy wypuścili Sepię na świat.

Zamilkłem. Dłuższe wypowiedzi nadal mnie męczyły. Skrobałem ołówkiem po kartce, przymocowanej klipsem do podkładki. Nawet nie zarejestrowałem, kiedy mi ją wręczono. Wypisałem wszystkie informacje: nazwę pierwotnej wersji rośliny, skład eliksiru razem z protokołem i – pogrubionymi literami – poznane skutki uboczne, włącznie z wygaszeniem Źródła. Później podpisałem się zamasyście.

Miles Blackthorn wyciągnął rękę po kartkę. Cofnąłem się.

– Chcę zobaczyć na własne oczy, że przekazuje pan obraz przez kulę do szpitala.

– Nie mam połączenia z kulą doktor Everett.

– Niech pan poprosi o adres u wiedźmy poczmistrza. Chciałbym uniknąć pośrednich ogniów. Ludzie, którzy rozprzestrzenili zarazę, mają agentów w dowództwie wywiadu.

Podpułkownik z powagą skinął głową. Czyli rzeczywiście potwierdzałem jego domysły. Wyciągnął z chlebaka przenośną kulę wielkości pięści, a potem spędził nad nią pewien czas. Wręczyłem mu kartkę i obserwowałem przez ramię, co robi, niespokojny, że mimo wszystkich starań coś wydarzy się w ostatniej chwili i wiadomość nie zostanie przekazana.

– Gotowe – powiedział wreszcie. – Skopiowałem obraz dla Everett i trzech innych lekarzy. Nic nie zginie.

Zamknąłem oczy i oparłem się o ławę.

– Napisał pan tutaj o wygaszeniu Źródła. Czy jest trwałe?

– Nie wiem.

– Byłoby cholernie szkoda stracić jedyne Maga Pustki w Arborii – mruknął Blackthorn. – Zwłaszcza teraz, ze względu na rozpadliny. Avalon ma problemy z personelem, ściągnęli tutaj czarodziejów i techników z południa, ale brakuje energii, żeby zastosować cokolwiek szybszego od fastrygi numer pięć, a na protokół haftu krzyżykowego są za duże.

Sięgnąłem po kubek z kawą.

– Nie dostaliście naszych protokołów z Bretanii?

– Jakich protokołów?

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. Spędziłem pół roku w Bretanii na budowaniu Mostu, ale także zamykaniu rozpadlin wszędzie tam, gdzie się pojawiły. Musiałem opracować szybkie, skuteczne i proste metody, które mogli stosować Bretańczycy – wtedy, gdy się nie wyrabiałem, ale także po naszym powrocie do Arborii. Połączenie arboriańskiej i bretańskiej wiedzy, ze szczególnym uwzględnieniem badań Lucjusza, pomogło nam nie tylko w zaprojektowaniu Mostu. A jeszcze nie wyczerpaliśmy wszystkich możliwości.

Przekazałem wszystko Weylandowi już z miesiąc temu. Iglica musiała zablokować tę wiedzę. A może czarodzieje odpowiedzialni za jej rozpowszechnienie nie spieszyli się szczególnie, a teraz chorowali. Albo zadecydował nawyk. W końcu nadal istnieją badacze, którzy stosują bufor Okonjo z kwasem octowym, podczas gdy najlepiej sprawdza się roztwór soli boranowych.

– To mi zajmie więcej niż kwadrans – odparłem. – Muszę się wyspać. Ale najpierw poproszę o dostęp do kuli. Byłem odcięty od świata prawie przez tydzień, a w tym czasie wszystko poszło w demony. Jak pan mnie znalazł?

Miles w zamyśleniu ujął blaszany kubek.

– Wyruszyliśmy z Ombre na żądanie Archera. Skontaktował się ze mną i twierdził, że pan oszalał i napadł na Arcymaga. Tylko mnie od początku coś w tym nie grało. Otóż już wcześniej wiedzieliśmy, że to pan jest Magiem Pustki...

Spojrzałem na niego pytająco.

– Oczyszczaliśmy Most ze skażenia. Zostawił nam pan otwartą bramę. Elanor od razu rozpoznała charakter pisma. Ponad połowa run to pańskie dzieło.

– Jakim cudem?

Podpułkownik skinął głową na żołnierkę, która siedziała obok swojej złotołuskiej wiwerny i drapała ją po smukłym łbie. Elanor zasalutowała odruchowo.

– Pan Thorpe chce wiedzieć, skąd znasz jego charakter pisma. Rozumiem, że z uczelni.

– Pański skrypt do algorytmów – powiedziała. – Robiłam dyplom pięć lat temu. Do tej pory wszyscy się z niego uczą. Jest bardzo czytelny, więc nikomu się nie chciało przepisywać.

– Ale ja nie pisałem żadnego skryptu. Chyba że...

Mgliście przypomniałem sobie, że pożyczałem notatki z algorytmów koledze z roku. Jeśli dobrze go znałem, pewnie skopiował strony za pomocą kuli. Maszyny drukarskie na Uniwersytecie nawet wtedy radziły sobie z takim materiałem. Na Pustkę, kończyłem ten kurs... kiedy...? Będzie chyba siedemnaście lat.

– Można go kupić w drukarni uniwersyteckiej za pięć denarów.

– Chyba należą mi się jakieś tantiemy?

Blackthorn odchrząknął.

– W każdym razie niezależnie od pańskiej lokalnej sławy przyszło mi do głowy, że zamachowiec mógł celować w pana, a nie w pułkownika. Dokładnie zbadaliśmy ślady, bo gość z wielką butlą pełną skażenia w płynie to groźna perspektywa na przyszłość. Zakłęcia dywinacyjne wskazywały, że napastnik sfrunął w kanion. A potem zniknął. Tak po prostu. Zostawiając po sobie nieduży skażony obszar nad korytem wyschniętego strumienia. A skoro zniknął, czy nie mógł pojawić się na statku? To, co wydarzyło się później, potwierdzało moją teorię. Ktoś pana ścigał, a później usiłował zdyskredytować. James odezwał się parę dni temu i wszystko odwołał, nie on jeden zresztą broni pana w Avalonie. Ale naczelnictwo wywiadu nadal idzie w zaparte i twierdzi, że pan go zmusił do zmiany zeznań. Tyle że już miałem pański ślad na grani Hergest, a później w Llywarch. Oskarżono pana o zastrzelenie Beauforta, ale po co leczylby pan tę dziewczynę?

– Żyje?

– Jeszcze się nie obudziła. Trzeba było zregenerować cały płat płuca, ale wyjdzie z tego. Moi ludzie jej pilnują. Teraz wiem, że pracował pan nad lekarstwem, ale nie ocalały żadne notatki. Później zgubiliśmy pana ślad i dopiero dzięki donosowi Adastriańczyków... Muszę zapytać. Co pan właściwie ma z tym pomaganiem?

– Słucham?

– Pan nie umie siedzieć i nic nie robić?

– Mam niezdrowe nawyki. Powiedział pan, że Archer się odezwał. Co z Amandine?

Blackthorn się zawahał. Splótł palce.

– Jest z nim, ale... podjęli się misji w Dolorii. Nie powinienem panu mówić... A niech to. Czy słyszał pan kiedyś nazwę Iglica? To organizacja odpowiedzialna za kradzież rdzenia maszyny testującej z Avalonu. Powiadomił nas o tym Bretańczyk, niejaki Artois. Rozpadliny, zaraza, rdzeń – to się wszystko ze sobą wiąże. Tę pierwszą avalońską maszynę zbudowano, używając części starożytnego reliktu. Aktywowanie nią Źródeł przypomina używanie zegarka w charakterze młotka, ona ma znacznie większe możliwości. Wszystkie inne maszyny na całym kontynencie naśladowują tylko tę pierwszą funkcję.

Wysłem już i ogrzałem się tak dokumentnie, że rozpływałem się na ławie, jakby pozbawiono mnie kości. W miarę jak rozmawiałem z Blackthornem, dowiadując się coraz więcej o przebiegu zdarzeń, wszystkie moje lęki rozwiewały się jeden po drugim i mimo wypitej kawy musiałem się skupiać, żeby nie zasnąć. Najwyraźniej gdy mnie nie było w okolicy, moi przyjaciele nie próżnowali. Bo jeżeli Artois wytropił Iglicę, to prawdopodobnie reszta była z nim. Wszystkie drogi zmierzały do Alilat.

– Tak. To ci sami ludzie, którzy mnie ścigali. Mogę nawet powiedzieć, w jaki sposób znikają. Nie zapytaliście Margueritte de Breville? Nie znam nikogo bardziej kompetentnego w sprawach Pustki i starożytnych reliktyw.

Blackthorn popatrzył na mnie dziwnie i zrobił taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Westchnął. Sięgnął po kawę.

– Nikt nie potrafi namierzyć Margueritte de Breville. Ulotniła się gdzieś ze swoją uczennicą. Podobno uciekła ze szpitala i ruszyła w stronę Alisinnor... właściwie zanim to wszystko się zaczęło.

– W takim razie sprawa musi być jeszcze poważniejsza, niż sądzimy. – Spróbowałem wstać, ale nogi się mnie nie służyły. Usiadłem z powrotem. – Nie sądziłem, że Margueritte w ogóle może się zaangażować w tym stanie. Trzeba lecieć do Dolorii. Ale najpierw do Tiobre.

– Znowu próbuje mi pan wydawać polecenia.

– W takim razie chciałbym pana o to poprosić.

Westchnął.

– Akademicy. Mam swoje rozkazy.

Odwrócił się do Stepana. Mężczyzna siedział w najdalszym kącie wiaty, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Nie mówiliśmy zbyt głośno i musiałyby dysponować słuchem Liliany, żeby wychwycić wszystkie słowa, ale niewątpliwie wiedział za dużo.

– Co tam, gospodarzu, wieziecie?

– Kapustę z kopca – powiedział Stepan. – Zdrowiutka, dobrze przechowana. Rzepę i marchew. Młode rzodkiewki, cykorię z inspektu. Doskonałą botwinę.

– Lubię botwinę – odezwał się podpułkownik z powagą. – Możecie nas uznać za rynek zbytu. To załatwi problemy z zaopatrzeniem, które wywołałimy, przybywając do obozu.

\* \* \*

Dostałem pięć minut przy kuli magicznej i przekazałem wszystkim, że żyję. Prędzej czy później dotrę do publicznej kuli na poczcie i odbiorę wiadomości, które mogli dla mnie zostawić. Gdziekolwiek byli, tropiąc agentów Iglicy, unikając niebezpieczeństw lub podbijając świat, nie straciłem ich tylko dlatego, że wypadłem z gondoli parę dni temu. Świat czasem zmieniał się tak prędko, ale ludzie nie.

W teorii nie miałem żadnej pewności, że tutaj albo w obozie znów ktoś mnie nie zdradzi. Nagroda za moją głowę wciąż obowiązywała, brukowce zrobiły ze mnie wroga publicznego numer jeden, a kontynent nadal się rozpadał. Ale nie byłem sam. I nie byłem jedyną kompetentną osobą w Arborii. Nieważne, co mi wmawiał Bernard – świat nie potrzebował jednego bohatera, który ocali go od zagłady, tylko wielu poważnie podchodzących do swojej pracy fachowców. Jak Miles Blackthorn. Cholera, nawet jak Stepan. Poza tym, szczerze mówiąc, ciągle podejrzliwość wyczerpuje.

Zasnąłem prawie natychmiast, gdy z powrotem usadowiłem się na wozie.

I znów stałem na żółto prążkowanej marmurowej posadzce. Otaczała mnie mgła. Trzecia Wyrocznia siedziała na ocembrowaniu studni, wpatrując się we mnie intensywnie.

– Witaj, Magu.

Przypomniałem sobie, jak ostatnio próbowała mnie zabić, i cofnąłem się o krok.

– Usłyszałam twoje wezwanie, lecz nie mogłam do ciebie dotrzeć poprzez przestrzeń. Musisz wiedzieć, że jeden z Zewnętrznych podszywał się pod ciebie. – Jej oczy zabłyśły zielonym światłem. – Wdarł się do sanktuarium. Był niewyrośnięty i słaby, niepołączony z innymi swego rodzaju w Rój, a moje systemy obronne zadziałały bez zarzutu. Lecz przeżył. Umknął w ostatniej chwili. Nosił płaszcz z twojej mocy. Powinieneś na niego zapolować.

Wpatrywałem się w nią z osłupieniem.

– Wyrocznio... to byłem ja. – Dostrzegłem, jak jej oczy lodowacieją, więc mówiłem szybko: – Ten, o którym mówisz, pasożytował na moim Źródle. Zabiłem go.

Skinęła głową z satysfakcją.

– Bardzo słusznie. Zaprawdę, nie ma go tutaj. Odkąd połączyłeś światy, odczuwam zmiany w strukturze Arborii. Wiem, że dziesiątki podobnych istot, połączonych ze sobą w Rój, zagroziły spójności kontynentu.

Chwilkę. Moment. O czym ona mówiła? Przecież to było cholernie ważne. Poszczególne okazy Sepii łączyły się ze sobą w Rój? Porozumiewały się między sobą na odległość, podobnie jak skażeni bretańscy kapłani, podwładni Lucjusza Szalonego?

– I to one sprawiają, że w Arborii zaczęły się pojawiać rozpadliny?

Popatrzyła na mnie, jakby nie dowierzając, że należy mi tłumaczyć takie oczywistości.

– Tak, Wielki Magu. Należy je wytepić jak najszybciej. Do twojego obowiązku należy ochrona ludzkości przed Pustką i Rozdarciem.

– Obowiązku?

– Skauci. Odkrywcy. Na pierwszej linii przeciwko Zewnętrznym, tak jak ja bronię przed ich powrotem na Ziemię Drzew. Po to was stworzono.



– Zaraz – zatchnęło mnie – nic mi o tym wcześniej nie wspominałaś.

– Odzyskuję pamięć, której część utraciłam, gdy rozpadł się kontynent – wyjaśniła. – Widzę twoje myśli, Magu. Sądziłeś, że Sepia to roślina, i masz rację. Lecz natura istot, które pozostały tutaj po dawnych czasach, jest dwojaka. Rodzaj ludzki zmienił ten świat, uczynił go dla siebie przyjaznym. Dlaczego nikt ci o tym nie powiedział?

– Wyrocznio, ja już nie jestem Wielkim Magiem. Zabijając Sepię, zabiłem własne Źródło.

Podeszła do mnie bliżej. Poruszała się tak nienaturalnie, że o mały włos odwróciłbym się i uciekł we mgłę.

– Odnalazłam cię, idąc twoim śladem. Z tego wniosek, że nie przestałeś nim być. – Jej blade palce dotknęły mojej skroni. – Źródła zostały stworzone na Ziemi Drzew. Oczywiście, że jeśli zatruwasz Sepię, tłumisz także własną moc.

Opuszki palców Wyroczni badawczo muskały moją głowę.

– Nie widzę uszkodzeń – powiedziała wreszcie. – Potrzebujesz tylko odpoczynku.

Nie spodziewałem się, że odczuję aż tak wielką ulgę. Przywykłem do tego, kim się stałem.

– Wyrocznio... czy lekarstwo jest bezpieczne tylko dla mnie, czy dla innych też?

– Słabszym Źródłem trzeba dłuższego odpoczynku – odparła. – Widzę w twoim umyśle inne pytania. Nikt mnie nie zniewolił. Nie skracam drogi twoim nieprzyjaciołom. Tak, istniały inne Wyrocznie. Straciłam kontakt z moją siostrą Urd mniej więcej siedem wieków temu. Z Verdandi przed pięcioma stuleciami.

– Pięć stuleci... Ale to już po Rozdarciu.

– Przypadkiem wiem, że to wasze dzieło. Podzieliliście moją drugą siostrę na gniazdo, mapę i rdzeń i użyliście, aby zastąpić smoki.

Otworzyłem usta. Zapewne przez chwilę wyglądałem bardzo głupio.

– Maszyna testująca.

– Istotnie.

– Iglica musiała to planować od dziesięcioleci. – Zacząłem chodzić w kółko. – Cokolwiek robią, działają na rzecz tych Zewnętrznych. Nawet nieświadomie. Połączenie światów coś im zmieniło w równaniu, ułatwiło pracę, dostarczyło

nie spodziewanej przewagi. Skłoniło do zintensyfikowania działań. Mieli urządzenie, które wykryło zmianę wywołaną przez ukończenie Mostu. Zanim ukradli rdzeń, już używali teleportów. Na pewno dysponowali drugą częścią Wyroczni. Gdzie jest trzecia? W Alilat?

– Twoje domysły są słuszne, Magu. Przenieś się tam i zajmij się nimi.

– Czy możesz mnie przeciągnąć?

– Nie przez Arborię. Dlaczego sam tego nie zrobisz?

Zacisnąłem pięści z irytacją.

– Próbuję. Do tego zakłączenia potrzeba tylu jednostek, ile muszę przenieść przez korytarz. Nieważne, czy znajdują się w moim Źródle, czy w akumulatorze. A trzeba go jeszcze ustabilizować i zamknąć za sobą, co pochłania dodatkową jednostkę. Jakbym przeciągał samego siebie za uszy. Jak to robili moi poprzednicy?

Na marmurowej posadzce zaczęły się pojawiać symbole. Oglądałem je uważnie. W zwykłych okolicznościach nie pojąłbym ich tak szybko, ale śniłem i w rzeczywistości wszystkie wzory trafiały prosto do mojego umysłu. Im więcej szczegółów odsłaniało się przede mną, tym bardziej czułem się zaskoczony. Oszołomiony. Pełen podziwu.

Dla rozwoju arboriańskiej sztuki magicznej.

Te wzory były koszmarne. Pełne karkołomnych rozwiązań. Powtarzały się w nich tasiemcowe fragmenty, które dziś zapisywaliśmy jednym prostym przekształceniem. Dawni Magowie Pustki nie mieli pojęcia, jak zamykać za sobą korytarze, więc pruli przez kontynent, zostawiając w nim miniaturowe rozpadliny. Pewnie polegali na swoich asystentach i uczniach, żeby je łątać na bieżąco i sprzątać skażenie. Wszystko, co opracowaliśmy razem z Meg, wyglądało lepiej niż to.

Starożytna magia okazała się zupełnie przestarzała.

Ale dowiedziałem się jednej ważnej rzeczy. Szedłem w dobrym kierunku, moje zakłęcie miało sens, a ostatnie rozwiązanie, jakie podpowiedziała mi Margueritte, mogło zadziałać. Wystarczyło, że zawieszę brakującą jednostkę na poczwórnym Sevri, dzieląc kwanty równo na egzotyczne i pachnące.

Zresztą sprawdźcie sobie w podręczniku.

– Mam jeszcze jedno pytanie, Wyrocznio. Czy mogłabyś zlokalizować Amandine? I moich przyjaciół? Wbrew temu, co twierdzisz, sam Wielki Mag nie uratuje świata...

Dziedziniec z fontanną zaczął blaknąć. Pomyślałem, że na podstawie dotychczasowych doświadczeń ze Skuld w ogóle nie powinienem czuć się zaskoczony.

\* \* \*

– Panie Thorpe, pan świeci.

– Przepraszam – mruknąłem i przewróciłem się na drugi bok.

– Panie Thorpe, proszę się obudzić, czy to tak powinno wyglądać? Ludzie się niepokoją.

Usiadłem. Wciąż znajdowałem się na wozie, gdzie uciąłem sobie drzemkę na wilgotnej plandece przykrywającej twardą drewnianą skrzynię. Tyle że wóz stał pośrodku polnej drogi, a Stepan oddalił się od niego tak, że wlaźł w mokrą trawę. Żołnierze popatrywali na mnie z pewną ostrożnością, bo kto wie, czym właściwie Magowie Pustki różnią się od zwykłych czarodziejów i czy im przypadkiem nagle nie wybuchnę. Moja skóra jarzyła się delikatnym światłem, nieco mniej wyraźnym niż wtedy, gdy przechodziłem transformację, a ja znów czułem się kompletny. Źródło buzowało na wysokości splotu słonecznego, dochodząc do czterdziestu pięciu jednostek. Skupiając się na jego zawartości, doszedłem do wniosku, że jeszcze nie w pełni się zregenerowało. Nawet teraz, gdy powoli się rozbudzałem, urosło o kilka nowych kwantów.

Wyglądało na to, że po raz pierwszy od ucieczki z Llywarch odpocząłem.

– Mam odpowiedź na pańskie wcześniejsze pytanie. – Szczerzyłem się jak idiota.

– Nie, wygaszenie nie jest trwałe. Myślę, że świecenie zaraz mi przejdzie.

– Ja tam nie wsiadam – odezwał się rolnik ze strachem.

– To ja zejść – zsunąłem się z wozu – bo jeśli zacznę zamiast pana prowadzić wóz, zasnę na koźle. Daleko mamy?

– Niecały kilometr – odparł Miles. – Proszę się jakoś... nie wiem... ograniczyć. Nie za wszystkich w obozie mogę poręczyć, to głównie lokalni technicy. Przedstawię pana jako ściągniętego z okolicy eksperta Gildii. Tylko to ubranie trzeba jakoś wyjaśnić...

– Wykopaliska – podsunąłem.

– Może być. Mało kto wie, jak wygląda Sepia. Wykwity skórne są zazwyczaj nieduże i nie tak... artystyczne, a chorych szybko poddaje się izolacji. Żołnierze

będą przekonani, że należy pan do subkultury Nowych Ludzi i zamówił pan tatuaż u metamorfisty.

Po kilku próbach udało mi się stłumić światło. Wkrótce dotarliśmy do obozu wojskowego razem z jego namiotami z brązowego płótna, ciągłym ruchem i wszechobecnym zapachem grochówki. Mieli placki po bretańsku z czerwoną fasolą w zawieszonym sosie i napełniałem sobie żołądek, zgarbiony nad miską, dopóki znowu nie zmógł mnie sen.

Powiedzieli mi później, że spałem bez przerwy piętnaście godzin, a w tym czasie ludzie Blackthorna, żeby mieć całkowitą pewność, przetestowali mnie na obecność Sepii. Nie muszę chyba dodawać, że wynik badania wypadł negatywnie. Gdy Źródło zregenerowało się do pełna, okazało się, że mieści teraz parę jednostek więcej. Wyglądało na to, że posłużył mu trening w ekstremalnych warunkach. Ale wiedziałem, że nigdy nie zapomnę uczucia bezsilności, braku nawet wyćwiczonego magicznego wzroku i tej odrobiny mocy, którą dysponowałem jako asystent. Jeszcze nie byłem pewien, jak na mnie wpłynęło to doświadczenie.

Skorzystałem z łaźni parowej. Dostałem ciemnogrnatowy uniform wojskowy bez epoletów z szarżami oraz buty ze sztywną cholewką, które nadszpedzanie dobrze trzymały moją stopę, tę z niedowładem. Życie znów stało się piękne. Pół dnia szkicowałem bretańskie protokoły służące zamykaniu rozpadlin, a później musiałem je przepisywać jeszcze raz i rozbijać na podstawowe Elementy, bo żołnierze nie zrozumieli pierwszej wersji. Przyzwyczailem się do magów akademickich, i to takich z górnej półki, tymczasem wojskowi byli praktykami – wprawiali się głównie w używaniu ściśle określonego przepisami zestawu zaklęć bojowych. Większości z nich teoria dawno wywietrzała z głów.

Wykładałem im przez dwa dni, w wolnych chwilach odtwarzając i szlifując zaklęcie teleportacyjne. Odnotowałem, że młodszy czarodziej nazywali mnie „mistrzem”.

Dowiedziałem się wreszcie, co miał na myśli Miles Blackthorn, twierdząc, że zostałem owładnięty przez Sepię. Infekcja wpływała na zachowanie. Zarażeni z czasem zaczęli działać wbrew swojej woli, wpadali w szał i uciekali, szukając tłumów. Zwłaszcza gdy ślady stały się żółte. Trzymano ich w izolatkach, które pękały już w szwach. Doktor Everett odpowiedziała na moją wiadomość, nalegając, żeby natychmiast przetransportować mnie do Avalonu, ale odmówiłem. Lekarstwo zakończy epidemię – nie byłem potrzebny do jego produkcji – a skażenie u chorych

utrzymywano na znośnym poziomie. Mogłem wrócić do nich później. O ile dobrze zrozumiałem Wyrocznię, lek powstrzyma także proces powstawania nowych rozpadlin. Wiedziałem, że wojsko poradzi sobie na miejscu.

Wszystko bowiem wskazywało na to, że muszę znaleźć ludzi Iglicy i skonfrontować się z nimi, zanim sprawy przybiorą znacznie gorszy obrót. I chociaż nie mogłem opowiedzieć o kontaktach z Trzecią Wyrocznią i mistycznych wizjach we śnie – już i tak obchodzono się ze mną jak z jajkiem – wytłumaczyłem, że działanie Sepii niepokojąco przypomina zagrożenie znane nam z Utraconej Bretanii.

Nawet Blackthorn poczuł się zaszokowany, kiedy przyznałem, że właśnie dokończyłem zakłęcie teleportacji. Chociaż miało pewne ograniczenia i nie było tak elastycznym rozwiązaniem, jakie wyobrażał sobie Archer, całkowicie zmieniło reguły gry.

Drugiego dnia po wykładach, pewien, że moi uczniowie przyswoili już sobie nowe rytuały, zbudowałem krąg ochronny na obrzeżach obozu. Ustaliłem współrzędne przedmieść Alilat i Avalonu z dokładnością co do konkretnej ulicy, a dzięki wojskowej mapie zidentyfikowałem punkty w siatce geomagicznej, które nadawały się na portal.

W chlebaku przewieszonym przez ramię miałem niezbędniki. Dostałem też kontakt do naszej komórki w Alilat. Tymczasową legitymację wojskową wystawiono mi na nazwisko Marcus Rogers, chociaż wiedziałem, że w Dolorii posłużę się nią tylko w ostateczności. Arboriańskie wojsko budziło tam złe skojarzenia.

Protokół zajmował ponad piętnaście minut obliczeń i pochłaniał minimum czterdzieści jednostek. Musiałem czytać z kartki i pomagać sobie zakłęciami kalkulującymi. Agenci Iglicy znacznie szybciej przenosili się za pomocą teleportów i nie zużywali na to całej swojej mocy, ale za to mój sposób nie zostawiał łatwych do zidentyfikowania plam skażenia. Kiedy metodycznie szkicowałem w powietrzu kształty, a później zacząłem znikać, żołnierzom nienależącym do grupy Blackthorne'a zaświtało wreszcie w głowach, kogo ugościli. Zasalutowałem im na pożegnanie.

Amandine wciąż się nie odzywała, chociaż zakłęcie wykrywało ją bezbłędnie. Nie znałem też zamiarów naszych przeciwników, a ich metody pozostawały dla mnie tajemnicą. Podejrzywałem, że czeka nas jeszcze wiele odkryć.

W kieszeni zostało mi pięćdziesiąt denarów.

Płaszcz był trochę za duży, ale musiał wystarczyć.

*Warszawa, styczeń 2017*

## SPIS BOHATERÓW

**Vincent Thorpe** – były asystent **Margueritte de Breville de Branche d'Ambre**, obecnie jedyny Mag Pustki na obydwu kontynentach. Vincent przez dwadzieścia cztery lata pracował dla Margueritte jako pomocnik magiczny. Formalnie oprócz kontraktu miał status ucznia, co dawało mu uprawnienia do zajmowania się wiedzą zastrzeżoną przez **Gildię Magów** dla czarodziejów. Długo nie zdawał sobie sprawy z tego, że był uczniem również w rzeczywistości, a **Margueritte** przygotowywała go do roli Maga Pustki. O ile wiadomo, nadal należy do Związku Zawodowego Magicznych Pomocników i Użytkowników Magii Prostej.

**Amandine Cerise** – nadworna Magini Królestwa Bretanii, jedna trzecia Nowego Triumwiratu. Urodzona jako mieszczańka w Avalonie, mianowana szlachcianką w Bretanii. Nadzoruje świeżo powstałą bretańską **Gildię Magów** z siedzibą w Nouveaux Dijon i jest przełożoną Arcymistrzyni Blancheflor de Branche de Spinel. Narzeczona **Vincenta Thorpe'a**, z zawodu artystka malarka, z wykształcenia historyk sztuki (Uniwersytet Avaloński). Z braku własnego talentu posługuje się eksperymentalną laską magiczną o nazwie Zagłada Gwiazd.

**Margueritte de Breville de Branche d'Ambre** (Szalona Meg, Czarna Meg) – czarodziejka arboriańskiej Gildii Magów. Tajna agentka Cienia Gildii, wykonująca misje na zlecenie Arcymaga **Andreeasa Weylanda**. W swojej karierze pełniła także funkcję wykładowczyni akademickiej i współpracowała z wojskiem jako ekspertka. Częściej pracuje w terenie niż za stołem alchemicznym.

**Belinde Chamomille de Branche d’Emeraude** – czarodziejka arboriańskiej Gildii Magów. Wspecjalizowana w magii Creo, zajmuje się tworzeniem magicznych przedmiotów. Członkini Wyższej Izby Parlamentu, sympatyzuje z frakcją Federalistów. Przyjaciółka **Margueritte de Breville**. Dobra znajoma królowej Arborii **Gwendolyn de Branche d’Aquamarine**, nauczycielka królowej Bretanii **Kathryn Verd de Branche d’Argent**. Ma bogatą i niezupełnie chlubną przeszłość, z której nie zwierzała się nawet Margueritte.

**Kathryn Verd de Branche d’Argent** – nowo koronowana pod imieniem Aurora Pierwsza królowa Bretanii, jedna trzecia Nowego Triumwiratu. Spadkobierczyni arboriańskiej gałęzi rodu de Branche d’Argent, panującego w Arborii po upadku Cesarstwa Triumwiratu w okresie Wojny Rozdarcia i przez ponad dwieście lat po Rozdarcu, aż do przewrotu republikańskiego. Uczennica Belinde Chamomille, studentka Uniwersytetu Avalońskiego. Wybitnie utalentowana w magii Creo, z trudem posługuje się jej przeciwieństwem – magią Entropii.

**Liliana de Diego Otero de Branche d’Opal** – nowa uczennica Margueritte de Breville. Adoptowana spadkobierczyni hrabiny **Oliwii de Branche d’Opal**, daleka kuzynka **Emrysa Chasseura de Branche d’Opal**. Obecny Królewski Smok Bretanii, jedna trzecia Nowego Triumwiratu. Potrafi przemienić się w smoka pod warunkiem otrzymania dodatkowej porcji mocy – własnej nadal ma zbyt mało.

**Artois de Narbonne de Branche d’Ambre** – kapitan gwardii królewskiej w Bretanii. Adoptowany syn **Margueritte de Breville**. Poprzednio dowódca wolnej kompanii Popielników, przez lata zatrudniony u hrabiego Renarda Trevancela de Branche d’Amethyste.

## **DRUGI PLAN, ARBORIA**



**Andreas Weyland** – arcymistrz arboriańskiej Gildii Magów. Bezpośredni następca zmarłej Elysii Fairbanks de Branche de Lazurite. Liczy sobie ponad trzysta lat. Urodzony w Dolorii, wyemigrował do Arborii wiele lat temu. Pierwszy Arcymag w historii bez szlacheckiego pochodzenia.

**James Archer** – wojskowy czarodziej, pułkownik, związany z Królewską Służbą Ochrony. Fundator pierwszego statku powietrznego na Arborii nazwanego na cześć królowej Gloria d’Aquamarine.

**Jacqueline Guerin de Branche d’Olivine** – wojskowa czarodziejka z półaktywnym Źródłem, major. Bezpośrednia podwładna i asystentka terenowa pułkownika Archera.

### **Załoga Glorii d’Aquamarine**

Kapitan Fleury

Bosman Jessie

Technik pokładowy „Mały Jimmy” James

Nawigatorka Pola

Lekarz pokładowy, pan Roberts, czarodziej z półaktywnym Źródłem

**Miles Blackthorn** – wojskowy czarodziej, podpułkownik. Dowódca Pierwszej Specjalnej Jednostki Królewskiej Armii, oddziału złożonego z wysoko wyspecjalizowanych czarodziejów i ich pomocników.

**Gwendolyn Bayonne de Branche d’Aquamarine** – królowa Zjednoczonej Republiki Arborii, wybrana z poparciem frakcji Federalistów.

**Oliwia de Branche d’Opal** – hrabina, czarodziejka arboriańskiej Gildii Magów. Rywalka Belinde Chamomille, członkini Wyższej Izby Parlamentu, sympatyzuje z frakcją Imperialistów. Adoptowana babcia **Liliany**, jej opiekunka i mistrzyni po aktywacji Źródła. Ze względu na metody wychowawcze

podopieczna została jej odebrana decyzją **Weylanda** i przekazana pod opiekę **Margueritte de Breville**, z czym hrabina Oliwia do dziś nie potrafi się pogodzić.

**Emrys Chasseur de Branche d'Opal** – minister spraw zagranicznych. Były spadkobierca hrabiny Oliwii.

**Selena Blaire** – jego tajemnicza współpracowniczka.

## **DRUGI PLAN, BRETANIA**

**Bernard de Montreuil de Branche d'Amethyste** – książę z Bretanii, carodziej. Obecnie ambasador Królestwa Bretanii w Avalonie i doradca królowej Kathryn.

**Theresa „Płomień” von Feuerstein** – regentka Królestwa Bretanii w imieniu niepełnoletniego Królewskiego Smoka. Poprzednio generał głównodowodząca armią w rebelii przeciwko królowi Bretanii, była kapitan gwardii królewskiej. Ma blisko pięćdziesiąt lat.

**Trzecia Wyrocznia, Skuld** – nieśmiertelny, starożytny konstrukt ze zdolnością przewidywania przyszłości i kontaktowania się z ludźmi (Magami Pustki oraz – z jakiejś przyczyny – osobami z nimi powiązanymi) poprzez czas i przestrzeń. Rozmowy z Wyrocznią toczą się w jej własnej rzeczywistości, często we śnie, gdzie przybiera formę zielonowłosej nastolatki w długiej białej szacie.

**Lucjusz Thorpe** – daleki kuzyn **Vincenta Thorpe'a**, ostatni urodzony na Arborii Mag Pustki po Wojnie Rozdarcia. Uważany za człowieka nieprzewidywalnego i nękanego obsesjami, uzyskał przydomek **Lucjusza Szalonego**, tak że współcześnie nikt poza historykami nie pamięta jego nazwiska.

Po tym jak zmarł ostatni bretański Mag Pustki, z Lucjuszem skontaktowała się **Trzecia Wyrocznia**. Po dłuższych badaniach Lucjusz postanowił przenieść się

do Bretanii i objąć tam stanowisko Nadwornego Maga na dwa następne stulecia. Kiedy jednak przyszedł na niego czas, nie chciał umrzeć. Postanowił zjednoczyć się z **Królewskim Smokiem Nidhoggiem**, magicznym reliktem sprzed Wojen Rozdarcia. W wyniku wydarzeń przedstawionych w poprzednich tomach świadomość Lucjusza została oddzielona od Smoka w wyniku wspólnego rytuału Vincenta, Kathryn i Liliany, co skończyło się śmiercią zarówno dla byłego Nadwornego Maga, jak i Nidhogga.

## PODZIĘKOWANIA

Jeśli przyjmiemy, że napisanie każdej nowej książki jest podróżą, to zdecydowanie należała do wypraw heroicznych. Podczas tej przygody w walce ze smokami wspierali mnie pierwsi czytelnicy: Mikołaj Kamiński i Monika Biskupska, czujnie naprowadzając na luki fabularne i te fragmenty, które mogłam napisać lepiej. W dzień poprzedzający Wigilię przeprowadziłam bardzo długą rozmowę z Magdaleną Kozak, która dodała odrobiny realizmu latającym (i spadającym) czarodziejom. Na kilka ważnych szczegółów zwrócił uwagę Piotr Schmidtke.

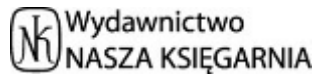
Nieustannego wsparcia duchowego udzielali mi Katarzyna Dug, Michał Różycki, Justyna Rudzka i Krzysztof Szabunowski, cierpliwie znosząc zarówno moje relacje ze świata wyobrazonego, jak i chwile nieobecności w świecie prawdziwym.

Dziękuję także mojej Mamie, dzielnie brnącej przez meandry niezupełnie gotowego tekstu.

Serdeczne podziękowania należą się również Katarzynie Lajborek, Joannie Kończak i całemu zespołowi redakcyjnemu Naszej Księgarni, polskiej społeczności NaNoWriMo za nieustającą motywację i rozjaśnianie entuzjazmem najciemniejszych miesięcy w roku – oraz wszystkim wdzięcznym czytelnikom poprzednich części, którzy umożliwiają kontynuowanie *Kronik Rozdartego Świata*.

Zajrzyj na strony:

[www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)



Znajdź nas na Facebooku

[www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegaria](https://www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegaria)

ALEKSANDRA JANUSZ



*K*RONIKI  
ROZDARTEGO ŚWIATA

UTRACONA BRE TANIA

NASZA KSIĘGARNIA

Poznaj naszą ofertę - FANTASTYKA I HORROR  
[www.nk.com.pl/fantastyka-i-horror/3/kategoria.html](http://www.nk.com.pl/fantastyka-i-horror/3/kategoria.html)

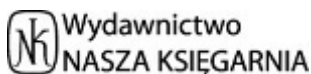
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2017  
Text © copyright by Aleksandra Janusz, 2017

Ilustracja na okładce *Milena Młynarska*  
Typografia *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*  
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*  
Redaktor *Sylwia Sandowska-Dobija*  
Korekta *Ewa Mościcka, Magdalena Szroeder*  
Korekta pliku po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-13237-6

Plik wyprodukowany na podstawie *Kroniki Rozdartego Świata. Cień Gildii*, Warszawa 2017



[www.naszaksięgarnia.pl](http://www.naszaksięgarnia.pl)

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [naszaksięgarnia@nk.com.pl](mailto:naszaksięgarnia@nk.com.pl)

Konwersję wersji elektronicznej wykonano w systemie *Zecer*.